PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY TRZECI. — TOM XC

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1906.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1906

Z LISTOPADOWYCH ROZMYŚLAŃ I DOŚWIADCZEŃ.

II. Co robić?

I.

Od chwili napisania pierwszej części tego artykułu zmieniło się wiele.

Fale życia przeszły chyżo, unosząc z sobą przewidywania i ludzi, niespodziankami ciężarne. Historya współczesnej Rosyi, a z nią i własna nasza historya zapisała szereg kart, pełnych pouczających doświadczeń.

Ekonomiczna rewolucya, zwycięska w końcu października, złamaną została w styczniu. W ślad za nią zwyciężył rząd i rewolucyę polityczną. Przed chwilą jeszcze zdawało się, drgający przedśmiertnemi konwulsyami, bezsilny i bezwładny wobec piętrzących się ze wszystkich stron trudności i gróźb, rząd ten ocknął się i wbrew wszystkim oczekiwaniom — stanął, on, zdawało się, powalony na zawsze. Stanął, chwycił za miecz — i okazało się, że miecz ten jest silnym i że sprzymierzone siły wrogów nie potrafią mu sprostać. Po niesłychanych klęskach zewnętrznych i uznanem przez ogół bankructwie dotychczasowego państwowego systemu, po bezradnem szamotaniu się i kręceniu w kółko lub strusiem chowaniu głowy pod skrzydło w ciągu piętnastu miesięcy, — po niemającej nic równego w dziejach kapitulacyi przed powszechnem bezrobociem i otwartą rewolucyą — rząd hr. Wittego wystąpił z ofenzywą na wszystkich naraz frontach. Może

nawet pierwotne odstąpienie i inercya były tylko wyrachowaniem; jak się okazało, zupełnie słusznem. Istotnie rewolucya nagromadziła w krótkim czasie tyle błędów i zbrodni, i od chwili otwartej walki przerodziła się od razu w tak zupełną anarchię a opozycya konstytucyjna, ogółem biorąc, okazała tak daleko idącą wobec skrajnego radykalizmu słabość i tak niebezpieczne porobiła mu ustępstwa, że rozsądniejsze żywioły, te zwłaszcza, którym otwarcie proklamowany przez rewolucyę a przez liberałów częściowo zaakceptowany komunizm zagrażał w ich najżywotniejszych interesach, stanęły chwilowo przynajmniej po stronie rządu i podały mu rękę do wspólnej walki z rewolucyjną hydrą, zagrażającą ogółowi zniszczeniem wszelkiego mienia, wszelkiej kultury i wszelkiej etyki.

Trzeba przyznać, że w prowincyach rosyjskich i wogóle w całem państwie z wyjątkiem okrain, rząd okazał celowo pojętą energię, a w brutalnej nieraz i nieprzebierającej w środkach represyi nie wszedł, mimo ogólnie czynionych mu w tym kierunku zarzutów na drogę trwałej reakcyi. Nie da się istotnie zaprzeczyć, że obecnie panuje we właściwej Rosyi znaczna swoboda słowa, druku, zebrań i organizacyi i jeżeli tu i owdzie zdarzają się pogwałcenia jej, przypisać to należy raczej stanowi wojennemu i biurokratycznym przywyknieniom władz prowincyonalnych oraz ogólnemu chaosowi, niż intencyom i dyrektywom władz centralnych. Że rząd swobody te, jak wogóle przyszłą konstytucyę i zakres działania Dumy pojmuje inaczej, niż np. ziemcy, to jest faktem, któremu trudno się dziwić wobec tego drugiego faktu, że ziemcy i wogóle wszystkie liberalne stronnictwa postawiły dla państwa liczącego 89% analfabetów, program swobód politycznych szerszy, niż go posiada nie tylko Anglia ale Szwajcarya i Ameryka, program, w kwestyi agrarnej graniczący z komunizmem...

Przetrwawszy bezrobocia, zgniótłszy rewolucyę, uspokoiwszy wojsko trafnemi reformami, rząd znalazł się wobec ostatniego, najgroźniejszego ze wszystkich problematu — kwestyi agrarnej.

Wywołała ją organizacya socyalistycznego przewrotu, w całej zachodniej części państwa, przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie — żydowskiego Bundu. Na Żmudź i Łotwę przybywali agi-

tatorowie z Odessy i Berdyczowa. Z niezupełnie jasnych pobudek, bo, zdawałoby się, wbrew własnym bezpośrednim interesom, społeczeństwo żydowskie z małymi wyjątkami solidarnie poparło ruch agrarny w najostrzejszej jego formie. Z tajnych żydowskich drukarń po miasteczkach wychodzą proklamacye, wzywające włościan do podziału gruntów i niszczenia dworów, każde miasteczko wysyła gromady agitatorów — co prawda wilczą modłą w dalsze od siebie strony, — a przybywającym z dala w swe strony, daje wszelką pomoc i ochronę. Padając na grunt ciemny zupełnie zarówno pod względem intelektualnym jak i etycznym hasła komunistyczne, stają się iskrą rzuconą w prochy. Lud katolicki sam jeden tylko zachowuje się wobec nich odpornie, natomiast wykształceńsi od Mazurów i Żmudzinów Łotysze okazali się najzacieklejszymi. Lud białoruski i małoruski, mimo silnego wrzenia, nie popełnił ani w drobnej części okropności, jakich widownią były gubernie nadwołżańskie. Co prawda nadziały ziemią w polskich prowincyach kilkakrotnie przewyższają nędzne uposażenie gruntowe włościan z gubernii rdzennie rosyjskich.

Rząd po chwilowej bezradności czy może po wyczekaniu odpowiedniej chwili, zwrócił się przeciw ekscesom agrarnym z energią nie wszędzie równą i nie wszędzie równie szczęśliwie zastosowaną, ale dostateczną, by masy ludowe przekonać o woli i możności odporu gwałtów. Żeby wziąć tylko dla przykładu jedną gubernię — chersońską — stosowano tam równocześnie tak drakońskie środki jak podpalenie wsi na czterech rogach przez kozaków i odmawiano ograbionym właścicielom dóbr wszelkiej pomocy w odszukaniu zrabowanych rzeczy lub w ich odebraniu od łupiezców. Sprężystość i takt każdego sprawnika, nie mówiąc o gubernatorze, decydowały i decydują o bezpieczeństwie napastowanych lub napastników. Dziś jednak powiedzieć można, że to ostatnie prawie się skończyło i że rząd szczerze i konsekwentnie nadużycia agrarne zwalcza. Z drugiej strony obawy, może przez jakiś czas nie pozbawione podstaw, demagogii agrarnej ze strony rządu dla zapewnienia sobie i autokratycznemu ustrojowi mas włościańskich — nie sprawdziły się i, jak dotąd przynajmniej, hr. Witte zdaje się opierać na konserwatywnym odłamie szlachec-

kiego żywiołu i zapewne i w przyszłości nie zechce się bawić w niepewne a niebezpieczne dla państwa eksperymenty demagogiczne. Przemowa cesarza do kurskich włościan, jasna i stanowcza, stwierdziła nienaruszalne prawo własności w sposób usuwający możność nieporozumień. Wobec tego płonną byłaby w bliższej przynajmniej przyszłości obawa, by w sferach decydujących w Petersburgu miały przeważyć wpływy takich epigonów biurokratycznej demokracyi, dotkliwie nam z przed lat 40 pamiętnej, jak autor niefortunnego projektu wywłaszczenia większych właścicieli ziemskich, senator Kuttler i inni podobni.

Ułożenie się rozhukanych i głodem ziemi podrażnionych mas włościańskich do pokoju nie przyjdzie zapewne od razu ani bez trudu; o ile jednak rząd wytrwa na dotychczasowej drodze energicznego odporu, połączonego z konsekwentnem a cierpliwem uświadamianiem ludu o rozmiarze jego praw i praktycznej wartości jego pożądań, o tyle liczyć można na zwycięstwo rządu. Chłop rosyjski jest do szpiku kości monarchistą i nawet pożądliwości agrarne nie potrafią mu wydrzeć z duszy instynktowego, prawie zabobonnego kultu dla cesarza. Anarchia podburzy go na chwilę — nie potrafi opanować na stałe. A w razie uspokojenia się mas od jesieni rozpocznie się na szeroką skalę nie tylko powrót wycofanych kapitałów ale i ogromny przypływ obcych pieniędzy, ogromny wzrost siły wytwórczej w zastraszonym i zamarłym przemyśle i handlu. Jeśli przytem rządowi się uda ochronić przyszły sejm państwa od przewagi żywiołów niedojrzałych i radykalnych, a zdaje się to prawdopodobnem, — z drugiej strony zaś jeśli do czasu zwołania i rozwoju prac Dumy reakcyjne żywioły, ośmielone zgnieceniem rewolucyi nie podniosą głowy i nie sięgną po władzę, — państwo rosyjskie liczyć może na kilka lat spokoju i rozwoju. Te kilka lat, zużytkowane na przeprowadzenie szerokich, ale nie doktrynerskich, zastosowanych do stopnia kultury i właściwości miejscowych reform, a bardziej jeszcze na gruntowne i wszechstronne podniesienie poziomu kulturalno-etycznego ludności, mogą rozwiązać problemat, wydający się dziś nierozwiązalnym i ponad otchłanią rewolucyjnej anarchii, stworzyć most spokojnej ewolucyi pomiędzy biurokratycznym absolutyzmem

a monarchią umiarkowanie konstytucyjną, na szerokim samorządzie prowincyonalnym opartą.

II.

W stosunku do krajów polskich postępowanie rządu nie było jednolitem w epoce stłumienia rewolucyi i nie jest niem i teraz.

W t. zw. kraju południowo-zachodnim, rząd, ogółem biorąc, nie okazywał różnic w traktowaniu polskich i rosyjskich obywateli i postępował względem Polaków lojalnie. Uważano ich za zbyt mało liczny a konserwatywnem swem zabarwieniem rękojmię dający czynnik. O ile piszący osobiście mógł stwierdzić, ani wykonanie praw tolerancyjnych, ani korzystanie z powróconych praw do nabywania ziemi, ani uzyskiwanie pomocy władz w razie napaści i rozruchów, ani wiece i organizacyjne prace ludności polskiej nie napotkały nigdzie na trwałe przeszkody. I dotychczas, mimo »wzmocnionej ochrony«, dzieje się to samo. Polski język wprowadzany jest bez przeszkody do zebrań, stowarzyszeń i publicznych lokalów i żywioł polski organizuje się i rozwija swobodnie. Polskie przedstawienia, polskie instytucye i towarzystwa, nawet początki polskiego szkolnictwa spotykamy na różnych punktach Wołynia, Podola i Ukrainy. Przechodzenie na katolicyzm, wszędzie bez wyjątku wprawdzie ma charakter samorzutny, bo kler katolicki nie prowadzi propagandy żadnej, ale oprócz szykan ze strony dotychczasowych duszpasterzy przy wydawaniu metryk konwertytom, nie doświadczają wielkich trudności.

Kler rosyjski w pewnej, wcale poważnej części, zwłaszcza wśród starszych duchownych, odnosi się do kwestyi agrarnej roztropnie i uczciwie. Co prawda interesy jego, jako właściciela ziem cerkiewnych, zarówno z »pańskiemi«, pożądanych przez włościan, są w wielu razach z interesami polskich właścicieli ziemskich identyczne. W każdym razie w wielu wypadkach duchowni rosyjscy występowali i występują przeciw ruchom agrarnym i komunistycznym zachciankom ludu na zebraniach publicznych, na *Narodnych cztieniach,* w herbaciarniach ludowych i przy innych okazyach. Nie można zaprzeczyć zresztą, że inny odłam kleru stoi na gruncie wręcz przeciwnym, solidaryzując się z agitacyą prze-

wrotową i kolportując hasła jej wśród swych parafian, a inna część jeszcze bawi się w niebezpieczną grę, zwracając ostrze apetytów ludowych przeciw *lachom i łatyni,* wedle starej, zawsze jeszcze stosowanej metody, której specyalną receptę posiada podobno kijowska Peczerska ławra.

Oba te odłamy są zarówno żywiołowi naszemu wrogie i szkodliwe, choć pierwszy zwraca się wyłącznie przeciw dworom a drugi — przeciw włościanom przechodzącym na katolicyzm.

Tych ostatnich zwłaszcza na Podolu i na Wołyniu jest dość wielu. Nawet i na Ukrainie, gdzie ilość nawróceń jest wogóle najmniejszą, dzięki najsłabiej tu bijącemu tętnu narodowego i religijnego życia, znam parafię, w której na 4000 katolików dawniejszych w pierwszych 6 tygodniach po ogłoszeniu tolerancyi, przyjęło katolicyzm 400 osób, wyłącznie małej czynszowej szlachty, w przeważnej części jak i gdzie indziej potomków mieszanych małżeństw. Nie wszędzie jest tak samo; ale wszędzie, gdzie ksiądz bez wszelkiej inicyatywy i propagandy spełniał po prostu swój asterski obowią zek, ruch konwersyjny daje się widzieć. Nie dziw, że wywołuje on zaniepokojenie i niechęć wśród rosyjskiego kleru. Ruch odporny, rozpalony staraniem tego ostatniego, próbuje u góry wywołać represyę donosami do władz i gazet reakcyjnych jak *Kijewlanin* i *Eparchialnyje wiedomosti* miejscowych dyecezyi, u dołu ferment i wiekową nienawiść, rzucając w ciemne masy zjadliwe kazania i *sobiesiedowanija* wędrownych misyonarzy lub podburzające świstki przeciw lachom, przewrotnej *łatyni* i Bogu ducha winnym, bo od 130 lat z górą nieistniejącym Jezuitom.

Że wpływ ten fanatyków, igrających w zacietrzewieniu swej nienawiści z ogniem, nie pozostaje bez smutnych owoców, dowodzą hajdamackie krucyaty, urządzane za inicyatywą parochów, dyaków i »nastawników« cerkiewnych szkół przeciw nowonawróconym w południowo-zachodnich powiatach podolskiej gubernii. Obok napaści, bitek i prześladowań różnego rodzaju, ruch ten doszedł aż do zainicyowania w powiatach kamienieckim i płoskirowskim uchwał gminnych, zarządzających przymusowe wysiedlenie członków gminy, winnych zbrodni przejścia na katolicyzm — na Sybir... Oczywiście uchwały te nie uzyskają sankcyi władz

wyższych, jako przeciwne prawu, które przyznaje gminom wolność wysiedlania na Sybir jedynie włościan, będących niepoprawnymi złodziejami i włóczęgami. W każdym razie fakt sam jest charakterystyczny.

W każdym razie ogółowi zarzutów tych czynić nie można. Rozsądniejsi widzą dobrze, że rewolucya pod każdą swą formą, a agrarną bardziej, niż pod inną, otwiera przepaść i pod ich nogami i dlatego chwilowo przynajmniej wstrzymują odwieczną swą dla nas niechęć. Przytem i wpływ ich na lud okazuje się nieznacznym. Na różnych, wszędzie dziś odbywających się wiecach mieszanych, przyszło im nasłuchać się od swych włościańskich parafian gorzkich prawd w ostrą ujętych formę.

Właściciele ziemscy Rosyanie we wszystkich 9 guberniach zachodnich okazują względem Polaków usposobienie pojednawcze. Mają z nimi wspólne interesy ekonomiczne, a sami z krajem mało obeznani, stoją dalej od ludu, który, mimo wspólności wiary, odnosi się do nich z daleko większą nieufnością i niechęcią, niż do właścicieli polskich. To też we własnym, dobrze zrozumianym interesie, gotowi są oni tym ostatnim powierzyć sterowanie sprawami publicznemi, uznając w polskich sąsiadach i większą spraw tych świadomość i większe dobrego ich prowadzenia gwarancye.

Żywioł włościański na Rusi wraz z ludnością małoszlachecką stanowi wielką masę mieszkańców i wyborców. Jest on dla Polaków obcy a po części wrogi.

Z wyjątkiem kolonii mazurskich na Podolu zrutenizowanych, ale wiernych katolicyzmowi oraz nielicznych okolic Wołynia włościanie są wszyscy prawosławnymi a ślady Unii, skasowanej tu za czasów Katarzyny II, zatarte są zupełnie. Wieśniak, ogółem biorąc, mało jest nabożny, znacznie mniej, niż Unita w Galicyi lub na Podlasiu; przyczynia się do tego nasyłanie rosyjskich kapłanów i narzucanie ludowi rosyjskiego języka w cerkwi i szkole. Tem niemniej może właśnie wskutek pewnego religijnego indyferentyzmu ma on dla katolicyzmu niewątpliwie większe, niż dla własnej wiary poszanowanie, uważając go za religię wyższych stanów, ale w rdzennie prawosławnych środowiskach mniej do niego się kwapi. Do »panów« i »lachów« nie ma też on niena-

wiści wrodzonej, bo religijnego fanatyzmu brak mu, a o krzywdach pańszczyźnianych pamięta nie z punktu narodowościowego ale raczej ze społeczno-agrarnego. Jeżeli kogo nie cierpi, to prędzej właścicieli dóbr Rosyan, którzy mając na usługach policyę, dają mu się we znaki bardziej od Polaków. Gdyby ci ostatni nie posiadali ziemi i nie wchodzili dzięki temu w konflikt i z codziennymi interesami i z pożądliwościami agrarnemi ludu, niełatwo byłoby wszczepić weń nawet sztucznego antagonizmu do polskich sąsiadów. Ponieważ jednak konflikt ten jest, a agitacya żydowska z jednej i poczynająca się małoruska z drugiej konflikt ten podniecają nieustannie, nie ulega żadnej wątpliwości, że lud wiejski stanowi żywioł, który z Polakami nigdy nie pójdzie ręka w rękę. Wszystko go od Polaków dzieli, nic z nimi nie łączy. Marzenia ideologów o sojuszu przeciw wspólnemu wrogowi — Rosyi, od dawna należą do kosza archeologicznych rupieci: dziś już przecie opieka wojsk i władz rosyjskich jest w wielu miejscach niezbędną dla ochrony polskiego mienia, jeśli nie życia, a i w przyszłości życie polityczne da nam jako warstwie posiadającej i przemysłowej raczej punkty wspólnego porozumienia z Rosyanami i Żydami, niż z Rusinami.

Niema więc mowy o porozumieniach politycznych z nimi; natomiast nowe stosunki powinny wytworzyć więcej punktów wspólnych w zakresie spraw gminnych i powiatowych, pobudzić ofiarność majętnych do większej, niż dotąd ofiarności na cele użyteczności ogólnej i na tem polu może się żywioł nasz spotkać i porozumieć z uświadomioną częścią ludu ukraińskiego.

Żywioł małoszlachecki był niegdyś przeważnie katolickim. Niestety, jak na innych polach tak i wobec tej siły stworzonej na to, by się stała rozsadnikiem polskości i katolicyzmu na kresach, zachował się zupełnie biernie, zostawiając wolną rękę rządowi i prawosławiu. Więc za cesarza Mikołaja I schłopiono tę szlachtę rewizyami i utrudnieniami szlacheckich legitymacyi, przy uwłaszczeniu ludu zapomniano o niej i dzięki temu szlachta czynszowa stała się proletaryatem wśród ludu. Konflikty właścicieli z czynszownikami, podniecane przez rząd, wykopały między katolickim nawet czynszownikiem a polskim ziemianinem przepaść

głębszą od tej, która tego ostatniego dzieli od włościanina ruskiego i prawosławnego. Po czyjejkolwiek jednak stronie jest wina, faktu to nie zmienia, że liczny żywioł małoszlachecki na Rusi stoi nieraz niżej jako siła robocza i kulturalna od wieśniaka. Z polską intelligencyą mało ma wspólnego, mimo wspólnej nieraz wiary i pochodzenia — bo języka przeważnie używa małoruskiego. Na katolicką część tej warstwy mogłoby oddziałać duchowieństwo, o ile ono samo patrafi stanąć na wyżynie potrzeb czasu, a sekciarstwo w łonie własnego społeczeństwa w odegraniu tej roli mu nie przeszkodzi.

Niewątpliwie natomiast posiadają Polacy wrogów nieprzejednanych, choć dotychczas uważanych za naturalnych i pewnych sojuszników przez optymizm podsycany liberalnym doktryneryzmem. Wrogami tymi są Żydzi.

Zaznaczyliśmy już, że cały ruch agrarny, jak i inne objawy i działania rewolucyjne na całym obszarze dawnych ziem polskich od nich wychodzą i w nich mają najenergiczniejszych agentów. Strajki, mordy, terroryzm, walka wszystkich przeciw wszystkim — miały i mają na sobie żydowską markę. Jaki udział ma ogół żydowski w tym ruchu? Czy, solidaryzując się ze skrajnymi żywiołami, czyni to dobrowolnie, czy pod wpływem terroryzmu daje się pociągnąć na drogi obce sobie i wstrętne? Jaką rolę gra przytem solidarność rasowa i religijna, względnie nienawiść odwieczna do chrześcijan? Mniejsza o to. Faktem jest, że z jakichkolwiek płynie to pobudek, społeczeństwo żydowskie popiera solidarnie ruchy rewolucyjne a w ich liczbie i agrarne i przez to staje w zasadniczem przeciwieństwie do najżywotniejszych interesów, do podstaw istnienia polskiego społeczeństwa na Rusi.

Wobec tej zasadniczej różnicy usuwa się w głąb wspólność walki o prawa dwóch.

Na Litwie i Białej Rusi stosunek Żydów jest oczywiście ten sam, stosunek Białorusinów, Rosyan-starowierów, Litwinów i Łotyszów — bodaj czy nie ostrzejszy.

Zjawisko na pozór dziwne: lud białoruski, pokorny dotąd i cichy, wystąpił daleko ostrzej w obecnym konflikcie agrarnym, niż wychowany w tradycyach Kozaków i Koliszczyzny lud mało-

ruski. Kluczem zagadki — nędza pierwszego, dobrobyt ostatniego. Faktycznie na południu rozruchy ograniczyły się dotąd do strajków i sporadycznych wybryków czerni, na północy przybierały one niejednokrotnie charakter nagminny, a zarazem brutalnością swą przypominały tu i owdzie straszne wypadki nad Wołgą i Bałtykiem. Na Żmudzi ruch miał przytem charakter raczej polityczny, narodowo-litewski i antyrosyjski, niż agrarny. Włościanie wobec dworu zachowywali się nieufnie, nieraz niechętnie, nie przekraczali jednak granicy zwykłych agrarnych niepokojów i nadużyć. Przeciw nieznośnemu uciskowi religijno-państwowemu, narzucającemu ludności wyłącznie i gorąco katolickiej i litewskiej — rosyjską szkołę, mowę i cerkiew, niemniej jak przeciw znienawidzonym z powodu cechującego ich złodziejstwa, zuchwalstwa i gruntownego zepsucia obyczajów kacapom-kolonistom, powstał natomiast żywiołowy odruch narodowego oburzenia.

Z wyjątkiem najgorszej i najfanatyczniejszej gałęzi biurokratyzmu — władzy szkolnej, rząd okazywać począł już za czasów ks. Mirskiego na Litwie i Białej Rusi dla Polaków większą względność niż w Królestwie; za gen. Frezego względność ta zaczęła przechodzić prawie w bezstronność i sprawiedliwość. Oczywiście w kraju tak źle sklejonym i tak zależnym od arbitralności jednostek, jak rosyjski, impuls władz wyższych nie zawsze oddziaływa na mniejszych biurokratycznych królików: to też w Mińsku równocześnie wprowadzał zupełną reakcyę Kurłow, podczas gdy niezdarny gubernator kowieński chciał składać rządy w ręce burzących się włościan. Ale w tymże samym Mińsku, w którym niedawno wyraz polski wywoływał grzywny a katolicyzm został był *brevi manu* skasowany i zastąpiony specyalnym gatunkiem prawosławia w większej połowie świątyń katolickich miasta i prowincyi — język zakazany pojawił się na szyldach, ogłoszeniach urzędowych, w obradach publicznych instytucyi, w całem publicznem życiu kraju, całe parafie przymusowo przed 70 i 40 laty zagarnięte, wróciły do wiary ojców i gdyby nie zamieszki rewolucyjne, polskość mogłaby rozpocząć bez przeszkód ruch organizacyjny odżywczy i naprawczy.

Wszystko jest oczywiście względne. Prawa przyznane w 9 zachodnich guberniach Polakom i stosunek znacznie względniejszy rządu do nich, byłyby uważane na zachodzie nieraz za anomalię i krzywdzące upośledzenie: przyzwyczajonym do ucisku i krzywd nieskończenie większych, słusznie wydają się prawie szczęściem i prawie swobodą...

Zresztą względność dla Polaków i katolicyzmu zainicyowana przez Mirskiego z usunięciem gen. Frezego skończyła się. Następca jego gen.-gub. Krzywicki, niegdyś katolik, dla karyery apostata, jest posłusznem narzędziem w ręku »prawdziwych« Rosyan. Rządy jego odznaczyły się dymisyą i wysłaniem z Wilna kilku sprzyjających Polakom urzędników rosyjskich, wznowieniem szykan i prześladowań przeciw włościanom dopominającym się o zwrócenie zabranych kościołów, lub próbującym stawać w obronie interesów swego Kościoła, wreszcie prawdziwą nagonką przeciw osobom z intelligencyi, które opierając się na wyraźnem brzmieniu tolerancyjnych ukazów oraz na zezwoleniu poprzedniej administracyi, pootwierały prywatne szkółki polskie i katolickie. Wpływ reakcyi, bezsilnej w Petersburgu, daje się widzieć coraz to wyraźniej w Wilnie i na całej Litwie. Kler prawosławny, daleko fanatyczniejszy i bardziej na polskość rozżarty, niż na Rusi, przerażony przytem gromadnemi nawróceniami — w samej Mińszczyźnie mówią o blizko stu tysiącach — stara się wywołać powrót do *status quo ante* i do dawnych represyi i prześladowań. Biurokracya, przygnieciona w ciągu dwóch lat swobodniejszymi prądami, podniosła głowę i wszystkiemi siłami pcha nazad bieg wypadków, przeszkadzając wykonaniu reform. Równocześnie przytem z niesłychaną srogością dokonuje wojsko poskromienia »żmudzkiego buntu« naprawdę za nader nieznaczne nadużycia, jakich się dopuściła katolicka ludność Żmudzi przeciw starowierom, kradnącym jej bydło i gwałcącym kobiety i przeciw popom i cerkiewnym nauczycielom, kradnącym jej dzieci i gwałcącym sumienia, — równocześnie zaś wbrew temu, co się dzieje na Rusi i nad Bałtykiem, władze miejscowe patrzą z godną podziwu obojętnością na ruchy i zbrodnie agrarne, przybierające, dzięki tej

pobłażliwości, charakter nagminny i cechę klęsk publicznych oraz niezwykłego zdziczenia.

Nieraz niewątpliwie inercya ta wywołana jest wyjątkowemi okolicznościami: czasem przecie trudno jej nie posądzić o to, że jest umyślną, zwłaszcza wobec prowokatorskiej roli odgrywanej zbyt często przez duchowieństwo, namawiające wprost włościan prawosławnych do czynnego występowania przeciw katolikom i duchownym katolickim pod komendą cerkiewnej służby.

Stosunek miejscowego żywiołu do Polaków przedstawia się na Litwie i na Białej Rusi w ten sposób, że obok partyi Prawnego porządku, która i na Wołyniu wystąpiła już czynnie i rozpoczęła organizacyę złożoną przeważnie z zachowawczych księży prawosławnych i z urzędników — Polacy znajdą się wobec trojakiego rodzaju opozycyi.

Z jednej strony stronnictwa rewolucyjno-socyalistyczne, propagujące abstynencyę i grożące niedopuszczeniem do wyborów przemocą. Jak wiemy pod tem hasłem skupia się przedewszystkiem żydostwo, t. zn. ogromna większość ludności miejskiej.

Z drugiej strony stronnictwo konstytucyjno-demokratyczne rosyjskie, do którego w ostatniej chwili przyłączą się zapewne Żydzi, by przeprowadzić własnych posłów z miast; w Wilnie i Mińsku np. niewątpliwy jest wybór Żydów i to prawdopodobnie czysto rosyjskich.

Z trzeciej wreszcie organizacya podwójna, oparta na podstawie demokratyczno- i radykalno-narodowościowej: litewska i białoruska, w północnej zaś części gubernii witebskiej, w Polskich Inflantach także i takaż organizacya łotewska. Organizacye litewska i łotewska miałyby z Polakami jeden punkt styczny: katolicyzm.

III.

W Królestwie stosunki wyglądają inaczej, niż na Litwie i Rusi. Inaczej i gorzej, przynajmniej o ile to się tyczy władz miejscowych.

Przedewszystkiem istnieje tam i przedłuża się w nieskończoność stan oblężenia, jakkolwiek zniesiono go po niewielu dniach

w miejscowościach, bez porównania niespokojniejszych, będących ogniskiem otwartych buntów, jak Odessa, Kijów, Sewastopol, Charków i t. d. Gdyby to było niezbędne dla stłumienia anarchistycznej rewolucyi, społeczeństwo nasze poddałoby się konieczności: rygor wojskowy, choćby w tak wstrętnej formie występował, jak tu, lepszym jest chyba od rządów Bundu, terroru, anarchii i mniej dla interesów kraju i narodu szkodliwym. Ale dla walki z anarchią, dla wyśledzenia i ujęcia opryszków czy bundzistów, dla utrzymania ładu i spokoju wystarcza rządowi stan ochrony wzmocnionej, jeśli i ten ostatni wogóle jest potrzebny do tego; stan wojenny służyć może i służy faktycznie wcale przeciw komu innemu, niż przeciw anarchistom i rewolucyi. Posługuje się nim biurokracya przeciw tym, którzy są najbardziej czynnymi i skutecznie przeciw socyalizmowi działającymi czynnikami reakcyi narodowej i pokojowej w tym kraju. Obok niewielu anarchistów, rzucających bomby i wykonujących wyroki śmierci, represye stanu wojennego dotknęły przedewszystkiem obecnie, jak dotykały przy poprzednim stanie wojennym, poważnych i zasłużonych obywateli ziemskich, księży, adwokatów i lekarzy, którzy posiadali zaufanie ludu i mogliby dać mu wskazówki przy zbliżających się wyborach, ludzi najgoręcej zwalczających socyalistyczny terror i przewrót i najgoręcej też znienawidzonych przez rewolucyjne organizacye. Zamiast szukać w nich sojuszników i doradzców, rząd wolał ludzi tych powtrącać do więzień lub skazać na wygnanie. Toż samo stało się i z prasą. Zupełnie na równi z *Kuryerem Codziennym* wzywającym do rewolucyi, zmiany formy rządu, zamknięto najenergiczniej zwalczający go organ narodowców, nie dość na tem, zamknięto i konserwatywno-katolicką *Gazetę Warszawską*, winną jedynie krytyki gospodarki finansowej czynowników, którym światło nie było na rękę. Ze złą wiarą oburzającą nawet tych, którzy przywykli niczemu z tej strony przychodzącemu się nie dziwić, rząd wysunął naprzód fikcyę rzekomej rewolucyi w Królestwie i pod ten sam mianownik podciągnął socyalistycznych rewolucyonistów i pospolitych zbrodniarzy z ludźmi, domagającymi się przywrócenia wierze, językowi i kul-

turze narodu praw przyrodzonych a choćby tylko zrównania tutejszego społeczeństwa w prawach z resztą monarchii.

Argument jaki rząd przytacza na obronę swego postępowania nie wytrzymuje krytyki. Narodowcy używali środków ze stanowiska państwowego nielegalnych dla przywrócenia ojczystego języka do szkół i gmin; zapewne, ale czynili to oni naprzód na zasadzie zapewnionych już z Petersburga reform i ustępstw w tym kierunku, a powtóre i co ważniejsze, bo ze stanowiska ściśle prawnego możnaby wzgląd poprzedni zakwestyonować — robili to oni z konieczności, chcąc odwrócić rozpaloną do białości żądzę czynu w masach od celów, do których je chciała pchnąć rewolucya, ku zadaniom bliższym, dla kraju pożytecznym, dla całości państwa i bezpieczeństwa monarchii wcale nieszkodliwym. Dla biurokracyi rosyjskiej w Królestwie może być spolszczenie gminy i szkoły wstrętniejsze od socyalistycznego spisku; dla interesów Rosyi akcya narodowców mogła być tylko pożądaną i zamiast represyi zasługiwała na poparcie, bo odwracała od rewolucyi, groźnej dla państwa i dynastyi, wielkie zastępy mało uświadomionego i zdenerwowanego ludu, dając upust jego energii, która inaczej byłaby wybuchła w sposób mniej pożądany nie tylko dla Polski, ale i dla Petersburga.

Polityka biurokracyi rosyjskiej jest zrozumiałą. W Wilnie, Mińsku czy Kijowie przestała się już ona obawiać polskiej mniejszości i słusznie. W żadnej z gubernii zachodnich Polacy nie stanowią nie tylko większości, ale nawet wysokiego procentu, a jeśli ich sytuacya społeczna i finansowa oraz większe od innych czynników uzdolnienie może im dać łatwo rozstrzygający wpływ w zarządzie niektórych miast i wielu ziemstw, niema najmniejszej szansy, aby kiedykolwiek wycisnęli z administracyi obecnych jej kierowników. W Królestwie przeciwnie, chwila reform i jakiegokolwiek unormowania stosunków będzie z konieczności ostatnią chwilą rządów biurokracyi rosyjskiej, opartej na usystematyzowanem złodziejstwie, nienawiści ślepej dla kraju, którego interesów obowiązaną byłaby bronić z urzędu i niedołęstwie przechodzącem wszelkie pojęcie. Biurokracya ta, to szumowiny z całej Rosyi, bo przecie przyzwoici Rosyanie unikają służby katowskiej

i koleżeństwa z figurami, między któremi przed kilku jeszcze miesiącami znajdował się zbiegły z Sachalina katorżnik, morderca i złodziej jako.... urzędnik do szczególnych poruczeń, a więc *adlatus* i mąż zaufania gubernatora piotrkowskiego. Każdy z czynowników w Królestwie, z nieznacznym wyjątkiem prawdziwie porządnych i pożytecznych ludzi, wie dobrze, że w razie usunięcia stąd, w Rosyi miejsca nie dostanie, a fakt służby w Polsce społeczeństwo rosyjskie poczyta mu za hańbiący stygmat; nie dziw, że boi się usunięcia z nad Wisły gorzej śmierci i gotów jest na wszystko, byle tę katastrofę odwrócić a przynajmniej opóźnić. Dodajmy, że mimo kolosalnych dochodów z podwójnych pensyi i nagród za bunty a nadewszystko z łapówek, każdy też prawie z tych panów jest w długach po uszy, choć mógłby zbierać krocie, gdyby nie właściwe tej właśnie sferze marnotrawstwo i lekceważenie zbyt łatwo przychodzącego grosza. To też od wielu lat już biurokracya Królestwa prowadzi wobec centralnego rządu, nie mówiąc już o miejscowem społeczeństwie, wysoce nieuczciwą politykę, okłamując Petersburg systematycznie, przedstawiając mu położenie kraju i usposobienie ludności w najfałszywszem świetle, paraliżując pojawiające się sporadycznie prądy i inicyatywy wyższych sfer w celu złagodzenia i polepszenia sytuacyi kraju, a przynajmniej wstrzymując lub wykrzywiając wykonanie tych dobrych chęci w praktyce. Prowokowanie ludności przez władze celem wywołania oporu i represyi, popieranie lub nawet inicyowanie ruchów agrarnych i wprost socyalistycznych wśród ludności wiejskiej przeciw polskim właścicielom dóbr, urządzanie nawet spisków i ruchów zbrojnych na małą skalę dla pokazania, że Polacy znów się buntują — wszystko to należy do stałych metod, uświęconych 40-letnią tradycyą u policyi miejskiej i wiejskiej nad Wisłą i Bugiem.

Nie ulega też wątpliwości, że mimo całego interesu, jakie miało państwo w utrzymaniu spokoju na zachodnich kresach w chwili strasznego przełomu i walk otwartych, a tak groźnych, na tylu naraz punktach, wewnątrz biurokracya warszawska byłaby chętnem okiem powitała jakiś wybuch, zwłaszcza wybuch o charakterze narodowym. Dlatego to traktowała ona dość długo

akcyę rewolucyjną socyalistów międzynarodowych i okrywających się narodowym płaszczykiem P. P. S. z dziwną pobłażliwością; natomiast w chwili gdy nastąpiła reakcya narodowego uświadomienia i oburzenia przeciw socyalistycznym orgiom i gdy wyrazem jej stała się wspaniała manifestacya 5 listopada, biurokracya uderzyła na alarm i odpowiedziała na nią stanem wojennym, usprawiedliwiając go oszczerczemi twierdzeniami o gotującem się jakoby narodowem powstaniu. A kiedy społeczeństwo, w którem reakcya przeciw socyalizmowi i anarchii zaczynała już brać górę, zachowało samo jedno na całym obszarze rosyjskiego państwa zupełny spokój, podczas gdy rosyjskie kraje zalewała pożoga buntów i żakieryi, odpowiedziano na to — wznowieniem zniesionego na krótko stanu wyjątkowego i stan ten utrzymano aż dotąd, wykonując go w spokojnym zupełnie kraju z niebywałą gdzieindziej srogością, której próbkę dał znany cyrkularz kieleckiego generał-gubernatora Bobylewa, o rozstrzelaniu bez sądu (w kraju pełnym opryszków, dzięki z dawna panującemu bezrządowi) każdego posiadacza broni. Faktycznie represye i surowości prawa wojennego zwracają się nie przeciw anarchistycznym zbrodniarzom i nie przeciw socyalno-rewolucyjnym organizacyom, bo do działania przeciw nim nie byłyby wcale potrzebne, ale jedynie przeciw spokojnym i w najlepszym duchu działającym obywatelom kraju, których wpływu biurokracya zdaje się lękać podczas wyborów.

Sposób też, w jaki rząd tłumi akcyę rozpoczętą w celu przywrócenia języka polskiego w gminach, szkołach i instytucyach krajowych ma niewątpliwie cechy zgoła niepotrzebnej i przekraczającej o wiele cel, a z widocznym zamiarem prowadzonej prowokacyi. Nie można się oczywiście dziwić, że rząd, czując swą siłę, chce wstrzymać ruch posługujący się bądź co bądź nielegalnymi z państwowego stanowiska środkami, ale cel ten możnaby przecież osiągnąć bez masowych aresztów i tego rodzaju okólników, jak osławione orędzia naczelnika warszawskiej dyrekcyi naukowej. Tego rodzaju występy, jak pp. Proskurakowa, Sokołowa, prezesa sądu Kraszennikowa i uczestników zebrań, prawdziwych Rosyan w Warszawie, takie akty politycznej mądrości,

jak stworzenie odrębnej kuryi wyborczej z Chełmszczyzny, dla przeforsowania jednego przynajmniej duchownego prawosławnego, lub rosyjskiego czynownika jako posła z Królestwa, jak obecnie czynione usiłowania celem stworzenia drugiej takiej kuryi dla Rosyan z reszty Królestwa, — jak masowe więzienia, wywożenie z kraju ludzi, winnych jedynie podpisania uchwały o języku polskim w gminach, jak nakładanie olbrzymich, rujnujących kar pieniężnych na gminy i oddawanie całych okolic na pastwę rozbestwionego żołdactwa — wszystkie te akty nie uśmierzenia ale dzikiej zemsty i prowokacyi, dowodzą aż nadto wyraźnie, że biurokracya rosyjska w przywiślańskim kraju o niczem nie zapomniała i niczego się nie nauczyła.

Jakkolwiek też po miastach pozostawiają dość swobody dla zebrań przedwyborczych i agitacyi, nie ulega wątpliwości, że po wsiach rząd, a może tylko świat urzędniczy miejscowy nie zaniedba niczego, by wpłynąć na wybory i chłopom narzucić kandydatów miłych rządowi, gdyby tacy się znaleźli, albo, gdyby ich nie było, przeszkodzić wyborowi specyalnie niemiłych nietyle może samemu rządowi, ile czynownikom powiatowym i gubernialnym.

IV.

Tak się przedstawia sytuacya polityczna i społeczna obecnej doby, oraz stosunek rządu i sfer urzędniczych, niemniej jak i narodowości odmiennych do ludności polskiej i jej politycznych interesów i dążeń.

Przypatrzmy się teraz, jakimi są te interesy i potrzeby i w jaki sposób społeczeństwo nasze czyni i myśli im czynić zadość w nowych warunkach publicznego życia naprzód w t. zw. Kraju Zachodnim, następnie zaś w Królestwie.

W 9 guberniach zachodnich Polacy stanowią mniejszość wszędzie z wyjątkiem powiatów dawnego okręgu białostockiego. W razie powszechnego głosowania mieliby szanse przeforsowania jednego tylko kandydata do sejmu i to, gdyby wybory odbywały się nie guberniami ale okręgami powiatowymi. Obecny system kuryalny daje im daleko lepsze szanse; napewno bowiem będą w stanie

przeprowadzić wielu swych kandydatów z kuryi większej posiadłości a prawdopodobnie tu i ówdzie z kuryi miejskiej. Wedle poważnych obliczeń ilość polskich posłów z Zachodniego Kraju wynosić będzie tyleż lub niewiele mniej co z Królestwa.

Dawniej przed powstaniem fatalnego, przez rosyjską biurokracyę i napływowy radykalizm wytworzonego sporu narodowościowego na Litwie, stosunek ten byłby korzystniejszy. Posłowie wybrani przez lud żmudzki i litewski poszliby z ziomkami polskimi ręka w rękę. Dziś nie może być o tem mowy. Na Litwie stanie przeciw Polakom do walki wyborczej żywioł litewski jak na Białej i Małej Rusi stanie ludowy żywioł miejscowy i przewidzieć już można, że żywioł ten ludowy będzie nieraz bardziej wrogim i bardziej zaciętym od czysto rosyjskich czynnników. Pomimo jednak, że z Litwinami oprócz narodowego konfliktu rozdzieli naszych ziomków i w kraju i w Izbie konflikt interesów agrarnych, podniecany przez demagogiczne wpływy, zdrowy rozsądek wskazuje konieczność szukania i stworzenia z tym odłamem naszych sąsiadów i współzawodników *modus vivendi* za jakąbądź cenę. Nie bawiąc się w rekryminacye, nie zrażając się zaczepkami, niesprawiedliwościami ani nawet radykalizmem właściwym wszystkim prądom ludowym, zwłaszcza w obecnem pańwie rosyjskiem, powinniśmy wyzyskać dla stworzenia wspólnego terenu w politycznem życiu, gorące przywiązanie Litwinów do wspólnej z nami wiary i wybitną rolę, jaką wśród nich gra duchowieństwo. Rola biskupów jako naturalny ich pośrednik między dyecezyanami dwóch narodowości, jest wprost wskazaną a dostojnicy zajmujący stolice w Wilnie i w Kownie, dają wszelkie gwarancye, że zadania tego podjąć się i podołać mu potrafią.

Teren religijny jest istotnie jednym z najżywotniejszych części programu prac i rewindykacyi społeczeństwa naszego w Dumie i kraju. Jedyny on, dostępny dla szerszych mas pojmujących odrębność narodową i językową li tylko jako odrębność wiary, a trzeba przyznać, że prześladowaniami religijnemi rząd zrobił wszystko, aby ten sposób zapatrywania wzmocnić. Pomimo też ukazu tolerancyjnego mnóstwo jest jeszcze rzeczy do zrobienia i do usunięcia na tem polu. Dotychczasowe stosunki były tak niesłychane,

że mimo wielu zmian na lepsze, bez końca jeszcze potrzeba reform zanim się dojdzie do częściowego bodaj równouprawnienia na religijnem polu. Wszakże, żeby jeden tylko przykład przytoczyć, w kraju wyłącznie i gorąco katolickim, jakim jest Żmudź, ludność katolicka stanowiąca więcej niż 99% chrześcian, była przez kilka tysięcy prawosławnych — bo większość Rosyan w kowieńskiej gubernii składa się z raskolników t. j. odszczepieńców — jako wyznanie obce zaledwie tolerowane. Katolikom nie przysługiwało prawo procesyi publicznych, ani żadnych poza kościołami aktów kultu; był to przywilej garści prawosławnych, tak samo jak prawosławnemi były szkoły przeznaczone dla katolickich dzieci i zostające pod kierunkiem prawosławnego kleru, a przed księdzem katolickim zamknięte szczelnie, tak samo jak wszystko, co mogło służyć do religijnego uświadomienia, do podniesienia wiary i kultu mas było im pod surowemi karami wzbronione i niedostępne. A równocześnie temu ludowi cierpiącemu, najstraszliwszy z głodów, bo głód świątyni i głód kapłanów, zabierano kościoły i tak już niezdolne ani czwartej części zebranych pobożnych pomieścić, zmieniając je na cerkwie i uniemożliwiając pomnożenie ilości, wykształcenie i samo istnienie kleru.

Tak było na katolickiej Żmudzi; gorzej jeszcze działo się w Wilnie, Mińsku... Wszędzie!

Skoro obecnie nadchodzi do tego pora, zadaniem najpierwszem społeczeństwa polskiego na Litwie i Rusi i przyszłej jego reprezentacyi w Petersburgu, będzie zająć się z jednej strony organizacyą na nowych podstawach życia religijnego w różnych jego objawach, oraz wytworzeniem brakujących mu dotąd instytucyi, środków działania, z drugiej rewindykacyą, gdzie będzie potrzeba praw, dotąd jeszcze społeczeństwu katolickiemu brakujących.

Taką samą akcyę równolegle i wspólnie z poprzednią podejmie społeczeństwo o prawa i rozwój języka i kultury narodowej.

Zapowiadana i częściowo zaczynająca się, choć obecnie znów wstrzymana, swoboda zakładania szkół prywatnych, przedewszystkiem parafialnych, na wzór istniejących prawosławnych, tylko

oczywiście z innym poziomem i kierunkiem, następnie kilka bodaj z zakładów średnich różnych typów — gimnazyów, szkół realnych i handlowych. Oprócz tego nauczanie katechizmu, napotykające dotychczas tyle przeszkód ze strony władz i mogące odbywać się tylko kontrabandą, musiałoby zostać zorganizowane we wszystkich miejscowościach nieposiadających kościoła ani księdza i połączone z elementarną nauką szkolną; przy dobrej woli cechującej kobiety, zwłaszcza w tym kraju, sprawa ta w krótkim czasie da się przeprowadzić wszędzie.

Wolność stowarzyszeń i słowa powinna wywołać organizacyę stowarzyszeń i prasy. Istniejące już tu i ówdzie towarzystwa dobroczynności parafialne, stanowią gotowe i praktyczne ramy, w które łatwo wtłoczyć całość lokalnych interesów i potrzeb o ile one nie odnoszą się do życia politycznego.

W życiu politycznem droga Polaków na Litwie i Rusi jest wytknięta jasno i nie może być co do niej wątpliwości żadnej.

Będąc mniejszością i to mniejszością o zupełnie rozbieżnych celach, ideałach a nawet metodach działania ze wszystkiemi partyami rosyjskiemi i ze wszystkiemi sąsiedniemi narodowościami — z jedynym wyjątkiem Litwinów — Polacy powinni raz na zawsze wyrzec się wszelkiego doktrynerstwa politycznego i zrozumieć, że wobec żywiołów obcych i nieprzyjaznych nie może być mowy o partyjnych różnicach i walkach między sobą. Jedynym probierzem i warunkiem przynależności do polskiego życia publicznego musi być solidarność z ogółem co do poczucia i obowiązku narodowego i dlatego też jedynie przyznawanie się do panslawistycznego czy socyalistycznego kosmopolityzmu stanowić może przeszkodę do udziału w politycznem współżyciu Polaków w tych prowincyach.

W obrębie czysto własnych lokalnych interesów, jak w łonie czysto polskich instytucyi i przedsięwzięć, mogą, rzecz prosta, występować różnice prądów i sympatyi politycznych. Rzecz prosta także, że i przy stawianiu kandydatów politycznych, może się zdarzyć, że większość postawi człowieka własnych poglądów; nie powinno to jednak stawać się regułą nigdy, a raz wybrany kandydat powinien być podtrzymywany przez wszystkie polskie

siły z równą szczerością przy wyborach, bo już nie będzie chodziło o przedstawianie tego czy innego kierunku, ale o Polaka.

Na tej szerokiej, praktycznej i prawdziwie narodowej podstawie, stanęło na Rusi t. zw. Zrzeszenie.

Organizacya ta powstała na wiosnę z. r. na podstawie t. zw. humańskiego programu; obecnie przy nowych stosunkach skonsolidowała się i rozwinęła swą działalność we wszystkich trzech guberniach, a rozszerzony jej program, świeżo wydany, mógłby stać się podstawą akcyi narodowej wszędzie, gdzie są Polacy.

Punktem wyjścia akcyi narodowej, a zarazem pierwszą komórką publicznego życia wedle tego programu jest parafia i kółko parafialne, a czynnikiem pierwszorzędnym na tym pierwszym stopniu życia publicznego jest duchowieństwo parafialne, któremu zastrzeżone jest przewodnictwo o ile zechce w akcyi wziąć czynny udział. Kółko parafialne zajmuje się przedewszystkiem podtrzymywaniem życia religijno-narodowego wśród parafian, uświadamianiem ich, nauczaniem katechizmu i elementarnej wiedzy szkolnej, — zakłada szkoły parafialne i kieruje niemi, urządza pielgrzymki do miejsc świętych i pamiętnych z przeszłości, przedewszystkiem do Częstochowy i Ostrej Bramy. Na szerszą skalę działają w tym kierunku organizacye powiatowe i gubernialne, ujmując całokształt życia i duchowych potrzeb ludności w jednolite, do praktycznych warunków zastosowane ramy.

Jak widzimy program Zrzeszenia jest przedewszystkiem praktyczny. Skupić polską mniejszość pod skrzydłami Kościoła, który sam jeden uchronił ją dotąd od wynarodowienia, — rozwinąć w niej uświadomienie i poczucie solidarności, oraz poczucie obowiązków społecznych, — zahartować ją przeciw wpływom zewnętrznym dla wiary i narodowości szkodliwym i wytworzyć z niej na przyszłość żywioł jednolity i silny; program prawdziwie polski i szczerze, nie — oportunistycznie tylko katolicki, jedyny mogący zapewnić przyszłość na tych kresach żywiołowi naszemu, tak nieraz słabemu liczebnie.

Ale dlatego właśnie, że program ten odpowiada istotnym potrzebom społeczeństwa, że wolny jest od politycznego doktryneryzmu, a uwzględnia odpowiednio najważniejszy z czynników

naszego życia na kresach wśród obcoplemieńców, innowierców: wiarę, nie mógł on odpowiadać tej części niespołeczeństwa jako takiego ale samej tylko intelligencyi, która pod wpływem rosyjskich szkół i rosyjskich pojęć zatraciła instynkty narodowe, a wiarę przywykła uważać za wroga.

Tak było zawsze. A nie szukając daleko, tak było niezbyt jeszcze dawno z warszawskimi pozytywistami, którzy z wielkiej nienawiści do katolicyzmu i tradycyi polskiej, pod opiekuńczemi skrzydłami protegującego ich rządu wyciągali ręce do wyzwolonej z religijnych i kastowych przesądów Rosyi, — tak i ze socyalistami »polskimi« propagującymi wśród polskiej młodzieży małżeństwa z Rosyankami, w czasach, gdy ustawa zmuszała do prawosławia dzieci z takich małżeństw. Wszystkie skrajne prądy u nas fatalną koniecznością prędzej czy później kończą na przechyleniu się w stronę Rosyi, dlatego bo ta ostatnia jest bez porównania bardziej demagogiczną i wszelkich przesądów i wpływów przeszłości pozbawiona, niż najradykalniejsza część własnego naszego społeczeństwa.

Sfery radykalne z przekonań, a bardziej jeszcze warcholskie z temperamentu, uczuły potrzebę postawienia starym obyczajem swego *veto* uczciwej obywatelskiej inicyatywie Zrzeszenia i z hałaśliwą pomocą socyalistycznej młodzieży szkolnej obojga płci zorganizowały Kresowców. Jest to *mixtum compositum* z socyalistów wszelkiego kalibru i zabarwienia oraz z postępowych demokratów, jeżeli wogóle w tem środowisku niesłychanie mało uświadomionem pod względem politycznym, można mówić o wyraźnych kierunkach politycznego życia.

Ale idea Kresowców nie znalazła sympatyi i poparcia w szerszych sferach społeczeństwa, które choć całe mało wyrobione pod względem politycznym zrozumiało instynktem samozachowawczym wiedzione, że podstawą jego istnienia na kresach jest katolicyzm i że szerzenie we własnem łonie radykalną modą nienawiści i rozterek, sprowadzić może jedynie rychłą zgubę. Wówczas Kresowcy wpadli na pomysł nowy. Wsparci przez lewe skrzydło Zrzeszenia, niezadowolone z »klerykalnych« dążeń tego ostatniego, a bardziej jeszcze przez różne żywioły niespokojne,

a chcące wybić się na powierzchnię i pozyskać rozgłos — postanowili połączyć Polaków Rusi i Litwy pod sztandarem rosyjskiej partyi konstytucyjno-demokratycznej, tworząc polską jej filię i przyjmując tak daleko idące postulaty, jak powszechne głosowanie i dobrowolne oddanie włościanom części większej własności ziemskiej. Przyjmując pierwszy z tych punktów konstytucyjno-demokratycznego programu, panowie ci ani się spostrzegli zapewne, że popełniają po prostu zdradę na swym narodzie, pozbawiając go, w razie ziszczenia ich dążeń, wszystkich obecnie zapewnionych mu 30 do 40 miejsc w Dumie. Przyjmując drugi, dali dowód niesłychanej nieznajomości psychologii ludu, zwłaszcza w tych stronach, nie mówiąc już o potworności zasadniczej tego projektu; bo przecie nie ulega wątpliwości dla nikogo, choć trochę oryentującego się w stosunkach, że częściowy nadział włościan pańską ziemią, podrażniłby tylko żądze i doprowadził do gorszego wrzenia, a w koniecznem następstwie — do wydarcia większej własności do ostatniego morga.

Niewątpliwie wielu z tych panów zdaje sobie sprawę z ujemnej doniosłości obu tych punktów i zgadza się na nie wbrew lepszemu przeświadczeniu, ale cóż? — Tego żądają przyjaciele polityczni rosyjscy jako *conditio sine qua non*. Mus!

Otóż właśnie w tem jest zasadniczy błąd i wina. Wina wobec patryotyzmu i błąd strategiczny w polityce. Wina zasadnicza, bo Polakom na kresach nie wolno tworzyć partyi, mogących ich rozdwoić wobec przeciwników narodu i wiary, niewolno przyjmować na siebie barwę rosyjskiego stronnictwa i tem samem przesądzać o kierunku swych wybrańców w Dumie, bo kierunek ten musi być wyłącznie zależny od przyszłego Koła poselskiego i solidarność w niem musi być pierwszym dogmatem polityki naszej, a jakże ona będzie możliwą, jeśli posłowie przyjdą z naprzód powziętemi zobowiązaniami, które dziś już idą nawspak interesom narodu, a o ileż częściej i niebezpieczniej będą się z niemi mogły krzyżować w przyszłości?

Trzeba istotnie zupełnego analfabetyzmu politycznego, żeby wchodzić na taką drogę... I analfabetyzm ten usprawiedliwia sam jeden działalność, która w społeczeństwie politycznie wykształco-

nem musiałaby zostać napiętnowaną najbezwzględniej. A — rzecz ciekawa i charakterystyczna — tego rodzaju akcya poddająca przyszłe życie polityczne kresów pod komendę rosyjskich liberałów, nawiasem mówiąc zbankrutowanych w Rosyi prawie zupełnie — wychodzi z tego samego środowiska, które tak hojnie szafowało »hańbą«, »zdradą kraju« i służalstwem przeciw stronnictwu zachowawczemu za to, że w innych warunkach, z daleko większem uprawnieniem bo z poważnemi nadziejami korzyści dla kraju, myślało niegdyś o mniej daleko idących kompromisach, które później wystąpiły z tymi samymi zarzutami — *risum teneatis!* — przeciw narodowej demokracyi za jej zbytnią skłonność do kompromisów na pierwszych porozumieniach się z ziemcami.

Na szczęście stronnictwo konstytucyjno-demokratyczne nie miało wiele więcej powodzenia od organizacyi Kresowców. Na posiedzeniu ziemian, mającem powołać je do życia, przystąpiło doń 60 osób z 360 zebranych. Bądź co bądź złe się stało; Polacy na Rusi już się na stronnictwa rozbili, czego pierwotnie chciano uniknąć i czego byliby uniknęli, stając na platformie bezpartyjnego Zrzeszenia. Następstwem tego stanie się niewątpliwie utworzenie stronnictwa większości pod hasłem narodowem. Godne to będzie pożałowania, zwłaszcza, jeżeli partye zaczną się publicznie zwalczać, ale dziwić się większości trudno, skoro raz mniejszość grupuje się w obozy, musi to czynić i większość.

I w prasie dwa te główne obozy znajdą własne organa. Zaledwie powstająca w tym kraju polska publicystyka rozbije się od razu na dwa wrogie odłamy. *Dziennik Kijowski*, za którym stoją najpoważniejsze i najintelligentniejsze siły ziemiańskie, jak autor doskonałego programu Zrzeszenia p. Tomasz Michałowski, jak przezacny Nestor ukraińskiego ziemiaństwa Leonard Jankowski, wznoszący z takim trudem i taką ofiarnością drugą kijowską świątynię, jak Dr. Stanisław Orlikowski, jeden z najwybitniejszych podolskich ziemian i inni pod przewodnictwem hr. Włodzimierza Grocholskiego, reprezentuje ideę narodową i broni najżywotniejszych interesów naszego ogółu na Rusi. Za drugim stoi grono radykalnych krzykaczy i socyalistów pod przywództwem jednego

z kijowskich adwokatów, chcącego się w ten sposób dostać do Dumy.

Obecny kuryalny system wyborczy jest dla polskiej mniejszości nader korzystnym. Rozszerzenie prawa wyborczego na oficyalistów i dzierżawców, wzmocni bardziej jeszcze wpływy polskie przy wyborach. Gdyby zostawiono dla większej własności kuryę całkiem odrębną i jednolitą, jak przy wyborach sejmowych w Austryi, Polacy mogliby ją zatrzymać dla siebie wyłącznie co najmniej w 7 guberniach i jedynie w mohylewskiej i kijowskiej musieliby wejść w kompromis z Rosyanami, którzy w tej ostatniej gubernii mają połowę lub większość ziemi w powiatach: kaniowskim, wasylkowskim, czehryńskim, kijowskim, czerkaskim. Ale rząd wprowadził do tej kuryi w charakterze uprzywilejowanym kler prawosławny, tworząc z majątków parafialnych, wynoszących przeciętnie 30 do 40 dziesięcin, jednostki wyborcze po 150 dz. i w ten sposób wyborcy tej kuryi składają się obecnie z 3 równoważących się grup: właścicieli Polaków, Rosyan i delegatów duchownych. Zdawałoby się, że w tych warunkach nigdzie prawie nie przejdzie polski kandydat; wobec jednak dobrego stosunku z Polakami rosyjskich ziemian i ich niechęci do prawosławnego kleru nie ulega wątpliwości, że w znacznej części dopomogą oni do wyboru Polaków.

W miastach zdaje się to mniej prawdopodobnem, żydzi bowiem, na których pomoc liczą optymiści polscy, będą niewątpliwie zasadniczo i zaciekle bojkotować polskich kandydatów, po części przez wzgląd na ludność rosyjską, ale przedewszystkiem przez nienawiść dla katolicyzmu i zachowawczych cech polskiego społeczeństwa.

Wprowadzenie pewnej ilości posłów polskich do Dumy, zależne wyłącznie od mądrze obmyślanych i praktycznie wykonanych kompromisów, wymagać będzie wielkiego taktu ze strony ludzi kierujących sprawami wyborczemi. Ponieważ wcale dziś nie można przewidzieć, jakie zabarwienie polityczne będą miały czynniki, z któremi przyjdzie się układać, to samo wyklucza wykonanie niefortunnego projektu afiliacyi do konstytucyjno-demokratycznego stronnictwa, boć przecie może się zdarzyć, że w jakimś powie-

cie — i może nie w jednym — przyjdzie zawrzeć kompromis ze stronnictwem 17 października, około którego grupują się żywioły monarchiczno-konstytucyjne, daleko bardziej ogólnym swym kierunkiem zwłaszcza w kwestyach społecznych i ekonomicznych do nas zbliżone od obozu konstytucyjno-demokratycznego. Kto wie nawet, czy kiedy nie wypadnie zawrzeć chwilowego lokalnego porozumienia — w polityce wszystko się zdarza — z ludźmi Prawnego Porządku, tak zresztą nam wrogimi. Polityka Polaków kresowych przy wyborach musi być w stosunku do większości oportunistyczną i żadnemi, naprzód powziętemi formułkami nie godzi się jej krępować.

(Dok. nast.).

Ignotus.

MIĘDZY SŁOWIANAMI.

Z PODRÓŻY PO BUŁGARYI.

(Dokończenie).

Co w Sofii przedewszystkiem uderza, to jej piękne położenie pod 2372 metrów wysoką Witoszą i kontrasty, jakie się tu na każdym kroku spotyka. Miasto rozwija się wprost anormalnie. Podczas gdy w r. 1881 liczyło tylko 20.540 mieszkańców, dzisiaj ma ich już około sto tysięcy, a według wychodzącej w Sofii niemiecko-bułgarskiej gazety handlowej wybudowano od stycznia do końca września ubiegłego roku 274 nowych kamienic; ruch budowlany przytem ani na chwilę nie ustaje. Niektóre z tych kamienic, jak np. bank bułgarski, klub oficerski, gmachy ministeryów i mnóstwo domów prywatnych, mogłoby być ozdobą większych miast europejskich. Każda, najmniejsza nawet ulica, ma swoje oświetlenie elektryczne; elektrycznych tramwajów, przecinających miasto we wszystkich kierunkach i poprowadzonych do wszystkich zaułków, ma Sofia więcej, jak Lwów i Kraków wszystkich tramwajów razem; wodociągi zaopatrują miasto w wyborną, ze źródeł Witoszy sprowadzaną wodę. Za to trotoary na głównych nawet ulicach niesłychanie prymitywne, często ich niema, a te, które są, nie odpowiadają zwykle i skromnym wymaganiom; ulice w większej części nie brukowane lub źle — może to tylko wrażenie osobiste, ale zdaje mi się, że nie znalazłem w Sofii ani jednej takiej ulicy, jakich dwie lub trzy spotkałem w Ruszczuku. Wy-

starczy zejść tylko trochę w bok a można zapomnieć, że się jest w stolicy księstwa, tyle brudu, tyle ubóstwa i nędzy, takie małomiasteczkowe życie.

Mimo to robi się dużo dla upiększenia miasta. Gdzie niedawno jeszcze stały puste place, pozakładano publiczne ogrody, inne w najbliższej przyszłości powstać mają; otworzono nawet ogród zoologiczny, miniaturowy wprawdzie, ale posiadający piękną kolekcyę bażantów i bułgarskich orłów i sępów. Do niego przytyka ogród botaniczny, którego największym skarbem są przepyszne a liczne okazy chryzantemów, olbrzymich owoców i — najpiękniejszy może w Sofii widok na Witoszę.

Nie zapomniano też o pomnikach. Przed parlamentem, zbudowanym na wzór parlamentu wiedeńskiego, stoi na tle Witoszy, wykończony w Rzymie, pomnik Aleksandra II, *Cara Oswoboditiela.* Siedzi on na bronzowym rumaku, ustawionym na granitowym słupie. Dokoła na cokóle, również bronzowe postacie wodzów, żołnierzy, chorągwie, symbole wojny; przed Aleksandrem płynie bogini zwycięstwa z wydobytym mieczem w dłoni. Pomnik miał być jesienią 1905 r. publicznie odsłonięty, na razie stał, jak kiedyś pomnik Mickiewicza w Krakowie, zamknięty w drewnianej szopie. Burza jednak rozwaliła na wiosnę szopę a padająca belka wytrąciła bogini zwycięstwa miecz z dłoni; działo się to wtenczas, kiedy cios za ciosem spadał na armię rosyjską w Mandżuryi. Bułgarzy robili na ten temat różne dowcipy, pomnik zaś pozostał odsłonięty, choć nieoficyalnie. W bliskości znowu ogrodu botanicznego wznosi się w parku efektowna piramida, wystawiona ku czci poległych w wojnie lekarzy rosyjskich; składa się ona niby ze spojonych ze sobą głazów, a szczyt jej tworzy otoczony kolumnami blok granitowy. Na każdym głazie wyryte i czarną farbą wypisane nazwisko jednego z poległych; dużo się też tam polskich nazw znajduje. Na innem miejscu zwraca na siebie uwagę obelisk z przyczepionym do niego bronzowym biustem, powieszonego przez Turków narodowego bohatera, Bazylego Lewskiego, znanego z powieści Wazowa: »Pod jarzmem tureckiem«. Najpiękniejszym, a w każdym razie najbardziej do serca przemawiającym pomnikiem, jest mauzoleum Aleksandra Battenberga,

którego za życia wprawdzie z Bułgaryi wypędzono, po śmierci jednak sprowadzono na nowo do kraju. W małym, cyprysami i tujami ocienionym ogródku, stoi to mauzoleum. Sarkofag z białego marmuru kryje zwłoki zmarłego; na wysokiej płycie nad sarkofagiem widać gustownie wykonany medalion księcia — ściany pokryte setkami wstęg i wieńców; między nimi rzucają się każdemu w oczy: wieniec z napisem: *Dem bessten Bruder die ferne Schwester* i dwa wieńce polskie. Po lewej stronie oszklona szafka kryje płaszcz, pas, szablę i czako, których zmarły za życia używał.

Dla cudzoziemca oryentowanie się w mieście nie jest łatwą rzeczą. Plan miasta trudno dostać, może go nawet i niema, a wyłącznie bułgarskie napisy na ulicach i gmachach zadania bynajmniej nie ułatwiają. Ale też o te napisy rząd dba nie na żarty. Za napis bułgarski np. na hotelu lub na restauracyi płaci właściciel rocznie dwadzieścia lewów podatku; jeżeli chce umieścić obok inny, — a może go umieścić tylko obok, nigdy zaś osobno — musi zapłacić dalszych sto franków i to za każdy napis. Ponieważ takich napisów na jakimś gmachu zwykle jest kilka, więc też roczny podatek za same napisy wyniesie kilkaset franków a na takie wyrzucanie pieniędzy nie każdy chyba się zgodzi; przez cały czas mego pobytu w Sofii spotkałem tam tylko dwa napisy francuskie. To rozporządzenie świadczy może o patryotyzmie, dla cudzoziemców jest ono w każdym razie bardzo uciążliwe.

Podróżny na brak wygody w Sofii uskarżać się nie może; do jego dyspozycyi stoi dużo porządnych i niekoniecznie drogich hoteli. Między nimi dzierży prym *Grand-Hôtel Royal*, utrzymywany przez wspomnianego powyżej p. Smolnickiego a uważany ogólnie za pierwszy hotel sofijski.

Chociaż Bułgaryę nazwać można klasyczną ziemią pamiątek i wykopalisk, to jednak w Sofii tych pamiątek niewiele. Do najważniejszych należą dość dobrze zachowane mury i pokryte freskami i napisami sklepienie pogańskiej świątyni z III wieku, którą później przemieniono na kościół a jeszcze później na meczet. Freski i napisy, jak np. bułgarski cytat z Pisma św.: »Pijcie, to jest krew moja«, niezbyt wiele w ciągu wieków, a co dzi-

wniejsza, po zamianie na meczet, ucierpiały. W tej świątyni, której turecka nazwa *Gjol Dżamia,* do dziś jeszcze się utrzymała, miało się odbyć w roku 344 koncylium sardyceńskie, zwołane z powodu ogłoszenia na soborze nicejskim wiary w Trójcę świętą. Jakkolwiek rzecz ta się ma, gdyż nie wszyscy to zapatrywanie podzielają, posiada Sofia w *Gjol Dżamii* cenną pamiątkę i na uznanie zasługuje hojność egzarchy bułgarskiego, który na odbudowanie zabytku ofiarował trzy tysiące franków. Z drugiej strony miasta sterczą ruiny św. Zofii, kościoła bizantyjskiego z XI w., przemienionego później również na meczet; przed kilkudziesięciu laty zburzyło go trzęsienie ziemi i odtąd z dawnej świątyni pozostały tylko mury i część uszkodzonego sklepienia. Niedaleko św. Zofii, która dała imię stolicy, w bliskości miejsca, gdzie obecnie kosztem sześciu milionów franków budują olbrzymią katedrę ku czci Aleksandra Newskiego, wskazują na odkopany grób rzymski; tu i tam widać jeszcze resztki rzymskich murów dawnej metropolii Dacyi.

Największym za to skarbem Sofii jest Muzeum starożytności. Mieści się ono w zbudowanym w r. 1384 meczecie, któremu pozostawiono kopuły a zdjęto minarety. Muzeum to już z daleka wpada w oczy, a dziwne jego kształty i oryginalny koloryt zwiedzającego odpowiednio nastrajają. Mimo, że gmach przestrony a Muzeum mieści się na dole, na piętrze i w bocznych salach, daje się jednak wielki brak miejsca odczuwać. Dlatego też dużo wykopalisk znajduje się na otoczonem sztachetami podwórzu wśród dywanów kwiatowych — dziwne połączenie przeszłości z teraźniejszością. Wewnątrz znowu wykopaliska: greckie, rzymskie, staro-bułgarskie są stłoczone jedne na drugich; normą rozstawienia przedmiotów było raczej wykorzystanie każdego kąta, jak inne jakieś względy naukowe. A szkoda! gdyż Muzeum zawiera w sobie naprawdę dużo interesujących przyczynków do historyi przeszłości. Kamienne płyty z napisami grobowymi lub dekretami cesarzów, posągi i dobrze zachowane fragmenty posągów Merkurego, Erosa, Pana, Eskulapa, nieznanych bliżej osobistości, urny, pierścienie, zbroje, olbrzymie amfory i naczynia, kamienne miary do odmierzania płynów i zboża — to wszystko rzuca ciekawe

światło na dawne czasy i przenosi w przeszłość. Na galeryi przeważnie etnograficzne kolekcye bułgarskie: tkaniny, kostyumy, wnętrza chat z woskowemi figurami, sztandary, maski, broń różnego rodzaju i — pokaźna liczba pisanek. W bocznych salach największy podobno, nie ilością, lecz jakością zbiór monet; ten zbiór to duma Bułgarów, gdyż zawiera okazy, których nawet *British Museum* nie posiada. W jednej ze sal, wisi na ścianie wielki obraz polskiego malarza Piotrowskiego; przedstawia on scenę z pamiętnego roku przed wojną, mianowicie Turków mordujących Bułgarów i palących bułgarskie wioski. Doskonałą jest perspektywa, obraz jednak sam malowany zanadto na sposób panoramy. Najsłabszą stroną Muzeum, to wyłącznie bułgarskie napisy; cudzoziemiec, chcący się jako tako poinformować, ma więc przed sobą twardy orzech do zgryzienia. Niedogodność ta będzie później pewnie usuniętą, gdyż dopiero od dwóch lat zaczęto Muzeum porządkować, a w tym krótkim czasie niepodobna wszystkim żądaniom zadośćuczynić.

Życie towarzyskie Sofii koncentruje się na ulicy Słowiańskiej w pięknym gmachu »Słowiańskiej Biesiady«. *Slawianska Beseda* założona w r. 1880 liczy do siedmiuset członków, z których każdy płaci trzy franki miesięcznie. W głównej sali bułgarski napis: »Łączność jest siłą Słowian«; dokoła ścian wiją się herby wszystkich słowiańskich narodów; polskiego podróżnika wita tam orzeł biały. W tej sali odbywają się na razie przedstawienia teatralne, pod kierownictwem młodziutkiego dyrektora, Chorwata; wspaniały gmach teatralny nie jest jeszcze ukończony. W bocznych pokojach gabinety restauracyjne a na piętrze wielka czytelnia, zaopatrzona bogato w dzienniki bułgarskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie i czeskie — z polskich ma *Beseda* tylko *Nową Reformę*, której jedynym czytelnikiem przez czas mego pobytu w Sofii byłem ja sam. Wstęp do czytelni każdemu dozwolony.

O bułgarskiem życiu umysłowem a przynajmniej o zrozumieniu potrzeby tego życia świadczy dobrze licznie uczęszczana biblioteka uniwersytecka i publiczna *Narodna biblioteka*. Pierwsza jest dość niepozorną, czemu się ostatecznie dziwić nie można, owszem zadziwia, że w tak krótkim czasie zgromadziła trzydzieści

tysięcy dzieł. Roczny fundusz, wynoszący 20 tysięcy franków, z pewnością nie wystarcza, ale jest dobrze użyty. W czytelni znajduje się olbrzymia ilość pism naukowych i literackich, w przeważnej części niemieckich; z polskich jest tam *Biblioteka Warszawska* i *Wisła.*

Bibliotekę uniwersytecką przewyższa tak dogodnością lokalu i urządzenia, jak i liczbą dzieł, *narodna;* posiada ona około 40 tysięcy dzieł a mniej więcej 85 tysięcy tomów. Ruch ciężkości przerzucił się za czasu mego pobytu w Sofii do biblioteki uniwersyteckiej, ponieważ narodową poddano właśnie gruntownej restauracyi.

Najważniejszem bułgarskiem stowarzyszeniem literackiem jest *Bălgarsko knižowno družestwo,* założone jeszcze w r. 1869 przez wspomnianego już wyżej p. Stojanowa w naddunajskiem rumuńskiem mieście, Braili. Stowarzyszenie liczy stu dwudziestu członków; jego prezesem jest milioner Iwan Geszow, którego zasługą jedyną jest chyba to, że dysponuje milionami. *Drużestwo* wydaje w dziesięciu rocznych zeszytach pismo *Periodiczesko Spisanje,* mające pięciuset prenumeratorów. Organ ten, którego dotychczas wyszło sześćdziesiąt sześć tomów, jest najpoważniejszem naukowo-literackiem pismem Bułgaryi, za mało tylko uwzględnia ruch naukowy zagraniczny. Od r. 1899 wydaje Związek *Letopis na bălgarskoto knižowno družestwo,* rodzaj roczników, zawierających ustawy stowarzyszenia, jego członków, spisy zakupionych książek, nekrologi zmarłych członków, jednem słowem historyę *drużestwa* z ostatnich dwunastu miesięcy. Co roku również wychodzi staraniem towarzystwa olbrzymi tom *Sbornik,* poświęcony nauce i literaturze i mieszczący w sobie źródła naukowe. Główną zasługą stowarzyszenia jest rozbudzenie ruchu naukowego i literackiego w Bułgaryi. Na stole czytelni *drużestwa* znalazłem wydawnictwa naszej Akademii Umiejętności, *Wisłę, Lud* i *Przegląd Powszechny.*

Po *Periodiczesko Spisanje* zasługuje na uwzględnienie przedewszystkiem miesięcznik *Bălgarska Sbirka.* Redaktorem *Sbirki* jest p. Stefan Bobczew, człowiek niesłychanej energii i rzutkości i niezmordowany pracownik; dość powiedzieć, że redaguje on nie tylko *Sbirkę* lecz i *Juridiczeskij Pregled* a równocześnie jest adwokatem

i profesorem prawa na uniwersytecie w Sofii. Mimo tylu zajęć trzeba przyznać, że ze swego zadania, jako redaktora, wywiązuje się bardzo dobrze. *Sbirka* jest pismem popularnem, poświęconem belletrystyce, etnografii i folklorowi; rozgłosu przyczynia jej stałe współpracownictwo Iwana Wazowa, którego artykułów nie brak prawie w żadnym numerze. Ponadto informuje *Sbirka* krótko o ruchu słowiańskim, nie jest jednak, jak się wyraźnie p. Bobczew zastrzegł, panslawistyczną.

Nie można wreszcie na tem miejscu pominąć bułgarskiego *Przewodnika bibliograficznego,* wychodzącego od r. 1904 w Sofii pod redakcyą profesora uniwersytetu, p. Teodorowa i profesora gimnazyalnego, p. Nikolajewa, pod tytułem: *Knigopisec.* Zakreślił on sobie szerokie granice, gdyż zaznajamia nie tylko z ruchem literackim bułgarskim i słowiańskim, ale i wszechświatowym. Ta okoliczność odbija się ujemnie na *Knigopisec*'u, ponieważ większa część wiadomości musi już być samą siłą rzeczy dość powierzchowną. Ruch literacki polski ma w *Knigopisec*'u pobieżnego wprawdzie, ale przychylnego sprawozdawcę, naczelny też redaktor p. Teodorow wyrażał się z wielkiem uznaniem o literaturze polskiej i z zajęciem śledził za rozwojem *Świata słowiańskiego,* po którym sobie dużo obiecywał.

Wymieniliśmy tu tylko kilka ważniejszych pism, lecz i one już zmuszają do słów podziwu dla tych ludzi, którzy nie zrażając się żadnemi trudnościami, śmiało kroczą po wytkniętej drodze do zamierzonego celu. A tych trudności spotykają niemało. Kraj za często, niestety! nie rozumie ich usiłowań i nie popiera ich; zamiast zachęty znajdują apatyę i obojętność tak dalece, że nie wiadomo, czy jednego lub drugiego z tych pism nie trzeba będzie zawiesić; przynajmniej fakt, że *Knigopisec,* mający być według swego programu miesięcznikiem, zdobył się w r. 1904 tylko na trzy numery, choć pierwszy zeszyt nosi datę 15 stycznia, świadczy nie bardzo pochlebnie o zainteresowaniu się społeczeństwa bułgarskiego i nie rokuje pismu wielkich nadziei. W sprawozdaniach zaś z ruchu naukowego słowiańskiego mają bułgarscy uczeni z dwiema trudnościami do walczenia; jedna z nich pewnie się usunąć nie da, drugą jednak możnaby przynajmniej zmniejszyć

Pierwszą jest wzajemna nieznajomość słowiańskich języków. »Smutne to, lecz prawdziwe, mówił mi prof. Bobczew, że gdy się dwóch Słowian zejdzie, muszą się uciekać do francuskiego lub niemieckiego języka, jeżeli się chcą z sobą porozumieć«. Ta trudność odnosi się przedewszystkiem do języka polskiego, który różni się znacznie od bułgarskiego, i tym sposobem jest w Bułgaryi mniej znany. Dużo można tam znaleźć znajomości różnych języków słowiańskich a przedewszystkiem rosyjskiego, rzadko jednak trafi się na rozumiejącego po polsku. Ci znowu, którzy mówią a przynajmniej rozumieją po polsku, i którzy pracują na polu piśmiennictwa, nie mają prawie żadnych źródeł, skądby o naszych stosunkach wiadomości zaczerpnąć mogli. Brak funduszów nie pozwala na prenumerowanie liczniejszych pism zagranicznych, a egzemplarzy zamiennych najczęściej nie otrzymują. Stąd np. *Knigopisec*, którego naczelny redaktor, Teodorow, zna skądinąd wcale dokładnie naszych nowszych pisarzy, czerpie swoje informacye jedynie z krakowskiego *Przewodnika bibliograficznego* a przecież, zauważył słusznie prof. Bobczew, poznanie się na polu nauki i literatury jest pierwszym krokiem do wzajemnego zbliżenia się. To też wszyscy publicyści, z którymi się zetknąłem, skwapliwie korzystali z okazyi, by proponować wymianę pism.

O życiu kulturnem Bułgaryi panują u nas nie zawsze odpowiadające prawdzie pojęcia. Tamtejszej kultury nie można mierzyć miarą Zachodu; wiekowa niewola, krępowanie wszelkiej wolnej myśli, walka o niepodległość nie pozwoliły na rozwój umysłowy, owszem tamowały ten rozwój na każdym kroku. Wpływ religii prawosławnej był i jest jeszcze za mały, by potrafił okiełznać dzikie często i rozpasane namiętności ludu; od czasu jednak osiągnięcia niepodległości niemało i na tem polu zrobiono. Roczny budżet szkolny wynosi obecnie jedenaście milionów franków; za te miliony zalano prawie kraj szkołami i gimnazyami. Pilnie przez studentów i studentki uczęszczany uniwersytet w Sofii liczy w gronie profesorów, szczególnie na katedrach filologicznych, wcale wybitne i fachowe siły.

Wielkie zasługi na polu szkolnictwa położył obecny minister oświaty, Sziszmanow, któremu wprawdzie Bułgarzy to i owo

zarzucają, ale który w każdym razie jest człowiekiem szerszego umysłu i europejskiej kultury. Kilkuletnie studya zagraniczne dały mu rozległy, zdrowy pogląd na sprawy życiowe i pokazały, czego jego krajowi niedostaje. Nie tylko więc zabrał się energicznie do pracy nad podniesieniem szkolnictwa, jako pierwszego pierwiastka kultury, ale rozumiejąc dobrze, ile się od zachodnich sąsiadów nauczyć można, śledzi pilnie ruch umysłowy i kulturę zagraniczną i stara się ją stosować u siebie.

Nasze położenie zajmuje go. W dłuższej rozmowie przekonałem się, że zna on naszych wielkich pisarzy, nie tylko dawniejszych, lecz i współczesnych; mówił z uwielbieniem o Sienkiewiczu, o naszym ruchu literackim, pokazał się dobrze poinformowanym o naszych stosunkach ekonomicznych, o naszem położeniu we Wschodniej Galicyi, miał jasny pogląd na naszą kwestyę żydowską i socyalistyczną. Jednej tylko rzeczy nie mógł sobie wytłumaczyć, jak mianowicie w społeczeństwie katolickiem socyalizm mógł takie zapuścić korzenie. »My socyalizmu nie mamy« (to znaczy: zorganizowanego, któryby wywierał jakiś wpływ w polityce, gdyż przez szkoły, jak wyżej wspomniałem, i socyalizm w Bułgaryi się krzewi) »ponieważ nie posiadamy przemysłu a stan włościański dobrze stoi. Gdybyśmy go jednak mieli, nie byłoby w tem nic dziwnego; religia u nas nie byłaby w stanie stawić mu zapory, ale u was, w społeczeństwie katolickiem?«...

Jeżeli jednak kultura w stosunku do starań o nią nie postępuje zbyt szybkiem tempem, to jedną z przyczyn będzie pewnie także rozpolitykowanie się całego narodu, szczególniej w kwestyi macedońskiej. Ta kwestya zajmuje dziś wszystkie umysły. O niej prowadzi się rozmowy na ulicy i w towarzystwie, nią są przepełnione szpalty dzienników, z zainteresowaniem śledzi każdy, co o niej piszą zagranicą; ona zepchnęła wszystko na drugi plan. Ostatecznie nie może też nikogo zadziwić, że Bułgarzy tak się zajmują losami swych braci, których milion dwieście tysięcy zamieszkuje Macedonię, podczas gdy trudniej zrozumieć, jak sto dwadzieścia tysięcy Greków i sześćdziesiąt tysięcy Rumunów w tym samym kraju mogą sobie niesłuszne rościć pretensye.

W zapatrywaniach swoich na Macedonię zrochodzą się Buł-

garzy. Zapalczywsi, lecz mniej roztropni, życzą sobie zbrojnego powstania; poważniejsi odwodzą od niego, widząc w niem największą zbrodnię i nieszczęście: w tem zgadzają się wszyscy i chyba słusznie, że Europa mogłaby ostatecznie całą sprawę załatwić. Cóż! kiedy Europa ma w domu u siebie dosyć do czynienia. Austryi nie można się dziwić, że się w tę sprawę nie wiele miesza, tem bardziej, że dzisiejszy rząd zajmuje wobec Austryi stanowisko nie koniecznie przychylne a dążności kilku, Austryi sprzyjających ministrów Stambułowców, paraliżują inni, którzy odstąpili od zasad swego dawnego wodza. Rosya też na razie chyba dużo nie zrobi, choć tak szerokie warstwy narodu, jak i w gruncie wszystkie stronnictwa, np. partya Stambułowa, Stoiłowa lub Cankowa są rusofilskiemi. Zresztą wszystkie prawie państwa mają swój interes w tem, by burza nie za rychło zażegnaną została.

Stanowisko rządu bułgarskiego nie jest pod tym względem jasne. Fakt jednak, że w ostatnich latach włożył on w Macedonię pięćdziesiąt milionów franków w celach rzekomo cywilizacyjnych na budowę szkół i kościołów i że na macedońskiem przedmieściu w Sofii istnieje dużo macedońskich komitetów, które rzadko kiedy ze strony rządu doznają trudności, daje dużo do myślenia.

* * *

Drodze przez *Starą Planinę* nie wiele ustępuje pod względem malowniczości linia kolejowa, wiodąca z Sofii do Filipopola. Wśród stromych ścian granitowych, nad głębokiemi przepaściami, przez ciemne tunele pociąg wspina się coraz wyżej, aż przy stacyi *Wakarel*, w pobliżu której znajdowała się dawniej granica rumelijska, dochodzi do najwyższego punktu, do 825 metrów. Odtąd góry zbliżają się do toru; ku południu widać coraz wyraźniej olbrzymie pasma Rodopy, ku północy ściany Bałkanu błyszczące czerwienią jagód, jakby w morzu krwi ukąpane. Droga z każdą chwilą staje się bardziej uroczą, dokoła poszarpane skały, porosłe lasami szczyty, głębokie doliny; na dnie przepaści huczą rzeki i strumienie, czasem z wieńca chmur wypłynie na chwilę śniegiem kryty wierzchołek Rodopy, widnokrąg rozszerza się i zamyka, wreszcie pociąg stacza się w olbrzymią bramę Trajana,

wąwóz o niebotycznych, stromych granitach, którym kiedyś szedł rzymski imperator w czasie wojny z Dacyą. Za *Sarambej* góry się rozchodzą, lasy znikają, otwiera się dolina zamknięta majaczącymi z dali stokami Bałkanu i Rodopy, na horyzoncie na tle wysokich minaretów *Tatar-Bazardżika*, zabłyśnie czasami modra wstęga Marycy, dokoła winnice i rozległe ryżowe pola, wreszcie coraz wyraźniej rysują się na ciemnym nieboskłonie dwa olbrzymie, granitowe stożki i pociąg staje na dworcu Filipopola, stolicy Rumelii Wschodniej.

Bułgarski *Plowdiw*, historyczne *Trimontium*, pamiętające jeszcze czasy Filipa Macedońskiego, a założone w IV wieku przed Chrystusem, ma niezwykle urocze położenie. Na straży miasta stoją dwie, z daleka już widne, stożkowe skały. Na jednej z nich, *Bunardżiku* czyli *górze wody*, — tam znajdują się rezerwoary, sprowadzające miastu wodę z gór Rodopy, — strzela wysoko pomnik wystawiony ku czci poległych w ostatniej wojnie Rosyan; obok stoi druga *Dżendem-Tepe* czyli góra dyabelska — genezy tego nazwiska nikt mi jednak wytłumaczyć nie umiał. Za temi dwoma skałami, które miasto całkiem zakrywają, ciągną się trzy wielkie granitowe wzgórza; na nich i między niemi rozłożyło się miasto i ta okoliczność dała Filipopolowi starą nazwę *Trimontium*. Prześliczny widok roztacza się przed turystą stojącym na szczycie *Sahat-Tepe* czyli góry zegaru, dokąd prowadzi kręta, zacieniona i dobrze utrzymana droga. Horyzont odgradzają góry Rodopy i Bałkanu, tuż obok wije się Maryca, kilkanaście minaretów odcina się ostrymi konturami na tle skał, na których wyżej i wyżej pną się domy i cerkwie. A dokoła ryżowe pola, gęsto rozsiane winnice, trzciny Marycy, drzewa parków i ogrodów.

Miasto ma przeważnie turecki charakter. Domy małe, niepozorne, uliczki źle brukowane, pełne wyboi, błota i głazów, wznoszą się wysoko w górę, łamią, łączą a tak są czasami wązkie, że trzech ludzi obok siebie iść nie może. W dzielnicy znowu tureckiej całe ulice przybierają wygląd altan; winna latorośl, rosnąca przy każdym domu, rzuca swe gronami oblepione gałęzie, z dachu na dach, z domu na dom, tworząc tym sposobem cieniste szpalery i kurytarze. Tu w labiryncie zaułków i ulic znajduje

się malowniczy turecki bazar, pełen wdzięku i uroku. Na ulicach tłum o większej jeszcze rozmaitości typów i kostyumów, jak np. we Warnie lub Priwadji; życie tu jeszcze więcej koncentruje się na dworze, jak w innych miastach bułgarskich. Uwagę każdego cudzoziemca zwracają kancelarye adwokackie. Niby szereg straganów ciągną się one w jednej długiej linii; dostęp do nich wprost od ulicy, najczęściej na dworze stół, atrament i papier — tu pod gołem niebem na poczekaniu sprawy się załatwia.

Przez długie lata był Filipopol siedzibą i rozsadnikiem życia naukowego dla Bułgaryi. W r. 1855 założył tam małą drukarnię niejaki Christo Danow, który rozpoczął swą karyerę jako ubogi robotnik, pilnością jednak i wytrwałością szedł coraz wyżej, drukarnię rozszerzał i do roku 1905 wydał siedemset dziewięćdziesiąt ośm dzieł; sądząc według naszych stosunków nie byłoby to wiele, ale trzeba uwzględnić trudności, jakie rząd turecki wszystkim odruchom narodowego życia stawiał, a wtenczas taką pracę uznać trzeba. Uznał ją też naród bułgarski, kiedy w r. 1905 obchodził uroczyście jubileusz pracy tego człowieka na polu wydawnictwa i uświęcił tę uroczystość wydaniem jubileuszowej książki, zawierającej historyę życia Danowa i długi katalog jego wydawnictw; pojawiła się ona już w drugiem wydaniu. Miałem sposobność zwiedzić ten zakład ciemny, ciasny, niekoniecznie hygieniczny, ale zaopatrzony w najnowsze maszyny i nawet w odlewarnię czcionek bułgarskich i francuskich — każdemu cudzoziemcowi polecają we Filipopolu zakład Danowa, jako rzecz godną widzenia — i żałowałem, że od pewnego czasu drukuje same tylko książki szkolne i akty rządowe; z wspaniałą *pieczatnicą* sofijską, godnie mogłaby rywalizować jej siostrzyca filipopolska.

Jak Sofia, tak i Filipopol, ma swoją *Narodną bibliotekę*. Niewygodnie trochę umieszczona, gdyż w budynku przeznaczonym pierwotnie dla parlamentu rumelijskiego, który w rzeczywistości nie istnieje, dlatego też tych trzydzieści pięć tysięcy tomów, składających bibliotekę, dobrze rozdzielić nie można. Mimo, że fundusz roczny wynosi tylko dziewięć tysięcy franków rozwija się ona prędko, a przyczynia się do tego i ta okoliczność,

że według prawa bułgarskiego, każda redakcya i każdy autor muszą nadsyłać bibliotece po dwa gratisowe egzemplarze swych pism względnie książek. Dlatego też czytelnia biblioteki posiada wszystkie bułgarskie pisma i siedemdziesiąt zagranicznych; polskich brak zupełnie, znajduje się tam jednak trzysta polskich książek, których dzisiaj już nikt nie czyta. Z biblioteki korzysta dziennie dwieście osób, co, zważywszy, że Filipopol ma do 45 tysięcy mieszkańców, że z tej liczby trzeba prawie zupełnie wyłączyć ludność turecką, że wreszcie miasto jest przeważnie handlowem, wcale korzystnie świadczy o poziomie oświaty. Pod tym więc względem położyli Rosyanie prawdziwą zasługę, gdyż bibliotekę otworzył w r. 1880 Rosyanin Baszmakow, redaktor petersburskiego *Żurnalu*.

Złączone z biblioteką muzeum przeniesiono do Sofii; w Filipopolu zostawiono tylko dział numizmatyczny, podobno bardzo ciekawy i wartościowy. Zbioru tego nie mogłem niestety zwiedzić, gdyż właśnie w ostatnich miesiącach zaszła tam jakaś defraudacya, skutkiem czego dyrektora uwięziono a sale opieczętowano.

Małe, ale za to bardzo cenne i ciekawe muzea prywatne, znajdują się w willi p. Soczyńskiego i w klasztorze księży Asumpcyonistów. Pierwsze składa się z prześlicznych tureckich makat, haftów i tkanin, z rozmaitego gatunku broni, ze złotych i srebrnych bogato cyzelowanych, rzeźbionych i kamieniami sadzonych naczyń, prawdziwy skarb dla każdego miłującego piękno i rzadka ozdoba mieszkania; drugie zawiera interesującą kollekcyę przedhistorycznych wykopalisk tureckich, znalezionych ku północnemu wschodowi od Filipopola, bliżej Czarnego Morza, przy miasteczku Jamboli. Są tam misy, wazony, urny, puchary, przejrzysto i przestronnie w jednej z sal poumieszczane.

Filipopol chowa wreszcie jeszcze jedną pamiątkę: grób żony księcia Ferdynanda, Luizy, tej męczennicy w książęcym dyademie. W katolickiej katedrze skromny sarkofag z białego i czarnego marmuru, ozdobiony bułgarskim i łacińskim napisem, kryje szczątki zmarłej. Spoczywa ona w bliskości tej kaplicy w pałacu biskupim, w której często słuchała mszy św., przystępowała do

Sakramentów i gdzie szukała otuchy i pociechy w ciężkich godzinach, jakie jej zgotowała ambicya i słaba wola jej męża. Gorąca katoliczka i wielbicielka Maryi spoczywa w tem mieście, gdzie pod rozumnymi rządami ks. arcybiskupa Mennini'ego najwięcej jeszcze kwitnie życie katolickie, gdzie łaskami słynący obraz Maryi nad spokojem jej wypoczynku czuwa a opromienione aureolą cichego męczeństwa imię w sercach żyje i, da Bóg, długo jeszcze żyć będzie.

Wogóle stolica Wschodniej Rumelii, dodatnie na mnie zrobiła wrażenie a przyczyniła się do tego nie mało uprzejmość i przychylność osób, z któremi zajęcia lub okoliczności mnie zetknęły. Tyle u tych ludzi, żyjących tak daleko od nas, życzliwości i serca dla Polski, takie zrozumienie naszego stanu, i tak to wszystko szło z duszy! Wszędzie jednak ta sama tętniła nuta: »czemu my się tak mało znamy, czemu nie pracujemy nad wspólnem zbliżeniem się, czemu nie badamy wzajemnie naszych stosunków, rozwoju naszego życia, czemu między nami nie znana *slawianska solidarnost?*« I znowu stara skarga: »czemu wy, nasi bracia, o tak rozwiniętej kulturze, o takiem piśmiennictwie, o takiej wielkiej dziejowej przeszłości, czemu wy od nas tak stronicie? Lękacie się zapewne naszego zwrotu do Rosyi, z którą was nic nie łączy, a od której wszystko oddziela? Prawda! Dzisiaj jeszcze u nas żywy prąd ku Rosyi, bo mamy jej dużo do zawdzięczenia, choć nie chcemy badać pobudek tych dobrodziejstw, ale my nie pochwalamy waszego ucisku pod berłem rosyjskiem, oburzamy się nań, współczujemy z wami i nie żądamy, byście się i w tym względzie z nami solidaryzowali, a zresztą i u nas dziś w tej mierze już się dużo zmieniło«.

To pragnienie wzajemnego zbliżenia się tak niektóre opanowało umysły, że jeden z najczynniejszych w tym względzie słowianofilów filipopolskich, adwokat Bobczew, brat sofijskiego profesora, autor ciekawej broszurki: *Znaczenje na slawianskata wzaimnost i na slawianskite blagotworitelni drużestwa*, w swym liście zbyt optymistycznie przypuszczał, że moja podróż nad brzegi Jantry, Iskry i Marycy, to pierwszy krok na drodze wzajemnego

zbliżenia się i poznania. Zbyt optymistycznie, gdyż nie takie już robiono kroki!

Rozmyślając nad temi uwagami, wyszedłem raz jeszcze na miasto i doszedłem do brzegów Marycy. Poważnie toczyła rzeka do morza swe wody, wiatr szumiał w trzcinie porastającej jej brzegi a ten szum wiatru i ten plusk fal niosły wieści z dawnej, zamierzchłej przeszłości, wieści krwawe, straszne, jak krwawą i straszną była ta wroga ręka, która przez tyle wieków na tej ziemi ciążyła, i z głębi wód rzeki zabrzmiała melodya:

szumi Marica
okerwawena,
placze wdowica
ljuto ranena.

W te jęki żalu wmieszała się niebawem i pieśń tryumfu i radości, gdyż czarna przeszłość niewoli minęła na zawsze a brzask wolności opromienił teraźniejszość. Pień olbrzymiego drzewa Słowiańszczyzny coraz się odradza, może i pozornie sucha gałąź niezadługo zakwitnie.

Wróciłem do domu a już następnego dnia pociąg unosił mnie z nad brzegów wolnej Marycy przez poszarpane grzbiety Bałkanu nad wybrzeża »starej Wisły, co tak smutno płynie.«

Ks. Wiktor Wiecki.

WARSZAWSKA FILOZOFIA NOWOKRYTYCZNA.

Naprzód słówko dla usprawiedliwienia tytułu. Brzmi on, przyznaję, paradoksalnie. Ale wybrałem go umyślnie, aby dosadnie z góry zaznaczyć niezwyczajność zjawiska, o którem chcę pisać.

W Warszawie, nakładem »Przeglądu Filozoficznego«, wyszedł niedawno z druku pierwszy tom książki p. t. »Filozofia nowokrytyczna«. Z niezmiernem zaciekawieniem brałem do ręki tę książkę, zobaczywszy ją u kogoś ze znajomych. Z niezmiernem zdumieniem czytałem jej treść i jej przedmowę, podpisaną przez p. Maryana Massoniusa. Doznałem wrażenia, że tak już bardzo zasłużona na polu filozoficznego ruchu w Polsce redakcya »Przeglądu Filozoficznego« mniej szczęśliwą miała rękę dając nakład na to nowe wydawnictwo. Spojrzenie na treść książki i jej tytuł było dla mnie jednocześnie odkryciem źródła pewnych nieporozumień, na które się natknąłem w ostatnim czasie niejednokrotnie w rozmowie z niektórymi z moich młodych przyjaciół. Dla charakterystyki, przytoczę tu zaraz na wstępie, co to były za nieporozumienia, których wytłumaczenie było dla mnie do tej chwili zagadką nierozwiązaną. Pytano mnie mianowicie, co myślę o neokrytycyźmie, odpowiadałem, jak umiałem, ale w niemałym znalazłem się kłopocie, musząc zarzucać moim interlokutorom w dalszym toku rozmowy niesłuszne zaliczanie do neokrytyków takiego Avenariusa albo znów takiego Wundta. Po jednej i drugiej takiej rozmowie zły byłem na ludzi, co chcą rozprawiać o fi-

lozofach, a zupełnie ich nie znają, co gorsza, podsuwają im poglądy, których filozofowie ci wcale nie mieli. Dziwnem mi się to wydawało u młodych moich znajomych, u których nigdy dawniej nic podobnego nie spostrzegłem. Książka wspomniana wszystko mi wytłumaczyła...

Sam pomysł tego wydawnictwa jest co najmniej bardzo oryginalny. Zamierzono przedrukować w polskim przekładzie niektóre artykuły pewnego czasopisma niemieckiego! Ofiarą padło czasopismo filozoficzne, założone w r. 1877 przez Avenariusa i wychodzące w Lipsku pierwotnie pod tytułem *Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie*, a dzisiaj (od r. 1902) pod tytułem *Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie und Soziologie.* W przeciągu 29 lat swego istnienia pismo to dawało gościnę filozofom niemieckim najrozmaitszych szkół, kierunków i odcieni; nie szerzyło więc jednolitych poglądów jednej tylko jakiejś szkoły filozoficznej, przeciwnie, często, nieraz nawet w jednym i tym samym numerze, drukowało prace filozofów najradykalniej przeciwne zajmujących stanowiska w filozofii. Dość wspomnieć ten fakt, że w pierwszych latach istnienia tego kwartalnika współredaktorami, firmę pisma stanowiącymi, byli obok naczelnego redaktora Ryszarda Avenariusa tak różnych szkół filozofowie, jak Karol Göring, Max Heinze i Wilhelm Wundt! Po śmierci Göringa i wystąpieniu Wundta z redakcyi, a wstąpieniu na jego miejsce Alojzego Riehla pismo miało wprawdzie firmę trochę już więcej jednolitą, ale nigdy nie stało się organem wyłącznym jednej jakiejś szkoły. Tak było za życia Avenariusa, nie inaczej jest i teraz: w firmie figuruje już nawet taki Ernest Mach, duchem bardzo pokrewny Avenariusowi, ale i obecny naczelny redaktor, prof. Paweł Barth, drukuje obok artykułów »empiryokrytycznych« ultrametafizyczne artykuły Edwarda Hartmanna! Kwartalnik więc ten filozoficzny nie może uchodzić za organ żadnej szkoły, nawet szkoły Avenariusa-Macha, ale już żadną miarą nie może być uważany za organ filozofii neokrytycznej, chociaż i niektórzy z neokantystów do pisma tego pisywali, a nawet taki

Vaihinger, obecny redaktor naczelny organu neokantystów niemieckich *Kantstudien*.

Tymczasem co się dzieje? Redakcya warszawskiej *Filozofii neokrytycznej* zrobiła z *Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie* organ jednolitej szkoły, tę rzekomą szkołę nazwała filozofią nowokrytyczną, a autorów artykułów w piśmie tem pomieszczanych i w polskim przekładzie przedrukowanych otaksowała jako przedstawicieli neokrytycyzmu. Otóż neokrytykami czy neokantystami są według redakcyi warszawskiego wydawnictwa wszyscy ci filozofowie, których artykuły zostały przełożone do pierwszego tomu *Filozofii nowokrytycznej*, a więc: R. Avenarius, K. Göring, H. Siebeck, A. Döring, H. Vaihinger, W. Wundt! Ktokolwiek jest obznajmiony ze współczesną filozofią niemiecką, wzruszy ramionami na takie zestawienie. Najenergiczniejszy jednak protest przeciw zaliczaniu sześciu owych filozofów do jednej i tej samej kategoryi, do jednej i tej samej szkoły, nowokrytyczną nazwanej przez redakcyę warszawskiego wydawnictwa, zakładają oni sami czy ich uczniowie w swoich dziełach i pismach. Wiadomą jest np. rzeczą powszechnie, jak ostrym krytykiem i bezwzględnym przeciwnikiem filozofii Avenariusa jest Wundt, jak znów Wundta strawić nie mogą awenarzyści. Jakże, choćby wobec tego jednego faktu, można Wundta i Avenariusa zaliczyć do przedstawicieli tej samej szkoły filozoficznej? Ostrzejszego przeciwieństwa nad to, jakie istnieje między szkołą Wundta a szkołą Avenariusa-Macha, mało można wykazać przykładów w dziejach ścierania się z sobą poglądów filozoficznych.

Z powyższej szóstki filozofów, naprawdę jeden tylko Vaihinger jest neokrytykiem w zwykłem zrozumieniu tego wyrazu, a sam zaś Avenarius, założyciel przedrukowywanego w Warszawie pisma, stoi w otwartem przeciwieństwie do »krytyki czystego rozumu«, jak to wyraźnie sam zaznacza[1], a więc żadną miarą nie może być uważany za neokrytyka.

---

[1] Już w swej pracy habilitacyjnej z 1876 r. Avenarius stwierdza przeciwieństwo własnego stanowiska filozoficznego ze stanowiskiem teoryo-

Przez neokrytycyzm czy neokantyzm lub neokancyanizm rozumie się powszechnie ten kierunek najnowszej filozofii, który pod hasłem »zwrotu do Kanta« nie inny punkt wyjścia obrał sobie do badań filozoficznych jak założenia »Krytyki czystego rozumu«. Kto sobie wybiera inny punkt wyjścia, inne stanowisko zajmuje w rozważaniach swych filozoficznych, ten nie jest neokrytykiem. Nie jest więc neokrytykiem ani Avenarius, ani Wundt, ani Siebeck...

Mogłoby się komu zdawać, że to tylko spór o nazwę. Mógłby kto zarzucić, że ostatecznie na jedno wyjdzie czy redakcya warszawskiego wydawnictwa da mu tytuł »Filozofii naukowej« w zgodzie z niemieckim tytułem kwartalnika, czy też »Filozofii nowokrytycznej«. Jednak różnica zachodzi tu zasadnicza. Pojęcie filozofii naukowej jest nieskończenie ogólniejsze od filozofii neokrytycznej: filozofia neokrytyczna to tylko jedna z bardzo wielu, roszczących sobie pretensye do naukowości, jest to tylko jedna szkoła, jeden system filozoficzny, filozofia zaś naukowa jest to każda filozofia innych kryteryów nie uznająca jak tylko kryterya naukowe. Gdyby więc dano temu wydawnictwu tytuł »Filozofia naukowa«, byłoby ono nieporównanie mniej szkodliwe, niż jest obecnie: niktby już bowiem nie miał prawa się gorszyć, znajdując zawarte w niem poglądy filozofów do różnych szkół filozoficznych należących. Powiadam: byłoby mniej szkodliwe; bo szkodliwem nie przestałoby być, dając osobom filozoficznie i naukowo mało przygotowanym złą sposobność do płytkiego i jednostronnego zaznajomienia się z filozofią i filozofami — nie na podstawie ich dzieł, choćby dobrych streszczeń tych dzieł, ale na

---

poznawczem Kanta: »Neben dieser Beziehung zur naturwissenschaftlichen Erfahrung wird man in dem auch auf dem Titel angeführten Ausdruck »Kritik der reinen Erfahrung« eine Beziehung zur »Kritik der reinen Vernunft« vermuten und selbstverständlich eine gegensätzliche. Dass eine solche Absicht mitgewirkt habe, soll nicht geleugnet werden; denn ein Gegensatz der Standpunkte ist in der Tat vorhanden, und es schien, es werde durch die Andeutung des Gegensatzes in der Benennung sofort der eigene Standpunkt in ein charakteristisches Licht gerückt, welches auch dem Andersmeinenden als Erleichterung des gegenseitigen Verständnisses nicht unwillkommen sein werde« *(Philosophie als Denken der Welt,* wyd. II, str. 4).

podstawie luźnych artykułów czasopismowych na polskie przekładanych.

Najmniej szkodliwe byłoby takie wydawnictwo, gdyby redakcya dała mu, jedynie prawdzie odpowiadający tytuł: »Wybór niektórych artykułów czasopisma *Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie*«. Byłyby wtedy takie *Wypisy*, jaką jest warszawska *Filozofia nowokrytyczna*, może nawet nieszkodliwe, pod warunkiem, że redakcya prócz wiernego wyrażenia w tytule tego ich charakteru chrestomatyjnego zaopatrzyłaby każdy z artykułów do chrestomatyi wybrany w krytyczny komentarz naukowy o autorze, pracach jego poprzednich, stanowisku jego filozoficznem i t. p. Wypisy bowiem takie przeznaczone są dla ogółu filozoficznie niewykształconego (człowiek filozoficznie wykształcony nie będzie studyów filozoficznych odbywał na chrestomatyach ani wogóle na przekładach polskich z takich języków, jak francuski, niemiecki, angielski, bo bez znajomości tych języków nie osiągnąłby nawet skromnej miary wykształcenia filozoficznego), więc niezdolnego do należytego zrozumienia takich luźnych artykułów bez odpowiedniego komentarza.

Popularyzowanie nauk i filozofii to rzecz wielkiej doniosłości, ale też bardzo trudna. Nieumiejętne i niekrytyczne popularyzowanie tamuje prawdziwą oświatę, a zato wyrabia w ogóle niewykształconym powierzchowność, wzmacnia skłonność do blagowania. Poczytne u nas bywają podobnego rodzaju wydawnictwa popularyzacyjne, bo wielu niestety znajdują takich czytelników, co lubią niewielkim zachodem i małym kosztem ubierać się w znajomość filozofii i filozofów, choćby filozofii neokrytycznej, choćby filozofów takiej miary i tak mało dla ogółu dostępnych, jak Wundt, jak Avenarius...

Redakcya *Filozofii nowokrytycznej* świadoma była potrzeby zaopatrzenia przełożonych z niemieckiego kwartalnika artykułów w komentarz własny. Ale, zamiast przy każdym artykule podać krytyczne wskazówki, niezbędne do zrozumienia stanowiska autora, poprzestała na udzieleniu dwu ogólnych komentarzy: jeden dała

w samym tytule, każąc czytelnikowi wszystkie artykuły w wydawnictwie pomieszczone uważać za wyrażenie jednolitej szkoły filozoficznej, tak zwanego neokrytycyzmu; drugi komentarz zawarła w przedmowie do książki. O pierwszym komentarzu dosyć już powiedziałem wyżej. Teraz przypatrzmy się drugiemu komentarzowi, t. j. przedmowie.

Autor opowiada w niej naprzód, co rozumie przez filozofię nowokrytyczną, a co przez metafizykę. Przez pierwszą rozumie ten kierunek filozoficzny, który »za obowiązujący punkt wyjścia dla dalszych badań filozoficznych uznał wyniki krytyki czystego rozumu Kanta«, przez drugą zaś »wszelki system doktrynalny, zmierzający do zasadniczo jednolitego objaśnienia całości świata«. Mniejsza już o określenie filozofii nowokrytycznej, w którem chyba zamiast wyników miało być podstawy czy założenia; ale mało kto chyba tak z metafizyków jak z antymetafizyków, zgodzi się na powyższy sposób pojmowania metafizyki. Zato każdy filozof, na doświadczeniu wyłącznie filozofię swoją i swoje filozofowania opierający, oburzy się na bronioną w dalszym ciągu przez autora przedmowy niezależność pierwiastków formalnych od doświadczenia. A z takich pierwiastków formalnych miała powstać »naukowa teorya poznania«! Smiem twierdzić, że taka teorya poznania niczem innem nie jest właściwie, jak najapriorycznejszą metafizyką.

Następnie tłumaczy autor przedmowy powstanie filozofii neokrytycznej jako reakcyi naprzód przeciw metafizyce materyalizmu, a potem przeciw wszelkiej metafizyce. Wśród trafnych uwag, odnoszących się do tej kwestyi, znajdują się i mniej trafne, albo nawet i całkiem nietrafne. Np. zupełnie niezgodnem z prawdą historyczną jest twierdzenie autora, że w człowieku filozoficznie wykształconym mniej mocny jest popęd metafizyczny, niż w człowieku filozoficznie niewykształconym. Historya filozofii wykazuje, że najwięksi filozofowie byli zarazem największymi (czy w dobrym czy w złym sensie) metafizykami. Któż z ludzi »filozoficznie niewykształconych« był większym metafizykiem czy bardziej metafizykiem, niż taki Plato, taki Arystoteles, Leibniz, Spinoza, Schopenhauer, Lotze i t. d. i t. d.?

To, co przedmowa zawiera w pierwszej swej części na str. I—IV, nie wiele ułatwi »niewykształconemu filozoficznie« czytelnikowi zrozumienie należyte artykułów w pierwszym tomie *Filozofii nowokrytycznej* przedrukowanych, raczej narazi go na zarażenie się przesądem, że wszystko, co w tym tomie gościnę znalazło, wolnem jest od metafizyki, i to dowolnej, apriorycznej. Ale druga część przedmowy to już potrafi czytelnika takiego, t. j. filozoficznie niewykształconego, doszczętnie zbałamucić. Autor zastanawia się tam »nad znaczeniem nowokrytycyzmu dla kultury ogólnej ducha ludzkiego«, w refleksyach zaś swoich wchodzi na teren sobie obcy, jak to widać z jego wywodów, więc nie dziw, że tu i ówdzie potyka się karkołomnie. Nie przyczyni się to z pewnością do wykształcenia filozoficznego czytelników *Filozofii nowokrytycznej* i jej komentarzy. Oto parę próbek złych skutków błądzenia po nieznanych drogach.

»Największem nieszczęściem — powiada p. Massonius — życia poza naukowego, osobliwie zaś religijnego ludzkości, było do ostatnich czasów to, że przedstawiciele każdego systemu wierzeń uważali (i w znacznej części dziś jeszcze uważają) za konieczny swój obowiązek, wierzenia te uzasadnić teoretycznie, uczynić je częściami jakiegoś systemu myślowego«.

Pomijam tu bardzo nieścisły sposób wyrażania się. Zwracam tylko uwagę na zarzut, że wierzenia religijne uzasadnia się. O uzasadnianiu wierzeń można mówić w następujące dwa sposoby: albo mówi się o uzasadnianiu tych świadectw, podstaw i kryteryów, na których się opiera wiara, t. j. uznawanie za rzeczywistą prawdę tego, w co się wierzy, dla powagi autentycznego świadka; albo też chce się wyrazić jednoczesną możliwość dowiedzenia się o prawdziwości twierdzeń, w które się wierzy, inną drogą, nie polegając jedynie na powadze. Jeżeli prawda, w którą się wierzy, jest takiego rodzaju, że da się ją uzasadnić niezależnie od kryteryów wiary, wtedy trzeba powiedzieć, że ta prawda może być jednocześnie przedmiotem wiary i jednocześnie może być przedmiotem wiedzy, na doświadczeniu tylko i rozumie opartej. W religii chrześcijańskiej takiego rodzaju prawdami są np. pra-

wdy następujące: istnienie jedynego Boga, nieśmiertelność duszy, możność woli czynienia dobrze lub źle i t. d. Jeżeli prawdy, w którą się wierzy, nie da się w ten drugi sposób uzasadnić, to wtedy może być tylko mowa o uzasadnianiu podstaw i kryteryów, na jakich się opiera uznawanie i wyznawanie jej dla powagi autentycznej. W religii chrześcijańskiej takiemi prawdami są np. następujące: Bóg jest jeden co do natury ale troisty co do osób, Jezus Chrystus ma dwie natury w jednej (boskiej) osobie, J. Chrystus jest rzeczywiście obecny (jako Bóg-człowiek we własnej osobie) pod sakramentalnemi postaciami Eucharystyi i t. d.

W każdym razie, czy pierwszego czy drugiego rodzaju jest prawda, w którą się wierzy, koniecznem jest uzasadnienie tego wierzenia w pierwszy sposób, t. j. uzasadnienie (li tylko na doświadczeniu i rozumie oparte) podstaw i kryteryów, na których tę wiarę się opiera, inaczej bowiem nie miałoby się wiary w ścisłym sensie (wyżej podanym) tego wyrazu. Uzasadnienie zaś wierzenia w drugi sposób, t. j. wykazanie na podstawie doświadczenia i rozumu rzeczywistości tej prawdy, w którą się wierzy, naprzód możliwe jest tylko to wtedy, kiedy ta prawda należy do prawd pierwszego rodzaju, powtóre zaś nie wchodzi wcale w rachubę, kiedy się ma akt wiary w tę prawdę wzbudzić. Na grubem więc tylko nieporozumieniu polega sąd autora, wypowiedziany zaraz po przytoczonem wyżej zdaniu.

»Wbrew wyraźnemu znaczeniu słów wierzyć i wiara, wydaje im się — sądzi autor — że twierdzenie, do wierzenia podane, w takim tylko razie zupełną wiarę zyskuje, jeżeli jest rozumowo uzasadnione. Biorąc rzecz zwyczajnie i posługując się językiem powszechnie używanym, rzec wypadnie, że właśnie przeświadczenie, na wywodzie rozumowym oparte, nie jest wiarą, tylko (prawdziwą lub fałszywą) wiedzą. Co można wiedzieć, tego podawanie do wierzenia jest zgoła zbytecznym«.

Mowa tu naturalnie tylko o prawdach pierwszego rodzaju. Otóż prawdy takie mogą być poznane dwiema drogami: jedną drogą doświadczenia i rozumu, drugą drogą świadectwa autentycznych powag. Dwojakiego więc rodzaju jest wiedza: mogę wiedzieć o prawdzie pewnej dlatego, że o jej rzeczywistości

przekonałem się na podstawie doświadczenia i rozumowań na doświadczeniu opartych; albo mogę się o tej prawdzie od innych dowiedzieć, na których świadectwie polegam i przeświadczonym mogę być o jej rzeczywistości dla powagi tych świadectw. Wiedza drugiego rodzaju jest właśnie tem, co się w ścisłym sensie wyrazu wiarą nazywa. Dla wyjaśnienia użyję przykładu, z zakresu wiedzy matematycznej wziętego.

Wszyscy cokolwiek na matematyce się znający wiedzą, że równania algiebraiczne stopnia wyższego nad czwarty nie mają i nie mogą mieć rozwiązań dających się wyrazić w funkcyach algiebraicznych współczynników, ale nie wszyscy wiedzą o tem na podstawie zrozumienia dowodu tej prawdy, może im zupełnie nieznanego, albo może dla nich zupełnie niezrozumiałego. Większość z tych, co się trochę na matematyce znają, wie tylko, że tak jest, nie wątpi o rzeczywistości prawdy powyższej, ponieważ matematycy świadczą, że matematyka od Abel'a jest w posiadaniu ścisłego dowodu tej prawdy. Otóż ta większość wierzy tylko w prawdziwość twierdzenia o niemożliwości algiebraicznego rozwiązania równań alg. stopnia wyższego nad 4-ty, wierzy w ścisłym sensie tego wyrazu: bo uznaje za prawdziwe powyższe twierdzenie dla powagi świadectwa Abel'a i matematyków zresztą wszystkich o tem piszących od czasów Abel'a. Mniejszość wie nadto o prawdziwości tego twierdzenia dlatego, że dowód jego ściśle i ze zrozumieniem przeszli od początku aż do końca, że więc sami rzeczywistość tego twierdzenia skonstatowali.

Jeżeli mam słuszność w tem, co przed chwilą napisałem, to niema słuszności w ostatniem zdaniu pana Massoniusa, wyżej przytoczonem. Niema też słuszmości ani dobrej znajomości tego, o czem się pisze, w zdaniach jego następujących:

»Co można wiedzieć, tego podawanie do wierzenia jest zgoła zbytecznem. A, co większa, gromadzenie dowodów na to, co ma być rzeczywistym artykułem wiary, jest dla tejże wiary wprost szkodliwym. W samej rzeczy twierdzenie, do wierzenia podawane, bywa zawsze twierdzeniem realnem, ni-

gdy zaś formalnem. Ale tylko twierdzenia formalne mogą być dowiedzione apodyktycznie«.

»W dziedzinie twierdzeń realnych wszystko, co może być dziś dowiedzionym, jutro może być zbitym«.

»Trudno o kruchszą i zawodniejszą podstawę dla wiary, niż dowody«.

»Dowody dobre są dla nauki..., ale nie dla wiary, która dogmaty swoje podaje, jako prawdy wiekuiste, jako słowo, które nie przeminie, choć niebo i ziemia przeminą«.

Tak, to bardzo ładnie powiedziane, ale człowiek ma rozum, który domaga się od wiary, aby była oparta na niewzruszonych podstawach. Dowody tej niewzruszoności podstaw wiary nie tylko są dobre dla wiary, ale bezwarunkowo konieczne. Żebym wierzył w to, co Bóg objawia i do wierzenia podaje, muszę naprzód mieć przeświadczenie od wiary niezależne, że Bóg jest i że ten Bóg rzeczywiście do ludzi przemówił. Bez tego przeświadczenia naukowego człowiek będzie łatwo brał mgliste jakieś mrzonki metafizyczne i własne urojenia za »prawdy wiekuiste«.

Takie opieranie wiary, t. j. podstaw wiary, »na dowodach rozumowych« (właściwie należy je nazwać doświadczalnymi) umożliwia dopiero wiarę godną człowieka rozumnego. W przeciwnym razie byłaby wiara jakiemś tylko instynktowem przeczuciem czy odczuciem, ślepym jakimś odruchem »serca« czy woli, ale nigdy nie mogłaby się stać tem, co stanowi istotę religii objawionej. Sama tylko dobrze pojęta rozumowość wiary uwalnia właśnie religię objawioną od wszelkiej dowolnej i apriorycznej metafizyki, czego bynajmniej nie czyni teorya poznania neokantystów, jak to obiecuje autor przedmowy do *Filozofii nowokrytycznej*.

»Szerokie rozpowszechnienie nowo-krytycyzmu — powiada p. Massonius — uwolni od jarzma metafizycznego nietylko filozofię, (co już się stało), ale i inne gałęzie życia duchowego«.

Proroctwo to co do filozofii wcale się nie spełniło — wbrew nawiasowi w powyższym cytacie, — nie spełniło się zwłaszcza co do samej »filozofii nowokrytycznej«, grzeszącej metafizyką, i to

dowolną, bo nie na doświadczeniu, lecz na formaliźmie apriorycznym opartą. Nie sądzę zaś, aby jarzmo metafizyczne »filozofii nowokrytycznej« mniej było niebezpieczne dla religii, wiary i innych spraw życia duchowego ludzkości, niż pęta jakiejkolwiek innej metafizyki, nie opartej na jedynie zdrowym gruncie — doświadczenia.

Ks. Stanisław Kobyłecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z czasopism polskich w r. 1905.

Wiadomości matematyczne. — Przyroda. — Kosmos. — Naokoło świata. — Lud. — Kwartalnik historyczny. — Przegląd historyczny. — Herold. — Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne. — Poradnik językowy. — Sztuka. — Poradnik graficzny. — Ekonomista. — Przegląd prawa i administracyi. — Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. — Muzeum. — Przegląd pedagogiczny. — Rodzina i szkoła. — Szkoła. — Miesięcznik pedagogiczny. — Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej. — Zdrowie. — Czasopismo lekarskie. — Przegląd hygieniczny. — Krytyka lekarska. — Biblioteka lekarska. — Świat płciowy. — Książka. — Przewodnik bibliograficzny.

Wiadomości matematyczne były jedynem w Polsce, obok »Rozpraw wydziału matematyczno-przyrodniczego« Akademii Umiejętności, wydawnictwem, pomieszczającem prace z tego zakresu wiedzy. W zeszytach, wydanych w r. ub. (tom VIII, zesz. 4—6 i IX, zesz. 1—2), znajdujemy obok rozpraw specyalnych, także takie, które mogą obudzić zainteresowanie u szerszej publiczności, a mianowicie: S. Dicksteina »Trzeci kongres międzynarodowy matematyków, odbyty w Heidelbergu 8—13 sierpnia 1904 r.«, L. Grabowskiego »Zjazd Towarzystwa astronomicznego w Lurd 5—9 września 1904 r.«, R. Mereckiego i Wł. Gorczyńskiego »Stacya centralna meteorologiczna przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie w 1904 r.« i S. Dicksteina »O najnowszych badaniach nad podstawami matematyki«.

Szczere uznanie i wdzięczność należy się gronu osób, które dwa lata temu podjęły się wydawania illustrowanego tygodnika, poświęco-

nego uprzystępnieniu wiedzy przyrodniczej, z szerokiem uwzględnieniem geografii, p. n. *Przyroda*. Tem większą jest ich zasługa, jeśli się weźmie pod uwagę tę smutną okoliczność, że nawet poważne nasze pisma tygodniowe drukują w dziale przyrodniczym zazwyczaj tandetę, pozbawioną zupełnie wszelkiej naukowej wartości. To też pismo, które postawiło sobie za zadanie, niszczyć tę tandetę, prostować mylne drogi, podnosić poziom wykształcenia przyrodniczego jak najszerszych warstw czytelników, dając im prace, dostępne dla ich umysłu, częstokroć wielkiej wartości, — zasługuje na jak najgorętsze przyjęcie i zalecenie, ile, że my wszyscy tak mało posiadamy znawstwa przyrody. Sam format pisma i szata jego zewnętrzna oraz wewnętrzna zalecają samochcąc *Przyrodę* każdemu, kto czuły choć trochę na piękno. O treść nie trzeba się obawiać bynajmniej, bo i dobór jej i obfitość i rozmaitość i współpracownictwo osób znakomicie zasłużonych i zapisanych na polu pracy naukowej, daje najzupełniejszą gwarancyę jej pierwszorzędnej jakości. Co zwłaszcza na osobną zasługuje pochwałę, to nie same prace z zakresu przyrodoznawstwa i geografii. O wiele większą wagę kładziemy na bardzo mądrze pomyślany przez redakcyę sposób pouczania czytelników drogą kwestyonaryuszy i artykułów w formie odpowiedzi na zapytania o najróżnorodniejszych zagadnieniach z dziedziny przyrody. Ten sposób skuteczny jest nadzwyczaj nie tylko dla młodzieży, ale i dla starszych, nie obeznanych dokładnie z tą gałęzią wiedzy, kieruje bowiem myśl do obserwacyi i wyciągania wniosków. W każdym zeszycie ponadto napotykamy obszerne działy: kroniki naukowej, krytycznych rozbiorów książek i sprawozdań z odczytów, obok rozmaitości i bibliografii.

Miesięcznik Towarzystwa przyrodników im. Kopernika *Kosmos* ma charakter czysto naukowo-badawczy, bez najmniejszej pretensyi do popularyzacyi wiedzy. Ale i w nim napotyka się prace, interesujące obszerniejsze kręgi, żeby tylko wymienić: K. Mirczyńskiego »O powstawaniu nowych ras roślinnych«, M. Limanowskiego »Rzut oka na architekturę Karpat«, H. F. Wizego »O chorobach owadów«. Bibliografów zajmie z pewnością »Spis prac, odnoszących się do fizyografii ziem polskich za lata 1901 i 1902«, dokonywany mozolnie od szeregu lat przez d-ra E. Romera. Każdy zeszyt przynosił nadto szereg sprawozdań z literatury przyrodniczej i drobnych notatek naukowych. Zdałoby się jednak, by *Kosmos,* będąc pismem miesięcznem, wychodził co miesiąca, nie zaś, jak to stale praktykuje, zeszytami potrójnymi i poczwórnymi. Czego nie wolno czynić pismu, mającemu przywilej niejakoś w swojem na-

zwisku, t. j. *Chimerze,* to już całkiem nie przystoi *Kosmosowi,* który przecież bodaj dla swego imienia, powinien iść regularnym trybem.

* * *

Widocznie pismo popularne przyrodniczo-krajoznawcze było u nas bardzo potrzebne, jeśli tygodnik *Naokoło świata* w ciągu lat czterech rozwinął się nadzwyczaj pomyślnie. Za największą jego zaletę uważam to, że może on obudzić zainteresowanie zarówno u starszych, jak u młodzieży, u wykształconych i u stojących na niższym szczeblu oświaty, starannym doborem opisywanych rzeczy, jasnością wykładu i naukowem traktowaniem. Nie od rzeczy będzie dodać, że illustracye, których ostatni rocznik pomieścił zwyż 160, były wcale udatne. Pomiędzy krajoznawstwem a przyrodą istniała równomierność. Zwłaszcza bogaty był dział podróżniczy i opisowy, odznaczający się wielką różnorodnością krain, przez które wędrujemy z autorami. Do najobszerniejszych i najwięcej zajmujących należały opisy: W. Cywińskiego p. t. »Podróż naokoło świata« i E. Astrupa »U sąsiadów bieguna północnego«. Poza temi mieliśmy bardzo ciekawą pracę A. O. p. t. »Polak w Japonii w XVIII wieku«, Wł. Nałęcza »Z podróży do jezior Szkocyi« i E. Węsławskiej »Śród bandytów wielkiej pustyni«. Podróżowaliśmy dalej aż do Indyi, przez bagna i pustynie afrykańskie, śród lasów południowej Ameryki, przez góry Kanadyjskie, po wyspach Filipińskich, po Dalekim Wschodzie i t. d. Dział etnograficzny zajmował się Mongołami, Kongiem francuskiem, wyspami Faröer, wyspą Jawą, natomiast krajoznawczy zupełnie słusznie poświęcono rzeczom polskim. Z prawdziwą przyjemnością czytaliśmy na przykład »Z teki turysty« T. Dybczyńskiego oraz S. J. Czarnowskiego »Lud wiejski w dolinie rzeki Prądnika« W artykułach przyrodniczych pisano o plamach słonecznych i ich wpływie na naszą planetę, o naśladownictwie w przyrodzie, o warunkach życia organicznego, o objawach życia wobec nizkich temperatur, o chronologii ziemi, o promieniowaniu słońca, o pracy, wykonywanej w locie ptaków oraz opisywano rozmaite okazy przyrodnicze ze wszystkich gałęzi tej nauki. Dział powieściowy dostrajał się ściśle do programu pisma, t. j. pomieszczał opowiadania z wszystkich zakresów wiedzy, którymi zajmuje się omawiany tygodnik. Do najciekawszych należały: »Atlantyda« przez Ch. Lomon i P. D. Gheusi oraz szkice wagonowe z Syberyi G. Olechowskiego p. n. »Ołówkiem«. Ponadto znajdowaliśmy pomiędzy artykułami różnej treści wiele zajmujących kwestyi, żeby tylko wymienić takie, jak: »Balonem podczas burzy«, »Telegraf i wojna«,

»Alchemia w r. 1904«, »Poskramianie dzikich zwierząt«, »Hygiena i medycyna w Marokku«, »Tajemnice hieroglifów«, »Podanie o murze chińskim«, »Moc czarowania wężów«, »Potwory wodne Indyan amerykańskich«, »Elektryczność i uprawa roślin«, »Fotografowanie w barwach naturalnych«. Widzimy zatem, że różnorodność treści była w tym dziale aż nadto wielka. Każdy zeszyt przynosił ponadto cały szereg drobnych wiadomości np. o oczyszczaniu wody elektrycznością, o alkoholizmie u zwierząt, o kosztach odkrycia Ameryki, o jeziorze stężałej soli, o zabobonach na Węgrzech, o barometrze i przepowiedniach pogody i t. d. Również cały szereg drobiazgów i notatek, uzupełniających treść pisma, pomieszczono w echach z dziedziny przyrody, w streszczeniach odczytów publicznych oraz w rubryce recenzyjno-sprawozdawczej. Osobną rubrykę mieli miłośnicy sportu fotograficznego. Poco jednak figuruje w *Naokoło świata* »Kronika esperantyczna«, poświęcona nieziszczalnej utopii — nie wiemy. Czyż ona ma tak wiele wspólnego z nagłówkiem i treścią pisma? Za tym jednym wyjątkiem wszystko tutaj jest bez zarzutu. Zalet ma ten tygodnik wiele, a mianowicie: bogactwo i różnorodność omawianych przedmiotów, naukowe a przytem przystępne ich traktowanie. Pouczyć może on wielu, bardzo wielu, zwłaszcza, że u nas daje się niemal nagminnie odczuwać brak odpowiedniego wykształcenia przyrodniczego nawet u osób, skądinąd bardzo wykształconych. Ze względu na ton popularny, jest on najzupełniej przystępny dla samouków oraz dla młodzieży szkolnej, która z niego może bardzo wiele skorzystać, o wielu rzeczach potrzebnych dowiedzieć się. Każdemu zresztą może on rozjaśnić pogląd na zjawiska przyrody i rozszerzyć znacznie horyzont myślowy.

* * *

Trzeba się też pochwalić trochę i cudzą błysnąć sławą i zasługą! Kiedy mi przypadł przed dwoma laty zaszczyt oddania teki redakcyjnej *Ludu* z rąk tylekroć zasłużonego, a naonczas złożonego chorobą, prof. Kaliny, pp. prof. d-rowi K. Potkańskiemu i S. Udzieli, obu jak najgodniej zapisanym w naszym świecie naukowym, czułem, że z chwilą zmiany redakcyi, kiedy ona przeszła we władanie ludzi młodszych i tylekroć ruchliwszych, los organu lwowskiego Towarzystwa ludoznawczego jest zapewniony. Było wprawdzie we Lwowie o to wiele kwasu, który ostatecznie został wylany na moją głowę, lecz że ona jest dość wytrzymała i odporna na ludzkie gadanie, więc i to przeżyła. I oto widzę dziś, jak zbawiennem było przeniesienie *Ludu* do Krakowa. Z niekła-

maną radością powitać należy nowy zastęp nieznanych dotąd nauce współpracowników, których obaj wspomniani redaktorowie zachęcili do pracy. A że trzeba się streszczać, wystarczy, jeśli powiem, że 45 autorów pomieściło w omawianym roczniku 17 rozpraw, 9 materyałów historycznych, 30 rozmaitości, 9 odpowiedzi na kwestyonaryusz, 23 wiadomości w kronice oraz 12 recenzyi, t. j. razem akuratnie 100 artykułów. Ilościowo zatem rezultat nadspodziewanie dodatni. Stokroć dodatniejszy jest rzeczowy. Idąc śladem dawnego redaktora prof. Kaliny, kładła i nowa redakcya główny nacisk na prace syntetyczne. Rocznik ostatni zawiera ich tyle, ile żaden poprzedni, a to dzięki odbytemu w Zielone Świątki z. r. Zjazdowi ludoznawczemu. Są w dodatku pomiędzy niemi rzeczy zasadnicze, ogromnej wagi dla nauki, żeby tylko wspomnieć p. Sz. Matusiaka odezwę »O zbieraniu imion własnych«, S. Udzieli »O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych« lub J. Świętka »Liczby 3 i 9 w mitach, wyobrażeniach, mitycznych praktykach i zwyczajach ludowych«. Ostatni referat zwłaszcza powinien pobudzić badaczy do ustalenia czasu, w jakim panował niepodzielnie system trójkowy, wówczas bowiem etnologia zyska względną bodaj możność rozróżniania zabytków duchowych według epoki, podobnie, jak to czyni dziś antropologia i archeologia. Inna rzecz, że wnioski p. Świętka są zbyt śmiałe, ale nie miejsce tutaj na spory i dowodzenia przeciwne. Bynajmniej niemniej ważna jest praca pana G. Smólskiego p. t. »Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi«, z której wyłania się arcyciekawy i godny uwagi problem nowej kwestyi lechickiej. Równie uzasadniona jest kwestya, poruszona przez p. Fr. Rawitę-Gawrońskiego p. t. »Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędowej epoki«, w której mityczne nasze smoki (np. smok podwawelski) zostały wyjaśnione zaginionemi dziś zwierzętami (np. jaskiniowym niedźwiedziem). W świat poezyi przenosi nas praca prof. Bruchnalskiego p. n. »Pióro jako ozdoba junaków i t. zw. prośba o pióro«, z której widzimy, jaką drogą dostały się do poezyi wezwania śpiewaków o orle pióra, czy skowronkowe. Z referatu d-ra M. Janika dowiadujemy się, iż »Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej« jest, albo niebawem będzie, mimo wszelkich wysiłków, dla nas stracona. Rzecz to bardzo ważna także z punktu widzenia czysto narodowego. Prof. Dobrzycki informuje doskonale a gruntownie o »Humorze i dowcipie w Polsce w XVI wieku«, racząc czytelnika anegdotami, krotofilami i figlikami ówczesnych pisarzy, z których wybrał wszystko, co może czytelnika —

»byczo«, jakby powiedział Rej, ubawić i ucieszyć, a co dotąd powtarza się w naszych ludowych gadkach. — Prac, traktujących o rozmaitych szczegółach etnograficznych było całe mnóstwo, żeby wymienić tylko najważniejsze, a mianowicie: K. Łopacińskiego »Próbę wyjaśnienia początku jednej z gier dziecięcych zapomnianych« (w kota), wprost znakomitą rzecz o »Strojach ludowych w parafii Łącko« J. Ćwikowskiego, Taroniego »Kapliczki i krzyże przydrożne na Śpiżu« i St. Czai »Szopkę krakowską«, uzupełnienie bardzo staranne analogicznej pracy prof. St. Estreichera. Za wielką zasługę poczytać należy wprowadzenie stałej rubryki, zawierającej »Materyały historyczne«, zebrane z aktów i książek dawnych. Dział »rozmaitości« był nadspodziewanie bogaty ilościowo i jakościowo. Równie pożądane było zaprowadzenie, zarzuconych od lat kilku »poszukiwań«, z których najobfitszy plon dały wywiady o św. Stanisławie biskupie. Tak samo nowością jest »Kronika«, mieszcząca w sobie przeróżne drobne wiadomości z zakresu ludoznawstwa. Natomiast należałoby w przyszłości zwrócić baczniejszą uwagę na dział recenzyjny, który był za szczupły, świeżo zaś wprowadzony przegląd czasopism rozszerzyć. Ale do tego wszystkiego trzeba dodać najważniejszy postulat, a jest nim rozszerzenie łamów tego dziś znakomitego kwartalnika.

Pocieszający objaw daje się stale zauważyć w dziale badań historycznych. Nie można bowiem zapominać, że pełno prac z zakresu historyi napotyka się we wszystkich naszych tygodnikach i miesięcznikach naukowo-literackich, że taki np. *Przewodnik naukowy i literacki* raczej powinien się właściwiej nazywać »Poradnikiem historycznym«, stale bowiem zawalony jest rozprawami historycznemi (por. ostatni rocznik), a mimo to w minionym roku powstał nowy dwumiesięcznik, oraz zostały wskrzeszone dwa dawniej upadłe wydawnictwa, historyi wyłącznie poświęcone. O wydawnictwach Akademii Umiejętności już nawet nie wspominam.

Jeśli tedy *Kwartalnik historyczny,* pomimo obfitości prac, nadających się do druku, nie powiększa od lat już sześciu swojej objętości, tego przyczyna leży po stronie niedomagających stale finansów, w które nie jest zamożne lwowskie Towarzystwo historyczne. Ostatni rocznik tego pisma, które dostało się pod redakcyę ruchliwego d-ra Fr. Papéego, odznacza się wielką rozmaitością prac, odnoszących się do najróżnorodniejszych okresów naszych dziejów, a nawet do nauk pomocniczych historyi. Do najcelniejszych zaliczylibyśmy rozprawy: Wł. Łozińskiego p. t. »Pomnik grobowy Mikołaja Herburta w katedrze

lwowskiej«, d-ra A. Prochaski »Książę Jan Kropidło, biskup włocławski«, d-ra B. Łozińskiego »Z czasów józefińskich«, H. Mościckiego »Przyczynek do pobytu Filomatów w Odessie«, M. Langiewicza »Relacyę o kampanii własnej z 1863 roku«. Dział recenzyjny był bardzo wyczerpująco traktowany i wszechstronny. Ponadto mieliśmy w każdym zeszycie »Kronikę historyczną«, w której dr. E. Barwiński informował o posiedzeniach naukowych instytucyi polskich i obcych, o bibliotekach i muzeach, odkryciach i wykopaliskach. Rubryka to bardzo pożyteczna dla czytelników, choć niewdzięczna dla układającego ją. Podobnież skrzętnie zestawiał tenże sam autor »Bibliografię historyi polskiej i powszechnej«, zaznajamiając czytelników z tytułami polskich i zagranicznyeh najnowszych publikacyi historycznych.

W lipcu ub. r. ukazał się w Warszawie pierwszy zeszyt *Przeglądu historycznego,* dwumiesięcznika, zostającego pod redakcyą J. K. Kochanowskiego, ze współudziałem komitetu, składającego się z ludzi znanych dobrze na polu pracy naukowej: I. Chrzanowskiego, S. Dicksteina, A. Jabłonowskiego, St. Kętrzyńskiego, A. Kraushara, Fr. Pułaskiego, Wł. Smoleńskiego i W. Sobieskiego. Komitet zdawał sobie dokładnie sprawę z ważnego, a zarazem trudnego zadania, jakie przyjął na swoje barki, to też wytknął sobie w programie przedewszystkiem badania porównawcze, których drogą jedynie można dojść do porównawczych zestawień powszechnodziejowych. Postanowiono uwzględniać całe życie narodu, całe dzieje jego zbiorowej duszy we wszystkich jej przejawach, we wszystkich przebłyskach kultury, we wszystkich szczeblach rozwoju, zacząwszy od gospodarczego podłoża, a sięgając aż do wykwitów artystycznej i literackiej twórczości. Dążąc jedynie wyłącznie do prawdy, postanowiono unikać wszelkiej stronniczości i uprzedzeń, a zarazem (co za wielką pochwałę i za niezaprzeczoną zasługę komitetu poczytać trzeba), wdrażać młode siły do metodycznych badań na polu historyi. Dotąd wydane zeszyty *Przeglądu historycznego* przekonać mogą każdego, że program redakcyi nie był gołosłownem wynurzeniem. Owszem, potwierdzenie jego znajdzie się w każdej z wydrukowanych rozpraw. Z prac tedy ogólnych wymienimy: prof. A. Brücknera »Próbki najnowszej krytyki historycznej«, prof. d-ra L. Gumplowicza »Historya a socyologia«, oraz syntetyczną *Liberum veto* W. Konopczyńskiego. Z pomiędzy prac, zajmujących się poszczególnemi kwestyami na uwagę zasługują: d-ra St. Kętrzyńskiego »Kilka uwag o opacie Astryku-Atanazym (Polska a Dijon)«, d-ra A. Prohaski »Dwie koronacye«, Wł. Smoleńskiego »Udział szlachty mazowieckiej w elekcyach królów«, d-ra

A. Karbowiaka »System dydaktyczno-pedagogiczny Komisyi edukacyjnej narodowej«, A. Kraushara »Księgarze warszawscy i spory ich z introligatorami« oraz d-ra Br. Łozińskiego »Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu«. Jak tedy widzimy — została najzupełniej zachowana proporcya pomiędzy pracami specyalnemi a poruszającemi ogólne zagadnienia, a także pomiędzy epokami, o których traktują. Dział recenzyjny przedstawiał się mniej pomyślnie, oceniano w nim bowiem rzeczy, nie mające najmniejszego związku z historyą polską. Ale to, co zrobiono na początku, daje nadzieję pomyślnego rozwoju, którego też życzymy z całego serca młodemu wydawnictwu.

Jak mało społeczeństwo szlacheckie interesuje się heraldyką i jak mało w niej osób u nas poświęca się, tego najlepszym dowodem, że wydawnictwo *Herolda polskiego,* zawieszone z braku poparcia przed pięciu czy sześciu laty, dźwignęło się dopiero w r. ub., dzięki materyalnemu poparciu jednostki, oraz zapobiegliwości prof. d-ra Fr. Piekosińskiego, na którego chwałę, a na wstyd naszych uczonych, zawiera ostatni rocznik wyłącznie prace samego tylko redaktora. Pomieścił w nim prof. Piekosiński pierwszą połowę części I-szej teoretycznej »Herbarza szlachty polskiej wieków średnich«, dalej »Herbarz szlachty litewskiej« ks. Kojałowicza, »Materyały do historyi rodu Werszowców polskich, a zwłaszcza Rawiczów«, monografię o »Rodzie szlacheckim Florkowskich« oraz rozprawę o »Insygniach królewskich«. Nie wątpimy, że dobry przykład tylekroć zasłużonego profesora podziała na innych uczonych i skłoni ich do współdziałania w tem jedynem polskiem heraldycznem wydawnictwie.

Prawdziwie uradował nas nagły rozwój drzemiących od dłuższego czasu krakowskich *Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych.* Bogactwo materyału, jego różnorodność i wspaniała szata zewnętrzna, powinny usposobić dobrze dla tego wydawnictwa, zwłaszcza, że dla numizmatyki niema u nas gdzieindziej pomieszczenia, archeologia zaś tylko w krakowskich »Materyałach antropologiczno-archeologicznych« zajmuje szczuplutki kącik. Z prac więcej interesujących przytoczę: dra F. Kopery »Materyały do inwentaryzacyi zabytków sztuki i kultury w Polsce« (rzecz dłuższa ciągnąca się jeszcze z dawniejszych roczników), M. Gumowskiego »Sztuka ludowa a numizmatyka« i K. Bołumowskiego »Minusińsk, jako centrum kultury i bronzu«, Część illustracyjna bardzo starannie wykonana i bogata.

* * *

Poradnik językowy, za którego wszyscy miłośnicy czystości naszego języka powinni być szczerze zobowiązani prof. R. Zawilińskiemu, odznaczał się równem, jak za lat dawniejszych, bogactwem i rozmaitością poruszanych pytań, która była największa zwłaszcza w dziale drobnych roztrząsań, którego wyrazu używanie jest więcej zgodne z duchem języka polskiego, który wyraz jest błędny i nieodpowiedni i t. p. W artykułach wstępnych, pisanych w sposób dostępny dla szerokich mas czytelników, omawiano kwestye ogólnego znaczenia, z których za najważniejsze uważamy: J. Jaworka »O zmianie znaczenia rzeczowników«, R. Zawilińskiego »Teorya a praktyka językowa w naszych pismach codziennych«, K. Nitscha »O ogólnych zasadach ortograficznych« i M. Kryńskiego »Tok a Gumno, przyczynek do semazyologii polskiej«. Szkoda tylko, że wydobywanie na jaw błędów językowych z bieżących wydawnictw książkowych zmalało wielce. Wiem dobrze, że obecne zasługi *Poradnika językowego* nie są dostatecznie oceniane, jestem jednak głęboko przekonany, że w niedalekiej przyszłości nawet sami »niewierni Tomasze« w skuteczność jego uwag nabiorą odmiennego zdania, skoro ujrzą, jak coraz rzadsze będzie posługiwanie się wkorzenionymi w ogół błędami językowymi.

Organ lwowskiego Towarzystwa filologicznego *Eos*, wychodzący dwukrotnie w roku, pomieszczał przeważnie rozprawy z zakresu filologii klasycznej oraz recenzye i sprawozdania z tej gałęzi wiedzy. Z prac mogących zająć miłośników polskiej literatury, wymienię d-ra Tadeusza Sinki: »Drobiazgi humanistyczne« i »De Callimachi epigr. XXIII v.«

* * *

Przepysznie i z nadzwyczajną starannością redagowana paryska *Sztuka*, zostająca pod kierunkiem Ant. Potockiego, wychodziła w r. ub. bardzo nieregularnie, skutkiem przenoszenia i instalacyi pisma w kraju, oraz związanych z tem trudności technicznej i formalnej natury. O tę zresztą nieregularność nie powinien nikt się gniewać, dotychczasowa bowiem redakcya daje najzupełniejszą gwarancyę, że po przeniesieniu pisma na grunt swojski, wynagrodzi stokrotnie czytelnikom konieczną zwłokę. W zeszłorocznych zeszytach obydwa działy, t. j. tyczący się sztuk plastycznych, jak niemniej literacki, musiały zadowolić każdego, illustracye zaś nawet najwybredniejszych. Z pomiędzy artykułów, zawartych w numerach, które mieliśmy pod ręką, na uwagę zasługują: K. Mauclaire'a »Akwaforty Pankiewicza«, J. Topassa »Zagadnienia

brzydoty« i »W sprawie zabytków sztuki polskiej«. W dziale literackim wyróżniły się poezye oryginalne L. Staffa i tłómaczenia z francuskiego, dokonane przez Wincentego Brzozowskiego. Wygląd zewnętrzny pisma okazały.

Podobnież starannie pod względem wewnętrznym i zewnętrznym był wydawany krakowski *Architekt*, którego główną zaletę stanowiły nie tyle artykuły i notatki w nim pomieszczone, ile doskonale wyprowadzane reprodukcye monumentalnych budowli, wykonanych w kraju przez polskich architektów, oraz rysunki planów. Tak pomiędzy nimi, jak też pomiędzy artykułami, dominują z natury rzeczy świątynie Pańskie, żeby tylko wymienić: prof. T. Talowskiego »Projekt kaplicy dla pana Józefa de Zwiernickiego w Zwierniku«, d-ra J. Sas Zubrzyckiego »Dwie właściwości kościołów gotyckich w Polsce« i J. Dziekońskiego »Kościół św. Stanisława na Woli pod Warszawą«. Z innych prac zasługują na uwagę: bezimiennego »Rozwój nowoczesnego teatru«, d-ra K. Bąkowskiego »O konserwacyi zabytków przeszłości« i S. Parankiewicza i Br. Czosnowskiego »O domach dochodowych w Warszawie«. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że cały kwietniowy zeszyt *Architekta* został poświęcony domowi Tow. lekarskiego w Krakowie.

Bardzo pożytecznym dla wydoskonalenia i wykształcenia sztuki drukarskiej był *Poradnik graficzny*, który oprócz technicznych wskazówek, dawał też obszerne artykuły, tyczące się ważniejszych objawów na polu grafiki w Polsce, omawiając wszechstronnie czy to »Pierwszą polską wystawę drukarską«, czy »Afisz artystyczny polski a obcy«, »Papier ze stanowiska drukarskiego«, bądź »Kalendarze drukarń krakowskich« lub wreszcie zastanawiając się nad potrzebą »Muzeum retrospektywnego polskiej sztuki drukarskiej«. Zwłaszcza przyklasnąć należy wielu myślom, zawartym w artykule p. t. »Nasze drogi — nasze cele«.

* * *

Z czasopism prawniczo-ekonomicznych dwa tylko zasługują na szersze zainteresowanie. Pierwsze z nich — warszawski *Ekonomista* — trwał dalej w raz obranym przez siebie kierunku, starając się przedewszystkiem w t. zw. skromnie »Kronikach«; ekonomicznej, rolniczej i społecznej odzwierciedlać ruch bieżący na tych polach, przedewszystkiem naturalnie polski. Czegóż tam nie poruszono? I strajki rolne i kredyt dla drobnych gospodarzy, zamianę syndykatów na towarzystwa rolnicze i t. d., i t. d. W doborze rozpraw samodzielnych dbano wielce

o poruszanie kwestyi będących na czasie i o jak największą ich różnorodność. Z pomiędzy nich wymieniamy cały szereg, jak: W. Korotyńskiego »Rady powiatowe«, C. Łagiewskiego »Korporacya rolnicza w Królestwie Polskiem«, d-ra Z. Daszyńskiej-Golińskiej »Teoretyczne podstawy polityki społecznej«, M. Handelsmana »W sprawie bibliografii społeczno-ekonomicznej«, St. A. Kempnera »Bezrobocie«, J. Arnolda »Podzielność i niepodzielność własności ziemskiej«, J. Kościuszki-Walużynicza »Historya komunikacyi w państwie rosyjskiem« i B. Wasiatyńskiego »Listy z Niemiec«, aby okazać prawdziwość naszego twierdzenia. Każdy zeszyt kwartalny uzupełniały traktowane poważnie rozbiory i sprawozdania dzieł, przeglądy czasopism, bibliograficzne zapiski, wiadomości drobne z ekonomii i t. p. Za te działy należy się redakcyi prawdziwa wdzięczność od czytelników.

Przegląd prawa i administracyi, lwowski miesięcznik wychodzący już tyle lat pod redakcyą prof. d-ra E. Tilla, pomieścił też w ostatnim roczniku sporo rozpraw, godnych bliższego rozpatrzenia. Mając od *Ekonomisty* szerszy program, drukował prace historyczne, jak prof. d-ra K. Potkańskiego »O pochodzeniu wsi polskiej«, lub d-ra K. Jaworskiego »Stosunki ekonomiczne Galicyi pod panowaniem Austryi«. Z rozpraw fachowych na uwagę zasługują: A. Krzyżanowskiego »Związki narodowe rolników«, d-ra K. Bąkowskiego »W sprawie etycznego wykonywania zawodów prawniczych«, d-ra Z. Gargasa »O polityce statystycznej«, prof. d-ra P. Stebelskiego »Ułaskawianie młodocianych przestępców w Austryi« i d-ra K. Krokowskiego »Kara celowa«. Wszystkie one dają się czytać bardzo łatwo i są zupełnie przystępne nawet dla laików w naukach prawnych. W każdym nadto zeszycie mieściły się oceny i sprawozdania, oraz omawiano praktykę sądowo-cywilną, sądowo-administracyjną i karną. Rubryki te wszystkie były bardzo starannie redagowane i obfite, ostatnie zwłaszcza dawały wyborny przegląd ważniejszych i ciekawych wypadków w kazuistyce sądowej. W dodatku osobno numerowanym i oddzielną zaopatrzonym paginacyą, dawano spis firm protokołowanych sądownie.

Kwartalne *Czasopismo prawnicze i ekonomiczne*, redagowane przewybornie przez prof. d-ra F. X. Fiericha, jakkolwiek nie wychodziło regularnie, to przecież zawsze nagradzało swoje opóźnienie widocznym doborem rozpraw ze wszystkich dziedzin umiejętności prawniczej. Obok zbyt specyalnych prac, pomieściło też parę zdolnych obudzić zainteresowanie u nie-prawników, żeby tylko wymienić głośną w całym świecie kwestyę »Kodeksu Hammurabiego«, rozpatrywaną w łamach

Czasopisma gruntownie i z nowego stanowiska przez prof. d-ra Stanisława Estreichera, lub »Politykę kryminalną« d-ra J. Makarewicza. Za wiele tylko może i w nierównomiernym stosunku do ogółu poruszonych w omawianym roczniku spraw zajmowano się kwestyami z zakresu prawa naftowego, którym poświęcono niemal połowę zeszytów 2—3. Takiego dawania przewagi dominującej pewnym zagadnieniom, niezbyt doniosłym zresztą, nad innemi, powinnoby się na przyszłość bacznie wystrzegać, bo — jak mówi przysłowie, — co za wiele to niezdrowo. A natomiast na większą dbałość zasługiwałby dział recenzyjny którego we właściwem tego słowa znaczeniu nie mamy w *Czasopiśmie*. Czyżby polska literatura prawnicza była tak uboga, iżby z niej nie było nic godnego szczegółowego rozpatrzenia w organie fachowym? Wiadomo mi wprawdzie z doświadczenia, jak niejednokrotnie trudno jest redakcyom uzyskać dobre oceny dzieł, przy dobrej jednakże woli każda trudność da się pokonać. Na tem większą troskliwość i uwagę w dziale krytycznym należy położyć nacisk, ile, że nie mamy zbytku czasopism prawniczych, o polskich zaś pracach zagranica przeważnie milczy.

* * *

Olbrzymi, bo zwyż 1200 stron liczący, XXI rocznik miesięcznika, wydawanego przez lwowskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, p. n. *Muzeum*, najpoważniejszego z pomiędzy ogółu czasopism naszych pedagogicznych, wykazuje dowodnie z jednej strony ogromny swój rozwój, jaki doszedł do zenitu od czasu, kiedy redakcyę pisma objął dr. Bol. Mańkowski, jest nadto pocieszającym nad wyraz objawem wydatnej pracy nauczycielstwa szkół średnich galicyjskich, które poza ciężkiemi obowiązkami swego zawodu, poza drukowanemi rozprawami w sprawozdaniach gimnazyalnych i wzmagającym się z roku na rok współpracownictwem w fachowych czasopismach, potrafiło zamieścić w omawianym roczniku ogółem: 34 rozpraw samodzielnych, 62 recenzyi i sprawozdań, oraz w rubryce »przeglądu literatury pedagogicznej« 103 dłuższych i krótszych referatów. Bo na 60 współpracowników zaledwie pięciu nie należało do stanu nauczycielskiego. Jak zaś wśród naszych nauczycieli było wielkie zainteresowanie się sprawami bieżącemi z dziedziny wychowania, dość przeglądnąć nie tylko pomieszczone sprawozdania z posiedzeń poszczególnych oddziałów Tow., ale też przeczytać żywą dyskusyę, jaką prowadzono na walnem zgomadzeniu, a prawdziwość słów naszych stanie się od razu widoczną. Jako cza-

sopismo, mające na oku przedewszystkiem sprawy z zakresu pedagogiki, pomieszczało *Muzeum* niechętnie rozprawy z innych dziedzin nauki, do tego stopnia, że liczba ich w omawianym roczniku jest znikająco mała, ledwo dostrzegalna. Nie myślę bynajmniej kuć z tego zarzutu redakcyi, owszem należy takie postawienie zasadnicze sprawy poczytać jej za zasługę. Bo prace samodzielne z innych gałęzi wiedzy, znajdą pomieszczenie w fachowych organach, a nie mamy przecież zbytku pism pedagogicznych, ażeby pozostawienie ich szpalt na użytek prac z innych działów, nie wyrządzało szkody. Na największą pochwałę zasługuje natomiast szersze uwzględnienie, niż dotychczas, prac z zakresu historyi szkolnictwa w Polsce, tak słabo przez nas uprawianej. Oprócz rozprawy d-ra A. Danysza o Maryckim, jako pedagogu, mamy aż sześć prac niestrudzonego d-ra A. Karbowiaka, mówiących o Komisyi edukacyi narodowej, o dziełku pedagogicznem ks. I. Pawluskiewicza z 1771 r., o wpływie przywilejów szlacheckich na rozwój oświaty w Polsce i t. d. Wszystkie one bardzo zajmujące, bo rzucają wiele światła na nieznane nam prawie sprawy. O obcem szkolnictwie informują nas artykuły: A. Chudzińskiego »Gimnazya reformowane frankfurckiego systemu w Prusiech«, M. Janika: »Szkoły średnie w Stanach Zjednoczonych A. P.« Sprawą unarodowienia szkoły zajmuje się przedewszystkiem dr. K. Twardowski w walnym artykule i J. Kannenberg, wychowaniem estetycznem dr. W. Barewicz, strejkiem szkolnym w Królestwie z punktu widzenia wychowawczego I. Moszczeńska, wychowaniem moralnem młodzieży dr. A Piasecki, nauką religii w szkołach ks. St. Szydelski. Sprawy bieżące poruszone zostały we wstępnych artykułach redakcyjnych, z których najważniejsze, zajmujące się wzrostem naszych szkół średnich, umieszczeniem naszych szkół, młodzieżą szkolną a polityką. Poza tem mamy tu długi szereg prac, omawiających czy to podręczniki szkolne, czy potrzeby kandydatów na nauczycieli szkół średnich i t. d. i t. d. Słowem — plon zawarty w ostatnim roczniku, jest brdzo bogaty i różnorodny. Nie można wreszcie pominąć milczeniem bibliografii literatury pedagogicznej europejskiej, ułożonej z fachowem znawstwem dzięki zapobiegliwej a żmudnej pracy d-ra E. Barwińskiego. Dość powiedzieć, że zawiera ona parę tysięcy pozycyi, ułożonych według działów, co ułatwia wielce zoryentowanie się. Stałemi rubrykami każdego zeszytu były: notatki bieżące, kronika pedagogiczna, rozmaitości i t. p. drobne wiadomości. Aż serce rośnie na widok tak wytrwałej pracy, która, oby rychło wydała praktyczny pożytek! Jedno tylko;

niepotrzebnie i niesłusznie tym i owym szczegółem drażniło się przekonania katolickie. I ważność sprawy i powaga pisma nie powinny na przyszłość do tego dopuścić.

(Dok. nast.)

Dr. St. Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Materialien zu einem bibliographischen Verzeichniss kleinerer und grösserer von Gustav Baron Manteuffel in Druck erschienener Arbeiten. Von *H. Diederichs*. Riga 1896.

Pierwszy z świeckich współpracowników naszego *Przeglądu*, baron Gustaw Manteuffel, pomimo niemieckiego pochodzenia i nazwiska, Polak szczery i zasłużony, doczekał się z powodu nadchodzącego półwiekowego jubileuszu swego pisarskiego, skromnej dla siebie ale użytecznej dla bibliografii i nauki wogóle, nagrody pod powyższym tytułem. Góruje ponad wszystkie i tytuł ten mu się należy, »historyka Inflant« polskich i szwedzkich, Kurlandyi i krajów nadbałtyckich. Łotewskich plemion dzieje on pierwszy wydobył z zapomnienia i uratował pomniki ich niebogatej zresztą literatury.

Nic wymowniejszego nad cyfry. Otóż o Inflantach wogóle, o ich dziejach, religii, kulturze, o ich miastach, zamkach, rodzinach i mężach znaczniejszych napisał 40 rozpraw, z tych część w formie »Listów z nad Bałtyku« (jest ich 17), ogłosił w naszym *Przeglądzie* 1885—1888, które też ukazały się w osobnej książce pod tymże tytułem w Krakowie r. 1889. Rozpraw (referatów) i recenzyi o sprawach inflanckich napisał 24.

Polskie Inflanty objaśnił nasz jubilat 39 oryginalnemi rozprawami, 4 referatami i recenzyami. Niektóre z tych rozpraw to dzieła osobne, jak np. »Inflanty polskie« w wielkiej 4-ce, stron IX i 168, z licznemi illustracyami i 3 mapami (Poznań 1879); lub w *Przeglądzie* naszym (t. LII, r. 1897) umieszczony artykuł: »Księstwo inflanckie XVII i XVIII wieku«, które wyszło w odbiciu w Krakowie 1897 r.; »Cywilizacya, literatura i sztuka nad Bałtykiem«, Kraków 1896 i 97.

Kurlandya wzbogacona 32 rozprawami jubilata, 13 referatami i recenzyami, z tych w *Przeglądzie* naszym ogłoszone: Monografia zamku Neuenburg w Kurlandyi (r. 1884) i Jakuba księcia kurlandzkiego (r. 1895); »Przewroty w dziejach Księstwa Kurlandzkiego XVIII w.« (r. 1896); »Przyczynek do dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandyi« (r. 1901).

Łotysze, w szczególności szczep litewski, zamieszkujący Kurlandyę i Inflanty, t. j. cząstkę gubernii witebskiej i gubernię inflancką (ryską), zawdzięczają jubilatowi oprócz dziejów, uratowanie literatury swojej w 14 artykułach.

Liczne te prace o Inflantach, Kurlandyi i nadbałtyckich prowincyach, na źródłach historycznych i sumiennych badaniach oparte, ogłaszał jubilat nie tylko w naszym *Przeglądzie* ale we wszystkich prawie naukowych

publikacyach, czasopismach i niektórych dziennikach inflanckich od 1857—1905 roku, jak: *Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft, Die livländische Geschichtsliteratur, Illustrierter lettischer Volks-Kalender, Rigasche Zeitung* i t. d., i w polskich, jak: *Kłosy, Przegląd katolicki, Słowo* (warszawskie), *Biblioteka Warszawska, Wiek, Ateneum, Tygodnik illustrowany, Kronika rodzinna, Kwartalnik historyczny, Przewodnik naukowy i literacki, Echo literackie, Biesiada literacka, Kraj,* a przedewszystkiem »Słownik geograficzny« i »Wielka encyklopedya illustrowana«, w których jako stały współpracownik umieścił setki monografii osób, miast, zamków i t. d., iżby się z nich spora złożyła książka.

Zaznaczyć należy i to, i podziękować jubilatowi, że powyższe prace jego, jako źródłowe i ściśle naukowe, są bogatą skarbnicą dla wszystkich, którzy o Inflantach, Kurlandyi i nadbałtyckich ziemiach piszą. Czerpałem z niej i ja, opowiadając dzieje kolegiów i prac Jezuitów polskich w tych krajach.

Nie tylko historykiem ale i znakomitym muzykiem-pianistą i erudytem niepoślednim jest nasz jubilat. O muzyce i muzykach ogłosił 14 artykułów w *Dörptische Zeitung* i *Rigasche Zeitung* i t. d. W najrozmaitszych zaś przedmiotach, jak: prawo morskie o blokadzie, o pierwszym zjeździe historyków (Długosza) w Krakowie 1880 r., o wystawach historycznych w Krakowie, Wiedniu, Mitawie, o legendach Serbów, o uroczystościach Sobieskiego w Krakowie 1883 r., o znachorach i łatwowiercach i t. d., razem 20 artykułów, umieścił w czasopismach i dziennikach wyż wymienionych.

Na szczególniejszą jednak uwagę zasługuje *Terra Mariana* t. j. Ziemia nadbałtycka 1186—1888, wspaniałe album, olbrzymiego formatu (61 cm wysokości, 45 cm szerokości) kart 70, z których 36 z tekstem łacińskim, misternemi akwarelami suto po brzegach ozdobione, 34 zaś wyłącznie najprzedniejszemi illustracyami, każda z krótkiem objaśnieniem, wypełnione. Tekst łaciński opowiada zwięźle dzieje polityczne i religijne tej »Ziemi maryańskiej« z uwzględnieniem szczególnem doli katolickiego Kościoła, album to bowiem inwencyą jubilata pomyślane, staraniem i pracą jego w ciągu 22 miesięcy, kosztem 11.521 rubli, wykonane, złożone zostało Leonowi XIII od katolików nadbałtyckich krajów, jako wyraz czci, uwielbienia i hołdu na jubileusz pięćdziesięciolecia kapłaństwa. Przed wręczeniem albumu papieżowi, odfotografowano je w licznych egzemplarzach.

Ogólna cyfra dzieł, rozpraw i artykułów jubilata doszła do 313, w rękopisie zaś oczekuje nadkładcy dzieło w 4-ce, str. 735 p. t. »Zarysy z dziejów dawnych inflanckich«, objaśnione 5 mapami, tablicami synchronistycznemi i wielu illustracyami, w którem to, co w różnych czasopismach i broszurach rozrzucone, zebrano w jedno i systematycznie ułożono.

Niechże mu Bóg pozwoli i nam także oglądać jak najprędzej to dzieło w druku, niech podtrzymuje jego siły umysłu i gorącość serca jeszcze w drugie pół wieku, na pociechę jego starych towarzyszy a ku nauce młodszych pokoleń.

Ks. St. Załęski.

Słowo o pułku Igora. Przełożył *Bohdan Łepki.* (Odbitka ze Sprawozdania gimnazyum św. Jacka). Kraków. Nakładem autora. (?!) W 8-ce, str. 54.

Po trzech przekładach: Godebskiego (1821 r.), Bielowskiego (1833 r.)

i ks. A. Krasińskiego (1856 r.), z których żaden nie zbliżył się bardzo ani wiernością, ani polotem poetyckim i dokładnem odczuciem i zrozumieniem ducha utworu, otrzymaliśmy znowu próbę tłumaczenia tego staroruskiego zabytku z pod pióra znanego ruskiego poety p. B. Łepkiego. Jakkolwiek ostatni ten przekład nie dorównuje miejscami tłumaczeniu Bielowskiego, choć go też miejscami przewyższa, przecież jest bodaj czy nie najwierniejszym ze wszystkich dotychczasowych. Zaleca go przytem doskonałe przystosowanie się do nuty przewodniej, jaka dźwięczy w »Słowie«, a najbardziej, — dokładne i wyczerpujące objaśnienia, w których pan Łepki wyzyskał sumiennie najnowsze rezultaty badań, przeprowadzone przeważnie przez rosyjskich uczonych nad tym pomnikiem. Niewątpliwie z nich okazuje się, że literatura przedmiotu jest p. Łepkiemu dobrze znana i że umiał on ją krytycznie ocenić, jakkolwiek nie we wszystkiem możnaby się godzić na jego zdanie, żeby tylko wspomnieć kwestyę autentyczności »Słowa«, którą tłumacz uważa za przesądzoną, a która nie jest bynajmniej taką. Ale nie pora ani też miejsce nad tem się rozwodzić. Nie wątpimy, że »Słowo o pułku Igora« znajdzie jeszcze niejednego u nas tłumacza, boć też niełatwo je gładko przełożyć.

B. U.

Szkice językoznawcze. *J. Boudouin de Courtenay.* Tom I. Z zapomogi Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. J. Mianowskiego. Warszawa 1904.

Jest to zbiór prac, drukowanych po różnych czasopismach, w różnych latach. Jedna z nich nawet nie była dotąd nigdy tłumaczona na język oplski, a ogłoszona w *Beiträge zur vergleichenden Sprachvorschung* Kuhna jeszcze w r. 1868. Cieszyć się należy, że jakkolwiek od wydania niektórych szkiców upłynęło sporo lat, mimo to, mało, bardzo mało wymagały one przeróbek w niniejszem wydaniu zbiorowem. Świadczy to niewątpliwej ścisłości badawczej szan. profesora, jeśli tezy jego dotąd mają walor.

Pierwszy z tych szkiców pod tytułem »Językoznawstwo czyli lingwistyka w wieku XIX« jest czysto informacyjnym i został napisany z okazyi kończącego się stulecia. Również poniekąd informacyjne znaczenie mają dwie następne rozprawy, które stanowiły przedmiot odczytów, wygłoszonych w Dorpacie, a mianowicie: »O zadaniach językoznawstwa« i »O ogólnych przyczynach zmian językowych«. Życiu i pracom naukowym zasłużonego profesora kazańskiego uniwersytetu, Mikołaja Kruszewskiego, poświęcony jest szkic następny. Z kolei idzie tłumaczona z niemieckiego praca p. t. »Kilka wypadków działania analogii w deklinacyi polskiej«. Pominąwszy parę mniejszego znaczenia szkiców, dodamy, że najobszerniejszą pracą w tym tomie jest 150-ciu stronicowy »Rozbiór gramatyki polskiej« księdza Malinowskiego, choć nie wiem, czy był tu na miejscu.

M. P.

Jak odpowiadać na pytania dziecięce? *Rudolf Penzig*, dr. fil., doc. Akad. berl. Tłumaczyły z niem. Zofia Rotszajnowa i Marya Lipska. Warszawa 1905.

Książka wymieniona roztrząsa najbardziej zasadnicze zagadnienia pedagogiki, nad których rozwiązaniem bardzo wielu dotąd pracowało. Nie jest ona *omegą* tych usiłowań, lecz jedynie dalszem ogniwem w ich dłu-

gim łańcuchu. Wyjaśniwszy stopniowy rozwój umysłu dziecka, które wreszcie zaczyna się zastanawiać, dlaczego ta a ta sprawa tak właśnie się ma a nie inaczej, poucza dr. Penzig, że odpowiedzi na dziecięce zapytania powinny być poważne, nigdy zbywające, tak, ażeby w dziecku obudzić chęć do samodzielnego myślenia i zastanawiania się nad otaczającym je światem. Dalsze rozdziały wykazują na szczegółowych przykładach, trzymanych w formie dyalogu, jak na poszczególne kwestye należy dawać odpowiedzi. Tematy tych dyalogów są następujące: legenda o bocianie, stosunek dziecka do rodziców i kwestya posłuszeństwa; stosunek dziecka do rodzeństwa, znajomych i służby, kwestya własności osobistej, dziecko w szkole i stosunek do nauczyciela, walka z kłamstwem, stosunek dziecka do przyrody i do społeczeństwa, kwestya smierci i wychowania religijnego. Książka ta mogłaby w wychowaniu oddać wielkie usługi, gdyby wychowawcy nie trzymali się jej niewolniczo i wyniesione z niej doświadczenie zastosowywali w każdym poszczególnym wypadku do indywidualności i usposobienia dziecka.

L. O.

Huculszczyzna. Napisał *Włodzimierz Szuchiewicz.* Tom trzeci, z 26 illustracyami i 3 tablicami chromolitograficznemi. Staraniem i nakładem Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. 1904. (W 8-ce; kt. nlb. 2; str. 298).

Dzieła, zakrojonego na obszernych pięć tomów, wyszedł niedawno tom trzeci, nie ustępujący pod względem wartości obu poprzednim.

Pomieścił w nim autor jedynie opis zwyczajów i obyczajów, praktyk, przesądów i wierzeń huculskich, przywiązanych do świąt kalendarzowych całego roku. Już sam ten fakt daje do pewnego stopnia pojęcie o bogactwie nagromadzonego tu materyału.

Huculi nie znają chronologicznego liczenia czasu, to też nie oznaczają lat bieżącemi liczbami, ale nazywają je bądźto wedle zdarzeń w Huculszczyźnie, bądź wedle miejscowych lub osobistych wspomnień. I tak mówią: »w roku, kiedy stawiano cerkiew«, »rok przedtem«, lub »rok potem«, »w tym roku, kiedy mnie wzięto do wojska«, »kiedy ożeniłem się« i t. p. Pory roku nazywają wedle uroczystych świąt, które wprawdzie schodzą się z astronomicznym podziałem roku, ale właściwie odnoszą się do zajęć Hucułów, jakie na tę porę przypadają. Tak samo poszczególnym miesiącom nadają oprócz ich właściwych nazw — nazwy wzięte z obrzędów cerkiewnych.

Pojęcia astronomiczne są u Hucułów jak najpierwotniejsze. Według nich wszystkie planety stoją od początku świata nieruchomo. Zmianę dnia i nocy tłumaczą sobie tem, że na środku ziemi znajduje się wysoka góra, która zasłania i odsłania słońce. Z tłumaczenia opadów atmosferycznych na uwagę zasługuje, że grad, jest ich zdaniem, dziełem szatana, który każe grzesznym ludziom lód rozbijać w kawałki i rozsypywać go po ziemi. Tęcza znowu — to Boża żyła, która ciągnie wodę z czystej studni i podnosi ją latem pod obłoki, jeżeli w niebie chcą pić. Pokazuje ona, jak wysoko sięgały wody podczas potopu, to też Huculi żegnają się na jej widok.

Po tych ogólnych uwagach, wyjaśniających kosmogoniczne wyobrażenia Hucułów, przystępujemy do poszczególnych świąt.

Najobszerniej opisane jest Boże

Narodzenie, zarówno pod względem wszystkich przygotowań do obchodu lub uroczystego święta, jak niemniej praktyk zabobonnych i zwyczajów gospodarskich. Z nich wymienimy zapraszanie wszystkich dusz zmarłych na wigilijną ucztę i zastawianie misy z potrawami, specyalnie dla nich przeznaczonemi, co jest wspólną właściwością całego plemienia ruskiego od Dniestru i Czarnego morza po Wołgę i Bałtyk. Kolęd przytacza p. Szuchiewicz całe mnóstwo. Różnorodność jednak melodyi jest niewielka, gdyż prawie wszystkie kolędy mają jednakową charakterystyczną budowę wiersza, który składa się prawidłowo z dwu grup sylabicznych po pięć zgłosek i refrenu, skutkiem czego i melodya składa się zwyczajnie z trzech muzycznych fraz. Mamy więc kolędy śpiewane księdzu, pod oknami domostw, gazdom, gaździnom, wdowom, parobkom, dziewczętom, dziecku, kolędy ogólne i śpiewane na cześć zmarłych.

Przy Nowym Roku mamy parę t. zw. *szczedriwek*, przy Wielkanocy illustrowany opis pisanek. Zresztą zwyczaje i wierzenia, przywiązane do innych świąt cerkiewnych, są bardzo fragmentaryczne i skąpe, co bynajmniej nie pochodzi z winy autora.

Kończąc tę notatkę o dziele pana Szuchiewicza, musimy jeszcze podnieść, że nie poskąpiono i w omawianym tomie pięknie wykonanych rycin, illustrujących poszczególne obchody świąteczne lub związane z niemi przedmioty. *Dr. S. Z.*

Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed rokiem 1875. *Feliks Kucharzewski.* Warszawa 1904. E. Wende.

Jest to starannie zebrana i ułożona bibliografia artykułów i prac technicznych, drukowanych w czasopismach z przed r. 1875, podzielona na 11 rozdziałów, zajmujących się poszczególnemi czasopismami. Do najciekawszych z powodu rzadkości czasopism są rozdziały, omawiające »Pierwsze zawiązki«, przypadające na lata 1698—1793, »Dziennik ekonomiczny Zamojski« (1803—1804) i wogóle artykuły w czasopismach do r. 1830, jako że trudno jest o ich komplet nawet w największej polskiej bibliotece publicznej. Poza samą bibliografią mamy streszczenia wybitniejszych prac i życiorysy autorów, których jest ogółem 363. Za żmudną tę pracę, która musiała pochłonąć mnóstwo czasu i cierpliwości, należy się zasłużenie p. Kucharzewskiemu, który już dawniej wydał »Bibliografię techniczną polską«, szczera wdzięczność.

K. J.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Sprawa Maryawitów.

Wobec ciężkich wieści, jakie raz po raz przychodziły z Królestwa Polskiego, nasuwało się niejedno smutne przeczucie na przyszłość. Żadną jednak miarą nie przeczuwało się tego, co przyniosła ostatnia chwila: bolesnego rozdwojenia w łonie Kościoła katolickiego.

Już drugi miesiąc mija, jak sprawa Maryawitów nie schodzi z łamów prasy. Spisano już o niej całe stosy papieru. Pisano oczywiście z różnych punktów widzenia i z różnych pobudek. Socyaliści w rozruchach ludowych, tą sprawą spowodowanych, witali pierwszy etap ku historycznej wojnie chłopskiej. Pisma, zostające pod wpływem semickim, pisały z uśmiechem zadowolenia o nowej monachomachii. Pisma wszechpolskie omawiały sprawę głównie na podstawie interesu narodowego, niemało pobudzone tem, że Maryawici w duszy oddanego sobie ludu przytępiali stronę społeczną i narodową. Wiele pism innych pisało dla prostej senzacyi, ale były też takie, którym chodziło o dobro sprawy religijnej.

Poza tymi odcieniami, na ogół, należy podnieść ten objaw dodatni, że wielkie to zainteresowanie się opinii jest, bądź co bądź, silnym dowodem, iż sprawa religijna jest żywotną w narodzie.

Tylko, że w tej żywotności były i momenty martwe. Niejednokrotnie na dnie tego całego zainteresowania czuć było nie tyle interes religijny, jak raczej silne, czasem nawet miłe zdziwienie, że wśród dzisiejszego pogaństwa zjawić się może taki objaw zapomniany, jak »herezya« — jak sprawę Maryawitów nazwano. Momentem bardziej znaczącym była ogromna nieświadomość spraw religijnych. Za jeden z licznych dowodów niech starczy to, że niektóre pisma, jako objawy herezyi przytaczały czysto katolickie modlitwy a w rycinach dawały podobizny sprzętów katolickiego kultu. Najsmutniejszym jednak objawem był nizki poziom etyczny. Dzień w dzień czytać trzeba było najpospolitsze plotki, którym za dni kilka, wprost albo ubocznie, inna plotka zaprzeczała.

Bardzo znamiennym był zarzut robiony biskupom, że zbyt długo byli względem »heretyków« cierpliwi i wyrozumiali, jak gdyby właśnie nie ten rodzaj broni był najbardziej wskazany. Ten zarzut powtarzały nawet pisma, które poprzednio pisały ze zgrozą o okrucieństwach średniowiecznej inkwizycyi.

Co sądzić więc o samej sprawie? Najpierw nie można tu mówić o właściwej herezyi, choć niejedno ze zdań, jako ich przytaczane, stoi w sprzeczności z nauką Kościoła. W sądzie o herezyi decydują ogólniejsze prawidła logiczne i psychologiczne, których do sprawy Maryawitów przykładać nie można, gdyż biorąc rzeczy na seryo, najmniejszych nie widzi się śladów, ażeby dążyli oni do stworzenia własnej, odrębnej, nauki.

Sprawa Maryawitów rozgrywa się na tle ascetyczno-mistycznem, stąd też kwalifikować się tylko może jako ascetyczno-mistyczne zboczenie, połączone w następstwach swoich z poważnem zaburzeniem dyscypliny kościelnej.

Zaczęło się od kobiety. Kobieta, podająca, że w widzeniach otrzymała od Boga posłannictwo podniesienia życia religijnego, zakłada kilka stowarzyszeń religijnych, między nimi stowarzyszenie kapłanów. Misya niezwykła ale możliwa. Środki, jakimi te stowarzyszenia mają dążyć do osiągnięcia celu, ze wszech miar dobre, jak cześć Najśw. Sakramentu i N. P. Maryi, jak częsta

Komunia św., obecnie przez Rzym całemu światu katolickiemu polecona. Osoby, powołane do spełnienia tej misyi, jak kapłani Maryawici, pod względem osobistego życia przedstawiają się wzorowo. Zdawałoby się więc, że poza niezwykłością początku, wszystko w porządku. A jednak —

Nie wchodzimy w okres pośredni, w którym zaczęły się i rosły nieporozumienia między Maryawitami a władzą biskupią, aż doprowadziły do zerwania z nią. Nie wchodzimy dlatego, aby nie wprowadzać żadnego szczegółu, który inaczej oceniany przez księży Maryawitów, mógłby im podać łatwą broń przeciw naszemu rozumowaniu. Szczegóły zwłaszcza takie, że Maryawici mieli potępiać innych kapłanów, jako złych, i to publicznie z ambon, że drogą wstrętnego myszkowania śledzili ich życie, szczegóły takie dla opinii ludzi mistyczno-ascetycznego życia są wprost zabójcze, bo świadczą o braku pokory i miłości. Ludzie święci i prawdziwi asceci, ku poprawie zła, inną idą drogą. Ale te i tym podobne objawy pomijamy. Zupełnie oczywistym a decydującym jest fakt nieposłuszeństwa dekretowi rzymskiemu z 4 września 1904 r., a następnie nieposłuszeństwa władzy biskupiej.

Że nieposłuszeństwo było oczywistem, dosadnie wskazuje to, co się działo w zestawieniu z odnośnym ustępem rzymskiego dekretu: »Co się zaś tyczy kongregacyi Maryawitów, to ma być ona do szczętu skasowana, z rozwiązaniem ślubów, w jakikolwiek sposób przez nich składanych, i z zakazem utrzymywania wszelkich z Felicyą Kozłowską stosunków, czy to osobistych, czy piśmiennych; nareszcie wszystkim kapłanom i klerykom ma być surowo nakazane, aby do kongregacyi tej nie przystępowali, ślubów w niej praktykowanych nie składali i pod żadnym pozorem kierownictwu Felicyi Kozłowskiej się nie poddawali«.

A już to, co się działo po suspenzie biskupiej, przechodzi zwykłą miarę ludzkiego pojęcia — to już był publiczny bunt i gwałt. Nie wszyscy księża Maryawici poszli tą drogą; ale nawet ci, co najspokojniej po suspenzie zachowywali się, posłusznymi nie byli, bo woleli popaść w suspenzę, niż poddać się wyrokowi. A już nie chcemy wypowiadać zdania o tych, co uciekli się pod skrzydła rosyjskiego rządu — albo o tych, co w pu-

blicznem piśmie poddawali się władzy biskupów a prywatnie robili to samo, co dawniej.

A jeżeli do tego chaosu w sumieniach dorzuci się jeszcze, choćby tylko jedną kroplę krwi mordujących się tłumów, krwi, która bodaj, czy pośrednio nie obciąża sumienia tych księży Maryawitów, w których parafii były zaburzenia, — to doprawdy trudno nie postawić, wobec tego wszystkiego pytania: »czy tą drogą rozszerza Chrystus swoje królestwo?« — czy do tego kresu mają prowadzić natchnienia i widzenia od Boga pochodzące? I choćby reforma w życiu kościelnem była najniezbędniejsza, choćby dzieło celem tej reformy przedsięwzięte miało wszystkie cechy świętości, to doprawdy, wobec kresu, do jakiego to dzieło doprowadziło, każde, jakiekolwiek sumienie, powinno wzdrygnąć się i zapytać: czy jest to dzieło Boże?

To pytanie, wobec niezwykłej drogi wizyi i natchnień osobistych, zaraz na samym początku tej drogi, każdy rozumny postawić sobie musi a każdy człowiek postawić sobie powinien, po prostu dlatego, że niema się pewności, czy droga ta podsuniętą jest przez ducha dobrego, czy złego. Sama świętość osoby, mającej widzenia, ani świętość dzieła, które w tem widzeniu ma swój początek, niczego jeszcze nie dowodzą, bo wiadomo ze smutnych doświadczeń przeszłości, że objawy takie bywały niejednokrotnie błędnem złudzeniem i dobrego początku był koniec smutny. Na to zaś pytanie człowiek sam sobie bezpośredniej odpowiedzi dać nie może, bo nie wie, jakiem jest źródło, z którego to widzenie czy natchnienie płynie, ani nie widzi końca, ku któremu ono zdąża. Są jednak inne pośrednie drogi i kryterya a między niemi pierwsze zajmuje miejsce posłuszeństwo władzy kościelnej, a więc przedewszystkiem, biskupiej. Jeżeli Bóg daje osobie prywatnej objawienia, a przez nie polecenia odnoszące się do Kościoła, a zarazem za wszystko, co się w Kościele dzieje, żąda odpowiedzialności od władzy kościelnej, to oczywistem jest, że dwie te strony w ten tylko sposób dadzą się pogodzić, że jedna strona, to jest osobistość prywatna, przynosi ideę a druga, to jest władza kościelna ma ją zbadać. Władza kościelna zaś musi oczywiście być w takiej sprawie ostrożną i niejednokrotnej poddawać ją próbie

Stąd też widzimy w historyi Kościoła, z jakim trudem, drogą prywatną wizyi, przedostają się w życie religijne nowe idee. Święci, którzy je wnosili, musieli przenieść na sobie wiele prób i wiele przecierpieć, nieraz na polecenie władzy i to władzy reprezentowanej przez jednostki bardzo ułomne, odsuwali je od siebie gwałtem, nieraz nawet spełnienia ich nie widzieli. W ten sposób było to dla nich pole wielkiej osobistej zasługi, większej jeszcze o tyle, że wskutek kolizyi z władzą, sami w prawdziwość swoich natchnień wątpili — a idea sama, prędzej, później, zwyciężała i wchodziła w dobytek Kościoła.

Oto najbardziej sprzyjająca dla Maryawitów kombinacya — i z niej wynika, że zboczyli z prawej drogi.

Serce się krwawi, nie tylko na widok rozdwojenia w Kościele i na widok tych smutnych scen, jakie mu towarzyszą, ale także na myśl, że tego bolesnego rozdwojenia dokonali ci, na których tyle się rachowało, jako na kapłanów o wielkiej, apostolskiej gorliwości ducha. I miałyżby te wielkie przymioty zmarnieć? Na drodze obecnej zmarniećby musiały. Jedynie tylko powrót pod prawowitą władzę biskupią i szczere spełnienie jej zleceń, mogą te wielkie skarby gorliwości kapłańskiej obrócić na chwałę Bożą i dobro ludzi.

Sprawa Maryawitów odsłoniła rozognioną ranę, zadaną Kościołowi w Królestwie Polskiem, przez 40 lat rządowego systemu. Trzeba wglądnąć dokładnie w te warunki, w jakie system ten wrzucił Kościół, a z pewnością nie padnie wtedy słowo nieopatrznego wyrzutu. Dzięki Bogu, mnożą się oznaki, że praca ta odrabiania już się zaczyna na różnych polach, od pracy w seminaryach duchownych począwszy, a na pracy nad ludem skończywszy.

Akcya katolicka w kraju.

Gdyby nie smutna sprawa Maryawitów i związane z nią stosunki, chwila obecna, z zewnętrznych przynajmniej oznak sądząc, przedstawiałaby się dla katolicyzmu polskiego tak jasno, jak za naszej pamięci nigdy. Z dniem każdym, jak ptastwo wiosenne, zlatują coraz nowe wieści o szczegółach katolickiej akcyi w kraju. Miałażby to być wiosna, doba odrodzenia katolicyzmu u nas? Bez wątpienia — gdyby wszystkie

zapowiedzi spełniły się, gdyby zaczęte obecnie dzieła wzięły wzrost i doszły do rozkwitu, rok 1906 byłby wielką datą odrodzenia religijnego w Polsce.

Najwięcej entuzyazmu, może jeszcze młodzieńczego, widzi się tam, gdzie najwięcej ugoru do odrodzenia pozostaje, w zaborze rosyjskim. Korespondencya stamtąd, rozmowy z tamtejszem duchowieństwem, aż nadto o tem przekonywują. Oczywiście jednak cała inicyatywa, całe wyzyskanie tego zapału, należy do Episkopatu, który też w szeregu listów i enuncyacyi składa dowody, że zamierza do dzieła przystąpić. Są już jednak i zaczątki i to poważne, jak głośna akcya społeczno-polityczna ks. biskupa wileńskiego, wzmocniona jeszcze obecnie niechęcią rządu i pewnych sfer naszych, kładących zawsze na pierwszem miejscu interes własny. Zarzuty ekonomicznej natury, jakie bywają stawiane programowi tej akcyi, nie na czasie są o tyle, że program ten nie przekracza granic tego rodzaju postępowych programów — zarzuty zaś polityczne, że pewien punkt programu grozi umniejszeniem reprezentacyi polskiej, chorują na to krótkowidztwo, za jakie już pokutujemy w Galicyi. Co się zaś angażowania hierarchii jako takiej w politykę tyczy, to dostatecznie odpowiedział na to sam ks. biskup wileński, zaznaczając, że akcya ta jest tylko chwilową, o ile w początkach nakazuje ją brak wyrobionych jeszcze sił.

Również i w Warszawie, przy *Kronice rodzinnej*, zaczyna się skupiać akcya katolicyzmu społecznego. Zanotujmy też objaw radosny, że w najważniejszej może dzisiaj dziedzinie pracy nad dobrem młodzieży zawiązało się w Warszawie nowe, wiele obiecujące, »Towarzystwo przyjaciół młodzieży«.

O Poznańskiem niema co mówić, gdyż sprawa katolickiej akcyi społecznej oparła się już dawniej tam na silnej podstawie.

Natomiast w Galicyi powiał wiatr nowy. Wielka inicyatywa ks. arcybiskupa Bilczewskiego i ks. biskupa Pelczara, przez wprowadzenie Związku katolicko-społecznego w dwu przestronnych dyecezyach, otwiera na przyszłość dalekie widnokręgi. Równocześnie, pod grozą zbliżającego się powszechnego głosowania, skupiają się wszystkie stronnictwa ludowe, z wyjątkiem ludowców,

na podstawie idei demokracyi chrześcijańskiej. Cały szereg pism tygodniowych i codziennych staje na usługi młodego stronnictwa a szereg wieców i zebrań świadczy o jego żywotności.

Nie przesądzajmy faktów. Czekajmy na dalsze oznaki, któreby niechybnie świadczyły, że to wiosna i odrodzenie religijne.

Ks. J. Pawelski.

Z życia masonii.

Od lat 46 staraniem niemieckich masonów wychodzi założony przez br. C. von Dalen'a *Kalender für Freimaurer*. Kalendarz na rok 1906, obrobiony przez br. Herm. Merkera, wyszedł w Lipsku nakładem i czcionkami E. Findela. Zawiera on 360 stron druku w 16-ce. Trudno wymagać od tego rodzaju wydawnictwa, aby odsłaniało przed profanami wiele szczegółów z działalności wolnomularstwa; przeznaczenie jego bowiem bardzo skromne: informować braci trójkropkowych o pamiętnych w historyi sekty datach, dostarczać wskazówek adresowych i statystycznych wiadomości, dotyczących rozwoju masoneryi. Wypisujemy kilka szczegółów, mogących zainteresować nietylko wolnomularzy.

We właściwym kalendarzu, obok kilku świąt Chrystusa Pana i dnia Jana Ewangelisty, wolnomularze nie notują żadnych innych chrześcijańskich uroczystości. Natomiast figurują tam notatki o dniu narodzin, wstąpienia do »zakonu« i śmierci najsławniejszych w dziejach wolnomularstwa braci, między którymi spotykamy nazwiska Woltera, Franklina, Washingtona, Fichtego, Józefa II, Walter-Scotta, Lessinga, Bluntschli'ego, Göthe'go, Haydna, Mozarta, Fryderyka II, Wilhelma I cesarza i wiele innych historycznych postaci. Obchodzą wolnomularze i dni urodzin żyjących jeszcze Wielkich Mistrzów swego kraju. Wspomniane są i daty założenia najsławniejszych lóż masońskich, z których pierwszemi co do czasu okazują się: paryska, otwarta 7 maja 1729 r., bostońska w Ameryce — 1733 r. i hamburska w Niemczech — 1736 r. Godnem uwagi jest i to, że masoni notują skrzętnie daty wszystkich bull i encyklik papieskich przeciwko nim skierowanych, począwszy od bulli Klemensa XII (1736 roku), a kończąc na najnowszej encyklice Leona XIII *Humanum genus* z roku 1884. Zakon Jezuitów również, jak widać, nie jest dla nich obojętnym, skoro data wskrzeszenia jego przez Piusa VII figuruje między godnymi pamięci faktami.

Kronika zdarzeń w historyi wolnomularstwa z r. 1904/5 notuje przeważnie otwarcie nowych lóż, rozmaite jubileusze, posiedzenia głównych lóż, kongresów, »poświęcenia świątyń« masońskich i t. d.

»Masońska dobroczynność« (masoneryi niemieckiej) wykazuje 132.850 marek i 125.000 dolarów, ofiarowanych przez bogatszych braci na cele dobroczynne, a przedewszystkiem na rozszerzenie instytucyi i działalności wolnomularskiej.

Rubryka bibliograficzna podaje tytuły wydanych ostatnimi czasy dzieł masońskich w języku niemieckim, z których jednak część pewną drukowano jako manuskrypta, przeznaczone tylko dla wtajemniczonych. Z tejże rubryki dowiadujemy się, że sami niemieccy masoni wydają 20 przeznaczonych dla braci czasopism, z których najstarszem jest *Freimaurerzeitung,* redagowane przez br. Hansa Thenau w Lipsku (59 rok wydawnictwa).

Najbardziej interesującym jest wykaz lóż masońskich i liczby należących doń członków, z niego bowiem można powziąć pewne pojęcie o potędze organizacyi masońskiej. Wykaz ów jest bardzo sumaryczny i dla niektórych krajów wprost niedokładny, bo nie podaje liczby braci, można jednak ją w przybliżeniu określić na mocy proporcyonalnych obliczeń z ilości podanych lóż. Kalendarz wykazuje w roku bieżącym około 21 tysięcy czynnych lóż rozmaitej barwy i nazwiska: loże Andrzeja, Jana, loże szkockie, proste kółka *(Kränzchen)* i t. d. Podporządkowane są one 149 Wielkim lożom, które stanowią jakoby biskupstwa czy prowincye masońskie, na czele których stoją Wielcy Mistrzowie. Największa siła masoneryi przypada na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, gdzie funkcyonuje 85 Wielkich lóż, mających pod sobą 13.476 lóż i 979.755 braci, samych majstrów; czeladnicy bowiem pominięci są w obrachunku. Po Stanach Zjednoczonych, co do ilości lóż i członków, następują: Anglia z koloniami, Francya, Włochy i Niemcy. Oprócz tych krajów, wolnomularstwo uznane jest urzędownie w Szwajcaryi, Holandyi, Belgii, Luxemburgu, Szwecyi, Norwegii, Danii, Hiszpanii, Portugalii, Grecyi, Węgrzech. W Austryi figurują instytucye masońskie, jako *humanitäre Vereine,* w wielu miejscowościach, w zależności, jak się zdaje, od niemieckich Wielkich lóż. Masoneryę posiadają również oficyalnie wszystkie republiki amerykańskie, Australia i kolonie europejskie w Afryce i Azyi. Z państw europejskich tylko Rosya, Turcya, Bułgarya, Serbia, Rumunia i Czarnogóra nie mogą się wykazać z urzędownie uznaną masoneryą. Czy to jednak dowód, że ona tam nie istnieje? Ilość członków masoneryi można we

wszystkich wymienionych w kalendarzu krajach obliczyć w przybliżeniu na jakie $1^1/_2$ miliona.

Spis lóż pozwala wywnioskować cośkolwiek o organizacyi wewnętrznej wolnomularstwa. Przedewszystkiem niema żadnego centralnego zarządu dla wszystkich lóż istniejących na całej kuli ziemskiej. Każda Wielka loża stanowi dla siebie niezależną jednostkę. Dla utrzymania jednak ciągłego kontaktu między lożami rozmaitych krajów, są akredytowani przy każdej z Wielkich lóż reprezentanci takichże lóż innych krajów. Zarząd każdej z Wielkich lóż składa się zwykle z Wielkiego Mistrza, jego zastępcy, sekretarza, archiwisty i innych funkcyonaryuszów. Niektóre Wielkie loże mają swoich protektorów w osobach wysoko postawionych. Dość wspomnieć króla Edwarda VII angielskiego, niedawno zmarłego króla Chrystyana IX duńskiego, Fryderyka Leopolda księcia pruskiego, Ernesta Ludwika, w. księcia heskiego i innych. Król szwedzki, Oskar II, nosi tytuł Mistrza Zakonu (coś więcej, niż zwykły W. Mistrz); następca zaś tronu szwedzkiego, Oskar Gustaw, jest Wielkim Mistrzem wolnomularstwa w swoim kraju. Wielkim Mistrzem jest i nowy król duński, i tem się chyba tłumaczy notowany przez dzienniki fakt, że po swojem wstąpieniu na tron nie raczył zawiadomić o tem papieża, zrywając z dotychczasową wszędzie praktykowaną zasadą.

Najdokładniej opracowaną w Kalendarzu widzimy statystykę masoneryi niemieckiej; nie poprzestaje bowiem na Wielkich lożach, lecz wylicza wszystkie loże zwykłe, podając adresy stojących na ich czele mistrzów. W cesarstwie niemieckiem działa 8 Wielkich lóż, mających pod sobą kilkaset lóż zwykłych z ogólną liczbą braci 49.785. Wielkie loże niemieckie, aczkolwiek nawzajem od siebie niezależne, tworzą od r. 1872 związek niemiecki. Organem związku jest *Grosslogentag*, składający się z 8 Wielkich Mistrzów i 16 wybranych przez poszczególne Wielkie loże deputatów. *Grosslogentag* odbywa corocznie swe posiedzenia kolejno w jednej z Wielkich lóż na Zielone Świątki. Archiwum Związkowe przechowuje *Grosse National-Mutterloge »Zu den drei Weltkugeln«* w Berlinie. Między mistrzami, stojącymi na czele lóż niemieckich, znajdujemy przedstawicieli najrozmaitszych sfer, począwszy od najwyższych dygnitarzy wojskowych i cywilnych, protestanckich duchownych, profesorów uniwersyteckich i gimnazyalnych, a kończąc na kupcach i aptekarzach małomiasteczkowych i podrzędnych literatach i funkcyonaryuszach rządowych.

Węgry posiadają 59 lóż z 3930 braćmi, pozostających pod dyrektywą »Symbolicznej Wielkiej loży węgierskiej« w Budapeszcie,

powstałej w r. 1886 ze zjednoczonych lóż Wielkiego Wschodu węgierskiego i Wielkiej loży Joannitów. Jako rzeczywisty W. Mistrz zapisany br. Jerzy von Joannovics. Austrya wykazuje 23 *Humanitäre Vereine,* z których 10 liczy sama stolica państwa.

Jak widać z powyższego suchego przeglądu dat i cyfr, wolnomularstwo przedstawia wielką potęgę. Pod pretekstem szerzenia oświaty i humanitarności w świecie, zwalcza ono przedewszystkiem Kościół katolicki, stanowiący najpotężniejszą zaporę dla owego postępu, który bez Boga i religii objawionej ma się obejść. Rozporządzając sprężystą i rozgałęzioną po całym niemal świecie organizacyą, mając w swej służbie całe legiony ludzi wpływowych, uczonych, literatów, kapitalistów, posłów parlamentarnych, wyższych dygnitarzy państwowych, samych nawet członków panujących rodzin, wolnomularstwo z powodzeniem może dążyć do swoich jasno wytkniętych celów, tak wrogich prawdziwemu, na chrześcijańskich zasadach opartemu, postępowi. Nie kryje się ono z pragnieniem wpisania kiedyś do swego Kalendarza daty ostatecznego pokonania Kościoła.

Ks. Jan Urban.

Druk ukończono 10 kwietnia 1906 r.

PROBLEM SOCYOLOGICZNY COMTE'A.

Comte zbudował swój system filozoficzny na dwu podstawach czy prawach zasadniczych: na prawie ewolucyi intellektualnej o trzech stadyach rozwojowych, *loi des trois états,* i hierarchicznej klasyfikacyi nauk. Pierwsze »prawo zasadnicze rozwoju umysłu ludzkiego w różnych jego dziedzinach działalności« jest prawem ewolucyi intellektualnej ludzkości a konsekwentnie i prawem nauki społecznej. Ze wszystkich bowiem czynników, które składają się na postęp ludzkości, czynnik intellektualny jest najważniejszym i najgłówniejszym. Historya rozwoju sztuki i prawa i obyczajów i różnych instytucyi społecznych i ekonomicznych, wszystkie wogóle objawy życia i twórczości społecznej odnoszą się zawsze do życia intellektualnego danej epoki, jako do głównego źródła i najgłówniejszej przyczyny. W rozumieniu Comte'a nauka i filozofia jest tem drzewem żywota, z którego jak z pnia wyrastają i układają się w rozłożystą koronę wszystkie objawy pracy i życia społecznego. Prawem zaś, według którego dokonywa się w porządku nieodmiennym ta ewolucya jest *loi des trois états.*

Prawo zaś hierarchicznej klasyfikacyi nauk jest jego naturalnem dopełnieniem. »Różne gałęzie nauk naszych, mówi Comte, nie mogły z równą chyżością przebyć tych trzech wielkich okresów swego rozwoju a konsekwentnie nie mogły też dojść równocześnie do stadyum pozytywizmu. Wszelako pod tym względem istnieje porządek nieodmienny i konieczny, którego różne rodzaje naszych pojęć się trzymały i trzymać się musiały w swoim roz-

woju. Otóż ujęcie w system ścisły tego porządku jest koniecznem dopełnieniem prawa fundamentalnego, uprzednio wyłożonego (o trzech stanach)«. W systemie Comte'a tedy pierwsze prawo przedstawia nam rozwój umysłowości wogóle a drugie pochód postępowy umysłu ludzkiego wspinającego się na wyżyny kresowego rozwoju tej umysłowości czyli na wyżyny filozofii pozytywnej.

Najprzód przypatrzmy się bliżej prawu pierwszemu.

»Prawo to, tłumaczy Comte, polega na tem, że każde z naszych pojęć głównych, że każda gałąź umiejętności przechodzi kolejno przez trzy różne stany teoretyczne: przez stan teologiczny czyli fikcyjny; przez stan metafizyczny czyli abstrakcyjny; przez stan naukowy czyli pozytywny. Innemi słowy: umysł ludzki z natury swojej we wszystkich swoich badaniach posługuje się kolejno potrójną metodą filozoficzną, których charakter pod względem istotnym jest różny i wręcz sobie przeciwny. Najprzód pojawiła się metoda teologiczna, następnie metafizyczna a wkońcu metoda pozytywna. Stąd mamy trzy rodzaje filozofii, czyli trzy ogólne systemy pojęć o wszechświecie zjawiskowym, które nawzajem się wykluczają: pierwszy system to konieczny punkt wyjścia dla umysłu ludzkiego; trzeci to stan jego stały i kresowy; drugi ma jedynie charakter tylko przejściowy.

W pierwszym stanie teologicznym umysł ludzki z natury swojej zwraca swoje badania ku poznaniu wewnętrznej natury istot, ku poznaniu przyczyn pierwszych i ostatnich wszystkich zjawisk, które uderzają go, słowem wytwarza naukę absolutną, wyobrażając sobie, że zjawiska są wynikiem bezpośredniej i bezustannej akcyi mniej lub więcej luźnych czynników nadnaturalnych, których dowolna interwencya tłumaczy nam wszystkie pozorne anomalie wszechświata.

W stanie metafizycznym, który w gruncie rzeczy jest tylko prostą modyfikacyą ogólną pierwszego, czynniki nadnaturalne są zastąpione siłami, które mają swe źródło w abstrakcyi. Są to prawdziwe jestestwa (abstrakcye uosobnione), osadzone na różnych istnościach świata tego. Umysł wyobraża sobie, że one same przez się są zdolne do wytworzenia wszystkich zjawisk, podlegających

obserwacyi. Wytłumaczyć więc zjawiska, to znaczy: oznaczyć dla każdego zjawiska odpowiednie jestestwo.

Wreszcie w stanie pozytywnym umysł ludzki, widząc niemożliwość wyrobienia sobie pojęć absolutnych, odrzuca śledzenie początku i końca wszechświata i badanie przyczyn wewnętrznych zjawisk i zajmuje się jedynie śledzeniem zapomocą rozumowania, mądrze skombinowanego z obserwacyą, praw ich faktycznych t. j. ich stosunków nieodmiennych co do następstwa i podobieństwa. Wytłumaczenie faktów, sprowadzone w ten sposób do granic rzeczywistych nie będzie wtedy niczem innem, jak połączeniem różnych zjawisk poszczególnych z niektórymi faktami ogólnymi, których liczbę coraz więcej pomniejszyć jest zadaniem postępu w nauce« [1].

Prawo to fundamentalne, rządzące z nieodmienną koniecznością umysłem ludzkim, w swym postępowym rozwoju historycznym i cywilizacyjnym, zdaniem Comte'a, przechodziło przez następujące fazy rozwojowe:

I. Stan teologiczny:

1) Okres fetyszyzmu;
2) Okres politeizmu teokratycznego;
3) Okres politeizmu militarnego;
4) Okres monoteizmu.

II. Stan metafizyczny:

5) Okres przejściowy anarchii i rewolucyi.

III. Stan pozytywny:

6) Okres specyalizacyi nauk;
7) Okres filozoficznego uogólnienia, na którem się kończy kresowy rozwój umysłu i cywilizacyi wogóle.

Teraz jak uzasadnia Comte to prawo? Z historyi rozwoju nauk i psychologicznej organizacyi umysłu ludzkiego. »Sledząc tak rozwój ogólny umysłu ludzkiego w różnych sferach jego działalności od pierwszego przebudzenia się aż do dni naszych, sądzę, żem odkrył wielkie prawo fundamentalne, któremu on z nieodmienną koniecznością podlega, i które, mniemam, dobrze

[1] *Cours de philosophie positive,* t. I, wyd. V, str. 3, 4.

jest ugruntowane i przez dowody, zaczerpnięte z naszej organizacyi duchowej i z historyi po uważnem zbadaniu przeszłości« (t. I, str. 2).

Historya rozwoju nauk wykazuje, że wszystkie nauki, które w ciągu wieków się wytworzyły, przechodziły kolejno przez te trzy rodzaje metodyki filozoficznej. Astronomia czyż nie wytworzyła się z astrologii, chemia z alchemii? i t. d. Czyż w pierwotnem stadyum swego rozwoju nauki te nie roiły się od różnych bogów i duchów a następnie, zanim weszły na drogę umiejętnego badania, od różnych sił abstrakcyjnych? Wprawdzie znaczna część nauk nie doszła jeszcze do stanu pozytywnego, ale wszystkie one aż do chwili obecnej przechodziły w rozwoju swoim te trzy stadya konieczne, które nie są niczem innem, jak tylko objawami prawa tkwiącego w umyśle indywidualnym. »Cały dzisiejszy przełom ogólny w umyśle ludzkim można zresztą dość łatwo stwierdzić w sposób bardzo namacalny, choć pośredni, badając rozwój umysłu indywidualnego. Punkt wyjścia z natury rzeczy jest tu ten sam w edukacyi jednostki, jak rodzaju ludzkiego. Różne fazy zasadnicze, przez które przechodziła jednostka, muszą się powtórzyć w epokach fundamentalnych rodzaju ludzkiego. Tak każdy z nas, rozważając swoją przeszłość, czyż nie przypomni sobie, iż co do najgłówniejszych pojęć był kolejno teologiem w dzieciństwie, metafizykiem w młodości a fizykiem w wieku dojrzałym? Prawdę tę łatwo obecnie sprawdzić u wszystkich, którzy stoją na wyżynie swego wieku« (str. 6).

»Prócz obserwacyi bezpośredniej, ogólnej czy indywidualnej, dowodzącej ściśle prawa tego«, usiłuje nadto Comte wysnuć prawo to teoretycznie z naszej organizacyi umysłowej.

Sposób myślenia teologicznego narzuca się nam spontanicznie. Umysł ludzki chcąc wytłumaczyć sobie zjawiska świata zewnętrznego, pojmuje je na sposób działania woli w świecie wewnętrznym. »Jest w nas pęd ogólny, popychający nas do mniemania, że wszystkie istoty ożywione są życiem, podobnem do naszego i nadto często bardzo potężniejszem z powodu ich energii dużo większej«. Pęd ten jest nam w tak wysokim stopniu właściwy, że nawet umysł na najwyższym stopniu rozwoju stojący

nie pozbędzie się go inaczej, jak tylko »gdy naprawdę zaprzestanie niedostępnych badań i na przyszłość ograniczy się do wyłącznego tylko badania prostych praw zjawisk, abstrahując od ich przyczyn właściwych. Usposobienie takie suponuje oczywiście niewczesną dojrzałość umysłu ludzkiego« (t. IV, 529).

Filozofia teologiczna dała początek filozofii pozytywnej. Bez niej badanie umiejętne byłoby wogóle niemożliwem. Każda gałąź umiejętności przyrodniczych, które w ciągu wieków powstały, wykazuje, że »absolutny empiryzm jest nie tylko bezowocnym ale i w gruncie rzeczy niemożliwym. Umysł nasz na żaden sposób nie potrafi się obejść bez jakiejś doktryny, rzeczywistej czy chimerycznej, teoryi ogólnej czy szczegółowej, któraby łączyła i pobudzała jego wysiłki spontaniczne wytworzenia niezbędnej ciągłości spekulacyjnej, koniecznej w każdem działaniu umysłowem« (str. 531, 532). Proste rejestrowanie faktów nie ma żadnego znaczenia naukowego. Dlaczego np. olbrzymie materyały naszych obserwacyi meteorologicznych, pyta się Comte, są dziś bez wartości naukowej? »Bez wątpienia dlatego, że polegają na machinalnej empiryi«. Spekulacya tedy zawsze poprzedzać musi umiejętną obserwacyę. A ponieważ umiejętna teorya tylko na faktach umiejętnie stwierdzonych i zbadanych opierać się może, w zaraniu cywilizacyi umysł ludzki, ażeby sobie umożliwić pracę obserwacyjną, snuje różne teorye imaginacyjne na sposób podpadającego pod świadomość działania woli w świecie wewnętrznym. I tak powstał system teologiczny, który utorował drogę umiejętnym badaniom filozofii pozytywnej. Filozofia zaś metafizyczna jest tylko stanem przejściowym pomiędzy filozofią teologiczną a pozytywną. Powstała ona w ten sposób, że umysł w miejsce akcyi nadnaturalnej różnych bogów postawił różne siły uosobnione *entitates*, które w miarę pogłębiających się badań naukowych przeobraziły się w czcze abstrakcye, rozwiewające się dopiero w filozofii pozytywnej. Dziwny jest ten pochód pracy umysłowej w dziejach ludzkości: najprzód wysuwa się na pierwszy plan praca imaginacyi, opierająca się na powierzchownej obserwacyi, potem przychodzi okres krytycyzmu i powolne przeobrażenie się doktryn teologicznych w spekulacye metafizyczne, które znowu ustępują

miejsca metodzie pozytywnej. Tak z chaosu nieprzeliczonych teoryi, które w ciągu wieków pojawiały się wśród myślącej ludzkości, występują wyraźne kontury praw psychologicznych, które z nieodmienną koniecznością w porządku wyż wskazanym kierują ewolucyą nauki i cywilizacyi. Ale nie tylko ze względów intellektualnych filozofia teologiczna była konieczną. W dziedzinie moralnej ona w zaraniu cywilizacyi dzikim i ciemnym ludom dodawała odwagi i energii i ufności w słabe siły ludzkie, prowadząc w ten sposób ludzkość do coraz wyższego rozwoju pracy cywilizacyjnej. Czyż człowiek patrząc się na swoją słabą nieudolność i na nieodmienne prawa w przyrodzie, których ani zmienić ani zrozumieć nie mógł, bez filozofii teologicznej nie popadłby w fatalną martwotę umysłu i woli? Dopiero gdy sobie uprzytomnił, że zjawiska te są rządzone przez istoty nadludzkie, a więc można wpłynąć na bieg przyrody za ich pomocą i pośrednictwem, otucha i odwaga popchnęły go do wysiłków i do pracy skutecznej. Tak filozofia teologiczna stała się równocześnie »żywotną sprężyną naszej energii moralnej i działalności intellektualnej« (str. 535—537).

W dziedzinie społecznej filozofia teologiczna stała na straży formacyi społeczeństw i wprowadziła podział pracy przez wytworzenie klasy kapłańskiej. Zadne społeczeństwo »bez uprzedniego pewnego systemu wspólnych wierzeń, któreby były zdolne powstrzymać skutecznie gwałtowny pęd rozbieżnych interesów indywidualnych« (str. 542), ani istnieć ani rozwijać się nie może. Spójnia taka jest konieczną w społeczeństwie już rozwiniętem, gdzie tyle przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych potężnie na to się składa, ażeby połączyć jak najściślej jednostkę z ogółem a cóż dopiero w społeczeństwie początkowem, gdzie rodziny jeszcze luźno ze sobą są powiązane i w sposób bardzo niedostateczny. Wspólność interesów i sympatya uczuć tu nie wystarczą, jeżeli społeczeństwo ma mieć warunki rozwoju, potrzeba nadto wspólności intellektualnej, opierającej się na pewnych zasadach fundamentalnych, bez której niepodobna ustrzedz się niebezpiecznej dezorganizacyi. Przedewszystkiem w życiu społecznem i politycznem i w okresie niemowlęctwa społecznego wspólność poglądów odnoszących się do świata i ludzkości jest potrzebna i konieczna.

W ten bowiem sposób tylko oddziaływanie społeczeństwa na jednostki jest możliwe. Ciężarem opinii publicznej należy utrzymać w karbach jednostki — na tem polega charakterystyczne zadanie rządu. Ale jak wytworzyć tę społeczność intellektualną, zasadzającą się na jedności zasad? Możliwem jest to jedynie przez rozwój intelligencyi, a rozwój intelligencyi zależny i nieodłączny jest od rozwoju społeczeństwa. I oto nowe błędne koło, z którego aby się wydobyć, potrzeba udać się do filozofii teologicznej. Ale bo też filozofia teologiczna dzięki swej »spontaniczności przedziwnej« w wysokim stopniu »ma to zadanie, aby kierować wyłącznie pierwszą organizacyą społeczną, ponieważ ona jedna zdolna jest wytworzyć wystarczający system wspólnych poglądów« (str. 542—544).

Ale jeszcze z innego względu filozofia teologiczna była konieczna »do rozwoju intellektualnego ludzkości«. Jej wielka zasługa polega na tem, że »ona jedna zdołała wytworzyć w łonie społeczeństwa klasę specyalną, która z reguły poświęcała się działalności spekulacyjnej«. Podział ten pracy teoretycznej i praktycznej był postępem ogromnym na drodze cywilizacyi. Chcąc należycie ocenić ten postęp, należy zważyć, jak trudno niezmiernie i obecnie mimo naszego wyrafinowania intellektualnego wykształcenia ocenić doniosłość jakiegoś przedsięwzięcia, które niema na celu bezpośredniego pożytku praktycznego. W pierwotnem społeczeństwie, wśród ludności wojowniczej i niewolniczej wytworzenie się klasy, wolnej od trosk wojennych i przemysłowych i oddanej pracy przedewszystkiem umysłowej, było niemożliwem. Tylko rozwój konieczny społeczeństwa mógł powołać do życia spontanicznie klasę kapłańską i wyposażyć ją w potrzebną powagę i władzę stosownie do pierwotnej przewagi filozofii teologicznej. Bez tego podziału pracy i bez instytucyi kapłańskiej postęp umysłowy, który kroczy na czele wszelkiego postępu, byłby stłumiony w zarodku a cała nasza działalność odtąd wyłącznie praktyczna ograniczałaby się na pewnem ulepszeniu niektórych przyrządów wojennych lub przemysłowych (str. 545—548).

Zdaniem Comte'a tedy filozofia teologiczna wyrasta spontanicznie z organizacyi naszego umysłu i z organizacyi społecznej.

Przypada ona przedewszystkiem harmonijnie do umysłowego rozwoju pierwotnego człowieka i potrzeb pierwotnego społeczeństwa. Celem jej było: obudzić umysł pierwotny z bezowocnej martwoty, zastąpić braki umiejętnej obserwacyi płodami twórczej imaginacyi i stać na straży pierwotnej cywilizacyi (str. 550—551). Szczytu swego rozwoju dosięgła filozofia teologiczna, gdy w miejsce działania arbitralnego istot ludzkich czy nadludzkich postawiła działanie i rządy opatrznościowe jednego Boga.

Obok filozofii teologicznej albo raczej obok pojęć teologicznych istniały zawsze i rozwijały się pojęcia pozytywne i metafizyczne. »Właściwie mówiąc filozofia teologiczna i w okresie pierwszego dzieciństwa indywidualnego czy socyalnego nigdy nie była w ścisłem znaczeniu uniwersalną w każdej dziedzinie zjawisk przyrody. Fakta najprostsze i najpowszechniejsze usuwały się zawsze z pod wpływu arbitralnego czynników nadnaturalnych«. Już takie jest prawo natury, mówiono, i ciała mu podlegają nieodmiennie (str. 554). »Nie ulega też wątpliwości, że filozofia pozytywna w zarodku początkowym jest w gruncie rzeczy równie pierwotną jak filozofia teologiczna, chociaż mogła się dopiero rozwinąć dużo później« (str. 555). I właśnie zarodki te obserwacyi rozumnej w tłumaczeniu zjawisk stały się początkiem i przyczyną i walki i powstania filozofii metafizycznej.

Tak od samego zarania cywilizacyi w ciągu dziejów umysłowości ludzkiej toczy się walka nieprzejednana i bezustanna »pomiędzy przewagą imaginacyi a rozumem, pomiędzy tem, co absolutne i względne, a przedewszystkiem pomiędzy prastarą hipotezą, że wszelkimi wypadkami kierują wszechwładnie wole arbitralne, a możliwością coraz więcej się narzucającą, żeby przewidzieć przyszłość i pokierować wypadkami według jednej modły rozumnej mądrości ludzkiej« (str. 558). Od samego początku budzącej się z uśpienia umysłowości mocuje się w strasznych zapasach nauka teologiczna z nauką pozytywną. A owocem tej walki było powstanie filozofii metafizycznej. Comte początek tej filozofii tłumaczy w sposób następujący: walka idei absolutnych z tem, co jest względne wypaść musi zawsze na korzyść doktryny absolutnej. Otóż w takiem położeniu znajduje się doktryna pozytywna,

która twierdzeniom absolutnym i niezmiennym filozofii teologicznej tylko przeciwstawić może prawdy względne, mające znaczenie czasowe, trwające tak długo, dopóki zapomocą ulepszonych metod i przyrządów badawczych nie posuniemy się o krok naprzód na drodze do prawdy wielkiej, absolutnej, utajonej a co najważniejsza dla nas, nigdy niedosiężnej. Okazała się więc potrzeba nowej doktryny, któraby z równą bronią t. j. w rynsztunku pojęć i twierdzeń absolutnych mogła podjąć walkę skuteczną z filozofią teologiczną. I tak powstała doktryna metafizyczna.

»Pojęcia metafizyczne, mówi Comte, trzymają środek pomiędzy teologią a fizyką albo raczej nie są niczem innem jak pojęciami teologicznemi, zmodyfikowanemi przez fizykę« [1]. Cała ich użyteczność polega na tem, że one doskonałe stanowią przejście od filozofii teologicznej do pozytywnej. Pod osłoną metafizyki »można wybornie rozprawiać o zjawiskach, nie czepiając się bezpośrednio przyczyn nadnaturalnych, które umysł ludzki może w ten sposób powoli wyeliminować ze swoich kombinacyi«. Tak, zdaniem Comte'a, filozofia XVIII w., licząca znakomitych przedstawicieli ducha metafizycznego, w niemałym stopniu przyczyniła się do wyeliminowania pojęć nadnaturalnych i dawnych wierzeń z dziedziny umysłowości ludzkiej.

Jednę tylko wadę ma filozofia metafizyczna, ale to wynika już z jej natury, mianowicie jest ona wyborną do burzenia, ale niezdolną do budowania. Jest to prosta negacya, która istnieć nie może jak tylko opierając się już to na filozofii pozytywnej, już to na filozofii teologicznej, albo wyraźniej filozofia destrukcyjna, której istnienie i rozwój zależy od zwalczania filozofii teologicznej. W ciągu wieków, zdaniem Comte'a, różne w porządku nieodmiennym po sobie następowały filozofie teologiczne »począwszy od pierwotnego fetyszyzmu aż do prostego politeizmu i czystego monoteizmu, a wkońcu różne stopniowe fazy teologii metafizycznej, której najskrajniejszą tylko odmianą jest panteizm ontologiczny« [2], ale przejście od jednej filozofii do drugiej, zawsze

[1] *Système de Politique positive* t. IV. App. str. 144.
[2] *Cours de phil. pos.* t. V, str. 574.

przygotowała filozofia metafizyczna. Rola jej będzie skończona dopiero wtedy, gdy w miejsce teoryi teologicznej stanie filozofia pozytywna. Tu też osiągnie cała ewolucya umysłowa swój kres i rozwój najpełniejszy.

W gruncie rzeczy — wywodzi Comte — trzy metody czy stany w historyi umysłowości ludzkiej istniały zawsze obok siebie od samego początku cywilizacyi, tylko że w epoce teologicznej przeważały ogromnie teorye teologiczne, a w następnych epokach teorye metafizyczne i pozytywne. Filozofia teologiczna, która usiadła sobie tuż przy źródle wszystkich zjawisk i usiłuje odsłonić ich przyczyny bytu i rozwoju, mieści w sobie zawsze zarodki filozofii pozytywnej i metafizycznej. Filozofia metafizyczna, »która zjawiska uważa za wytwory sił abstrakcyjnych«, zawiera oprócz zarodków pozytywizmu, zawsze dużo strzępów z filozofii teologicznej. Tylko filozofia pozytywna, która »usunęła wszelkie badania przyczyn jako niedostępne dla umysłu ludzkiego i wyłącznie tylko śledzi prawa przyrody, t. j. stosunki wynikające z podobieństwa i ciągłości następujących po sobie zjawisk« [1], niema z natury swojej ani pod względem dogmatycznym ani historycznym z poprzedniemi nic wspólnego. Opierając się na skrzętnem i umiejętnem badaniu świata zjawiskowego wyrabia i układa się ona przez zbiorową pracę uczonych i myślicieli a przedewszystkiem przez olbrzymi dorobek umysłowy Comte'a w rozległy i wspaniały system, rzucający granitowy fundament pod nową religię i pozytywną filozofię moralną. Pozytywizm religijny to szczyt intellektualnej ewolucyi ludzkości, która bierze początek w barbaryi i fetyszyzmie religijnym. Oczywiście religia Comte'a nic nie ma wspólnego z pozytywną religią chrześcijańską ani żadną metafizyką religijną. Najprzód dlatego, że wszystkie pojęcia teologiczne i metafizyczne są niedosiężne dla umiejętnego badania filozofii pozytywnej, a powtóre, że pomiędzy światopoglądem teologicznym i metafizycznym a pozytywnym istnieje przepaść nie do przebycia. Wielu mogło »w dobrej bardzo wierze, mówi Comte, mniemać, że unikając zupełnie wszelkich dociekań co do wewnętrz-

[1] *Sytème de Pol. pos.* t. IV. App. str. 144.

nej natury istot i co do istotnego sposobu powstawania zjawisk, badania fizyczne nie będą żadną miarą w sprzeczności z tłumaczeniami teologii. Wszelako chwilowa ta illuzya musiała stopniowo i to bezpowrotnie się rozwiać, w miarę, jak duch naukowy coraz śmielszy a równocześnie coraz ogólniejszy, musiał mimowoli te pojęcia teologiczne zdyskredytować już przez to samo, że je ogłosił jako niedostępne dla rozumu ludzkiego (t. IV. str. 558). Nowa metoda naukowa jeszcze więcej uwydatniła jaskrawe przeciwieństwo pomiędzy doktryną teologiczną a pozytywną, ukazując z jednej strony skrupulatną racyonalność w dochodzeniu prawd, dla nas dostępnych, a z drugiej śmiałą lekkomyślność usiłowań, zmierzających do usunięcia najbardziej nieprzeniknionych misteryów. Wkońcu widzi Comte sprzeczność w pogodzeniu niezmiennych praw przyrody z absolutnem poddaniem ich wolom, w wysokim stopniu zmiennym lub ogólnej Opatrzności, podczas gdy znamienną cechą filozofii pozytywnej jest przewidzieć przyszłość i pokierować rozwojem wypadków (str. 559--560).

(C. d. n).

Ks. Leonard Lipke.

Z LISTOPADOWYCH ROZMYŚLAŃ I DOŚWIADCZEŃ.

(Dokończenie)

V.

Z wielu względów położenie na Litwie i Białej Rusi jest podobne.

Jest niem zwłaszcza w prowincyach zbliżonych warunkami swymi do Rusi południowej, więc w białoruskich guberniach mińskiej, mohylowskiej, w witebskiej z wyjątkiem powiatów łotewskich i w grodzieńskiej z wyjątkiem okolic polskich.

Tam wszędzie żywioł polski ma przeciw sobie niechętne i nienadające się do kompromisów wyborczych masy białoruskiego włościaństwa, nieprzejednany bardziej niż na południu kler prawosławny i żydostwo, bez porównania bardziej rozzuchwalone i namiętniej niż gdzieindziej przygotowujące rewolucyę, świadkiem takie ogniska rewolucyjne i terrorystyczne, jak Białystok i Homel, nie mówiąc o miastach gubernialnych.

Natomiast w stronach przeważnie lub połowicznie katolickich, Polacy znajdują się wobec ludności, mocno przeciw nim podnieconej agitacyą nacyonalistyczną i agrarną, ale złączonej z nimi silniejszym ponad te wszystkie rozdźwięki węzłem jedności wiary.

Na tej wspólności religijnej oparł energiczny biskup wileński swoje przedsięwzięcie stworzenia jednolitej partyi polsko-litewsko-łotewskiej na gruncie konstytucyjno-katolickim. Mir, jakiego używa wśród obu narodowości katolickich, w tym samym stopniu ułatwił

mu pomyślne wykonanie planu, który dla kogo innego byłby zapewne niemożliwością. Przedsięwzięcie to nie było rozbiciem jedności narodowej, jak próba przeszczepienia na nasz grunt organizacyi teoryi demokratycznej, ale przeciwnie, wzmacniała ona siły narodowe nowymi obecnie dotąd żywiołami.

Istotnie litewska ludność wiejska zaczęła się garnąć z zapałem pod sztandar nowego stronnictwa. Duchowieństwo zaczęło urządzać wiecyki parafialne i wiece dekanalne i nie tylko w guberniach wileńskiej i kowieńskiej ale i w grodzieńskiej i w mińskiej organizacya katolicka wysunęła się na pierwszy plan życia politycznego kraju.

Program stronnictwa, zmodyfikowany zresztą w duchu bardziej zachowawczym, nie jest jednak i w tej złagodzonej szacie bez zarzutu. Znać na nim, że tworzony był w epoce fermentu i presyi rewolucyjnych pojęć, której to presyi ulegały wówczas najwytrawniejsze i najbardziej zrównoważone umysły.

Taki jaki jest program ten zasługuje niewątpliwie na krytykę, nie zasługuje jednak na istnie sekciarskie napaści, jakie skierował przeciw niemu p. H. K. Milewski na szpaltach *Kuryera Wileńskiego.* Nosiły one jak i cała polemika przeciw ks. Roppowi i jego bądź co bądź niepospolitemu dziełu, charakter nietyle obrony zagrożonych interesów narodowych i społeczno-ekonomicznych, ile — zemsty osobistej lub rywalizacyi dziennikarskiej.

Istotnie, niezmordowany biskup wileński z pomocą rzutkiego i pełnego dobrej woli ks. Nowickiego, założył naraz trzy pisma: codzienne *Nowiny Wileńskie* i dwa peryodyczne dla miejskiego i wiejskiego ludu. *Kuryer Litewski* z początku wychodził sam jeden pod redakcyą p. Sadowskiego i wówczas redagowany był doskonale, w duchu narodowo-zachowawczym, a tak świetnie odzwierciedlał życie społeczne i potrzeby kraju, że można go było poczytać za wzór. Niestety, niedługo nastąpiła zmiana; redakcyę objął, znany w pewnych kołach pod nazwą litewskiego Combesika, literat i ziemianin, p. Czesław Jankowski, który niezbyt jeszcze dawno miał smutną odwagę wyszydzenia i sprofanowania w protestanckim *Tygodniku Illustrowanym* miejsca łask i cudów Maryi — Lourdes. Nie dziw, że pod jego kierownictwem *Kuryer* stał się

areną popisów dla antyklerykalnych szermierzy. W walce przeciw biskupowi znalazł sobie zresztą p. K. H. Milewski sojusznika w biurokracyi, która wcale niedwuznacznie zwróciła się przeciw akcyi politycznej katolików, niezmiernie dla rządu niedogodnej, bo mogącej pojednać na praktycznym wyborczym terenie Litwinów z Polakami.

Ta niechęć rządu i ta praktyczna, niedawno nie dająca się przypuścić ewentualność współdziałania Litwinów z Polakami przy wyborach, to najlepsze usprawiedliwienie programu i akcyi stronnictwa, którego błędy są raczej teoretyczne i przypadkowe a korzyści mogą być nieobliczalne w swych następstwach.

Rozumie się, że dla różnych ambicyjek prowincyonalnych akcya ta nie jest pożądaną, bo wyklucza nowe inicyatywy, mogące zapewnić mandat dla inicyatorów. Trudno: z tem musi się pogodzić p. Milewski, słynny dotąd z tego, że jako właściciel *Kuryera* pisał w nim o przyszłych kandydatach kwalifikujących się do Dumy i jako pierwszego zakwalifikował samego siebie.

Znawcy stosunków przypuszczają, że w kuryi wiejskiej w kowieńskiej i wileńskiej a po części grodzieńskiej gubernii przejdą kandydaci katoliccy. Większa posiadłość wybierze w tych samych guberniach Polaków, w innych przejdą kompromisowi posłowie, w połowie zapewne Polacy, w miastach przeważnie Żydzi.

Posłowie polscy wybrani na podstawie katolicko-konstytucyjnego programu wespół z Litwinami będą niewątpliwie musieli zastrzedz sobie prawo przystąpienia do Koła polskiego, w którem jednak musi im być zostawiona wolność zupełna odnośnie do spraw ich prowincyi, wymagających solidarnego działania z deputowanymi litewsko-katolickimi. Przywrócenie więc litewskiemu językowi należnych mu praw na równi z temi, jakich Polacy żądają dla siebie, usunięcie nauczycieli Rosyan i prawosławno-rusyfikacyjnego kierunku ze szkół ludowych, zwrot przywłaszczonych nieprawnie i przeistoczonych na cerkwie kościołów, wolność prywatnego nauczania oraz zakładania średnich zakładów naukowych polskich i litewskich, nadanie katolickiego charakteru szkolnictwu ludowemu i wolność urządzenia szkolnictwa średniego w duchu katolickim, — rozszerzenie praw katolików i zrównanie ich z prawo-

sławnemi, — wolność zakładania zgromadzeń, przedewszystkiem nauczających i oddanych misyom ludowym wśród katolików, — wreszcie zaprowadzenie ziemstw na szerokich wolnościowych podstawach i uregulowanie za pośrednictwem tych ostatnich, odpowiednio do potrzeb i warunków miejscowych, spraw agrarnych — to będą zapewne najważniejsze punkty w działalności przyszłych polsko-litewskich posłów w Dumie. Godzi się spodziewać, że inni polscy posłowie postarają się o ścisły kontakt i harmonię ze swymi towarzyszami z kuryi włościańskiej.

VI.

W Królestwie ilość posłów, podniesiona staraniem p. E. Dobieckiego z 29 do 36, zwiększyła się obecnie o jednego jeszcze: specyficznego reprezentanta prawosławia i czynownictwa z biednej Chełmszczyzny.

Będzie to poseł z urzędu, mający znaczenie tego rodzaju, jak słynne ziemstwa zaprowadzone za Plehwego na Litwie i Rusi: z członkami naznaczanymi przez rząd.

Pozostałe mandaty będą wyrazem opinii kraju.

Żywioły niepolskie dzielą się w Królestwie na Rosyan, Niemców i Żydów.

Rosyanie oczywiście nie mogą myśleć o przeprowadzeniu swoich kandydatów poza obrębem naznaczonego *po ukazu* z Chełmna i zdecydowali się, pohałasowawszy trochę na — abstynencyę.

Mówimy oczywiście o Rosyanach »prawdziwych« t. j. wiernych tradycyi knuta, łapówki i *obrusienia*. Inni — stanowią niestety mniejszość, ale mniejszość ta pozyskała sobie szacunek i życzliwość polskiego ogółu. Ona także zapewne w wyborach nie weźmie udziału.

Niemcy mimo dość znacznych kolonii przemysłowych i rolnych w zachodniej części Zawiśla nie mogą myśleć o stawianiu kandydatów gdzieindziej, niż w Łodzi. W Łodzi zaś mogliby przeprowadzić swego posła jedynie w razie poparcia Żydów, którzy będą woleli postarać się o własnego przedstawiciela. Przytem między ludnością niemiecką dość zachowawczą, a Żydami należącymi hurtem do socyalizmu, mało jest wspólnego. Być może

jednak wspólna niechęć do Polaków a przedewszystkiem do najnienawistniejszych obu stronom narodowców, niemniej jak umiarkowańszy teren Postępowej Demokracyi, wytworzą ogniwo między Żydami a Niemcami. W każdym razie posła Niemca prawdopodobnie Królestwu złe losy oszczędzą.

Żydzi na współkę z postępowcami byliby niewątpliwie opanowali kurye miast a przedewszystkiem trzy mandaty z Warszawy i Łodzi, gdyby nie zwrot przeciw nim opinii po bankructwie rewolucyi. Ale zwrot ten był silny i dość ogólny. Czując brak gruntu pod nogami, Żydzi w Królestwie wzorem swych współbraci w cesarstwie postanowili bojkować Dumę i siłą przeszkodzić wyborom. Ostatnimi czasy jednak równolegle z nową fluktuacyą opinii nieprzyjazną narodowcom, w środowiskach żydowsko-postępowych i żydowsko-socyalistycznych zaczęło coś nader podejrzanie kotłować i zachodzą poważne poszlaki, że w ostatniej chwili, jak niegdyś Minerwa z głowy Zeusa, wyskoczy w pełnym zbrojnym rynsztunku organizacya wyborcza skrajnej lewicy.

Rzecz charakterystyczna: oba odcienia zachowawcze, niepoprawne w swem judofilstwie, nie pozbyły się dotąd chęci przeforsowania do parlamentu Żydów, nie nauczone rozumu rolą, zajętą w ostatnich czasach wobec nas przez masy żydowskie. »Realiści« zresztą już ustąpili, ale »Spójnia« — nawiasem mówiąc odznaczająca się tem, że nie dopuściła ani jednego księdza do swego grona, ale zato ma w zarządzie swym pastora — ciągle jeszcze próbuje przemycić p. Aszkenazego. Stanowcza odmowa Narodowców dopuszczenia Żydów, jako posłów z Królestwa, spowodowana nie wyznaniem czy rasową niechęcią, ale wrogiem dla kraju stanowiskiem, zajętem przez Żydów ostatnimi czasy, obróci nadzieje te w niwecz.

W pierwszej chwili po bankructwie obu rewolucyi — ekonomicznej i politycznej, oburzenie mas na wodzów przewrotu było ogólne. Za wiele wycierpieli przez nich wszyscy, a lekkomyślność ich, niegodziwość, oszustwo zbyt były oczywiste, żeby nie wpadły w oczy najciemniejszej nawet cząstce proletaryatu. Ogół robotniczy, nie mówiąc już o ludzie nawet bezrolnym na wsi, odwrócił się z obrzydzeniem od tych krwią, ale cudzą, oblanych arlekinów

i błaznów, czyniących sobie igraszkę swawolną z życia, mienia, wolności, sumienia całego narodu. Narodowa demokracya pociągnęła od razu tłumy ku swym organizacyom zawodowym, politycznym, bojowym proletaryatu, podczas gdy równocześnie znaczny zastęp zapisywał się pod sztandar, zainicyowanej tak zręcznie przez ks. Godlewskiego, demokracyi chrześcijańskiej. Jeżeli zaś otrzeźwienie dosięgło najciemniejszych i najbardziej dotąd bałamuconych, w wyższym stopniu oczywiście musiało ono przeniknąć warstwy wykształcone.

Te, jak tamte, ocknęły się po paromiesięcznej niezdrowej zmorze. A że sfery te jedne i drugie leżą poza obrębem wpływów zachowawczych, jedne i drugie też wyciągnęły ręce ku narodowej demokracyi. Ta przed niewielu jeszcze dniami sponiewierana N. D., do której mało kto miał odwagę się przyznać, stała się ogólną kotwicą ratunku. Sprawdziło się to, co zapowiadała, przed czem ostrzegała: podniesiono w górę sztandar jej zwycięski, przez chwilę niemal — jedyny.

Ale za chwilę przyszła i tu krytyka, bo przyszło rozczarowanie.

N. D., stronnictwo uczciwe, przez uczciwych, choć nie zawsze zupełnie zrównoważonych ludzi prowadzone, nie popełniła zbrodni ani nawet rozmyślnych grzechów, popełniła błędy i nieroztropności, które gorzko odbiły się na losach licznych jednostek i całego kraju. Mierzyła siły na zamiary i — zawiodła się. Akcya o język polski w gminie i szkole stłumiona i odemszczona z zaciekłością i okrucieństwem stokrotnie przewyższającem środki, którymi tłumiono rewolucye i karano socyalistyczne mordy i gwałty — przyniosła krajowi katastrofy, których następstwa obliczyć się nie dadzą. W rzeczach publicznych powodzenie rozstrzyga o uczuciach mas. Ciężko przez ogół opłacony zawód, jaki spotkał zaufanie tego ogółu do sterownictwa N. D. osłabił i wśród intelligencyi i wśród wiejskiego ludu powagę wszechwładnego wczoraj jeszcze stronnictwa. Rozterki w łonie jego przywódców, nowe błędy taktyczne popełnione w sprawie uwalnianych lub pozostających w kaźni więźniów, bezwzględność i zarozumiałość, z jaką stronnictwo odrzuciło pomoc innych obozów narodowych i ich usiło-

wania o prowadzenie bezpartyjnie narodowej polityki przedwyborczej — wszystko to nie poprawiło sytuacyi, znaczenia i szans wyborczych N. D.

N. D. miałaby przecie w tej chwili mimo swej porażki w sprawie gminnej i szkolnej prawie wszystkie atuty w swojem ręku, bo z uczciwych i narodowych stronnictw ona jedna ma siłę, popularność i zaufanie ludu, należało jej jedynie skorzystać z chwili, w której radykalizm tak gruntownie zbankrutował, by z nim zerwać i stanąć otwarcie i szczerze na stanowisku, na którem stoi i chce stać dalej społeczeństwo polskie, katolickie.

Ale N. D. nie zawsze może jest demokratyczną — ale zawsze jeszcze odbija się w niej coś z demagogicznych jej początków. Niejeden już raz interes kraju i samego stronnictwa, tak w wielu razach dla kraju pożytecznego, cierpiał na tych reminiscencyach. Dzięki tym starym przyzwyczajeniom i przesądom N. D. boi się »klerykalizmu« i wyrzeka się dobrowolnie części swego wpływu i korzyści, jakie mogłaby przynieść, byle nie narazić się na ten straszliwy zarzut... A szkoda! Bo jeżeli jest hasło, za którem stanąłby ogół od razu, tem hasłem byłoby hasło katolickie. Lud wiejski to jedno hasło czci ponad wszystko, za niem jednem pójdzie zawsze bez wahania ni zastrzeżeń. Lud miejski, choć zbałamucony, dał przecie dowód, że czuje tak samo, bo na to, by go pociągnąć do pierwszej antysocyalistycznej organizacyi, jaka powstała wśród niego w Warszawie, musiał go zawezwać ksiądz i zawezwać do — kościoła. Ziemiaństwo dałoby się pociągnąć przykładem ludu a wśród intelligencyi miejskiej, obojętnej lub wrogiej katolicyzmowi, dzięki żydowsko-postępowym wpływom, znalazłaby się bodaj poważna mniejszość, która poszłaby za masą narodu, wola ogółu przybrałaby wówczas elementarną siłę, której niktby się nie potrafił oprzeć. Stanąwszy więc pod sztandarem katolickim szczerze i otwarcie, narodowcy byliby panami kraju, opinii, przyszłości...

Ale oni nie zrozumieli duszy polskiego ludu i woleli liczyć się z opinią kawiarni i radykalnej prasy...

W stosunku do ludu wiejskiego powinno przecie było samo doświadczenie wskazać narodowcom właściwą drogę. Zyskali oni

przecie zaufanie ludu swoją działalnością wśród Unitów i podtrzymywaniem katolicyzmu przeciw propagadzie prawosławnej. Na wiecu włościańskim w Warszawie umieli dostroić się do dyapazonu pojęć i uczuć religijnych włościan i dzięki temu wiec ten stał się jedną z najpiękniejszych manifestacyi nieskażonego ducha narodu, jaką szczycić się może nasza współczesna historya. Trzeba też przyznać, że stosując się do wierzeń ludu, z roztropnego oportunizmu narodowcy nie przenieśli tego oportunizmu na pole społeczno-ekonomiczne. Pogardzając łatwymi środkami zyskania sobie popularności proletaryatu wiejskiego i miejskiego, nie grali nigdy na jego pożądliwościach, nie rozbudzali w nim nienawiści klasowej, ani głodu ziemi, ani nadziei, nie dających się w normalnem społeczeństwie urzeczywistnić. W kwestyi ekonomicznej agrarnej byli to prawdziwi przyjaciele ludu, bo mieli odwagę mówić mu prawdę i to w czasach, gdy stanowiło to niemałą trudność i niemałą zasługę.

Niestety, odwagi tej zabrakło im na polu politycznem. Już włączenie wbrew lepszemu przeświadczeniu powszechnego głosowania do swego programu w Królestwie, podczas gdy zdrowy rozsądek każe im go odrzucać w więcej politycznie wyrobionej Galicyi, było godnem pożałowania ustępstwem, zrobionem kawiarnianej opinii. Usunięcie na bok religijnych momentów z życia publicznego, o ile te ostatnie nie są czynnikiem agitacyjnym w sprawie narodowej i w celach stronnictwa było błędem jeszcze gorszym. Odebrało to akcyi N. D. moralną podstawę i gwarancyę przyszłości.

Bo na prawdę, co sobie obiecuje N. D. z takich szkół, jakie pod jej wpływem powstały w Warszawie i kraju? Jakie nadzieje buduje na pokoleniu młodzieży, która po roku strajku szkolnego wychowuje się obecnie systemem niepraktykowanej nigdzie w świecie jakiegoś *self-governement* z prawem rozstrzygania o wyborze nauczycieli i kierunku nauki, wiecowania o polityce, proklamowania tych lub innych zasad politycznych i religijnych, z prawem bojkotowania niemiłych nauczycieli i niemiłych przedmiotów, w pierwszym rzędzie, jak się to podobno często w wyższych klasach zdarza, nauki religii i nabożeństw szkolnych. Rosyjska szkoła

nie potrafiła młodzieży ani wynarodowić, ani zepsuć, ani pozbawić wiary, dlatego samego, bo starała się o to zbyt brutalnie i bezwzględnie, bo była obcą i wrogą. Ale jeśli tę samą młodzież zacznie gangreną moralną i anarchią zarażać szkoła polska, co wówczas stanie się z przyszłością narodu? Nie chcę przesadzać w pesymizmie, przyznaję, że ciała nauczycielskie szkół polskich w Warszawie liczą wielu ludzi, szanujących wiarę narodu i znaczenie swych wychowańców: przypuszczam, że na prowincyi jest pod tym względem jeszcze lepiej. Przyznaję też większości nauczycielstwa polskiego dobrą wolę i patryotyczną chęć służenia ojczyźnie podług najlepszego przekonania, a liczne usterki pedagogiczne, na jakie obecnie uskarżają się rodzice, nieuniknione przy niezwykłych warunkach, w jakich szkoły polskie powstały, dadzą się usunąć z czasem i podziwiać trzeba zmysł praktyczny i patryotyczną energię przełożonych tych zakładów i ich pomocników wobec tego, że usterek tych jest tylko tyle. Ale jeśli braki sił, środków pomocniczych i warunków zewnętrznych są do naprawienia, nie do naprawienia jest złe, które wyrządza spaczony system wychowawczy, polegający na tem, że młodzież szkolna powołaną jest do rozstrzygania o sprawach naukowych i wychowawczych z pominięciem autorytetu rodziców i nauczycieli, że władze szkolne dopuszczają do szkoły wiecowania polityczne i co gorsze, nie tylko dyskusye religijne ale antyreligijny terroryzm, że nauczyciele polscy, jak o tem słychać coraz częściej, wzorem rosyjskich poprzedników ale z lepszym skutkiem uprawiają na swych wykładach antyreligijną propagandę. Nie chcielibyśmy zarzutu tego uogólniać, ale gdyby tylko sporadyczne były nadużycia w wymienionym kierunku, niepodobna zaprzeczyć faktu, że szkoła narodowa zajmuje w najlepszym razie wobec wiary narodu stanowisko obojętne, że jest pozawyznaniową. Urządzanie kaplic i nabożeństw szkolnych — przez wyższe klasy często bojkotowanych — faktu tego nie zmienia. I nie może być przecie inaczej, skoro Związek nauczycielski przy swem zawiązaniu oświadczył się tak stanowczo przeciw szkołom wyznaniowym, nakazując ich bojkotowanie, a pod pretekstem wolności sumienia podniósł zasadę usunięcia nauki religii i religijnych praktyk na razie jako obo-

wiązkowych. Wszak we wzorowem narodowem gimnazyum p. Sierzputowskiego naukę religii wedle programu — podobno niewykonanego pod presyą czy władz rosyjskich, czy polskiej opinii publicznej — naukę religii ograniczono do 4 klas niższych, a w innym zakładzie, który wedle programu miał mieć charakter chrześcijański, grono nauczycielskie oświadczyło, że ten ustęp musi uledz zmianie, bo oni, nauczyciele, wcale nie myślą wykładać w duchu wyznaniowym chrześcijańskim.

Za nauczycieli socyalistów N. D. nie odpowiada: odpowiada jednak za swoich, a niestety trudno nam dopatrzyć między jednymi a drugimi różnicy, gdy chodzi o religię lub o zdrową karność szkolną...

Niepodobna nam również zgodzić się na politykę N. D. wobec kleru i Kościoła jako instytucyi społecznej.

Stojąc w obronie praw narodu, mieli narodowcy poniekąd słuszność, gdy występowali przeciw partyjności pewnych kół duchownych i świeckich, chcących kler przemocą zagnać do obozu ugodowego, robiących władzom rosyjskim upokarzające i zabójcze dla życia kościelnego ustępstwa. Sprawiedliwość każe dodać, że fakty podobne bywały przez N. D. wyśrubowywane, przesadzane dziesięćkrotnie i że przytem okoliczności łagodzących nie uwzględniano zbyt często. W każdym razie potępiając partyjność i niedostateczne stróżowanie praw Kościoła u innych powinna była N. D. sama uznać i uszanować prawa te, a od kleru żądać, by był polskim, zostawiając mu równocześnie prawo i przywilej bezpartyjności, czy raczej ogniwa łączącego wszystkie partye narodowe. Ale N. D. postąpiła inaczej. Wyzyskując rozdźwięki, nieporozumienia, ogólne błędy i ciasnotę duchową jednych, niedojrzałość i niekarność drugich, N. D. postarała się o skupienie wkoło swej organizacyi jak największej ilości młodych księży, posługując się przedewszystkiem i wysuwając na pierwszy plan najniespokojniejszych i najbezwzględniej opornych władzy duchownej. Nie myślimy wcale rzucać podejrzeń ani potępień na całość kleru, idącego za sztandarem narodowo-demokratycznym; czytelnicy tych kart mogli chyba przekonać się sami, że piszącego więcej względów z N. D. wiąże, aniżeli od niej oddala, dla katolika je-

dnak są rzeczy, których najbliższemu przyjacielowi ani przemilczeć ani darować nie wolno, a do tych należy przedewszystkiem sama podstawa katolicyzmu: hierarchiczna karność. Tę karność podkopała akcya narodowo-demokratyczna wśród kleru. Żeby o innych rzeczach zamilczeć, wystarczy przypomnieć niefortunny wiec księży zwołany wbrew woli i bez błogosławieństwa episkopatu, a skompromitowany takiemi rezolucyami jak w sprawie kary śmierci i powszechnego głosowania, które zastąpiły inne właściwsze o wiele dla zebrania kapłanów: np. o potrzebie katolickich szkół, katolickiej organizacyi parafialnej, wznowienia zakonów, misyi ludowych, rekolekcyi kapłańskich w szerszym niż dziś zakresie i wielu innych sprawach pierwszorzędnej wagi dla kapłana i dla katolickiego ludu.

Niestety — dla N. D. Kościół jest tylko jednym z czynników publicznego życia, mającym o tyle znaczenie i wartość, o ile go można zużytkować dla partyjnych celów. Zamiast naśladować ślepą zaciekłość socyalizmu przeciw chrystyanizmowi wogóle, a katolicyzmowi w szczególności, N. D. naśladuje tradycye mieszczańskiego liberalizmu; uznaje Kościół, ale tylko jako narzędzie w swem ręku. Niewątpliwie pojmuje ona swój cel jako nie stronnictwo, ale jako ogół narodu i od Kościoła żąda, by był instytucyą nie partyjną, tylko narodową. Ale i takie pojmowanie Kościoła jest wręcz przeciwne posłannictwu instytucyi, która niewątpliwie stwarza najsilniejszy cement dla spojenia i podźwignięcia każdego prowadzonego przez nią narodu, ale działalność swą w równym stopniu stosować musi dla dobra wszystkich narodów uciekających się pod jej skrzydła.

Wszystko to razem zniechęca do N. D. lub zmusza w stosunku do niej do poważnych zastrzeżeń, wielu poważnych i wpływowych czynników społecznych. Nie przeszkodzi to im pójść ręka w rękę z N. D. przy wyborach, by niedopuścić kandydatów przewrotu, ale odbiera poparcie trwałe i nieraz nader potrzebne, któregoby czynniki te idei i pracy N. D. użyczyły. Wiemy dobrze, że czynniki te są pozbawione szerszego oddźwięku w masach i choćby chciały, polityki na własną ręką inaczej jak przy zielonym stole prowadzić nie są w stanie. Wiemy, że z nimi

czy bez nich N. D. zwycięży na całej linii i że losy Koła polskiego a względnie i losy kraju, o ile on o losach swych sam będzie rozstrzygał, na jakiś czas pozostają wyłącznie w ręku N. D. panującej nad sytuacyą polityczną bez rywali. A wreszcie wiemy i to, że czynniki owe skazane są fatalnie na rozpłynięcie się w najkrótszym czasie w morzu N. D. lub na ostateczne cofnięcie się z areny publicznego życia. Ale z drugiej strony nikt rozsądny w łonie N. D. nie może przypuszczać, by jej obecne położenie mogło pozostać trwałem. Stronnictwo obejmujące wszystkich przestaje być stronnictwem — co zresztą sama N. D. o sobie przyznaje — a tem samem w łonie jego muszą wytworzyć się sprzeczne prądy, bez których życie polityczne jest niemożliwe. Rzeczą roztropnych przywódców jest przyszłą tę ewentualność dziś już przewidzieć i przygotować.

Jeśli zaś do niej przyjdzie, a przyjść musi prędko — N. D. znajdzie się wobec szerokich sfer, dla których moment religijny będzie miał pierwszorzędne znaczenie. Co z niemi zrobi N. D.? Czy je zmusi do usunięcia się ze swych szeregów wraz z tymi zachowawczymi żywiołami, które chwilowo do niej przymknęły, widząc w niej jedyne oparcie przeciw przewrotowym i antyreligijnym napaściom? Czy postara się raczej stworzyć z niej prawe swe skrzydło, jak w Austryi obóz katolicki ludowy jest prawem skrzydłem chrześcijańsko-socyalnych? Ale jeśli tak, trzeba dziś już przygotować most a nie tworzyć muru między N. D. a Kościołem, hierarchią i zasadniczymi postulatami katolickiego ludu: o katolicką szkołę, o autonomię parafialnego i dyecezyalnego życia, o zakony i t. d. Tymczasem żadnego z katolickich postulatów nawet milcząco stronnictwo nie przyjmuje, niektóre owszem otwarcie zwalcza.

Czego dotąd nie zrobiła także, to poważnego, szczerego porozumienia się z obu zachowawczymi odłamami. Nie możemy brać na seryo protestancko-konserwatywnej a nadewszystko koziołkowatej »Spójni«, z jej »klasycznym« kandydatem na posła z Warszawy, p. Szymonem Askenazym; ale realiści mają jeszcze dużo pleców w kraju a zwłaszcza dużo praktycznych, z potrzebami kraju i sposobami służenia mu obeznanych ludzi w swem gronie.

Wiemy, że skrajne żywioły N. D. pragną na wszystkich tych ludzi rozciągnąć ostracyzm i swoich tylko kandydatów posłać do Petersburga, uważając, że wystarczy tam mieć 36 pionków do głosowania. Wiemy także, że te same żywioły starają się o dopuszczenie jako przedstawicieli duchowieństwa, jedynie księży o skrajnych, niedojrzałych i mało kościelnych zapatrywaniach, których Kościół w Królestwie za swych przedstawicieli uznać nie może. Chcielibyśmy mieć nadzieję, że lepsze wpływy, których w kierownictwie partyi nie brak, zwyciężą i że N. D. nie pozbawi reprezentacyi naszej mężów, którzy są jej niezbędni i których należałoby ściągnąć przemocą do Dumy, gdyby nie poszli tam dobrowolnie; zamiast ich dotykać nieuzasadnionym ostracyzmem, żeby tylko wymienić najlepszego znawcę stosunków miejskich adwokata Suligowskiego, pełnego zasług działacza i najlepszego może znawcę petersburskiego terenu F. Dobieckiego, szanowanego przez wszystkie stronnictwa za wytrawność zdania i nieskazitelność kryształowego charakteru Józefa hr. Ostrowskiego i innych.

Wspomnieliśmy o niebezpieczeństwie ze strony kosmopolitycznego radykalizmu. Jest ono i jest poważne.

Wprawdzie hasło »Precz z wyborami!« padło wszędzie z tej strony w całem państwie, mamy jednak powody przypuszczać, że hasło to nie będzie wykonane. W miastach litewskich w chwili pisania tych słów, już Żydzi wzięli udział w prawyborach. Wezmą i u nas. Połączą się z nimi nieprawni doktrynerzy polskiego liberalizmu i pod wspólną zapewne komendą z P. D. pójdą różne odcienia socyalizmu i anarchii.

Przeciw połączeniu wszystkich stronnictw narodowych, które niewątpliwie stanie się faktem z chwilą wyborów, wystąpi połączenie wszystkich odcieni antypolskich pod czerwoną chorągwią...

Organizacye socyalistyczne zbyt wyraźnie przybrały kosmopolityczny charakter i zbyt otwarcie i wytrwale poddały się obcej po części niemieckiej, a po części rosyjskiej komendzie, by trzeba było dowodzić ich przeciwieństwa z dążeniami narodowemi. Co do P. D. dowód jej kosmopolityzmu nietrudny. Niegdyś macierz jej, szkoła pozytywistów warszawskich, rzuciła pierwsza nie tylko hasło ugody ale i assymilacyi z bardziej od polskiego,

wyzwolonem od przesądów społeczeństwem rosyjskiem. Później w Galicyi *Kuryer lwowski*, reprezentujący te same mniej więcej zasady, którym tu służy P. D., był przez lata całe organem najzjadliwszego wroga polskości, bluźniercy przeciw Mickiewiczowi, Iwana Franki, areną popisów polakożerczych, radykalno-małoruskich przyjaciół tego ostatniego, mniej więcej tem samem, czem cenny organ p. Werguna w Wiedniu. Wierna tym tradycyom *Nowa Gazeta* — odrodzony z popiołów *Gazety Handlowej* organ p. S. — nie wiem dobrze Szai czy Stanisława? — Kempnera, potrafiła w krótkich chwilach swego istnienia stać się organem Rusinów galicyjskich, w ich walce z polskością i organem litwomanów w takiejże samej walce. Artykuły zasadnicze p. Feldmana — oczywiście krakowskiego Wilhelma! — dowodzą, że w Galicyi większość małoruska uciskana jest niegodziwie i wynaradawiana przez mniejszość polską. Czytelnicy *Przeglądu* wiedzą dobrze, lub z pierwszej lepszej statystyki mogą się dowiedzieć, czy naprawdę Rusini stanowią w Galicyi większość? Odliczywszy ogromną masę Żydów, podających się, ale nie uznanych za Polaków przez p. Feldmana, który sądzi o ich szczerości po własnych dla Polski uczuciach, — pozostanie przecie o parękroć więcej Polaków niż Rusinów. W ten sam sposób adwokatuje przeciw polskiemu uciskowi politycznemu i kościelnemu Litwinów p. Horbaczewski, na szpaltach *N. G.*, napadając na ks. biskupa Roppa, za rzekome polszczenie ludności litewskiej przez Kościół, a na ogół ludności polskiej za to, że litewskiej dyecezyi sejneńskiej chce intrygami narzucić polskiego biskupa. Owoż w litewskiej dyecezyi sejneńskiej Polaków jest coś prawie dwa razy tyle co Litwinów; za to Litwini stanowią większość kleru i jeżeli w tych stosunkach, przed czem trzeba bronić polskiego ludu to przed litwinizacyą go za pośrednictwem Kościoła.

Ale mniejsza o to, że współpracownicy *Nowej Gazety* nie mają racyi. Gdyby ją nawet mieli, rola pisma polskiego, oddającego się na usługi wrogom polskości, nie przestałaby być dziwną. Wyobraźmy sobie pismo niemieckie, francuskie, angielskie w roli podobnej! Ale tam coś podobnego nie byłoby możliwe!

Próbka patryotyzmu *N. G.* rzuca światło na to, czego może

się spodziewać społeczeństwo od posłów tego kierunku. Nie ulega też wątpliwości, że w zrozumieniu niebezpieczeństwa i wynikających z niego obowiązków, wszystkie żywioły narodowe podadzą sobie ręce przy wyborach, strzegąc się nie tylko rozbicia głosów ale i abstynencyonizmu. Lepiej stokroć, żeby wyszedł z urny kandydat mniej wartościowy ale polski, niż dopuścić do wyjścia wroga narodu, jakim będzie z fatalnej konieczności najlepszy z posłów socyalistycznych lub postępowych.

Zdaje się, że z wyjątkiem Łodzi nie dojdzie do tego, jeśli narodowe żywioły spełnią swój obowiązek. Izba prawdopodobnie otrzyma wszystkich prawie posłów z Królestwa — narodowych demokratów z wyjątkiem kilku »realistów« i »Spójniarzy«, o ile ich N. D. zgodzi się dopuścić.

VII.

Nie dość jednak wybrać posłów. Pozostaje zapytać się, co czynić dalej w Izbie i kraju?

Wybory odbędą się zapewne swobodnie. Rząd nie ma poprostu żadnego interesu w popieraniu lub przeszkadzaniu tej lub owej partyi. Wszystkie mu są zarówno antypatyczne, nie wykluczając »realistów«, przeciw którym świeżo, jeszcze z większą niż przeciw innym stronnictwom wściekłością, zaczął rzucać się w zjadliwych artykułach oficyalny *Dniewnik*. Nie dziw; wszak rząd w Królestwie, to biurokracya rosyjska, a dla tej równie niebezpieczne są wszystkie programy polskich stronnictw, kulminujące we wspólnem żądaniu autonomii i usunięcia rosyjskiej administracyi z kraju.

Powiedzieliśmy to już; rosyjska administracya lokalna nie dopuszcza do żadnych ustępstw dla Polaków, widząc w nich słusznie swą zgubę. Świeżo przeszkodziła polonizacyi szkolnictwa, zamierzonej przez ministra oświaty hr. Tołstoja, przeszkodzi i innym reformom. Niesłychane barbarzyństwa, prowokacye, znęcanie się nad ludnością polską, niemniej jak bezgraniczna zła wiara, z jaką narodowym rewindykacyom nadaje się piętno rewolucyi, dowodzą jasno, że czynownictwo ma zamiar przemocą zatrzymać władzę i zapewne mu się to uda. Optymiści, jak zawsze

Polacy, liczą na reformy niedalekie co do czasu a daleko idące co do rozmiarów. Bodaj czy nie mylą się zupełnie. Zamknięcie uniwersytetu, instytutu agronomicznego i założonej za polskie pieniądze politechniki, — układy prowadzące się o przeniesienie pierwszych dwóch zakładów w głąb Rosyi, jak i ton gazet czynowniczych i całej biurokracyi wróżą nie tylko utrzymanie obecnego systemu, ale nawet reakcyę na kresach, choćby do niej nie doszło w Petersburgu. Nadzieje pokładane w Dumie są niepewne i zawieść mogą łatwo. Najprzód niewiadomo, z jakich żywiołów będzie się ona składać, a gdyby nawet żywioły te były nam przychylne, będą one miały o czem innem do myślenia niż o nas. Inaczej traktuje się kwestyę polską w zebraniach Ziemców, inaczej w parlamencie... Mów naszych będzie ten ostatni słuchał z oklaskami, może zamiast szykan, zapewne postara się o zrównanie nas zupełniejsze niż dotąd w prawach z Rosyanami, ale rządu dla naszych pięknych mów i naszych gorzkich skarg nie obali. Rząd zaś nie usunie administracyi swej z Królestwa, choćby dla tej prostej przyczyny, że nie zechce stworzyć sobie nowej armii malkontentów z tych 50.000 czynowników, których Rosya nie przyjmie i nie wykarmi i którzy pójdą chyba gremialnie w szeregi rewolucyonistów.

Wobec tego rola Koła polskiego w Izbie będzie zapewne dość podobną do tej, jaką od tylu lat mają posłowie nasi w Berlinie, rola o tyle chyba korzystniejsza, że u znacznej części Rosyan mniej jest uprzedzenia i *parti pris* przeciw Polakom i że większa ilość posłów może uczynić ich głosy przedmiotem targów i kompromisów ze stronnictwami lub rządem.

Rola społeczeństwa będzie ważniejszą. Ponieważ niewątpliwie swobody ogólne nie zostaną cofnięte i Polacy będą mieli w nich udział, społeczeństwu wypadnie zorganizować się, biorąc znowuż za wzór Wielkopolskę i Śląsk. Stan wojenny i arbitralność, będąca jego wynikiem i celem, nie zostaną prawdopodobnie zniesione do zwołania Dumy, a po ukończeniu wyborów, władze ścieśnią zapewne obecną wolność zebrań i stowarzyszeń; opierając się jednak na świeżych ustawach, społeczeństwo będzie mogło zorganizować się do porządnej pracy kulturalnej i ekonomi-

cznej. Praca ta niewątpliwie jest pierwszem jego zadaniem. Niesłychany zamęt pojęć i logiki politycznej, w połączeniu ze zdumiewającą nieraz ignorancyą tego co w dodatnim zwłaszcza kierunku zdobyły społeczeństwa zachodnie, jak i tego, co działo się i dzieje u nas, co stanowi niebezpieczeństwo albo najbliższy nasz obowiązek, smutne cechy naszego publicznego życia w pierwszych jego przejawach dni ostatnich — powinny zostać usunięte usilnem i konsekwentnem staraniem o uświadomienie ekonomiczne i polityczne wyższych warstw społecznych. Wtedy dopiero gdy zostaną uświadomione same i przestaną rządzić się przestarzałymi frazesami i przesądami, nadejdzie kolej na spełnienie przez nie drugiej części obowiązku — oświecenia mas, których ciemnota i wyhodowane przez rząd barbarzyństwo, umożliwiły dezorganizacyjną robotę socyalistom.

Organizacya zacząć się powinna od kleru.

Smutnym objawem obniżenia duchowego jego poziomu, jest widok tej zupełnie odrębnej od innych warstwy społecznej, naśladującej zawodowe aspiracye i organizacye lekarzy czy krawców. Objaw ten spotykamy w krajach, pod względem katolickiego uspołecznienia mniej wartościowych; nieznany on jest natomiast w środowiskach gruntownie i gorąco katolickich i posiadających kler wyższy nad zwykłą miarę, np. w Niemczech, Włoszech lub Francyi.

Innym objawem, towarzyszącym wyłącznie niedostatecznemu katolickiemu wyrobieniu i brakowi kapłańskiego natchnienia wśród duchowieństwa, jest mieszanie się księży do politycznych stronnictw i stronniczych zatargów w łonie własnego społeczeństwa, o ile udział ten nie jest wywołany obroną praw Kościoła, względnie interesów moralno-religijnych ludu. Kapłan nie przestaje być synem swej ojczyzny i patryotyzmu, wdziewając sutannę nie zwleka, ale do spraw czysto świeckich ani z religią ani z narodowością nie zostających w związku mieszać się nie jest jego rzeczą, przynajmniej o ile występuje jako ksiądz. Tem mniej godzi mu się występować w charakterze prowokacyjnym i drażniącym.

To też niema uświadomionego katolickiego kapłana, któryby nie zdumiał się nad pewnymi występami publicznymi du-

chowieństwa i nie uznał w nich świadectwa poważnych braków w wykształceniu teologicznem i ascetycznem, a zarazem dowodu, że w tutejszych stosunkach kościelnych dużo jest do zreformowania. Takie znów zjawiska, jak będąca już formalnem odszczepieństwem, organizacya Mankietników, dowodzą, że wśród kleru gangrena idzie z dwóch stron a przez kler przenika do ludu.

Jakie są przyczyny, które w całości na to wszystko się składają? Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć. Konstatujemy fakt, który jest godzien poważnego zastanowienia się i szybkiej a energicznej akcyi zaradczej.

Otóż zamiast organizacyi zawodowej kleru, wskazanem byłoby utworzenie wśród księży Sodalicyi lub bractw eucharystycznych, które tak się przyczyniły do podniesienia ducha kleru dolno-austryackiego. Za tem poszłoby oddziaływanie księdza na lud przez organizowanie kółek parafialnych, bibliotek chrześcijańskich, towarzystw Św. Wincentego i t. d.

Wśród świeckich trzeba przedewszystkiem zapoznać się z metodami i rezultatami akcyi katolickiej na Zachodzie. Bardzo trafnie od koła Studyów rozpoczęła swą działalność Demokracya chrześcijańska, energicznie rozwijająca się pod opieką niezmordowanego w służbie Bożej ks. biskupa Ruszkiewicza, dzięki doskonałej i owocnej działalności księży: Godlewskiego, Matulewicza i Przeździeckiego oraz pomagających im świeckich ludzi. W tym samym duchu i w porozumieniu z tą akcyą zainicyowano koło Studyów nad organizacyą życia katolickiego i stowarzyszeń na Zachodzie. Związek katolicki nie wyszedł jeszcze z przedwstępnego stadyum i zapewne będzie musiał przeprowadzić znaczne reformy i przeobrażenia nim rozpocznie swą praktyczną działalność. Organizacya kas reiffeisenowskich, zainicyowana z katolickiej strony, jest obecnie przedmiotem przygotowawczych studyów jednego z poważnych działaczy, który w tym celu udał się do Niemiec. Propaganda prasowa rozpoczęta już wydawnictwami ks. Godlewskiego będzie mogła się rozwinąć w razie stworzenia Związku prasowego na wzór *Augustinusverein* i *Soc. de St. Paul.* Wskazaną także byłaby propaganda odczytów ludowych na wzór doskonale

zorganizowanych w Rosyi *Narodnych Cztienii* o ile na to represye stanu wojennego pozwolą.

W piekącej kwestyi szkolnej niestety na razie niema prawie nic do zrobienia. Nawet, gdyby rząd zgodził się na otwarcie nowych zakładów o charakterze katolickim, zakłady te nie mogłyby odpowiedzieć zadaniu dla zupełnego braku katolickich, t. j. uświadomionych i chcących działać po katolicku nauczycieli. Ponieważ bowiem mała tylko ilość osób posiada potrzebne kwalifikacye urzędowe, ta garstka posiada tylko monopol wykładania w prywatnych szkołach, zapatrywania jej zaś ujawniły się w znanych uchwałach Związku polskich nauczycieli. Dlatego praca katolików zacząć się musi od wykształcenia odpowiednich sił pedagogicznych, co znowuż jest prawdziwą kwadraturą koła, wobec niemożności otwarcia seminaryum pedagogicznego i znalezienia dlań kierowników.

Autonomia szkoły, wolność sprowadzenia na początek przynajmniej sił nauczycielskich z zewnątrz a zwłaszcza nauczających zgromadzeń, powinny stać na pierwszym planie starań i rewindykacyi polskich posłów. Niestety — nie trzeba się łudzić, by te starania były skuteczne...

Dla szkoły ludowej trzebaby zdobyć przynajmniej wpływ obowiązkowy kapłanów, bo o nadaniu im charakteru parafialnego niema co myśleć. Sprzeciwiłyby się temu nie tylko władze, ale i miejscowe rozstrzygające czynniki narodowe liberalizmem przesiąkłe.

Natomiast ubezwładniona na razie niesłabnącą represyą rządu i daleko idącym indyferentyzmem lub niechęcią polskiej intelligencyi akcya katolicka ma obszerne pole oddziaływania na lud w szerokich i czynnych kołach tercyarskich, które przy dobrem kierownictwie mogą i wśród ludu i wśród młodzieży oddać znakomite usługi.

Nie ulega jednak wątpliwości, że o oddziaływaniu istotnem na społeczeństwo poza obrębem zakrystyi i konfesyonału nie może być mowy, jak długo nie pozwolą na wolną szkołę i na wolny przystęp i rozwój zgromadzeń zakonnych. O tem zaś wszystkiem na razie niema mowy.

Wogóle przyszłość Królestwa jak i innych prowincyi dawnej Rzpltej rysuje się ciemno.

Z jednej strony miejscowa biurokracya, gotowa raczej sztucznie wywołać rewolucyę socyalistyczną, lub żywiołowe odruchy narodowej rozpaczy, niż puścić ze szponów krwawiący się kęs zdobyczy.

Z drugiej rząd, niemający ani chęci ani interesu, zrobić ustępstwa kresom, na których mu nic nie zależy.

Dalej stronnictwa rosyjskie, z których jedne rozsądniejsze i programem swym dające gwarancye własności, ładu społecznego i względnego poszanowania dla podstaw moralnych, ale równocześnie zasadniczo i nieubłaganie, przeciwne wszelkim dla nas ustępstwom, wszelkiemu wyzwoleniu nas z pod dotychczasowego systemu knuta i popowsko-czynownicznej rusyfikacyi, — drugie w doktrynach i obietnicach wielce nam życzliwe, ale zato w wysokim stopniu niebezpieczne swym ogólnym kierunkiem ekonomicznym, społecznym i politycznym, niebezpieczniejsze dla nas niewątpliwie w razie ziszczenia ich nadziei i dążeń od najgorszych naszych wrogów, od Gringmuthów i Pichnów wszelakiego kalibru.

Wokoło nas rozhukane morze żywiołów najsprzeczniejszych z sobą, ale zgodnych we wspólnym antagoniźmie ku nam. Mało i Białorusini, skwapliwsi do wyrugowania nas z tradycyjnego kulturalną pracą zdobytego stanu posiadania w siedmiu guberniach Litwy i Rusi od wszystkich grasujących tam dotąd rusyfikatorów. Litwomani, jeszcze bardziej zdawałoby się przeciw nam zacietrzewieni. Niemcy kierowani potężną dłonią z nad Sprei. Żydzi dążący otwarcie do zgniecenia polskiego żywiołu wszędzie strajkami, rozruchami agrarnemi, terrorem, rewolucyą polityczną i ekonomiczną, a w razie nieudania się jej i przyznania sobie równouprawnienia — podbojem ekonomicznym i intellektualuym, który będzie bezpośrednim tego równouprawnienia następstwem.

W łonie własnego społeczeństwa straszny rak przewrotowych doktryn, rozszerzany głównie przez zasymilowanych językiem i pozorami cywilizacyi, ale nie tradycyą i treścią kultury Żydów. Obok tego liberalizm powierzchowny, zdawkową monetą frazesów kierujący się, pełen przesądów i niechęci do wszystkiego,

co społeczeństwo mogłoby uzdrowić, podnieść, zabezpieczyć i wytworzony przezeń indyferentyzm w rzeczach wiary. Wreszcie rozdarcie się na partye tam właśnie, gdzie ich najmniej byćby powinno: na kresach.

Oto bilans.

Bilans zaprawdę smutny, tem smutniejszy, że po długich latach gangrenującego zewnętrznego ucisku, grozi w przyszłości społeczeństwu straszniejsza jeszcze gangrena z wewnątrz. Ale jeżeli kiedy, to w dniach naszych maksyma Starowolskiego sprawdza się w całej pełni: czasy zmieniają się tak szybko i tak dziwnie, a tak przedziwnym jest Bóg. To też od zawodnych ludzkich przewidywań i obaw, które jutro już może się rozwieją, tak samo jak od gorączkowych oczekiwań i nadziei, które i za lat wiele może się nie ziszczą, wzrok i myśl biegną w górę, tam, gdzie się rozstrzygają losy ludzkości i każdego ze składających ją narodów, szukając — nie odpowiedzi zapewne na dręczące duszę pytania, ale wszechmocnego a miłosiernego rozwiązania problematów i powikłań, których rozwiązać a zwłaszcza rozwiązać pomyślnie, ludzka moc niezdaje się być wstanie.

Ignotus.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

(Ciąg dalszy).

II.

Z Damaszku do Der'at.

Pożegnanie z Damaszkiem — stacya Kadem — towarzysze drogi — obawy i nadzieje — dezerterzy — *fata morgana* — wiatr haurański — περιστερεῶνες — kilka słów o Hauranie — przyjęcie w Der'at — warsztaty kolejowe — odjazd.

Nie bez pewnego uczucia smutku i żalu opuszczałem Damaszek po trzech dniach pobytu. Ta stolica Syryi, starsza niż Rzym, niż Ateny, nie przechowała wprawdzie wzbudzających podziw pomników wiedzy, sztuki, czy potęgi, ale przechowała rzecz godniejszą uwagi: życie wschodnie. A to życie, wolne od gorączkowej działalności Zachodu, starzeje się nader powoli, a i w starości nawet nie zarzuca swych zasadniczych cech, które je znamionowały w zaraniu. Wschód nie wyszedł jeszcze z lat młodzieńczych, podczas gdy w Europie tyle ludów już zamarło, a inne — w oczach naszych — grzyb starości pożera lub nadgryza. I stąd to uczucie żalu, gdy żegnać przyszło, mimo czterotysięcznego istnienia, młodzieńczy jeszcze Damaszek.

Po półtoragodzinnej jeździe powozem wydostaliśmy się nareszcie z dzielnicy chrześcijańskiej poza mrowisko Mejdanu i stanęli

przed stacyą *El-Kadēm* (t. j. stopa), początkiem kolei mekkańskiej. Ruch tu dość ożywiony. Dwa tory zajęły wagony, na trzecim czeka nasz pociąg.

Pragnąc zawczasu zaopatrzyć się w bilety, kierujemy nasze kroki do budynku stacyjnego. Po długiem czekaniu zaczyna się rozdawanie biletów. Na środku pokoju stół; za nim czterech sturczonych Beduinów przygotowuje *tickets:* jeden pisze, drugi stempluje, trzeci podpisuje i przybija pieczątkę, czwarty odbiera pieniądze. Manipulacya dość zawiła, bo biletów gotowych jeszcze niema; wydają tylko upoważnienia na kartkach. Pokój przepełniony podróżnymi. Najgłośniej słychać niemczyznę, obok niej język włoski, francuski, arabski i turecki. Są to po największej części urzędnicy i robotnicy budującej się kolei.

Zapłaciwszy 25 franków za bilet do Ma'an (± 480 klm) wychodzę... na peron, powiedziałby Europejczyk, w rzeczywistości na pole przed stacyą. Trzeba wcześnie upatrzyć sobie jakiś kącik, bo czeka mnie dwudniowa podróż, i to w wagonie trzeciej klasy. Innych klas jeszcze nie zaprowadzono. Wagony dość uczciwe, belgijskiej roboty, z przechodem w środku, bez żadnych oddzielnych przedziałów (separatek). Bardzo jednak wązkie, bo i kolej jest wązkotorowa.

Ośm wagonów już pełnych, dwa wolne jeszcze zamknięte. Na energiczne przedstawienia naszego dyrektora karawany ks. prof. Lammensa, konduktor otwiera jeden wagon. Zajmujemy czemprędzej miejsca, bo fala ludzi płynie za nami i niebawem wypełni wóz po brzegi.

Ostatni wagon zarezerwowano dla rekrutów, których przed kwadransem przygnano. Jakże nędznie wyglądają! Prawie żaden nie posiada munduru, ubiór ich podarty, wielu pokaleczonych, niektórzy kuleją. Wycieńczeni są do tego stopnia, że zaledwie się wloką; niektórzy nawet nie mogą się dostać do wagonu o własnej sile. Jakież ich przeznaczenie? Nie wiadomo; prawdopodobnie poledz śmiercią, a śmiercią ciężką albo na pustyni przy budowie kolei, albo może z ręki Beduinów lub Arabów w Arabii szczęśliwej. Ból ścisnął mi serce na widok takiej nędzy, takiej niedoli. Rekruci zajęli wagon tuż obok nas, a pp. oficerowie

(z wyjątkiem dwóch wachmistrzów) przenieśli się do naszego wozu.

Wagon przepełniony po brzegi; przechody zawalone koszami pożywienia i workami wody; jeden koniec wagonu zablokowały chusty niewieście, tworząc sobie sztuczną separatkę. Ta ogromna ilość żywności i worki z wodą nie są wcale zbyteczne; wszak wielu z pasażerów dwa dni spędzi w wagonie, w drodze przez pustynię.

Czas odjazdu się zbliża, mija, a pociąg nie odjeżdża. Ponieważ pociąg do Ma'an nie wychodzi z Damaszku tylko trzy razy w tygodniu (poniedziałki, środy i soboty), przeto wybraliśmy się dość wcześnie, aby się nie spóźnić. Próżne obawy. *Eisenbahnfieber* uzasadniony w Europie, nie zaś w Turcyi Azyatyckiej, tem mniej jeszcze na kolei mekkańskiej. Czas niema wartości w oczach Wschodu. To też i teraz, bez żadnego absolutnie powodu, czekaliśmy całe dwie godziny poza wyznaczony czas odjazdu.

O wpół do dziesiątej (rano) ruszamy. Nie bez pewnego niepokoju i troski żegnałem wzrokiem znikające ogrody Damaszku. Czy je zobaczę jeszcze? Czy może tam w pustyni, w samem sercu Arabii Skalistej, nie czeka na mnie lub którego z mych towarzyszy, koścista śmierć w osobie dzikich dzieci pustyni? Wszak Nazim pasza, energiczny namiestnik Syryi, życzliwy Europejczykom, długo się opierał nie chcąc udzielić pozwolenia na tę, niebezpieczną zdaniem wszystkich, podróż. Jednym z ważniejszych powodów, jakie przytaczał, było, że Beduini między Petra a Kerakiem bardzo teraz niespokojni, ciągłe między nimi walki i *razye*, że przeciw rządowi się burzą, i że nawet przy silnej eskorcie wojskowej za bezpieczeństwo życia nie zawsze ręczyć można. Ustąpił dopiero na usilne naleganie konsula francuskiego i na przedstawienia, że przecież profesorowie uniwersyteccy nie mogą w swych wyprawach naukowych zbyt się liczyć z ciągłemi zawieruchami politycznemi, i że jedynie podczas wakacyi tego rodzaju wyprawy swobodnie odbywać mogą. Ustąpił wprawdzie, udzielił pozwolenia, przyobiecał nawet, że uczyni wszystko, by

nam podróż zabezpieczyć; — ale nuże obawy walego mają podstawę a jego racye są zgodne z prawdą?

»Niech się dzieje wola Boża« — pomyślałem sobie. Cofać się, gdy wszystko do podróży przygotowane, gdy się jest już w wagonie — śmiesznie i niehonorowo. Zresztą dla naukowych zdobyczy trzeba trochę nadstawić karku. Wkońcu trzeba nieco zaufać obietnicy namiestnika, tak słownego i energicznego, jakim jest Nazim pasza. Strząsnąłem z siebie resztki obawy, a krajobrazy i otoczenie skierowały me myśli na inne tory.

Nasz parowy rumak już się na dobre rozruszał i mimo 17 wagonów goni po 25—30 klm na godzinę. Przed naszemi oczyma na zachodnim horyzoncie przesuwają się po kolei Antyliban, przypruszony śniegiem Hermon (Żebel esz-szech) i Iklim el Bellan. Bliżej nas pola dość urodzajne, przez które przeciągają raz po raz większe karawany. Kilkadziesiąt wielbłądów kroczy powoli, gęsiego, jeden przyczepiony do drugiego dość długim powrozem, który mu pozwala schylić głowę i uszczknąć trawy. Na przedzie karawany osiołek dźwiga Beduina i ciągnie za sobą cały szereg wielbłądów. Śmieszna nieco, ale nierozłączna przyjaźń. Opowiadano mi, że wielbłądy nie znoszą, aby koń był prowodyrem karawany, natomiast chętnie się poddają pod batutę pana osła.

Zbliżamy się do łańcucha pagórków *Żebel-el-Aswād* i *Żebel-el-Mani'*, przez który trzeba się będzie przedrzeć. Pociąg zwalnia nieco biegu; nagle... odzywa się ogromny krzyk, a w mgnieniu oka wszystko rzuca się do okien. *Szufi, szufi* (co takiego), pytają gorączkowo jedni drugich. W odpowiedzi pokazują mi dwóch rekrutów, biegnących pędem po polu. »Dezerterzy«, rozlega się po wagonie. Wszyscy, z wyjątkiem oficerów, śmieją się serdecznie i biją »brawo« dzielnym Arabom. Cóż się stało? Oto korzystając ze zwolnionego biegu pociągu, dwóch nowozaciężnych wyskoczyło z wagonu i dalejże umykać w pole. Nie upłynęło kilka minut, gdy dwóch innych puściło się za pierwszymi... »w pogoń za zbiegami«, pomyślałem sobie. Myliłem się grubo. To dwaj

nowi dezerterzy skorzystali z zamieszania i dalejże w nogi. Zdumienie ogarnęło mię do reszty, gdy piąty rekrut postanowił popróbować szczęścia.

Jakoż szczęście im sprzyjało. Byłem przekonany, że zatrzymają pociąg, urządzą pościg, będzie strzelanina i t. p. Nic podobnego nie nastąpiło. Do dezerterów strzelać w Turcyi nie wolno, pościgu nikt urządzać nie mógł, bo było tylko dwóch wachmistrzów, a ci musieli pilnować reszty.

Jak z ust wiarogodnych słyszałem, tego rodzaju dezercye są w państwie padyszacha na porządku dziennym. Arabowie za żadną cenę nie chcą służyć w wojsku tureckiem przeciw swym pobratymcom z Jemenu. Branki rekruta arabskiego połączone są prawie zawsze z rozlewem krwi lub użyciem przemocy, a dezercya przy pierwszej sposobności pewna, tem bardziej, że niema za nią poważnej kary. Gdy przychwycą zbiega, zaciągają go drugi raz do szeregu; rzecz kończy się na małej dyscyplinarce. To też raz ze 150 rekrutów, wysłanych z Damaszku, przybyło do Ma'an tylko... 30. Los jednak zbiega nie do pozazdroszczenia. Często ginie w pustyni z głodu lub pragnienia. Jeśli jest Turkiem i nie umie po arabsku, Beduini mordują go bez litości, jako przedstawiciela a może szpiega rządu. Tylko jeśli jest Arabem, a przypadkiem napotka Beduinów, los jego jeszcze znośny.

Na rozmowie o polityczno-socyalnych stosunkach Turcyi, o których dowiaduję się mnóstwo ciekawych, czasem nieprawdopodobnych szczegółów, upływa dużo czasu. Mijamy kilka stacyi[1] bez znaczenia, w pustem polu. Po lewej (wschodniej) stronie, jak okiem sięgnąć, płaszczyzna, pokryta miliardem wulkanicznych kamieni. Tylko gdzieniegdzie widnieją większe pagórki. To stary Trachon, dzisiejszy *El Leżāh*, zawdzięczający swe powstanie wylewowi wulkanu *El Rarāra el Kiblije* (1211 m.). Po naszej prawicy na horyzoncie zachodu zarysowuje się górzysty *Żolān* (dawna Galaunitis).

Nad nami rozpiął swe lazury strop nieba. Ani jedna chmurka

[1] *El Kiswe, Der ʿAli, Mismije.*

nie kazi jego błękitów. Takich przeźroczy nie posiada nawet górny Egipt. Powietrze rozpalone, jak w kotle. Trudno oddychać. Wtem nad pogórzem Żolanu poczynają się zjawiać obrazy, z początku niejasne, po chwili coraz wyraźniejsze: wybrzeże morskie z dwoma zatokami i jakąś osadą czy twierdzą w środku. Fale morskie płyną ku niemu, rozbijają się o ląd stały z wściekłością, rozpryskują się w tysiąców tysiące kropli, rozrzucając naokoło wszystkie skarby tęczy. Po tem nieco rozhukanem morzu płynie parowiec o dwu kominach, płynie ku północy.

Czy to złudzenie senne? czy omamienie słabego mózgu? zapytuję sam siebie. Ale wszyscy towarzysze widzą to samo. Niema więc żadnej wątpliwości. To *fata morgana,* igraszka rozpalonego powietrza. Obrazem zaś, który nas tak zajął, to Tyr (Sur) na wybrzeżu morza Śródziemnego.

Pierwszy raz w życiu oglądam *fata morgana;* to też przypatruję się im dokładnie, nawet przez silną lunetę. Tu dopiero spostrzega się to silne a szybkie drganie rozpalonych żarem cząstek powietrza, a obraz tak uroczy ulega przykremu rozłożeniu na składowe części.

Fata morgana trwały dość długo, zmieniając tylko oświetlenie i treść obrazu. Ustąpiły z chwilą, gdy koło południa od Egiptu i morza przypłynął cichy zrazu wietrzyk, który po kwadransie zmienił się w tak straszny a silny wicher, że na platformie wagonu ustać niepodobna. Trzeba wejść do wnętrza. I tu nie lepiej. Pod wichury falą zapada się okiennica, otwierają się drzwi, a z plecionego koszyka porywa wiatr korkowy kapelusz angielski naszego kierownika ks. prof. Lammensa. Ładna przygoda i dobry prognostyk na przyszłość! Jeszcześmy nie rozpoczęli konnej wyprawy po puszczy, a już brak kaszkietu kolonialnego, który ma zabezpieczyć nasze głowy przed prażącymi promieniami pustynnego słońca. Nie bez przymieszki śmiechu pocieszamy naszego *Petrarchę*[1] — tak żartobliwie ochrzciliśmy naszego kierownika — że może w Der'at, 'Amman lub Ma'an znajdzie się u inżynierów jaki zbyteczny korkowy głowochron. Ale

[1] Od Πάτρα (miejscowości, do której dążymy) i ἀρχός (kierownik).

on niepocieszony milczy uparcie, kiwając czasem głową, i myśląc nie bez racyi, że jeśli głowa karawany nie będzie w stanie zabezpieczyć swej głowy, to cała wyprawa weźmie w łeb i pójdzie na marne.

Minęło południe, a z niem i posiłek. Stacye *Żebāb*, *Chābeb*, *Machażże* i *Ezra'* nie przynoszą nic nowego, a świadczą nader ujemnie o całej kolei. To proste budy z kamienia, czasem (jak w *Chābeb*) namiot z telegrafem, na pustem polu. Mimo to pociąg zatrzymuje się całymi kwadransami, jakby to były ogniska życia i ruchu. Na stacyach nie można nawet wody dostać, bo cystern niema, albo próżne.

Za *Ezra'* urywa się kamieniste podłoże wulkaniczne; grunt już urodzajniejszy, czerwonawo-brunatny humus, pola dość uprawne, osady częstsze. W każdej z nich — rzecz wielce charakterystyczna — po kilka wieżyc grobowych, zbudowanych z czarnego wulkanicznego bazaltu, z mnóstwem maluchnych otworów. To głębokie grobowce rzymsko-greckie περιστερεῶνες klasyków, o których dość często mówią inskrypcye.

Jesteśmy już w Hauranie. Dzisiejszy Hauran odpowiada dość dokładnie starożytnej krainie *Basanu*, o której tak często wspominają księgi Starego Testamentu. Już Mojżesz pobija Oga, króla Basanu, w Edrei (Der'at) i zajmuje jego krainę[1], którą przeznacza plemionom Ruben i Gad, na ich usilne prośby[2]. A że była to ziemia nader urodzajna, pełna łanów, pastwisk, borów, trzód i dębowych lasów[3], przeto często musiano za nią walczyć. Za czasów rzymskich Basan dzielił się na 5 prowincyi: Ituree, Gaulanitis, Batanee, Trachonitis, Auranitis. W pierwszych wiekach po Chrystusie arabscy Rassanidzi przyjmują chrześcijaństwo. Cywilizacya grecko-rzymska buduje tu wspaniałe pomniki, świątynie i mauzolea, a Bowa, zwana starym Damaszkiem, jest jej wybitnym wyrazem i dziełem.

---

[1] *Num.* XXI, 33 sqq.
[2] *Num.* XXXII, 1—33.
[3] *Num.* XXXII, 4; *Ezech.* XXVII, 6; XXXIX, 18; *Izaj.* II, 13.

Ale Islam położył koniec złotym czasom Hauranu. Po r. 1861 mnóstwo Druzów opuściło Liban i przeniosło się w góry Hauranu, wnosząc nowy element w proste i patryarchalne obyczaje Haurańczyka, którego główną zaletą jest gościnność, przechodząca granice szablonu. Słyszałem np. z ust wiarygodnych, że w każdej wiosce znajduje się publiczna gospoda, gdzie każdego bez wyjątku podróżnego przyjmują i goszczą bez zapłaty. O zaszczyt gospodarza takiego domu ubiegają się bogatsi Haurańczycy, bo za honor uchodzi zubożeć przyjmując darmo podróżnych i gości.

Po sześciu godzinach jazdy (123 klm!) zbliżamy się nareszcie do *Der'āt*. Stacya kolei leży daleko, bo pół godziny od miasteczka (± 4.000 mieszkańców); a jest już europejskiego zakroju. Budynki piętrowe, kolejowe warsztaty mniejszych rozmiarów; — nic dziwnego, jest to przecież węzeł kolei mekkańskiej i odnogi do Haify.

Pociąg staje. Ku wagonowi, gdzie siedzimy, zbliża się gromadka Europejczyków, w czerwonych fezach na głowie. Widać wyżsi urzędnicy. Wchodzą do wagonu, witają nas najuprzejmiej i zapraszają do bufetu restauracyjnego. Miła wcale niespodzianka. Ks. Prof. Lammens, (Belgijczyk) — bo dla niego te honory — przedstawia nam swych dobrych znajomych i przyjaciół: naczelnego szefa całej linii mekkańskiej, Niemca p. inżyniera Meisnera; szefa sekcyi Der'at-Ma'an, inżyniera Schroedera, Alzatczyka; naczelnika stacyi Francuza (nie pomnę już nazwiska) i kilku inżynierów belgijskich i niemieckich, między nimi Ślązaka p. Lelonka, który pamięta jeszcze kilka słów łamanej polszczyzny.

Gdy się raczymy w bufecie, wjeżdża na stacyę, na spienionym koniu, w asystencyi kilku żandarmów, miejscowy kaimakam (starosta). Nowa niespodzianka. Namiestnik dotrzymał słowa. Pan starosta »odebrał przed kwandransem urzędowy telegram od Nazima paszy, w którym go zawiadamia o przejeździe czterech dystyngowanych Europejczyków, z surowym nakazem, aby spełnił wszystkie ich żądania, dał wojskową eskortę, ułatwił badania naukowe; za bezpieczeństwo i życie tych podróżnych będzie osobiście odpowiedzialnym. To też p. starosta rzucił wszystko i po-

spieszył na stacyę, aby powitać »nasze Ekscelencye« [1] i ofiarować swe usługi« [2].

Uprzejmie podziękował mu ks. Lammens za jego grzeczność, oświadczając, że nie mamy zamiaru w Der'at zatrzymywać się dłużej, a eskorta wojskowa przy pociągu, chyba... zbyteczną. Dalsza rozmowa z p. kaimakamem toczyła się tylko po arabsku, bo języków europejskich p. starosta nie zna, a nawet po arabsku z trudnością się wyraża — jest typem Turka. To też zdziwiony był niepomiernie, że »Ekscelencya« Lammens tak biegle włada arabskim językiem, a zdziwienie jego było tem większe, gdy mu p. Schroeder począł wyliczać naukowe prace ks. Lammensa, wydane po arabsku lub w kwestyach arabskich [3]. Pana starostę takim to przejęło szacunkiem, że chociaż jako prawy muslim odmówił wypicia szklanki wina, ale na zdrowie »naszych Ekscelencyi« chętnie wychylał pilznera i kieliszki koniaku.

Ubawiła mię mocno ta uniżoność turecka i płaszczenie się przed tymi, których zaleca telegram namiestnika. Jakże jednak ci sami Turcy są butni, gdy kto niema na swe poparcie listu lub telegramu rządowego! A wyznać trzeba, że realne usługi oddał nam rzeczony telegram Nazima paszy, wysłany do wszystkich mutessaryfów, kaimakamów i mudirów [4] tych miejscowości, przez które mieliśmy przejeżdżać. Bez tej surowej rekomendacyi

---

[1] Arabskie: *Sa'adatkom*, dosłownie »Wasza szczęśliwość« — tytuł przysługujący gubernatorom.

[2] Słowa p. starosty do szefa p. Schroedera.

[3] Obok licznych mniejszych prac ks. Lammensa, zasługują na wzmiankę z zakresu filologii oryentalnej *o synonimice arabskiej* (po arabsku); *Rémarques sur les mots français, derivés de l'arabe; Le Liban, notes archéologiques, éthnographiques, et géographiques* (po arabsku). Inne jego arabskie prace należą do działu literackiego np.: *Soeurs jumelles* (po arabsku i francusku); *Voyage dans l'Amerique centrale et l'Amerique du Sud* (po francusku i arabsku); *Le solitaire de l'île de Quadas* (po arabsku). Od kilku lat pracuje autor nad wielkiem dziełem historycznem o dynastyi Omajadów (głównie na podstawie źródeł arabskich).

[4] Państwo tureckie dzieli się na prowincye *(wilajety)*, prowincye na gubernie *(mutessaryfaty* lub *liwaty)*; te zaś na starostwa *(kaimakamaty)* i na powiaty *(mudirije)*. Na czele prowincyi stoi namiestnik *(wali)*, gubernii gubernator *(mutessaryf)*, starostwa, starosta *(kaimakam)*, a na czele powiatu naczelnik *(mudir)*.

walego, którego urzędnicy boją się jak ognia, podróż byłaby niemożliwą, wielu rzeczy nie bylibyśmy wcale oglądali, bo Turcy nie wpuszczają tam europejskich *giaurów*. W każdym razie trzebaby setki franków składać w podarunku szechom beduińskim, by uzyskać wolny i bezpieczny przejazd przez ich terytorya, jak to np. musieli uczynić OO. Dominikanie z Jerozolimy w swych wycieczkach naukowych do Sinai i Petra [1].

Przyjmując z wdzięcznością zaproszenie szefa udaliśmy się w całym orszaku, (do którego oczywiście przyłączył się p. starosta) do warsztatów kolejowych. Dokonywują tu tylko niezbędnych reparatur maszyn i wozów. Więcej niż skromne warsztaty; zajęły mię opowiadania inżynierów o budującej się kolei, jej planach, przeszkodach, rodzajach i t. p. Rzeczy nader interesujące, z których garstkę podałem wyżej.

W jednym dziale zwrócono nam uwagę na kilku robotników ślusarskich. »To kapitanowie fregat i rządowych okrętów — zauważył inżynier — których tu za karę przysłano za ich wolnomyślne idee«. Co za upokorzenie i męka tych biedaków! Czują oni dobrze zacofanie Turcyi na każdem polu; chcieliby ją popchnąć naprzód; za to spotyka ich los tak srogi! Wprawdzie inżynierowie europejscy z całą delikatnością osładzają im ich przykre położenie, ale to nie zmniejsza, owszem podnieca jeszcze ich ból. Jeden z nich wyraził się do inżyniera: »Mówisz mi pan, że mylę się twierdząc, że jesteśmy barbarzyńcami, bo według pana jesteśmy wam równi. Mój panie, ta między wami a nami różnica, że podczas, gdy wy żyjecie w r. 1905, to my gnijemy ciągle jeszcze w r. 622« [2]. »Na takie *dictum* — dodał inżynier opowiadający mi tę historyę — nie umiejąc nic odpowiedzieć, zamilkłem«.

---

[1] Opowiadał mi znany zaszczytnie O. Jaussen O. P., że aby uzyskać dla swojej karawany wolny przejazd koło ʿAkaby, musiał raz złożyć w podarunku 3.000 franków szechowi szczepu ʿAlawin.

[2] Rok *Hegiry*, t. j. ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny i urzędowy początek Islamu.

Zbliżał się czas odjazdu. Mimo danych dawno sygnałów pociąg ciągle jeszcze czekał, aż odprowadzeni w procesyi urzędników kolejowych i p. kaimakama, wsiedliśmy do wagonu. Tu znowu miła niespodzianka. W braku wagonów z separatkami, z rozkazu szefa linii, oddzielono na prędce cztery ławeczki deskami i utworzono nieeuropejską wprawdzie separatkę, ale niemniej pożądaną z powodu zbliżającej się nocy.

Nie można było nie dziękować szczerze europejskim inżynierom za tyle dowodów uprzedzającej grzeczności i serdeczności niczem niezasłużonej, których byliśmy przedmiotem. To też z radością spełniwszy tę serca potrzebę, ruszyliśmy w dalszą drogę.

III.

Koleją mekkańską po puszczy.

Wypadek z lokomotywą — cienie i chłód nocy — ʿAmman — karkołomna jazda i jej przyczyny — Meszetta — z nastaniem dnia — Katrani — droga pielgrzymek mekkańskich — Geografia fizyczna i polityczna Arabii — Arabia szczęśliwa — Arabia skalista — *ʿArabah* — żołnierze na linii — niewypłacalność Turcyi — znowu *fata morgana* — Aneże — Maʿan, budowle kolejowe i przedstawiciele Europy.

Opuszczając Derʿat, zdało mi się, że opuszczam Europę i jej cywilizacyę, że opuszczam dobrych znajomych. Dwie godziny, spędzone w gronie tak uprzejmych a serdecznych ludzi, pozwoliły niejako zapomnieć, że się jest w Turcyi, w pobliżu arabskiej pustyni. Realizm rzeczywistości wkrótce spędził to miłe złudzenie.

Tylko pół godziny jazdy dzieli Derʿat od stacyi Nasib. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że nawet progi pod szyny są z żelaza. Nie było innego wyjścia. Drzewo w pustyni tak drogie jak żelazo, a potrzebniejsze — to też Beduini każdy kloc progowy wykradali w nocy z pod szyn. Zastąpiono je więc na całej linii żelazem.

Na wschodzie widnieją ruiny miasta *Bosry* i słynnego zamku *Salchat* z czasów Krzyżowców. Zaledwie opuściliśmy *Nāsib*, pociąg staje. Czemu? Zepsuło się coś w maszynie i niepodobna myśleć o dalszej podróży. Szczęściem jesteśmy jeszcze niedaleko od stacyi. Wysyłają telegram do Derʿat po nową maszynę. Przy tu-

reckiej powolności drobnostka ta powoduje zwłokę... dwugodzinną. Podczas gdy kilku Europejczyków daje silny wyraz swemu niezadowoleniu, praktyczni Arabowie wychodzą z wagonów, rozkładają swe derki obok toru i najspokojniej w świecie oddają się posiłkowi, gwarom i morfeuszowi. Szczęśliwi ludzie! Żadne opóźnienie nie wyprowadzi ich nigdy z równowagi, bo czas dla nich nie ma wartości; zresztą rozumują (może nie bez racyi), że na wielbłądzie szłoby jeszcze wolniej.

Tymczasem słońce zanurzyło się pod horyzont, a z nim ustąpił straszny upał, który tak dotkliwie dawał się nam we znaki podczas podróży. Rzecz dziwna, zaraz po zachodzie słońca nastąpiło tak znaczne oziębienie temperatury przy południowozachodnim wietrze, że nawet koce, w które się ukryliśmy, nie wiele pomagały. Koło północy chłód wzmógł się jeszcze więcej. Mimo, iż jestem septentryonem, do mrozów przyzwyczajonym, drżałem na całem ciele.

Przybycie do ʿAmman o godz. 11 w nocy pozwoliło nieco zapomnieć o mrozie. Stacya większa, w przyszłości będzie węzłem odnogi do Es-Salt, a może (?) i Jerozolimy; to też korzystnie wyróżnia się od swych towarzyszek: posiada bufet. Proszę tylko nie brać tego wyrazu w znaczeniu europejskiem! Bufetem nazywam tu nędzny namiot ze skóry, w którym jakiś Beduin szynkuje czarną kawę. »Na bezrybiu i rak rybą«. W braku czego innego staramy się rozgrzać... czarną kawą.

Po tej chudej kolacyi wracamy do wagonu, gdzie mimo mocno spóźnionej pory ($11^1/_2$ w nocy!) zjawia się przedstawiciel Wysokiej Porty z homagium i ofiarowaniem usług. Jest to miejscowy mudir (naczelnik powiatu). I on odebrał telegram od Nazima paszy. Dziękujemy p. mudirowi za fatygę i nakazaną uprzejmość i polecamy się jego względom za dwa tygodnie, gdy z Madeby przyjedziemy konno do niego z wizytą.

Pożegnawszy p. mudira utartą formułą: *asʿad Allāh lajālikom* [1], pomyśleli moi towarzysze o spoczynku, rozłożyli się jak

[1] »Niech Allah użyczy ci nocy szczęśliwych«.

mogli na krótkich ławeczkach i wkrótce posnęli. Pragnąłem uczynić to samo, ale sen uleciał daleko od mych powiek. Długie czekanie na stacyi, szybowanie wagonów, gwar i rozmowa naszego sąsiedztwa, przed którem derki nie broniły dostatecznie — a może i przebyte wrażenia, nie dały oczu zmrużyć. Czuwałem więc za innych.

Zegarek pokazywał godzinę po północy, gdy nareszcie pociąg zdecydował się wyruszyć. Po pewnym czasie bieg jego zwalnia się coraz więcej, głośne sapanie maszyny świadczy o wytężonej pracy, koła obracają się coraz wolniej, wreszcie stają... a po chwili rozpoczyna się odwrót. Otwieram szybko okno wagonu, by zobaczyć co zaszło. Księżycowi brak obecnie ($^{12}/_{13}$ lipca 1905) tylko dwa dni do pełni, więc oświeca jasno grozę położenia. Widzę się nad wielką przepaścią, najeżoną skałami. Droga żelazna okrąża ją ostrożnie splotami węża. Przed nami góra olbrzymia. Pociąg składa się tylko z trzech wagonów i maszyny i z coraz większą szybkością stacza się po pochyłości. Jeśli maszyna mimo *contr*-pary nie zdoła wstrzymać przyspieszonego biegu ku dołowi, zginęliśmy. Przy szalonej chyżości ruchu, przechodzącej obliczone *maximum*, przy silnych a ciągłych skrętach drogi o małym promieniu wykolejenie nieuchronne. Po kilku minutach wjechaliśmy na teren względnie równy, a maszyna zdołała opanować staczanie się pociągu.

Stajemy jeszcze raz. Pociąg poczyna znowu cofać się z powrotem do ʿAmman. Tym razem był to jednak pomysł maszynisty, który cofał po równinie, aby zyskać teren do rozpędu. Było to cofanie się lwa przed skokiem. Jakoż po pewnym czasie stanął, a puściwszy parę naprzód, począł z coraz większą szybkością pędzić po równinie, następnie wspinać się po wyżynie. Spory kawał ujechał, ale stroma góra zwalniała coraz więcej i więcej bieg jego. Bywały chwile, że na sekundę robiliśmy zaledwie pół decymetra drogi, mimo całego wysiłku maszyny. Czasem nawet chwilowo stawaliśmy.

Ta nad wyraz nużąca jazda trwała dobrą godzinę. Drapaliśmy się w ten sposób z jednej góry na drugą, przebywali małe

tunele, spuszczali ku dolinom i znowu spinali na szczyty. Nareszcie ostatni szczyt ze stacyą. Tu znowu czekanie i szybowanie przez półtorej godziny. Nie mogłem zrozumieć, gdzie się podziało 17 wagonów, tworzących nasz pociąg przy wyjściu z Der'at? Czemu czekaliśmy tak długo w 'Amman i w *Merkeb?*

Dopiero nad ranem, na stacyi *Ziza* zbliżyłem się do maszynisty prowadzącego pociąg i poprosiłem o wyjaśnienie nocnej awantury. Poczciwe Niemczysko opowiadało chętnie. Powodem całego zajścia jest wadliwa konstrukcya toru. Aby wydostać się z 'Amman (837 m.) na płaskowyż pustyni (+ 1000 m.) trzeba się przebić przez łańcuch górski Merkeb lub ominąć go, nakładając kilkanaście kilometrów drogi. Komisya europejska, która badała rzecz na miejscu, chciała uczynić to ostatnie, ale Konstantynopol za zielonym stolikiem osądził inaczej, oświadczył się za pierwszym (tureckim) planem i oddał jego wykonanie sekcyi tureckiej. Ta oczywiście bez skrupułu wznosiła ciągle teren o 22% przy silnych zakrętach o małym promieniu. Skutek tego taki, że k a ż d y pociąg muszą w 'Amman rozkładać na części trzechwagonowe i specyalnemi *ad hoc* maszynami windować w górę. Zwykłe lokomotywy nie są w stanie pokonać trudności, z powodu ciągłych zakrętów. Po deszczu zdarza się, że nawet z jednym wagonem maszyna nie może się wydostać na górę. Dowód oczywisty mieliśmy tej nocy. Chociaż szyny były zupełnie suche, bo od czterech miesięcy nie padła kropla deszczu, specyalna maszyna nie mogła wyciągnąć za pierwszym razem trzech wagonów osobowych, a nawet poczęła się staczać ku dołowi. Więc maszynista cofnął się jeszcze dalej i popróbował szczęścia drugim razem. Gdyby się to nie było powiodło, wróciłby do 'Amman, zostawił dwa wagony i z jednym próbował sukcesu.

Następstwem tego dzielenia i systemu prób jest długie czekanie w 'Amman i w Ras el-Merkeb, zanim cały pociąg napowrót się zbierze. Myśmy potrzebowali tylko czterech godzin, by przebyć tych kilkanaście kilometrów. Czyż nie było roztropniejszem zbudować w tem miejscu kolej zębatą, jeśli już musiano osobne sprawiać maszyny do transportu trzech wagonów! Koszta nie byłyby znacznie większe, a zyskanoby ogromnie na czasie. Jakaż

bowiem nastąpi obstrukcya w 'Amman przy przesyłce większych korpusów wojska lub przy dziesięciotysięcznej rzeszy pielgrzymów! Jaka zwłoka! — Ale zapominam się; na Wschodzie na czasie niezależy.

Podczas całej tej karkołomnej przeprawy, moi towarzysze »spali snem tak twardym, że ich nie zbudziły« ni ciężki oddech maszyny, ni krzyki konduktorów, sygnały, szybowanie i cały gwar kolejowy, nieuchronny w takich wypadkach. To też rano z trudnością przekonałem ich o niebezpiecznej jeździe nocnej.

Tuż przed wschodem słońca minęliśmy stacyę *Kastal.* Na wschodnim widnokręgu, zaróżowiona poranną zorzą, jaśnieje *Meszetta.* To arcydzieło geniuszu leży u wejścia wielkiej równiny, zamknięte od wschodu łańcuchem gór arabskich. Na ich tle odbija pałac niezrównanie. Artyści, którzy dokonali tego arcydzieła, rozumieli się na sztuce dekoracyjnej i na architekturze. W r. 1903, gdy odkryto to cudo pustyni, Niemcy nie omieszkali tak długo naprzykrzać się Turcyi, aż im pozwolono najcenniejsze rzeźby wywieźć do Berlina, jako »dar przyjaciela (sułtana) dla przyjaciela« (Wilhelma II).

Kto wzniósł ten cudowny pałac w kompletnej pustyni? Różne opinie archeologów i historyków. Ks. prof. Lammens utrzymuje [1], że to Rassanidzi (około V wieku po Chr.) pokusili się o to cacko. Inni szukają w Persach (przed Herakliuszem) lub w Arabach jego twórców. Pozostanie również zagadką dla kogo i w jakim celu je wzniesiono.

Wschód słońca powitaliśmy z radością, gdyż rozgrzeje ono nasze członki skostniałe od chłodu nocy. Przez kilka godzin droga najmonotonniejsza w świecie. Nic, tylko pustynia goła, zarzucona gdzieniegdzie kamieniami, zresztą wydmy piaszczyste, pokryte gdzieniegdzie kolczastą, zeschłą trawą; nigdzie drzewa, cienia, źródła lub osady. Wszystko martwe. Nawet stacye kolejowe składają się tylko z płóciennego namiotu, podwójnego toru do roz-

[1] Zob. artykuł (po arabsku) ks. Lammensa w czasopiśmie *Al Maszrik* r. 1898, str. 487 sqq., p. t. »Najstarszy zabytek Rassanidów«.

jazdu i kilku żołnierzy. A i na takich stacyach wypoczynek kwadransowy.

Po wschodniej stronie horyzontu piętrzą się w oddali strome góry, okalające morze Martwe. Wreszcie około ósmej z rana przybywamy do większej stacyi Katrani [1]. Leży ona naprzeciw twierdzy Keraku w małej (!) odległości — tylko 7 godzin konno — i jest jakby jego portem. Znaczenie stacyi w tem, że posiada większe zbiorniki wody, które pamiętają jeszcze czasy rzymskie. By bronić tych skarbów przed chciwością czy pragnieniem Beduinów, kilka kompanii wojska rozłożyło się w namiotach koło stacyi.

Literalnie cały pociąg pije i zaopatruje się w wodę. Przedewszystkiem maszyna chłonie bez końca a nadto bierze na zapas aż dwa wagony wody. Następnie podróżni także się raczą. Poszliśmy za ich przykładem; wszak 160 klm dzieli nas od Ma'an, a nigdzie nie podadzą nam szklanki wody nawet na wagę złota. To też skwapliwie wypełniamy tym nektarem dwa szerokie worki. Wczoraj oddały nam nieoszacowane usługi; oby tylko w przyszłości nie chciały się zbytnio pocić!

Po małej godzince przerwy odjazd. Po prawej stronie kolejowego toru towarzyszy nam ciągle stara, bo kilkunastuwiekowa droga karawan i pielgrzymek do Mekki. Szeroka na jakie dwa kilometry, poorana wyżłobionemi od stóp wielbłądzich ścieżkami, które co 5—10 metrów biegną równolegle obok siebie, — daje słabe pojęcie tego, co się tu dziać musi w czasie wypraw pielgrzymów — tutaj na szczerej pustyni arabskiej; jesteśmy już bowiem na wysokości *Żebel Usdum*, południowego brzegu morza Martwego.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Szczepański.

[1] Jest to jedyna stacya, na której raczono wypisać jej imię. Inne stacye nie mają żadnych tablic i trzeba się ciągle pytać konduktorów o ich nazwę.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetyckiej.

II.

1. J. Żuławski: »Eros i Psyche«. Wyd. II. Lwów 1905. — 2. J. Żuławski: »Ijola«. Dramat z czasów średniowiecznych. Lwów 1905. — 3. F. Płażek: »Elektra«. Tragedya. Lwów 1905. — 4. F. Płażek: »Święta Wiosna«. Dwa dramaty. Lwów 1904. — 5. J. A. Herbaczewski: »Potępienie«. Tragedya duszy (cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). Kraków 1906. — L. Staff: »Godiwa«. Dramat w trzech aktach. Lwów 1906. — L. Staff: »Skarb«. Tragedya w trzech aktach. Lwów 1904. — 8. L. H. Morstin: »Na racławickiem błoniu«. Udramatyzowana pieśń. Kraków 1906.

Krępowanie talentu prawidłami, ocena dzieł sztuki podług pewnego szablonu, może tylko ujemnie oddziałać zarówno na twórczość poetów, jak na cel i wartość krytyki literackiej. Ale silnie rozwinięty w przejściowych okresach indywidualizm wytwarza u artystów wstręt do wszelkiej prawidłowości; całkowite zapoznanie tej doświadczeniem wieków stwierdzonej prawdy, że tylko wybitny talent odkrywa nowe drogi dla ducha, że taki wybitny talent chadza samotnie, a za nim podążają rzesze mniejszych talentów i tworzą tem więcej dzieł o przemijającej wartości literackiej, im mniej uznają i stosują zasady główne, cenne już nie dla okresów literackich, lecz dla twórczości wogóle na ciąg całych wieków. Jedną z takich zasad jest, że w dramacie szukamy widoku duszy w walce i przemian jej pod wpływem walki. Ale kiedy Ibsen, Hauptmann, u nas Wyspiański zaczęli tworzyć dramaty z pominięciem tej zasady, wówczas i rzesza talentów nią

wzgardziła. Trzeba atoli zaznaczyć, że niesłusznie. »Tkacze« Hauptmanna lub »Wesele« Wyspiańskiego nie dlatego zdobyły wielkość, że niemasz w nich szeregu walk i przemian jednostkowej duszy, lecz dlatego, że dały obraz walk i przemian duszy zbiorowej; a każdy mi przyzna, że myślicielem na to trzeba być nie bylejakim, aby wyśledzić w łonie żyjącej duszy zbiorowej niepokoje i targania przyszłości, częstokroć dla niej samej mroczne i niedosyć uświadomione. Dramat ideowy porywa wówczas, jeśli jest aktualny i jeśli mnóstwo poszczególnych ogniw idei w taką potężną i spójną zwiera się całość, że uderza widza, olśniewa go blaskiem czegoś bardzo mu blizkiego i drogocennego, co jednak, jako treść nieznana, spoczywało dotąd na dnie jego duszy. Spoczywało, aż oto idea dramatu wywołała je z mroków, »jak księżyc, mórz oczyma podnoszący ciemnie«.

Ale ani »Eros i Psyche« ani »Ijola« p. Jerzego Żuławskiego nie mają tej siły. Pierwszy dramat, po raz wtóry w 1905 r. wydany, uzyskał sobie na scenie pewne wzięcie; co innego wszakże scena, a co innego literatura. W dramacie, nie bez racyi powieścią nazwanym, pomysł, łączący siedm obrazów, wziął p. Żuławski z bajki Apulejusza. W obu utworach Psyche utraca kochanka dlatego, że wbrew zakazowi oglądała straszliwe jego boskie oblicze; w obu utraciwszy idzie go szukać wśród tęsknot, błądzeń, przygód i niebezpieczeństw, których celem oczyszczenie zmazy, aż go znajduje i sama staje się nieśmiertelną. Jednakże u Apulejusza Psyche w istocie zawiniła; uległszy namowom sióstr i uwierzywszy, że tajemniczy kochanek — to potworny wąż, któremu trzeba łeb odciąć; u p. Żuławskiego natomiast wizya Erosa jest dla Psyche rzeczą przypadku i byłaby go nie zobaczyła, gdyby nie był Blaks uchwycił bożka za skrzydła. Gdzie niema winy, nie powinno być kary. Wyrok, sprawiedliwy w bajce Apulejusza, nie jest takim w dramacie p. Żuławskiego, bo Psyche cierpi tu bez winy.

Kim jest Blaks i jaka jego rola w stosunku do roli Erosa? Eros w orfickiem pojęciu, to »największy bóg, który stworzył wszystko i wszystkiem bez wyjątku włada« (I, 43), on jest »rodzicem tęsknoty i żądzy, ofiarnikiem życia« (VII, 280), początkiem i końcem wszystkich rzeczy, ale też ostatniem ukojeniem, i jako taki zowie się Tanatos. Jednakże Hesiod w »Teogonii«, uznając starożytność Erosa, nie potwierdza przechwałki, włożonej w jego usta przez p. Żuławskiego:

. . . . . zanim świat ten jeszcze
Dźwignąłem z głębin mętnego chaosu; (31)

owszem zaznacza, że na początku był Chaos, potem Ziemia, Tartaros i Eros równorzędnie. Ale p. Przybyszewski przyjął w *Totenmesse,* że na początku był rodzaj *(Das Geschlecht);* przeto i p. Żuławski czyni Erosa stwórcą wszechrzeczy. Ze słów Psyche wynika (I, 27), że Eros w części pierwszej jest upostaciowaniem żądzy zmysłowej. Pożąda on ciała Psychy. Ale w takim razie czemże jest Blaks? Wszak to znów cielesność, to zwierzę, jak go nazywa Psyche zabijając: »Giń, zwierzu!« (VII, 275). Czemże tedy obie te figury w pierwszej części? Po wytłumaczenie sięgnąć wypadnie znów do Apulejusza. Wenus, rozgniewana pięknością Psyche, woła Amora i zaklina go: »Przez twą miłość ku mnie, przez słodkie strzał twych rany, przez rozkoszny żar twych płomieni... uczyń, iżby to dziewczę namiętną żądzą przylgnęło do ostatniego z ludzi, prostaka, parobka, do człowieka tak lichego, żeby mu na świecie całym nie było równego w marności«. Pomysł Blaksa tedy znajdzie się u Apulejusza; idzie tylko o to, że w bajce Amor ulega czarowi pięknej ziemianki a o parobku zapomina, — tu zaś w pierwszym obrazie kręcą się koło Psyche obaj, w dalszych obrazach Blaks pała ku niej żądzą, ona zaś — rozmaicie.

W drugim obrazie rzecz w Aleksandryi z początkiem ery chrześcijańskiej. Blaks — prefekt rzymski ucztuje. Jest grecki filozof-stoik Arystos, prawiący komunały niby głęboko filozoficzne, jest kurtyzana Laida, jest grupa komparsów, a wkońcu zjawia się uboga wędrowna pieśniarka Psyche i przed tem rozwiązłem gronem lubieżników śpiewa tęskną pieśń o Erosie, która brzmi tu jak nieznośny »zgrzyt żelaza po szkle«. Kiedy Psyche żałośnie kwili, że »jedną pieśń tylko śpiewa, wiecznie żywą«, Laida woła ku niej cynicznie:

I dodaj: nudną! Kury tak śpiewają,
Gdy bez koguta jaja znosić mają! (76)

W jakim celu poeta na to krwawe szyderstwo naraża swoją bohaterkę? Czy potrzebny był kontrast? Blaks po tej pieśni wpada w rodzaj »niezdrowego duru« miłosnego, a stary niewolnik zwraca rozżaloną Psychę na ślady Chrystusa, ona tedy z jękiem: »Chryste, o Chryste« — znika. Cały ten obraz bez akcyi, bez zawikłania — mdły i niezajmujący razi zakończeniem. Psyche, która niedawno wzywała Erosa: która ma zapewne w pamięci chwile spędzone z bogiem żądzy zmysłowej — teraz leci ku Chrystusowi, myśląc pewnie, że to wcielenie Erosa? Nie jestże taki zwrot zarówno niedorzeczny, jak bluźnierczy?

I w istocie obraz trzeci przenosi nas w średnie wieki, na jakiś malowniczy klasztorny wirydarz, pod stopy kamiennego krucyfiksu. Opatem Blaks, Psyche zakonnicą. Ona marzy o słońcu i tęskni do słońca. Powiedziałbym trywialnie, ale dobitnie i prawdziwie: modli się pod figurą a ma dyabła za skórą. Zaledwie pod bramą daje się słyszeć śpiew jakiegoś błędnego poszukiwacza przygód rycerskich, Psyche wyrywa się doń z okrzykiem:

O, żyć! o, żyć! na świat,
Tu śmierć! ja kocham życie!

Bez potrzeby surowy Blaks skazał ją na głęboki loch dozgonny. To nie jest materyał dla klasztoru i należało ją wypuścić w świat. Ale poeta wcale zabawnie nastroił całą tę melodramatyczną scenkę, usiłując z Psyche zrobić męczennicę. A więc starzec kapelan na wątpliwości Psyche odpowiada twardo: »Zamilcz! Zbyt długo rozmawiam z tobą. Nie powinnaś pytać, bo każde pytanie jest grzechem...« A więc furtyanka, ujrzawszy Psyche przy bramie, rzuca się na nią z pękiem kluczów i zaczyna okładać kluczami; a więc zakonnice usłyszawszy powyższe słowa, pragnęłyby dla Psyche srogiej kary śmierci. I ów błędny rycerz, dla którego chyba obraz trzeci zrobiony, ów przypominający Amora z Apulejusza średniowieczny bohater »walczy za słuszność«, jak się o nim jeden z potomków później wyraża (str. 194). Walczy zaprawdę, jak kot za sadłem myszkując pod wrotami niewieścich klasztorów.

Nowa zmiana ukazuje bohaterkę udzielną księżną włoską na początku XVI wieku. Ma wojska niemieckie zaciężne i dowódcę ich — Blaksa, który żąda ręki księżny. Pochlebcy i miłośnicy rojem snują się koło niej: Arminio — rzeźbiarz, Girolamo — poeta, Giani — kapitan, Lorenzo — dworzanin. Psyche drapieżnej i głodnej pustki w sercu nie może zapełnić, chciałaby kochać jakąś rzecz ogromną, straszliwą, wieczną; wśród posągów i przy dźwięku lutni czasem marzy się jej rękom krew i nowe życie przez płomień i burzę (str. 126). Wyzywała niebezpieczeństwa. Ściągała daniny bez względu na nędzę ludu, bogaciła się potem i krwawym trudem innych; zgarniała sławę dzikością i męstwem kondotiera. Teraz widzi marność wszystkiego. »Pustka w jej sercu i do innych miłości tęsknota. Przyszłość ją woła« (str. 146). Kiedy podczas uczty Blaks wpada zbrojno, aby ją dla siebie porwać — wypija truciznę. Śmierć końcowa jest sztucznem obejściem trudności, nie zaś zwalczeniem jej. Sama Psyche na kształt pozytywki recytuje zdania, których się wyuczyła w jakimś podręczniku o renesansie, a inne

postaci niewieście — nieme. Mężczyźni prawią tylko o miłości i myślą o niej. Żaden z nich nie wie — rzecz dziwna — że oto trwa tęgi szturm wroga do murów miasta. Poczciwcy ucztują sobie w najlepsze i bawią się deklamacyą. Jeszcześmy nie zdołali wyjaśnić sobie tych nieprawdopodobieństw, a oto czynimy z woli autora skok w czas o trzy wieki naprzód, skok w przestrzeń: z Włoch do Francyi. Paryż 2 września 1792 r. Psyche — dziewczyna z ludu. Kocha ją De la Roche — szlachcic. Wbrew uczuciom i zasadom przystał do ludu dla tej miłości. Blaks — krwiożerczy demagog. Donoszą o zdobyciu Verdun przez koalicyę. Psyche wzywa lud, żeby szedł z nią do walki; Blaks prze do mordowania arystokratów. Lud obala Psyche i dąży za Blaksem. Ona zaś decyduje się zostać miłośnicą De la Roche'a. Psychologia bohaterki fatalnie nie udała się autorowi. Psyche charakteryzowana, jako dusza ludu, entuzyazm szlachetny, poryw wzniosły.

Ja jestem krzywda — i trud
i żar — i moc — i ruch —
wstający z więzów duch!
Ja jestem lud! (str. 195)

Jeżeli to nie ma być poza, frazes i deklamacya, to końcowe oddanie się na łup jednego człowieka dla osobistego nasycenia, bez wewnętrznej walki jest psychologicznym koziołkiem. Egoizm przemówił i zadecydował, więc egoizm władał, nie miłość ludu rzetelna. Miłość nie rozpacza, lecz koi i podnosi. Upadek Psyche wprawdzie nie psychologiczny, ale rozmyślnie uplanowany. W obrazie szóstym jest ona kochanką bankiera w czasie obecnym. Cyniczna, że niczem Nana Zoli. Kiedy bardzo naiwny Stefan w ekstazie, zaślepienia pełnej, deklamuje do niej:

Bóstwo najświętsze jest schowane w tobie,
Jak czarnoksięski pierścień w wschodnim grobie,
W zapadającym tym wieczornym mroku,
Tak mi się świętą wydajesz, tak czystą,
O bądź mi taką, bądź mi taką, duszo!...

ona bez ceremonii odpowiada na te zachwyty: »Owszem — i czemużby nie? Należałam już do tylu, jeden mniej lub więcej — i cóż to znaczy? Dziś twoja, jutro znowu kogo innego, Freda lub Pawła — który przyjdzie...« (250) Wprawdzie czuć w tych słowach gorycz, ale to gotowości do usług nie zmniejsza.

Końcowy obraz sięga w przyszłość. Blaks jest królem ginącego już świata. Niema środka do wstrzymania skonu. Psyche siedzi w lochu

więziennym i podobno 'zna jakieś czary, mogące wstrzymać śmierć świata. Blaks błaga ją o wyjawienie czarów. Była żagwią wiecznych rozruchów, siała niepokoje i siedzi w głębokiej ciemnicy; jeśli jednak zdoła gusłami rozniecić gasnące słońce, jeśli zerwie ludziom z mózgów nudę i przestrach, będzie wolna. Wówczas Psyche wśród gniewliwych wyrzutów zabija Blaksa.

Niema w świecie takiej krzywdy,
Której od ciebie znieśćbym nie musiała.
Tyś sen mój spłoszył dziecinny, wyszydził
tęsknoty moje, zdławił lot ku niebu,
tyś moją świetność zdeptał, moc mą złamał,
tyś mię pohańbił i do zbrodni pchnąwszy,
zamknął, jak zwierza... (271)

Wszystkie przejścia i niedole przypisuje Blaksowi, jak gdyby niewolnicą była. A jednak miała chyba wolną wolę, skoro wnet potem szumnie wygłasza:

Zwolnić się mogę snać ja sama tylko. (272).

Z tego przeglądu całości da się wysnuć niejedno spostrzeżenie. Więc najpierw widać, że to właściwie jest »Blaks i Psyche«, nie zaś »Eros i Psyche«; rola Erosa nikła zupełnie, powiedzmy raczej: niema jej. Ale i rola Blaksa podrzędna. Ważna tu tylko Psyche. Powtóre poeta, przyjąwszy od Apulejusza wskazane powyżej motywy, przyjął od Słowackiego teoryę kolejnych bytów i wcieleń jednej postaci w czasie coraz inaczej występującej. Po trzecie cały szereg przemian Psyche opiera się na dwóch zasadach: *a)* każda z dawniejszych postaci ma w sobie przeczucie przyszłych bytów, każda z późniejszych ma pamięć bytów przeszłych. Psyche »renesansowa« marzy czasami o krwi i nowem życiu przez płomień i burzę t. j. marzy o Psyche »rewolucyjnej«; podobnie też Psyche »bankierska« lub »przyszłościowa« wspomina o dawnych swych bytach; *b)* drugą zasadą jest z »Króla-Ducha« wzięta piękna myśl:

Żywot na górze mieć — a śmierć pod spodem,
I duchy niższe w wyższe ciała prosić,
I wierzch obdarzać nowej formy chwałą,
A tam zabijać w dole grube ciało.

Ciągła walka ducha z materyą, zwierzęcia i duszy, ciągłe upadki i podnoszenia się duszy i wieczna jej tęsknota. Myśl piękna, ale środki artystyczne prawie całkowicie zawiodły. Potrzebaby na to potężnego talentu dramatycznego, aby duszę ludzką przeprowadzić przez kilka-

naście wieków, w momentach wybranych ukazać po pierwsze swoją zasadniczą ideę, powtóre na dnie duszy ukryte, po wszystkie wieki niezmienne własności duszy, po trzecie każdemu wiekowi kultury właściwe odrębności, czy one mniej czy więcej powierzchowne, a to wszystko w dramatycznem zawikłaniu, tworzącem szereg obrazów związanych w całość i całości mniejsze stanowiących w sobie, nadto zaś w postaciach żywych i plastycznych a dyalogu dramatycznym. »Eros i Psyche« p. Żuławskiego nie posiada żadnej z tych zalet. Luźny zlepek siedmiu obrazków, umieszczonych na tle kilku epok dziejowych nie bez dekoracyjnej przykrasy, nie bez chętki potrącenia o struny dość nizkich instynktów, nie bez ładnej pieśni lirycznej tu i owdzie ku ozdobie wetkanej, ale też z dużą zaprawą pozy i afektacyi, która nazywa się teatralnością nie zaś sztuką dramatyczną. W tem, co mówi Psyche, od pierwszego obrazu czuje się pościg za nastrojowym frazesem; tymczasem chciałoby się widzieć wcielenie się poety w jej duszę i odnalezienie dla jej uczuć szczerych i silnych wyrazów. Cała część druga, trzecia, szósta i siódma pozbawione akcyi. Przez scenę przesuwa się mnóstwo komparsów, mogących uchodzić za typy nie indywidua. Jednem słowem utwór nie jest wybuchem silnego talentu, nie jest kreacyą dyonizyjską, lecz jest dość ciężką robotą niejednolitą, której szwów nawet nie starano się ukrywać.

Nielepszym nazwałbym i ostatni tegoż autora dramat p. t. »Ijola«. Tło średnich wieków. Maruna-Ijola została żoną grafa Kuna, który od dwóch lat walczy a teraz wraca.

Ijola jako lunatyczka w księżycowe noce po gzymsie dostaje się do izby klasztornego rzeźbiarza Arna. On wierzy, że to wizya, ale mówią, nawet wyznają miłość sobie. Na zew jutrznianych dzwonów Ijola odchodzi. Wraca Kuno. Dowiaduje się o gzymsowych wycieczkach, chwyta żonę na gzymsie, strzela, a nie zabiwszy — każe zakonnikom sądzić w kościele. Po wielu efektownych momentach sąd uznaje Ijolę za czarownicę i postanawia spalić. Nawet Arno wierzy w zbrodniczość jej. Kuno na razie kryje żonę w wieży, dokąd wdziera się Arno i nakłania do ucieczki, a że Ijola odmawia, Arno kończy samobójstwem. Przybywają zakonnicy i Kuno wydaje żonę na stos. Pierwsza wątpliwość, że Ijola w śnie lunatycznym mówi, myśli, czuje. Druga wątpliwość, że od lat jest lunatyczką, a nikt o tem nie wiedział. Dlaczego więc zaczęła odwiedzać izbę rzeźbiarza dopiero od dwóch miesięcy? Dlaczego nie świadczy na jej korzyść w czasie sądu Gerta, Berta

ona sama, tylko medyk, figura słomiana, którego nikt nie słucha ani mu ufa.

Trzecia wątpliwość, że Kuno kazał zakonnikom sądzić swą żonę, choć ich nie ceni ani też im ufa, skoro odzywa się: »księże słowa wiatrem są u mnie« (str. 196).

Oprócz wątpliwości i nieprawdopodobieństw niepokoi czytelnika szereg nieporozumień, tak, że całość wydaje się istną komedyą omyłek.

Arno widuje u siebie przez dwa miesiące żywą kobietę, mówi z nią, dotyka jej — i myśli, że to sen.

Maruna bywa w nocy u Arna, mówi z nim, dotyka go — i myśli, że to sen.

Służba widuje swą panią na gzymsie i wierzy, że to upiór.

Rycerz — zaledwie ujrzał piękną kobietę, gotów przysiądz, że cnotliwa.

Klucznik, nie zbadawszy win Ijoli, posądza ją o cały stek zbrodni.

Rycerz, jak łacno uwierzył w cnotę, tak popędliwie wierzy w występność, łamie miecz i z tem fałszywem mniemaniem odchodzi w świat.

Heno ginie i do grobu bierze niepewność co do Ijoli.

Wala ginie — ale dlaczego? Co ma stwierdzić swą śmiercią? Wszak on raczej oskarża, dozwalając snuć się domysłom... Czy wiedział coś bardzo złego o Ijoli? Wszystko sama ona zeznała.

Arno zbyt pochopnie daje wiarę posądzeniom, zbyt srogo lży: wszeteczna, uwodzicielka... zbyt zagadkowo dodaje, jakoby mu Wala wyznał o Ijoli »straszne rzeczy«. Wszak wiemy, co wyznał: oto niegdyś w młodzieńczych latach Wala i Ijola całowali się (str. 22).

Na takiejto wątłej tkance nieprawdopodobieństw i nieporozumień piętrzy się gmach zawikłania, który z pozoru ma chwile wstrząsające, w istocie dramatyczności posiada bardzo mało. Kiedy Klucznik wchodzi na sąd z trupem swego syna na rękach, kiedy Arno skacze z okna w głęboką otchłań, kiedy Kuno kładzie trupem giermka lub O. Anioł w opętaniu opowiada o sukkubusie, to są wprawdzie efekty łatwe, ale chyba na niewybrednych widzach mogą czynić wrażenie. To nie jest dramatyczność, która polega na duchowych starciach i walkach duszy. Człowiek zdaje sobie sprawę z tych walk, dobywa z głębi swego ducha nie bez wysiłku woli, wyobraźni, pamięci to, co tam kipi. Im dobitniej i silniej słowa odtworzą stan duchowego wiru, tem lepiej dla dramatyczności. Jak jest w »Ijoli«? Oto np. Wala, wracając od Ijoli, spotyka Kuna i rzuca mu w twarz niedowiedzioną, lekkomyślną prze-

strogę, żeby strzegł żony, bo po nocach skrada się do klasztornych gachów (str. 102).

Kuno przykłada mu miecz do gardła, ten cofa swe oskarżenie; Kuno każe go więzić i t. d. To teatralne, nie zaś dramatyczne, bo Kuno w tym zabójczym momencie zajmuje się nie s o b ą, nie swoją d u s z ą, lecz Walą, pozorami sromoty, ludzką opinią i t. d.

Albo drugi przykład. Po tem spotkaniu z Walą, Kuno woła Klucznika. Dramatyczność kazałaby rycerzowi wprost badać zawołanego: wszakże w nim kipi zazdrość, wstyd, gniew... Tymczasem teatralność poleca omawiać i krążyć koło zagadnienia...

Ludzie ci mówią czasem tak, jakby się bali stanowczej decyzyi. Arno raz wierzy w niewinność Ijoli, to znów nie wierzy; Kuno raz wierzy, to znów nie wierzy. Czasem znów wypowiadają zdania, które brzmią jak obelga. Arno o niewinności Ijoli mówi: »wierzę, chociażby to była n i e p r a w d a«; Rycerz, wygłosiwszy w obronie oskarżonej kilka frazesów, kończy, że nikt nie chce się o nią ująć, przeto on spełnia »o b o w i ą z e k« i rzuca rękawicę...

Czemże jest najnowszy dramat p. Żuławskiego? Brak widoku duszy w świadomej, silnej, głęboko sięgającej męce, brak istotnej dramatyczności, grube efekty, akt czwarty pełen niby rozrachunków, w gruncie zgrzytów, wiele nieporozumień i nieprawdopodobieństw — wszystko to przemawia na niekorzyść dramatu. Zaletą jest wątek powieściowy zajmujący i dekoracyjna strona sztuki starannie obmyślana. One sprawiły, że dramat nie minął bez wrażenia, chociaż trwałej ceny w literaturze mu nie zapewnią.

(Dok. nast.)

Antoni Mazanowski.

Z czasopism polskich w r. 1905.

Przegląd pedagogiczny. — Rodzina i szkoła. — Szkoła. — Miesięcznik pedagogiczny. — Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej. — Zdrowie. — Czasopismo lekarskie. — Przegląd hygieniczny. — Krytyka lekarska. — Biblioteka lekarska. — Świat płciowy. — Książka. — Przewodnik bibliograficzny.

Poziom wiedzy oraz metodyki w jedynym na cały zabór rosyjski tygodniku *Przeglądzie pedagogicznym,* był istotnie imponująco wysoki. I jakkolwiek wiele jest trudności z uzyskaniem porządnych artykułów

z zakresu tej gałęzi nauki, mimo trudnoby twierdzić, iż redakcya wywiązała się ze swego zadania mniej jak znakomicie, żeby były w omawianym roczniku artykuły niegodne bliższego zapoznania się. Tem, wcale niełatwiejszem było zadanie redakcyi, ile że trzeba było zachować równowagę między zagadnieniami z zakresu szkolnictwa początkowego a wyższego stopnia, między wychowaniem szkolnem a domowem. Z przyjemnością spieszę zaświadczyć, że równomierność została zachowana pod wszelkimi względami. Co więcej — tak przystępnie, zwięźle a mądrze pisanych prac mogłoby *Przeglądowi* śmiało pozazdrościć każde europejskie fachowe czasopismo. Z nich bowiem mogą korzystać nie tylko sami zawodowi pedagogowie, ale też w niemniejszym stopniu rodzice i wychowawcy. Bogactwo nagromadzonego materyału, niekiedy niezmiernej doniosłości dla szerszego ogółu, niechaj starczy za wytłómaczenie, dlaczego zajmiemy się obszerniej suchą na pozór zawartością *Przeglądu*. Boć została w nim uwzględniona nie tylko sama pedagogika, ale też i nauki zostające z nią w ścisłym związku. I to wszystko nie jest bynajmniej — jakby się komu mogło wydawać — nudnem, a owszem daje wiele do przemyślenia podczas i po przeczytaniu poszczególnych prac. I tak, artykuły, omawiające kwestye ogólne i bieżące, zajmują się między innymi: skupieniem uwagi dzieci w szkole ludowej (J. Chudy), zadaniem nauczycielki szkół elementarnych i jej współudziałem w pracy społecznej (F. Łagowski), zawodową pracą kobiet (M. Stępkowskiej-Kozierskiej). wychowawczem znaczeniem nauki (I. Moszczeńska), spodziewaną reformą szkolną. Szczególnie ważnym w tym dziale jest »Kwestyonaryusz w sprawie szkoły polskiej«. Rzeczy poświęcone hygienie szkolnej, omawiają: alkoholizm wśród dzieci i młodzieży i walkę z nim (S. Kopczyński), szkodliwością kary cielesnej dla dzieci (W. Chodecki), wreszcie niebezpieczeństwem powierzenia dozoru nad dziećmi osobom chorym lub moralnie zwyrodniałym. Z prac z zakresu psychologii najciekawsze są: A. Szycównej »Spostrzeżenia nad dzieckiem« i E. L. »Ze spostrzeżeń nad dziećmi« oraz »Znudzenie pod względem pedagogicznym«. Wychowaniu moralnemu poświęcono sporo miejsca, czy to rozpatrując wychowanie moralne a nerwowość, czy kształcenie w dzieciach poczucia odpowiedzialności, karę w wychowaniu lub lenistwo dzieci. Artykuły z zakresu ścisłej pedagogiki zajmują się: celem i środkami nauczania języków nowożytnych w szkole średniej (W. Osterloff), metodyką chemii w szkole średniej (S. Plewiński), językiem obcym jako przedmiotem nauki szkolnej (S. Fegler) i wartością opowiadań dla dzieci. Szkolnictwo ludowe zajmuje

osobny dział, z którego dowiadujemy się o istocie pierwszego nauczania (J. Chudy), o szkolnictwie ludowem w Królestwie Polskiem, o rozpowszechnianiu nauki elementarnej w Królestwie ze stanowiska finansowego (S. Musiałowicz), o języku polskim w szkole początkowej (H. Cholewicha), lub o podręcznikach do nauki języka polskiego w szkole ludowej (E. Dłuska). Artykuły z historyi pedagogiki traktują w przeważnej części o dziejach wychowania w Królestwie. Poza tem podawał *Przegląd* prace z dziedziny kształcenia estetycznego, informacye o ruchu zagranicznym na polu pedagogicznem, sprawozdania z dzieł fachowych polskich i obcych, przeglądy czasopism pokrewnych, wspomnienia pośmiertne, wreszcie obfitą garść drobnych wiadomości i komunikatów. Jako dodatek książkowy wydrukowano T. Hellera »Pedagikę leczniczą« w przekładzie d-ra Wł. Chodeckiego. Nie potrzeba dodawać, że pod każdym względem *Przegląd pedagogiczny* stoi o całe niebo wyżej od analogicznej galicyjskiej *Szkoły.*

Cel, jaki sobie wytknął lwowski miesięcznik *Rodzina i szkoła* uwidacznia się już w samym tytule. Z radością podnosimy fakt oczywisty, iż pismo to ze słabiuchnych początków rozwinęło się wprost znakomicie, tak, że ostatniemu rocznikowi nie można nic zgoła zarzucić. Będąc przeznaczonem dla szerokich mas rodziców i wychowawców, poruszało przedewszystkiem zasadnicze kwestye pedagogiczne w tonie przystępnym. Wprost żal nam, że ograniczeni szczupłością miejsca na nasz *Przegląd* przeznaczonego, musimy poprzestać na suchem tylko wyliczeniu tytułów ważniejszych prac. Ale i ono da do pewnego stopnia możność w oryentowaniu się wśród poruszonych tu zagadnień i zachęci może kogo do zapoznania się z niemi. Z pedagogiki domowej wymienię: M. Garaszkiewicza »O potrzebie charakterystyki uczniów«, Z. Morawskiego »O niebezpieczeństwach nieodpowiedniego nadzoru«, A. Siewińskiego »Kto niszczy śpiewające ptaszki?«, »Alkohol a wiedza«, Z. Morawskiego »Rozwój mowy u dziecka« i d-ra L. Sz. »Z hygieny«. Ze spraw szkolnych znowu: E. Pawłowskiego »Dwurazowa nauka w seminaryach nauczycielskich«, tegoż »Geografia i historya w naszych seminaryach nauczycielskich«, Z. Morawskiego »Miara zadań i celów nauki w wyższych zakładach naukowych«, K. Swiby »Potrzeba lekarzy szkolnych« i M. D. »Nowa metoda nauczania nauk ścisłych«. Każdy zeszyt, oprócz przeglądów piśmiennictwa, przynosił osobno zatytułowany dodatek p. n. *Wiedza i praca,* w którym pomieszczano popularnie pisane rozprawki z rozmaitych dziedzin wiedzy ludzkiej, przeznaczone dla młodzieży szkolnej. Z pomiędzy nich wymieniamy: d-ra

A. Szelągowskiego »O konstytucyi 3-go maja«, L. Kozara »Z twórczości Schillera«, Z. Morawskiego »Chinina i kora chinowa«, W. Żłobickiego »O ciałach promieniotwórczych« i J. Krajewskiego »O powstaniu miast polskich w Galicyi wschodniej. Jak widzimy — dobór tematów i treść przystępna tego pisma, powinny przyczynić się do jak najszerszego jego rozpowszechnienia w kołach wychowawców.

Organ lwowskiego Towarzystwa pedagogicznego *Szkoła,* wychodzący tygodniowo, był przeznaczony wyłącznie dla zaznajamiania nauczycielstwa szkół pospolitych ze zdobyczami na polu pedagogiki współczesnej i dla uzupełnienia odpowiednimi artykułami braków w ich wykształceniu ogólnem i teoretycznem. Pismo spełniało swój obowiązek sumiennie i rzetelnie, dbając o aktualność omawianych spraw.

Podobne zadanie, tylko w daleko szczuplejszym z braku odpowiednich zasobów materyalnych zakresie, spełniał organ takiegoż stowarzyszenia na Śląsku austryackim — *Miesięcznik pedagogiczny.* Oprócz artykułów czysto pedagogicznych, pomieszczał często bardzo trafnie dobrane prace, jak np. »Wychowanie młodzieży w Polsce od XIV aż do pierwszej połowy XVII wieku w świetle opisu W. A. Maciejowskiego« (z odpowiedniemi uwagami), lub H. Sienkiewicza »O szkole w zaborze rosyjskim«. Kwestye aktualne zabierały też sporo miejsca, żeby tylko wspomnieć o artykułach: J. Kubisza »Reforma nauki języka niemieckiego w naszych szkołach«, lub o bezimiennym: »Wakacyjny kurs uniwersytecki w Cieszynie« i »Fr. Schiller — w 100-ną rocznicę urodzin«. Każdy numer zamykały recenzye i sprawy Towarzystwa.

Z pedagogiką ludu stał w nierozerwalnym związku *Miesięcznik Tow. Szkoły Ludowej,* pismo redagowane nadzwyczaj starannie. Zwłaszcza dział rozpraw bodaj tu czy nie najlepszy, niż w dwu poprzednich pismach. Oprócz prac pouczających kierowników szkół wiejskich np. »Czem jest ogród szkolny na wsi, jako środek naukowy i wychowawczy?« (St. Szarok), mamy artykuły, zaznajamiające z zagranicznem szkolnictwem: St. Leonharda »Przegląd działalności Schulvereinu za r. 1904«, S. Musiałowicza »Szkolnictwo ludowe w Królestwie Polskiem ze stanowiska finansowego« lub M. Stępowskiego »Z ruchu szkolnego w Królestwie Polskiem«, mamy artykuły, przeznaczone dla kształcenia ludu nowym sposobem: d-ra Z. Gargasa »Cel i zadania teatrów włościańskich w Galicyi i ich stan obecny« lub okolicznościowe np.: d-ra K. Wróblewskiego »Z powodu 400-nej rocznicy urodzin Reja«. Oprócz tego pomieszczał *Miesięcznik* rozmaite drobne notatki i podawał wiadomości o czynnościach T. S. L.

* * *

Mogłoby się komu wydawać, że czasopisma fachowe lekarskie zawierają same prace, nieprzystępne dla nielekarzy. Otóż tak nie jest, bo takie np. warszawskie *Zdrowie,* organ Towarzystwa hygienicznego, w większej części przeznaczony jest dla publiczności, niż dla specyalistów. Zadaniem jego jest pouczać wszystkich o tak lekceważonej przez nas hygienie ciała. To też słyszymy tutaj od d-ra J. Brenera o »Zasadach walki z cholerą«, dr. J. Puławski zaznajamia z »Kąpielami im. B. Prusa w Nałęczowie«, A. Chmielińska pisze »O bezpłatnych zabawach dzieci ubógich«, dr. A. Majewski o »Hartowaniu wodą«, dr. J. Polak ogłasza »Kwestyonaryusz w sprawie hygieny wsi«, a J. Milawska zajmuje się »Śmiertelnością dzieci wiejskich i jej przyczynami«, zaś dr. W. Chodecki »Walka z prostytucyą«. Poruszono też sprawy, będące w Królestwie Polskiem na czasie, i tak pisali: A. Suligowski »O instytucyach ziemskich i ich potrzebie u nas«, dr. K. Łazarewicz »Pomoc lekarska w ziemstwach« i dr. J. Polak »Administracya państwowa i społeczna w sprawach zdrowia publicznego«. A takich prac, pisanych przystępnie, z któremi wartoby się zaznajomić, było całe mnóstwo. Ponadto przynosił każdy zeszyt *Zdrowia* cały snop różnych drobnych wiadomości z dziedziny ruchu i potrzeb hygieny, roztrząsał sprawy bieżące, podawał szereg ocen prac z zakresu hygieny, bibliografię i t. p.

Tak samo ma się rzecz z łódzkiem *Czasopismem lekarskiem,* na którego łamach d-rowie St. Serkowski i S. Sterling pouczali o zbliżającej się cholerze, d-rowie A. Pański i H. Olszewski omawiali zapalenie opon mózgowo-rdzeniowe, które u nas narobiło tyle hałasu, J. Poczobut pisał »O lecznictwie ludowem i o chorobach nerwowych wśród ludu«, a dr. J. Jaworski o »Warunkach rozwoju naszych miast i miasteczek w świetle istniejących przepisów i liczbowych danych«. I tu treść była przystępna i zajmująca.

Lwowski *Przegląd hygieniczny,* młodszy brat *Zdrowia,* szkoda, że nie wstąpił w jego ślady, a trzymał się więcej rzeczy teoretycznych, zamieszczając między innemi prace takie, jak: d-ra E. Weigla »O hygienie zdrojowisk«, d-ra J. Barzyckiego »Sprawozdanie roczne o inspekcyach w r. 1902«, d-ra K. Panka »Jarstwo wobec nowoczesnej wiedzy«, W. Barczewskiego »Projekt regulacyi zdrojowiska Krynicy« lub d-ra E. Krzyżanowskiego »Sprawozdanie miejskiego biura sanitarnego w Buczaczu za rok 1904«. Zdałoby się tu trochę prac popularnonaukowych!

Miesięcznik warszawski *Krytyka lekarska* zamieszczał rozprawy

bardzo poważne, lecz przytem bardzo interesujące na ogół, żeby tylko wymienić: d-ra fil. i med. P. Pręgowskiego »W sprawie nowych badań psychologicznych«, Z. Kramsztyka »Abstynencya«, A. Żurakowskiego »Nieco o walce z cholerą«. Nie od teraz też znajdujemy w *Krytyce lekarskiej* piękne prace z zakresu historyi medycyny w Polsce, jak np.: A. Wrzoska »Materyały do życiorysu Jędrzeja Śniadeckiego« lub d-ra J. Lachsa »Kilka wiadomośni o Jakóbie, lekarzu Władysława Jagiełły«.

Biblioteka lekarska drukowała dzieła dla specyalistów. Z prac innych na uwagę zasługuje »Szkic nauki o mowie« Wł. Ołtuszewskiego.

Wreszcie kilka słów w bardzo przykrej sprawie. Oto pojawiło się we Lwowie pismo, *Świat płciowy,* które pod płaszczykiem współczesnych prądów, skierowanych ku umoralnieniu młodzieży, rozszerza i przemyca najwstrętniejszą pornografię, nie żenując się wywlekać choćby brudów domowych lwowskich i nielwowskich. Baczność więc przed niem, bo nie wzniosło się ponad poziom *Bociana!* W ostatniej chwili dowiadujemy się, że pismo to już nie wychodzi.

* * *

Warszawski miesięcznik bibliograficzny *Książka,* jest pismem w rodzaju niemieckiego tygodnika *Litterarisches Centralblatt,* bo pominąwszy już samą bibliografię bieżących wydawnictw książkowych oraz spis czasopism z podaniem ich treści, zamieszczał w każdym zeszycie oprócz artykułów wstępnych, w których były poruszane rozmaite kwestye z zakresu czytelnictwa, bibliotekarstwa, techniki wydawniczej i t. p., cały szereg krótkich a treściwych recenzyi dzieł z rozmaitych gałęzi wiedzy ludzkiej. Prócz tego miało to pismo działy kroniki i wiadomości księgarskich. Za pożądaną uważamy osobną rubrykę, w którejby informowano o dziełach gotowych, poszukujących nakładcy, co znacznie ułatwia porozumienie się autorów z wydawcami.

Krakowski *Przewodnik bibliograficzny* prowadzony był nadal niestrudzenie przez d-ra K. Hecka, za którego redakcyi pismo to podniosło się znacznie i stało się zupełniejszem, niż za lat dawniejszych. Zwłaszcza dział »kroniki« jest teraz obszerniejszy i uwzględnia wszystkie ważniejsze wydarzenia w naszem życiu umysłowem i wydawniczem. Kto wie, jakie trudy ponosi dr. Heck, dbały o to, żeby nie pominąć nawet drobiazgów, powinien każdą dostrzeżoną lukę zapełniać nadsyłaniem informacyi o książkach czy broszurkach, o których redaktor nie ma wiadomości. Piszę te słowa pod adresem zwłaszcza naszych prowincyo-

nalnych drukarń, które przedewszystkiem powinny wziąć sobie za obowiązek przysyłać redakcyi *Przewodnika* po egzemplarzu, choćby najpospolitszych sprawozdań czy druków ulotnych. Bez tej pomocy, wszelkie utyskiwanie na niekompletność *Przewodnika* są bezpodstawne.

Dr. St. Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym. *Michał Rawita Witanowski.* Z rysunkami oryginalnymi Jana Olszewskiego. Warszawa 1904. Wydanie z udziałem zapomogi Kasy im. d-ra J. Mianowskiego. (W 8-ce, str. 285).

Po pracach: o »Ludzie wsi Stradomia pod Częstochową« (Kraków 1893) i »Monografii Łęczycy« (Kraków 1899), oraz licznych drobniejszych artykułach krajoznawczych, otrzymaliśmy obszerny opis Kłodawy, a już słychać nawet o drukującym się »Dawnym powiecie chęcińskim«.

Wymieniona książka dzieli się na trzy odrębne grupy, a mianowicie: opis Kłodawy pod względem historycznym (str. 1—97), kłodawskich stron pod względem ludoznawczym (str. 98—188) i dyplomataryusz (str. 189—268). Jak widać zatem, żadna z tych trzech części nie jest większa jedna od drugiej, proporcya między niemi została zachowana.

Dawszy na wstępie krótki zarys dziejów miasta Kłodawy, opisuje autor szczegółowo w części pierwszej: kolegiatę św. Idziego Kanoników Regularnych Lateraneńskich, kościół Bożego Ciała, kościół i klasztor księży Karmelitów Trzewiczkowych, szpital św. Ducha i ratusz. Obszernie też zostały opisane szkoły, starostwo, wójtostwo oraz handel i rzemiosła. Zużytkował też p. Witanowski, który na III Zjeździe historyków polskich w Krakowie w roku 1900 przedłożył bardzo ważny referat o monografii miast, jako materyale do poznania wewnętrznych dziejów kraju, wszystkie potrzebne źródła sumiennie i drobiazgowo, kreśląc obraz na podstawie szczegółów zaczerpniętych: z kronik i dyplomataryuszów, zapisków cechowych, ksiąg sądowych, napisów nagrobkowych, metryk kościelnych i t. p. Ponadto nie zaniedbał i ołówkiem uwiecznić zabytków kościelnych, portretów, nagrobków i wykopalisk. Nie będąc fachowcem, nie mogę oceniać i badać, czy każda data, zużytkowana przez p. Witanowskiego, jest prawdziwa. Dotychczasowa jednak krytyka histotyczna wyraża się o tej części monografii Kłodawy na ogół przychylnie, czyniąc tylko drobnoznaczące zarzuty.

Mojem zadaniem będzie zająć się szczegółowo drugą częścią pracy pana Witanowskiego, ile, że dotychczas tego jeszcze nie uczyniono. Zaczyna tę część opis ubiorów kłodawskich, dawnych i współczesnych. I o ile one zostały słowami dobrze i dokładnie opisane, o tyle nie można wybaczyć, że autor będąc zawodowym etnografem, przyznając sam wreszcie, że stroje kłodawskie znikają i ustępują miejsca

żydowskiej tandecie (str. 99), nie dał ani jednej illustracyi. Wszak sprawa zbierania ubiorów ludowych, poruszona niedawno skutecznie przez Komisyę antropologiczną Akademii Umiejętności, zbyt jest ważna, ażeby można nad nią przejść do porządku w monografii etnograficznej. Żaden bowiem słowny opis, choćby nie wiem jak najdokładniejszy, nie może dać tak dobrego wyobrażenia, jak rycina.

Tenże sam zarzut musimy, choć z wielką przykrością, (autor bowiem jest dobrze zasłużony nauce), uczynić następnemu zaraz z kolei rozdziałowi, traktującemu o zabudowaniach i sprzętach. Niepodobna przypuścić, iżby w całej Kłodawie nie znalazło się nic, coby zasługiwało na uwiecznienie ołówkowe w pracy p. Witanowskiego. Czyżby nie było ani jednego bodaj domu podcieniowego, ani jednego starego ornamentu i t. p.? Bodaj plan przeciętnego domostwa kłodawskiego powinien był tu być narysowany.

Opis zwyczajów dorocznych jest, mimo swojej zwięzłości, wcale udatny. Na szczególniejszą uwagę zasługują dramaty ludowe: »Król Heród« i »Szopka betleemska«. Z obrzędów rodzinnych podnieść trzeba przytoczoną w całości wierszowaną oracyę weselną drużby lub swata wraz z dokładnym opisem wesela. Szkoda tylko, że tak tu, jak i na innych miejscach swojej pracy, z reguły autor nie dodaje melodyi odpowiednich. A ten brak obniża wielce wartość jego zapisków dla nauki. Cóż bowiem po słowach bez melodyi?

Zwyczaje prawne zostały, jakby z umysłu, prawie że niczem zbyte. Bo czyż to, co p. Witanowski przytoczył (wszystkiego 6 numerów), wyczerpuje choć w odrobinie kwestyonaryusz prawny ś. p. Br. Grabowskiego? Czyż tylko tyle pozostało przeżytków dawnego prawa zwyczajowego?

Zabobony i przesądy, opisane bardzo szeroko, mówią: o czarownicach i topielcach, o »złem« i całym szeregu drobniejszych wierzeń. Z tym rozdziałem łączą się wróżby i przepowiednie, a pośrednio także medycyna ludowa, wyczerpująco tu uwzględniona.

Dum i pieśni niewiele zapisał i podał p. Witanowski, zapewne dlatego, że znane więcej lub rozpowszechnione opuścił, — i to całkiem słusznie. Z pieśni nabożnych na uwagą zasługuje — pieśń o odsieczy wiedeńskiej, zapisana w nowym waryancie. Pozatem mamy dalej same już tylko śpiewki miłosne, i to przeważnie krótkie. Ogółem jest ich 62.

Następują podania. W miejscowych słyszymy o zapadnięciu się miasta, kościoła i dzwonów. Historyczne mówią o królu Stefanie Batorym i o chłopie Wąsie (podanie to przypomina czyny bohaterskie Grzegorza Wielocha, niszczącego palisady Wielkich Łuk), o najeździe szwedzkim, o upadku Polski i o marszu Napoleona w r. 1812, a raczej o rozpuście żołnierskiej. Po trzy legendy mamy o Matce Boskiej i o Panu Jezusie, większość ich — niestety — jest już dobrze znana z innych zbiorów. Na uwagę zasługuje też legenda o zaczarowanym młynie, gdyż na tle podobnej osnuła Konopnicka nowelę p. n. »W starym młynie«. Gadki, anegdotki, przysłowia i zagadki kończą dział ludoznawczy. Niepodobna jednak pominąć milczeniem obszernego słownika gwary ludowej, który uważamy za walną zasługę p. Witanowskiego, który, będąc aptekarzem i stykając się stąd bezpośrednio codziennie z ludem, potrafił zdobyć tak piękną i obfitą wiązankę miejscowej gwary.

Dyplomataryusz podaje wreszcie 14 przywilejów miejskich, począwszy od Kazimierza Wielkiego z r. 1365, a kończąc rokiem 1766, t. j. ostatnim królem polskim. Przywilejów kościelnych mamy 7, od r. 1469 do 1608, oraz 5 przywilejów cechowych, z których najważniejszy przywilej króla Stanisława Augusta z r. 1787, zatwierdzający »Artykuły« cechu szewskiego. Nakoniec idzie Protokół sądów i spraw miejskich prawa magdeburskiego w Kłodawie i dokładny skorowidz osób i miejscowości.

Kończąc niniejsze sprawozdanie, czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że wyżej wymienione zarzuty nie umniejszają znowu bardzo wartości monografii Kłodawy, ani też rzeczywistej zasługi jej autora. Musieliśmy je poczynić przedewszystkiem z tego względu, że od dzisiejszych opisów etnograficznych wymaga nauka współczesna o sto procent więcej, niż przed laty trzydziestu chociażby.

Dr. St. Z

Kobieta współczesna. Książka zbiorowa. Wydawnictwo tygodnika *Bluszcz*. Warszawa 1905. Gebethner i Wolff.

Wymieniona książka, zawierająca na 366 stronach wielkiej ósemki duży snop niejednokrotnie bardzo ciekawych i pouczających artykułów, które wyszły z pod piór kilkudziesięciu autorów i autorek, jest chwalebnym przykładem dzielności i energii intelligencyi Królestwa, kiedy w krótkim przeciągu czasu potrafiono przełamać i przezwyciężyć tysiączne przeszkody, łączące się zawsze z każdem wydawnictwem zbiorowem. U nas w Galicyi — i za dziesięć lat nie wydanoby takiej książki!

Jaka tu przytem różnorodność materyału i kwestyi poruszonych! A zatem przedstawiono tu w kilku artykułach życie kobiece w krajach sąsiednich: w Szwajcaryi, Danii, Niemczech, Czechach i t. d. A oprócz tego uwzględniono szeroko udział kobiet w rozmaitych dziedzinach pracy umysłowej i twórczej, żeby wymienić prace: ś. p. Chmielowskiego p. t. »Udział kobiet w twórczości literackiej«, ś. p. Waleryi Marrené-Morzkowskiej »Kobieta w malarstwie«, Mieczysława Karłowicza »Kobieta w muzyce« czy Anieli Szycównej »Kobieta w pedagogice«, St. Karpowicza »Kobieta jako wychowawczyni« i d-ra Melanii Lipińskiej »Kobiety lekarki«. Mamy też kilka rozpraw, poświęconych pedagogice i medycynie w zastosowaniu do życia codziennego, jak i W. Olechowicza »O zabawach dla ludu«, M. Weryho »Zadanie ogródka dziecięcego«, M. Brzezińskiego »Dla domowego ogniska«, W. Rentt »O szkolnictwie galicyjskiem«, C. Platerównej »Obyczaj obyczajem poprawiać«, M. Dunin Sulgustowskiej »Slöjd« lub J. M. »Opieka nad kobietami poszukującemi pracy« i d-ra Tomaszewicz-Dobrskiej »Główne zasady zachowania zdrowia«. Ażeby zaokrąglić pojęcie o zawartości tej książki zbiorowej i różnorodności zagadnień, jakie w niej poruszono, wymienię jeszcze parę artykułów, odbiegających od wyżej wymienionych kategoryi, jak: H. Wiercieńskiego »Przemysł drobny w guberniach Królestwa Polskiego«, M. Hornowskiej »Znaczenie filozofii w życiu«, Cecylii Zyberg-Platerównej »Gospodarstwo wiejskie jako czynnik cywilizacyjny«, Antoniny Morzkowskiej »Nauki przyrodnicze w życiu codziennem«, Z. Smolińskiej »Haftarstwo u nas« lub nakoniec Br. M. Wiesiołowskiej »Zdobnictwo w stylu ogólno-polskim«.

Książkę poprzedza przedmowa Bol. Prusa p. t. »Ona«.

R. B.

Alexander Nikolajevič Pypin (1833—1904). Nastin jeho života a prace, napsal *Jiří Polivka.* (Otisk z »Filologickych Listu« XXXII). (W 8-ce, str. 52).

Jest to bardzo obszerny i wyczerpujący przegląd prac człowieka, który nie tylko był wielkim uczonym i znakomitym popularyzatorem nauki, ale też nieustraszonym bojownikiem o oświatę i postęp, co się zaś tyczy charakteru — czystym, jak łza. Z przedstawienia prof. Polivki okazuje się to wszystko w całej pełni, dając obraz olbrzymiej pracy i niespożytej zasługi. To bowiem, co Pypin w ciągu 50-letniej swojej działalności pisarskiej stworzył, ma trwałą, nieodmienną wartość. Jak zaś bez wytchnienia pracował, o tem świadczy fakt, że w miesiącu jego śmierci, przyniosło jedno z pism jego artykuł. Dla nas ma Pypin znaczenie nie tylko dlatego, że był naszym szczerym przez całe życie przyjacielem, domagającym się dla nas sprawiedliwości, ale też i z tej przyczyny, że w licznych swoich pracach potrącał często o naszą literaturę. Dość przypomnieć, że on to nakłonił prof. Spasowicza do napisania historyi literatury polskiej, która weszła w skład pomnikowego dzieła Pypina, dotychczas jedynego w Słowiańszczyźnie całej, do historyi literatur słowiańskich, że w swojej historyi literatury rosyjskiej niejednokrotnie wskazywał na oddziaływanie naszego piśmiennictwa, że w historyi ruskiej etnografii szeroko i bezstronnie omówił udział Polaków w pracach etnograficznych rosyjskich, białoi małoruskich, że on pierwszy należycie ocenił wagę zasług Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, że w artykule p. t. *Palskij wopros w russkoj literaturie,* rozpatrzył sprawiedliwie i krytycznie rozebrał głosy rosyjskie, jakie odzywały się o nas po powstaniu styczniowem, że zbił tendencyjną teoryę Duchińskiego, żeby już nie wymieniać całego szeregu recenzyi prac polskich.

S.

Fryderyk Schiller i t. zw. romantyka polska przed Mickiewiczem (r. 1822). *Dr. Witold Barewicz.* Lwów 1905. (W 8-ce, str. 43).

Jest to właściwie część pierwsza obszerniejszej pracy i dlatego zapewne wstęp do tej rozprawy jest nieco za obszerny. Przedstawiwszy, jaką drogą doszedł do nas Schiller, wykazuje autor wpływ poglądów Schillerowskich na rozprawę Brodzińskiego »O klasyczności i romantyczności«, przytacza i rozpatruje sąd Osińskiego, wypowiedziany w szeregu wykładów uniwersyteckich »O literaturze powszechnej«, wreszcie zajmuje się przekładami dzieł Schillera, jakie ukazywały się w czasopismach literackich. Ta część pracy kończy się rokiem wydania »Ballad i romansów« Mickiewicza. Dalszy ciąg pracy będzie niezawodnie o wiele ciekawszy. To też dobrze się stało, że właśnie taki znawca literatury niemieckiej, jakim jest dr. Barewicz, zabrał się do opracowania tej prawie nieruszanej dotąd kwestyi.

K. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Angielski projekt nowej ustawy szkolnej.

Pisząc przed kilku miesiącami na tem samem miejscu o akcyi o szkołę wyznaniową w Anglii, wyraziliśmy przypuszczenie, że widoki w tej sprawie nie rokują wielkich nadziei, już wtenczas bowiem było prawie pewnem, że liberalne stronnictwo, stojące na stanowisku dla szkoły wyznaniowej wrogiem, odniesie przy wyborach zwycięstwo. Nikt nie spodziewał się jednak, że to zwycięstwo będzie tak świetnem. Stronnictwo liberalne zdobyło prawie dwieście nowych mandatów, przeważnie kosztem unionistów tak, że dzisiaj liczy w parlamencie angielskim 375 członków, z tych 140 deputowanych zawdzięcza swój wybór głosom irlandzkim. Następstwa nie dały na siebie długo czekać. Dziewiątego kwietnia wniósł minister oświaty Birrell w parlamencie projekt nowego prawa szkolnego, który się stał od razu senzacyą dnia.

Szkoły, utrzymywane z funduszów zebranych przez podatki, są szkołami państwowemi i będą posiadały jednolitą metodę nauczania; szkoły niepaństwowe nie otrzymają ze strony rządu żadnego utrzymania, tak że z chwilą przyjęcia nowego prawa ustanie różnica między szkołami wolnemi a państwowemi. Przedmiotem wykładów religijnych w tych szkołach będzie etyka, która jednak

musi pominąć wszystko, co jakkolwiek różne wyznania chrześcijańskie od siebie rozdziela, będzie więc czemś nieokreślonem, opierającem się jedynie na czytaniu Biblii. Obowiązek uczęszczania na wykłady religii spada tylko na te dzieci, których rodzice tego zażądają; dyrektorem zaś może być każdy bez względu na osobiste religijne przekonania, dlatego też wymagane dawniej od nauczycieli wyznanie wiary odpada zupełnie. Szkoły, które zażądają wykładów religii o pewnym kierunku, np. wykładów religii katolickiej, przestają być szkołami państwowemi i nie otrzymają ze strony państwa żadnej zapomogi. Gdyby jednak rodzice, których dzieci wynoszą cztery piąte ogólnej liczby uczniów jakiejś szkoły, zażądali wykładów pewnej określonej religii, wtenczas szkoła nie przestanie być wprawdzie państwową, ale rodzice muszą ponosić koszta tych wykładów i utrzymywać nauczyciela, który znowu nie daje żadnej gwarancyi, gdyż może nim być ktokolwiek, bez względu na wyznanie.

Kto ma szkołę, ma przyszłość. Prawdę tego aksyomatu zrozumieli liberali angielscy, skoro mimo różnych trudności takie prawo wznieśli. A tych trudności jest wiele. Skarb państwowy, obrachował Birrell, będzie odtąd na utrzymanie szkół normalnych wydawać rocznie dwadzieścia cztery miliony koron więcej, jak dotąd, ponieważ kraj obejmie mnóstwo szkół wolnych. Większe trudności napotka prawdopodobnie rząd ze strony stronnictw. Antyanglikańscy protestanci, tak zwani niekonformiści czyli wyznawcy wolnych sekt, zwalczali wszelkiemi siłami upaństwowienie szkół wyznaniowych, odmówili nawet płacenia podatków w tym wyłącznie celu, aby szkoły znienawidzonego przez nich Kościoła państwowego nie otrzymywały z ich pieniędzy żadnych funduszów. Stronnictwo liberalne uznało i pochwaliło wtenczas ich stanowisko. Dzisiaj to samo niebezpieczeństwo zagraża ze strony innych wyznań, a że taki stan rzeczy nie przyczyni się do uspokojenia kraju, lecz wniesie zarzewie niezgody i ubezwładni w wielkiej części działalność parlamentu, o tem nie może być dwóch zdań.

Ujemne strony obecnego prawa odczują na sobie najwięcej, rozumie się, katolicy, którzy przecież znajdują się w kraju w znacznej mniejszości i należą ponadto do klas ubogich, tak, że własnym

kosztem nie potrafią przeważnie utrzymać osobnych szkół; nic więc dziwnego, że katolicy rozwinęli żywą agitacyę przeciwko ustawie szkolnej. Przez usta arcybiskupa Westminsteru wypowiedzieli już dawniej, że żądają katolickiej szkoły, katolickich nauczycieli i katolickiej kontroli zakładów; na wielkiem zgromadzeniu katolików w Tunbridge Wells przyjęto rezolucyę księcia Norfolku, domagającą się stanowczo szkoły katolickiej. Nie chodzi tu, mówi rezolucya, bynajmniej o robienie trudności rządowi, ale o sprawę, w której ustępstwo byłoby zbrodnią i czynem niemoralnym. Na innem zgromadzeniu wezwano Irlandczyków i stu czterdziestu członków liberalnego stronnictwa, którzy tylko głosami irlandzkimi zostali wybrani, by się przeciw ustawie wypowiedzieli; po tem ostatniem wezwaniu można się jeszcze czegoś spodziewać, gdyż katolicy przy wyborach szli solidarnie i oddając głosy swoje na kandydatów liberalnych, żądali od nich poparcia szkoły wyznaniowej; o ile liberali dochowają uczynionych obietnic pokaże najbliższa przyszłość.

Na razie niema powodu do obaw, gdyż Anglicy są wogóle przekonani, że projekt nie przejdzie, a gdyby nawet przeszedł w izbie niższej, odrzuci go izba lordów lub tak go zmodyfikuje, że z pierwotnego projektu chyba cień pozostanie. To zapatrywanie podziela część poważnej prasy angielskiej. *Standard* twierdzi np., że prawa nie można nawet brać na seryo, że tu nie chodzi bynajmniej o jakiś projekt, lecz raczej o demokracyę partyjną; *Daily Telegraph* widzi w zamierzonej ustawie niemożliwą tyranię i nietolerancyę, i dlatego przypuszcza, że żadne ciało prawodawcze jej nie przyjmie — i toby też było najlepszem rozwiązaniem sprawy.

Brewe *Quoniam in re biblica.*

Kilka tygodni temu pojawiło się oczekiwane i spodziewane już od dość dawna, brewe Piusa X: *Quoniam in re biblica,* omawiające tak ważną dziś i aktualną kwestyę biblijną. Nawiązując do encykliki Leona XIII *Providentissimus* zaznacza Ojciec św. z naciskiem konieczność głębszego zaznajomienia się z Pismem św. ze strony kandydatów do stanu

duchownego, by tym sposobem łatwiej można było wytrącić broń z ręki wrogów nadprzyrodzonego charakteru Biblii.

Brewe zakreśla bardzo szerokie granice studyom egzegetycznym, tak szerokie, że przy obecnym planie nauk teologicznych po seminaryach i uniwersytetach spotka się w wykonaniu z niemałemi trudnościami. Inspiracya, kanon, tekst pierwotny i tłumaczony, reguły hermeneutyczne, historya obu Testamentów, analiza pojedynczych ksiąg, tworzą przedmiot wykładów egzegetycznych, które odtąd rozciągać się mają na cały czas nauk seminaryjnych, tak aby każdy uczeń mógł przerobić cały materyał w ciągu studyów teologicznych. Ponieważ jednak na dokładne zbadanie wszystkich ksiąg nie starczy czasu, zadaniem profesora będzie w studyum wprowadzającem wyczerpać najważniejsze rzeczy pojedynczych części Pisma św.

W księgach Starego Testamentu przyjdzie przedewszystkiem uwzględnić chronologię, stosunki Żydów do innych wschodnich narodów, ustawodawstwo mojżeszowe, proroctwa mesyaniczne, psalmy i wszystko, co nowe badania w tej mierze stwierdziły. Najważniejszym przedmiotem studyów nad Nowym Testamentem ma być autentyczność i wzajemny Związek ewangelii i uwydatnienie tych ustępów i tekstów, które się odnoszą do wiary i obyczajów.

Brewe idzie jeszcze dalej. Żąda ono kształcenia się młodzieży w języku greckim, hebrajskim i jednym lub drugim semickim, jak niemniej w biblijnej archeologii, geografii, chronologii, teologii i historyi egzegezy. Na końcu każdego rocznego kursu i przed święceniami muszą uczniowie składać egzamina z egzegezy i prywatnem studyum uzupełnić to, co w wykładach pominięto.

Osobny ustęp papieskiego brewe jest poświęcony obowiązkom profesorów. Mają oni wykorzystać rezultaty nowszych badań, ale jednocześnie odrzucić zbyt śmiałe i nieuzasadnione twierdzenia; nigdyby też nie powinni odstąpić od ogólnej nauki i tradycyi Kościoła. W prelekcyach uwzględnić mają to, co do lepszego zrozumienia i obrony Pisma św. posłuży i wogóle kierować się będą normami, zawartemi w encyklice *Providentissimus*. Końcowy ustęp

omawia wreszcie potrzebę ustanowienia po seminaryach i teologicznych zakładach osobnych egzegetycznych bibliotek.

Te wygłoszone przez Piusa X zasady, wprowadzone w czyn, muszą katolickie studya biblijne postawić wszędzie na wysokości czasu i wymagań.

Ze spraw włoskich.

Akcya socyalna we Włoszech powoli, ale stale się rozwija. Wychodząca w Bergamo *L'Azione Popolare* podaje nam kilka w tym względzie interesujących szczegółów w artykule prezesa Związku ekonomiczno-socyalnego, hr. Medolago-Albani. Przyłączone do centralnego Związku w Bergamo instytucye ekonomiczno-socyalne wzrosły w r. 1905 do liczby 3725, do czego jeszcze dołączyć potrzeba 300 komitetów parafialnych i 76 stowarzyszeń o różnych celach i zadaniach, lecz idących z Bergamo ręka w rękę. Na pierwszem miejscu stoi w tym względzie Lombardya z 260 nowymi stowarzyszeniami, Wenecya z 210, Piemont z 160, Sycylia, Ligurya i prowincya Toskańska każda z mniej więcej 134 nowymi związkami. Te stowarzyszenia obejmują: 1092 wiejskich kas pożyczkowych, których depozyty wynoszą 60,972.912 lirów, podczas gdy w ubiegłym roku wypożyczyły 49,240.000 lirów; dalej 1056 stowarzyszeń wzajemnej pomocy; 76 banków o rocznym obrocie 211 milionów, o 125 milionach depozytów i 8 milionach kapitału akcyjnego; 279 stowarzyszeń asekuracyjnych, 242 stowarzyszeń konsumcyjuych, 63 związków chłopskich, 84 związków rolniczych, 87 kas robotniczych, 353 związków chrześcijańsko-demokratycznych i 205 organizacyi zawodowych. Te cyfry mówią same za siebie i wskazują, że ziarno rzucone przez Piusa X padło na dość odpowiednią rolę i kiełkować zaczyna.

Organizowanie i łączenie się katolików nie wszystkim się jednak podoba. Pierwszego kwietnia zebrało się w pewnej piwiarni rzymskiej do tysiąca ludzi rozmaitych odcieni, by wyrazić słowa uznania i sympatyi dla Francyi z powodu toczącej się w jej granicach walki kościelnej. Właściciel piwiarni zrobił podobno dobre interesy, to też skutkiem tego zebranie było tak burzliwe, że komisarz policyi widział się zmuszonym do odebrania głosu

niektórym mowcom. Tematem wszystkich występów było zorganizowanie walki przeciwko kongregacyom i związkom katolickim; nic więc dziwnego, że wysłano do prezydenta francuskiego ministeryum »słowa podziwu«, i że uchwalono rezolucyę, domagającą się walki na śmierć i życie z klerykalizmem i postanawiającą wykluczyć katolików od udziału w wyborach.

Jeszcze Maryawici.

Najważniejszą, nas obecnie obchodzącą sprawą, był list Piusa X, wystosowany pod datą 5 kwietnia do arcybiskupa warszawskiego i biskupów płockiego i lubelskiego, zajmujący się smutną historyą Maryawitów. Dwie rzeczy zwracają w tym liście na siebie szczególniejszą uwagę. Jest to najpierw ta niesłychana łagodność Namiestnika Chrystusowego, który i dzisiaj jeszcze nie potępia i nie odrzuca dusz zbłąkanych, lecz zatwierdza tylko pierwotny dekret z 4 września 1904 r., rozwiązujący zgromadzenie Maryawitów i zakazujący jakichkolwiek stosunków z Kozłowską; prawdziwie w duchu Chrystusa postępuje papież, wzywając polskich biskupów, aby »błądzących kapłanów, skoro tylko szczerze się opamiętają, ojcowską miłością otoczyli i po należytej próbie do pełnienia napowrót czynności kapłańskich powołali«. Ta miłość i łagodność Piusa X wywołuje wprost niezwykłe wrażenie, gdy się uwzględni drugi moment listu, mniej może ogólnie znane zawarte w nim ustępy, oświetlające ducha, jaki ożywia odpadłe od Kościoła grono kapłanów. Mniejsza już o dokument, który przedłożyli do potwierdzenia papieżowi lub kongregacyi w jego imieniu, a który był następującej treści:

»Marya Franciszka, obdarzoną od Boga najwyższym stopniem świętości, jest matką miłosierdzia dla wszystkich ludzi od Boga do zbawienia powołanych i wybranych w tych ostatecznych świata czasach; wszystkim zaś kapłanom-Maryawitom polecił Pan Bóg, aby cześć Najświętszego Sakramentu i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy po całym świecie szerzyli bez jakichkolwiek ograniczeń ze strony czy to prawa kanonicznego, czy ustaw ludzkich, czy zwyczajów, czy jakiejkolwiek władzy kościelnej lub świeckiej«.

Ten dokument nie świadczył jeszcze tak bardzo o złej woli,

cóż jednak sądzić o następującej pisemnej deklaracyi delegowanych przez Maryawitów księży: Kowalskiego i Próchniewskiego:

»Zawsze gotowi poddawać się woli Boga, która w tej chwili przez Jego Zastępcę tak jasno się wyraziła, najszczerzej i najchętniej odwołujemy nasze pismo, któreśmy dnia 1 lutego r. b. Arcybiskupowi warszawskiemu złożyli i w którem oświadczyliśmy, że się od niego odłączamy. Nadto z całą szczerością i radością wyznajemy, że zawsze chcemy być w jedności z biskupami naszymi, w szczególności z arcybiskupem warszawskim, dopóki nam to Wasza Świątobliwość rozkaże. Krom tego, ponieważ tu obecnie występujemy w imieniu wszystkich Maryawitów, przeto niniejsze wyznanie posłuszeństwa i uległości czynimy nie tylko od wszystkich Maryawitów, lecz także od całego koła adoratorów Najświętszego Sakramentu. W sposób szczególny składamy to wyznanie imieniem Maryawitów płockich, którzy tak samo, jak warszawscy, biskupowi swojemu wypowiedzieli posłuszeństwo. Wszyscy bez wyjątku tedy, upadłszy do nóg Waszej Swiątobliwości, najuroczyściej oświadczamy miłość naszą i posłuszeństwo względem Stolicy Św., w sposób zaś szczególny względem Waszej Świątobliwości i w największej pokorze prosimy o przebaczenie, jeśli cokolwiek z naszej strony, lub przez nas, mogło Jej sercu sprawić przykrość. Wreszcie oświadczamy, że natychmiast wytężymy wszystkie nasze siły w tym celu, aby przywrócić pokój między nami i między naszymi biskupami. Owszem, zapewnić możemy, że pokój ten w rzeczy samej wkrótce nastąpi«.

Jak pogodzić z tą deklaracyą późniejsze postępowanie? I czyż porównując deklaracyę z dalszem zachowaniem się przeniewierczych kapłanów można jeszcze mówić o dobrej, lecz obałamuconej tylko woli? Reformatorzy Kościoła do kłamstwa nigdy uciekać się nie będą, pokora nie pozwoli nigdy na podobną dwulicowość. I mimo, że papież mając w ręku takie świadectwa i widząc takie sprzeniewierzenie się uroczystej obietnicy, mógł wątpić i słusznie o ich uległości, nie odrzuca ich jednak, nie wyklucza z Kościoła, stosuje przeciwnie najmniejszą karę. To postępowanie

powinno było otworzyć oczy uwiedzionym i zbłąkanym kapłanom — niestety, otworzyło lecz nie wszystkim.

Z ambony w Lesznie padają z ust ks. Furmanika słowa, że »Maryawitom nie pozostaje nic innego, jak odłączyć się od Kościoła rzymsko-katolickiego i wypowiedzieć posłuszeństwo nie tylko biskupom, ale i papieżowi«. »Wyświęcenie« na kapłanów dwóch chłopców przez ks. Furmanika świadczy tylko o tym stanie umysłu, który już nie jest dalekim od obłędu, powyższe jednak jego słowa robią smutne, smutne wrażenie, tem bardziej, że tym słowom towarzyszy grad kul, strumieniem lejąca się krew czterech kapłanów i kilkudziesięciu świeckich i trupy zamordowanych lub z zaciekłą brutalnością dobitych 22 kwietnia w Lesznie, gdzie ten sam kapłan po dokonanym niesłychanym mordzie i rozbudzonych krwiożerczych instynktach, odprawia uroczyste dziękczynne nabożeństwo i udziela odpustu. To bardzo bolesne i gdyby nie było tak bolesne i złe, możnaby się tem nie martwić, gdyż trudno o lepszy, do opamiętania zbłąkanych mas, prowadzący środek nad te mordy i gwałty. Lud trzeźwieje i da Bóg, otrzeźwieje zupełnie, a wtenczas pewnie i na wszystkich tych, którzy dusz jego przewodnikami być mieli, przyjdzie kolej. Prawdziwemi jednak na zawsze pozostaną słowa arcybiskupa lwowskiego, wypowiedziane do księży archidyecezyi, którzy z okazyi smutnej sprawy Maryawitów zapewnili swego zwierzchnika o swej niezłomnej wierności: »*Si inimicus hoc fecisset* mniejby bolało, ale że to właśni bracia, tem więcej bolesne«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Stowarzyszenia wydawnicze u nas.

Od lat kilku przybyli tak pożądani a poważni współzawodnicy z handlem zawodowym księgarsko-nakładowym w postaci stowarzyszeń wydawniczych. Pożądani zarówno dla autorów, jak niemniej dla ogółu czytającego; pierwszym bowiem otworzyli nowy rynek zbytu dla ich prac oraz bodaj w części ochronili przed wyzyskiem nakładców, drugim zaś przysporzyli sporo nowej lektury. A że działalność tych sto-

warzyszeń stała się w krótkim przeciągu czasu bardzo ruchliwą, kiedy dotąd zdołały wypuścić w świat niemal dwie setki dzieł, przeto czas odbyć z niemi rachunek sumienia i zaznajomić ogół z rezultatami ich usiłowań, zwłaszcza, jeśli one nie zawsze były równomierne i nie na jednaką zasługują ocenę.

* * *

Najstarszem i najpoważniejszem z nich, i czego nie można przemilczeć, bezpartyjnem, jest lwowskie *Towarzystwo wydawnicze*. Założone w r. 1897 dzięki inicyatywie szczupłego grona osób dobrej woli, (z pomiędzy których najczynniejszymi i najwięcej zasłużonymi około rozwoju Tow. są: pp. I. Domagalski, W. Naake-Nakęski, prof. dr. Kalina i prof. dr. J. G. Pawlikowski), postanowiło oprzeć działalność swoją na samopomocy i skupić w gronie swojem dla celów wytwórczych ludzi, jużto mających własny w tem interes wydawniczy, jużto takich, którym dobro piśmiennictwa ojczystego nie jest obojętne. W tej też myśli słusznie zastrzeżono w statucie, że przedewszystkiem tylko prace członków Tow. mogą być przez nie wydawane. Warunek taki nie może być obojętnym, jeśli się zważy, że tylko w ten sposób mogą być wydawane dzieła, bardzo nawet poważne, które jednakowoż nie znalazłyby u nas nakładcy, którego nie interesuje wcale ważność pracy i jej wartość, a jedynie zysk materyalny. Tow. wydawnicze, jako nie obliczone na interes, kilkakrotnie już dotąd dało dowody chętnej i skutecznej w tej mierze pomocy.

Skutkiem takich podstawowych zasad społeczeństwo nie pozostało obojętne dla celów Tow., które unikając reklamowania się, (choć skromność jego w tym kierunku uważam za przesadną), zdołało skupić w kadrach swoich członków wielu ludzi bardzo zasłużonych w rozmaitych gałęziach nauki, literatów i tęgich powieściopisarzy, a nadto znanych działaczy społecznych. Stateczną obywatelską pracą zrobiło sobie Tow. większy rozgłos, niżby go mogło pozyskać huczną kupiecką reklamą i po kilku latach cichej działalności nie tylko zyskało uznanie powszechne, ale stanęło na twardym i pewnym gruncie, wyrobiło sobie poważne znaczenie w świecie księgarskim, a nadto kilkudziesięciotysięczny kredyt w pierwszorzędnych instytucyach finansowych (Bank krajowy, Gal. Kasa oszczędności), bez którego, jak wiadomo, nie utrzyma się żadne przedsiębiorstwo wytwóczo-kupieckie.

Wszystko to będzie niewątpliwie dla Tow. zachętą do dalszej pracy, największą jednak powinno być przeświadczenie, że usiłowania

jego znalazły grunt żyzny na tak nieurodzajnej glebie galicyjskiej, że potrafiono przekonać obojętne społeczeństwo o tem, że przy dobrych chęciach i wytrwałej pracy, można bardzo wiele zdziałać na pożytek piśmiennictwa ojczystego.

A teraz przystąpmy do szczegółowego rozpatrzenia się w dotychczasowej działalności *Tow. wydawniczego.*

O tem, jak administrowano w Tow., poświadczą najwymowniej cyfry, dając najlepsze pojęcie też o tem, co zdziałano przy stosunkowo nie wielkich zasobach finansowych. I tak: ogół członków w liczbie 278 złożył kapitał udziałowy w wysokości 19.071 kor. Z porównania cyfr z lat poprzednich okazuje się, że pomimo zdarzających się wystąpień członków, wycofujących swoje udziały, przyrost zarówno członków, jak i kapitału jest trwały, co jest tem więcej pocieszającym objawem, jeśli się zważy, iż pojedynczy udział musi wynosić wcale poważną kwotę, bo 50 koron. Fundusz rezerwowy wzrósł również do sumy 2.229 kor. Stosunkowo do pieniędzy, jakiemi obracało Tow. wydawnicze, kredyt 37-tysięczny, którym posiłkowano się, nie był zbyt wysoki. Taka to siła finansowa pozwoliła Tow. wypłacić w r. 1904 autorom dzieł wydanych i zamierzonych 7.048 kor., co czyni z honoraryami, danemi w latach ubiegłych bardzo wiele mówiącą kwotę 53.386 kor. Ogólny koszt wydawnictw wynosił 25.494 kor., czyli razem w ciągu lat ośmiu 146.263 kor. Czysty zysk, jaki osiągnięto, dał 6.363 kor., zapasy zaś wydawnictw, liczone za pierwsze trzylecie po cenie kosztu, przedstawiały wartość 60.000 kor. Wszystkie te cyfry mówią bardzo wiele same przez się, jeśli się uwzględni parę okoliczności. Przedewszystkiem autorom płacono wyższe honoraryа, niżby je można uzyskać u księgarzy-nakładców, dalej, — Tow. nie wydało ani jednej książki, o wartości problematycznej, a obliczonej jedynie na pokup, — a przy tej dbałości o wartość dzieł, poparło kilkanaście wydawnictw, któreby nigdy nie skusiły do podjęcia się ich nakładów spekulanta-księgarza, (żeby tylko wymienić pisma Goszczyńskiego). Jeśli się do tego wszystkiego doda, że Tow. musiało się borykać z wielu trudnościami, jakie wynikały z nierównomiernych warunków, w jakich społeczeństwo nasze zmuszone jest żyć, to ilość członków Tow., wysokość wypłaconych honoraryów i zyski, jakie rok rocznie były, wreszcie imponująca ilość wydawnictw, których ogółem puszczono na rynek księgarski 109, świadczy nie tylko o duchu przedsiębiorczym Tow., o dzielnej organizacyi handlowej i t. d., ale o prawdziwie obywatelskiej pracy, streszczającej się w słowach: wytwa-

rzajmy samodzielną umysłowość polską! To hasło, które było myślą przewodnią założycieli Tow. i jego obecnych kierowników, zasługuje nie tylko na publiczne podniesienie i pochwałę, ale też powinnoby baczniejszą, od dotychczasowej, zwrócić uwagę ogółu publiczności, interesującej się rozwojem naszego życia umysłowego na cele Tow. i na dodatnią jego działalność. Bo — każdy nieuprzedzony przyzna chyba, że działanie tego, czego dokonało Tow. wydawnicze, tak szczupłymi środkami, jakimi rozporządzało, mając do zwalczania na każdym niemal kroku nieobliczalne nieraz przeszkody, jest podziwu godnym owocnym trudem i dowodzi prawdziwego umiłowania pracy dla idei. Wydatna praca przekonać powinna niedowiarków, umiejących tylko wzruszać ramionami, że idea pokonuje nawet największe trudności i nie zginie, a natomiast żyć będzie na chwałę tych, którzy ją pielęgnują.

Jak powiedzieliśmy ogólna liczba wydawnictw wynosiła 109 dzieł, nie licząc w to dzieł wyczerpanych, których kilka, żeby wymienić: Witkiewicza »Krytykę i sztukę«, Zycha »Syzyfowe prace« lub Balickiego »Egoizm narodowy«, doczekało się ponownych edycyi. Ze szczegółowego podziału przekonamy się, że żaden dział piśmiennictwa nie był faworyzowany ponad inny. I tak wydano: z dziedziny powieści i dramatu dzieł 30, z dziedziny poezyi i muzyki 20, z zakresu nauk historycznych i społecznych 32, z dziedziny krytyki, estetyki i historyi literatury 16, z zakresu nauk ścisłych 6, i wreszcie dzieł specyalnych 5.

Pozornie z tego statystycznego zestawienia uderza przewaga belletrystyki. Mojem jednak zdaniem o przewadze niema tu mowy. Jeśli się weźmie pod uwagę połączoną ilość reszty wydawnictw, zobaczymy, że belletrystyka jest w mniejszości. Fakt ten stanowi znamienną cechę działalności Tow. wydawniczego i wykazuje najlepiej, że Tow. nie jest obliczone na zyski.

Dodać też trzeba, że w przeciwieństwie do innych pokrewnych stowarzyszeń, nie wydało Tow., z wyjątkiem jednego dzieła, prac tłómaczonych. I to wskazuje, że Tow. ma na oku jedynie rozwój ojczystego piśmiennictwa.

Również nie faworyzowano tu nikogo, ani młodych ani starszych pisarzy, dbając jedynie o wartość literacką dzieł. I tak w dziale belletrystycznym napotykamy między innymi: Godlewską »Dobrane pary«, ks. J. Gnatowskiego »Sweet Boy«, Sewera »Na pobojowisku«, Wierzbickiego »Rapsody«, a z młodych: Kasprowicza z kilku tomami utworów, Pietrzyckiego »Refleksye światła«, Kisielewskiego z czterema dra-

matami, Orkana z trzema powieściami, Potockiego »Martosia i my«, Zycha »Syzyfowe prace«, Żuławskiego i Nowińskiego.

W dziale krytyki i historyi literatury, również ten sam stosunek: obok Brücknera »Z dziejów języka polskiego«, Chmielowskiego »H. Sienkiewicz« i Witkiewicza z trzema dziełami, mamy młodszych: A. Potockiego »Konopnicka, Wyspiański«, d-ra K. Wróblewskiego »Trentowski i Ujejski« oraz podpisanego »B. Zaleski«.

W dziale tylko nauk społecznych i historycznych okazuje się pewien brak równomierności. Tutaj bowiem na pierwszy plan wysunięto politykę. Niektóre nawet z tych dzieł narobiły w swoim czasie sporo hałasu, żeby tylko wymienić Balickiego »Egoizm narodowy wobec etyki« (w dwu wydaniach), lub prace Studnickiego i Topora. A że prace te przechylają się na stronę narodowej demokracyi, stąd powstała pogłoska, jakoby Tow. wydawnicze było placówką tego stronnictwa.

Z pomiędzy dzieł z zakresu historyi, wszystkie odnosiły się do dziejów ojczystych i przedstawiają dla nauki trwałą wartość, np. Askenazego »Przymierze polsko-pruskie«, Gawrońskiego »Studya i szkice«, Rakowskiego »Powstanie poznańskie w r. 1848« i Szelągowskiego »Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce«.

Jak już nadmieniłem — Tow. za pomocą osiągniętych zysków popierało niejednokrotnie prace, których wydania nie byłby się podjął w naszych warunkach księgarz-nakładca, wiedząc z góry, że koszt ich się nie opłaci, a nadto przyniesie jeszcze straty. Do takich dzieł zaliczam przedewszystkiem sześciotomowe krytyczne wydanie pism Goszczyńskiego, z których dotąd ukazały się dwa tomy, trzeci zaś będący pod prasą, przyniesie same nieznane, bo niedrukowane dotąd nigdy utwory, dalej Błażka »Studya psychometryczne«, prof. L. Marchlewskiego »Teorye i metody badania chemii organicznej« i dzieła z zakresu rolnictwa prof. Sikorskiego i Janowskiego, wreszcie wyborną i znakomicie wykonaną mapę fizyczną ziem Polski prof. St. Majerskiego, nie wspominając już wcale o długim szeregu dzieł niecenzuralnych, których zbyt był ograniczony na Galicyę.

A skoro napomknąłem o wykonaniu, to niepodobna pominąć milczeniem formy zewnętrznej wydawnictw Tow., która przynosi prawdziwą chlubę zakładom W. L. Anczyca. Dość spojrzeć na dwutomowe wydanie Galla pieśni, na wspaniale odbite klisze w »Stylu zakopiańskim« d-ra St. Eliasza-Radzikowskiego lub na wspaniałe wykonanie

»Bajki o Kasi i królewiczu« Rydla, z illustracyami Dębickiego, ażeby zasługa Tow. i w tym względzie stała się widoczną.

Działalność Tow. na przyszłość zapowiada się również dostatnio. Między innymi bowiem pod prasą znajduje się powieść Reymonta p. t. »Mgły«, studya i szkice J. A. Kisielewskiego p. t. »Panmusaion«, nowele ks. Gnatowskiego »Ze świata i z poza świata«, w przygotowaniu zaś znajdują się: Kasprowicza »Skarga«, rzecz Dmowskiego o Japonii i studyum A. Potockiego o Prusie. Nazwiska autorów dają do pewnego stopnia rękojmię wartości ich prac.

* * *

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z *Polskiem Tow. nakładowem*, założonem we Lwowie w r. 1901. Przedewszystkiem ma ono — mimo rok rocznych zaprzeczeń w sprawozdaniach — charakter wybitnie partyjny, — socyalistyczny. Przechodziło ono dotąd rozmaite koleje, bo nawet posiadało własną księgarnię. Jak zaś ona była pomocną i potrzebną, okazuje się z tego, że podczas gdy w r. 1903 sprzedano nakładów Tow. za 7.000 kor., to w r. 1904 aż za 20.559 kor. Skutkiem wewnętrznych niesnasek postradało Tow. w połowie r. 1905 księgarnię i musiało dać wydawnictwa swoje na skład obcemu księgarzowi, co naturalnie pociąga za sobą koszta. Partyjność ta właśnie stała na przeszkodzie rozwojowi Tow., które obróciwszy działalność swoją na właściwe tory, mogłoby, a raczej miałoby, wszelkie warunki pomyślnego rozwoju.

Strona finansowa przedstawia się następująco: kapitał własny w udziałach i funduszu rezerwowym oraz amortyzacyjnym wynosił 14.497 kor. Działalność wydawnicza Tow. streszcza się w tem, że w ostatnim roku wydano książek za sumę 29.469 kor., co razem z ubiegłemi latami daje 59.036 kor. Ogółem miało Tow. w handlu księgarskim 42 własnych nakładów, z czego na rok ubiegły przypada 21 książek.

Jak już powiedziało się, — Tow. kładło w swoich nakładach główny nacisk na rzeczy agitacyjne charakteru socyalistycznego. Stąd też większa część jego wydawnictw roiła się od prac takich, jak: W. Sombarta »Socyalizm i ruch społeczny w XIX w.« lub E. Vandervelde'go »Kollektywizm i rozwój przemysłu«, lub takich, jakiem było drugie wydanie osławionych »Legend« Niemojewskiego. Wobec tej masy niknęły wprost wydawnictwa dobre, jak Zycha »Rozdzióbią nas kruki wrony...« lub Studnickiego »Wyodrębnienie Galicyi«. Kie-

runek socyalistyczny nakładów Tow. stał się w ostatnim czasie jeszcze więcej wybitnym, niż za lat ubiegłych.

Strona zewnętrzna wydawnictw nie może żadną miarą iść w paragon z wykonaniem prac poprzedniego Tow. Ani okładki, ani druk i papier Drukarni Narodowej w Krakowie, nie dorównają takimże oficyny W. L. Anczyca.

* * *

Trzecie tego rodzaju stowarzyszenie *Książka*, założone we Lwowie, potem przeniesione do Krakowa, nie różni się wcale kierunkiem od omówionego co dopiero Tow. Wystarczy powiedzieć, że na 16 własnych wydawnictw *Książki*, z wyjątkiem trzech tomików utworów Wł. Orkana, reszta była trzymana w tonie radykalno-socyalistycznym. Mamy tu więc perły tego gatunku, jak: Kasprowicza »Chrystus«, Feldmana »O Rosyi«, zbiór artykułów Marksa, Engelsa i Liebknechta, żeby nie przedłużać dalej ich wyliczania.

Dr. S. Z.

Od Redakcyi.

W poprzednim zeszycie umieściliśmy między zapiskami bibliograficznemi sprawozdanie o książce Rudolfa Penziga, p. t. »Jak odpowiadać na pytania dziecięce«. Wskutek nieoględności recenzenta, sprawozdanie to przeoczyło zupełnie, że w książce tej mieści się nie tylko pogląd antykatolicki ale i materyalistyczny agnostycyzm.

Redakcya.

Druk ukończono 10 maja 1906 r.

OKRES RZYMSKI W TWÓRCZOŚCI MICKIEWICZA.

Wychowany w cichem ustroniu Nowogródka przez bardzo bogobojnych i religijnych rodziców, Adam Mickiewicz, wyszedłszy z pod ich opieki, na akademii wileńskiej dostał się w inne otoczenie, znalazł się w atmosferze zakażonej w znacznej części wolteryanizmem i masońtwem. Wiadomo, że niektórzy z profesorów wileńskich należeli do masonii, np. główny profesor Adama, Grodek, był mistrzem wileńskiej loży, a wpisał się do niej także Leon Borowski [1], kierownik Mickiewicza na polu literatury. Musiało to wpływać ujemnie na kierunek i ducha wykładów uniwersyteckich. Gdyby tego wpływu nie było osłabiało filareckie grono, ożywione jak najczystszym duchem, a pełne idealnego polotu: to Mickiewicz byłby może wyszedł z akademii takim skrajnym liberałem i wolnodumcą, jak w kilka lat po nim, w gorszych już znacznie warunkach odbywający w Wilnie swe studya, młody J. Słowacki. Lecz ciepło serdeczne druhów filareckich »co nad poziomy wylatywali«, a »ze słabością łamać uczyli się za młodu«, odrywało młodego bojownika »od ludzi bez serc i bez ducha«, a tem samem osłabiało ujemny wpływ wolteryańskich profesorów, choć nie zdołało złamać go doszczętnie [2]. Pod koniec więc tego okresu całkiem szczerze rzucał Mickiewicz w naród nowe hasło odrodzenia: »...Wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca

[1] Chmielowski »Adam Mickiewicz«, I, 57—59.

[2] Ob. Wł. Mickiewicz: »Żywot Adama Mickiewicza«, I, 189.

szkiełko i oko[1]«. A gdy na jego serce, przywalone ciężarem zawodu w gonitwie za osobistem szczęściem, przyszły chwile ogrojcowego ucisku, chorą swą duszę pokrzepiał »Hymnem o Zwiastowaniu N. P. Maryi...« i nie uległ w rozpaczy, lecz przeciwnie w przełomowym »Żeglarzu« odpowiedział na jej podszepty stanowczą afirmacyą, że »gwiazda ducha zaginąć nie zdoła«; w »Dziadach« zaś wileńskich, współczesnych onej serca katastrofie, złożył niezmiernie potężny wyraz swej niezłomnej wiary w życie zagrobowe i sprawiedliwość Boskiej Opatrzności[2]. Wobec tej siły woli i niezłomności wiary nie dziwimy się, że gdy pod koniec tego filareckiego okresu przyszły nań ciężkie chwile srogich śledztw kata Litwy, Nowosilcowa, a po nich długie i hańbiące więzienie; duch jego nie ugiął się, lecz przeciwnie wzmógł się w sobie i urósł w Tytana. Tak upłynęła mu młodość »górna«, choć »chmurna«: ale niestety! nadszedł »wiek męski, wiek klęski«. Tym wiekiem klęski to pięcioletni pobyt poety na wygnańczej tułaczce w różnych miejscach rosyjskiego imperyum[3].

Podczas pobytu w Petersburgu, w Odesie i w Moskwie umilkły w duszy śpiewaka »Dziadów« nie tylko anielskie odgłosy wiary dziecinnej, lecz także one górne hasła ideałów filareckich; choć bowiem geniusz twórczy poety i w tych latach objawił się szeregiem dzieł niezrównanych, to jednak nie kroczył już prosto po owej świetlanej drodze najczystszych wzlotów, gdyż zwraca się albo ku mętnym uczuciom rozigranej zmysłowości (np. w Sonetach odeskich), albo ku ideałom bardzo rozerwanym w sobie (w »Konradzie Wallenrodzie«), albo bardzo nieokreślonym i mglistym, jak w »Farysie«[4]. Zatrzymajmy się na chwilę przy ostatnim poemacie. Jest on bardzo pokrewny swym zasadniczym to-

---

[1] Ob. »Romantyczność«, strofa 14.

[2] Por. prof. Kallenbacha »Wstęp« do »Dziadów« w IV tomie »Dzieł A. Mickiewicza«, wyd. Tow. liter. Im. A. M. Lwów 1905, str. 11—13.

[3] Por. rozprawę prof. W. Bruchnalskiego we wstępie do II tomu wyd. pomn. »Dzieł A. Mickiewicza«, str. 29. Lwów 1900.

[4] Obacz W. Gostomskiego: »O liryce religijnej A. Mickiewicza« w studyach: »Z przeszłości i teraźniejszości«. Warszawa 1904, str. 64.

nem »Odzie do młodości«, ale zarazem jak znamienna między oboma istnieje różnica! Tonem zasadniczym, dźwięczącym w obu tych poematach, jest ta myśl, że potęga ducha nieśmiertelnego w walce z materyalną, ale bezduszną potęgą świata zewnętrznego, jest czynnikiem pierwszorzędnym, nieskończenie wyższym i w ostatecznym swym rezultacie zawsze zwycięskim. Ale w »Odzie do młodości« przepojona jest ta myśl młodzieńczą wiarą w cel tego zwycięstwa: a celem tym jest żądza uduchowienia bezwładnej materyi, żądza zapewnienia duchowi przemożnego nad nią władztwa dla uszczęśliwienia ludzkości i własnego narodu. Dlatego to końcowe jej zwrotki tchną nadzieją, że po tej walce »wyjdzie z zamętu świat ducha«, że zabłyśnie »jutrzenka swobody« ducha i z nią dla narodu »zbawienia słońce«. Całkiem inny jest koniec walki ducha z materyą w »Farysie«. Poeta, upojony poczuciem swej potęgi i wielkości, stacza zwycięski bój z wszelkiemi przeszkodami, jakie napotyka na drodze swego zawrotnego lotu; ale nie staje on tu przed nami, jak w »Odzie«, w postaci wodza, otoczonego zastępem bratnich duchów, z którymi serce jego bije tem samem tętnem: przeciwnie, walczy samotny w samotnej pustyni; walczy dla siebie niejako, a nie dla szczęścia, czy to ludzkości, czy to narodu; to też po odniesionem zwycięstwie, upaja się jeno poczuciem samoubóstwienia; własnej wielkości ogromem oszołomion, wśród bezkresnej pustyni, siebie tylko podziwia, i wybucha słowy apoteozy swej potęgi, wołając w samolubnej ekstazie:

Oprócz mnie nie było nikogo na ziemi...
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu...
Jak pszczoła topiąc żądło i serce w niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie.

Czyż to ten sam ideał, co w »Odzie do młodości«? Czyż to samoubóstwienie, będące kresem i celem zapasów Farysowych, jest w zgodzie z hasłem »Ody«, brzmiącem tak pociągająco i tak patryotycznie:

W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!...
Razem, młodzi przyjaciele!

Z pewnością, że nie. A gdzież szukać przyczyny? Sądzę, że zmiana nastroju jest w pewnym związku ze stanem religijnym w duszy poety. Religijność jego w okresie wileńskim, do którego »Oda« należy, była mocno ugruntowana żywemi wspomnieniami wiary, z domu rodzinnego wyniesionej; w okresie zaś tułaczki w głębi Rosyi — a do tego okresu należy »Farys« — religijne żywioły duszy poety uległy jakby czasowemu zanikowi, chwilowo przysypane i przyprószone popędami samolubstwa lub zmysłowości[1], z powodu niepomyślnych stosunków i warunków, w jakich się znalazł młody wygnaniec.

Lecz za głęboko była w duszy Mickiewicza zakorzeniona wiara, iżby chwilowy obłęd mógł do dna wyżreć jej promienną światłość. Że poeta sam to odczuwał najlepiej; że to zboczenie z gościńca, wiodącego ku Bogu, uważał za szał chwilowy i zapomnienie: na to mamy dowód w jego własnem zeznaniu, jakie się z duszy jego samorzutnie wyrwało, gdy targał owe odeskie stosunki i ich ciężkie kajdany:

»Lećmy« — woła w zachwycie nad odzyskaną wolnością swej duszy — »lećmy! szczęściem zostały pióra do powrotu; lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu«[2].

Czy dotrzymał Mickiewicz tej uroczystej obietnicy? O ile chodzi o twórczość poetycką, odpowiedź krytyki naukowej musi być potakująca: wszystko bowiem, cokolwiek stworzył w zakresie poezyi tak w języku polskim jak i francuskim aż do zamarcia geniuszu twórczego z chwilą poddania się mętnej nauce towianizmu, — wszystko to nosi na sobie cechy nadobłocznych wzlotów pod względem artystycznym, a znamiona najczystszej katolickości pod względem religijnym.

---

[1] Por. rozprawę prof. W. Bruchnalskiego na czele II t. «Dzieł Adama Mickiewicza«, wyd. Tow. lit. Im. A. Mickiewicza«. Lwów 1900, str. 11.

[1] Ob. »Dzieła A. Mickiewicza« wyd. Tow. liter. Im. A. Mickiewicza, Lwów 1900, t. II, str. 65—66. »Dumania w dzień odjazdu 1825, 29 Octobra, Odessa«, w. 35 i 36.

Nie mogąc tej tezy rozwinąć na tem miejscu w całej rozciągłości, ograniczę się do t. zw. okresu rzymskiego t. j. do lat od 1829—31. Działalność poety w tem trzechleciu jest nader skromna i szczupła, ale w sobie zamknięta i niezmiernie pogłębiona. Główną jej cechą jest liryka filozoficzno-religijna. W niej to, jak w słońcu, skupiają się wszystkie promienie mickiewiczowskiego ducha; z niej jakby z ogniska, strzelają pęki światła, którem błyszczy i świeci nieśmiertelny duch wieszcza w tak niezrównanych dziełach, jak »Dziady« drezdeńskie, utwory z epoki listopadowej, »Księgi narodu i pielgrzymstwa«, »Pan Tadeusz«, »Konfederaci barscy«. Liryka filozoficzno-religijna z okresu rzymskiego, to graniczny słup światła, w którego tęczowych blaskach jedynie można zrozumieć i należycie ocenić całą wartość i doniosłość etycznego i religijnego wpływu poezyi A. Mickiewicza na naród.

Że zaś trudnoby było pojąć, jakim to sposobem dokonała się owa radykalna przemiana Mickiewicza odeskiego i moskiewskiego, a więc światowca i spiskowca zarazem, w Mickiewicza rzymskiego, w którego duchowem obliczu obaczymy najczystszą ekstazę wiary: więc pozwolę sobie podać w tem miejscu garstkę szczegółów biograficznych, które nam posłużą za pomost do właściwej analizy [1].

W pół roku po wyjeździe z Petersburga (15/27 maja 1829 [2]), stanął Mickiewicz z Odyńcem w mieście wiecznem [3] d. 18 listopada 1829 r. Od ławek szkolnych tęsknił już nasz poeta za Rzy-

[1] Do niniejszej pracy używałem, prócz znanych dzieł biograficznych i monografii lub wydania pomnikowego »Dzieł A. Mickiewicza«, rozprawy W. Gostomskiego: »O liryce religijnej Mickiewicza«, zawartej w studyach p. n. »Z przeszłości i teraźniejszłości« (Warszawa 1904). Atoli 1) włączam do liryki rzymskiej także ustęp z Zend-Awesty »Aryman i Oromuz«; 2) inaczej pojmuję genezę niektórych utworów tej liryki; 3) przeważnie innej trzymam się metody w jej analizie; 4) za główny cel tej analizy uważam przeprowadzenie tej myśli, że poglądy i zasady Mickiewicza w okresie rzymskim tak pod względem dogmatycznym jak etycznym i estetycznym były głęboko i nawskroś katolickie.

[2] Kallenbach: »A. Mickiewicz« I, 258.

[3] »Korespond. A. Mickiewicza« I, 56.

mem, jak sam wyznaje [1]. To też zaraz od pierwszej chwili »Rzym go zagłuszył«, a kopuła św. Piotra (t. j. potęga katolicyzmu) zakryła wszystkie pamiątki włoskie — jak donosi Malewskiemu [2]. Szczególny urok miało dla poety Kolosseum, gdzie lubił siadać pod drewnianym krzyżem na środku areny i w skupieniu a zadumie pogrążon, rozmyślać o strasznej walce słońca z ziemią, ducha z materyą, prawdy z przemocą [3]. Niebawem stosunki towarzyskie w Rzymie zaczynają mącić owo ducha skupienie. Poeta bywa na salonach Moskali, jak posła rosyjskiego Gagaryna, Golicynów, baroństwa Chlustinów, księżny Wołkońskiej.

Atoli szkodliwy wpływ [4] tych kosmopolitycznych Moskali osłabia zażyła przyjaźń z domem hrabstwa Ankwiczów i światłymi polskimi kapłanami w Rzymie, jak księża Parczewski i Chołoniewski [5]. Właśnie w domu Ankwiczów poznał Adam nadzwyczaj świątobliwą Marcelinę Łempicką, której głęboka wiara wskrzesiła na nowo iskrę natchnienia, wygasłą, jakby się mogło zdawać, już od lat dwóch, bo od napisania »Farysa«. Zresztą cała rodzina Ankwiczów tchnęła duchem religijnym i odznaczała się szczerą pobożnością. To też już po kilku miesiącach, bo z wiosną r. 1830 i w sercu poety objawia się pod wpływem nastroju religijnego otoczenia, zwrot do młodzieńczej wiary. »Lodowa powłoka zobojętnienia religijnego, nabytego w ciągu tułaczki po Rosyi«, tajała teraz pod dobroczynnym wpływem południowego słońca [6]. Przykład pobożnej Łempickiej, »która marzyła o niebie tylko i o klasztorze« [7], przystępującej w Genezanno do Komunii św. [8], tak przejmująco wstrząsnął duszą poety, że Mszy św. wysłuchał

---

[1] »Korespond. A. Mickiewicza« II, 76.

[2] »Korespond. A. Mickiewicza« I, 52.

[3] Por. Kallenbach: »Z. Krasiński« I, 211 i Wł. Mickiewicz: »Żywot A. Mickiewicza« II, 61 i 108.

[4] Kallenbach: »A. Mickiewicz« II, 11.

[5] Wł. Mickiewicz: »Żywot A. Mickiewicza« II, str. 67, 68, 104, 105, 107, 110, 138, 140, 143, 147.

[6] Kallenbach: »A. Mickiewicz« I, 282.

[7] Wł. Mickiewicz: »Żywot A. Mickiewicza« II, 67.

[8] Ibid. 107.

tamże na klęczkach z największem skupieniem [1], a gdy następnie przy zwiedzaniu klasztoru wszczęła się rozmowa o życiu zakonnem, Adam z wielkim zapałem wykazywał jego konieczność w społeczeństwie ludzkiem i w porywających barwach kreślił powab i urok takiego życia dla dusz wybranych.

W odmłodzoną tem wszystkiem duszę poety, na początku grudnia r. 1830, uderzył straszny grom, mianowicie pierwsza wiadomość o powstaniu listopadowem w Polsce. Wiedziony trafnem przeczuciem, przewidywał bystro smutny koniec tych rozpaczliwych zapasów o wolność [2]. Wśród okropnego zamętu i rozstroju duszy, w praktykach religijnych szukał ostoi moralnej i światła [3]. Już od roku zbliżył się Adam w Rzymie do wielce gorliwego kapłana polskiego, ks. Stanisława Chołoniewskiego, który też wywierał nań ze wszystkich przyjaciół najsilniejszy wpływ [4]. On to zwrócił uwagę Mickiewicza na apologetyczne pisma wiernego jeszcze podówczas Kościołowi ks. Lamennais, a zwłaszcza na jego dzieło »O obojętności religijnej«. Do ks. Chołoniewskiego uciekł się teraz zgnębiony poeta po radę i pociechę religijną. Ks. Chołoniewski nakłonił Adama do spowiedzi, odbytej dnia 8 grudnia, w dzień Niepokalanej Panienki, od której przed laty 8, gdy był w rozpaczy po utracie Maryli, również w uroczyste święto tejże Matki Bożej, doznał był nasz wieszcz tak cudownej pomocy, iż w zachwycie uniesienia napisał był prześliczny »Hymn na Zwiastowanie«. Spowiedź ta była tryumfem wiary w sercu autora »Dziadów«. Na pamiątkę tego przełomowego dnia w życiu wieszcza dał mu ks. Chołoniewski Tomasza à Kempis »O naśladowaniu Chrystusa«, która to książeczka była nieodstępnym dla niego towarzyszem aż do śmierci. Za tę świętą pociechę i pośrednictwo w pojednaniu się z Bogiem był Mickiewicz wdzięczny iście po synowsku, jak o tem świadczy jego własne zeznanie [5], iż ks. Chołoniewskiemu zawdzięcza »wiele pociechy, wiele chwil szczęśli-

[1] Kallenbach: »A. Mickiewicz« I, 283.
[2] »Koresp. A. Mickiewicza« IV, 66.
[3] Wł. Mickiewicz: »Żywot A, Mickiewicza« II, 143.
[4] Kallenbach: »A. Mickiewicz« I, 291.
[5] »Korespond. A. Mickiewicza« IV, 115.

wych, nowy widok świata, ludzi, nauk«. Do punktu kulminacyjnego dochodzi wiara poety w rzymskim okresie koło Wielkanocy [1] roku 1831, kiedy to przed wyjazdem na pole listopadowej walki, po odbytej znowu spowiedzi, Mickiewicz poczuwa w swej duszy powołanie do stanu duchownego, jak to sam opowiadał w parę lat potem wyjeżdżającemu do Rzymu na studya Kajsiewiczowi [2].

Na ten ostatni rok pobytu wieszcza naszego w świętem mieście; na ten rok wiośnianego odrodzenia duszy i jej skąpania się w św. Sakramentach oczyszczenia i miłości, przypada właśnie [3] spotęgowanie się poetycznego natchnienia w duszy Adama, i to wyłącznie na tle religijnem. Kwiatem o niezrównanej woni i wspaniałym owocem onej ekstazy katolickiej Mickiewicza są utwory następujące: 1) »Aryman i Oromaz«, 2) »Rozum i wiara«, 3) »Mędrcy«, 4) »Rozmowa wieczorna«, 5) »Do Marceliny Łempickiej«, 6) »Arcymistrz«.

Dla stwierdzenia powyżej nakreślonego nastroju duszy wieszcza przeprowadzimy analizę treści i formy tych poematów lirycznych.

Jako wstęp i zapowiedź liryki Mickiewicza w okresie rzymskim można uważać przekład ustępu z Zend-Awesty p. n. »Aryman i Oromaz«. Kładę go dlatego na czele, że ma on wyraźną datę »1830«, podobnie jak »Arcymistrz«; daty zaś reszty utworów tego cyklu albo są niepewne, albo samą treścią swoją zdają się dowodzić, że powstały dopiero po tamtym. Dlatego w ich rozbiorze trzymać się będę raczej porządku logicznego i psychologicznego, niż wątpliwej chronologii.

W nauce religijnej Zoroastra Ahriman czyli Angramainiyus jest uosobieniem złego na ziemi, jest »duchem niszczącym« i odwiecznym wrogiem Ormuzda czyli Ahura-mazdy, który jest duchem dobrym i pierwiastkiem wszelkiego dobra w świecie. Ary-

---

[1] Wielkanoc w r. 1831 przypadła na 3/4; poeta opuścił Rzym 19/4.
[2] »Pisma Ks. H. Kajsiewicza«. Berlin 1872, t. III, str. 407.
[3] Wł. Mickiewicz: »Żywot A. Mickiewicza« II, 143.

man nie posiada siły twórczej, ale ma moc wcisnąć zarodek złego w każdy czysty i dobry twór Ormuzda, jest wogóle źródłem wszelkich fizycznych i moralnych utrapień. A jak Ahura-mazda jest wodzem duchów dobrych i panem życia i światła, tak Angramainiyus przewodnikiem złych duchów, panem śmierci i ciemności. Według Zend-Awesty świat ten jest widownią zaciekłej walki dwóch tych pierwiastków; ale walka ta po 12.000 lat skończy się zupełnem zwycięstwem Ahura-mazdy [1]. Z powyższego wyjaśnienia widzimy, że perski myt w księgach religijnych Zend-Awesty zawiera w sobie szczątki pierwotnej tradycyi rodu ludzkiego o nienawiści szatana do Boga.

Mickiewicz pochwycił z tej olbrzymiej księgi perskich tradycyi jedną myśl i tę rozwinął w niezrównany pod względem plastyki sposób. Dajmy najpierw głos samemu utworowi:

W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny, jako lew, jak wąż, jadowity.
Onego czasu nadął się i dźwignął
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczeblował w górę tam, gdzie Bóstwo świeci.
Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł źrzenice.

A skoro ujrzał w samym niebios środku,
W samym jasności najczystszej zarodku
Oromadesa, co wśród tworów świeci,
Jak śród gwiazd słońce, jak ojciec śród dzieci:
Skoro na widok przedwiecznego słońca
Zły duch pomyślał o szczęściu bez końca:
Ta myśl ogromna, jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemię,

Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku [2].

[1] Ob. »Wielka encykl. powsz. illustrow.« Warsz. 1891, t. v, str. 129.

[2] Wszystkie teksty Mickiewicza podane są według wydania Tow. lit. Im. A. Mickiewicza t. II. Lwów 1900.

W bogatej treści tego poemaciku o 22 zaledwie wierszach, wyróżnić możemy cztery obrazy. Naprzód rzuca się w oczy kilku ostrymi rysami nakreślona sylweta ducha złego i miejsca jego pobytu. Aryman staje przed nami, jak żywe wcielenie gwałtu, przemocy i podstępu, co uwydatniono porównaniami z złodziejem, lwem i wężem. Widzimy, jak czyha na swe ofiary, przyczajony w »niezgłębionej przepaści«, wśród »najgrubszych ciemności«. — Następnie scena się zmienia. Piekielną zazdrością powodowany, Aryman wynurza się z podziemi, otulony gęstwą ciemności, z któremi rozstać się nie może, i skrada się »jak pająk po sieci«, ku Bóstwu światła, i dotarłszy tam, rozpiera się na granicy dnia i nocy, bo mu jej przekroczyć nie wolno. Z tego miejsca przecudowny otwiera się widok. Oto w samym »niebios środku«, wśród »najczystszej jasności«, błyszczy wśród tworów wszechświata tron Oromadesa, który — w zupełnym kontraście do Arymana — panuje tutaj »jak słońce śród gwiazd«, »jak ojciec śród dzieci«. — I w tej chwili ciekawość zazdrosna wroga Oromadesa zmienia się w szał rozpaczy i wściekłości: widok »szczęścia bez końca« w otoczeniu Ormuzda i w zjednoczeniu z nim pada na jego przeklęte »ciemię«, jakby ciężarem całego świata. Wobec Boga dobroci Aryman traci całą swą brutalną przemoc, i zapada się napowrót w niezgłębioną przepaść wśród ciemności najgrubszych.

Poemat ten, — którego piękność formalna zasadza się na silnym kontraście w obrazach miejsca pobytu Arymana i Ormuzda, jako też w jaskrawym, pełnym antytez, doborze barw i porównań, — zawiera uplastycznione przedstawienie podstawowego dogmatu wiary, iż wszystko co złe we wszechświecie duchów, ma związek z szatanem, bo on całą istotą swą nienawidzi dobra, szczęścia, światła, prawdy; wszystko zaś, co szlachetne, pogodne, świetlane, dobre, — to ma źródło swe w Bogu, do którego żadne zło nie ma przystępu — bo jest między Nim a »ojcem kłamstwa i grzechu« przepaść niczem nie dająca się zapełnić.

Odróżnienie dobra od zła, cnoty od występku, to pierwsza podstawa moralności; to jej alfa i omega; to

zasadniczy punkt wyjścia dla każdej ludzkiej duszy, dążącej do wewnętrznego udoskonalenia, lub szukającej wśród rozstroju klucza do wieczystego szczęścia. Toż samo rozważanie prawdopodobnie i w duszy Mickiewicza było pierwszym etapem na drodze do czynnego i praktykującego katolicyzmu. Trzeba było sobie raz powiedzieć głośno i otwarcie: że zło zawsze złem — że najświętszy cel nie uświęci złych środków — że »kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten mądrości wiecznej bluźni« [1]. I to wielkie słowo powiedział sobie Mickiewicz szczerze i głośno w powyższym poemaciku. Tak wszedł na wielki i jasny gościniec, wiodący w rajskie bramy wiary. Po tej przygrywce do świętej pieśni wiary musiała przyjść i ta pieśń sama. Czy nie dolatuje nas jej dziwnie potężny głos w utworze następnym, p. n. »Rozum i wiara«? Posłuchajmy jeno spiżowych jej tonów w głębokiem skupieniu:

I.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem:
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

II.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

III

Panie! mą pychę duch pokory wzniecił:
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nieswoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!

IV.

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem;
Małe i jasne... przed oczyma wiary.

[1] Z. Krasiński w »Psalmie miłości«.

V.

I was dostrzegłem, o dumni badacze,
Gdy wami burza, jak śmieciem, pomiata;
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali, obejrzeć krąg świata!

VI.

Konieczność, rzekli, według ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu.
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskiem przestworzu.

VII.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać!

VIII.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie;
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie;
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu!

IX.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, — tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

X.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

XI.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga; —
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię; niebios nie dosięga: —
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

XII.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem: — tyś zawsze na ziemi!

XIII.

A promień wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne zwierciadła oświeca:
Ach, ty bez wiary byłbyś niewidomy!

Co za potężny wybuch wiary z wezbranego jej uwielbieniem, jakoby wulkan, serca naszego wieszcza! Czyż to nie jest istny hymn duszy z zachwytem nadziemskim wpatrzonej w bezmierne oceany tajemnic, jakie nam Objawienie Boskie, w naszym św. Kościele katolickim złożone, odsłania, nie tylko oświecając rozum odkryciem prawd, bez których on błądziłby po omacku wśród gęstych ciemności, ale i zapalając wolę i serce ich ukochaniem! Obszerny ten poemat, z 13 zwrotek czterowierszowych złożony, w treści swej rozwiązuje nader przystępnie, bo zapomocą szeregu plastycznych obrazów, problem apologetyczny o stosunku wiary objawionej przez Boga do rozumu czyli czysto ludzkiej wiedzy, a raczej jej niczem nieuprawnionych pretensyi do rozstrzygania zagadnień, należących do sfery nadprzyrodzonego świata. Problem ten rozwiązany jest przez wieszcza zgodnie z nauką wiary katolickiej, której przyznaje Mickiewicz bezwzględną wyższość, i uznaje potrzebę i konieczność poddania rozumu pod powagę nieomylnego Boga u granic tej sfery, do której władztwo rozumu naszego nie sięga i w której nie dano mu jest władać prawowicie.

Myśl powyższa ujęta jest w cztery obrazy, z których każdy obejmuje trzy zwrotki, prócz ostatniego.

Na obraz pierwszy składa się czysto osobiste wyznanie wiary poety. W tem wyznaniu naprzód widzimy pełną świadomość i przeświadczenie autora o wybitnych zdolnościach i sile własnego rozumu i uczucia. Ale choć świadom potęgi swej twórczej, zniża swe »gromowładne czoło« wieszcz nasz przed Bogiem, jako chmura zniża się przed słońcem, by przyjąć jego promienie. To ukorzenie się przed światłem Bożem oświeca jego rozum i przyodziewa w tęczowe blaski tysiąca promieni »na świadectwo wierze«, czyli Objawieniu Bożemu, które nic

nie ujmując rozumowi z jego naturalnej przenikliwości, dodaje mu jeno nową moc do poznawania tajemnic, albo całkiem dla niego niedostępnych bez tego światła, albo dających się zdobyć z wielkim tylko mozołem. I raduje się serce wieszcza, zawsze i wszędzie myślącego o ukochanym narodzie, że gdy z niebieskiego stropu luną na Polskę klęski, gdy potop niedowiarstwa będzie usiłował ją zalać: to wziąwszy jego dzieła do rąk, znajdzie w nich dowody silnej wiary poety, łączącej go z Bogiem, jakoby cudowna tęcza przymierza: przekona się bowiem naród z tych dzieł, że geniusz Mickiewicza dlatego »górnie błyszczał na niebios błękicie«, iż był choć słabem Boskich ogniów odbiciem.

Trzy dalsze zwrotki dają nam przedziwnie zwięzły i prawdziwy obraz odmętu opinii, obłędów i omamień ludzi, polegających wyłącznie na swoim rozumie, zbuntowanych przeciw prawdom objawionym, niechcących przed niemi się ukorzyć. Dumni ci badacze, zamknięci w swych ograniczonych rozumkach, jak ślimaki w konchach, niezdolni są w małości swej zrozumieć ogromu wszechświata i Boga: jedni więc wszystko chcą tłumaczyć ślepą koniecznością praw nieubłaganych przyrody, inni wszystko przypisują swawoli przypadku.

Temu chaosowi racyonalistycznych na świat poglądów przeciwstawia wieszcz jednolity i zwarty w sobie pogląd wiary na stosunek Boga do świata i duszy wierzącej do Boga; a trzeci ten obraz odznacza się jeszcze wybitniejszą wyrazistością plastyki. Żeby wszystkie siły duszy w czytelniku skupić, w tej przecudownej wizyi poeta posługuje się jednem zjawiskiem na ziemi, z jednego źródła czerpie wszystkie poetyckie figury. Widzimy więc na tem barwnem malowidle niezmierne przestwory oceanów, wiecznie uderzających z dzikim rykiem o lądy stałe. Atoli ponad szalejącym żywiołem unosi się, jak w pierwszych rozdziałach Pisma św., wszechpotężna prawica Boża, która tym rozwścieklonym falom »granicę wykowała na skale«; one jej przekroczyć nie mogą, bo muszą o nią wiecznie się roztrącać z rozkazu Stwórcy. A tak choć ten wiecznie ruchomy żywioł wiecznie rwie się i wznosi ku niebu,

nigdy mimo to nie dosięgnie go, bo nie może sam z siebie wzlecieć wyżej. Oto obraz materyi, a przenośnie wzięty, zarazem obraz umysłu ludzkiego bez Boga, bez skrzydeł Objawienia. A teraz obraz duszy uskrzydlonej łaską wiary; do niego użył poeta jako porównania zjawiska najsubtelniejszego w świecie przyrody. Oto promień słońca, padając na topiel oceanu, nie tonie w jej głębiach, lecz rozszczepia się w różnobarwną tęczę, która znowu w niebo, skąd wyszła, powraca.

Ostatnie cztery zwrotki są niby ogniskiem, w którem Mickiewicz jeszcze raz zbiera i rozżarza przewodnią myśl całego tego poematu, lśniącego przepychem barw i najbardziej misternych obrazów. Rozum, pozbawiony słońca wiary, zda mu się marną kropelką we wszechmocnej dłoni Boga, — choć sam się zowie niezmiernym oceanem, — gdy o własnych tylko siłach »na paluszkach pychy« wspina się ku niebu. Lecz darmo! fale jego opływają jeno ziemię; a nawet gdy się zamienią w lotne opary, zdołają tylko na chwilę przysłonić blask słońca i spadają znowu na ziemię. Przeciwnie, promień wiary, którą niebo wznieca, on jeden rozpogadza wzburzone a bezsilne fale oceanu rozumu, on jeden oświeca jego zwierciadła. I kończy się ten niezrównany hymn wiary najpotężniejszą odezwą duszy, w światłości Objawienia skąpanej, kończy się najbardziej lakonicznym z całego utworu okrzykiem tryumfalnym:

Ach, ty bez wiary... byłbyś niewidomy! [1]

Ks. Romuald Koppens.

[1] Ten rodzaj łaski Ducha św., z pomocą której dusza wierząca ogląda niejako prawdy objawione, zowie teologia katolicka darem mądrości Ducha świętego. Obacz M. Meschler S. J.: *Die Gabe des heil. Pfingstfestes.* Freiburg im B. 1892, str. 272.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

LIBERALNY KATOLICYZM.

(Dokończenie).

Mimo różnych form, jakie przybierał w różnych swych fazach, przedstawił się nam liberalizm katolicki szermierzem tej jednej myśli: odmłodzić Kościół wprowadzając do jego życia i nauki te lub owe zdobycze, te lub owe ideały myśli współczesnej. Zmieniała się, albo przynajmniej inne przyjmowała nazwy konkretna idea, którą liberalizm katolicki różnymi czasy wypisywał na swym sztandarze — zrazu nosiła miano wolności, potem kultury, potem nauki, potem nowego pojęcia religii, dziś wreszcie wszystkie te hasła zlały się w jedno niezbyt jasne, ale za to tem potężniejsze im szersze — istota całego ruchu pozostała niezmieniona: zarównać przepaść dzielącą stary Kościół od nowej ludzkości.

Że względem wszystkich usiłowań w tym celu podjętych Kościół wogóle zachowywał się odpornie, że nie dał się pchnąć na nowe koleje i nie dał się olśnić uroczym obrazom przyszłych tryumfów, jakie ukazywali mu w dalekiej perspektywie Zamennais i Rosmini, Döllinger i Ireland, Schell, Ehrhard i inni — to rzecz aż nadto widoczna. Nie potrzeba cytować niezliczonych w tej mierze orzeczeń Piusa IX i Leona XIII, za którymi już

poszedł w niejednym akcie Pius X; nie potrzeba się powoływać na poważne, dziś liczniejsze, niż kiedykolwiek, głosy episkopatu wyraźnie potępiające liberalno-katolickie tendencye. Sami liberalni katolicy doskonale zdają sobie sprawę, że te sfery, które ton nadają w Kościele, nie wchodzą w ich myśli, czują, że nie są z Kościołem w zupełnej harmonii. Niektórzy coprawda łudzą się jeszcze, że nie cały Kościół jest im przeciwny, tłumaczą sobie, że tylko jedna koterya biskupów i teologów nie chce czy nie może zrozumieć ich myśli, pocieszają się jak mogą słusznem czy niesłusznem, ale w każdym razie częstem powtarzaniem takich nazwisk, jak Manning i Newman, Ireland i Spalding, Mignot, Bonomelli i t. d., ale w gruncie rzeczy i ci ostatni czują, że oni są partyą tylko i to niezbyt liczną w łonie katolickiego Kościoła, że ten wielki Kościół, co najwięcej znosi ich cierpliwie ale ani myśli dla ich nawoływań i upomnień zmieniać czy przyspieszać kroku, jakim zdąża poważnie po drogach historycznego rozwoju. I stąd właśnie, że czują liberalni katolicy mniejszą lub większą dysharmonię między swojem stanowiskiem a stanowiskiem Kościoła rodzą się u jednych mniej szlachetnej natury gniewy i dąsy, u innych uczucia rzeczywistego bólu i jakiegoś szlachetnego oburzenia, że Kościół nie idzie za tem, co im się zdaje być dobrem i prawdą.

Ale, jeżeli tak się rzeczy mają, nasuwa się każdemu głębiej myślącemu poważne pytanie, pytanie tak doniosłe, że chwiało się pod jego naporem niejedno serce katolickie, a tak trudne, że nad jego rozwiązaniem daremnie pracował niejeden umysł niepospolity bystrością i wiedzą: czemu ten stary Kościół nie chce zlać się z życiem młodego świata? Czemu przez usta Piusa IX uroczyście oświadcza zdaniem aż zdumiewającem w swej ogólnej formie, a dotąd nigdy nie odwołanem, że »nie może i nie powinien się pojednać z postępem i liberalną oświatą nowych czasów«?[1]. Czemu się nie zawahał gdy nie raz jeden przyszło mu potępić plany tego

[1] »Romanus pontifex potest ac debet cum progressu, cum liberalismo et cum recenti civilitate sese reconciliare ac componere«. *Syllab.* prop. 80.

pojednania, skreślone przez najwierniejszych, najszlachetniejszych zresztą swych synów?

Czy w obraniu tego stanowiska, jakie Kościół zajmuje względem nowej kultury, gra rolę wyłącznie konserwatyzm? Po części — może; wyłącznie — w żadnym razie. Że taka instytucya, jak Kościół, z natury swojej jest i nie może nie być konserwatywną, że konserwatyzm kościelny łatwo może się przerodzić w pewne wstecznictwo i u niektórych synów Kościoła istotnie niem trąci — rzecz całkiem prosta. Ale względem dzisiejszej oświaty ani nie zajmuje Kościół stanowiska biernego oporu, ani nie robi wrażenia wielkiej machiny zbyt powoli rozmachującej się do biegu, on mówi zasadniczo: *non possumus,* nie mogę się pojednać: znać więc, że nie sam konserwatyzm w grę tu wchodzi. Zresztą konserwatyzm ma racyę bytu tylko wtedy, jeśli to, co się chce zachowywać ma istotnie wartość absolutnie czy relatywnie najwyższą. Czyż zaś Kościół twierdził kiedykolwiek, że wszystko, co jest w jego łonie jest tak doskonałem, by zmiany nie było zdolnem? Albo czyż można tak światłą hierarchię, jak ta, co stała na czele Kościoła przez ostatnie stulecie oskarżyć o taki nierozum, jakim jest konserwatyzm dla konserwatyzmu, czy to uprawiany z amatorstwa czy ze zwyczaju?

Lecz jeśli sama zachowawczość Kościoła nie potrafi wytłumaczyć dostatecznie stosunku jego do współczesnej kultury, jeśli tu wchodzą w grę zasady, czyż może wierzyć nam każą, że jest z gruntu złem i błędnem wszystko, co ta nowa kultura światu przyniosła? A jeśli nie wszystko jest złem, czy przynajmniej wierzyć potrzeba, że wszystko jest mniej dobrem, niż w Kościele, że Kościół pod względem kulturalnym ze wszech miar wyżej stoi, niż dzisiejsza pozakościelna oświata? Nie. Tego twierdzić ani nie trzeba, ani nie można. I znów dowodu na tę prawdę szukać nie potrzeba w słowach uznania, jakich nie szczędzili wielu zdobyczom cywilizacyi Pius IX czy Leon XIII, bo pobieżny rzut oka na dzieje kultury najzupełniej wystarczy, aby się o tem niezbicie przekonać. I najzagorzalszy katolik, jeśli tylko pozostanie bezstronnym, musi przyznać, że wielkich i pięknych

dzieł dokonała ta praca myśli, co od XV wieku, poza ściśle kościelnym gruntem wznosiła mozolnie gmach dzisiejszej oświaty, a dokonała ich nie tylko w dziedzinie czysto materyalnej, nie tylko na polu nauk ścisłych, ale i w tych gałęziach wiedzy, które stykają się blizko z prawdą objawioną, jak patrystyka, biblika z całym orszakiem nauk pomocniczych, owszem i w tym świecie idei filozoficznych, etycznych, estetycznych, które się składają na żelazny kapitał prawdziwej cywilizacyi i zadatek dalszego postępu. To zaś przyznając, nie wchodzimy w kwestyę czy niechrześcijańska myśl twórców dzisiejszej kultury nie zasilała się ubocznie pierwiastkami odziedziczonymi lub zapożyczonymi z chrześcijaństwa, czy zatem i Kościołowi nie należy się znaczna może część zasługi w wytworzeniu tego właśnie postępu, który pragnie nieraz uchodzić za specyficznie antychrześcijański — stwierdzamy tylko fakt, że Kościół, nie o ile jest ideałem, ale o ile jest konkretną rzeczywistością, dał się wyprzedzić niechrześcijańskiej myśli na niejednem polu kulturalnej pracy. Stwierdzenie zaś tego faktu, lubo upokarzające dla katolików, nie jest ujmą dla Kościoła, bo jemu Bóg powierzył obowiązek głoszenia nieomylnie religijnych i filozoficznych podstaw prawdziwej cywilizacyi o tyle, o ile są w koniecznym z pierwszymi związku — nie powierzył mu misyi przodowania na wszystkich zgoła polach cywilizacyjnego postępu.

Lecz te uwagi najoczywiściej potęgują tylko trudność naszego pytania.

Jeśli się już przyznaje, że w kulturze dzisiejszej są i to niemałe dodatnie czynniki, że Kościół mógłby się zasilić niejedną jej zdobyczą, czemuż synowie Kościoła ukradkiem tylko i jakby przez kontrabandę wzbogacają się ze skarbca dzisiejszej oświaty, zamiast żeby Kościół radykalnie i oficyalnie zrezygnował z odpornego względem niej stanowiska? Czemuż za złe poczytywać t. zw. liberalnym katolikom, gdy upominają i proszą, by Kościół raz wreszcie chińskie mury obalił, by przyjął do swego łona dobre pierwiastki na zewnątrz zdobyte długą pracą myśli i długą ewolucyą, a nawzajem rozlał po świecie skarby prawdy i siły nadprzyrodzonej, aby wszystko nimi podnieść, uświęcić i całą kulturę obecną wciągnąć w wielkie dzieło budowy Królestwa Bo-

żego? Wszakże Kościół, tak mówią dalej, jeśli nie chce zaprzeć się swej istoty, w każdym czasie i w każdem miejscu swego historycznego pochodu, musi być kwasem, co przerabia tę mąkę, w jaką włożony został ręką Bożą! Jeśli Kościół potrafił przerobić i uświęcić świat pogański, nie wszystko w nim niszcząc, ale asymilując dobre pierwiastki w nim tkwiące, wystarczy wspomnieć znaczną część filozofii greckiej, rzymskich instytucyi prawnych, estetycznych i zasad i wzorów, czemuż dziś tylko trzymać się uparcie wyłącznie odpornego stanowiska? Czy zabrakło już w Kościele siły asymilacyjnej, czy wygasł święty ogień w sercach, który niegdyś zapalał świat?

Odpowiedź na to pytanie utoruje nam drogę do celu, o który nam chodzi, do oceny stanowiska tych, co to pytanie stawiając najczęściej, na jego tle rozwijają swe błędne teorye — liberalnych katolików.

Przedewszystkiem jedna uwaga.

Ta rzecz, którą patroni zgody nazywają »współczesną kulturą« nie jest czemś na tyle konkretnem i określonem, aby dało się wskazać dokładnie i namacalnie względem kogo właściwie i względem czego ma nastąpić ze strony Kościoła owa upragniona zmiana frontu. Dadzą się łatwo rzucać na papier podobne zdania: *Die Träger der modernen Kultur müssen energisch zur Selbstprüfung aufgefordert werden* albo: *Es muss eine harmonische Verbindung zwischen den Idealen des Katholizismus und den Erscheinungen des heutigen Kulturlebens hergestellt werden*, ale suponując nawet u władzy kościelnej najlepszą wolę pojednania się z myślą współczesną, wprawiłaby ją w niemały kłopot decyzya dokąd i w jakiej formie zaadresować listy pokoju. Owszem ci sami myśliciele, którzy najwięcej i niemal gorączkowo rozprawiają o potrzebie zgody, gdy przyjdzie im nakreślić jakiś konkretny jej program, przygnieceni trudnością zadania wikłają się i plączą, rzucają myśli albo niepraktyczne i niewykonalne, albo, mimo żywych barw, jakich nie szczędzą, tak nieokreślone, że w zamazaną rubrykę punktów przymierza raz po raz coś wciągają, z czego Kościół nie może rezygnować i coś czego nie może przyjąć, tak dalece, że aż do

tej chwili nie mamy możliwego planu owego pojednania katolicyzmu ze współczesną oświatą.

A czem to wytłumaczyć, że nie mówiąc jeszcze o wykonaniu, samą teoryę zgody przeprowadzić tak trudno? Cała trudność stąd poprostu wypływa, że w olbrzymiej walce Kościoła z myślą współczesną duch ściera się z duchem, nie zaś z konkretną zasadą konkretna zasada. Ściera się duch chrześcijański nie zawsze idealnie, ale co do swej istoty, zawsze wcielony w Kościele, z duchem niechrześcijańskim, który choć nigdzie nie wcielony w całości, potrafił jednak złączyć w jeden potężny obóz tak wiele pierwszorzędnych sił intellektualnych, potrafił tak opanować drogi jakiemi myśl szerzy się po świecie, że dziś może rozpierać się dumnie jako duch κατ' ἐξοχήν oświaty i kultury, podobnie gniotąc życie kościelne w sferze duchowej jak w sferze ekonomicznej trusty milionerów gniotą niezależne od nich przedsiębiorstwa. Zrodził ten duch najoczywiściej i całe mnóstwo zasad konkretnych, chrystyanizmowi z gruntu przeciwnych, ale owa różnica zasad jest raczej powierzchowną, zewnętrzną stroną olbrzymiego konfliktu. I liberalni katolicy zdają sobie sprawę, że musiałby świat współczesny dla dzieła zgody wyrzec się zasad chrystyjanizmowi wrogich i może, może daliby się po trochu do tego nakłonić sami przedstawiciele dzisiejszej kultury. Czego patroni zgody nigdy zrozumieć nie mogą dość głęboko, to to, że jest antychrześcijańskim sam duch, sam kierunek umysłu i serca, z którego współczesna oświata wynikła. Kościół przeciwnie. Nie waha się przyznać, że są w nowej kulturze dobre i piękne dodatnie czynniki, chętnie przyzwala, by te lub owe szczegóły były przyjęte przez jego wyznawców, ale pomimo to, oświadcza bez ogródki i stanowczo, że ani chce ani może z nią się pojednać, bo czuje, że z niej wionie duch, z którym dla Królestwa Bożego niema przymierza.

Spróbujmy określić na czem polega ten antychrześcijański pierwiastek.

Lat temu 100 z górą, pisał wielki autor »Wieczorów petersburskich«: *Examinez toutes les entreprises de ce siècle, vous verrez ces hommes de la révolution constamment occupés à séparer la terre de*

la divinité. I pisząc te słowa, z właściwym sobie geniuszem kładł de Maistre palec na główną ranę dzisiejszej kultury. Wyrugować Boga z życia ludzkości, albo przynajmniej zredukować do minimum rolę jego względem jednostki i społeczeństwa, urządzić się na ziemi w taki sposób, jakby życie doczesne zamykało w sobie wszystkie cele ludzkich prac i zabiegów, stąd pozbyć się za wszelką cenę samej pamięci na rzeczywistości pozaświatowe i niedoczesne — to było od samego początku, mniej lub więcej świadomą tendencyą epoki, której świt sięga XVI wieku, której wschód sprowadziła wielka rewolucya. Cała historya XIX wieku świadkiem jest pracy w tym kierunku podejmowanej. Udało się już urzeczywistnić tę tendencyę w bezwyznaniowym państwie na zasadach liberalizmu opartem; do tego samego celu dąży się z różnym skutkiem w szkole, w rodzinie, w stosunkach społecznych; obchodzi się bez Boga nowa filozofia i etyka, owszem nowa z posiewu Kanta i Comte'a wyrosła religia; rzeczy nawet w sobie dobre lub obojętne, usiłowano wprzągnąć w sprawę buntu przeciw Bogu, tak postęp w naukach przyrodniczych i historycznych miał służyć do obalenia chrześcijaństwa, a nawet wiary w Boga; postęp materyalny miał zmienić ziemię w jakiś raj rozkoszy, zdolny zastąpić ludziom niebo Boże. Oderwać ziemię od Boga, *séparer de la divinité*, sprawić, by tego Boga jak najmniej było w świecie, by w drogę nie wchodził, nie zamącał doczesnego życia — oto choroba myśli współczesnej. Obyśmy nie patrzeli na to, jak zarazki tej choroby przepełniające dzisiaj duchową atmosferę, niewiadomo jak i kiedy wygryzają w duszy młodych pokoleń uczucie potrzeby kontaktu z Bogiem, poczucie obowiązku wciągania Boga we wszystkie życiowe sprawy i rachuby.

Kościół natomiast, gdyby pozwolił temu duchowi w jakiejbądź formie, pod szatą jakbądź świetną i lśniącą wcisnąć się do swego łona musiałby się zaprzeć swojej istoty: Królestwa Bożego na ziemi. Temu niesłychanemu zwrotowi serc ludzkich ku doczesności i ziemi, jaki dziś owładnął światem, musi Kościół, jeżeli chce pozostać sobą, przeciwstawiać stare odwieczne prawdy »nie z tego świata«, o Bogu, o jego prawdzie objawionej, o jego prawie normującem wszystkie ludzkie stosunki, o życiu wiecznem,

do którego pielgrzymujemy na ziemi; nie może pozwolić, by uszczuplono na rzecz człowieka królewskie prawa Boże. I stąd, lubo nie gardzi doczesnym postępem, chociaż stara się zdążyć za rozwojem kultury, przedewszystkiem ceni sobie dobra wieczne, ku którym ludzkość prowadzi i woli raczej się wydać mniej nowoczesnym, mniej modnym, mniej »naukowym«, niż ustąpić choćby na włos jeden z posterunku, na którym stoi wśród świata w obronie nadprzyrodzonego pierwiastka.

Ale czy to nie jest illuzya zakrawająca na jakąś dziwną manię prześladowczą, że ktokolwiek żąda od Kościoła ustępstw w tym kierunku? Czyż taki Ehrhard np. nie zaręcza najuroczyściej *dass die Beilegung des Konfliktes (mit der modernen Kultur) von der katholischen Kirche keine Verleugnung irgend eines ihrer wesentlichen Grundsätze fordert?* [1]. Czyż owszem i on i inni pisarze tego samego pokroju nie żądają od Kościoła większej świętości, intenzywniejszego, nadprzyrodzonego wewnętrznego życia?

Powiedzmy otwarcie: W intencyi przeważnej części liberalnych katolików, z pewnością nie leży jakiekolwiek uszczuplenie nadprzyrodzonego porządku. Znaczna ich większość ma zamiary niewątpliwie szlachetne. A jednak objektywnie to, czego żądają od Kościoła, nie jest czem innem, jak rodzajem laicyzacyi religii, przemianą Chrystyanizmu z nadprzyrodzonego i Bożego w mniej lub więcej naturalny i ludzki. Przebija się w liberalnym katolicyzmie gust dziwnie podobny do tego, który kazał niegdyś grubą warstwą wapna do gładka pokrywać kapitele i żebrowania sklepień naszych gotyckich kościołów, lub stare ratusze zastępować nowymi w kształcie hoteli i dworców kolejowych. Zdaje się nam, że w istotę liberalnego katolicyzmu wchodzi jeden błąd ogólnej natury: liberalny katolik nie umie patrzeć na Kościół i wszystko co jest w Kościele pod kątem widzenia dostatecznie nadprzyrodzonym. Przeważa kąt widzenia naturalny i ludzki; skutkiem tego traci się z oczu cudowne, przeczyste linie »królew-

[1] *Der Katholizismus...* wyd. 4—8, str. 352. W wydaniach następnych, które wogóle wykazują znaczną zmianę na lepsze, jest i ten ustęp zaakcentowany daleko silniej. Por. wyd. 9—12, str. 383.

skiego pałacu«, absorbuje całą uwagę ziemska i ludzka, a więc z konieczności niedoskonała strona Bożego dzieła; w zestawieniu z nią, gmach współczesnej oświaty zaczyna imponować ogromem i blaskiem; rzekomo miłość Kościoła każe zapożyczać od nowej kultury motywów i ornamentów na pokrycie szarych ścian kościelnej budowy.

Zanim przejdziemy do uzasadnienia naszego zarzutu, spróbujmy wytłumaczyć się jaśniej.

Katolicyzm jest religą od góry do dołu i aż na wskróś nadprzyrodzoną. Cała wiara nasza jest opowiadaniem o wielkiem dziele Bożem, podźwignięcia natury do nadprzyrodzonego życia, które tu na ziemi wypracowujemy w sobie z pomocą łaski Bożej, pod światłem objawienia Bożego złożonego w Kościele, przez całe mnóstwo środków zbawienia, jakie nam podaje ten sam Kościół święty ręką swoich kapłanów, aby kiedyś w niebie rozwinęło się w nas w całej pełni i blasku. Stąd wszystko, co jest w Kościele jeden ma cel, jedno zadanie, jedną tylko racyę bytu: życie nadprzyrodzone w duszach ludzkich zaszczepić, zachować, wydoskonalić. W tem wielkiem dziele natura jest tylko podkładem, jest grubym materyałem, na którym rzeźbi mistrz Boży swe nadprzyrodzone arcydzieła, jest dzikim pędem, który całą swą wartość i szlachetność zawdzięcza jedynie Bożemu, nadprzyrodzonemu szczepieniu.

Cóż jednak oznacza wyraz »natura«, w przeciwstawieniu do rzeczy nadprzyrodzonych?

Nie wdając się w subtelne teologiczne określenia, powiedzieć można krótko, że w zakres natury wchodzi to wszystko, co z celem człowieka nadprzyrodzonym: oglądaniem Boga w niebie, nie stoi w takiej proporcyi by pozytywnie doń wiodło i stąd miało właściwe swoje miejsce w planie ostatecznego wykonania Bożego dzieła. Naturą więc jest życie zmysłów i wszystko co się doń odnosi; naturą jest rzecz zresztą tak szlachetna, jak wiedza i sztuka; naturą jest cały postęp ludzkości o ile się zamyka w sferze doczesnej i ziemskiej; naturą jest wreszcie cały ten wir czysto ludzkich, społecznych, politycznych, narodowych dążeń, rachub, ideałów, który kiedyś ma się pogrążyć w doczesności

skończonej i być z nią razem »jak dzień wczorajszy, który przeminął«. W tem wszystkiem lecz i ponad tem wszystkiem żyje i działa na świecie nadprzyrodzony pierwiastek, złożony w Kościele, z tem wszystkiem spleciony, ale od wszystkiego wyższy; związany z naturą, lecz nie zniżony ku niej, tylko ją dźwigający w górę; sprzężony często z ludzką niedoskonałością i nędzą, sam w sobie zawsze niepokalany i święty. Stąd w tej dziwnej mieszaninie jaką jest katolicyzm i Kościół, mieszaninie cieniów natury ze światłem nadprzyrodzonem, jeżeli zatraci się choć w części nadnaturalne punkta widzenia, cały pogląd na katolicyzm robi się nie tylko niedokładnym i niezupełnym, ale wprost krzywym i błędnym. Wszystko bowiem co jest w Kościele, wszystko bez wyjątku, czy to jest Chrystus, czy Pismo św., czy jakikolwiek sakrament, czy kapłaństwo, czy nieomylność papieska, czy cokolwiekbądź innego staje się nieomal karykaturą tego, czem jest rzeczywiście z myśli Bożej, póki nad stroną naturalną i ludzką wiara nie odsłoni strony nadprzyrodzonej, ni oku ni rozumowi niedostępnej.

Przypatrzmy się teraz, przynajmniej na kilku wymownych przykładach, jak liberalny katolicyzm nieznacznie i nieświadomie zatraca po trochu nadprzyrodzony pogląd na Kościół i życie katolickie.

Nie chcę zatrzymywać się dłużej nad tym odłamem liberalnych katolików, który naiwnie a niezgrabnie, bez ogródki przyznaje się do błędu, który wykazać chcemy u wszystkich, gdy twierdzi np., że dotąd zbyt wielką rolę w życiu ludzkiem nadprzyrodzonym czynnikom przyznawał katolicyzm, że czas już większy kłaść nacisk na naturalne cnoty w duszach i naturalne, doczesne interesa ludzkości[1], że dziś dodać trzeba sakramenta

[1] Nietrudno się domyśleć, że tego rodzaju zdania usiłują się podszyć pod myśli Leona XIII o społecznych zadaniach Kościoła. Każdy jednak dopatrzy się od razu olbrzymiej różnicy między teoryami Heckera, Irelanda, Kleina, Lemire'a, Naudeta *et consortium*, a zdrowym, silnym ruchem socyalnej działalności katolików i duchowieństwa zapoczątkowanym przez encykliki wielkiego papieża. Ta różnica redukuje się do wyrazu, jaki się postawi po słowie: »więcej« się poświęcać doczesnym interesom ludzkości. Więcej

ziemskie do niebieskich, że dawny rodzaj surowej ascezy zaczynającej od ujarzmienia natury, zastąpić należy ascezą bardziej ludzką, której zadaniem byłoby nietyle tłumić ile wyrabiać i wzmacniać naturalne popędy, zwłaszcza z fizycznej strony, że modlitwa czy to o chleb powszedni, czy o tryumf prawdy, powinna ustąpić miejsca dzielnej inicyatywie osobistej.

Co w podobnych myślach występuje wyraźnie, czasem tak wyraźnie, że przypomina jakąś *religion de l'humanité*, prędzej niż katolicyzm, to w innych odcieniach liberalizmu katolickiego ukrywa się trochę głębiej, da się jednak wyśledzić bez trudności.

Przedewszystkiem dziwnie uderza u wszystkich »liberalnych« nowy jakiś sposób patrzenia, zmieniona z gruntu *l'attitude* umysłu i serca, jaką zajmują względem Kościoła i objawionej prawdy. Patrzy się na Kościół nie jak na wielką i bardzo kochaną matkę, przez którą Chrystus zrodził nas Bogu i życie nadprzyrodzone w nas wlewa, ale tak, jak na objekt badania, oceny, krytyki, rzadko pochwały, objekt, poza którym i ponad którym się stoi na wyżynach »krytycznego uświadomienia«. Za obraniem podobnego stanowiska oczywiście idzie przeświadczenie, że się ma prawo i kompetencyę sądzenia, krytykowania wszystkiego w Kościele, rzucania planami reform, dąsania się, gdy te plany pozostały głosem wołającego na puszczy. A na jakichże podstawach opiera się owa mniemana kompetencya nieomylnego rozstrzygania o błędach katolicyzmu? Przecież dziś i to bardzo słusznie, od każdego krytyka wymaga się koniecznie kompetencyi! Czy ci panowie zadali sobie pracę poznania katolicyzmu od wewnątrz, ze strony tej duszy jego i słońca, jakim jest nadprzyrodzony pierwiastek? Przeważnie nie. Punktem wyjścia krytyki bywają zazwyczaj historyczne, kulturalne, filozoficzne refleksye, a prze-

---

niż dotąd robili katolicy, więcej niż sobie życzą antychrześcijańscy wodzowie ruchu społecznego — oto myśl Leona XIII, zrodzona jedynie w sercu pełnem nadprzyrodzonych intencyi; więcej się poświęcać ziemskim ludzkości potrzebom, niż nadprzyrodzonemu jej dobru — oto z gruntu fałszywe spaczenie, nie tylko myśli papieskiej, ale i słów wiecznie prawdziwych: »Szukajcie najpierw królestwa Bożego«. Aż dziwno, jak często się zapomina o tem prostem rozróżnieniu!

dewszystkiem analiza uczuć »duszy współczesnej, którą razi ta lub owa nauka, ta lub owa praktyka kościelna. A może się myli ta »dusza współczesna«? Może nie całkiem zdrowo myśli i czuje? Nie. Zaręczają nam najkategoryczniej, że w »duszy współczesnej« działa ten sam Bóg ludzkości, co działa w Kościele jako Bóg objawienia, że jej myśli i uczucia są dojrzałym plonem chrześcijańskiego posiewu!

Niejednego może już zadziwić nie mało to rozróżnienie, lubo nie całkiem chybione, Boga ludzkości od Boga objawienia. Zdziwienie wzrasta, gdy przekonywamy się z tego co nam mówią o dzisiejszym postępie, że Bóg ludzkości daleko dzielniej i szybciej prowadził swoich drogą kulturalnego pochodu niż Bóg katolicyzmu. Katolicyzmowi dziś zarzucają *Inferiorität* i *Rückständigkeit* tak głęboką, że wątpić przychodzi czy był dobrze kierowany przez swego Boga, czy przynajmniej ludzka złość i głupota w Kościele nie spaczyły do głębi planu Bożego. Czemuż zresztą nie wątpić? Inne teorye »liberalne« dopomagają bardzo skutecznie do spotęgowania tej wątpliwości. Co to jest objawienie? Co to jest inspiracya? Co to jest dogmat? Jak pojąć udzielanie się ludziom owego Boga objawienia? Z dzisiejszem, wolnem od przesądów pojęciem Bóstwa, nie da się pogodzić przekonanie, że ten Bóg wkracza co moment w sferę ludzką, przełamując prawa naturalnego porządku czy to by robić cuda, czy to, by podawać ludziom jakąś gotową prawdę. Objawienie: *ce n'est que la conscience acquise par l'homme de son rapport avec Dieu*, a dogmat *c'est l'interprétation de faits religieux acquise par un laborieux effort de la pensée théologique*. Prawda, że tak pisał już nie liberalny Loisy, ale Loisy odstępca; myliłby się jednak, ktoby sądził, że bardzo dalekiem od tego jest przekonanie wielu katolików, takich nawet co niechętnie przyjmują zarzut liberalizmu. I z tego przekonania pochodzi, że w badaniu Pisma św., w ocenie tradycyi kościelnej, w historyi ewolucyi dogmatów, niemal wyłączny kładzie się nacisk na ludzkie i naturalne czynniki, na indywidualność pisarzy świętych i apostołów, bo nawet samego Chrystusa, na rozmaite wpływy postronne, co wszystko razem postawione na piedestale »naukowej« teologii czy bibliki, gdzieś spycha na

drugi czy trzeci plan nadprzyrodzony pierwiastek, tak, że jak niektórzy szczerze się przyznają, nie wiadomo co z nim począć w dominującym dzisiaj historycznym poglądzie na religię. Objawienie nieznacznie zaczyna się odsłaniać, jako inny sposób tylko działania Boga ludzkości.

A jeżeli tak, to oczywiście razić jeśli nie śmieszyć musi pretensya katolicyzmu do wyłącznego posiadania prawdy i monopolu drogi zbawienia. Zaczyna się egzagerować i wykrzywiać zdanie, zresztą nie całkiem pozbawione prawdy, że o zbawieniu rozstrzyga właściwie tylko etyczne wyrobienie człowieka nie przynależność do jakichkolwiek wyznań, a tem mniej posłuszeństwo pewnym formalnej natury przepisom. Zaczyna uchodzić za zły ton polemika międzywyznaniowa; tolerancya religijna z kategoryi zła koniecznego przesuwa się w dziedzinę ideałów i stawia się w rzędzie największych zdobyczy kulturalnych naszych czasów; katolicyzm staje się powoli »jedną z wielu« religii, w których można osiągnąć zbawienie; jakiś szeroki, pełen wyrozumiałości unionizm religijny, zdaje się najlepiej odpowiadać słowom Chrystusowym o »wielu mieszkaniach przygotowanych w niebie«. I w rzeczy samej cóż można rozumnie i skutecznie zarzucić tym poglądom? Wszak zimny »intellektualizm« stawiający zarzuty, zakreślający granice, jest, jak nam mówią, zabytkiem pogańskiej myśli, gdy chrześcijańskiemu duchowi tylko »moralizm« odpowiada, jednoczący wszystko w miłości.

W te i tym podobne aberracye wkracza co chwila władza kościelna. Słyszymy o coraz to nowych dziełach położonych na indeks, o nowych, poważnych upomnieniach skierowanych w stronę liberalnego obozu. Bo zaprawdę nie odpowiedziałby Kościół swemu zadaniu, gdyby w czasach tak ogromnego zamętu pojęć, na jaki dziś patrzymy, silniej niż kiedykolwiek nie przywiązywał do swej opoki małych łódek umysłów ludzkich. Lecz cóż się dzieje? Na wyraz »wolność« bije zaiste każde serce szlachetne, ale mało jest niestety tak szlachetnych, aby zdolne były pojąć, co jest wolność katolicka, wolność nadprzyrodzona. Każdy nowy dekret z Rzymu, wywołuje u »liberalnych« uczucie rozgoryczenia, skrępowania, ostre krytyki i narzekania, czasem bunt otwarty. Pisze się gorzko

o kneblowaniu ust, o niewoli duchowej katolików, o niemożliwości dzielnej, indywidualnej pracy, wysławia się nie bez zazdrości wolność protestancką i w niej się upatruje źródło wyższości naukowej, a co najmniej rzuca się gromy oburzenia na jakąś koteryę teologów, która opanowawszy rzekomo Kościół, we własnym, partyjnym interesie tłumi wszelki objaw bujniejszego życia. Głęboki żal ściska, gdy się czyta wylewy podobnych uczuć na kartach liberalno-katolickich książek i czasopism, ale za to tem jaśniej zaczyna świecić ta prawda, że katolik nie uczuje się nigdy w Kościele nie jak ptak w klatce zamknięty, ale jak ptak we własnem, kochanem gnieździe, póki duszy jego nie przeniknie do głębi żywa wiara, że przez ludzkie organa Kościoła rządzi nim duch nadprzyrodzonego dobra i prawdy.

W postulatach reformy, jakie stawia liberalny katolicyzm, przebija niemniej wyraźnie ten sam zanik nadprzyrodzonych zapatrywań.

I tak, żeby kilka tylko myśli poruszyć, cóż znaczy, do czego zmierza to zdanie, z małemi odmianami co chwila powracające na usta i pod pióra, że Kościół powinien stać się potęgą czysto duchową, że powinien odrzucać wszelkie skojarzenie swoich interesów z interesami państwa, że powinien starać się nawet o modyfikacyę własnego zewnętrznego, hierarchicznego aparatu? Pomijając już to, że w imię tej myśli wzywają katolików do puszczenia w niepamięć historyi państwa kościelnego i nieomal do złożenia hołdu wdzięczności przed pomnikiem Cavour'a, niepodobna nie spostrzedz w co godzą podobne plany. Nadprzyrodzony pierwiastek w Kościele lubo sam w sobie czysto duchowy, nie żyje ani nie udziela się normalnie inaczej, jak za pośrednictwem hierarchicznie rozłożonego kapłańskiego, pasterskiego, nauczycielskiego urzędu. Dawny protestantyzm wyobraził sobie, że to pośrednictwo jest zbyteczne, że każdy wierny indywidualną swoją czynnością może równie dobrze być uczestnikiem nadprzyrodzonego światła i siły, ale katolicyzm ostać się nie może bez zewnętrznych, widzialnych organów roznoszących życie po całej społeczności wiernych. Podobnież być nie może, aby ten organizm kościelny, w jakiś widzialny, zewnętrzny sposób nie występował na arenie społecznego

życia i stąd nie wchodził w związki lub stosunek z tą najwyższą formą uspołecznienia, jaką jest państwo. Można krytykować tę konkretną formę zespolenia władzy świeckiej i duchownej, jaką wydało średniowiecze, ale chcieć zamknąć katolicyzm w czysto duchowej sferze sumień i zepchnąć go zupełnie z widowni życia ludzkości, znaczy tyle, co przeciąć lub skrępować żyły, po których krążą jego soki żywotne a zarazem radykalnie uniemożliwić wszelki kontakt doczesnych interesów świata z pierwiastkami nadprzyrodzonymi. Co prawda, może nieświadomie, w rzeczy samej jednak o to właśnie chodzi apostołom *des religiösen Katholizismus,* aby nadprzyrodzony pierwiastek ukryty »pod korcem«, w głębi dusz ludzkich, mniej wchodził w drogę naturze.

W sprawie wychowania kleru omawianej bezustannie, ugrupowały się myśli »liberalnych« około dwóch głównie ideałów. Jedni żądają od księdza prawie wyłącznie świętości; drudzy, gdy mowa o wyrobieniu kapłana, jeden tylko znają postulat, jedno hasło: nauka. Czy nie mają racyi obie strony, przynajmniej razem wzięte? Mieliby racyę, zwłaszcza pierwsi najzupełniejszą, gdyby to nie była *sui generis* świętość, jaka im przypada do smaku. Wymarzony przez nich ideał pełen jest miłości, ale nie Kościoła, w którym widzi same rany i braki; płonie zapałem, lecz obcym jest zupełnie duchowi pokory i posłuszeństwa; wznosi się aż na wyżyny mistycyzmu, ale nie drogami wielkich mistyków chrześcijańskich.

Ci znowu, którzy ideał kapłana zakładają w wykształceniu, mają o nauce cokolwiek inne pojęcia niż Leon XIII, gdy kler zachęcał usilnie do pracy naukowej. Nauka, jakiej żądają dla kleru ma być przedewszystkiem nauką dzisiejszą, która wzbogaca umysł erudycyą i mnóstwem pozytywnych wiadomości, nie przestarzała scholastyka, zgubiona w metafizyce czyli w grze słów pustych i zimnej, płonnej abstrakcyi. Stąd uniwersytet dla kleru, koniecznie uniwersytet, nie seminaryum! Seminaryum zacieśnia umysł, zasklepia młodego teologa w świecie pojęć czysto kościelnych, sprawia, że ksiądz obcym jest naukowemu światu i nawzajem niema zrozumienia dla dzisiejszej naukowej myśli; w seminaryum wreszcie, jak mówi otwarcie taki np. Merkle, przez zby-

tnią zależność profesora od biskupa cierpi »wolność« teologicznej wiedzy.

Nie chcemy kilku słowami rozstrzygać tutaj trudnego zagadnienia, ale jeżeli w ten sposób postawi się naukę i to naukę nie kościelną na czele zadań przyszłego kapłana, cóż się stanie z życiem nadprzyrodzonem? Uspokajają nas, że się wyrobi alumn teologii przez samą walkę z tysiącem trudności i pokus, jaką staczać musi w życiu uniwersyteckiem, by wiernym pozostać zasadom i powołaniu. Doświadczenie niestety, zadaje kłam tej pięknej teoryi.

Czyż więc nic nie zmieniać w dzisiejszej metodzie wykształcenia kleru? Czy dzisiejszy stan rzeczy uważać za idealny i jako taki starannie zachowywać? Bynajmniej. Ostrzegamy tylko przed tą tendencyą, która wyżej chce nosić sztandar nauki niż wewnętrznego życia, a w samej nauce wyżej stawia wiedzę świecką niż tę, którą Kościół po wszystkie czasy starał się przedewszystkiem wpoić w swe sługi. I u nas i zagranicą napatrzyliśmy się zanadto na fatalne skutki braku wykształcenia kapłanów, aby nie pragnąć całem sercem reformy w tym kierunku. Przedewszystkiem olbrzymie zadania społeczne, jakie się dziś otwierają przed Kościołem, upominają coraz usilniej, by wciągnąć w plan studyów duchownych nauki socyalne, do tej chwili prawie zupełnie leżące odłogiem. Nadto gruntowna znajomość teologii i filozofii chrześcijańskiej z naukami pomocniczemi: biblią, patrystyką, historyą kościelną i t. d., nieodzowną jest kapłanowi do należytego spełniania duchownych obowiązków. Przy tem wszystkiem jednak wartość kapłana mniej leżeć będzie »w uczonych słowach ludzkiej mądrości«, niż »w okazaniu ducha i mocy« (1. Kor. 2.), stąd niewątpliwie chybiają celu ci, co mniej sobie ważą wyrobienie ducha, niż wzbogacenie umysłu.

Byłoby tylko nużeniem czytelnika iść dalej poprzez idee liberalno-katolickie i wszędzie wskazywać na jeden i ten sam błąd zasadniczy: na zanik nadprzyrodzonych punktów widzenia. Natomiast trzeba nam powtórzyć z naciskiem, że to jest błędem. Katolicyzm jest ciągłą reformą, ciągłą odmianą tak ludzkości całej, jak każdego indywiduum z osobna, ale wielki kanon tej reformy nie jest

i nie będzie inny do końca świata, jak ten, który skreślił apostoł: *Nolite conformari huic saeculo sed reformamini in novitate sensus vestri* (Rzym 12, 2); naturę z jej przyrodzonemi skłonnościami ujarzmić zrazu, aby ją potem nadprzyrodzonem życiem uszlachetnić, poddźwignąć w górę, uduchownić — to było i będzie zawsze głównem Kościoła zadaniem, któremu całą siłą się sprzeciwia w każdem sercu i całym świecie duch tej ludzkości przyrodzonej i ziemskiej, która nie chce znać Królestwa Bożego. Nie ulega wątpliwości, że ten duch wrogi Bogu i chrześcijaństwu potężniej i dumniej niż kiedykolwiek podnosi głowę w nowoczesnej kulturze.

Prawdziwy zaś i całkowity katolicyzm, to znaczy: nadprzyrodzony katolicyzm.

W tej nadprzyrodzoności istota rzeczy. Niema celu kruszyć kopię o to, by przekonywać Kościół o potrzebie dzisiejszych badań naukowych lub haseł społecznych, bo i bez tego wszedł katolicyzm na tę drogę.

Kto zaś umie głębiej patrzeć, ten w duszy współczesnego świata prócz symptomów groźnych chorób odkrywa jakiś przesyt, jakieś znużenie i wyczerpanie gorączką postępu. Kultura, która była bożyszczem, zaczyna tyranizować coraz dotkliwiej nie tylko te miliony wydziedziczonych, którym rozbiła domowe ogniska, wydarła z życia każdy promyk szczęścia, ze serca chrześcijańskie ideały i nadzieje, których rzuciła na pastwę żelaznym uściskom maszyny i kapitału. W samem życiu naukowem, w tej najświetniejszej karcie dzisiejszej oświaty dużo posunęliśmy się naprzód ku temu kresowi, jaki lat temu 10 Brunetière oznaczył jako *une banqueroute de la science*. Kto wie czy nie zbyt różowo patrzą na tę kulturę dzisiejszą liberalni katolicy. Może nie tak długo czekać nam przyjdzie, że głód wielki nastanie w »krainie dalekiej« i coraz więcej serc ludzkich zmęczonych życiem marnotrawnego syna, zacznie powracać w dom ojca.

Ks. J. Rostworowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetyckiej.

III.

1. L. Staff: »Godiwa«. Dramat w trzech aktach. Lwów 1906. — 2. L. Staff: »Skarb«. Tragedya w trzech aktach. Lwów 1904. — 3. J. A. Herbaczewski: »Potępienie«. Tragedya duszy (cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). Kraków 1906. — 4. F. Płażek: »Elektra«. Tragedya. Lwów 1905. — 5. L. H. Morstin: »Na racławickiem błoniu». Udramatyzowana pieśń. Kraków 1906.

Ze średniowiecza wziął także wątek dla dramatu p. t. »Godiwa« p. Leopold Staff.

Rzecz w 1053 r. w Coventry w Anglii. Leofryk stłumił bunt i brańców wtrącił do lochu: mają ponieść śmierć. Porwał też i Godiwę i zmusił do ślubu. Teraz ją pragnie zjednać: klejnoty, złoto, pierścieni pełne wiadro, zausznic, zapinek — wszystko próżno. Swobody chce. Leofryk chwyta za włosy, ciska o ziem, bije, ciąga po komnacie, aż wpada Pachoł: posłowie z miasta proszą o zwrot więźniów. Dobrze, odda więźniów, ale niech się Godiwa ukorzy, niech błaga. A gdy już na jej głowie oparł swoją własną stopę, proponuje, by się zgodziła nago na koniu przez ulicę jechać.

> . . . Gdy się przemożesz, by płomię
> Tysiąca oczu czuć na nagiem ciele
> Dziewiczem, czystem; dam od lochu klucze.

Przemogła się i jechała. Skoro się o tem w mieście dowiedziano, na godzinę próby uchwalono zamknąć wszystkie drzwi, okna szczelnie osłonić, uczyniła się pustka. Tylko para oczu widziała Godiwę: Grajek

zaczaił się za studnią i widział. Dawno wielbił jako cud z nieba piękność Godiwy. Teraz ujrzawszy bez szat wchłania jej krasę, zamyka oczy, potem wyłupia, aby końcowy obraz na wieki utrwalić, jako skarb przedziwny. »Oczy me — skarbce dwa, święte przybytki...«

Gdy Godiwie powiedziano, że ją Grajek widział, zrazu burzy się, ale potem czuje się ujętą tem, że »pod karą śmierci« patrzał. Skazany Grajek ucieka, szukają go, Godiwa biegnie, aby go ostrzedz, dowiaduje się, że wyłupił sobie oczy — i dlaczego to uczynił. Ona dawno słyszała o nim, znała pieśni jego. Teraz spowiada się:

. . . Coś rośnie
Jak morze w piersi mej... Ty stoisz niemy —
Mów o tem głośno, mów o tem radośnie,
Ty musisz wiedzieć... Ja wiem, że wiesz o tem,
Że wiesz i czujesz.

Grajek wymienia: najczystsza miłość.

Godiwa rzuca mu się w ramiona — szczęśliwa.

Tak ich zastaje Leofryk — ją dusi, a więźniów zamęczy.

W dramacie swoim przeistoczył p. Staff podanie, jak sam ostrzega w zapowiedzi: wiele teatrum dómyśla i zmyśla. Przeistoczył więc to, że owego podglądacza uczynił grajkiem-poetą, dał mu taką szlachetną duszę i uwielbienie piękna; i to, że mu kazał sobie oczy wydrzeć, co podnosi dramatyczność; i to, że Godiwę uczynił dziewicą czystą i miłość ku Grajkowi tchnął w jej serce; i to, że Godiwę z miasta wziął Leofryk, że bunt powstał, że trzeba było uwolnić więźniów, że tyrański pan raz obiecał uwolnić, potem cofnął obietnicę; i to, że Leofrykiem miota żądza miłosna i gniew i zazdrość...

Pomimo tych zmian, dodatków i domyślników wątek powieściowy nie stał się bardzo dramatyczny. Za mało w nim wogóle treści na dramat duszy. Ten »żywy cud ciała« Godiwy, który Grajkowi wydaje się wielkim tak, że wart, aby go śmiercią okupić, — ludziom o mały włos trzeźwiejszym już się tak drogocennym n i e wydaje. Traci tedy dramatyczne żądło jedną ze swych głównych przypraw. Nie odczuwamy entuzyazmu Grajka, który sam sobie oczy wydarł, aby żadne już wzrokowe wrażenie nie zaćmiło cudu. Sama bohaterka w dwóch chwilach przeżywa w istocie dramatyczne wstrząśnienia duszy: raz, kiedy donoszą, że tym jedynym, który ją podglądał — był Grajek; drugi raz, gdy mu swą miłość wyznaje. To są dwie sceny na prawdę dramatyczne — i jedyne w całej książce. Utwór pisany pięknym, dźwięcznym, pełnym melodyjności wierszem. Podziwiając mistrzowstwo formy,

czułem żal do p. Staffa, że poświęcił książkę opracowaniu podania obcego, z czasów tak odległych, podania, które dla uczuć naszych martwe i obojętne, mogłoby chyba znaleźć odzew w sercach mieszkańców... Coventry. Jakbyśmy to nie mieli własnych dziejów, własnych tradycyi, własnych ukochań, własnych ideałów!

O wiele silniej porywa »Skarb«, choć nie z dziejów wzięty. Za godło służy myśl Z. Krasińskiego: Idziemy, a w pochodzie kierujemy się zawsze podług gwiazdy, której niema na niebie, lecz ją zrodziły nasze marzenia [1]. Na wysokim górskim szczycie obronne zamczysko. U dołu kamiennej wieży drzwi z jasnego spiżu wiodą do krypty, gdzie leżą święte skarby. Do zamku od dawna szturmuje groźny wróg. Starcy przewidują blizki pogrom. Między Przodownikiem dorady a Strażnikiem wybucha spór. Pierwszy zwątpił, nie ulega »pijaństwu marzeń«, domaga się widzenia skarbu. Strażnik broni wiary w świętość i istnienie skarbu, ale wyznaje, że musi tę wiarę wciąż w sercu zasycać. Wtem ukazuje się we drzwiach krypty Dziwna. Czarną osłonę zrywa, rozdziera i rzuca. Na ten widok Strażnik wiedzie w bój hufiec ostateczny. Wróg odparty. Wraca Strażnik z Wodzem. Wódz też chce poznać skarby święte. Wtedy Strażnik i Dziwna czynią wyznania. Dziwna nie wie, czem skarb, nie widziała go nigdy, ale uczy:

> Musicie wyśnić życia najpiękniejszą powieść
> I sami wpisać mądrość w przeznaczenia księgę,
> Te karty dotąd są białe
> I puste! Księga niczem nie jest zapisana (92).

Strażnik uczy:

> Uwierz w złudę, a ona twą prawdą się stanie!
> Najwyższa rzeczywistość — to tęsknic otchłanie.

Ale oto Wódz poznał się z Obcą, która jest rozkoszą (97). Za jej namową wpuszcza Posła ludu, co zwie się »Wichry z dolin«. Wódz, Poseł, Obca, z nimi tłum nacierają na Strażnika, aby oddał klucz od skarbu, on ciska go w otchłań. Nareszcie poleca Dziwnej skarb prochami w powietrze wysadzić.

Zdaje się, że ten koniec poeta wymyślił dla upozorowania katastrofy w dramacie, któraby bez niego nazbyt bezcieleśnie wyglądała. Nie wydaje mi się on jednak szczęśliwym. Z wywodów i zeznań ludzi osiąga się wrażenie, że materyalnego skarbu niema, że natomiast du-

[1] »On marche et on marche toujours guidé par une Etoile, qui n'est point dans les cieux, mais que nos rêves ont crée«.

chowy istnieje. Pocóż tedy prochy i podminowania. Czyje ręce pod wieżą przygotowały przezornie te miny i loch z prochami?

Poza tym zarzutem dramat uważam za niepospolite dzieło sztuki. Symbolika tłumaczy się jasno, postaci żyją, a każda z nich wybornie zindywidualizowana. Niezrównani są Starcy: nieufny, trwożliwy, śpioch; wspaniały kontrast pomiędzy Dziwną a Obcą; Strażnik i Przodownik dorady pomyślani głęboko i wyrażeni z osobliwą plastyką. Ale zachwyca pełen siły, wspaniałej dykcyi, przypominającej miejscami polot i wytworność Kornela, wiersz dramatu; zachwyca osobliwie zestrój tego wiersza z treścią, akcyą i uczuciami, które w miarę postępu i rozwoju dramatycznego wątku wzbierają i nasycają się tajemniczością, niepokojem, lękiem, grozą, w takiej mierze, że śledzi się i czeka się końca bez tchu, w nerwowem napięciu, w podniesieniu ducha. Dramat z pewnością nie obliczony na zadowolenie ciekawostki ludzkiej; od początku do ostatniej karty poważny, uroczysty nastrój utrzymuje się. Ma on jednak ten niezwykły warunek, że równie na scenie zajmie, jak i w lekturze zainteresuje. Należy do dzieł oryginalnych i niezawodnie najpiękniejszych naszych dramatów symbolicznych.

Symbolicznym jest także dramat p. Józefa Albina Herbaczewskiego p. t. »Potępienie«. Przeczytałem go raz i drugi uważnie; za każdym razem przypominały mi się klasyczne przestrogi Adama Mickiewicza, dawane braciom romantykom: Gosławskiemu, Odyńcowi, Witwickiemu... »Te mętne myśli — pisał Mickiewicz do Odyńca w 1827 r. — i te niby uczucia bez uczucia są tak smutne, jak zimne opisy Francuzów. Gosławski może się obłąkać na drodze; Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyller tak nie pisał. To nie jest klasyczność ani romantyczność — to jest po prostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur — nikt nic nie znajdzie. Darujcie mi ten ton dyktatorski, pozwalam łajać siebie nawzajem, tylko poprawiajmy się wraz, żebyśmy się nie stali pośmiewiskiem nieprzyjaciół. Wieszcz z Miodoboru, zdaje się, że powinien rymy pożegnać. Jego wiersz

Lub szczęśliwy miłością albo sławą wielki
. . . . . Wanda
. . . . . Rolanda

może służyć za wzór najpustszej i najnieznośniejszej deklamacyi« [1].

[1] »Korespondencya A. Mickiewicza«, t. II, 148.

Zobaczmy, czy Mickiewicz nie stosował uwag swych także i do dramatu »Potępienie«.

Olgierd-Adam — to nadczłowiek. Walczy z Bogiem, widzi żywych i umarłych w ich czynnościach, wie czuciem głębin swoich, że tak jest i tak być musi. Jak Lucyfer — stoi poza sferą życia i śmierci. Jak Hamlet wieczności ma prawo mścić krzywdy. Ma umrzeć za wyzwolenie potępionych. Pójdzie dobrowolnie na Golgotę, iżby dobrowolnie umrzeć za wolność Gehenny (13). Bolesław mówi o nim: »Boga wyzwał na bój za niepodległość duszy swojej... twierdzi, że nie chce być ofiarą Abrahamową, odrzuca potępienie szatana — jako błąd idei Bożej, żądając wszechprzebaczenia, pojednania Lucyfera z Chrystusem... Miast chrześcijańskiej Trójcy św. stworzył nową Trójcę: szatan, Chrystus, Bóg... walczy z wiarą, że pogodzi Gehennę z Rajem, zdobędzie wszechmiłość — nową Ewangelię żywota« (str. 66—67). Nagrobkowy napis Olgierda mówi, że bojował z Bogiem, jako Jakób z Aniołem, za wyzwolenie potępionych, za wiarę nową, któraby rozjaśniła miłowaniem klątewny mrok z i e m s k i e j Gehenny. Czy walczy o to, żeby zło znikło z oblicza ziemi, czy o to, aby piekło znikło z oblicza zaświatów, w obu wypadkach Olgierd-Adam jawi się jako spadkobierca prometeizmu, jako potężnie pomyślany bojownik wyzwolenia.

A dramat?

Akt pierwszy. Do Olgierda przychodzą Paweł, Tadeusz, Piotr i zapraszają go na raut do hr. Artura. Wre burza. Po ich wyjściu Olgierd otwiera okno, z dziką nienawiścią patrzy w niebo. Wchodzi Wędrowiec I. Olgierd woła: Precz! Ja wróg Chrysta! Wędrowiec potępia i przeklina. Zjawia się Bolesław — i toczy się długa rozmowa o tragedyi Olgierda, o samobójstwach i związku ich z tragedyą, o książce Olgierda, która zaraża młodość buntem samobójstwa [1].

Akt drugi. Z rozmów na raucie wynika, że niegdyś hr. Anzelm za zbrodnię morderstwa ścigany uciekł z kraju i zostawił majątek na opiece brata Roberta. Kiedy wrócił pod innem nazwiskiem i chciał odebrać majątek, hr. Robert wyparł się go, a on pozbawił się życia. Olgierd jest potomkiem hr. Anzelma, hr. Artur natomiast jest potomkiem hr. Roberta. Hr. Artur kilkakrotnie próbował otruć

[1] Później mówi, że zaraża »jadem samobójstwa« (str. 46). To co innego niż bunt. Które wyrażenie dobre — nie wiem.

Olgierda [1]. Teraz zaś Niezwany czyli szatan powoduje śmierć hr. Artura i córki jego Julii, która pała miłością ku swemu stryjowi — Olgierdowi.

Akt trzeci. Wędrowiec III. zwiastuje Olgierdowi śmierć. Karawaniarz przynosi mu trumnę. To go rozjątrza. Gotuje się do boju. Przybywa Julia, która notabene zginęła w poprzednim akcie. Julia przedstawia się jako »miłość, która rozwiązuje zagadki bóstwa wszelkiego« (83). Walka między Olgierdem a Julią kończy się porażką Olgierda, zwłaszcza dzięki śmierci Bolesława.

Akt czwarty. Na skalnem wybrzeżu oceanowem ruiny zamku. Olgierd siedzi w czarnym habicie, a koło niego kroczy pogrzebowy orszak z katem w infule na głowie. Potem dzieci obrzucają Olgierda kamykami, śpiewając: Hosanna ci, iżeś zbawił nas, potępiając siebie! Z kolei przeciągają hr. Artur z Niezwanym, Bolesław, wreszcie Jezus. Głos wzywa Olgierda, aby szedł za Chrystusem. Olgierd wyśpiewuje dawny hymn swój, zawierający mnóstwo przekleństw. »Jam jest niezłomny w przeklinaniu« — kończy. Jezus błogosłowi go i odchodzi. Daje się słyszeć śpiew żeglarzy, poczem Julia, pani Dziewiątej fali, odbiera mu moc, tak, że nie może dokonać czynu swego — niszczenia idei Bożej. Julia jest pająkiem Bożym, który wyssał z Olgierda moc. Ale wreszcie Olgierd targa pajęcze sidła, razi kindżałem Julię, strąca ze skały i woła: Hej, po trupie słońca wnijdę do raju i strącę z tronu Cara światów (str. 124). Ginie jednak w głąb oceanu wtrącony w trzeciej godzinie Boskiej.

---

[1] Nie przypuszczam, iżby autor wiedział, że w powieści Kraszewskiego p. t. »Komedyanci«, napisanej w 1854 roku, zawikłanie takie samo. Hrabia Zygmunt August Dendera miał brata, który musiał emigrować po powstaniu i zostawił majątek na opiece Zygm. Augusta. Po śmierci emigranta, żona jego zgłosiła się do szwagra w nędzy, ale szwagier nie uznał papierów, wyparł się, ona zaś skonała u służby i powierzyła syna wychowaniu pasiecznika. Syn dorósłszy, dowiaduje się, jak Olgierd, że Denderowie bezprawnie władają w majątku ojca jego. W zawikłaniu p. Herbaczewskiego trudno się zgodzić na słowa: »hr. Anzelm był to charakter nadzwyczaj szlachetny«, boć wyraźnie o dziesiątek wierszy przedtem czytamy: »hr. Anzelm, ścigany przez prawo za zbrodnię morderstwa«, potem: »chciał korzystać z mienia swego, żyjąc pod cudzem nazwiskiem« i nareszcie: »pozbawił się życia« (str. 64). Toż samo nie rozumiemy zgoła osobliwej etyki Pawła, Bolesława, Piotra, Tadeusza, którzy ogromnem darzą współczuciem hr. Artura, choć on »kilkakrotnie próbował otruć Olgierda, posyłając mu w tajemnicy zatrute kwiaty« (str. 64).

Gdyby całość mieściła się w tych czterech aktach, to tragedya duszy Olgierda, określałaby się liniami dość wyraźnemi. Otacza ją jednak z czoła i od tyłu rząd szańców, które cierpliwy czytelnik musi pokonać, zanim dotrze do tragedyi.

Na stronie pierwszej po paru cytatach z Kriszny i Pisma św. — rozmowa aktora z szarym wróblem o widmie głodu skutkiem kąkolu w zbożu.

Na trzeciej stronie szumna dedykacya tragedyi duszom samobójców. Potem motto 1: rozmowa między szarańczą narodową, genialną muchą, oburzoną pchłą, osą, pluskwą narodową i niebieską. Potem motto 2: szereg aforyzmów, potem motto 3: dyalog stróża cmentarnego i rycerza, potem motto 4: reporter ogłasza narodziny Antychrysta, potem przedmowa »do broniących śmietniska duszy« — jedynie ważna i potrzebna, jako wyjaśnienie Olgierda.

A na końcu tragedyi:

1) Scena zwyczajna (dla otrzeźwienia autora). Błazen — doktór psychopatyi dziwi się, żeby »z powodu tak małego głupstwa, powstać mogła tak wielka tragedya«.

2) Scena wizyjna (dla pocieszenia autora). W sali balowej przy tańcu wieszcze narodowi klaszczą i zapisują c o ś do notesów.

3) Scena niewiarogodna (dla publiczności). W katedrze Błazen ziemi tańczy z kościotrupem. Ksiądz w komży, z kropidłem wchodzi, za nim czarny pies, który rwie mu sutannę. Nagle 700 szczurów rzucają się na tańczących, same tańczą, gdy zjawia się czarny kot. Szczury pożerają go. Potem bies wywleka duszę pasorzyta literacko-teatralnego, który zadławił się dramatem »Pchła«.

Scena wiarogodna (dla krytyków), nareszcie Epilog — jedynie potrzebny i ważny, jako wyjaśnienie idei »Potępienia«.

Kilkanaście przystawek o treści i formie dziwacznej, niekiedy trywialnej czynią wrażenie, jakgdyby autor z umysłu drwił ze wszystkiego i urągał wszelkiemu rozsądkowi. Oto aforyzm: »Zwyciężyć artystę, znaczy umiłować go osidlającą miłością rzeczywistości i przysłonić oko jego, tęsknicy ogniem płonące, łachmanem jałmużny tłumu: a więc czuwam!«

Oto drugi: »Kto utracił prawo wyzwolenia, zatraciwszy żywot swój ziemski, ten zdobył prawo zatracenia w ciągłości, niszczenia życia dla przetworzenia; tać jest karma!«.

Najkorzystniej dla dzieła byłoby wszystkie te pstre łaty, pozu-

jące na dowcip i głębokość, a w gruncie ani dowcipne ani głębokie odrzucić i pozostawić dzieło — niech się samo tłumaczy.

Olgierd przez nienawiść idący do miłości, któraby zniosła granice między dobrem i złem, Olgierd sam buntowniczy, ale bojownik za wyzwolenie potępionych, — pomysł to oryginalny i zbyt poważny, aby potrzebował błazeńskiej reklamy, podobnie jak reklamują się gawiedzi tajemnicze wnętrza kiermaszowych kramów. Powiem więcej: z całego toku tragedyi duszy Olgierda odczuwa się tę siłę wnętrzną, która z ducha płynie. Czy tragedyę przeżył sam jej twórca, nie wiem, ale że wyczuł ją i spisał szczerze, że dał jej tchnienie prawdy — wiem. I tu znów należy odłączyć plewy od ziarna; plewy — to dziwaczne akcessorya, to sfinks, to trumna, korona czy wieniec, to drapowanie się w cudaczne przystroje i przybieranie cudacznych poz, to wędrowcy w różnych płaszczach, z różnymi krzyżami, to Niezwany ze swem idyotycznem: chi, chi, chi, chi! Na takiem udrapowaniu postaci czynnych w przeciwstawieniu do biernych a rzeczywistych, tragedya duszy nic nie zyskuje. A przytem, jeżeli w przedmowie autor uprzedza: »trzeba oczyścić dramat współczesny ze śmieci wyrozumowanej nadprzyrodzoności; współdziałanie żywych i umarłych objawia się w prostocie«, — to dekoracyjna strona Olgierda właśnie grzeszy brakiem prostoty w treści i formie. Głębokie pomysły wymagają nie zawiłej, lecz pięknej zmysłowo formy, aby się stały wyrazistymi. Do Olgierda zaś nieraz można zastosować zarzut, który on czyni Bolesławowi: »Czasami lituję się nad twoją ambitną słabością, upozorowaną mistyką gadania literackiego« (str. 37). Same wykrzykniki: »Znam, znam tę tajemnicę!«, »Rozumiem, ach, rozumiem!«, »Zrozumże, człowieku!«, »Znam, znam tę waszą mistykę płazów!« i t. d., nie przekonają nikogo o wszechwiedzy Olgierda. Same zapewnienia: »Straszny jesteś... wywołujesz nieszczęście!«, »Straszny jesteś, Olgierdzie, okrutnie straszny«, same zbiory wyrazów: okropny, widmo, upiorny, przeznaczenie, śmierć, Meduza, Sfinks i t. p. nie przenikną dzisiejszego czytelnika grozą i przerażeniem.

Takie obrazy, jak »spokojny jestem i taki cichy, jako cyklon, zaczajony na ofiarę w chmurnym niebios cieniu«, albo »Orgia światłej śmieszności, w której zaczaił się padalec grzechu«, albo »obojętność śmiechu«, »ideę tęsknoty«, »miłuję cię serdeczną pogardą«, taka ścisłość, jak »siedmset szczurów«, »czterdzieści dziewięć piorunów«, — wszystko to nie jest jeszcze poezya; na nic się też nie przyda zachwalanie niebiańskiej tęsknoty poezyi, której rymy brzmią tak: »bu-

rząc — budząc«, »zburzył — zgłuszył«, »pieśnią — pleśni«, »ofiara — wiary«, »trwożą — bezdroża«, »mroku — oko« [1].

Uznaję tedy w »Potępieniu« oryginalność i moc pomysłu, uznaję »prawdziwość przeżycia wnętrznego«, uznaję liryzm szczery niektórych scen, uznaję piękność sceny, zawierającej wizyę Chrystusa w IV akcie; natomiast liczne przeskoki myślowych ogniw w zdaniach, liczne niekonsekwencye, zawiły sposób łączenia słów i wyrażania myśli, pstre łaty nie bez bufonady, pozy i brawury, a niestety, nie bez trywialności, szpecą dzieło. Nad takimi wreszcie wyrokami, jak: »polska kultura jest przeważnie unarodowioną kopią romańskich wzorów«, lub »mistyka polska jest romantycznie lub intellektualnie wymuszona — nie zaś prawdziwa«, — można przejść spokojnie do porządku dziennego, płyną one bowiem z nieznajomości rzeczy i więcej w nich cywilnej odwagi, niż prawdy. Są to także ironiczne zgrzyty, zgoła nie licujące z powagą »mirażów na pustyni klątwy i wygnania«. Bez żalu, nawet z ulgą w duszy rozstaję się z tą posępną pustynią, z nadczłowiekiem Olgierdem i z wizyami wyobraźni, nastrojonej na minorowe tony.

Przedemną drugie z kolei dzieło młodego dramaturga p. Feliksa Płażka. Pierwsze p. t. »Święta wiosna«, napisane trzy lata temu, wdzięczne treścią, bo z mitologii polskiej o Rakuzie, Kraku, Wandzie wysnute, wydawało się próbą, acz obiecującą, ale nie pozbawioną słabych stron debiutu literackiego. Tragedya »Elektra« natomiast daje miarę takiego udoskonalenia pomysłu, treści i formy w stosunku do »Świętej wiosny«, że budzić musi zarówno podziw, jak i daleko sięgające nadzieje. »Elektra« p. Płażka jest zmodernizowaniem sofoklesowej tragedyi — obejmującem nie tylko postać główną, ale Orestesa, Pyladesa, Chryzotemidę, Egista i Klitemnestrę, a nawet wzajemne ich stosunki, oraz stosunek duszy ludzkiej do przyrody. »Elektra starożytnego tragika jest wzniosła, sprężysta, ale twarda, nawet dzika. Kiedy myśli, że Orest zginął, że Chryzotemida nie pomoże jej, decyduje się:

---

[1] Zwłaszcza łączenie dwóch abstraktów w jeden niby obraz i nadużywanie słów obcych, może rychło zmanierować styl zdolnego pisarza. W artykule p. Herbaczewskiego p. t. »Ironiczna ściana«, do którego zasadniczy pomysł przejął z utworu Andrejewa »Стѣна«, czytam zdanie: »Elektryczność mądrości naszej, która nawet po śmierci naszej żyje w motorach nieśmiertelności wywierci wielką dziurę w tej oto ścianie, a teleskop jasnowidzenia naszego wskaże wam stolicę Ludu i Wroga naszego, którego zabijemy telepatyczną siłą elektryczności...« (*Hasło*. Grudzień 1905. 20).

Sama dokonam własną ręką dzieła,
Którego zamiar nie próżnom powzięła.

Gotowa matkę własną ręką zabić! A gdy ciosy padają raz za razem w ciało matki, Elektra zgoła nie czuje się wzruszoną, wsłuchuje się z dusznem rozradowaniem w jęki matki i jednego tylko żałuje, że razem i Egist nie ginie. Jest w niej miłość dla prawdy, rzewna pamięć dla ojca, ale też jest nakaz *(dike)*, domagający się zemsty. Taki sam Orest. Przybył on »z rozkazu bogów«, nie słania się i nie zbacza z drogi: Porzuć słów zbytek, strofuje Elektrę, wskaż raczej, gdzie się mamy schować, gdzie zjawić, by skrócić radość wrogów.

Inni są ludzie w »Elektrze« p. Płażka. Niema w nich ani tej pewności sumień, ani tej gotowości okrutnego czynu. Nie włada nad nimi wszechmocna mojra, która odejmowała starożytnym figurom tragicznym swobodę woli, ale też i wewnętrzną walkę. »Elektra« nowa przeczuwa przyszłość, zapowiada nieszczęście. Ma ona, jak u Sofoklesa, lat około trzydzieści; ale tu, niesyta pragnień, tłumi w sobie żar, co tli tajemnie. Nie może atoli uciszyć zawodzeń i skarg na straconą wiosnę życia, że miłości nie zaznała — »i cała płonie i cała goreje...« (12). Poświęca się jednak bogini Artemis-Selene, podobnie jak Wanda Wyspiańskiego, byle uzyskała spokój duszy. Po tych ślubach czuje się wyższą i górniejszą duchem nad Oresta, któremu niegdyś przecież matkę zastępowała i którego ocaliła. Ona mu teraz kładzie na barki ciężkie brzemię zemsty. Ona też od tego momentu miewa coraz rzadsze i krótsze chwile osobistych pożądań szczęścia, umacnia Oresta, pcha go do zemsty, a potem gdy go ścigają straszliwe Erynije, ona w sobie, w Orestesie i Chryzotemidzie budzi nadzieję, że przeminą zgryzoty, zapłonie ognisko domowe i cisza rodzinna wróci. Co więcej, podniesiona we własnej cenie tem, że konającą duszę Orestesa z nad otchłani wyprowadziła na jasną łąkę, pragnęłaby wszystkie dusze martwe, zimne, konające ożywić i pokrzepić iskrą nadziei.

Szlachetnie zmodernizował poeta postać Elektry; dał jej w spotęgowaniu te pierwiastki kobiece, które — obce starożytnemu światu, dobyte ze skarbca niewieściego ducha uświęcone zostały przez świat nowożytny. Elektra jest ideałem ogniska rodzinnego. Jak subtelnie poeta odczuwał w niej tę właściwość, stwierdza wymowna scena po zabiciu matki. Ten cichy i przejmujący szept: »I stało się! Sama zostałam? Matko... Matko!!« wyczuty wybornie i na scenie wstrząsnąłby sercem widza.

Obok Elektry jako postaci głównej po hamletowsku nieco po-

jęty Orestes. Nawet zabicie matki jest jakby przygodną sprawą. Bardzo ciekawą stała się postać Chryzotemidy, która zapłonęła uczuciem miłości ku Pyladesowi. Ale wszystkie te figury na dalszy plan ustępują wobec głównej: na nią umiał poeta skupić najwięcej promieni. Tragedya napisana wierszem rytmicznym o przeplatanem brzmieniu męskich i żeńskich rymów, w niektórych monologach o bogatem i pięknem obrazowaniu. Niewątpliwy talent wyróżnia to dzieło wśród produkcyi dramatycznej doby naszej i życzyćby należało, aby p. Płażek, w rodzinnej kulturze szukał i znalazł dla swej twórczości zdrój obfity.

Zdrój ten od razu odkrył najmłodszy ze śpiewaków p. Ludwik Hieronim Morstin, autor udramatyzowanej pieśni p. t. »Na racławickiem błoniu«. W burzę chroni się do chaty na górze pod Racławicami garść ludu: starzy i młodzi. Zjawia się tam kosynier z raną na piersiach z kosą na sztorc, w białej sukmanie i z pawiem piórem. Opowiada on w kilku, ogromnej siły obrazach o bitwie racławickiej i wywołuje u zebranych wizyę bitwy. Lud jeden moment przeżył górnie, jak przodkowie dzięki kosynierowi. O to właśnie i poecie chodziło. Bard dawny budził duszę, rozpłomieniał serca, porywał za sobą wyobraźnię; dzisiejszy poeta niech to czyni — zwierza się p. Morstin w »Przedśpiewie«. W epilogu dodaje, że zanim słońce dosięgnie wieczora, myśl się rozbudzi wspomnieniem o czynie i ducha zmoże; należy tedy bronić się przed tem, aby nie zwiędły mogił liście i nie znikł mogił cień. Drobna ta pieśń mówi mi, że p. Morstin umie czuć gorąco, że umie uczucia swe ująć w kształty obrazów po rzeźbiarsku plastycznych i silnych, że umie tworzyć żywe postaci i jest w nim tyle liryka co dramaturga. Mówi mi ona dalej, że wprawdzie nie wyzwolił się jeszcze od wpływu Wyspiańskiego, ale że tyle w nim żaru i pędu wewnętrznego, taka bujność i niezwykłość poetycznych obrazów, taka energia słowa i łatwość wierszowania, iż rozległa dziedzina dramatycznej poezyi odkryje przed nim swe tajemicze a czarodziejskie przybytki na oścież dla pożytku i chwały naszej literatury.

Antoni Mazanowski.

Wrażenia z podróży do Egiptu. *Ks. dr. Stanisław Trzeciak.* Poznań 1904. W 8-ce, str. 114.

Mała rozmiarem ale obfita w treści książeczka. Autor w swych licznych podróżach naukowych nie pominął — boć żadną miarą pominąć

nie mógł — Egiptu. Wrażeniami, jakie odniósł, dzielił się najprzód z czytelnikami *Przeglądu kościelnego*, obecnie zaś zebrał je w całość i wydał jako osobną książkę. I dobrze zrobił, bo praca jego w zupełności na to zasługiwała, zwłaszcza, że ma na oku średnio wykształcone warstwy naszego społeczeństwa. Ks. dr. Trzeciak z umysłu pomija kwestye ściśle naukowe, archeologiczno-historyczne; gdzieniegdzie tylko i to z lekka potrąca o niektóre zagadnienia z dziedziny egiptologii czy bibliki. Natomiast całą uwagę czytelnika kieruje w inne sfery, przedstawiając mu — często w nader żywych barwach — kraj, stroje, obyczaje tej kolebki cywilizacyi ludzkiej. Na każdym kroku, na każdej niemal stronie widać, że oko uczonego i socyologa nie ślizgało się wyłącznie po powierzchni zwiedzanych okolic, ale starało się wniknąć głębiej, wglądnąć w samo jądro rzeczy, podpatrzeć duszę ludu, odczuć jego dolę i niedolę, przedstawić jego marzenia, żądze, zachwyty czy zboczenia. To też praca niniejsza nie jest tylko zajmującym opisem kraju, jego miast, dzieł i pomników, ale jest to zarazem malowniczy, i — podnieśmy zaraz na wstępie — wierny, ściśle przedmiotowy obraz życia nadnilowych mieszkańców.

Na całość złożyło się siedm rozdziałów, w które autor ujął swą podróż po Egipcie, odbytą w r. 1903. Z kolei przesuwają się przed naszemi oczyma Grawoza, Patras, Aleksandrya, Ramleh, Kairo i jego najbliższe okolice (Heliopolis, Gizeh, Memfis, Sakkara, Helluan), potem Zakazik, Ismailija, Suez, wreszcie Port-Said. Pojedyncze sceny i opisy ugrupowano nader zręcznie, nieraz artystycznie, — nie znać szablonu, ani z góry ułożonych ramek, w które niewolniczo wtłaczać zwykły swe spostrzeżenia podręczniki dla podróżnych. Z drugiej strony autor nie pominął i względów praktycznych i dość często udziela najniezbędniejszych wskazówek, co do kolei, parostatków, hotelów, czasu, kosztów i t. p.

Na szczególną uwagę zasługuje rozdział ostatni, w którym autor obejmuje ogólnym rzutem oka stosunki wewnętrzne Egiptu, a przez to uzupełnia w niejednym szczególe cenne uwagi rozrzucone po całej książce. Warto podkreślić ustępy, w których porównywa stosunki galicyjskie z egipskimi, omawia stosunki robotnicze i socyalne albo zastanawia się nad stanem Kościoła katolickiego w Egipcie, jego przeszkodami i brakami. Wprawdzie optymiści gotowi zarzucić autorowi, że zbyt często wspomina i piętnuje »wyrafinowaną« przewrotność »cywilizowanych ludzi« w Europie, my jednak nie myślimy z tego czynić zarzutu autorowi. Widać, że musiał bardzo często spotykać w Europie

takie osobniki i niemało od nich ucierpieć; a w takich okolicznościach istotnie *difficile est satiram non scribere,* jak już zauważył Horacy. Może też i temu należy przypisać, że podmiotowe uwagi autora (czasem wprost niezrównane) — które często wplata w przedmiotowy opis swej podróży — noszą na sobie pewien odcień smutku i melancholii, choć prawda każe wyznać, że nie brak i ustępów tryskających dowcipem. Wogóle autor zdołał utrzymać swe opowiadanie w dość harmonijnej równowadze. Wybitną cechą książki jest wielka miłość i przywiązanie do ludzkości pracującej i cierpiącej i serdeczny ból nad jej upadkiem, ciemnotą i idącą w ślad za tem materyalną i duchową niedolą.

Niepodobna nie podnieść z uznaniem krótkiego ale naukowego przedstawienia, jakiego się doczekała kwestya pobytu Izraela w Gessen (str. 84 sqq) i jego wymarsz do Palestyny. Między teoryami o kierunku drogi i o przejściu przez »Morze Czerwone« może wypadało wspomnieć o dość prawdopodobnej ze stanowiska naukowego hypotezie Lecointre'a, z modyfikacyami, jakie jej dał ks. M. Jullien T. J.

A braki nieodłączne każdej ludzkiej pracy? Tylko niewiele i to dość podrzędnych niedokładności mam do zarzucenia. Dodaję dość »podrzędnych« — jeśli się ma na oku cel, jaki sobie autor wytknął i czytelników, do których przemawia.

Tak np. przyjmuje autor (str. 20), że symbol wiary zwany atanazyjskim powstał w Aleksandryi i że pochodzi od św. Atanazego. Zdanie to, którego bronili jeszcze W i r c e b u r g e n s e s, obecnie zarzucono. Uczeni zgodnie twierdzą, że św. Atanazy nie był autorem tego symbolu, ale że powstał on dopiero w wieku V po Chr. w Gallii, prawdopodobnie w klasztorze Lirynejskim. Jakoż bardzo stare rękopisy z VI i VII wieku przypisują go św. Anastazemu II papieżowi (496—498). (Por. A. E. B u r n: *The Athanasian Creed.* Cambridge 1896 — lub M ü l l e r: *Die symbolischen Bücher*, ed. VII, Gutersloh 1890).

Jedynie pośpiechowi lub nieuwadze przypisujemy twierdzenie: W r. 60 przed Chr. znajduje Strabo miasto (Heliopolis) spustoszałem« (str. 60). Strabo około r. 60 przed Chr. ujrzał dopiero światło dzienne, a Egipt zwiedzał prawdopodobnie koło 10 r. przed Chrystusem.

Podniosłoby znaczenie i wartość tej pięknej książki, gdyby autor w kwestyi powstania piramid nie ograniczył się wyłącznie do opowiadań Herodota — zresztą dość bałamutnych i obecnie zakwestyonowanych — ale przynajmniej krótko wspomniał o nowszych pracach i poglądach takich uczonych, jak Lepsius, Erbkam, Ebers, Petrie, Maspero,

Borchardt, którzy albo wprost odrzucają twierdzenie »ojca historyi« albo je modyfikują i naukowo wyjaśniają.

Słynny grobowiec przy piramidzie Teti w Sakkarze należałoby raczej zgodnie ze wszystkimi uczonymi nazywać grobowcem Mereruka, nie zaś »grobowcem Meri« (str. 76), gdyż grób Meri-Tet (syna Mereruki) zajmuje tylko szóstą część całego gmachu.

Nie ośmieliłbym się twierdzić, że tama nilowa pod Kairem, »jest to do pewnego stopnia szczyt technicznej wiedzy« (str. 79) — choćby dla tej prostej racyi, że w samym Egipcie, mamy trzy olbrzymie tego rodzaju tamy. Największa — prawdziwy tryumf techniki wodnej — w Szellal pod Assuanem długa 1962 m., szeroka 27 m., posiada 180 żelaznych śluz elektrycznie poruszanych, może objąć 1000 milionów kubicznych metrów wody a kosztowała około 55 milionów franków; drugą dopiero (o $^3/_5$ mniejszą) jest tama pod Kairem; trzecia pod Siut jest mało co mniejszą od kairskiej. Największe zaś trudności techniczne do pokonania (z powodu skał i pierwszego wodospadu Nilu) przedstawiał właśnie olbrzym w Szellal.

Zdaje mi się, że w kwestyi statystyki, liczb i dat autor zbyt ufa Baedekerowskiemu wydaniu z r. 1898, podczas gdy już sam Baedeker w wydaniu z r. 1904 niektóre z nich poprawił lub zmienił. Prócz tego Baedeker przy całej swej przedmiotowości, gdy chodzi o kwestye wyłącznie naukowe, jest dziwnie zacofanym i stronniczym, gdy ma do czynienia z religią i katolicyzmem. Tak np. tendencyjnie w przedstawieniu rzeczy zmienia fakta lub zmniejsza liczbę koptyjskich wyznawców »propagandy rzymskiej« do niecałych pięciu tysięcy (Baedeker: *Aegypte* 1904, str. XXXVIII). W kwestyi statystyki Koptów przydarzyła się autorowi niemiła pomyłka. Na str. 112 twierdzi, że Koptów-schizmatyków jest 138.000, Koptów-katolików 12.000; reszta zaś Koptów około 250.000 jest wyznania muzułmańskiego *(sic!)* Nie wiem skąd autor zaczerpnął te dane. Nie podaje ich ani statystyka urzędowa z r. 1897 (Baedeker także nic nie wspomina o 250.000 Koptów-muzułmanów), nigdzie też nie udało mi się odszukać podobnego zestawienia. Rzecz faktycznie ma się następująco. W r. 1897 według sprawozdania urzędowego było razem w Egipcie około 610 tysięcy Koptów. Z tego na Koptów jakobitów przypada obecnie około 575.000; na Koptów katolików 25—30.000, na Koptów protestantów około 6,000. Czy i ile Koptów należy do wyznawców Proroka nie zdołałem odszukać. Wiem tylko tyle, że na 11 milionów całej ludności Egiptu jest muzułmanów przeszło 10,200.000.

Jeszcze jedna uwaga. Gdyby ta praca była przeznaczoną wyłącznie dla uczonych należałoby w podawaniu nazwisk i nazw egipskich i wogóle wschodnich zachować prawidła transkrypcyi przyjęte między uczonymi, by w ten sposób zapobiedz ciągłym przekręcaniom i przekształceniom. W książce przeznaczonej dla szerszej publiczności, chociaż jest to chwalebnem, to jednak nie jest niezbędnem *supposito,* że się używa transkrypcyi fonetycznie zbliżonej. Z tego powodu nie mogę żadną miarą darować korektorowi, że tak ładną i zajmującą książkę zeszpecił przez swe niedbalstwo czy nieuctwo, przekręcając wiele nazwisk niekiedy nie do poznania. Tylko kilka przykładów: Iskanderije przechrzczono na Iskanderich (str. 15); Masr el Kahira na Mars el Kahira (str. 37); Usertesen III (znany Sesostris grecki) przekształcił się w Onzystrates'a III (str. 43); Ment-em-sof (znany także jako Methusufis) nosi nazwę Mihtimsaouf-Metesouphis I (str. 42); Salah-eddin (zwany u nas Saladynem) został Salach-din'em (str. 51); Unis nazywa się Unas'em (str. 75); Ptah zamieniony na Ptha (str. 75); Nefererkere'mu kazano się nazywać Neferkaarina (str. 75) i t. p. Nawet znanego angielskiego egiptologa prof. Flinders Petrie nie oszczędził uczony korektor, ale zrobił zeń Petric'a (str. 67). Tego rodzaju szkodliwej lekkomyślności nie można dosyć napiętnować. A wina jej całkowicie i wyłącznie spada na drukarnię, boć autor drukując swą pracę w Poznaniu a mieszkając w Jerozolimie nie mógł osobiście prowadzić korekty. Było więc ścisłym obowiązkiem drukarni dać bacznego korektora.

Są to jednak, jak każdy widzi, drobnostki, które w braku innych z umysłu podnoszę dlatego, aby mię nie posądzono, że przesadzam w pochwałach, na jakie książka rzeczywiście zasługuje, a milczę o brakach. Jeśli jaki żal czuje się do autora po przeczytaniu tej ze wszechmiar zajmującej pracy, to chyba ten, że zbyt szybko z nami się rozstaje, że ograniczył swój barwny opis i swe spostrzeżenia jedynie do Dolnego Egiptu, pominął zaś Górny właściwy Egipt, gdzie życie wschodnio-afrykańskie w jaskrawszych jeszcze występuje scenach, gdzie mniej się rozpanoszył wpływ »przeżytej« europejskiej cywilizacyi, a gdzie zachowało się znacznie więcej i wspanialszych pomników kultury staroegipskiej. Tuszymy sobie, że przy następnem wydaniu czcigodny autor zechce uzupełnić swą ładną pracę i zechce naszej literaturze opisowej wyświadczyć tę pożądaną przysługę. A przysługa to tem pożądańsza, że »Wrażenia z podróży po Egipcie« ks. d-ra Trze-

ciaka są pierwszą i — o ile mi wiadomo — jedyną poważniejszą pracą o Egipcie Dolnym, pracą, która rzuca wiele światła na tę mało u nas znaną krainę Sfinksów. Witamy ją przeto z radością i życzymy jak najszerszego powodzenia.

Ks. Władysław Szczepański.

Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII. *Ks. Franciszek Starowiejski.* W Krakowie. Czcionkami drukarni »Czasu«.

Autor opowiada tu zwięźle i popularnie historyę jednej z najbardziej zajmujących, najobfitszych w zdarzenia i najtragiczniejszych epok z dziejów Kościoła. Jest to epoka najwyższej potęgi i europejskiej wszechwładzy Napoleona I, który w dążeniu swem do wszechświatowej monarchii i Kościół katolicki postanowił poddać despotycznej swej woli, co tem możliwszem się wydawało, iż Kościół zrazu wiele mu bądź co bądź zawdzięczał: mianowicie zawdzięczał mu przywrócenie legalnego bytu we Francyi, zniweczonego przez burzycielskie zapędy rewolucyi, a przez to pośrednio podniesienie uroku i powagi w Europie, która Francyę ówczesną więcej, niż kiedykolwiek za przodowniczkę i mistrzynię swą uznawała. I przez późniejsze swe prześladowania, przez swe bezskuteczne dążności do ujarzmienia Kościoła Napoleon mimowolną wyświadczył mu usługę; okazały one bowiem, jak dalece bezsilną jest największa nawet potęga materyalna wobec najwyższej potęgi duchowej na ziemi.

Uwydatnienie tego bardzo pouczającego wniosku, dającego się wysnuć z dziejów pontyfikatu Piusa VII — oto jest główne zadanie ks. Starowiejskiego, którego szczupłe dziełko, nie mogące rościć pretensyi do wyższego znaczenia naukowego, do odkrywania nowych widoków w historyi Kościoła, może jednak wielu czytelnikom polskim duży przynieść pożytek, tem więcej, że opiera się na bardzo mało u nas znanych źródłach i pracach dziejopisarskich i że, pomimo właściwego nam zamiłowania do historyi, z historyą Kościoła na ogół nader niedostatecznie jesteśmy obznajomieni. Szkoda tylko, że autor nie umiał sobie poradzić lepiej ze swym materyałem historycznym i pod względem konstrukcyjnym niezbyt udatnie go zużytkował. Podaje wprawdzie wiele zajmujących szczegółów, wiele charakterystycznych rysów epoki i ludzi, ale w dość chaotycznym układzie, nie zdoławszy rozwinąć ich w jednym ciągu opowiadania, ująć w jednolitym całokształcie.

W pierwszym wstępnym rozdziale opowiada o *conclave* w We-

necyi, które odbyło się wśród bardzo niepomyślnych i trudnych warunków. Po zajęciu Rzymu przez zwycięskie wojska Rzeczypospolitej francuskiej papież Pius VI, przemocą wywieziony do Francyi, umarł tam w następnym 1799 roku. *Conclave* odbyło się w Wenecyi pod protektoratem cesarskim, który obok pomocy przyczynił też niemało trudności. Rząd cesarski za pośrednictwem kardynała Herzana usiłował wywrzeć wpływ na obiór nowego papieża w duchu swoich widoków politycznych. Wskutek tego *conclave* przedłużyło się nadmiernie bardzo, bo aż do trzech miesięcy i tylko dzięki porozumieniu się dwóch współzawodniczących stronnictw, wybór padł ostatecznie na kardynała Chieramonti'ego, który wstąpił na tron papieski pod imieniem Piusa VII.

Następny rozdział poświęca autor działalności kardynała Gonsalviego, znamienitego doradcy i sekretarza stanu nowo obranego papieża. Opiera się tu na własnych jego pamiętnikach i kreśli głównie dzieje pamiętnego konkordatu, zawartego przez Stolicę apostolską w r. 1801 z ówczesnym pierwszym konsulem, Bonapartem. To dzieło talentu i zręczności dyplomatycznej Gonsalviego, choć nie odpowiadało we wszystkiem owoczesnym interesom i potrzebom Kościoła, dawało mu jednak to, co w danej chwili osiągnąć było można i, jak to dowodnie wykazuje autor, posiadało epokowe znaczenie dla dalszego jego rozwoju, jako pierwszy akt urzędowy, w którym mocarstwo najpotężniejsze naówczas w Europie z rewolucyi wyszłe i na nowożytnych, rewolucyjnych oparte zasadach, zniewolone zostało uznać władzę papieża jako legalnie istniejącą i przemożną w swej czysto duchowej potędze. Trzeba uprzytomnić sobie zupełny upadek wiary we Francyi ówczesnej, a poniekąd i w całej Europie, oraz niezmierną władzę, ambicyę i wolę despotyczną genialnego wodza i zdobywcy, aby ocenić całą doniosłość poczynionych przezeń na rzecz Kościoła ustępstw. Ale jak każdy mocarz-despota, Napoleon czyniąc ustępstwa w zasadzie nie myślał stosować się do nich ściśle w praktyce. Stąd jego prześladowcza i tyrańska polityka względem Kościoła, ciągnąca się przez całe jego panowanie nad Francyą i Europą aż do kończącej je tragicznej katastrofy. Następstwa jej przedstawia nam autor po części w dalszych losach kardynała Gonsalviego, a głównie w zajmującej wielce opowieści o »martyrologii« nieszczęsnego papieża, jego uczestnictwie w cesarskiej koronacyi Napoleona, jego wygnaniu i czteroletnim poniewolnym pobycie we Francyi, w charakterze nieomal więźnia politycznego, wreszcie o wymuszonej na nim w Fontaineblau niekorzystnej dla Kościoła umowie, nad którą mocno cierpiał, dopóki nie została cofnięta, a wraz z upad-

kiem Napoleona na zawsze pogrzebiona. Trzy ostatnie rozdziały zawierają wiadomości o charakterach i losach trzech wybitnych z tej epoki kardynałach: Pacca, Maury i Fescha. Jest tu dużo szczegółów interesujących, choć dość chaotycznie podanych.

W. Gostomski.

Z piśmiennictw obcych.

Theologiae pastoralis. Auct. *Iosepho Alberti,* S. Theol. et utr. iuris Doc. etc. Pars prima complectens casus morales, qui in articulo mortis evenire solent. — Pars secunda complectens casus morales implicatiores, qui extra articulum mortis evenire solent. — Pars tertia complectens practicam tractationem de poenitentiae Sacramento. — Pars quarta complectens practicam tractationem de Sacramento matrimonii. Romae.

Duszpasterz, choć zajęty rozlicznemi sprawami swojego urzędu, powinien jednak znaleźć chwilkę czasu na uprzytomnienie sobie zasad pracy pasterskiej, opartych na nauce Kościoła i poważnych teologów. Samo tylko, choćby wieloletnie doświadczenie, o ile nie opiera się na pewnych zasadach, bynajmniej nie wystarcza, owszem nieraz ciężką szkodę duszom przynieść może. Nikt nie może zaprzeczyć św. Alfonsowi niezwykłego doświadczenia w kierownictwie dusz, a przecież własnem doświadczeniem nauczony twierdzi, że dla każdego spowiednika potrzebne jest ustawiczne *studium* teologii moralnej (*Theol. mor.* n. 628).

Często atoli zachodzą wypadki, że kapłan musi od razu rozwiązać kwestyę sumienia bardzo zawiłą. Nie ma wtedy dość czasu na wertowanie obszernych dzieł moralnych lub pastoralnych, by rychło odnaleść rozwiązanie. W takich wypadkach niezmierną przysługę wyświadczyć mogą dzieła mniejszej objętości, a zawierające wskazówki praktyczne postępowania w konkretnych a nieraz nieprzewidzianych zagadnieniach.

Takiej potrzebie naszem zdaniem zadośćczyni dzieło powyższe, składające się z czterech tomików małej objętości, z których każdy stanowi dla siebie odrębną całość.

W pierwszej części (str. 112) rozbiera autor zawilsze kwestye, nasuwające się spowiednikowi przy pojednaniu człowieka z Bogiem w g o d z i n ę ś m i e r c i. Jest to niezawodnie najważniejsza część urzędu pasterskiego — a wobec obojętności lub uprzedzenia nawet wierzących

chrześcijan, którzy zwłaszcza po miastach, dopiero w ostatniej chwili przywołują kapłana do chorego, niemało przedstawia trudności praktycznych, zwłaszcza, że rzecz nie cierpi zwłoki. To też autor, chcąc duszpasterzowi uprzytomnić to, co najbardziej mu potrzebne w tak ważnej dla penitenta chwili, podaje najprzód ogólnie a treściwie naukę o Sakramentach potrzebnych lub pożytecznych w godzinę śmierci, a więc o Chrzcie, Eucharystyi, Ostatniem namaszczeniu i Pokucie, zawsze odnośnie do ostatniej chwili. Następuje traktat *de bonorum ecclesiasticorum usurpatione*. Kwestya ta bardzo aktualna zwłaszcza w dawnych posiadłościach papieskich i u nas nie jest zbyt oderwaną. Doświadczenie uczy, ile to sporów wieść nieraz musi kapłan o dobra kościelne może mniejszej wagi, ale jednak kościelne, a więc nie będące własnością jego. W trzecim dziale tej części przechodzi autor do wskazania sposobu postępowania z ciężko chorymi ze względu na różne warunki życia, w jakich się znajdowali, na stan sumienia i t. d. Dla przykładu przytoczę tylko niektóre artykuły nader praktyczne, jak np. o rezerwatach w godzinę śmierci, o obowiązanych do restytucyi sławy lub mienia cudzego — *de concubinariis* — o rewalidacyi małżeństwa, o niedowiarkach i sekciarzach, o tych, co mają się poddać niebezpiecznej operacyi, o waryatach i gorączkujących, o obowiązkach samego kapłana względem umierających. Ważnym również jest artykuł o przyczynach chorób i oznakach zbliżającej się śmierci.

Drugi tomik (str. 124) obejmuje częstsze i zawilsze w ciągu życia zachodzące wypadki. Opuszczam tu kwestye już w pierwszej części dostatecznie rozwiązane. Zawiera w sobie trzy główne działy: o chrzcie, o pokucie i małżeństwie. W drugim dziale o pokucie porusza autor między innemi tak ważne a praktyczne kwestye jak o liberalizmie, socyalizmie, strejku, pojedynkach, o hypnotyzmie, morfinizmie i środkach znieczulających, o absolucyi heretyków i sekciarzy, o spowiedzi dzieci, niewiast, o klauzulach, jakie uwzględnić należy przy udzielaniu rozgrzeszenia od cenzur i rezerwatów. W trzecim dziale drugiego tomiku ma autor na oku trudności, jakie duszpasterz, a względnie spowiednik napotkać może, nim strony zawrą małżeństwo, dalej rozprawia o małżeństwie nieważnem i sposobie rewalidacyi tegoż, wyjaśnia ważniejsze decyzye Stolicy św., tyczące się małżeństwa, przechodzi następnie do kwestyi rozwodów a zamyka ten tomik trzema artykułami o małżeństwie cywilnem.

W pierwszych dwóch tomikach miał na celu podanie praktycznych wskazówek w »zawilszych« a tem samem rzadszych wypad-

kach. W trzecim natomiast tomiku *De Sacramento Poenitentiae* (str. 136) ma na oku codzienną praktykę trybunału Pokuty. Przypomina zatem ogólne zasady o naturze i warunkach Sakramentu Pokuty — o rozgrzeszaniu penitentów (przyczem uwzględnia pojedyncze klasy tychże), o obowiązkach i przymiotach spowiednika, o sekrecie spowiedzi, a na końcu kilka uwag o miejscu i sposobie słuchania spowiedzi. Rzecz teoretycznie, dokładnie a zwięźle obrobioną, zastosował autor praktycznie, podając reguły, mające na celu ochronienie penitentów od świętokradzkich spowiedzi, jakiekolwiek byłoby ich źródło.

Ostatni wreszcie tomik (stron 121): *De Sacramento matrimonii*, jest krótkiem i jasnem streszczeniem traktatu prawniczo-moralnego o małżeństwie.

Chociaż tytuł dzieła a zwłaszcza dwóch pierwszych tomików wskazywałby, że całe dzieło jest czysto kazuistyczne na wzór kazusów Gurego, Lehmkuhla, Bucceroniego, Génicota i t. p., to przecież tak nie jest. Autor nie podaje jakiegoś konkretnego, umyślnie w tym celu ułożonego »kazusu«, ale stawia pytania więcej ogólnej treści, na które następnie odpowiada. Jego dzieło jest raczej katechizmem prawniczo-moralnym, którego znajomość jest niezbędną każdemu kapłanowi zajętemu duszpasterstwem. Po dokładniejsze uzasadnienie i rozwinięcie podanych prawideł potrzeba się udać do innych obszerniejszych dzieł moralnych lub prawniczych. W pojedynczych wywodach autor opiera się na powadze najlepszych teologów, jak Lacroix, D'Annibale, Génicot, Lehmkuhl, Villada i z praktycznych może najpraktyczniejszy, Berardi, gdzie potrzeba cytuje odnośne dekreta św. Kongregacyi. Liczne dopiski objaśniają tekst — każdy tomik uzupełnia dokładny spis alfabetyczny. Styl przystępny i jasny ułatwia zrozumienie rzeczy. W zapatrywaniach autor trzyma się kierunku pośredniego, daleki zarówno od zbytniej pobłażliwości, jak i przesadnej surowości. Dzieło to szczerze polecić możemy wszystkim kapłanom. Oczekujemy niecierpliwie pojawienia się zapowiedzianej już obszerniejszej teologii moralnej tegoż autora.

Ks. R. Kudasiewicz.

Nomenclator literarius theologiae catholicae theologos exhibens aetate, natione, disciplinis distinctos. *H. Hurter S. I.* Tom. II. ed. III emendata et plurimum aucta. Oeniponte. Libr. acad. Wagneriana 1906. col. 1590, CLXXXII.

Od dawna już dawał się odczuwać w kołach katolickich brak dzieła, któreby w jednym, harmonijnym obrazie objęło ogrom pracy

umysłowej w daleko rozgałęzionej dziedzinie teologii tak, jak od pierwszych początków chrześcijaństwa się objawiała a w szeregu wieków postępowała i wydoskonalała; — jednem słowem, nie posiadamy jeszcze dotychczas historyi literatury teologicznej. Ks. Hurter, profesor dogmatyki na uniwersytecie w Insbrucku i rozgłośny autor *Compendium theologiae dogmaticae*, nie zamierzał wprawdzie, jak sam w przedmowie do swego »Nomenklatora« powiada, dać światu naukowemu historyę literatury teologicznej w ścisłem tego słowa znaczeniu, któraby odpowiadała wszelkim wymaganiom dzisiejszej nauki; ale jego to niewątpliwa zasługa, że pierwszy podjął się skreślić — aczkolwiek w formie nie całkiem jeszcze doskonałej — obraz całej literatury teologii katolickiej.

W pierwszych dniach nowego roku opuścił prasę drugi tom »Nomenklatora« i to w trzeciem już, poprawnem i powiększonem wydaniu. Obok wielu poprawek, ulepszeń, wyjaśnień znanego już z poprzednich wydań materyału, przynosi to trzecie wydanie bardzo obfity materyał nowy, całą masę nazwisk i dzieł na podstawie nowych i gruntowniejszych badań bibliograficznych. Autor obejmuje epokę średniowieczną, zestawiając porządkiem chronologicznym teologów katolickich, którzy pracami swemi słynęli od czasów św. Anzelma († 1109) aż do Soboru Trydenckiego (r. 1563). Podzielił tę epokę na 18 części, a w każdej z nich ugrupował pisarzy wedle działów nauki teologicznej, w których się odznaczali, uwzględniając zarazem rozmaitość ich narodowości. Metodę tę tylko szczęśliwą nazwać można. Podwójną bowiem z niej czytelnik odnosi korzyść: najpierw jest w stanie wytworzyć sobie wierny obraz pojedynczych faz, jakie nauki teologiczne w średnich wiekach kolejno przechodziły, a następnie zdać sobie sprawę, jakie narody mniej lub więcej intenzywny brały udział w pracy koło wydoskonalenia i podniesienia teologii.

Aczkolwiek autor nie uwzględnił wszystkich pisarzy kościelnych — bo o wielu wiadomości nie mamy, a inni na wzmiankę nie zasługują — przedstawia się jednak czytelnikowi w tej epoce średniowiecznej wcale okazały ich zastęp, bo przeszło 4.000, których prace bądź to na polu teologii i filozofii scholastycznej, bądź to w innych dziedzinach nauki teologicznej, jak egzegezy, historyi kościelnej w szerszem tego słowa znaczeniu, liturgiki, prawa kościelnego, teologii moralnej i pastoralnej, ascezy i kaznodziejstwa, aż do naszych czasów w rękopisach lub drukach się przechowały. Co do kwestyi teologicznych podówczas jeszcze spornych, jak np. o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi P., o wyższości

papieży nad Soborem powszechnym, o instytucyi *montium pietatis* znajdujemy w dziele Hurtera obszerną i wyczerpującą literaturę, a zwięzłe i jasne krytyczne uwagi autora, pozwalają wyrobić sobie sąd o kierunku naukowym odnośnych autorów, o doniosłości i wartości ich prac. Z tego też punktu widzenia dzieło Hurtera staje się niezbędnem dla każdego, kto z prawdziwym pożytkiem oddawać się chce naukom teologicznym i śledzić wszystkie fazy ich rozwoju w przeszłości, ich postępu lub też upadku.

Lecz pod innym jeszcze względem drugi tom »Nomenklatora« Hurtera, posiada niepospolite znaczenie. Stanowi on bowiem wymowną apologię Kościoła katolickiego przeciw zarzutom jego nieprzyjaciół, którzy zwykli upatrywać w średnich wiekach czas upadku nauk i ciemnoty.

Z pośród wielu przykładów chcemy tu podnieść tylko jeden, który w ostatnich latach tak w katolickim obozie, jak też w protestanckim szeroko był i jest omawiany. Czy to z nieświadomości (jaką jednak trudno przypuścić w ludziach nauki), czy też z nienawiści do wszystkiego, co katolickie, zarzuca się Kościołowi, iż u schyłku wieków średnich ani kler świecki ani zakonny nie głosili wiernym słowa Bożego. Pisze np. Vorreiter, *Luthers Ringen mit den antichristlichen Prinzipien der Reformation,* Halle 1860, str. 37, a za nim powtarzają inni, np. Kolde (*D. deutsche Augustiner-Congregation und Johann v. Staupitz.* Gotha 1879), Reindell (W. Link, Marburg 1892), że u schyłku wieków średnich »kazania, któreby obznajamiały wiernych ze słowem Bożem i stosowały je do potrzeb indywidualnych każdego, nie istniały, natomiast pozostawiano każdej z osobna duszy, by sama sobie szukała lekarstwa na swe biedy i cierpienia w znanym skarbie prawdy chrześcijańskiej«. Zarzut ten znalazł już należytą odprawę w cennych pracach Kerkera, Landmanna, Paulusa i innych, ale jego bezpodstawność w należytem dopiero przedstawia się świetle, kiedy się śledzi literaturę kaznodziejską od r. 1450 do r. 1520, jak ją ze źródeł autentycznych podaje O. Hurter. Około 100 autorów naliczyćby można w tej krótkiej stosunkowo epoce, których kazania, postylle i inne podręczniki kaznodziejskie rozrzucone były po całej Europie. Pośród tych licznych dzieł niema prawie ani jednego, któreby w krótkich odstępach czasu nie wyszło w kilku wydaniach i to często w pięciu, sześciu różnych miejscowościach. Tak np. kazania Meffretha na święta i niedziele p. t. *Hortulus Reginae (Ecclesiae)*, miały przynajmniej 10 wydań w XV wieku (Hurter II. str. 1005 sq.); postylla

anglika Holcoth'a pod tytułem *Sapientiae praelectiones 213* wyszły w Wenecyi r. 1483, 1500 i t. d., w Spirze r. 1483, 1486, w Paryżu r. 1486, 1489 i t. d., w Bazylei r. 1488 i t. d., w Reutlingen r. 1489, w Hagenau r. 1494 (str. 539 sq.); Kazania o Matce Boskiej Bernardyna de Bustis wyszły w Medyolanie r. 1494, *Argentinae* r. 1496, 1498, w Lyonie r. 1502, 1515 i t. d., *qui sermones*, powiada Hurter str. 1001, »*pleni pietatis et bonarum rerum integram atque copiosam constituunt Mariologiam, quae concionatoribus multum usui fuit*«; kazania Nidera doczekały się w XV w. przynajmniej 5 wydań (str. 865); kazania św. Wincentego Ferreryusza wyszły w Ulmie r. 1475, w Strassburgu r. 1485, 1503, w Kolonii 1482—87 w 4 tomach in folio, w Lyonie r. 1490, 1497, 1516, 1523 (str. 768); postylla Macieja z Lignicy *suo tempore satis erat vulgata* (str. 747); kazania postne słynnego kaznodziei Gritscha, doczekały się do r. 1500 conajmniej 25 (str. 872), a kazania Herolta aż 46 wydań (str. 983) i t. d. Biorąc za podstawę okrągłą liczbę 1000 egzemplarzy dla jednego wydania — co wcale na owe czasy nie jest cyfrą przesadną (por. *Janssen, Gesch. d. deutsch. Volkes* 1897, str. 23), — łatwo sobie wyobrazić, w ilu to tysiącach egzemplarzy te i inne podręczniki bezpośrednio przed reformacyą po Niemczech, Włoszech, Hiszpanii, Francyi i Anglii rozpowszechnione były. A z tego niezmiernego bogactwa na polu literatury kaznodziejskiej łatwy wniosek, iż przed Lutrem musiano mówić kazania przynajmniej tak często, jak w naszych czasach. Nie pisze się bowiem ani wydaje kazań i podręczników dla kaznodziei, jeśli kaznodziei niema.

Dzieło ks. Hurtera zasługuje więc na uznanie i najszersze rozpowszechnienie, przedewszystkiem wśród kapłanów.

Ks. J. Roth.

Neumenkunde (Palaeographie des gregorianischen Gesanges). *Peter Wagner*. Freiburg-Schweiz, Komissionsverlag der Universitäts-Buchhandlung. 1905. IX, 355.

Prawie do niedawna uchodziły neumy za muzyczne hieroglify, nad którymi wielu nawet bardzo wielkich uczonych i badaczy pisma muzycznego złamało pióro, twierdząc, że szkoda czasu i ogromnego trudu na wniknięcie w istotę i cel neum, tem bardziej, że zarówno w późnej starożytności jak i w średnich wiekach znajdujemy w traktatach teoretyków muzycznych ciągłe skargi na nieużyteczność neum i niemożliwość użycia ich w praktyce. Do tych pisarzy należy Hucbald (840—930), Odo de Clugny († 942), Guido d'Arezzo (c. 995 – 1050),

Johannes Cottonius (XI/XII), Johannes de Muris (c. 1275—1350), w nowszych czasach Michał Praetorius (XVII w.), Dom Hugues Ménard (XVII w.), Jumilhac (XVII w.), J. Andreas Jussow (XVIII), Mikołaj Staphorst (XVIII w.); także badania J. Ludolfa Walthera (XVIII w.), Padre Martiniego (XVIII w.), Marcina Gerberta z St. Blasien (XVIII w.), Hawkinsa i Forkla oraz Bainiego nie przyniosły żadnego rezultatu. Fétis i Kiesewetter spierali się o pochodzenie neum, nie doszedłszy do ich odcyfrowania. Coussemaker jest pierwszym badaczem XIX wieku, który wskazał na pochodzenie neum od greckich akcentów: ´ ` ^ a raczej z prozodyi aleksandryjskich gramatyków. Profesor umiejętności muzycznych na uniwersytecie berlińskim, dr. Oskar Fleischer, przyjął tę myśl i rozwinął w *Neumenstudien* (I—III tom. 1895—1905); sądzi on, że dopiero od IX wieku istnieją neumy w piśmie, jeśli zaś przedtem istniały, to tylko w praktyce, jako znaki chejronomiczne czyli przeznaczone dla dyrygenta, dającego zapomocą ręki znaki chórowi, gdy melodya wznosiła się lub opadała. Prof. Fleischer stawia jednak już nie śmiałe, ale karkołomne i w pocie czoła skonstruowane hipotezy, opierające się na t. zw. *Biblia Amiatina* z florentyńskiej Biblioteca Mediceo-Laurentiana, kodeksu z r. ca 700, zawierającego neumy, dopisane ręką znacznie później żyjącego pisarza. Jego hipotezy są tak zawiłe, że nie możemy choćby ze względu na brak miejsca zatrzymywać się przy nich. Ale epoką w badaniu neum są prace OO. Benedyktynów z Solesmes, wydających od r. 1889 t. zw. *Paléographie musicale*, wydawnictwo nie mające sobie równego; prócz ogromnie wartościowych podobizn rękopisów (*Codd. St. Gallen* 339, *Einsiedeln* 121, *British-Museum* add. 34.209, *Montpellier H.* 159 i *Graduale Iustus ut palma* z IX—XVII w.), zawarte są w tej olbrzymiej publikacyi historyczne wstępy i rozprawy (o neumach) największej wartości naukowej, pochodzące z pod pióra OO. Guérangera, Pothiera, Mocquereau. Nie można pominąć także bardzo gruntownych badań Gevaerta, Dechevrensa, Houdarda, Aubry'ego, Gastoué i innych francuskich badaczy, wobec których nikną usiłowania Riemanna, Fleischera i innych uczonych niemieckich. Jeżeli przedtem byliśmy w stanie zaledwie zdać sobie sprawę z rysunku melodyi gregoryańskich, lecz nie mogliśmy dokładnie i bez wahania się oznaczyć wysokości interwalli i dyastematyki tonów, teraz osiągnęliśmy prawie na pewne to, nad czem bądź łamano sobie głowę lub zniechęcano się przez kilkanaście wieków. Przedewszystkiem OO. Benedyktynom nie schodzi z oka praktyczny cel badań, t. j. ni mniej ni więcej, tylko odrestaurowanie pierwotnego liturgicznego śpiewu

(gregoryańskiego). Dochodzą oni do celu przez kollacyonowanie rękopisów późniejszych, t. j. z pismem choralnem czyli neumami na 4 lub 5 liniach a neumami pisanemi ponad tekstem bez linii. W ten sposób można dojść do celu prędzej, niż przez stawianie hipotez o znaczeniu neum (chejronomicznych lub nie). Metoda filologiczna w zastosowaniu do umiejętności muzycznych ma tę niedobrą stronę, że jest jednostronna i prowadzi do ślizkich hipotez; prof. Fleischer zamiast zapoznać się dokładnie z pomnikami średniowiecznej liturgii poszukiwał najdawniejszych rękopisów i do nich ograniczył się, przez co zamknął sobie horyzont dalszych badań. OO. Benedyktyni nie tylko umożliwili nam zdanie sobie sprawy z biegu melodyi gregoryańskich, ale z przynależności pojedynczych tonów i melismatów do pojedynczych zgłosek tekstu i właśnie przez kolacyonowanie i porównywanie tych samych tekstów z temi samemi melodyami zawartych w rękopisach z różnych czasów doszli do znaczenia każdej neumy pojedynczej i złożonej. Inna rzecz, że od powstania tych melodyi liturgicznych do czasów, z których najwcześniejsze ich spisanie nam dostępne pochodzi, mogły się te melodye znacznie zmienić, tak jak się mimo licznych późniejszych spisywań zmieniały. Dotychczas nie rozwiązano r y t m i c z n e g o problemu tych melodyi, a co do tej kwestyi panują nawet w najfachowszych kołach ogromne sprzeczności, które czekać będą z kilkadziesiąt lat na ich usunięcie. Jasnem jest tylko, że hymny i inne metryczne teksty dyktują same przez się rytmikę melodyi. O. Mocquereau dzieli neumy w I tomie *Paléographie* (w rozprawie *Origine et classement des différentes écritures neumatiques*) na: 1) *Notation oratoire ou chironomique* (czyli neumy akcentowe) i 2) *Notation musicale ou diastématique* (oznaczające interwale muzyczne). W dziele swem rozróżnia prof. W a g n e r, jeden z najznakomitszych badaczy liturgicznego śpiewu, neumy, według ich graficznej formy na 4 rodzaje: akcentowe, haczykowate, chejronomiczne, punktowe i dodaje jeszcze notacyę literami. Obala on w ten sposób mniemania niektórych uczonych, jakoby neumy nie miały historyi swego rozwoju; podaje prof. Wagner historyę każdej formy neum, idąc chronologicznie za rękopisami wogóle i w szczególe, t. j. zależnie od krajów używających pewnej neumowej notacyi. Wartość jego wywodów podnoszą tabele i cytaty z rękopisów. A zasługi prof. Wagnera na tym punkcie są tem większe, że nie ogranicza się do pewnej liczby rękopisów znanych lub w facsimilach wydanych, lecz przez podróże i poszukiwania wciągnął w swe badania wszystko, co zasługiwało na to. Nie opierał się też na samych traktatach średniowiecznych, zazwyczaj

bardzo sprzecznych i bałamutnych, lecz teoryę i praktykę poddał ścisłym porównaniom. Jakie zaś korzyści z tego wypłynęły, to może tylko ten ocenić, kto umie rozkoszować się lekturą tego wspaniałego dzieła, będącego epoką w badaniach gregoryańskich. Ale bo też takiemu przedmiotowi trzeba poświęcić całe życie, aby go wyczerpać, ile się da. Gruntowność i wartość jego badań podnosi fakt, że nie wychodzi on od »zasad« apriorystycznych, lecz dochodzi do nich w ciągu dociekań. Sześć pierwszych rozdziałów (do str. 130) poświęca historyi neum. Rozdział VII—IX (str. 131—210) traktuje o dyastematyi, t. j. o przenoszeniu neum na linie i o wzrastaniu liczby linii oraz o neumach w późniejszem średniowieczu, przyczem zasługi Guidona d'Arezzo ustawione są w należytem oświetleniu naukowem. Dowiadujemy się, że dyastematya zdyatonizowała śpiew gregoryański i uwolniła go od wpływów oryentalnych, które — jak do tego doszedł prof. Wagner przez kollacyonowanie rękopisów najdawniejszych — trwały do XI w. Dyatonizowanie odbywało się pod wpływem teoretyków, a rozstrzygnął je system liniowy, który już koło r. 986 jest wspomniany w kronice klasztoru Corbie, wyjaśnionym i wyłożonym teoretycznie został jednakże przez Guidona d'Arezzo († c. 1050) w *Regulae rhythmicae.* Według prof. Wagnera widzimy początki dyastematyi we frankońskich rękopisach z X wieku (np. *Codex St. Gallensis* 121, 381), a zwłaszcza w longobardzkich z pierwszej połowy XI wieku (np. cod. 339 z Monte Cassino). Odmiennem i wprost przewrotowem jest stanowisko prof. Wagnera wobec znaczenia klasztoru w St. Gallen w rozwoju liturgicznego śpiewu i niemieckich neum. Na podstawie historyi misyi i lipskiego kodeksu nr. 169 wskazuje na wpływy iryjsko-anglosaskie, twierdzi natomiast, że tylko sposób reprodukcyi był odmiennym w tej metropoli zachodnio-niemieckich klasztorów. Dziewiąty rozdział *Neumenkunde* (str. 167—200) jest znowu bardzo interesujący ze względu na plastyczne i zawsze na przykładach z rękopisów opierające się przedstawienie rozwoju neum w późniejszem średniowieczu, we Francyi, Włoszech i Niemczech. We Włoszech rozwinęła się w XIII wieku z neum punktowych t. zw. *nota quadrata seu quadriquarta,* która w ciągu XIV stulecia posiadła wszechwładne znaczenie, tak, że tylko ambrozyańska liturgia posługiwała się i posługuje dotychczas neumami punktowemi (cf. *Antiphonarium Ambrosianum.* Milano 1898 i *Gli Inni del Breviario Ambrosiano, corredati delle melodie liturgiche dal Canon.* Garbagnati, Milano, Libreria premiata religiosa, G. Palma). We Francyi i Anglii nastąpiła również przemiana neum akcentowych na *nota quadrata* (w XIII

i XIV w.). Wielkiem zastosowaniem cieszył się Metzki rodzaj neum, używany obok francuskiej kwadratowej notacyi w Niemczech, w których od wieku XIII jest w użyciu wyłącznie niemiecki rodzaj neum, zwany gotyckim, łączący niemieckie neumy chejronomiczno-punktowe z 4 liniami. W tym charakterze pisma zanotowana melodya »Bogarodzicy« w rękopisie krakowskim I (z r. 1408?)[1]. Neumy gotyckie były używane w ich kolebce, t. j. St. Gallen, aż do XVI wieku, a nie — jak p. Poliński sądzi — tylko w XII i XIII w. (!!!); ustąpiły miejsca kwadratowej notacyi romańskiej. Historya druków choralnych (mszałów, antyfonarzy i t. d.), kończy ten rozdział. Jak wiadomo, odznaczył się na polu historyi druków choralnych Pater Rafael Fidelis Molitor (O. S. B.) w dziełach *Die Nachtridentinische Choralreform* (1901/2, 2 tomy) i *Deutsche Choralwiegendrucke* (1904). Najdawniejszym tego rodzaju drukiem jest *Missale* ingolsztadzkiego drukarza Ulricha Hana, które ukazało się w 1476 w Rzymie. Dziesiątego i jedenastego rozdziału (str. 211—250) treścią są kwestye rytmiczne, opracowane zarówno na podstawie traktatów średniowiecznych (Alcuin, Regimius d'Auxerre, Martianus Capella, Hucbald z St. Amand, *Scholia de Musica enchiriadis,* Anonymus Vaticanus ms. 318 z XI wieku, Guido d'Arezzo, Berno z Reichenau, Aribo z Freisingen, Cotto, Franco z Kolonii i t. d.), oraz na podstawie manuskryptów i druków gregoryańskich (choralnych). Pod tym względem »cierpiały dotychczasowe objaśnienia neum na tym punkcie, że przyjmowały jako zasadę pewien ustalony rytmiczny system, który nigdy nie istniał«, gdyż »wczesne średniowiecze nie posiadało żadnego teoretycznego i we wszystkich kierunkach rozwiniętego systemu rytmiki gregoryańskiego śpiewu« (str. 213). Prof. Wagner ma jeszcze tę zasługę, że do swych badań wciągnął odkryty przez siebie anonimowy traktat z biblioteki Watykańskiej (*Cod. lat. palat.* 235 fol.), »zawierający jedyny systematyczny wykład rytmicznego znaczenia neum«. Podaje też przekład tegoż traktatu w swej książce.

Wywody Wagnera można krótko streścić: nie należy opierać rytmiki gregoryańskiego śpiewu na starożytnej rytmice i metryce hymnów Kościoła, gdyż one pod żadnym względem nie wpłynęły na kształtowanie się innych form gregoryańskiego śpiewu, a zwłaszcza

[1] Objaśnienia neum tegoż rękopisu, zawarte w rozprawce p. Polińskiego o »Bogurodzicy« są w całości i w szczegółach fałszywe w nazwaniu ich i w interpretacyi ich znaczenia. W mej rozprawie o »Bogurodzicy« sprostowałem te błędy. Zaczęła wychodzić w znanem warszawskiem piśmie muzycznem *Lutnista* (1906, zesz. I i nast.).

na różnorodnie uczłonkowaną i zróżniczkowaną psalmodyę. Do czasów przyjęcia *cantus planus*, w którym wszystkie nuty były równe, istniała rytmika bardzo prymitywna i zupełnie nierozwinięta. Według anonimowego traktatu każda neuma miała tylko jedną i jedyną wartość rytmiczną. Profesor Wagner widzi w rytmie gregoryańskich melodyi zupełny indyferentyzm. Rozdział XII nosi tytuł: »Neumy St. Galleńskie«. Otóż sądzę, że należałoby ten rozdział umieścić przed rozdziałami dotyczącymi rytmiki, jako traktujący o graficznych własnościach neum; choć być może, iż uczynił to Wagner ze względu na to, iż neumy z St. Gallen, przedstawiają w przeciwieństwie do romańskich typ rytmicznie jak na owe czasy udoskonalony. Wszystkie dodatkowe cechy tychże wykazują bizantyński wpływ, który nawet licznymi dokumentami jest udowodniony. Np. St. Galleńskie hymny i sekwencye są utworzone na wzór bizantyńskich hymnów i innych form liturgicznego śpiewu. W St. Gallen objawiło się w IX i X wieku dążenie do zastosowania starożytnej rytmiki i metryki do śpiewu liturgicznego, a taki śpiew zreformowany zwano *cantus doctus seu accuratus.* »Od XII wieku t. j. od czasu, w którym śpiew liturgiczny otrzymał potężnego przeciwnika w postaci muzyki mensuralnej, rozpoczyna się zgoda i powolne zbliżanie się teoryi i praktyki do siebie, a tradycyjna forma śpiewu *(der traditionelle Vortrag)* formułuje się w teoryi *cantus plani*« (str. 268). *Summa summarum:* neumy oznaczają liczbę tonów, ich ugrupowanie i o g ó l n y przebieg melodyi, ale nie mają czysto tonalnego znaczenia, prócz neum *bistropha, tristopha, pressus* i *trigon;* neumy wskazują nam o ile melodya wznosi się lub opada, ale nie interwale. Neumy m o ż l i w e są do czytania i odcyfrowania, ale przez kollacyonowanie rękopisów z wcześniejszego i późniejszego charakteru pisma. Odczytywać je mógł tylko *intonator chori*, t. j. dyrygent chóru, znający tradycyę. Metody komparatywnej trzymają się, jak wiadomo, także OO. Benedyktyni z Solésmes. Jako zakończenie swej książki (str. 271—335) daje nam Wagner obraz tradycyi chorału gregoryańskiego w późniejszem średniowieczu (A. Niezupełne melismaty. B. Właściwości niemieckiej tradycyi. C. Reforma Cystersów. D. Dominikanie i liturgiczny śpiew. E. Upadek tradycyi od końca XIV wieku. F. Pierwsze usiłowania reformy). Pouczającym jest zbiór jubilacyi nad słowem »Alleluja«, z którego dowiadujemy się, że choć one były różne, to jednak w żadnym wypadku pisarz rękopisu nie wypuścił grupy tonów w obrębie melismatu. Żywotności gregoryańskiego śpiewu dowodzi fakt, iż przybierał tysiączne formy — to tylko bowiem co jest martwe nie

zmienia się. Najbardziej strzegli tradycyi Niemcy, a ich rękopisy są niezmiernie wierne. Ruch monastyczny w zakonie Cystersów (XI/XII w.) skierowany był i ku zreformowaniu liturgii i śpiewu kościelnego. Zwrócili się Cystersi przeciw antyfonaryuszowi z Metz, który to klasztor był wówczas uważany za siedlisko rzymskiej tradycyi. Św. Bernard z Clairvaux zwołał komisyę, a owocem jej była księga norm zakonu Cystersów, zachowana w miejskiej bibliotece w Dijon (*Cod.* 114/82), zawierająca brewiarz, *epistolare, evangeliarium, missale, collectaneum, kalendarium*, reguły i zwyczaje zakonu, *psalterium, cantica, hymnarium, (antiphonarium* i *graduale* wydarto około r. 1480). Reforma była skierowana nietyle przeciw tekstom, ile melodyom, mianowicie przeciw tropom i sekwencyom. Cystersi nie mogli uznać tychże za integralną część śpiewu liturgicznego. Głównie chcieli wprowadzić jak największą prostotę melodyi i śpiew syllabiczny, skrócić melismaty na końcu »Alleluja« i zarzucić powtarzania się fraz w melismatycznych formach, ale nie znać systematyczności w ich reformie. Zasługą ich głównego »dyrektora« Guidona z Charlieu (Burgundya), jest dążenie i przeprowadzenie zasady zakończania melodyi na tonice. Nie należy sądzić, że ich reforma była kacerstwem wobec *officium* rzymskiego. Stosunek Dominikanów do liturgicznego śpiewu przedstawia się inaczej. Generalna kapituła w Kolonii postanowiła w r. 1245 zebrać komisyę z czterech Braci (z Francyi, Niemiec, Anglii i Lombardyi), aby unormowali *officium ecclesiasticum* w tekście, melodyach i rubrycelach, ale praca ich sprowadziła zamięszanie. Generalna kapituła w Londynie (1250) wysłała innych czterech Braci do Metzu w tymsamym celu. Potem jeszcze zbierano się w Metzu (1251) i w Budzie na Węgrzech (1254) aż wreszcie poruczono pracę generałowi Zakonu O. Humbertowi z Romans; po dwóch latach ukończył pracę, a tę zatwierdziła w r. 1255 medyolańska, w r. 1256 paryska generalna kapituła, zaś w r. 1267 papież Klemens IV. Po dziś dzień trwa jej ważność i jest ważnym pomnikiem starej rzymskiej liturgii, odznaczającym się tem, że do wprowadzonej do Francyi rzymsko-gregoryańskiej liturgii, dodano waryanty i lokalne paryskie zwyczaje śpiewne. Spisano te reformy w *Correctorium Fr. Humberti de Romans*, zachowanem w archiwum generała zakonu OO. Dominikanów w Rzymie. Reformy O. Humberta polegały na skróceniach jubilacyi i melismatów. Od XIV wieku mnożą się w odpisach i kopiach zmiany dowolne co do pisowni i formy śpiewów, co pociągnęło za sobą rytmiczne waryanty, odmienne duchem od pierwotnych. Skracano też melismaty. W licznych przykładach objaśnia nam

prof. Wagner reformy Cystersów, Dominikanów i upadek tradycyi. Jeśli jednak te próby były czemś wyjątkowem, to przeciwnie ogólne dążenia do »reform« zaczynają się od r. 1300 i to we Włoszech, w łonie franciszkańskich klasztorów. Nie była to reforma, lecz niedbałość i lekceważenie sobie tradycyi pod każdym niemal względem, dowodzące co gorsza braku znajomości chorału. W Niemczech zaczęła się ta reforma w XV wieku. Na szczęście wogóle nie osiągnęły te »reformy« znaczenia, a synod w Besançon (1581) orzekł: *Qui pneumatis ritum contemnunt, ipsi turpiter desipiunt.* Książka prof. Wagnera należy do najlepszych dzieł naukowych z ostatnich czasów. Jasny wykład i przejrzystość, niesłychana znajomość źródeł, praktyczna i teoretyczna, oraz liczne illustracye fototypiczne ze starych rękopisów podnoszą jej wartość do rzędu dzieł torujących drogę do dalszych badań na tem polu.

Adolf Chybiński.

Z powieści angielskich.

That artful vicar by *E. Grenville-Murray.* II vol. Tauchnitz ed.
Mrs. Arthur by *Mrs. Oliphant.* II vol. Tauchnitz ed.
White Heather by *William Black.* II vol. Tauchnitz ed.

Ciekawą jest różnobarwność typów wydobyta przez powieściopisarzy angielskich końca XIX wieku z ogólnej masy anglikańskiego kleru. Ten rodzaj powieści przezwany *High-Church Novels*, bywa nieco wyśmiewany przez autorów innego pokroju. Mówią np., iż momentem tragicznym fabuły bywa zerwanie małżeństwa z powodu zbytniej szerokości rękawów u komży narzeczonego, na które to rękawy prawowita w anglikaniźmie bogdanka nie może spoglądać bez zgrozy. Nam jednak te opowiadania nie wydają się śmiesznemi, bo poza rozmiarami rękawów i kwiatkami na krzyżach, widzimy powolny zwrot kościoła anglikańskiego do form katolicyzmu. Dlatego tytuł powieści Grenville-Murray'a, zapowiadający nową klerykalną sylwetkę przyciąga raczej aniżeli odstrasza. Ciekawość jednak doznaje zawodu, bo odmalowany tu *vicar* nie objawia żadnych »romanistycznych« dążności, a ukazujący się przy końcu ksiądz katolicki wystawiony jest w niepięknem świetle. Rzecz zaczyna się w chwili obioru nowego pastora na bogatą i wpływową posadę w prowincyonalnem miasteczku. Przedstawia się na nią

kilku kandydatów; podczas sesyi jednak w mieście wybucha pożar, tłum przerażony słyszy krzyki matki, której dziecko zostało w gorejącem domostwie, aż nieznany nikomu młodzieniec rzuca się w ogień i wynosi z płomieni dziecinę, sam ciężko oparzony i ranny, ale lud widząc na nim klerykalną odzież obwołuje go na miejscu swoim pasterzem, wymusza jego wybór na głowach miasta oraz na lordzie Hartleigh, zachowującym jeszcze w znacznej mierze kollatorskie prawa. Paul Rushbrand przed paru godzinami jeszcze ubogi *curate* (po naszemu wikary) jednego z kandydujących duchownych, staje się niespodziewanie jedną z ważniejszych osobistości w okolicy. Niedawno był chłopcem okrętowym i jako taki zapoznał się w Chinach z misyonarzem anglikańskim Trumanem, któremu raz dopomógł przy katechizacyi. Truman zaś uderzony jego pobożnością i wymową, namówił go do wstąpienia w szeregi kleru. Paul usłuchał go, ale dotychczas nie może przyjść do równowagi po gwałtownej zmianie sposobu życia i towarzyskiej sfery. Matka lorda Hartleigh, którą z obowiązku odwiedza, próbuje napróżno różnych przedmiotów rozmowy, aż trafia szczęśliwie na temat żeglugi, gatunków łodzi i t. p. Młody pastor jednak podoba się jej bardzo, więc licząc na zapał religijny, który się w nim objawia, powierza mu swój smutek i troskę: syn jej zawiązał stosunek miłosny z awanturnicą, dość bezczelną, aby się osiedlić w miasteczku. Ma nadzieję, że Rushbrand dopomoże jej swym wpływem do zwrócenia syna na dobrą drogę. Pastor słucha nieco sceptycznie, bo w nim, jako w synie ludu z najniższych warstw, żyje podejrzliwość wobec wszelkich wielkości tego świata. Uczucie to zamienia się w oburzenie i bezmyślną gorliwość, gdy w owej awanturnicy odkrywa córkę swego ojca duchownego, misyonarza Trumana. Zręczna komedyantka korzysta z jego naiwności, aby odegrać rolę uwiedzionej i pokrzywdzonej dziewczyny, czem Paul przejmuje się tak dalece, iż wkrótce prośbami i groźbą piekieł wymusza na słabym lordzie Hartleigh zadosyćuczynienie w formie pospiesznego, poza plecami matki zawartego małżeństwa. Po tym bohaterskim czynie dopiero dowiaduje się, że popełnił rodzaj zbrodni, bo na łono uczciwej rodziny wepchnął istotę kłamliwą, o niegodziwej przeszłości. Odkrywa nawet, że Miss Truman była już raz zamężną z dyrektorem wędrującego cyrku i nie wiadomo co z tym pierwszym mężem się stało. W dalszym ciągu powieści autor przeprowadza nowego pastora przez cały szereg podobnych pomyłek, aż wkońcu uwieńcza jego dojście do równowagi i trzeźwości umysłu małżeństwem z córką jednego z wielkich właścicieli ziemskich w oko-

licy. Rushbrand poznaje, że napróżno szedł w bój »z motyką na słońce«, że zwalczając mniejsze zło, sprowadzał większe; w całości jednak postać jego piękna jest i sympatyczna... Niemiłym dla katolickiego czytelnika jest epizod zgonu młodego lorda Hartleigh, do którego, już nieprzytomnego, żona (ex-Miss Truman) sprowadza księdza i przeszedłszy sama dla fantazyi na łono rzymskiego Kościoła, urządza całą komedyę nawrócenia na łożu śmierci, poczem następuje hałaśliwy pogrzeb i wielkie datki wdowy na instytucye katolickie w Anglii. Ustęp ten stanowi przykrą, fałszywą nutę, w oczach naszych dla powieści szkodliwą.

W inne tło wprowadza czytelnika powieść p. Oliphant. To studyum psychologiczne, jedno z lepszych, jakie wyszły z pod pióra zmarłej autorki. Pochwała ta zaś stosuje się zwłaszcza do pierwszego tomu, gdzie trafność spostrzeżeń okupuje względną banalność fabuły. Jest to — jedna z tysiąca — historya mezaliansu. Wiadomo, iż w Anglii takowy prawnie nie istnieje, tak, iż córka rybaka wychodząca za księcia wchodzi od razu w prawa księżnej, jest przedstawioną u dworu i t. p. Podobnie panna posiadająca tytuł nie traci go wychodząc za człowieka bez tytułu; wymaganem jest tylko, aby ów tytuł nosiła przy wymienieniu chrzestnego imienia: tak np. żona lorda Chesterfield zwaną jest Lady Chesterfield, ale jej córka zaślubiając p. Moggs lub Cheese zwałaby się np. Lady Jane Cheese lub Moggs. W braku jednak mezaliansów legalnych istnieje faktyczny mezalians, jakiego żadne demokratyczne konstytucye nie zniosą, przepaść jakiej żadne rewolucye nie zasypią — różnica wychowania i kultury. Nie dziw więc, że bohater p. Oliphant, syn bogatego baroneta, Arthur Curtis, nie znajduje szczęścia w samowolnym związku z córką drobnych mieszczan Nancy Bates. Żeni się z nią nie tylko z miłości, ale i dla udowodnienia swej niezależności, wkrótce jednak odkrywa tysiące drobnostek drażniących go na każdym kroku, jak ustawiczne ukłucia szpilek. Atmosfera w jej rodzicielskim domu duszna i ciasna moralnie i fizycznie; musiałby chyba sam zejść bardzo nizko by się mógł czuć swobodnym, wśród tych poczciwych, ale ciemnych i ordynarnych ludzi. O wychowaniu zaś żony i podniesieniu jej nie może być mowy, bo Nancy uważana od dzieciństwa za bożyszcze rodziny, liznęła tyle właśnie oświaty ile potrzeba, aby się wzbić w dumę i wszelkie upomnienia wzgardliwie odrzucać. Oboje cierpią bardzo: on widzący, że nawet w najskromniejszych kółkach żona jego z powodu swego obejścia

z trudnością bywa przyjętą, a z drugiej strony objawia wzgardę dla jego najlepszego przyjaciela dlatego, że nie jest wysoko urodzonym i bogatym; tęskniący za szlachetną prostotą rodzicielskiego domu, za każdym szczegółem dawnego życia. Ona przywykła królować, a czuje choć nie przyznaje swą niższość... Wkońcu też jej duma zwycięża. Nie mąż ją, ale ona męża opuszcza i z kolei nie mogąc sama wytrzymać w ciasnocie swojej rodziny, idzie z siostrą w daleki świat. Dotąd powieść bardzo oryginalna i ciekawa; dalszy ciąg jest — jako pomysł — dość banalny w literaturze angielskiej. Autor prowadzi nas na wieś do rezydencyi rodziców Artura. Czas minął, biedacy jednak nie przeboleli ani jego związku ani złamania jego życia skutkiem rozstania z żoną. W sąsiedztwie ich atoli osiada pod nazwiskiem Mrs. Arthur, piękna a wykwintna artystka, w której jedna siostra Artura, Lucy, domyśla się bratowej. Rodzice, oboje zakochują się w niej i przyciągają do domu. Ona się broni, wkońcu ulega prośbom i... jak na komendę trafia na dzień powrotu męża, z którym radośnie się łączy: zupełnie jak w bajce!

Ostatnia powieść »Biały wrzos!« Sam tytuł pachnie poezyą lasów i gór; powieść zaś przenosi nas w cudowny krajobraz szkocki ponad jezioro liżące stopy góry Ben Clebrig. Życie w pośród tych fal, tych borów, tych wrzosów, wśród dźwięków kobzy i śpiewów górali stanowi bogate tło, na którem — z winy samego tego bogactwa — snuje się dość blado nić istotnego romansu. Treścią jego jest miłość między pięknym łowczym z dóbr lorda Ailina a córką miejscowego doktora, dla której matka marzy o wysokiem zamęściu. Miłość — jak zwykle w powieści — zwalcza przeszkody, przy pomocy Amerykanina tworzącego może rażącą, ale najwybitniejszą figurę obrazu. Rażącym jest samą swoją odrębnością myśli i pojęć: on, przywykły do ciągłego wyścigu w pogoni za groszem, do wyzyskiwania i spieniężania każdej iskry sił umysłowych, każdej minimalnej cząstki fizycznych sił — nie może zrozumieć rozrzutności, z jaką wśród tej wpół dzikiej natury ludzie szafują jednem i drugiem bez zysku ni troski. Ten łowczy naprzykład — toż to chłopak oczytany, sypiący wiersze, »jak z rękawa«, posiadający znakomity talent muzyczny, obeznany ze sprawami krajowemi czy to politycznej, czy ekonomicznej natury, chłopak, jednem słowem, który w Ameryce byłby już stanął wysoko. On tymczasem strzeże zwierzyny i łososi, strzeże lasów i kniei, przygrywa góralkom do tańca i wyśpiewuje radośnie zadowolony ze swego losu, jak ptak na wol-

ności. Co więcej liczy na starość na opiekę swego chlebodawcy, liczy nań również w razie kalectwa lub innego nieszczęścia a gdy Amerykanin mocno zgorszony tym brakiem godności, zapytuje skąd ta wysoka opinia o rzeczonym lordzie? Młodzieniec opowiada, jak raz pod koniec polowania w górach upadł ze zwichniętą nogą a lord Ailine przeniósł go wśród ciemności przez straszne, karkołomne przejścia, które nawet w dzień nie każdy góral przebyć potrafi. I jakże tu nie ufać tak tęgiemu człowiekowi! Opowiadanie umajone jest gęsto wierszami pięknego Ronalda. Autor zapewnia, że Szkocya rodzi mnóstwo podobnych jemu poetów. Są to jednak kwiaty, które — jak biały wrzos — błyszczą cudownie wśród potoków i skał, ale które straciłyby i woń i urok, gdyby je przeniesiono na miejski bruk, pod światło gazowe. Snać Bonald sam do tych kwiatów należy: przeprowadzony do miasta, tęskni, więdnieje, zaczyna pić i dopiero za powrotem w ojczyste góry odzyskuje swą energię i wdzięk.

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup włocławski i krakowski (1496—1560). Monografia historyczna. *Dr. Tadeusz Troskolański.* Tom drugi. Cz. pierwsza. Lwów 1905.

Praca nad monografią Zebrzydowskiego posuwa się raźno naprzód: mamy już przed sobą część tomu II, obejmującą rok 1556. Rok to obfity w wypadki: dlatego też tyle miejsca zajmuje. Zaczyna go sprawa wyjazdu królowej Bony z Polski dlatego wpleciona w opowiadanie autora, że Zebrzydowski interweniował w tej sprawie jako delegat senatu, mając wpłynąć na królowę, by zaniechała swego zamiaru. Autor znaną nam już z I tomu swoją metodą, nie poprzestaje na skreśleniu udziału Zebrzydowskiego w tej sprawie, lecz daje obszerne tło tej sprawie, tło obejmujące całokształt przebiegu tej sprawy. Z kolei przechodzi do spraw religijnych, cały ten rok sobą wypełniających i absorbujących zupełnie działalność Zebrzydowskiego. Zjechał wówczas do Polski nuncyusz papieski Lippomano, wydelegowany do zwalczenia szerzącego się wówczas w Polsce nowatorstwa religijnego i zreformowania Kościoła polskiego. W tym czasie heretycy podnieśli wysoko głowę, rozzuchwaleni bezkarnością, jakiej zażywali w Rzeczypospolitej. Tę bezkarność usunąć, wystąpić przeciw reformatorom z cenzurami kościelnemi, oraz skłonić króla, by ten użył przeciw nim władzy państwowej, było celem zabiegów nuncyusza. Autor opisuje, jak nuncyusz przywitany po-

czątkowo niechętnie, zyskał powoli dla swoich zamysłów wyższe duchowieństwo, zyskał potem przynajmniej pozornie i króla. Przedstawia przebieg synodu w Łowiczu, zjazdu senatorskiego w Warszawie. Kreśli stanowisko i położenie króla, chwiejne i niezdecydowane. Król gotował się wówczas do wojny o Inflanty, potrzebował uchwalenia podatków przez sejm w większości sprzyjający nowinkom. Dlatego musiał lawirować, by nie narażając się biskupom, zadowolnić sejm swem stanowiskiem w kwestyi religijnej. Ogłosił tedy pokój religijny usuwając sprawy religijne z pod obrad tego sejmu, odraczając je do przyszłego. Celu swego dopiął, podatki na wojnę uchwalono. Widzimy już choćby z tych kilku uwag, jak daleko sięga swą pracą autor, jaki szeroki zakres obejmuje. Całe współczesne dzieje wewnętrzne wciąga w tok swego opowiadania tak, że osoba Zebrzydowskiego, choć wybitną rolę odgrywająca w tych wypadkach, miejscami schodzi na drugi plan, a nawet zupełnie się usuwa. Takie obfite podmalowanie tła było potrzebne, by zrozumieć i wniknąć w działalność biskupa, ocenić jego stanowisko. Rzecz inna czy dla konstrukcyi dzieła, dla jego jednolitości nie byłoby korzystniej ścieśnić ramy tego tła, przedstawić bardziej treściwie, w ogólniejszych zarysach całość dziejów współczesnych, a za to więcej miejsca pozostawić obrazowi działalności Zebrzydowskiego. Tak jak omawiana część pracy się przedstawia, zawiera ona wiele faktów nowych, wiele pokazuje w innem oświetleniu, niż dotychczas, nie odpowiada jednak tytułowi, przekracza jego granice. Nie ujmuje to wartości dzieła, utrudnia jedynie korzystanie z niego.

Dr. A. B.

Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Wydał Dyonizy Zaleski. Tom V. Lwów 1904.

Tom ostatni korespondencyi Zaleskiego zawiera listy poety od r. 1872 aż po dni jego ostatnie. Prócz tego dodane są listy z poprzedniego okresu życia w pierwszych czterech tomach nie pomieszczone. Na końcu pomieszczone są daty powstania niektórych pieśni Bohdana, spisane jużto własną ręką jego, jużto, jak przypuszcza wydawca, dyktowane. Wreszcie pomieszczony jest krótki plan dzieła, które Zaleski zamierzał kiedyś napisać, p. n. »Wiedza polska«, mającego zawierać przedstawienie stanu kultury w Polsce, syntezę współczesnej myśli polskiej. Miał Zaleski przedstawić tam stosunek Polski do Kościoła, do innych narodowości, do bratniej Słowiańszczyzny; dalej postęp chrześcijański ku Słowu, ucieleśnienie Jego, a wreszcie organizacyę przyszłej Polski między narodami. Miało to być tedy dzieło historyozoficzne, prawdopodobnie dalszy ciąg myśli naszych wieszczów i filozofów z okresu po r. 1830.

Ale wróćmy do ukończonego właśnie zbioru korespondencyi. Rzeczą będzie przyszłego badacza i monografa Zaleskiego ocenić, ile nowego przyniósł ten zbiór do poznania życia i twórczości poety. O ile obecnie ocenić możemy, zawiera on wiele szczegółów biograficznych ciekawych, rozjaśnia niejednę kartę z długiego życia naszego poety. Przytem, jak każda korespondencya, zapoznaje nas ona z poetą z jego strony więcej poufnej, jakim był w życiu domowem, w stosunkach przyjacielskich zstąpiwszy z koturnu poetyckiego. Co do Zaleskiego nasze pokolenie poznawać go dopiero z tej strony nie potrzebuje, pamięć jego jeszcze świeżo żyje

w naszych wspomnieniach. Ale już coraz mniej ludzi, którzy go znali, z nim się bliżej zetknęli, tak, że wkrótce takie utrwalenie tych stron charakteru poety okazałoby się niezbędnem.

B.

Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej. Uwagi i notatki zebrał *Michał Tyszkiewicz.* Kraków 1904.

Krytyka to dosadna ustroju Polski szlacheckiej, tej demokracyi wyłącznie jeden stan obejmującej, której logiczną konsekwencyą i tragicznem zakończeniem była Targowica. Autor wykazuje w dziejach Polski szkodliwe objawy tego ustroju, bezmyślnego postępowania tłumu szlacheckiego, przeciw któremu nie znalazło się żadne remedium. Przytacza uwagi i krytykę ze strony współczesnych, głębiej sięgających, dalej patrzących umysłów, jak Modrzewski, Skarga, Leszczyński, Konarski, krytykę śmiałą, trafną, ale niestety bezskuteczną. Ogół zasmakowawszy w anarchii, a przytem mało politycznie wykształcony, nie uznawał trafności krytyki, nie podzielał złowróżbnych przewidywań: zamiast być z uznaniem dla rozumu i patryotyzmu autorów, zwracał przeciw nim ostrze swojej nienawiści tak, że potem niektórzy woleli uwag swych wcale nie ogłaszać, jak Karwicki, lub ogłosić bezimiennie, jak Jabłonowski. Ale posiew ten nie padał na marne; myśl i odczucie potrzeby reformy ogarniały coraz szersze koła, przygotowały konstytucyę 3 Maja.

Ale nie w syntezie dziejów demokracyi polskiej leży punkt ciężkości dzieła. To tylko strona illustracyjna pracy, środek pomocniczy do skreślenia psychologii naszej demokracyi w Rzeczypospolitej, jej charakteru zupełnie odrębnego od typów spotykanych w innych państwach Europy. Przytoczone poglądy pisarzów i działaczów politycznych, choć ich zebranie i zestawienie służyć może do zaokrąglenia obrazu dziejowego, to również tylko uzupełnienie charakterystyki, uzupełnienie tem cenniejsze, że pochodzi od świadków wiarygodnych, współczesnych, patrzących z blizka na to, co jest przedmiotem ich krytyki. Mniej jako obraz historyczny, za to tem więcej, jako ujęcie psychologiczne posiada to dzieło omawiane wartość niezaprzeczoną, dając całokształt tego, co nasi historycy dotąd tylko urywkowo przy sposobności omawiania wypadków dziejowych i wplatając tylko w zarysy czy monografie historyczne omawiali.

L.

Slovanské starožitnosti sepsal *Dr. Lubor Niederle,* profesor české university v Praze. Díl I. Puvod a počatky naroda slovanského. (Historicka Bibliotheka, řidi J. Gella, J. Pekař). Praha 1902. Nakladem Bursika a Kohouta. (8-ka wielka, kt. nl. 2, str. 205 i 2 nlb.)

Po najlepszem dziele o starożytnościach słowiańskich P. J. Szafarzyka, otrzymała nauka znowu z pod pióra Czecha znakomitą, odpowiadającą obecnemu stanowi badań, pracę w tym przedmiocie, i to pracę pomyślaną i obliczoną na bardzo wielkie rozmiary. Nikt może z pośród ogółu uczonych słowiańskich nie był tak dobrze przygotowany do napisania wyczerpującego dzieła o starożytnościach słowiańskich, jak właśnie prof. Niederle. Nie tylko bowiem dawniejsze jego prace (*Lidstvo v době předhistoricke.* Praga 1893; *O puvodu Slovanu* 1896) dają najzupełniejszą rękojmię ogromnego krytycyzmu i ostro-

żności w wyciąganiu wniosków, ale ponadto prof. Niederle odznacza się wyjątkowem w dzisiejszych czasach obeznaniem z wszystkiemi dyscyplinami i teoryami badań starożytniczych i, co najważniejsze, znakomitą znajomością tych gałęzi wiedzy, częstokroć bardzo od siebie dalekich, które jednakowoż są niezbędnie potrzebne przy podjęciu studyów w tym zakresie. Zna bowiem dokładnie nie tylko archeologię i chronologię, których to przedmiotów jest profesorem, ale równie dobrze potrafi badać w dziedzinie antropologii, historyi i językoznawstwa. Dokładna zaś znajomość oraz zdolność do samodzielnego badania w zakresie wymienionych nauk, jest konieczną, jeśli kto chce pracować nad starożytnościami, wszystkie te bowiem nauki zbiegają się przy takiem studyum. Musiał też ten, kto chciał pisać o starożytnościach słowiańskich znać dokładnie wszystkie języki słowiańskie, ażeby módz wyzyskać wyniki dotychczasowych badań naukowych. Znajomość, i to wcale nie pobieżną, posiada prof. Niederle, jak mało to się wydarza. W takim rynsztunku można było śmiało wkroczyć na teren trudny do opanowania, gdzie z każdem słowem trzeba się bardzo liczyć.

Nie inny cel postawił sobie szan. autor, jak ongi Szafarzyk, zabierając się do pisania omawianego dzieła: ma ono bowiem przedstawić obraz pierwotnych dziejów i kultury narodów słowiańskich na podstawie wyników badań najnowszych. Od czasu wydania dzieła Szafarzyka, t. j. od lat 75, nie było nawet śladów usiłowania stworzenia takiego dzieła. Wszelkie badania w tym przedmiocie tyczyły się kwestyi specyalnych. Najwięcej niezaprzeczenie dokonała tu lingwistyka, którą już Dobrowolski wprowadził na właściwą drogę. Wiele też pracowali historycy, a w nowszych czasach archeologowie i antropologowie przyczynili się swojemi pracami i wykopaliskami do uzupełnienia i rozszerzenia obrazu całości. To też wobec mnogości rozrzuconych po wielu wydawnictwach peryodycznych, częstokroć mało dostępnych, drobnych przyczynków, kwestya napisania dzieła obszernego o starożytnościach słowiańskich stawała się wprost piekącą. Obrazu całości przedmiotu potrzebowali nie tylko początkujący pracownicy, ale w równym stopniu i zawodowi wytrawni badacze.

Niepodobieństwem jest z powodu bogactwa nagromadzonych w wydanej dopiero pierwszej części tomu pierwszego dzieła prof. Niederlego rozbierać go szczegółowo. Za wieleby to miejsca zabrało. Może więc lepiej będzie i korzystniej, jeśli postaram się dać ogólny obraz zawartości całego zamierzonego dzieła. Zamierzone ono zostało na sześć tomów, z których cztery mają zajmować się starożytnościami chronologiczno-historycznemi, a dwa starożytnościami kulturalnemi. W części chronologiczno-historycznej swego dzieła różni się prof. Niederle całkowicie od prac podobnych, których, nawiasem powiedziawszy, było niewiele i skąpych rozmiarów. Wyjątkiem były »Starożytności« Szafarzyka, ale one były inaczej planowane, bo Szafarzyk podzielił je na dwie części, znajdując dwa okresy, a więc trzymał się podziału chronologicznego. Po wtóre w dziele Szafarzyka element etnologiczny, który jest pierwszorzędnym w badaniu starożytności, postawiony był na drugim planie. Prof. Niederle podzielił swoje dzieło także na dwie części, ale za punkt wyjścia wziął główne etapy rozwoju Słowiańszczy-

zny i jej rozszerzenia się, skutkiem czego cały wykład rozpaść się musiał na: 1) to, co wiemy o początkach Słowian, dopóki żyli razem na pewnem ściśle określonem terytoryum, przed ich rozdzieleniem się i 2) na to, co wiemy o czasach, kiedy Słowianie rozeszli się i zajęli swoje późniejsze siedziby historyczne.

Omówieniem materyi, mieszczącej się w ramach pierwszego działu, zajmuje się tom pierwszy pracy prof. Niederlego, rozpadający się na dwie części. Pomieścił on tedy dzisiejsze wiadomości o początkach Słowian, ich życia aż do pierwszych historycznych o nich świadectw. Część druga tego tomu zawierać będzie objaśnienie tych spraw starożytnych, jakie zachodziły aż do II wieku po Chr., a nadto wykład o tem, jak się nam przedstawia Słowiańszczyzna pod względem archeologicznym od doby najstarszej aż do epoki rzymskiej. Tom drugi zawierać będzie rozwój plemienia południowego, a mianowicie przejście przez Karpaty, pobyt w górach Krasu, w nizinach węgierskich i w kotlinie siedmiogrodzkiej przed V wiekiem po Chr., przejście Słowian przez Sawę i Dunaj na półwysep Bałkański i rozdział na narody: chorwacki i bułgarski. Tom trzeci zajmować się będzie Słowianami zachodnimi. Tu przedewszystkiem rozpatrzy autor wszystkie te domysły i teorye, które mówią o autochtonizmie Słowian w Europie środkowej, a specyalnie w starożytnej Germanii, dalej zajmie się kwestyą granicy dwu wielkich światów etnologicznych: słowiańskiego i germańskiego, oraz czasu, kiedy Słowianie granicę tę przekroczyli, oraz oznaczeniem starych siedzib, wędrówki i pierwotnej formacyi narodu czeskiego, polskiego oraz Słowian połabskich i pomorskich. Tom czwarty będzie mówić o Rusi. Tom piąty zajmie się starą kulturą słowiańską oraz wpływami ościennymi, jakim ona ulegała od doby najdawniejszej, zetknąwszy się ze światem rzymskim, greckim, bizantyńskim i arabskim. W tomie szóstym znajdzie się szczegółowy opis starożytności na podstawie badań historycznych i materyału archeologicznego.

Dotąd mamy zaledwo pierwszą część tomu pierwszego. Życzyćby należało, aby wydawnictwo jak najrychlej ukazało się w całości.

wi.

Ks. Augustyn Kordecki. Zarys biograficzny w 300 rocznicę urodzin obrońcy Jasnej Góry skreślił *Michał Rawita Witanowski.* Piotrków 1904.

Z przykrością wyznać musimy, że broszurka ta, mająca na celu spopularyzowanie imienia dzielnego obrońcy Częstochowy, została całkowicie chybiona dlatego, bo autor nie nakreślił odpowiednio tła historycznego, nie uplastycznił należycie postaci ks. Kordeckiego, często podając rzeczy nieudowodnione za prawdziwe, zasypując wreszcie czytelnika datami, bez których broszurka niby nie straciła, jako przeznaczona dla szerokich warstw. Talent wreszcie narratorski bardzo słaby. A warto, ażeby przecież raz ktoś pokusił się o należyte odtworzenie tej drogiej sercu każdego Polaka bohaterskiej postaci.

C. L.

Lekarskie poglądy Reja (1505—1905). *Dr. Gedroić.* Warszawa 1905.

Dr. Gedroić, zasłużony wielce na polu badania historyi medycyny w Polsce, nie zapomniał i o 400-leciu Rejowskiem i w zwięzłym przeglądzie, na 15-tu stronicach, podał zapatrywania autora »Zwierciadła« na ów-

czesną medycynę, lekarzy i choroby oraz ich powstawanie, na fizyologię i patologię. Że poglądy te są błędne— to nie ulega wątpliwości, stanowią one jednak umiejętnie wybrane i należycie zestawione, cenny przyczynek do dziejów naszej medycyny. Najprawdziwszem jeszcze możnaby nazwać to zdanie Reja, w którem przestrzega ludzi przed blagą lekarzy, a które liczy i w naszych czasach wielu gorących zwolenników.

A. S.

Zywot starego żołnierza. Pogadanka zimowa. Przez *Teofila Lenartowicza.* Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Antoni Balicki. Kraków 1905.

Między rękopisami Biblioteki Jagiellońskiej odkrył p. Balicki nieznany utwór »lirnika mazowieckiego«, którego tytuł podaliśmy na wstępie. Jest to typowa gawęda poetyczna w rodzaju rzeczy Pola lub Syrokomli. Dawny wiarus napoleoński siedząc przy kominku w długi wieczór zimowy opowiada dawne swe przygody. Opowiada barwnie, z humorem, z fantazyą, a przytem z uczuciem rzewnem, które okazuje dla całej minionej przeszłości wielkiego cesarza i bohatera polskiego ks. Józefa. Po kilku epizodach z epopei napoleońskiej opowiada stary wojak o swem osiedleniu się w Galicyi, o antagonizmie z urzędnikami Niemcami, rzezi z r. 1846. Całość jako gawęda bardzo sympatyczna, jak wszystkie utwory Lenartowicza; między gawędami zająć może jedno z miejsc celniejszych.

A. B.

Cześć Maryi Niepokalanie Poczętej. Napisał *ks. J. A. Ł.* Lwów.

Jest to zbiorek modlitw i rozmyślań na każdy dzień nowenny do N. Maryi Panny, jak np. rozmyślanie »Imię N. P. Maryi, Marya Matką Naszą« i t. d. Dalej idą zebrane modlitwy do N. Maryi P. w różnych potrzebach życia. Modlitwy przeważnie nowo ułożone w duchu dotąd znanych i rozpowszechnionych wezwań i próśb do Matki Bożej.

N.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wobec ostatnich wypadków we Francyi.

»Wynik ostatnich wyborów jest ten, iż śmiało dziś powiedzieć można, że ciężkie przejścia czekają katolików Francyi. Po ludzku sądząc, prawo o rozdziale z wszelkiemi swojemi ujemnemi stronami będzie teraz przeprowadzone, nie będzie ono prawem wolności i szlachetnej wymiany myśli między państwem a Kościołem, lecz prawem ujarzmienia i uciemiężenia, zdążającem aż do zupełnego zniszczenia Kościoła. Najbliższa więc przyszłość przyniesie Francyi wojnę religijną, której końca nie łatwo przewidzieć«. (*Historisch-politische Blätter* t. 137, z. 10, str. 777).

Kto na najnowsze wypadki tamże trochę powierzchownie patrzał, nie byłby się tak łatwo do tego zdania przychylił. Zdawało się, że prawo o rozdziale, a przedewszystkiem prawo o inwentaryzacyi sprzętów kościelnych, rozbudzi poczucie katolickie w uśpionych masach. Katolicy stawili opór i nie był to opór, jak sądziły pisma bloku, tylko pań i panów z arystokracyi — ruch ten rozszedł się na szerokie warstwy narodu, które w wielu okolicach za broń nawet chwyciły, by bronić swoich świątyń i swej religii. »Pierwsi chrześcijanie byli męczennikami za wiarę, i my dla niej umrzeć potrafimy«, odpowiedzieli wie-

śniacy jednej miejscowości z departamentu Wyższej Loary reporterowi wielkiego francuskiego dziennika, który im zwracał uwagę na bezcelowość ich usiłowań. To był pierwszy objaw zwrotu na lepsze.

Nie pomogły nic deklamacye deputowanych bloku i socyalistów o świętości i majestacie prawa, które wszelkiemi siłami zachowane być musi; rząd nie był w stanie prawa przeprowadzić, cofnął się i gabinet Rouviera upadł a upadając nie mógł nawet winy na katolików zrzucić.

Opór katolików wydawał się być nielegalnym, ale tylko wydawał. Nikt już dzisiaj nie sądzi bowiem, że rządowi chodziło o wolność religii i o sprawiedliwe i bezstronne załatwienie sporów z Kościołem; panujące we Francyi stronnictwo chce zniszczyć wszelki objaw katolickiego życia, a w każdem ustępstwie ze strony katolików widzi tylko dowód ich słabości i zachętę do dalszych gwałtów. Przecież rząd twierdził swego czasu, że prawo o kongregacyach ma być prawem wolności, a w izbie deputowanych orzeczono uroczyście, że prośba o autoryzacyę jest czystą formalnością i że kongregacye tę autoryzacyę otrzymają i już bez trudności w kraju przebywać i pracować będą mogły. Wiadomo wszystkim, jak się ta sprawa zakończyła. Naród to zrozumiał i z tego stanowiska można jego postępowanie przynajmniej wytłumaczyć. Można je i uniewinnić. Cyrkularz bowiem ministra o inwentaryzacyi zawierał w sobie przepis, że gdyby bramy jakiegoś kościoła były zamknięte, mają się urzędnicy odnieść wpierw do prefekta; ten wyda powtórny rozkaz i dopiero wtenczas wolno użyć choćby i gwałtu. Tego przepisu urzędnicy nie zachowywali, tak, że użycie z ich strony siły było bezprawiem; nie można się więc dziwić i katolikom, że nie szli dobrowolnie pod nóż.

Dotąd wszystko było jeszcze dobrze; utworzony 14 marca gabinet Sarriena wprowadził znowu sprawę na złe tory. W skład tego gabinetu wszedł wypoliczkowany w r. 1893 przez Déroulède'a Clémenceau, jako minister spraw wewnętrznych, a jako minister kultu i sprawiedliwości Briand, który niegdyś wzywał robotników, by szli »do walki z kartą wyborczą, albo jeżeli to uznają za dobre, z szablą, pistoletem i karabinem«. Obaj znani ze

swej fanatycznej, sekciarskiej nienawiści dla Kościoła. Na chwilę zdawało się jednak, że i z tej strony nie zagraża obecnie wielkie niebezpieczeństwo. Niesłychana katastrofa w Courrières, której ofiarą padło przeszło tysiąc górników, wywołała masowy, olbrzymi strejk z temi wszystkiemi ujemnemi następstwami, jakie towarzyszą zwykle każdemu rozdrażnieniu. Clémenceau wysłał wprawdzie wojsko w zagrożone miejsca, zapewniając jednak równocześnie głównego wichrzyciela Broutchoux, że rząd pokłada zaufanie w mądrości i panowaniu nad sobą mas robotniczych i że wojsko nie dobędzie broni. »Mądrość i panowanie nad sobą mas« zawiodły, wojsko dostało rozkaz użycia broni — w jednej chwili wszystko się uciszyło, ale roznamiętnione tłumy zwróciły się przeciwko ministrowi, lękano się też, że zwrócą się one i przeciwko radykalnym deputowanym i wpłyną na rozwój i wzrost stronnictwa konserwatywnego. Lękano się i ufano niesłusznie; robotnicy przemysłowi nie są tak liczni, by mogli decydująco na wybory wpłynąć a po stronie przeciw-blokowej brakowało, jak zwykle, jedności.

Żeby jednak wszelkim nieoczekiwanym następstwom zapobiedz, wpadł rząd na g e n i a l n y koncept. Urządzono rewizye w redakcyi katolickiej *La Croix,* u redaktora bonapartystycznej *Autorité,* w biurach ligi antymasońskiej i *Action libérale* i u kilkudziesięciu osób, podejrzanych o monarchizm, klerykalizm i anarchizm; chodziło o to, żeby wykazać łączność stronnictw konserwatywnych z rewolucyjnymi kierownikami strejku a w dalszej konsekwencyi, jeżeli się da, zamach na całość rzeczypospolitej. Ten plan, do którego już dawno wzywała *Lanterne,* zrobił swoje i odwrócił od razu uwagę w inną stronę, choć wyniki rewizyi były wprost śmieszne a kierujący rewolucyjnym związkiem robotników, Gruphulhe, oświadczył, że nikt w stawiane robotnikom zarzuty nie uwierzy. Swoją drogą nie jest bynajmniej wykluczonem, że jeden lub drugi z członków, należących do stronnictw przeciwrządowych, maczał w tej sprawie swe palce; stąd jednak nie można uczynić zarzutu stronnictwom samym. Tak też z wyjątkiem prasy blokowej, piszącej o »komplocie«, »o ręce reakcyjnej w ruchu rewolucyjnym« pojmował rzecz cały inny odłam dziennikarski. *République française* pisze o gonieniu za sprzysiężeniem,

Gaulois o wymyśle senatora Ranca, który w swej młodości napisał »romans spiskowca«, *Figaro* o komedyi rewizyi: »po dramacie doszliśmy do operetki«; *Rappel, Echo de Paris* i *Eclair* o sfabrykowanem sprzysiężeniu, *Libre Parole* o rządzie blizkim rozpaczy skutkiem wyniku rewizyi. *Eclair* wzywa ponadto ministra Clémenceau, aby urządził rewizyę w gmachu »Wielkiego Wschodu« a może być pewnym obfitego plonu. Wogóle pojęto we Francyi, przynajmniej w kołach intelligentnych, rewizye ze śmiesznej strony, a wcale niemiłe wrażenie wywołał w ministeryum stanowczy i energiczny protest paryskiego syndykatu prasy przeciwko dochodzeniu urządzonemu w redakcyi *La Croix*. Taktyka jednak rządu zrobiła w szerokich masach swoje i dopomogła, tego zaprzeczyć nie można, rządowi przy wyborach 6 i 20 maja do osiągnięcia niezwykłych i pewnie nawet niespodziewanych rezultatów. 5,070.000 wyborców głosowało na kandydatów bloku, 3,690.000 przeciwko rządowi, przytem zyskał blok 59 nowych okręgów. Rezultat wyborów przedstawia się następująco: radykali i socyalistyczni radykali mają 246 deputowanych, republikanie 77, radykali niezależni 7, socyaliści niezależni 22, socyaliści zjednoczeni 52, progresyści 62, konserwatyści, rojaliści, bonapartyści i inni 117, nacyonaliści 23, tak że nieprzychylna Kościołowi partya rządowa będzie i bez socyalistów w izbie dysponowała większością.

Wybory stwierdzają przedewszystkiem zupełne bankructwo stronnictwa nacyonalistycznego czyli wszechfrancuskiego, tej partyi, która przed dziesięciu laty tyle znaczyła we Francyi a dziś liczy 23 posłów; stwierdzają dalej zwycięstwo stronnictwa radykalnego i socyalistycznego i ciężką klęskę »klerykalnego«. I trzeba się niestety zgodzić na wywody *Lanterne:* »Wyborców zadaniem było wykazać, czy chcą oni przywrócenia przywilejów czarnego świata, czy też nie; odpowiedzieli a odpowiedzieli tak, że czarne robactwo, które dotąd jeszcze tak śmiałe było, wpełznie znowu pod ziemię«. Jedynym objawem dodatnim w wyborach był fakt, że w roku bieżącym brało udział w głosowaniu 400.000 konserwatystów więcej, jak w r. 1902.

Jak jednak wytłumaczyć sobie tę klęskę prawicy i katoli-

ków? Do ostatniej chwili byli katolicy francuscy przekonani o zwycięstwie; jeszcze w dzień wyborów pisała *La Croix:* »Wybory do ustawodawczego ciała odbędą się w tak drogim dla katolickiej pobożności miesiącu Maryi, w dniu Opieki św. Józefa, który jest tak potężnym i łaskawym obrońcą, dzień po ukończeniu narodowej nowenny, połączonej z mszami, drogą krzyżową i nabożeństwem różańcowem. Podczas gdy wyborcy do urn pobiegną, niech nikt nie przestaje wzywać przyczyny niebios. A więc ufności, ufności«. Ufność i nadzieja, to silne i potężne cnoty chrześcijańskie, tylko w innych warunkach. Kiedy wreszcie wybory tak ujemny dały wynik, znaleźli katolicy francuscy ciekawe tłumaczenie: »Wybory nie dały wyniku, któregośmy się spodziewali. Ludzkie obrachowywania są niepewne, Bóg jeden, który zna przyszłość, może dać odpowiedź. Znowu możemy tylko stwierdzić, że drogi Opatrzności są niezbadane i że jej tylko ufać trzeba« *(La Croix).* Słusznie i dosadnie odpowiedział na to zapatrywanie *Osservatore Romano:* »Te słowa byłyby na miejscu, gdyby katolicy mogli z czystem sumieniem powiedzieć sobie, że wypełnili swoje obowiązki. Jeżeli jednak ktoś zamiast pełnić obowiązki, goni tylko za rozrywkami, zamiast poddać się wskazówkom Leona XIII i Piusa X i łączyć się, by zwalczać wspólnego wroga, rozsiewa zarzewię niezgody i niejedności, wtenczas klęski nie wolno mu przypisywać wyższej jakiejś potędze, nie może jej też nazwać nieprzewidzianą; musi owszem powiedzieć sobie, że tylko i wyłącznie jego własne niedbalstwo ją spowodowało«. Ten swój pogląd stwierdza *Osservatore* cytując liczne okręgi wyborcze, w których kandydaci bloku małą większością przeszli, a przeszli tylko dlatego, że tysiące wyborców nie brało w wyborach udziału; tu leży pierwsza przyczyna pogromu. Tak jak przeciętny Francuz mimo swoich demokratycznych aspiracyi, wszystkiego jednak przeważnie po rządzie się spodziewa i na rząd również wszelką odpowiedzialność składa, tak i katolicy francuscy wszystkiego po Opatrzności oczekują, zapominając równocześnie o owem zdaniu jednego ze Swiętych: »Ufaj tak, jak gdyby wszystko od Boga, a nic od ciebie, pracuj jednak tak, jak gdyby wszystko od ciebie, a nic od Boga nie zależało«. Czasy,

w których Francya mogła się powoływać na *gesta Dei per Francos* minęły, daj Boże! żeby nie bezpowrotnie! Francya dzisiejsza nie jest już Francyą św. Ludwika lub Dziewicy orleańskiej, to też cudów już się dzisiaj spodziewać nie może.

I gdyby katolicka Francya była przynajmniej tylko bierną! Lecz tę jej bierność w kierunku pozytywnym cechuje żywa akcya w kierunku negatywnym czyli wzajemnego rozdwajania. Chyba nie z palca wyssała sobie *Lanterne* te zarzuty, które cisnęła w twarz katolikom: »Niejeden już raz objawiła Francya, że dla religii katolickiej, jak wogóle dla każdej religii, żywi tylko nienawiść i obrzydzenie. Katolicyzm musi zniknąć i z radością przygotowujemy się na tę chwilę, w której będziemy świadkami konania tej złej siły, co tak długo tamowała postęp i wolną myśl. Konanie poprzedzą konwulsye. Kościół pokaże nam proboszczów buntujących się przeciwko biskupom a może i biskupów zwalczających papieża«.

Ta aluzya do niejedności i buntu ze strony katolików jest znamienną. Kiedy katolicy powinni się byli zjednoczyć, by odeprzeć wspólnego wroga, zwalcza *La Croix* namiętnie kandydaturę ks. Gayraud i Lemire i głosi światu, że władza biskupia zakazała im udziału w życiu politycznem; rzuca nieledwie ekskomunikę na tych kilkanaście tysięcy księży, którzy wnieśli podania do rządu o pensyę. W wir tych walk o podkładzie ciasnym, fanatycznym i stronniczym wciąga biskupów, kler, wybitnych katolików świeckich a nawet Piusa X a wrogowie tymczasem zacierają ręce z radości i, jak pisze kolońska *Volkszeitung*, »chwila dziejowa stanęła przed karlim rodem, który się spiera o drobnostki, podczas gdy ważne życiowe kwestye na rozwiązanie czekają«. Niema nikogo, ktoby te ważne kwestye rozwiązał a szerokie masy, systematycznie w błąd wprowadzane, odwracają się od sfer katolickich, bo inaczej postąpić nawet nie potrafią.

Dlaczego? »Wybory obecne, pisze *Temps*, wykazały jak jeszcze nigdy, że r z ą d r e p u b l i k a ń s k i we Francyi cieszy się ogólnem uznaniem. Żaden poważny kandydat nie stanął tym razem pod hasłem innej formy rządu«. Tego właśnie nie zrozumieli kandydaci konserwatywni. Od pierwszej bowiem chwili

istnienia rzeczypospolitej zwalczali ją zawsze konserwatyści namiętnie i im niestety! pozwolił się katolicyzm zmonopolizować. To był zasadniczy błąd, a łączył się on z drugim, który musiał paraliżować całą ich akcyę: rozdzielili się. Jedni jako bonapartyści dążyli do wskrzeszenia cesarstwa napoleońskiego, inni jako monarchiści do wskrzeszenie królestwa; z tych znowu wyrośli zaraz legitymiści i orleaniści. Ponieważ jednak te wszystkie odłamy szukały i znajdowały swoich zwolenników w katolickiej szlachcie, zwróciły przeciwko sobie republikanów a tym sposobem walka kulturna zyskała od razu charakter walki w celu obrony kraju podjętej. Temu stanowi chciał zapobiedz Leon XIII. Encykliką *Au milieu des sollicitudes* z r. 1892 wezwał wszystkich do uznania rzeczypospolitej. Skutkiem tej encykliki było utworzenie się stronnictwa tak zwanych *ralliés* czyli katolików obstających przy republice. Zwalczali ich, rozumie się, konserwatyści, zwalczali i republikanie, ponieważ *ralliés* nie we wszystkiem z rzecząpospolitą solidaryzować się mogli; tym sposobem wszelka działalność z ich strony została uniemożliwiona. Z innych elementów niezadowolonych z formy rządu i łączących się z konserwatystami, powstali nacyonaliści i ci wypisali na swoim sztandarze między innemi hasła: antysemityzm, obrona armii, a przedewszystkiem *la revanche*. Zaprowadziłoby nas za daleko i nie odpowiadałoby ostatecznie naszemu celowi pisać jeszcze o progresistach czyli umiarkowanych liberałach i wielu innych. Skutki takiej gry w stronnictwa były opłakane i nie dały długo na siebie czekać. Konserwatyści rozstrzelili swoje siły, porozpadali się na drobne grupy, np. bonapartyści na trzy obozy, zwalczali się wzajemnie, stawiali swoich osobnych kandydatów i przegrywali zawsze i wszędzie na całej linii, bo nie umieli sobie zyskać szerszych warstw i nie zrozumieli grozy położenia. Tak szkodzili samym sobie, więcej jednak jeszcze sprawie katolickiej.

Z Kościołem nic ich właściwie nie łączyło, ale ponieważ tyle przynajmniej pojęli, że polityka opozycyjna jest w kraju możliwa jedynie na terenie wyznaniowym i religijnym, podszyli się i oni pod płaszczyk religii. Tutaj ograniczali się do afiszowania hasła wyznaniowego, do frazesów, do brania udziału w roz-

ruchach, skierowanych przeciwko rządowi i do... obalania, choćby i przy pomocy socyalistów gabinetów. Obalili dość umiarkowany gabinet Karola Dupuy, otrzymali w zamian gabinet Waldeck-Rousseau, niczego się jednak nie nauczyli. Tę samą taktykę zastosowali względem ministeryum Rouviera i otrzymali za to ministeryum Clémenceau. Torując drogę dla elementów przewrotowych, nazywają się mimo to konserwatystami. Wywieszając hasło wyznaniowe wyrządzili katolikom niesłychaną szkodę, bo odstręczyli od Kościoła olbrzymie masy ludu, który sądził, że katolicyzm to walka z republiką i republikańskim rządem a jak słusznie zaznaczył sprawozdawca z *Historisch-politische Blätter*, przeciętny Francuz ma na oku zawsze tylko obronę republikańskiej formy rządu; gdy idzie do urny wyborczej głosuje tak, aby mógł tem okazać swoje przywiązanie do rzeczypospolitej, dlatego też ci kandydaci otrzymują jego głos, którzy bez zastrzeżeń przy republice stają; dlatego również tak mało przy wyborach uwzględnia pierwiastek religijny, że np. deputowani bloku tam prawie wszystkie otrzymali głosy, gdzie największy stawiano opór prawu o inwentaryzacyi.

I nikt tego ludu niestety oświecić nie potrafił. Kler nie ma we Francyi wpływu. Rekrutuje się on przeważnie z ludności wiejskiej, ma więc przynajmniej utrudniony wstęp do arystokracyi, która, zresztą podobno nie tylko we Francyi, uznaje i ceni dopiero fioletowe wypustki; średnie warstwy są ogólnie tego przekonania, że kler należy tylko do zakrystyi, za głosem lub radą swego proboszcza one nie pójdą, a kler nic nie robi, by to przekonanie zmienić. Przez swoje odosobnienie się i odseparowanie od ludu, przez niezrozumienie potrzeb czasu, przez ograniczanie swej działalności do Kościoła i zbyt niestety często do tak zwanych pobożnych dusz, przez kładzenie nacisku nie na ducha, ale na zewnętrzne objawy kultu, zniechęcił do siebie lud i utracił wszelki na niego wpływ. Gdyby przynajmniej Francya miała swoją prasę katolicką! Za katolickie pisma uważają tam np. monarchistycznego *Gaulois* lub *Vérité française*, która jest wprawdzie ciągłym protestem przeciwko encyklice Leona XIII z 1892 r., ale bynajmniej nie jest katolicką. *La Croix* nie wchodzi tu w grę; samym tytu-

łem i zewnętrznym wyglądem odstręcza czytelników, obawiających się, że znajdą w nim coś w rodzaju *Posłańca niedzielnego.* Stoi on zresztą więcej na gruncie monarchistycznym, jak republikańskim, odznacza się dziwną stronniczością, ciasnotą pojęć i poglądów, jednem słowem, pisze korespondent kolońskiej *Volkszeitug,* jest organem z przed lat dwudziestu. Poza specyficznie kościelnemi pismami, które na życie publiczne żadnego prawie nie wywierają wpływu, ma Francya jeden jedyny dobrze redagowany dziennik polityczny o wybitnie katolickim charakterze: *L'Univers.* Ale ten dziennik, pewnie właśnie dlatego, że jest redagowany w duchu republikańskim, nie liczy między katolikami wielu przyjaciół. Na jego np. rzymskie sprawozdania powołują się nawet oficyalne agencye, ale w żadnym lokalu publicznym go nie znaleźć; na północnym dworcu w Paryżu znajduje się tylko jeden egzemplarz, a setki przewijających się tam codziennie księży, kupują wyłącznie *Libre parole* Drumonta lub *Autorité* Cassagnaca, pisma bynajmniej niekatolickie. Jeżeli jednak kler w ten sposób swoją prasę popiera, czegóż można żądać po świeckich i czy wogóle można się dziwić, że prasa nie spełnia swego zadania? Nie spełnia go, bo go po prostu spełniać nie może.

Z tego powierzchownego przedstawienia rzeczy już wynika, jakim przyczynom przypisać należy obecny moralny upadek katolickiej Francyi; w każdym razie nie powszechnemu prawu wyborczemu. Dopóki te niemożliwe stosunki poprawione nie będą, o zmianie na lepsze nie może być mowy. Jako dodatni objaw zasługują na uwagę wywody *Peuple Français:* »Kandydaci katoliccy przeoczyli, że od przeszło trzydziestu lat zaszła we Francyi olbrzymia zmiana. Stoją oni zawsze jeszcze na starem stanowisku, pozostali konserwatystami i co najwięcej zdecydowali się po długim namyśle, przyłączyć się do rzeczypospolitej jako *ralliés.* Za trudnem było dla nich oświadczyć, że chcą w łonie rzeczypospolitej miejsce zająć. Dlatego też kraj nie miał żadnej racyi, by się czuł do wdzięczności względem nich zobowiązanym, nie ufał im i upaść musieli. Dzisiaj, kiedy o całą przyszłość chodzi, cięży na wodzach katolików obowiązek, by sobie to przywłaszczyli, co socyalizm w sobie dobrego i sprawiedliwego mieści, aby tak wśród

walk i zaburzeń dać mogli narodowi pewną i silną podstawę. Gdy już raz się zdecydują nie organizować się dla nieobecnych, ale utworzyć chrześcijańsko-demokratyczne stronnictwo, zwycięży katolicyzm we Francyi a dalsze istnienie rzeczypospolitej będzie zapewnione«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z nowszego ruchu w Cerkwi rosyjskiej.

Wszystkie umysły, interesujące się religijnem odrodzeniem cerkwi, pochłania aktualna sprawa przygotowań do przyszłego wszechrosyjskiego Soboru cerkiewnego. Jeszcze 17 grudnia st. st. cesarz Mikołaj II, zawezwawszy do Carskiego Sioła trzech metropolitów: petersburskiego — Antoniusza, moskiewskiego — Włodzimierza i kijowskiego — Flawiana, jako członków Synodu, wyraził im swoją zgodę i życzenie zwołania nadzwyczajnego Soboru, w celu reformy życia kościelnego. Pod datą 27 tegoż miesiąca, wyszedł własnoręczny cesarski reskrypt na imię metropolity Antoniusza, nakazujący określenie terminu zwołania Soboru. Pomimo to, ani termin, ani miejsce przyszłego Soboru nie zostały dotąd oznaczone. Natomiast, na wniosek Synodu, ustanowiono przy nim, za zgodą monarchy z dnia 16 stycznia r. b., osobny wydział, mający przygotować materyały dla przyszłego zgromadzenia kościelnego i określić jego skład, termin otwarcia i miejsce.

Nasi czytelnicy wiedzą[1] o zabiegach pewnego odłamu sfer cerkiewnych, aby na przyszłym Soborze zapewnić znaczny wpływ elementowi świeckiemu. Pod parciem opinii, a poniekąd i z konieczności, — gdyż przeważną część teologów i kanonistów rosyjskich stanowią ludzie świeccy, — powołano do przedsoborowej komisyi, obok 3 metropolitów, 7 biskupów i około 10 kapłanów świeckich, jeszcze kilkunastu przedstawicieli stanu świeckiego, przedewszystkiem z pomiędzy profesorów uniwersytetów i akademii duchownych. Figurują między niemi nazwiska historyków Gołubińskiego i Kluczewskiego, kanonistów Suworowa, Zaozierskiego, Berdnikowa, nadto E. Trubeckiego, N. Aksakowa i innych znanych w Rosyi uczonych i pisarzy.

[1] Zob. *Przegląd Powszechny* za miesiąc wrzesień i grudzień 1905.

8 marca otwarto uroczyście w Petersburgu prace Wydziału i podzielono go na kilka sekcyi do opracowywania poszczególnych kwestyi. Znamienna rzecz, że na przyszłym Soborze — o ile wnosić można z podziału sekcyi — nie będą poruszane kwestye dogmatyczne, ani sporne między Kościołem wschodnim i zachodnim. Zapowiada się Sobór jedynie w roli reformatora wewnętrznego życia i karności cerkiewnej. Uwagę wszystkich zwraca na siebie głównie pierwsza sekcya, zajmująca się urządzeniem i określeniem procedury samego Soboru.

Na pierwszy plan wysunęła się kwestya składu Soboru, dzieląc prasę i czynniki kościelne na dwa namiętnie ścierające się obozy. Władyka wołyński, Antoni Chrapowicki, w złożonym Synodowi memoryale dowodził, że na koncylium cerkiewnem mają prawo zasiadać sami tylko biskupi. Zarówno dane dogmatyczne, jak i historya kościelna przemawiają za tem. Frakcyę młodych, żądających rozszerzenia prawa udziału na Soborze, nazwał niegrzecznie dekadentami i rewolucyonistami religii.

Lecz i młodzi nie pozostali dłużni odpowiedzi. Organa moskiewskiej i petersburskiej akademii, *Bogosłowskij Wiestnik* i *Cerkownyj Wiestnik*, jak również *Cerkownyj Gołos* — pismo młodszego kleru petersburskiego, zapełniły swe szpalty zbijaniem dowodzeń Chrapowickiego. Jego zdanie nazywają łacińskiem, papistycznem. Cerkiew prawosławna to cerkiew *soborna* (tłumaczenie słowiańskie k a t o l i c k o ś c i), czyli składająca się ze wszystkich stanów, Ciało Chrystusowe, w którem wszystkie członki mają być żywe i mają radzić nad ogólnem dobrem. Nie tylko hierarchia ale i lud jest stróżem prawowierności i pobożności chrześcijańskiej. Wszyscy więc winni być dopuszczeni na Sobór. Tak bywało za czasów apostolskich (przykłady soborów jerozolimskich), tak samo i w późniejszych czasach oprócz biskupów brały udział w Soborach i inne stany. Wreszcie — mówią »młodzi« — biskupi obecni, rekrutujący się wyłącznie ze stanu zakonnego, reprezentują też tylko ten stan, potrzeb kleru świeckiego nie rozumieją; lud ich nie zna i zaufania do nich nie ma. Jeśli przyszły Sobór będzie z nich tylko się składał, to obawiać się należy, że jego uchwały mogą się spotkać z gwałtowną opozycyą reszty Cerkwi i wywołać nowy w niej rozłam.

Ze zdaniem pośredniem wystąpił Sergiusz, prawosławny arcybiskup Finlandyi. Uwzględniając po części żądania »młodych«, radzi on dopuścić na przyszły Sobór przedstawicieli od niższego kleru i stanu świeckiego, lecz w razie, jeżeli przeciwko jakiejś uchwale oświadczy się pewna liczba, dajmy na to czwarta część uczestników, wtedy mają

wydać ostateczną decyzyę sami biskupi. W rzeczach wiary dosyć nawet jednego »nie pozwalam«, by całą kwestyę od ogólnego Soboru przekazać do decyzyi biskupiego kollegium. Łatwo się domyśleć, że ten dowcipny projekt, upodabniający Sobór cerkiewny do polskiego niegdyś sejmu, nie mógł zadowolnić zwolenników demokratyzacyi Cerkwi. Posypały się znowu zarzuty i kontrprojekty od powołanych i niepowołanych. Jedni ganili rozróżnienie między głosem decydującym a doradczym, jakoby nieznane w starożytności; innym nie podoba się sposób decydowania większością głosów i żądają dla każdej uchwały jednomyślności, oczekując jej od ogólnego zapału i natchnienia Ducha św.[1]; ktoś wreszcie wyraził przekonanie, że na Soborze należy przyjąć zdanie nie tego lub owego stanu w kościele, ale zdanie ludzi świętych, bo tylko świętość jest probierzem chrześcijańskiej prawdy[2]. Dowodem tego ma być Marek Efezki, przeciwnik Soboru Florenckiego. Słowem, powstała istna wieża Babel w poglądach na kwestyę uczestnictwa na Soborze.

Taka sama różnica zdań zapanowała i wśród członków przedsoborowej komisyi. »Młodsi« i tutaj chcieli przeforsować swoje żądania. N. Aksaków, spadkobierca nazwiska i idei znanych słowianofilów, i jakoby przysięgły kanonista i historyk petersburskiej grupy świeckiego kleru, gwałtownie i radykalnie występował za dopuszczeniem wszystkich stanów na Sobór z głosem decydującym. Dzielnego jednak przeciwnika znalazł w profesorze prawa kanonicznego, N. Suworowie, znanym z wielu gruntownych prac z dziedziny prawa i historyi. Prof. Suworow, na podstawie historyi soborów powszechnych, udowodnił, że obecność nie-biskupów na Soborach ograniczała się do *minimum* i tacy członkowie nie mieli głosu decydującego. Na argument, wzięty ze św. Pawła, że Kościół to Ciało Chrystusowe, odpowiedział: tak, ale i w ciele, chociaż wszystkie członki są potrzebne, nie wszystkie jednak są siedliskiem kierującej woli. Zwrócił również uwagę, że »młodzi«, chętnie posługujący się niektórymi tekstami Pisma, milczą o innych ustępach, które wprost sprzeciwiają się pojęciu, jakie sobie wyrobili o Kościele. Profesor egzegezy Głubokowski obalił nawet argument młodych brany z Soborów jerozolimskich. Wreszcie zapasy te zakończyły się uchwałą sekcyi, która większością głosów uznała wprawdzie za rzecz konieczną powołać na Sobór nie tylko wszystkich biskupów

[1] *Cerk. Gołos,* Nr. 15, artykuł wstępny.
[2] Tamże, Nr. 13—14, str. 394.

ale i przedstawicieli niższego kleru i stanu świeckiego, ostatnim jednak dwom kategoryom przyznała tylko głos doradczy. Wobec takiej decyzyi, wśród liberalnej partyi młodych słychać głosy rozczarowania i niechęci. Niejaki Bielawski w Nr. 38 *Strany*, widzi w zapadłej decyzyi »bardzo groźne znamię czasu — smutny symptom zupełnego zaniku w naszych duchownych sferach uczucia prawdziwie kościelnego«.

Niechęć prasy cerkiewno-postępowej do przedsoborowej Komisyi, wzmogła się jeszcze bardziej z powodu decyzyi o sposobie wyborów delegatów nie-biskupów na Sobór. Postanowiono pozwolić każdej dyecezyi wybrać 4-ech członków Soboru, mianowicie przedstawicieli: kleru świeckiego i zakonnego, stanu świeckiego i nauki teologicznej. Obawiając się jednak »prezbyteryańskich« tendencyi owych delegatów, I Sekcya Komisyi, na wniosek swego prezydenta-biskupa, zaledwie większością 1 głosu, orzekła konieczność zatwierdzenia delegatów przez miejscowego biskupa. »Starzy«, jak dotąd, górą! Ale i »młodzi« odgrażają się. *Cerkownyj Wiestnik* (Nr. 20, str. 640) pisze: »Jedna rzecz jest pewna, że Cerkiew rosyjska nie uzna Soboru, który będzie tworem absolutyzmu biskupiego«. A zatem Sobór ma się zmierzyć z »rosyjską Cerkwią«, reprezentowaną przez niższy kler i świeckich.

Dymisya gabinetu hr. Witte pociągnęła za sobą i dymisyę oberprokuratora Synodu księcia Oboleńskiego, zwolennika reform cerkiewnych. Następcą jego został ks. Szyryński-Szichmatow, niegdyś pomocnik Pobiedonoscewa. Ta zmiana spodobała się reakcyjnej części duchowieństwa: odezwały się w prasie głosy, że nowy dygnitarz rozpędzi przedsoborowe komisye i wszystko pozostanie po staremu. Liberalny odłam kleru również nie jest wolnym od obaw z tej strony [1]. W każdym razie pociesza się myślą, że świadomość potrzeby reform kościelnych jest tak głęboko i powszechnie zakorzenioną, że na reakcyjne próby już zapóźno. *On fait bonne mine à mauvais jeu.*

Z tego wszystkiego możemy wnioskować o usposobieniu umysłów względem przyszłego Soboru. Do rządzącej cerkiewnej hierarchii mało kto ma zaufanie i mało kto wierzy w jej autorytet prawodawczy i nauczycielski. Doprowadziła do tego z jednej strony służalczość dotychczasowej niepopularnej hierarchii względem państwa, a z drugiej strony bałamutna teologia słowianofilska o Kościele. Biskupi i poważniejsza nauka usiłują zatrzymać staczającą się po cho-

[1] Zob. *Cerk. Gołos*, Nr. 18, artykuł wstępny.

miakowskiej [1] pochyłości myśl i życie kościelne; lecz czy im się to powiedzie, to inna rzecz. Nie wykluczoną jest obawa, że Sobór, zamiast wzmocnić organizacyę cerkiewną, wstrząśnie nią tylko, od czego jeszcze bardziej zarysują się ściany zwietrzałego gmachu.

Organa cerkiewne poczęły w ostatnich czasach żywo dyskutować nad kwestyą powtórnego małżeństwa kapłanów. Wiadomo, że Cerkiew rosyjska nie udziela święceń kapłańskich księżom świeckim pierwej aż zawrą małżeństwo. Za to po śmierci pierwszej żony nie wolno kapłanowi wstępować w powtórne związki. Różnica więc między praktyką wschodnią a prawem Kościoła katolickiego w danym razie polega na tem, że Kościół dyzunicki od kandydatów kapłaństwa wymaga z reguły małżeńskiego stanu, co Kościół katolicki tylko dopuszcza we wschodnich obrządkach. Natomiast co do niedopuszczalności powtórnych związków kleru oba Kościoły się zgadzają, tylko że Kościół wschodni dopuszcza sekularyzacyę księży wdowców i wtedy pozwala im na powtórne małżeństwo.

Przeciwko już tak złagodzonemu prawu występuje liberalna partya duchowieństwa, popierana w tem przez niektórych świeckich pisarzy. Żądają ogólnego zezwolenia na powtórne małżeństwo duchownych. *Cerkownyj Wiestnik* w Nr. 7 bieżącego roku umieścił dwa listy pisane w tej sprawie, jeden przez popa, drugi przez popadyę. On w żywych kolorach maluje nieszczęście duchownego, który stracił małżonkę. Drobne dzieci pozostają bez opieki i nauki. Przytem — pisze ów duchowny — »żyć po zakonnemu ja nie mogę, doświadczywszy życia rodzinnego... Przychodzę do przekonania, że wdowcom koniecznie winno się pozwolić zawierać powtórne związki. Oto, co mi jest znanem z życia wdowców w sąsiednich parafiach. Znam jednego kapłana, który z tęsknoty po utracie żony udusił się, inny się zarznął; innego znaleziono na grobie żony, gdy rozkopywał grób... W dekanacie naszym... na 16 kapłanów, połowa wdowców, a wszyscy oni zapewne doświadczyli tego, czegom i ja doświadczył... i t. d.«. Ona jednak, ukrywszy się pod imieniem »grzesznej służebnicy Elżbiety«, zaklina biskupów na wszystkie świętości, aby wdowcom-kapłanom nie pozwalano żenić się powtórnie, gdyż nie będzie miłości w takich małżeństwach,

[1] Chomiaków, głowa i teolog słowianofilów, we własnem i uczniów swoich mniemaniu, wynalazca »prawdziwie prawosławnego określenia« Kościoła.

a i dzieci po pierwszej żonie tylko cierpieć będą od swoich macoch... Takie głosy umieszczał organ petersburskiej akademii duchownej.

Bardziej zasadniczo z punktu prawa kanonicznego wystąpił arcybiskup finlandzki Sergiusz, dowodząc w czasopiśmie *Kołokoł*, że sprawy tej, jako należącej do ogólno-kościelnej karności, Sobór prowincyonalny nie ma prawa decydować, ani zmieniać istniejącej praktyki; do tego potrzeba soboru powszechnego. Zaznaczył nawet, że chociażby przyszły Sobór rosyjski zarządził w tej mierze jakiekolwiek zwolnienia, to on, arcybiskup, nie poddałby się jego decyzyi, wychodzącej poza ramy kompetencyi soboru narodowego.

Z Sergiuszem polemizuje w N. 434 *Słowa* inny biskup, przykrywający się inicyałem (А-нъ). Przypomina swemu antagoniście, że jeśli hierarchii chodzi o ścisłe zachowanie kanonów kościelnych, to powinni reformę zacząć przedewszystkiem od samych siebie. Kanony zabraniają mnichom przyjmować biskupie godności, a tymczasem wszyscy biskupi rosyjscy właśnie brani są z kleru zakonnego. Kanony mnichom nakazują milczenie, ubóstwo, i t. p., a tymczasem biskupi-zakonnicy wręcz przeciwnie postępują. Wreszcie zwraca uwagę Sergiusza na to, że »niezależne wschodnie kościoły zmieniają kanony powszechne, stosownie do nowych warunków życia, nie szukając dla zmian sankcyi Soborów powszechnych..., nasz Synod w praktyce uchylił wiele kanonów, ustanowionych nie tylko przez powszechne i partykularne Sobory, lecz nawet przez samego Jezusa Chrystusa i jego apostołów« [1].

Kwestya małżeństwa księży w istocie wymaga reformy, ale nie takiej, o jaką wołają postępowi duchowni rosyjscy. Wszakże, jak czytelnik mógł osądzić z przytoczonych ustępów, Cerkiew rosyjska nie zdobędzie się na reformę w duchu katolickiej praktyki celibatu, za czem ani jeden głos dotąd się nie oświadczył. Żądania prą w inną stronę. Biskupom, jako mnichom, po prostu niektórzy zaprzeczają kompetencyi w całej tej sprawie. Z drugiej znowu strony słychać ustawiczne narzekania na to, że zwierzchnicy dyecezyi wybierani są wyłącznie z pomiędzy zakonnego kleru. Jeśli więc doszłoby do tego, że kapłanom pozwolonoby wstępować w powtórne małżeństwa, a przytem odsunięto zakonników od godności biskupiej, trzebaby było konsekwentnie do-

[1] Cytuję według *Cerk. Gołos*, Nr. 16, str. 495. Podkreślenie ode mnie pochodzi. *Autor.*

puścić małżeństwo nawet w stanie biskupim, jak jest u pseudo-biskupów anglikańskich. A tyle się mówi o konserwatyźmie i niezmienności praktyk i dyscypliny w Cerkwi wschodniej!

Jątrzącą się wiecznie ranę na organiźmie cerkiewnym stanowią rozmaitego rodzaju dyssydenci, jako to staroobriadcy, sztundyści i inni. Cerkiew urzędowa stworzyła dla ich nawracania instytucyę specyalnych misyonarzy dyecezyalnych, lecz długoletnia ich działalność, popierana przez policyę i sądy, pozostała prawie bezowocną. Cały dotychczasowy system stosunków względem dyssydentów poddano niemiłosiernej krytyce na łamach pism cerkiewnych. *Cerkownyj Gołos*, podsumowawszy te rezultaty dotychczasowej misyi, wyraża życzenie [1], aby znikła zupełnie z oblicza ziemi sama nawet nazwa missyi, misyonarzy i bractw misyjnych, a sekciarzy, aby pociągało do Cerkwi duchowieństwo parafialne, przedewszystkiem przez zreformowanie własnego życia i nauczania. Ale do tego »potrzeba będzie powtórnie się narodzić«, zauważa tenże organ.

Do dawnych trosk o całość owczarni, przybyły nowe po tolerancyjnym kwietniowym ukazie. Masowe oświadczenia o katolickich przekonaniach »nawróconych« niegdyś do prawosławia Unitów, wywołały niemały popłoch wśród duchowieństwa cerkiewnego. Rozwinięto więc na szeroką skalę akcyę w celu zatamowania »propagandy katolickiej«. Za najskuteczniejszy środek zwalczania tejże »propagandy« uznano popularne broszury i pisma ulotne. Próbowano tego środka i dawniej, lecz obecnie ruch na tem polu wzmógł się znacznie. Przedewszystkiem Kamieniec, Poczajów, Wilno, Chełm dostarczają ludowi w obfitości tego rodzaju literatury. W Kamieńcu, jak donosi *Cerk. Wiestnik*, Nr. 16, str. 512, komitet misyonarski porozsyłał po parafiach całemi setkami rozmaite antykatolickie broszury, każąc sobie za nie zapłacić z parafialnych dochodów. Ocenę tych broszur dały *Kijewskije Otkliki* Nr. 330 roku ubiegłego, pisząc: »Łatwo zrozumieć, co kierowało piórem autorów broszur. Nie religijna gorliwość, ale uczucie czynownika, któremu się zdaje, że zachwiało się pod nim wygodne i wysiedzone miejsce. Aby je zatrzymać, wolno użyć wszelkich środków: i krzyków o rzekomym niebezpieczeństwie i potwarzy, zwłaszcza wtedy łatwej, kiedy przeciwnikowi zamknięto usta, i rozsiewania niezgody i nienawiści«. Pocieszają się *Otkliki* tylko tem, że

[1] *Cerk. Gołos*, Nr. 12, str. 368.

Z AUDYENCYI U PIUSA X

W SPRAWIE JEGO LISTU DO POLSKI [1].

List publiczny.

Z powodu pojawienia się w prasie błędnych tłumaczeń listu papieskiego do biskupów polskich pod zaborem rosyjskim, polecił mi najłaskawiej Ojciec św. publicznie ogłosić tekst zaaprobowany, wyjaśniający rzeczywiste myśli i zamiary Stolicy świętej, jak mi je sam na osobnej audyencyi dnia 27 grudnia 1905 r. najmiłościwiej wyłuszczyć raczył.

Posłannictwo moje do wszystkich was, coście dobrej wiary, nie jest niczem więcej, jak tylko rolą tego, który list polecony pod waszym adresem ma wam przekazać.

Nie wystąpię wszakże poza ramy mojego zadania, owszem utrafię, sądzę, w ducha myśli mi zaleconej, jeśli tekst cenny podam w oprawie całej audyencyi, jej wrażeń, jakoteż tych uwag, które tu na miejscu wyrosły.

---

[1] Zwracamy uwagę, że w toku niniejszego listu umieszczona jest odmiennym drukiem urzędowa deklaracya Watykanu w sprawie encykliki Ojca św. do Polski — zwracamy nadto uwagę, że sam ten list zawiera ważne szczegóły, wiążące się bezpośrednio z tą deklaracyą.

Dostojnemu Autorowi wyrażamy w tem miejscu gorącą podziękę tak za trud podjęty celem uzyskania tej deklaracyi, jak za wielką łaskawość, jaką niniejszem nasze pismo zaszczyca.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Za środek przekazania papieskich myśli obieram prasę, więc rozsyłam mniej więcej równocześnie tekst niniejszy do poważniejszych dzienników, drukuję go też osobno.

* * *

Komu raz dane było zetknąć się z Piusem X, kto dotknął pokroju Jego myśli i serca, kto poznał raz, jak szczególniej wybrane u niego miejsce ma Polska, ten po pierwszem wrażeniu listu pasterskiego do Polaków musiał sobie natychmiast powiedzieć: »Jeśliby mi nawet wszystkie szczególiki nie były jasne — to jednak wiem — jakie serce dyktowało słowa, to ufam i wierzę, że powróciwszy do tego, który list napisał, znajdę u niego komentarz, co rozwionie wszelakie obawy, nawet jeśliby jakie zakraść się zdołały...

Przybywszy do Rzymu tuż w wigilię, w dniu św. Jana, ucznia miłości, otrzymałem audyencyę u Ojca św.

Szedłem na nią z bijącem sercem, ale z ufnością silną.

Przypadłem do nóg Ojcu św.

Ojciec św. z wielką łaskawością, dozwalając mówić wszystko, począł wyłuszczać swe myśli, poglądy i zamiary.

I odrazu przeniesiony się czułem w jakiś świat wyższy, a taki inny.

Nigdym nie zrozumiał, jak tej chwili, słów, które ongi Pius X wyrzekł był o sobie: »Byłem dotąd proboszczem mej dyecezyi, od dziś staję się proboszczem całego świata«.

Czegóżem to ja przyszedł na tem posłuchaniu szukać? Politycznych motywów w napisaniu Encykliki? Tonów i aluzyi do tej czy owej partyi? Przygrywek owiniętych w dyplomatyczną notę, która szkicując myśl nadpoczyna, a resztę każe dośpiewać w duszy słuchacza czy czytelnika?

Jeślibym tego przyszedł był szukać, wówczas te niesłychanie proste, tak z duszy głęboko wyjęte słowa, z takiem wylaniem, wynurzające się o powodach napisania Encykliki — byłyby mi echem zagrały: »Omyliłeś się», tu znajdujesz tylko serce pasterskie, wielkie, tkliwe a proste, którego nie poruszają ukryte myśli dyplomatyczne, ale tylko chrześcijańska miłość, co w rzeszy na-

rodów — widzi gromadę swych dzieci, odczuwa grożące im niebezpieczeństwo, a jeśli się ozwie, to po to jeno, by drogę i kierunek pośród ścieżek krętych ukazać.

Doprawdy! czyżby myśl dyplomatyczna pozwoliła była tak się Ojcu św. odezwać o Polsce, jak On się odezwał? Czyżby dopuściła, by z niekrępującą się niczem swobodą, nie oglądając się na nikogo, mówił o Polsce, jako o całym narodzie w oczach Europy — przypominając jej właśnie tej chwili, krytycznej po stuleciu niewoli, iż wszystkie dzielenia nie zmniejszyły mu narodu, ani obcięły; iż, jak przed 100 laty z wyżyn Piotrowych wyszedł głos protestu przeciwko podziałom, tak dzisiaj idzie głos, co wbrew wszystkiemu, w nowokształtujących się stosunkach, w chórze narodów — publicznie proklamuje dla Polski miejsce.

Czyż — pytam dalej — dyplomacya tak łatwo przepuściłaby zaręczeniom Ojca św., iż będzie On orędownikiem jej przed cesarzem Rosyi? Czyż nie przyciełaby i nie przygasiła tonu, jaki wieje z Jego wyrażeń gorących o Polsce i tych wszystkich słów, które jedno wytłumaczyć może — nastrój ojcowskiego serca, nie opanowanego przez żaden wzgląd i przez żadną inną myśl, jak tylko przez wzgląd i myśli, dyktowane miłością i zapoczątkowane przez nią.

Ale trzeba było na nowo dotknąć się tego serca, by tę prawdę mieć stwierdzoną — nie już przez rozumowanie, ale przez odczucie, przez plastyczne jakieś, wprost idące z duszy do duszy, udzielenie się jej.

Lecz i cała forma, całe ujęcie i osnowa, punkt wyjścia, jak i przewodni ton listu, dopiero wtedy należycie mogą być zrozumiane i ocenione, kiedy się w pełni oceni i zrozumie ów nastrój pasterskiej duszy, kładącej na list cały swe piętno.

Przychodzi się i zabiera się do czytania Encykliki z myślą pytającą: A kto też Ojca św. do napisania tego listu namówił? Pod czyim wpływem był, gdy go pisał? jakie to druty były naciągnięte może między Warszawą a Rzymem? a może nawet jeszcze między Północą i Zachodem?... Słowem, sądząc podług osobistych wrażliwości i drażliwości czy uprzedzeń, chciałoby się odkryć też jakąś zewnętrzną przyczynę, jakąś wypadkową kom-

binacyi politycznej czy dyplomatycznej. A tu tymczasem otwiera się na oścież serce o wręcz przeciwnym kierunku, aniżeli ten, któryby spływał z obecnych wyobrażeń; bo serce o nastroju pasterza.

Nie poruszają go te czy owe względy przypadkowe, zewnętrzne; ale za to wzruszy się ono cierpieniem, niedolą, rosnącem i panoszącem się złem. A wtedy nie da się niczemu zatrzymać, ażeby przemówić; i właśnie w chwili, kiedy obmyślający rozum dyplomaty kazałby kryzys przeczekać, a słowo zachować aż na czas dojrzalszych stosunków, serce pasterza nie zna rachuby i wobec grożącego zła wysyła swe słowo, jużto by ostrzedz, jużto poprowadzić.

I śle pasterz z wysoka w Encyklice swojej coś, w rodzaju homilii pasterskiej, chrześcijańskiej odezwy.

Jakżeż mi to jasno stanęło w duszy, kiedym się wsłuchiwał w słowa Ojca św.

Nie godzi mi się ich wszystkich przytaczać. Ale wolno i potrzeba schwycić ducha, który je owiewał, a ten pozwala swobodnie dotknąć, dopowiedzieć i dośpiewać.

Widział Ojciec chrześcijaństwa zło wielkie, jakie na Wschodzie się panoszyło, gdyż widział, iż ruch rewolucyjny zpstał ujęty w ręce przez żywioły wywrotowe, — przez socyalizm i anarchię. Widział i bolał nad tem, bo czuł i rozumiał, że zwycięstwo takiej rewolucyi oddziała szkodliwie na chrześcijaństwo nie tylko w Rosyi ale w Europie, wprowadzając terroryzm i niewolę, przechodzącą w swych okropnościach wszelaką inną. Z natury rzeczy oglądał się za jakąś siłą, którąby przeciwstawić tej sile; tu już bowiem nie chodziło o ten czy ów rząd, ale wogóle o podwaliny ustroju i ładu. I oto obaczył miliony katolików, a wśród nich potężny czynnik, mogący stanąć do walki, a w każdym razie zdolny do sformowania obozu obok przeciwnego obozu — to Polacy. W ich tradycyach przeszłości, w cemencie, jaki ma katolicyzm w zjednoczonym duchu narodowym, w ich wyrobieniu — widzi Ojciec św. węgiel kamienny pod budowę wielkiej, przyszłej organizacyi katolickiej.

I oto odzywa się do nich, odzywa się tem ufniej i tem pou-

falej, o ile już zetknął się był z nami i duchowo zespolił. Odzywa się do nich, ale w oczach jego staje cały obraz nędzy dzisiejszej, niebezpieczeństw dla katolicyzmu na dziś, jak i nadziei na jutro.

Bierze wprawdzie Ojciec św. asumpt z dzisiejszych stosunków i warunków, ale program, jaki kreśli tkwiący w organizacyi katolickiej, w zespoleniu ludzi dobrej woli, w działaniu opartem o sprawiedliwość i miłość, w akcyi mającej na celu nieść materyalną i moralną pomoc ludowi, w wychowaniu młodzieży i kleru, w synodach i t. d., ten sięga daleko poza dzisiejszą chwilę.

I jakże tutaj odczucie pasterskiego serca schodzi się razem z aktualnością obecnej doby, jak papież uprzedza wypadki, jak odrazu się oryentuje w tem, że Kościół złączony z narodowością dotąd przez samo cierpienie, odtąd musi sobie wywalczyć i wyrobić połączenie się z myślą narodu i ideą narodową, przez wielki pozytywny program, który niema się dopiero dobywać z kataklizmów, programów, rozczarowań i zawodów, ale raczej uprzedziwszy wszystko, ma też pochwycić i opanować wszystko.

Oto potężna myśl chrześcijańska, idąca z intuicyi pasterskiego serca, zdjęta wprost i bezpośrednio ze stanu obecnego rzeczy.

Wobec tego zaś, iż dzisiaj jest tylko dla niej środowiskiem dla uczepienia kotwicy, znikają zupełnie wszystkie osobiste względy na tę, czy na ową partyę polityczną, względziki na poparcie tej czy owej osobistości. Takiej myśli wolno bezpiecznie nawet do pewnego stopnia nie znać takiego czy owego zgrupowania się stronnictw lub stosunków politycznych, ona zna tylko i mierzy ogólne kontury, dzielące ludzi społecznego ładu od ludzi przewrotu.

Jeśli zaś to, co osobiste, dla niej nie istnieje, to za to wszystko złe czy wszystko dobre, co z wielkim programem stoi w łączności, każe jej rozszerzyć istniejące granice i pozwala jej na to, by mówiąc do jednej narodowości, objęła potrzeby i stosunki także i dalsze...

Ale... czy tamci dalsi, do których wprost przemówić trudno, zrozumieją słowa Ojca św. przynajmniej o tyle, żepojętym będzie żywioł katolicki tak, jak na to zasługuje i jak tego własna potrzeba

rządzących dzisiaj tam się domaga? Czy nareszcie przejrzą ci, do których to należy, iż z katolicyzmu, zwłaszcza gdy jego posiew padnie na grunt o pierwotnej jeszcze świeżości i sile, wytryśnie może życie, które nie zalewa i niszczy, ale użyźnia, podnosi i od zagłady ratuje?

Należy się spodziewać, że tak.

A wtedy słowa Piusa X byłyby koroną wiekowych, miłosnych a tęsknych myśli papiestwa, ku Wschodowi zwracanych.

Podczas kiedy tamte uderzały bardziej w stronę religijną, słowa Piusa pociągają ku katolicyzmowi przez czynnik społeczny i organizacyjny, jaki w nim tkwi.

Lecz może to sen i ułuda?

Lecz czemużby sercu nie wolno z nadzieją pomyśleć: a może, może nie sam tylko puch urojenia, jeśli zaś nie ułuda — to wtedy Polsce katolickiej przypada wielka misya apostolstwa. Już ją przeczuwał Mickiewicz, który nie poprzestawał na tem, ażeby tylko swej ojczyźnie uciśnionej przypominać cierpiącego Chrystusa: szedł dalej i dobył ze swej duszy najwyższy akord chrześcijańskiego tonu; naznacza Polsce, cierpieniem podniesionej i oczyszczonej, misyę apostolstwa, prawdy i miłości dla narodów innych, a przedewszystkiem dla tych, co ją bezpośrednio otaczają i najbardziej tej misyi potrzebują.

Miałażby ta myśl wieszcza, która się wydawać mogła nawet w tak gorących czasach szczytnym obłędem, dziś przybrać konkretną formę i przyoblec się w kształty rzeczywiste i to dziś w czasie zimnej rachuby i krytycyzmu?

Czyżby — pytam dalej — intuicya wieszcza zeszła się w drogach z intuicyą praktycznego pasterskiego serca?

* * *

Tak to słowa papieża niepolitycznego — jednak stałyby się najsilniejszym i najgłębszym programem politycznym, który tem silniej wrzyna się w organizmy społeczeństw i narodów — im mniej się wspiera na zmiennej rzeczywistości i zdawkowej rachubie, a im głębiej korzenie swe utwierdza w zasadzie, którą

za motto swych rządów wziął papież Pius X: *Instaurare omnia in Christo.*

* * *

II

Tekst autentyczny komentarza.

»Jakkolwiek w swej encyklice wprost i bezpośrednio »przemawia Ojciec św. do Polaków, niemniej jednak miał »on na oku stosunki panujące obecnie na terytoryum wszyst»kich katolickich dyecezyi Rosyi, owszem być nie mogło, »aby równocześnie nie zwrócił uwagi na położenie ogólne »całego imperyum i nie potrącił o wypadki, wśród których »społeczny i polityczny porządek całkowitem grozi rozbi»ciem. Podobnie i św. Paweł Apostoł, przemawiając w swych »listach do poszczególnych gmin i kościołów chrześcijań»skich, dotyka niejednokrotnie różnorodnych objawów zła, »wśród których te gminy i kościoły żyją, chociaż mu same »nie podlegają.

* * *

»Ponieważ Polacy, rosyjskiemu berłu podlegli, niejedno»krotnie czynem stwierdzili, że z rewolucyą łączyć się nie »chcą, że umieją się bronić przed najgorszymi jej podszeptami, »a dążą jedynie do odzyskania obywatelskich swych praw, »ponieważ skutkiem tego w obecnem położeniu politycznem, »gdzie wszystko dokoła nich zdaje się zapadać, mogą oni »stać się podporą porządku i ładu — pragnął Ojciec św. nie»któremi wskazówkami i przestrogami na przyszłość więcej »ich jeszcze umocnić; pragnął zachęcić, aby rosnąc w cnoty »społeczne stali się przykładem i oparciem dla drugich; żywi »też nadzieję, że jak już niegdyś oni jedni obronili swemi »piersiami chrześcijańską cywilizacyę Europy na kresach

»wschodnich, tak i dziś będą znów tarczą i ochroną za»grożonego porządku społecznego.

»To, co w liście papieskim nie da się odnieść wprost »do Polaków, zmierza drogą uboczną do tych, do których »Ojciec św. wprost przemówić nie może, wskazując im źródła »klęsk i jedyne środki ratunku.

»Kto sobie raz zdał sprawę z tej ogólnej intencyi pa»pieża, która góruje nad całym jego listem, ten bez trudności »zrozumie, jak należy, wszystkie szczegółowe ustępy papie»skiego pisma i nie będzie potrzebował wyjaśnień, że wzmianka »np. o rzeziach Żydów nie do Polski odniesioną być winna.

»Nie ulega też kwestyi, że do owej szerszej i ogólniejszej »intencyi odnieść należy ustęp, w którym katolikom wogóle »przypomina papież ogólno-katolickie zasady o podstawach »porządku społecznego i uległości dla władzy, o ile ta wła»dza w interesie społecznego porządku działa zgodnie z pra»wem boskiem i ludzkiem. Zasady te są w stanie zagrożo»nemu społeczeństwu doniosłe oddać usługi, tam zwłaszcza, »gdzie masy ludowe, najgorszą podniecane agitacyą, grożą »powszechną anarchią i gdzie już chodzi o ratunek najbar»dziej elementarnych podstaw społecznych.

»Żeby dotknąć paru innych jeszcze ustępów listu pa»pieskiego, tu i owdzie błędnie zrozumianych, a dotychcza»sowemi uwagami nieobjętych, zauważyć należy: pod nazwą »radykalizmu narodowego« nie rozumiał Ojciec św. partyj, »które przeciw Kościołowi i jego nauce wrogo nie występują, »lecz te jedynie, które, kupcząc patryotyzmem, walkę swą »przeciw prawu Bożemu osłaniają narodowemi hasłami.

»Mówiąc o strejkach, nie chciał papież rozstrzygać »kwestyi teoretycznej, ale miał na myśli kwestyę faktu. »Chodziło mu mianowicie o strejki obecne, rosyjskie, jakie

»się tam ujawniają, a które w tej formie i mnogości są »dla wszystkich bez wyjątku szkodliwe i wyraził życzenie, »aby przez dobrą organizacyę, dążącą do polepszenia bytu »klas roboczych, strejki tego rodzaju zupełnie ile można usu»nięte zostały.

»Co do kwestyi szkolnej, było zamiarem papieża prze»strzedz młodzież przed zawieszaniem wykładów przede»wszystkiem na przyszłość, a to już ze względu na same »szkody tak prywatne jak i publiczne, które z tego rodzaju »walk wynikają. Z drugiej jednak strony, tym, do których »należy, przypomniał w poważnych i silnych słowach obo»wiązek walczenia wszelkimi legalnymi środkami o dobrą »szkołę na katolickiej zasadzie i tradycyach narodowych »opartą.

»Te i inne uwagi Ojca św. mają na celu dobro ogólne »sprawy katolickiej — nie mniej jednak i dobro Polski. Gdy »nam doradza spokój, przestrzega przed poddaniem się za»mętowi, nie co innego ma na oku, jeno to, aby Polsce »lepszy los przyspieszyć, aby dalsze klęski od niej odwró»cić, aby jej stworzyć stałe warunki pomyślnego rozwoju.

»Kiedy też zachęca do porządku i ładu, żadną miarą »wstrzymywać ani osłabiać chce strumienie życia naro»dowego i społecznego; owszem, wiedząc, że do przepro»wadzenia słusznych postulatów tak religijnych jak naro»dowych, wielkiej nieraz potrzeba energii i silnego zbioro»wego poparcia, sam nawołuje do łączności i organizacyi, »do walki skutecznej »o wiarę i ojczyznę«.

»Pragnie w końcu gorąco, aby z praw politycznych, »świeżo przyznanych, wykwitło bujnie tak religijne jak na»rodowe życie; owszem do przyszłej pracy wśród nowych

»warunków rzuca nowe wytyczne myśli i nowe odsłania »drogi społecznego i narodowego postępu, opartego o pod»stawę religii katolickiej«.

III

Pozostaje mi zająć się słowy papieża, które w oświadczeniu są zamknięte, więc już przetopione w formę ścisłych wyrażeń i określeń, więc też tylko to w sobie mieszczące, co się do ram publicznej enuncyacyi nadaje.

A przeszło, rzecby można, w tej deklaracyi przez najostrzejszy ślufierz, nie już każde zdanie, ale nie ledwo słowo każde.

Kardynał sekretarz stanu, który w ducha encykliki wniknął zupełnie, miał sam zlecone od papieża przejrzenie skryptu. Przejrzał go skrupulatnie, tak że pismo nosiło na sobie ślady jego wskazówek i ręki. Nie poprzestał wszakże na tem, oddał jeszcze skrypt nadto wtajemniczonemu w rzecz referentowi z uwagą, iż wobec tego, że jest to oficyalny dokument Watykanu, nie może tam nic być, coby treść encykliki nadwerężało.

I jeszcze raz odezwa wróciła do rąk jego, do ostatecznej redakcyi; z ogromną znajomością najdrobniejszych ustępów tekstu, sam tu i ówdzie doliczał słowa i określał zdania.

Bo już nie tylko o to chodziło, by streścić te same myśli, jakie Ojciec św. chciał wyrazić, lecz by w samym sposobie oddania było wierne odbicie ducha encykliki i w słowie i w tonie.

Z szczególniejszą wdzięcznością podnoszę zajęcie, jakie w tej mierze okazał kardynał sekretarz stanu: czynił to przedewszystkiem przez wzgląd na publiczny dokument, ale w sposobie całym przeprowadzenia znać było jego łaskawość i życzliwość dla nas.

Ojciec św., słuchając czytanej enuncyacyi, towarzyszył z natężoną uwagą każdemu zdaniu. Od chwili do chwili wołał: »tak tak, tak mówiłem: to to ja myślałem, jakżeżby mogło być inaczej«. A kiedy przyszło do odczytania końcowych ustępów, gdzie mowa o Polsce i jego miłości do niej, podniesionym głosem z rzewnością wtórował, w końcu dobitnie parękroć powtórzył: *omnia*

approbo, omnia approbo, »tobie zaś dziękuję, że mi dałeś sposobność prawdziwą moją intencyę objaśnić«.

* * *

Ażeby podnieść i podkreślić znaczenie komentarza dla nas, a szczególniej niektórych ustępów, poświęcam ich omówieniu jeszcze parę uwag końcowych.

W komentarzu tym, między innemi, na wstępie samym jest wypowiedziane zdanie, iż Polacy, berłu rosyjskiemu podlegli, czynem stwierdzili, że z rewolucyą łączyć się nie chcą, że umieją się bronić przed najgorszymi jej podszeptami, a dążą jedynie do odzyskania obywatelskich swych praw.

Słowa te zostają w ścisłym związku z duchem danej encykliki, o którym kilkakrotnie z wielkim naciskiem wyraził się był do mnie kardynał sekretarz stanu: »W tym liście niema wymówki żadnej, są tylko wskazówki«. W komentarzu znajduje się dopowiedzenie wyraźne, dlaczego z encykliki o ładzie społecznym wszelka wymówka Ojca św. wykluczoną była — oto właśnie dlatego, że Polacy wyszli z probierzu rewolucyi jako czynnik ładu.

W tych słowach pośrednio jest wypowiedziane publiczne uznanie dla Polski i w niem to właśnie tkwi szczególniejszy dowód zarówno łaskawości Ojca św. jak i nieoceniona wartość tych słów jego dla nas zwłaszcza w chwili obecnej.

W życiu bowiem narodów, to tak jak w życiu poszczególnego człowieka. Jeżeli komu zarzucają niesłusznie jaki postępek, wówczas człowiek ten staje się wrażliwym już nie tylko na otwartą przymówkę, ale choćby na jakiś akcent, ton słowa, które w jego wyobrażeniu zdaje się być piętnowaniem jego. To też w towarzystwie znajdując się obok takich ludzi, gdy nam się wyrwie czasem jakie słowo, choć bez myśli dotknięcia go, uczuwamy to zaraz, iż on to w lot bierze do siebie; i mnóstwem pochwał nie potrafimy mu odebrać wrażenia jakiegoś bólu. Ale też naodwrót: jeżeli kto skieruje w stronę tego człowieka słowa uznania, odnoszące się właśnie do tej najdrażliwszej struny jego duszy, to ten pozyskał jego serce, chociażby nawet poza tem o niejedno inne go karcił i strofował. To też Ojciec św. pozyskał sobie

dziś serca Polaków właśnie przez oddanie im uznania, skierowanego w tę strunę, która jest dla nich najdrażliwszą.

Od dłuższego czasu urabiają Polakom opinię rewolucyonistów. Pod panowaniem austryackiem stwierdzili oni jednak, zadokumentowali przed całym światem, że mają wszystkie warunki do stanowienia pierwiastku pewnego, rozumnego, umiejącego przez dojrzałość i wytrawność polityczną zapanować nad chwilowemi poruszeniami namiętności. Rzecz naturalna, że jak wszędzie tak i tutaj wyjątki są i będą: ale te, wobec całości organizmu społecznego, nie wchodzą w grę i rachubę. To jednak nie przeszkadzało nieżyczliwym, że mówili: prawda, pod berłem austryackiem Polacy są takimi, ale za to gdzieindziej — nie. To też tu było miejsce drażliwe dla Polski wobec opinii Europy, gdyż każdy przytyk zdawał się usprawiedliwiać potrzebę ostrzejszych środków postępowania. Obrady parlamentarne na Zachodzie mogłyby coś do tej poruszonej tu kwestyi światła dorzucić.

Ale nareszcie nadarza się dla Polaków sposobność, w której mogą Europie zadokumentować, że nie tylko w Galicyi są oni dojrzałym czynnikiem ładu. Wybucha rewolucya w Moskwie i siłą rozpędową szalejącą zalewa olbrzymi obszar. Probierzem dla Polski, jej wytrawności i dojrzałości politycznej, jest tu kwestya zasadnicza: czy dadzą się porwać wirowi, czy też nie dadzą; czy pójdą za podmuchem rozszalałego ognia, czy też nie pójdą.

I oto poszli ci tylko, którzy przynależą do organizacyi wywrotowych; ale nie poszedł sam naród, nie poszli przedstawiciele wszystkich partyi o różnych odcieniach politycznych; nie poszedł lud, który, ot, niedawno przez swoich delegatów, w imponującej zebranych liczbie 1500, oświadczył, że chce stać przy Kościele i przy tem, co Kościołowi i narodowi pomaga. Nie poszli nawet wszyscy robotnicy, boć właśnie publicznie żalą się partye wywrotowe, iż skutkiem organizacyi narodowej robotników nie udało im się zorganizować strejku w Warszawie. Jednem słowem, społeczeństwo polskie oparło się pokusie i wyszło z niej zwycięsko. Wyszło rzecby można całe: bo nożownicy warszawscy, bo żydzi zorganizowani w Bundzie, opłaconym podobno za zagraniczne

pieniądze, bo ludzie wyznający wywrotowe zasady — to nie społeczeństwo.

Stawiane były co prawda przez pewne partye polityczne postulaty autonomii, ale te postulaty na zgromadzeniach były uchwalane raczej jako *petita,* skierowane ku przyszłości z zaznaczeniem wyraźnem, że Polska nie myśli przez to odrywać się od Rosyi. Nie wchodzę w *meritum* tej sprawy i nie chcę sądu wydawać o taktyce, ale i w tej mierze przypomnieć tu można, że przecież jeden z konserwatywniejszych żywiołów społeczeństwa rosyjskiego t. j. Ziemcy, ogromną większością głosów te postulaty Polski zaakceptowali; znalazły więc one żywo echo u przyszłych przedstawicieli parlamentu. Nie wydaję tu sądu o taktyce, ale także stwierdzić można, że brak silniejszych akcentów w życiu publicznem, bodaj czy nie wydałby haseł przewodnich narodowych w ręce tych, o których się Ojciec św. w Encyklice swej wyraża, iż pod pokrywką patryotyzmu łamią prawo Boże.

Tak więc Polska i swemi rezolucyami i wstrzemięźliwością w swoich postulatach, a przedewszystkiem czynem samym, stwierdzonym przez fakty, że w wir rewolucyi wtrącić się nie dała, odniosła — raz jeszcze mówię — w opinii zwycięstwo, a w ogniu rewolucyi własnych sił ładu wypróbowała.

Zwycięstwo zaś to było tem większe i tem świetniejsze, o ile aż do tej chwili nie wolno było prawnie ani ludu ani robotnika w żadne stowarzyszenia organizować. A więc był on skazany na łaskę sprytnie zorganizowanej agitacyi.

Naród więc jako taki dowiódł i stwierdził rozum stanu i wytrawność polityczną. Jakże więc wiele dlań teraz znaczy, skoro Ojciec św. publicznie mu to przyznaje. Skoro raz mu to poczytanem zostaje, co jest sprawiedliwem i opartem na jego zasłudze, więc z wdzięcznością on przyjmie wszystkie wskazówki, w których będzie szukał dla siebie utwierdzenia i światła, poczuwszy, że z ojcowskiego i sprawiedliwego płyną serca.

Co do radykalizmu narodowego, to Ojciec św. w swej Encyklice nie miał zupełnie zamiaru określać i wskazywać istniejących partyi narodowych. Zapatrzony w łunę rewolucyi widział

on tam tylko jednych, prowadzących ją pod sztandarem internacyonalizmu, a innych z hasłami narodowemi na ustach.

I tym ostatnim poświęcił on miejsce w swej Encyklice, nie nazywając żadnych partyi i unikając tego starannie właśnie dlatego, że w założeniu jego Encyklika miała zawierać prawdy ogólnej, chrześcijańskiej nauki, ale unikać starannie wszelkich politycznych aluzyi.

W komentarzu mamy tę ideę Ojca św, jak najjaśniej określoną przez rozróżnienie tych, co pod osłoną patryotyzmu przeciw prawu Bożemu walczą, jak i tych, co sztandaru narodowego przeciw Kościołowi nie podnoszą.

Nawiasem można tu dodać, że Ojciec św. o samych partyach jest poinformowany. Jeszcze w maju odezwał się był do ks. Romana Sanguszki, bawiącego właśnie w Rzymie — za jego też zezwoleniem słowa podaję do publicznej wiadomości: »Wiem, że w Rosyi nie robią rewolucyi ani katolicy, ani nacyonaliści, tylko anarchiści i socyaliści«.

Co do szkół i wychowania Ojciec św. nie mógł w Encyklice swojej w dużym postawionym programie o tych nie wspominać; wierny wszakże przewodniej myśli listu, kładzie podwaliny pod przyszłość, uczepiając je tylko o obecną chwilę. To też już wręcz z duchem Encykliki niezgodne jest wszelakie tłumaczenie, które słowa papieża chce widzieć skierowane tylko ku przeszłości dla jej skarcenia i zestrofowania, a już najniezgodniejszem, co mogę osobno zaręczyć, jest podsuwanie Ojcu św. chęci bronienia poglądów prywatnych. Taka intencya byłaby w liście tonem fałszywym, zabłąkanym, obniżającym poziom całości, a pętającym i wikłającym w kwestye i kwestyjki list potężny wielkiej myśli, skierowanej w przyszłość. To też w deklaracyi powyżej przytoczonej, Ojciec św. podkreśla tendencyę swoją, odnosząc zdanie skierowane do młodzieży, przedewszystkiem ku przyszłości. I dopiero ta przyszłość może umożliwić plan stwarzania szkół katolickich i narodowych; obok zaś takiego programu, który Ojciec św. najsilniej podkreślił, dopiero znajduje się w Encyklice przestroga powyżej wzmiankowana.

A cóż dopiero mówić o tych, co się dopatrują w jego sło-

wach aprobaty rosyjskiej szkoły? Trzebaż im jeszcze osobno odpowiadać? Czyż przypomnienie o obowiązku tworzenia szkół katolickich o tradycyach narodowych, czyż najenergiczniejsze zachęty w tej mierze, nie mówią same za siebie, co też Ojciec św. sądzi o szkołach duchowi katolickiemu i narodowemu obcych?

Ostatnie jeszcze słowo poświęcę uwadze o artykułach pewnych berlińskich dzienników, pojawiających się raz po raz na ich szpaltach z okazyi wydanej przez Ojca św. Encykliki do Polaków. Nie myślę się tu wcale zniżać do dziennikarskiej polemiki, ale wobec tego, że artykuły te, choć różne w szczegółach, w tendencyi jednak zawsze takie same, zdradzają pewien system, nie mogę pominąć ich milczeniem. W artykułach tych czyni się aluzye, iż Ojciec św. wziął sobie do serca słowa monarsze, w publicznej wypowiedziane mowie, i że chce poskromić teraz ruch nacyonalistyczny. Nie wchodzę w *meritum* zupełnie informacyi, ale tyle tylko powiem, że znać ich tendencye. A niestety nie chybiły!

Bo trzeba było doprawdy oto tego wszystkiego, co tak niekorzystnie się złożyło, jak streszczenie tendencyjne encykliki przed jej ogłoszeniem, jak liche tłumaczenie polskie, gaszące najpiękniejsze ustępy, a nawet wprost sens zmieniające, jak ogólne podrażnienie umysłów, trzeba było, mówię, jakby na dobitek, aby jeszcze także głosy prasy budziły nieufność ku Stolicy św. i posłuch dawały podszeptom, że suggestya ku Watykanowi idzie z zewnątrz.

Nie już wobec dziennika tego czy tamtego, ale wobec ogółu nie zawadzi przypomnieć, że w encyklice wszystko inne raczej wynaleźćby można, tylko nie gotowość, by dać się użyć za narzędzie dla obcych celów, i że cała tendencya listu i ustępy komentarza niezbicie wykazują, że w Watykanie powiewa atmosfera wręcz przeciwna tej, jakąby dzienniki te obudzić tam chciały.

Może właśnie dlatego, że się to dobrze czuje i rozumie, tak głośno się wmawia to, o czem się wie, że nie jest, ale czegoby się pragnęło, by było. Mogę wam wszystkim zaręczyć tutaj osobiście najuroczyściej, a dotknąłem się tych rzeczy bardzo blizko, że na Watykan nie wpływała odnośnie do wydania tej encykliki żadna ambasada Zachodu czy Północy.

Ale pomijając me zaręczenie, jeśli kogo informacye te fałszywe zagranicznej prasy, głoszone emfatycznie, jako idące wprost z Watykanu, a nabierające cechy prawdopodobieństwa przez to, iż pomieszczane są w wielkim organie, na chwilę obałamucić mogły, temu wystarczy przeczytanie tekstu encykliki, jak i komentarza, by się poznał na jej wartości. Wszakżeż Ojciec św. bez względu na trzy zabory wyraża się o Polsce, jako narodzie. Takie określenie pociąga za sobą w konsekwencyi pewne prawa dla tej narodowości, by w danych warunkach, choć nie wyodrębniając się, dążyła jednak do indywidualnego swego rozwoju, odpowiadającego jej rdzennemu ustrojowi; a gdy mówi o prawach, które jej się należą, nie zapomina o bólach i cierpieniach, które są. Jakże śliczne — niestety w polskiem lichem tłumaczeniu tak bardzo osłabione są słowa Ojca św.:

Querelae vestrae iustae sunt, quibus nos et querelas nostras et lacrimas ex animo adiicimus.

Kiedy zaś Ojciec św. jeszcze w praktyce mówi np. o ustroju szkolnym, odpowiadającym katolickiej zasadzie i narodowym tradycyom, kiedy kładzie nacisk na tworzenie ich, kiedy wspomina, iż pewne postulaty religijne i narodowe potrzebują energii i walki do ich przeprowadzenia, to tem praktycznie stwierdza konsekwencye swoje zasadniczym punktem wyjścia. A jeśliby i tutaj jeszcze kto nie miał zupełnej jasności, to ten znajdzie w komentarzu tę samą prawdę, ale już tak zaznaczoną, że nic poza nią wsunąć nie może. Mianowicie w ustępie raz już wymienionym, gdzie to Ojciec św. rozróżnia pomiędzy prądem rewolucyjnym a autonomicznym, więcej segreguje i ustala te dwa pojęcia, całkiem różne, a niestety tak niesprawiedliwie i tak często identyfikowane.

Niektóre dzienniki berlińskie chciałyby wszystkich wezwać i użyć do walki z ruchem nacyonalistycznym polskim.

Lecz pytam: gdyby nawet istotnie coś było w tym ruchu niezdrowego, to gdzież przyczyny szukać? Odpowiedź na to daje nie już polska, ale niemiecka najpoważniejsza prasa.

Po ostatniem olbrzymiem zwycięstwie kandydata znanego polskiego, na Śląsku pruskim, w wyborach, pojawiły się artykuły

prasy, budzące do poważnych refleksyi sfery kompetentne wykazywaniem, że właśnie walka tylko potęguje wszelaki radykalizm. Kościół nie da się użyć nigdy za narzędzie już z tego samego względu, że zdaje sobie dobrze sprawę, iż ta taktyka tego rodzaju odtrąca najwierniejszy lud od Kościoła i rzuca go w objęcia socyalizmu. Gdyby się więc spełniły nawet życzenia prasy berlińskiej — co jest wykluczonem — to pytam: czyż cele, jakie sobie zakreślają, obróciłyby się im samym na korzyść?

Nie już moje słowa, ale poważna nauka wypadków, ale sama budząca się opinia niemiecka, mogłaby te dzienniki pouczyć, iż nie. Tymczasem pozwolę sobie u końca tych rozważań na jedną praktyczną uwagę dla nas.

W wypadku dopiero co przytoczonym zachowania się pewnego odłamu prasy mamy próbkę i ilustracyę tego, jakiemi drogami urabia się opinia o nas.

Zresztą w ciągu tego kilkumiesięcznego czasu miało się nieraz sposobność przekonać, jak najnieprawdopodobniejsze rzeczy raz po raz i systematycznie obiegały prasę zagraniczną. To raz czytało się o tem, jak biskup polski zostaje zamordowanym przez narodowców, to znowu innym razem, jak biskup petersburski, którego notabene niema obecnie, otrzymuje instrukcye od Ojca św.; jak w Warszawie gotuje się powstanie...

A któżby zliczył poszczególne wieści! Tymczasem my się tem kontentujemy, że są śmiesznie nieprawdziwe i czasem od niechcenia powiemy o tem w naszych polskich gazetach. A jednak nie pozostają one bez skutku: nie odpierane przez nikogo stwarzają psychozę zagranicą, wietrzącą w końcu wszędzie w całem społeczeństwie polskiem bombę i dynamit.

Cóż na to począć? Informować o sobie, informować jak najczęściej i jak najskrupulatniej: zbijać każdą błędną notatkę zagraniczną natychmiast. By zresztą zdołać to praktycznie przeprowadzić, potrzeba koniecznie, zwłaszcza dzisiaj — podkreślam to z naciskiem — założyć biuro informacyjne dla zagranicy, kontrolujące zagraniczną prasę i obsługujące ją prawdziwemi wiadomościami z Polski. Dla naszych społecznych i politycznych,

ale także dla naszych kościelnych stosunków, jest tego dziś bardzo i jeszcze raz bardzo potrzeba.

* * *

Powiedziałem na wstępie, iż podaję społeczeństwu polskiemu autentyczny komentarz Stolicy św. W końcu tych wszystkich rozważań mam wszelkie prawo dopowiedzieć: jest w tej drogocennej deklaracyi Ojca św. jednak jeszcze coś więcej, niźli sam komentarz. Jakkolwiek bowiem ze starych myśli nic się tu nie ujmuje, a z nowych niczego nie przydaje, to jednak wyłączenie Polski z pod ram ogólniejszych i szerszych encykliki i nacisk położony na pewne ustępy — stwarza w całej osnowie bardziej bezpośredni a subjektywnie biorąc nowy nastrój, jakoby idący z nowej kreacyi ducha.

Ja zaś, jak na wstępie tak u końca niniejszego mego pisma do Was, proszę Was wszystkich i zaklinam, usuńcie wszelakie uprzedzenia i niedowierzania. Te, po tem oświadczeniu, niczem więcej usprawiedliwićby się nie dały, a pożądaneby tylko były dla nieprzyjaciół naszych i z zewnątrz i z wewnątrz.

Ci pierwsi radziby usunąć z przed nas twierdzę moralnej i duchowej mocy i oparcia, jaką macie w papiestwie.

Ci ostatni, chcieliby, by nowe formujące się stosunki socyalne, ile być może, urabiały się poza Kościołem, na hasłach wywrotowych, Kościołowi wrogich.

Nie dajcie się uwieść, omamić ni jednym ni drugim.

Będąc rzecznikiem potrzeb Waszych, cierpień Waszych, stąd też i tytuł wziąłem dla siebie, by przed Ojcem św. poręczyć za Was, a biorę go teraz wobec Was, by przemówić do Was. I zaręczyłem Ojcu św., że ten szczególniejszy dowód łaski papieskiej w jego komentarzu danej, tak przyjętym zostanie, jak na to zasługuje.

Zaręczyłem, bo wiedziałem, że nie będę zawiedziony; że otworzycie serca Wasze na oścież, by powiew miłości i siły, co idzie ze słów Ojca chrześcijaństwa, skrzepił i podniósł, a węzły ścisłymi, na nowych drogach narodowych, Polskę z Rzymem na zawsze powiązał. *Arcybiskup Teodorowicz.*

Rzym, w Święto Trzech Króli 1906 r.

PROGRAM PAPIESKI DLA POLSKI ZAKORDONOWEJ.

Miłośny list Piusa X do Polski — bo trudno to poselstwo, dla górującej w nim nuty, innem słowem określić — wywołał w Polsce — — burzę niechęci. Rzecz w tem lakonicznem zestawieniu wydawałaby się niemożliwą, a jednak tak było. Najwierniejsi nie widzieli innego wyjścia, jak milczeć. Dzienniki, wyznające katolicyzm, po kilku zasromanych zwrotach uniewinnienia, zazwyczaj dość niezręcznych, kończyły apelem *ad Papam melius informandum;* inne dzienniki, bardziej dyskretne, wspomniawszy lekko »o najdostojniejszem miejscu, które nie podlega ocenie«, zamieściły tekst z uczuciem ulgi, że już do tej sprawy wracać nie trzeba. A cóż powiedzieć o pismach radykalniejszych i ich stronnikach? — ileż tam było podniecenia i ryzyka w wyciąganiu wniosków?

Rzeczy szły tym biegiem. W kilka dni przed pojawieniem się u nas listu papieskiego, rozesłało komunikat o nim biuro korespondencyjne.

Wogóle, najlepszy nawet komunikat, podający tylko szkielet myśli, nie może dać dokładnego pojęcia o okólnikach tego rodzaju. A zwłaszcza o takim okólniku, w który wchodziło tyle skierowań w różne strony, w którym trzeba było uwzględnić tak chaotycznie powikłane warunki, jakie przedstawia Rosya dzisiejsza i stosunek Polski do niej, a w którym równocześnie, przy całej komplikacyi omawianego przedmiotu, wystąpiły tak wybitnie indywidualne przymioty papieża, przez swój kontrast do po-

wikłanej kwestyi bardziej jeszcze różniczkujące indywidualność tego listu, przymioty takie, jak wielka prostota prawdy, nie oglądająca się zbytnio na dyplomatyczne wskazania, musząca się jednak, z natury rzeczy, do pewnego stopnia z niemi liczyć, a nadto wybitna uczuciowość, dobroć i miłość, zwłaszcza miłość dla narodu naszego, płynąca stąd, że naród nasz jest rdzennie katolickim i jako taki dał już i temu Papieżowi dowody swego przywiązania i nadto, że jest cierpiącym narodem, ciężkie przechodzącym koleje. Te wszystkie szczegóły znalazły w tym liście swoje odbicie, a co za tem płynie, dla rzetelnego zrozumienia swojego, zwłaszcza dla zrozumienia najgłówniejszej idei listu, wymagały czytania w całem swojem roztoczeniu, i to czytania uważnego, może nawet kilkakrotnego. Taki okólnik w streszczeniu telegraficznem nigdy nie może być dobrze zrozumianym, a cóż dopiero w tak nierzetelnem streszczeniu, jakim był komunikat biura. Nie mówimy już o tem, że zaniknęła cała strona uczuciowa, bo to w streszczeniu prawie nieuniknione, ale co było fatalne, to najpierw to, że pewne zwroty były dowolnie interpretowane, a stąd rażąco przekręcone, głównie zaś to, że tak przebieg myśli, jak i same myśli zasadnicze były ujęte nie ściśle, a stąd wypaczone. Stąd też komunikat ten sprawiał wrażenie, że idący list będzie czysto politycznym dokumentem, sporządzonym *ad usum delphini*, tem bardziej przykrym, że dla Polski, nie poczuwającej się do żadnej winy, zdawał się nie mieć niczego, prócz upomnień.

I rzecz dziwna ale prawdziwa, z której wielu po dziś dzień nie zdaje sobie sprawy — komunikat ten zdecydował o losach listu samego. Społeczeństwo, dotknięte ostrym tonem i nieuzasadnionymi zarzutami komunikatu, już właściwie listu papieskiego nie czytało. List jest tak ułożony, że domaga się pewnej refleksyi, głównie co do stosunku, jaki panuje między przebiegiem myśli list wypełniających a myślą jego zasadniczą — i wogóle, listy takie domagają się spokojnego i rozważnego czytania, gdy tymczasem atmosfera, w jaką list wszedł pod wpływem komunikatu, wrzała z podniecenia. Każdy, choćby nawet kilkakrotnie list czytał, przebiegał tylko słowa listu machinalnie, szukając za zwrotami i zdaniami, któreby odpowiadały drażniącym zwrotom ko-

munikatu; patrzył, czy jeszcze jakiejś nowej a przykrej niespodzianki nie znajdzie; tu i owdzie zastanowił się nad jakimś zwrotem przychylnym Polsce, ale już z tem niedowierzaniem, które pod wpływem rozdrażnienia kazało w takim zwrocie dopatrywać się nieszczerej dyplomacyi, a już co się działo przy ustępach, przypuszczających kilka znaczeń, powtarzać zbyteczne.

W tym stanie umysłów niektóre z pism próbowały obrony tego listu w ten sposób, że do ustępów, wywołujących rozdrażnienie, dawały swoje komentarze. Pewne z tych komentarzy przekonywały swoją racyonalnością i stąd rozdrażnienie częściowo łagodziły. Oczywiste jednak, że taka obrona negatywna, odpierająca tylko zarzuty, jest mało skuteczną. Jeżeli już ktoś chciał brać na siebie rolę obrońcy, to powinien był spróbować innej metody. Dawszy naprzykład taki czy inny komentarz co do podniecających ustępów, lub nawet całą tę sprawę puściwszy mimo, powinien był wskazać na doniosłą ideę, jaka w tym liście rzeczywiście się mieści i która wszystkie nieporozumienia opłaca sowicie. Ale do tego niezbędnem było, by ktoś dokładnie i ze spokojem list przeczytał, a takiego wybrańca losu w całej Polsce, o ile z głosów prasy sądzić można, nie było. Jesteśmy pewni, że jeszcze dziś wielu czytelników tego artykułu ze zdziwieniem pytać będzie, co zacz ta idea, a cóż dopiero w pierwszych dniach po wyjściu listu! Sprawa też poszła tą drogą, że radykalne pisma, zużywszy energię w kilkudniowych atakach, a nie znajdując podniety w silniejszej obronie pism przeciwnych, poczęły cichnąć; pisma nieradykalne, rade, że sprawa cichnie, wymijały troskliwie okazyę, któraby mogła na nowo niepokój wzbudzić: tymczasem cały list papieski, wraz z drogocennym zawartym w nim skarbem, z dniem każdym coraz bardziej opadał na dno zapomnienia.

Ogłaszając niniejsze uwagi, jesteśmy już w tem szczęśliwem położeniu, że poprzedza je autentyczny komentarz Watykanu, który stawia sobie za zadanie wykazać, że wszystkie zarzuty opierają się na nieporozumieniu, że nic mniej nie leżało w intencyi Papieża, jak przykre upomnienie w kierunku Polski lub jakieś wskazanie niezgodne z jej narodowem dobrem. Komentarz ten w połączeniu ze słowami ks. arcybiskupa Teodorowicza, odchyla-

jącemi nawet kotarę pracowni papieskiej i dozwalającemi całą toczącą się w tej sprawie rozmowę i akcyę, całą duszę i serce papieża, jego prostotę i ogromną miłość dla nas, słyszeć i widzieć — i to w całej plastyce życia, — jest tego rodzaju, że kwestye sporne ustają i stają się bezprzedmiotowe. Pomijając nawet samą szczegółową treść komentarza, która sprawia, że komentarz jest jak gdyby nowym listem papieskim do Polski, nie tylko usuwającym wszystko, w czem tkwiło nieporozumienie, ale zaznaczającym z całą siłą ponownie tak dodatnią i życzliwą dla nas myśl zasadniczą listu — sam fakt, że taki komentarz Watykanu został publicznie wydany, tak świadczy o dobrej woli i najlepszych uczuciach Papieża względem nas, iż całą sprawę załatwia. Nie widzimy też, w jakiby sposób nawet zła wola mogła teraz dalej walkę ciągnąć.

Gdy zatem przeszkody się usunęły, czas najwyższy, aby myśl Papieża, skierowana ku Polsce zakordonowej, pojawiła się w swem właściwem świetle. A przedstawiamy ją, bynajmniej, nie w celu obrony listu papieskiego, bo obrony takiej, po komentarzu watykańskim, list ten nie potrzebuje, lecz tylko dla dobra naszej katolickiej i narodowej sprawy. Poprostu, nie chcemy dopuścić, aby tak silny moment do akcyi w tym kierunku, jakim jest dobrze zrozumiany list papieski, przeszedł niespostrzeżenie bez skutku. List taki, skierowany do polskiego episkopatu pod berłem rosyjskiem, a przez episkopat do całego duchowieństwa i do wszystkich katolików, nie tylko ma tę własność, że jest wielkim programem i potężnem hasłem, które może poruszyć całą szeroko rozgałęzioną organizacyę Kościoła polskiego do daleko idącej akcyi, ale ma i ten nieoszacowany przymiot, że na wypadek przyszłych zawikłań i walk Kościoła, które, zależnie lub niezależnie od tej akcyi, ale zawsze w jakiejś łączności z nią, przyjść mogą i zapewne przyjdą, jest obroną i puklerzem. Już trudno będzie wtedy nawet kusić się o to, by wbić klin między Kościół polski a Rzym, lub na innej drodze rozwojowi tej sprawy stawiać przeszkody, bo wtedy powołać się będzie można, że ta jest wola i ten program papieża, i to program, który papież wszystkimi siłami w decydujących sferach poprzeć obiecuje. Z tego względu, ci, co

przez namiętną walkę temu listowi wytoczoną, chcieli jego znaczenie umniejszyć a nawet zaprzepaścić, narodowej zasługi nie mają.

Program ten papieski dla Polski zakordonowej mieści się w drugiej części listu, gdzie mowa o tem, co w obecnej sytuacyi czynić należy.

Zauważmy odrazu, że wszystkie szczegóły tego programu są to wszystko rzeczy, które poza obecną sytuacyę wybiegają w daleką przyszłość, że zatem znaczenie tego programu nie jest przejściowem, jak przejściową jest sytuacya obecna, która ogłoszenie tego programu wywołała. Każde ze wskazań tego programu wymaga do jakiego takiego zainicyowania dłuższego przeciągu czasu; a już całego szeregu lat potrzeba, by je na tyle urzeczywistnić i w życie wprowadzić, ażeby zaczęły społeczny wpływ wywierać.

Obecny zatem przejściowy okres rewolucyjny nie jest wcale ostateczną metą wskazań papieskich: on jest głównie okazyą, do ogłoszenia tych wskazań, a częściową metą mógłby być chyba tylko o tyle, o ile samo zainicyowanie akcyi i akcya początkowa jakiś drobny wpływ wywrzeć mogą. To rozumie każdy, to przedewszystkiem rozumiał Papież, który tyle już miał z akcyą katolicko-społeczną do czynienia, a świeżo we Włoszech tyle miał z nią kłopotów. Istotą więc tych wskazań jest to, że sięgają one dalej, że nie są jakimś chwilowym środkiem zaradczym, ale, że mają znaczenie programowe. O ile z tej uwagi płynie światło na ustosunkowanie poszczególnych idei w całym liście papieskim, wspomnimy niżej.

Tę ideę umocniwszy, postąpmy krok dalej i zapytajmy dla lepszego zrozumienia tego programu, jaką, logicznie rzeczy biorąc, jest jedynie możliwa geneza tego oto faktu, że papież w tej chwili ten program ogłasza. Zaznaczyliśmy już w powyższym ustępie, że okazyą wywołującą to ogłoszenie jest obecne wrzenie rewolucyjne, że mogąca się odnosić do tego wrzenia pobudka, mogłaby mieć jakieś bardzo drobne, częściowe znaczenie. Oczywistem jest zaś, że poza częściową pobudką musi inna właściwa istnieć.

Dla uwidocznienia tej kwestyi, jakąby ta inna pobudka być mogła, uprzytomnijmy sobie ten prosty fakt psychologiczny,

którego objawy, od szeregu miesięcy, co chwila spostrzegamy, że wrzenie rewolucyjne i wogóle każdy dokonywujący się przewrót jakiejś ważniejszej formy społecznej, powoduje nie tylko w najbliższem ale i w dalszem otoczeniu cały szereg zmian. Pewne społeczne formy przeżyte, w takiej chwili, rozsypują się w proch, inne silniejsze czują potrzebę skonsolidowania się; wobec rosnącej przewagi jednego stronnictwa, inne stronnictwa czują konieczność, by istnienie swoje zaznaczyć, dawny program odświeżyć czy nowy stworzyć, i wystąpiwszy na widownię wziąć się ze wzmożoną energią do działania. I tę konieczność odczuwa się nieraz pod grozą wykreślenia z listy żyjących. Na to wszystko patrzymy w tej chwili — dziś w Królestwie i w Galicyi, gdzie rzucić okiem, dokoła pełno zgromadzeń, wieców, manifestów, programów, powstawania stronnictw nowych, konsolidacyi czy przemiany starszych. To wszystko powoduje huragan rewolucyjny, idący z Północo-Wschodu; tak też w każdej rewolucyi było.

Była chwila w Królestwie, właśnie ta, w której list papieski powstawał, gdzie na pierwszy plan widowni wysunął się, w tamtejszem społeczeństwie, socyalizm, i to głównie socyalizm kosmopolityczny, wypowiadający bezwzględną walkę ideałom narodowym i religijnym. Potrząsał dumnie swoją zdobyczą i stąd rościł pretensye do panowania i dyktowania praw swoich. Ta chwila dziś na szczęście przeminęła, socyalizm dzięki swej taktyce podupadł znowu w opinii ogółu, a na pierwszy plan wyszło stronnictwo narodowo-demokratyczne. Ale za przyszłość ręczyć nie można, w takich burzliwych okresach kierujące prądy zmieniają się szybko; widmo socyalistycznego terroru grozi dalej. i to w razie powodzenia nie na chwilę, ale na dłuższy czas.

Otóż w takiej chwili, w której każdy czynnik społeczny, mający w sobie siłę życia i mający przed sobą jakąś misyę działania, występuje na widownię, czyż mógł pozostać w tyle katolicyzm? Czyż pozostając, nie byłby poniósł dotkliwych strat na długie, długie czasy?

Wszyscy u nas, którym sprawa Boża leży poważnie na sercu, czuli to silnie i dawali temu niejednokrotnie wyraz, że w takiej wichurze społecznej, w której o pokierowaniu opinią

decyduje śmiałe, a zupełnie szczere wystąpienie i to z programem, głoszącym daleko idące hasła społeczne i narodowe, katolicyzm stanowczo w tym duchu, i to pod grozą utraty wszelkiego zbawiennego wpływu na szerokie warstwy, wystąpić powinien. I nietylko taki program, że się tak wyrazimy, zewnętrzny, jest dla katolicyzmu w tych dzielnicach niezbędny, również niezbędnym jest program, odnoszący się do spraw Kościoła wewnętrznych. Kościół był tym czynnikiem, który był najbardziej na wrogie ciosy wystawionym, stąd też mimo nadludzkich nieraz wysiłków bohaterskiej obrony, spustoszenia przez cały szereg lat dokonywane, pozostawiły po sobie znaczne ślady. Dziś zatem, gdy świta zorza wolności, niezbędną jest rzeczą zdać sobie z całego położenia sprawę, wniknąć w wszystkie potrzeby i stosownie do nich postawić program działania. Patrzyliśmy też w ostatnich czasach, równocześnie z ukazaniem się listu papieskiego, albo już po ukazaniu się, jak duchowieństwo tamtejsze dawało temu odczuciu chwili swój wyraz. Z tego czasu mamy cały szereg listów biskupich, programów religijno-narodowo-społecznych, postawionych, jak w Warszawie i Wilnie przez księży, zjazdów duchowieństwa, jak obecnie w Włocławku, lub tak dosadny wyraz tego odczucia, jakim był zjazd 417 księży w Warszawie. Nie wchodzimy tu w ocenę wszystkich form, w jakich to odczucie przejawiało się, stwierdzamy tylko, że takie odczucie w szeregu form się przejawiło.

Otóż, choćbyśmy nie mieli szczegółowej informacyi, że Papież o tej właśnie, tak określonej potrzebie katolicyzmu w Polsce był powiadomiony, to pewność o tem płynęłaby najpierw z tego, że wiemy powszechnie, iż Papież wogóle o potrzebach katolicyzmu u nas jest stale informowany, a nadto płynie ona z szeregu szczegółów, pomieszczonych w liście papieskim. Z tych szczegółów możnaby złożyć niezwyciężony w tym kierunku dowód. Wspomnijmy o jednym z nich. Jednem z bardzo ważnych wskazań papieskiego programu jest wskazanie, odnoszące się do kształcenia i wychowywania w seminaryach duchownych, — wskazanie, które nie ma chyba związku z żadnymi politycznymi celami ani z gaszeniem rewolucyi obecnej a jedyny tylko związek może mieć z tą ideą programu katolickiego.

I tu już stoimy przy właściwej pobudce, przy jedynie możliwej psychologicznej genezie tego listu. Jest on wyrazem odczucia pomienionej potrzeby, a celem jego — tej potrzebie ze wszech miar uczynić zadość.

W jakżeż odmiennem świetle staje teraz cały list papieski! Czyżby nie była niepowetowana strata, żeby ten wcale nie ciasny program, w tak stosownej chwili, z taką miłością i to z najdostojniejszego miejsca w świecie Polsce podany, dla kilku niejasnych zwrotów, i to już najsympatyczniej dla nas obecnie wytłumaczonych, miał przejść niespostrzeżenie, bez skutku!

Choć nie jest zadaniem tych uwag wchodzić w analizę całego listu papieskiego, a po urzędowej deklaracyi i po liście publicznym ks. Arcybiskupa Teodorowicza jest to nawet zbyteczne, nie możemy się jednak oprzeć pokusie do małej pod tym względem dygresyi. Otóż, do naszego powyższego wywodu, że pomieniona idea programu jest zasadniczą ideą listu, i, że pomieniona psychologiczna pobudka jest jego jedyną właściwą pobudką — wystarczy dodać tylko kilka słów negatywnego dowodu, tego mianowicie, że w niczem innem tej zasadniczej idei i pobudki być nie może, a stanie przed nami jasno cała logika i cała psychologia tej encykliki. A dowód oczywisty. Jedyną myślą, która poza ideami papieskiego programu w tym liście się mieści, jest potępienie rozruchów rewolucyjnych i zachęta do uległości władzy. Otóż o tyle myśl ta i to wskazanie mogłyby być ideą przewodnią i pobudką tego na wskroś praktycznego a nie teoretycznego listu, o ileby mogły mieć jakieś praktyczne na dzisiaj znaczenie i o ileby je papież sam jako takie w tym liście pojmował. Tymczasem, wskazanie to papieskie żadnego wpływu na obecną rewolucyę wywrzeć nie może. Nie może wywrzeć wpływu na tych, którzy tę rewolucyę robią, to jest na stronnictwa rewolucyjne i socyalistyczne w Rosyi i w Królestwie, bo do nich, przynajmniej do ich przekonań, pismo papieskie niema dostępu. To Papież sam rozumie i dlatego nie zwraca się do nich tylko do społeczeństwa polskiego. Dla społeczeństwa polskiego wskazanie to nie może mieć także znaczenia, bo całe społeczeństwo polskie i wszystkie stronnictwa narodowe we własnym, dobrze zrozumia-

nym interesie, stoją i bez tego poza rewolucyą, — sam papież w liście, zwłaszcza w komentarzu a najdobitniej w liście publicznym ks. arcybiskupa Teodorowicza, to także przyznaje i tylko w tym kierunku umacnia. O ile chodziłoby teraz o wpływ społeczeństwa polskiego na uśmierzenie rewolucyi, to oczywistem jest najpierw, że nie może być mowy o jakimś wpływie na terytorya, na których Polaków niema — a o ile chodzi o terytorya polskie, to wpływ ten, o ileby miał podążać w kierunku tych poleceń, jakie papież daje, byłby ogromnie nieznaczny, wskutek tego, że — jak to już wyżej zaznaczyliśmy — polecenia te mogą znaczniejszy wpływ wywrzeć dopiero w dalszej przyszłości, a niektóre z nich nawet do rewolucyi wcale się nie odnoszą. Całe to zatem wskazanie może mieć w tem piśmie tylko ogólno-teoretyczną wartość; pod względem zaś praktycznym ma tylko dalsze i całkiem poza właściwą ideą i pobudką listu stojące znaczenie — jakie? o tem zaraz niżej. Nawet odnosząca się tu uwaga o strejku młodzieży, wobec tego, że już szkoły prywatne polskie istnieć mogą, ma tylko teoretyczne znaczenie.

Ponieważ już żadnej innej idei w tym liście niema, dość jasno wypływa, że tylko we wskazanej idei programowej istota i jądro tego listu spoczywa i że w niej jest światło do zrozumienia logiki i psychologii tego listu. I do tego nie dochodzimy drogą jakichś zewnętrznych wskazań. Stawiamy tylko nieprzeparte logiczne prawa wewnętrznej krytyki, którą z takiem powodzeniem stosuje się na polu naukowem, nieraz nawet wbrew przeciwnym komentarzom autorów.

Nie chcieliśmy przedłużać zbytnio i tak już długiej dygresyi, dlatego narzuciliśmy tylko szkicowo najważniejsze myśli. Byłby to szkic pod komentarz do tego listu psychologiczny i logiczny, w czem dobrze uzupełnia się z komentarzem, jaki wyszedł z Watykanu, a który nazwalibyśmy literalnym dlatego, że w swoim pochodzie trzyma się wiernie tekstu myśli i gdzie zachodzi jakaś myśl niezrozumiana lub przeoczona, tam ją objaśnia lub na nią wskazuje. Inny nawet komentarz z Watykanu wyjść nie mógł, bo niktby nawet nie mógł żądać takiego tłumaczenia

się z wszystkich tajników myśli, a potem musiałaby to być broszura cała, kilkakroć od listu obszerniejsza.

Moglibyśmy się jeszcze spotkać z zapytaniem: skądżeż, jeżeli pochód myśli i pobudki tak proste i jasne, list ten tyle nastręczył trudności i nieporozumień? I tu mamy sposobność odpowiedzieć na pominięte powyżej pytanie, co do znaczenia uwagi papieskiej o rewolucyi, o władzy.

List, w intencyi papieża, miał być programem katolicyzmu w Polsce, a że potrzebę tego programu rewolucya wywołała, punktem więc wyjścia tego listu była rewolucya. Kwestyę rewolucyi można było w tym liście obszerniej albo krócej omówić, można było kwestyę tę ograniczyć do terytoryum polskiego, albo wziąć pod uwagę obszerniejsze terrytoryum. Papież obrał tę ostatnią drogę. A że cały list był o Polsce, więc to odniesienie się Papieża poza Polskę, rozciągnięte na szereg ustępów, a niedość wyraziście zaznaczone, mogło sprawiać w pierwszej chwili trudność. Pod tym względem komentarz watykański rozprasza wszelkie nieporozumienia.

Jeżeli zaś wspomniało się w liście o rewolucyi i to rewolucyi na obszerniejszem terytoryum, to trzeba było zająć wobec niej jakieś stanowisko. Papież pisał ten list już długo po nadaniu konstytucyi w Rosyi, po wielokrotnych zapewnieniach rządu o najlepszych zamiarach wprowadzenia jej w życie, a że te zapewnienia wydały mu się szczere, więc konsekwentnie musiał uważać rewolucyę za bezcelową igraszkę ze społecznym ładem i z życiem ludzkiem, a w tych warunkach musiał ją potępić i musiał przypomnieć obowiązek uległości względem władzy.

Czy poza tem nie było jakiejś intencyi dalszej, dla której wszedł Papież obszerniej w tę sprawę? Mogła być. Ale wobec tego, iż Pius X dał tyle dowodów, że ma przedewszystkiem sprawę Bożą i słuszność na oku, nie była to chyba intencya czysto politycznej natury. Zresztą żadnej takiej w tym wypadku być nie może. Przypomnijmy sobie natomiast, iż jest to pierwszy publiczny do rosyjskiego imperyum akt papieski po ukazie tolerancyjnym, ukazie takie odsłaniającym nadzieje i dla jedności religijnej Wschodu i Zachodu i dla katolicyzmu polskiego w Rosyi.

Ten moment zaznacza Papież wyraźnie w swym liście i zaznacza ze słuszną zupełnie wdzięcznością dla monarchy. Otóż, jeżeli chciał ze sposobności tego listu do Polski skorzystać i okazać Rosyi życzliwość, to działał w imię odwiecznej idei Zachodu, dążącej ku jedności kościołów, a nadto czynił to dla dobra nie tylko katolicyzmu polskiego, ale i Polski, bo jeżeli kiedy, to w takiem zestawieniu, jakie jest w tym liście, rząd zrozumieć może, że w jego własnym interesie leży uczynić zadość słusznym aspiracyom religijnym, społecznym i narodowym Polski. — Ta intencya mogła być i widocznie była, jest ona jednak w tym liście drugorzędną i do właściwej intencyi tylko dorzuconą.

Już teraz żadna przeszkoda nie wchodzi nam w drogę w należnem zrozumieniu wskazań papieskiego programu. Wskazania same bardzo jasne, wymagające raczej przypomnienia, aniżeli uzasadnienia lub szerszych tłumaczeń.

Pierwsze wskazanie, gorąca miłość wiary i szczere wyznawanie jej w duchu i w czynie, nie jest tylko pobożnem upomnieniem. Jeżeli kiedy, to w płomieniach wrzenia rewolucyjnego wielka siła tej wiary czynnej jest potrzebną. A nadto, Papież tę wiarę pojmuje bardzo szeroko, o ile z niej płynie też obowiązek wytrwałej pracy społecznej i narodowej. To jest bardzo ważny moment. Zwroty, tu odnoszące się, są po całym liście rozrzucone i są dość silne i znaczące w swem brzmieniu. W imię tej wiary przestrzega też przed takimi walkami stronnictw, które sprzeciwiają się Bożemu prawu, a wskutek tego osłabiają pracę społeczną, a nie prowadzą do rzeczywistego celu. I teraz moment, świadczący o wielkiej delikatności papieża i o tem, że położenie nasze rozumie. Chce nas — i to w imię naszego narodowego interesu i z obecnym interesem narodowym rzeczywiście zgodnie — i nadal utrzymać po stronie pokoju i ładu, z czem połączony jest stosunek do władzy, »o ile ta władza działa zgodnie z prawem ludzkiem i boskiem«. Zanim to powie, odwołuje się wprzódy do wiary, o ile wiara nakazuje poddawać uczucia pod władzę »zdrowego rozsądku«.

O ile chodzi o ścisłe, programowe ujęcie tego momentu wiary, to zwraca się ono aktualnie w dwu kierunkach. Najpierw

w kierunku pracy duchowieństwa. Wiemy wszyscy, jak wskutek dotychczasowego systemu rządowego, opłakanym jest stan religijny i obyczajowy nie wszędzie, ale w wielu okolicach. Gdy system ten teraz ustaje, najwyższy czas wszystkie wytężyć siły, aby puste odłogi użyźnić i zorać. To pierwsze wskazanie. Drugie odnosi się do społeczeństwa całego, aby przy pracy duchowieństwa wzmocniwszy wiarę, zastosowało ją i w życiu, nie tylko w jednostkowem ale i w społecznem i publicznem.

Moment ten wiary ma jeszcze wielkie znaczenie swoje co do następnego punktu programu papieskiego, jakim jest organizacya chrześcijańsko-społeczna. Widzimy już dzisiaj, jak rozwija się w kilku centrach tamtej dzielnicy energiczna inicyatywa w kierunku tej organizacyi. Ta organizacya jest niezbędną, nakazuje też ją Papież. Nasuwa się jednak jedna uwaga, która pomocną być może, gdy przy tej pracy przyjdą niepowodzenia albo od razu albo po początkowych powodzeniach. Na pierwszym planie, szczególniej w tych warunkach, jak tam, stać musi praca religijna i obyczajowa, bo prostem niepodobieństwem jest, by powstał chrystyanizm społeczny, jeżeli go pierwej niema gruntownie w życiu indywidualnem.

Na tej podstawie żywej wiary przyjąć się dopiero może i bujnem zakwitnąć życiem idea organizacyi chrześcijańsko-społecznej, którą papież w drugim punkcie swego programu wskazuje. Ta idea w całej swojej rozciągłości mieści się konsekwentnie w krótkim wstępie Papieża o potrzebie związków społecznych.

Wobec tego, że ogromna doniosłość i szeroka rozciągłość tej idei społeczno-chrześcijańskiej jest powszechnie znaną, zbytecznem byłoby dłużej zatrzymywać się nad jej znaczeniem, nad tysiącznemi jej zadaniami, zwłaszcza nad szeregiem reform społecznych, jakie ma w świat wprowadzić. Dziś ludzie stojący nawet pod sztandarem innych obozów odczuwają i rozumieją, że idea ta jest wielką ideą przyszłości. W tem też wskazaniu spoczywa najistotniej doniosłość papieskiego programu. I jeżeli dla wszystkich dzielnic polskich ten kierunek ma dziś szczególniejsze znaczenie, to szczególniej ma je dla Królestwa, gdzie szeroko rozwinięty

przemysł zatrudnia całe rzesze robotników, wśród których tak głębokie korzenie zapuścił socyalizm.

Tej stworzyć się mającej organizacyi przypomina Papież ze szczególniejszym naciskiem zadania narodowe: zadaniem jej walczyć »za wiarę i ojczyznę«, o rozszerzenie słusznych praw narodowych i »dbać o to, aby ojczyzna dalszych krzywd nie doznała«.

I wskazanie papieskie w tym kierunkn nie jest tylko radą ale nakazem — »wszyscy ręki pilnej przyłożyć powinni do poprawy ustroju społecznego, a nikomu nie wolno się cofać przed tą pracą«. W tym duchu też następuje cały szereg silnych zwrotów, nawet zaklęć.

Objaśnień także nie potrzebują następne wskazania programu. Wobec tego, że w młodzieży spoczywa przyszłość narodu, każdy nieuprzedzony rozumie, jak ważną gra rolę katolicyzm w wychowaniu i w nauce, jak zatem doniosłą jest wskazana przez Papieża akcya o zdobycie odpowiednich szkół. A już dla sprawy katolicyzmu najniezbędniejszem jest następne wskazanie papieskie o odpowiedniem wykształceniu duchowieństwa, by powstał poczet kapłanów »celujących nauką i świętością życia a obdarzonych taką wielkodusznością i wytrwałością, że dla Chrystusa gotowi wszystkiem wzgardzić i wszystko przecierpieć«.

Ostatnie wreszcie wskazanie oddaje Polsce wielką misyę apostolską, podobną do tej, jaką już dwa razy w swoich dziejach względem dwu innych narodów spełniła. Wskazanie to, ze zrozumiałych powodów, jest bardzo umiarkowanie postawione i utrzymane w tenorze paragrafów państwowych. Nie rozszerzamy się nad tą sprawą, bo tak już wymownie pisze powyżej o tem ks. Arcybiskup Teodorowicz.

Oto myśli papieskiego programu. W chwili, gdy cały katolicyzm w tej dzielnicy odczuwa taką gorącą potrzebę skupienia się i wytknięcia sobie jasnego najważniejszych zadań na przyszłość, gdy wogóle całe tamtejsze społeczeństwo w rozwichrzonej dokoła atmosferze szuka drogowskazu, Papież bezwłocznie wchodzi w koło naszych myśli i dążeń, komunikuje się z nami bez-

pośrednio i z ogromną miłością dla całej naszej przeszłości i dla wszystkich naszych spraw, jakby jeden z nas, to, co za niezbędne »dla wiary i ojczyzny« uważa, wypowiada. A gdy na chwilę jest niezrozumiany, zaraz bez urazy powraca i z całą dobrocią tłumaczy swoją myśl właściwą. Czyż nie jest to szczery i szlachetny miłośnik nas i naszej sprawy?

Cóż innego już teraz pozostaje, jak nie życzyć, by program papieski wszedł jak najprędzej w życie.

Ks. J. Pawelski.

OD REDAKCYI W SPRAWIE ANKIETY.

Dnia 20 października u. r. ogłosiliśmy ankietę o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce. Kwestyonaryusz tej ankiety umieszczamy poniżej.

Mimo, że ankieta nasza trafiła na czas bardzo niespokojny, w Galicyi na dobę agitacyi za powszechnem głosowaniem, w Królestwie na rewolucyjny okres, głównie zaś na miesięczny strejk kolejowy, wskutek czego zaproszenia nasze doszły po czasie, mimo to wszystko udział w ankiecie jest bardzo liczny. Ankiecie tej poświęcony jest cały niniejszy powiększony zeszyt, nadto dalszy jej ciąg umieścimy w następnych zeszytach. W dalszym tym ciągu zamieszczone będą między innemi, zapowiedziane już odpowiedzi kilku N. N. Ks. Ks. Biskupów i Henryka Sienkiewicza.

Dość nieregularne napływanie odpowiedzi, spowodowane wspomnianymi wypadkami, sprawiło, że niepodobnym prawie stał się jakikolwiek układ klasyfikacyjny w ankiecie. Wyłączyliśmy więc tylko na początek, o osobnej paginacyi, odpowiedzi N. N. Episkopatu, inne odpowiedzi umieszczaliśmy podług czasu, jak nadchodziły; tu i ówdzie tylko nakazywała zmianę porządku czysto techniczna strona rozmiarów odpowiedzi.

Stanowisko nasze w tej ankiecie, jako też ostatnie słowo o całym jej przebiegu, ogłosimy na końcu, po umieszczeniu wszystkich odpowiedzi. Obecnie nie pozostaje nam nic innego, jak wszystkim jej P. T. Uczestnikom, za łaskawy współudział, najserdeczniejszą złożyć podziękę.

Redakcya.

KWESTYONARYUSZ ANKIETY.

Wzrost ruchu religijnego wogóle a żywotności katolicyzmu w szczególności, tak zagranicą, jak u nas, sprawiają, że kwestya ta stała się dzisiaj przedmiotem ożywionych roztrząsań. U nas, w ostatnich miesiącach, kilku wybitnych pisarzy zabierało głos w tej sprawie, stawiając postulaty, jakie, ich zdaniem, katolicyzm powinien spełnić.

Na szczególniejszą zasługują uwagę te rozliczne zadania jakie katolicyzm zakreśla sobie na chwilę obecną do spełnienia. Wybija się tu na pierwszy plan akcya społeczna w najróżnorodniejszych swoich odmianach, związana z całem mnóstwem zagadnień teoretycznych i zastosowań praktycznych. Na równie jednak baczną uwagę zasługują i dążności katolicyzmu we wszystkich innych zakresach życia publicznego, jak np. w polityce, nauce, filozofii, sztuce, w organizacyach mających na oku wewnętrzny rozwój Kościoła i t. d. Prócz zadań ogólnych, wspólnych wszystkim narodom katolickim, dodać jeszcze należy czysto lokalne sprawy i zadania, jakie katolicyzm ma w poszczególnych państwach do spełnienia.

Na takiem tle chciałaby Redakcya *Przeglądu Powszechnego* osnuć ankietę, zastosowaną do naszych polskich stosunków. Pewne dzisiejsze zadania ogólne katolicyzmu mogą wymagać u nas odrębnego zastosowania, prócz tego, jak wszędzie, tak i tu, zachodzą sprawy lokalnego znaczenia.

Pytanie zatem, około którego obraca się nasza ankieta, jest następujące:

Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Ponieważ wszelkiej celowej akcyi musi towarzyszyć świadomość związanych z nią spraw, nie potrzebujemy chyba uzasadniać, jak ważnem jest nie tylko dla sprawy religijnej ale i dla wszystkich związanych z nią dziedzin naszego życia, jasne uświadomienie ogółu co do odpowiedzi na to pytanie. Do tego uświadomienia w znacznej mierze przyczynić się może nasza ankieta.

Na ten kwestyonaryusz otrzymaliśmy następujące odpowiedzi:

Odnośnie do odezwy Szanownego *Przeglądu* z dnia 20 października u. r. w sprawie zadań katolicyzmu w obecnej chwili na ziemiach polskich, nie mając czasu ani zdrowia potemu, aby módz się zająć wypracowaniem odpowiednich projektów, ograniczam się na uprzejmem doniesieniu, że w zasadzie zgadzam się z wywodami przesłanemi Szanownej Redakcyi już przez Ks. Biskupa Likowskiego, Sufragana Poznańskiego.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański
† Floryan

Mam zaszczyt Redakcyi na Jej odezwę z dnia 20 października u. r. podać kilka uwag co do bezpośredniego zadania, jakie katolicyzm na ziemi polskiej ma w obecnej chwili do spełnienia.

Najbardziej palącą na razie potrzebą Kościoła naszego we wszystkich trzech zaborach jest z o r g a n i z o w a n i e tych żywiołów świeckich wśród intelligencyi, o których wiadomo, że stoją w zapatrywaniach swoich na gruncie katolickim; celem zaś tej organizacyi powinno być stałe, coroczne zwoływanie wieców katolickich, na których potrzeby nasze powinny być omawiane i środki obmyśliwane, jak im zaradzać. Od tego zaczęli niemieccy katolicy, w szczególności w Prusach, po r. 1870 swoje odrodzenie, i temu w wielkiej części zawdzięczają obecne swoje znaczenie w cesarstwie Niemieckiem, mimo swej mniejszości. Brakowi zaś tej organizacyi, do której ś. p. papież Leon XIII wciąż upominał, przypisać należy obecny upadek katolicyzmu we Francyi. Kładę nacisk na to, aby się wiece, jako stała instytucya co rok

odbywały, aby praca, za ich inicyatywą zaczęta, nie przerywała się, ale była ciągłą. Dla braku tej ciągłości pozostały bezowocnemi wiece odbyte w ostatnich kilkunastu latach w Wielkopolsce i w Galicyi. Na wiecach nie trzeba się oczywiście ograniczać na wypowiedzeniu kilku mniej czy więcej udatnych mówek, ale pracować w komisyach, obok wieców urządzanych i tym komisyom postawić jako zadanie, aby po skończonych wiecach czuwały nad wprowadzeniem w życie uchwał wiecowych, i aby do następnych wieców przygotowywały odpowiedni materyał.

Jeżeli Królestwo Polskie odzyska większą swobodę polityczną i religijną, myśl tę jak najprędzej tam przedewszystkiem trzeba się starać przeprowadzić.

Dalszem zadaniem katolicyzmu u nas jest owładnięcie kwestyi socyalnej ze strony praktycznej, a zatem wytrącenie jej z rąk socyalistów bez wiary — tworzenie towarzystw zawodowych wśród rzemieślników i robotników — Kółek Rolniczych wśród ludu wiejskiego — zakładanie Spółek pożyczkowych z wykluczeniem Żydów, aby ludność naszą z rąk żydowskich i z pod wpływu Żydów uwolnić, jak to na tej drodze stało się u nas w Wielkopolsce. Duchowieństwo młodsze i ludzi dobrej woli wśród intelligencyi świeckiej trzeba nawoływać do gruntownego zapoznania się z teoryą kwestyi socyalnej, bo to u nas na ogół *terra incognita* — dalej do studyum aktualnych kwestyi naukowych, mających związek z prawdami wiary i do naukowego zwalczania w pismach czy ściśle naukowych czy w broszurach popularnych, zaczepek Kościoła i jego nauki przez ludzi wrogich Kościołowi i jego posłannictwu. Na wzór niech posłużą broszury frankfurckie (nad Menem) *Zur Wehr*, od kilkunastu lat z wielkim pożytkiem dla sprawy katolickiej ogłaszane.

Jeżeli jutrzenka swobody zaświeci Rosyi, niezbędną jest rzeczą gruntowna reforma wykształcenia duchowieństwa tamtejszego. Społeczeństwo winno się domagać od Biskupów tamtejszych, aby tylko taką młodzież do Seminaryów przyjmować, która ukończyła szkoły średnie. Przy obecnym nizkim poziomie młodzieży wstępującej do seminaryów, niepodobna traktować wobec niej naukowo przedmiotów filozoficznych i teologicznych.

Wreszcie, ponieważ bez Biskupów żadnej gruntownej reformy religijnej przeprowadzić nie można, bardzo i bardzo pożądanem jest, aby ci Dostojnicy kościelni co rok zjeżdżali się z sobą na narady o potrzebach dyecezyi swoich i aby wspólnie i jednomyślnie zabrali się do pracy nad odrodzeniem naszem kościelnem i w dalszem następstwie dawali świeckim, dobrej woli osobom, inicyatywę i wskazówki do działania.

Tyle na razie!

Nic prawdopodobnie nowego Szanownej Redakcyi w tych słowach nie wypowiedziałem; co mi się jednak pod pióro w tej chwili cisnęło, to uważałem za potrzebne napisać, skoroście zdanie moje pragnęli usłyszeć.

Sługa

† X. Bp. Likowski.

W sprawie ankiety, »jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma do spełnienia«, donoszę Szanownej Redakcyi po zniesieniu się z X. Biskupem Likowskim uprzejmie, że ponieważ położenie i potrzeby Archidyecezyi Gnieźnieńskiej nie różnią się od tychże w Archidyecezyi Poznańskiej, przyłączam się pod względem postawionej kwestyi do światłej opinii tego doświadczonego Biskupa, jaką Szanownej Redakcyi w swoim czasie nadeśle, albo może już nadesłał.

† X. Andrzejewicz, Bp. Sufragan.

W dwojaki sposób można odpowiedzieć na pytanie postawione w ankiecie *Przeglądu Powszechnego*. Albo wyliczać poszczególne postulaty katolickie, i sumować je potem kolejno, przebrawszy każdy z osobna lub też inaczej; albo obiera się jeden tylko moment, bierze się go za nić przewodnią i wytyczną, o tyle tylko podnosząc poszczególne kwestye, o ile mają bezpośredni z nim związek. Obieram w moim niniejszym wywodzie drogę ostatnią.

Uważam mianowicie za rzecz niezbędnej wagi w pracy i pro-

gramie katolickim, ażeby idea katolicka w danem społeczeństwie czy narodzie łączyła się, o ile to być może, tylko z ideałami przewodnimi, rozpłomieniającymi w danej chwili myśl, serce i działalność narodu. Powiada proste ludowe przysłowie: Weź dziecię za rękę — wziąłeś matkę za serce. Czy to ideał narodowy, czy intellektualny czy też socyalny, są one ostatecznie wszystkie duchowemi dziećmi danej epoki czy też społeczeństwa. Dziećmi ukochanemi, które pochłaniają i czas i troskę i serce rodzicielskie i są jego chlubą.

Praca katolicka winna dążyć do tego, aby dziecię ukochane ująć za rękę; co więcej ukazać w jego doskonałościach pokrewieństwo ścisłe z Kościołem; dowieść, że Kościół ideału ukochanego jest piastunką, jego zdrojem ożywczym, rękojmią jego rozwoju.

Skoro raz chwyci katolicyzm ideały przewodnie za rękę, tem samem dzierży już serce epoki, która w tropy za swojem ukochanem dziecięciem wejdzie do sanktuaryum życia wiary, nadziei i miłości, w przeciwnym razie obojętnieje dla życia Kościoła, którego nie zna a często występuje przeciw niemu wrogo. Tak np. kiedy w epoce renesansu kultura pogańska zagroziła Kościołowi właśnie przez swój pogański pierwiastek, wtedy udało się Kościołowi owo rozpieszczone dziecię, ów renesans ująć za rękę; na piękne i skończone formy pogańskie w sztuce, narzuca Kościół swoje ideały nadprzyrodzone i oto naraz cóż widzimy? Renesansowe formy w Mojżeszu Michała Anioła, w Madonnie Sykstyńskiej, ale wprowadzone do wnętrzy kościołów, ale już schowane pod cieniem jego skrzydeł.

Epoka Chateaubriand'a kocha się w pięknie: wtedy to ten pisarz w dziele swem o piękności chrystyanizmu, ukazuje skarby piękna w kulcie i dogmacie katolickim i tak kojarzy ideał epoki z ideałem Kościoła. I nie jest to wcale sztuczne naciąganie i dostrajanie myśli katolickiej do myśli cywilizacyi, w katolicyzmie bowiem i jego pierwiastku tkwi takie niespożyte i twórcze bogactwo, iż zdolne jest przeniknąć i przesiąknąć każdy prąd, który mniej lub więcej ziarno swe zdrowe wziął właśnie z Kościoła i osadził na niem swój ideał.

W naszej epoce ruch socyalny zostaje ujęty przez Kościół w pamiętnej encyklice Leona XIII, a w Polsce odbija się żywo prąd chrześcijańskiej demokracyi w Poznańskiem w silnych podwalinach założony już dawno, u nas dość później, rozbudzony przez O. Badeniego, w zabranych zaś prowincyach ruchowi temu roztwierają się wrota, jako węgłowi pod przyszłość.

Prąd ten domaga się dziś ujęcia już nie przez jedną lub drugą instytucyę filantropijną lub zawodową, lecz wprost przez zespolenie wszystkich sił przez organizacyę jednolitą.

Zbytecznem nawet byłoby do niej nawoływać, bo tyle się już dziś o niej słyszy, a wreszcie wszystkie dziś czynniki zachowawcze w kraju potrzebę jej czują i w obecnej chwili można na to liczyć, że nie połowicznie, ale z całem wytężeniem sił w lud wszystko pójdzie. Wszystkie bowiem podpory czyto lenistwa, czyto naszego politycznego łudzenia się, grożą naraz rozsunięciem się i rozpryśnięciem. Kierunek cały myśli i pracy politycznej, który szedł nieraz jednostronnie, z uszczerbkiem dla skupienia sił w kraju szedł i ciężył ku Wiedniowi, dzisiaj się opatrzył, że budowane przez lat dziesiątki nadzieje, może jedna chwila zdmuchnąć, jeden silniejszy, brutalniejszy okrzyk ulicy obalić. Już nie przez rozum polityczny, ale przez konieczność widzą się dziś wszyscy w pracy socyalnej skazanymi tylko na siebie i czują, że siła ciężkości tkwi nie w kombinacyach jakichś, nie w pocieszaniach się »jakoś to będzie«, ale w realnej pracy nad ludem i wespół z ludem, dążącej do zespolenia się z nim w jedno poczucie narodowe, socyalne i religijne.

Powiedziałem, że do organizacyi nie potrzeba nawoływań, ale za to twierdzę stanowczo, że trzeba ją należycie postawić, bo i wysiłki pracy i pieniężne ofiary nie na wiele się zdadzą, jeżeli, czy to w taktyce, czy w technice organizacyi, czy w przewodniej jej idei w czemkolwiek się uchybi.

Sądzę więc, że utrafię w myśl ankiety, jeśli się pokuszę o podanie paru uwag praktycznych choćby tylko luzem i dorywczo dla braku czasu narzuconych, któreby miały na celu dorzucić do rojących się projektów organizacyjnych szczyptę wskazówek.

* * *

Przedewszystkiem należy przestrzedz przed fałszywem pojęciem organizacyi katolickiej. Zbyt często identyfikują akcyę Kościoła z działalnością partyi katolickich, czy społecznych czy politycznych. Jest to błąd zasadniczy; partye katolickie mogą, względnie muszą mieć pewne postulaty, które nie zawsze tem samem są postulatami Kościoła. Co do wielu punktów życia społecznego i politycznego, Kościół, jako taki, nie angażuje się ze swem zdaniem i, *servatis servandis,* pozostawia wolność pod tym względem działającym. Tymczasem partya katolicka wobec takich postulatów musi zająć jakieś pewne i określone stanowisko, które wcale nie wyklucza zdania przeciwnego politycznego, dającego się równie dobrze pogodzić z katolicyzmem.

Z fałszywego pojęcia organizacyi katolickiej wypływa dążność w organizacyach katolickich, również nie zawsze dobrze pojęta, do angażowania zbyt bezpośredniego hierarchii Kościoła, a jednak wszelkie zbyteczne i za daleko idące pretensye, domagające się anonsowania się dostojników Kościoła w akcyi organizacyjnej, mogą być zarówno utrudnieniem dla samej akcyi katolickiej, jak i dla książąt Kościoła. Akcya bowiem, jako taka, potrzebuje swobody ruchów, nieraz silniejszych akcentów, które trudno pogodzić czasem z wysokim nastrojem atmosfery, jaka musi otaczać każdy akt, wychodzący z pod pieczęci hierarchicznej. Odwrotnie — hierarchia staje się odpowiedzialną bez koniecznej potrzeby za sprawy i rzeczy, które nie zawsze są w bezpośrednim związku z samą nauką Kościoła. Ileż stąd nieraz trudnych kolizyi, ile powikłań, ile ambarasów i t. d. Następnie każda przegrana takiej partyi, skutkiem udziału bezpośredniego i afiszu hierarchii kościelnej, reprezentującej *par excellence* Kościół, staje się tem samem w opinii przegraną Kościoła.

Jeżeli jednak nie należy nadto bezpośrednio angażować hierarchii, to nie wynika bynajmniej z tego, jakoby książąt Kościoła miano z akcyi katolickiej wyłączać. Wszak oni są regulatorami życia duchowego i wewnętrznego; wszak oni mają głos przedewszystkiem tam, gdzie idzie o główne wytyczne idei katolickiej w jej przystosowaniu do potrzeb i życia publicznego i politycznego. Gdzież akcya katolicka znajdzie lepszą zachętę i podnietę, jeżeli nie u nich? Gdzież hasło jeśli nie stamtąd? Gdzież

indziej będzie szukał kapłan, rzucający się do pracy na niwie społecznej dla siebie umocnienia i utwierdzenia, jeżeli nie znowu w temże samem źródle. A te namiętnostki tysiączne, a te ambicye i ambicyjki, tak u nas, niestety, liczne, tak każdej chwili gotowe zachwaścić robotę publiczną, a nieraz zniszczyć plon cały, gdzie one znajdą zaporę dla siebie, zwłaszcza jeśli się gnieżdżą w sercach podwładnych, jeżeli nie znowu w hierarchii. Z niej idzie inicyatywa, z niej pomoc w zszeregowaniu ludzi; z niej aprobata na potrzebną wolność dla kleru, ale zarazem i regulator.

* * *

W organizacyi udział mieć mają zarówno świeccy, jak i duchowni. Świeccy nawet są właściwie i z natury rzeczy powołanymi do akcyi publicznej i politycznej. Tam jednak, gdzie takiego zastępu ludzi świeckich z poświęceniem brak, albo tam, gdzie lud niema do nich jeszcze dostatecznego zaufania, wyręczać ich musi kler. U nas np. jak i w Królestwie na klerze spoczywa lwia część pracy społecznej i organizacyjnej i roztwiera się dla duchowieństwa obecnie nowe wielkie i ważne pole.

Jeżeliby duchowieństwo przeoczyło obecną kryzys, dokonywującą się wśród ludu, jeżeliby zaspało, to wtedy nieprzyjaciel przyjdzie i nasieje kąkolu. Duchowieństwo zamknięte w zakrystyi, lekceważące sobie objawy życia i rozwoju społecznego i publicznego wśród ludu, będzie rugowane przez agitacyę wywrotową z samych zakrystyi. Los Francyi jest wielkiem »memento« dla nas. Ale nie chcę się zapuszczać w żadne wywody; raczej chodzi mi o dożynek uwag praktycznych.

Sądziłbym, iż w organizacyi katolickiej byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ażeby duchowieństwo wśród siebie było *ad hoc* zorganizowane. Tu zauważyłbym, że do tego celu może mniejby się nadawała urzędowa organizacya t. j. przez dziekanów: raz dla występującej, a nie zawsze pożądanej urzędowej marki, a powtóre dlatego, iż ruch i rozwój organizacyi zależy od ludzi po temu chętnych i uzdolnionych. Jeżeli do takich należy dziekan danej miejscowości, to tem lepiej, jeżeli jednak jest inaczej, to niechajże w takim razie duchowieństwo ze swego łona obierze

i upatrzy człowieka. Organizacye takie będą tem lepsze, im mniejsze stanowią je koła. Nie przeszkadza to zupełnie, owszem potrzeba, aby poszczególne oddziały później wiązały się i kojarzyły. Ale np. dobrzeby było, gdyby za taką komórkę organizacyjną służył np. tylko jeden powiat, o ile to oczywiście jest przez warunki dopuszczalne. Duchowieństwo bowiem jednego powiatu zna się bliżej z sobą i lepiej jest zżyte. W takim powiecie ukonstytuowuje się jakiś zarząd, obsyłany przez delegatów, a od czasu do czasu są zebrania przy dyskusyi jakiegoś referatu z kwestyi bieżących. Oczywiście tu podaję przykład tylko, sposoby mogą być różne, a biorę na wzgląd wypadek, gdzie kler zupełnie pozostawiony jest w pracy socyalnej tylko samemu sobie.

Zresztą nie od rzeczy wzmiankować tu należy, iż duchowieństwo łącząc się wzajemnie ma mieć na celu tem lepszą usługę dla drugich i dla społeczeństwa.

Strzedz się ono szczególniej musi choćby pozorów tylko jakiejś chętki ujęcia władzy w swe ręce, albo jakiej dążności do seperatyzmu wobec reszty społeczeństwa. Łącząc się wzajemnie ze sobą, ma ono mieć także na celu rozszerzenie swoich poglądów, jak i rozszerzanie coraz większe swego serca, jak i przemyśliwanie nad środkami, ażeby wszystko, co dobre i zdrowe we wspólną wciągnąć służbę Kościołowi i ojczyźnie.

Może nie zupełnie od rzeczy będzie tu na miejscu małe spostrzeżenie.

Powoływać się będę w dalszym ciągu na znakomitą organizacyę w Lublanie. Jedno jest tylko, coby tam usunąć należało: oto utworzyły się dwa obozy, jeden z księży przeważnie złożony, drugi zaś z intelligencyi, wzajemnie się zwalczające. Nie winię o to organizacyi katolickiej, za mało znam potemu stosunki, by sąd jakikolwiek wydawać, ale życzyćby należało, by rys rozdźwięku między partyą katolicką a partyą intelligencyi malał. Może obecnie założone gimnazyum katolickie przez niezmordowanego apostoła Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa Jeglicza do tego dopomoże.

* * *

Duszą organizacyi jest idea, która stanowi o żywotności organizacyi a zarazem jest osią ruchów i działań. Oczywiście rzeczą niezmiernej jest wagi, ażeby ideę tę wyłonić jużto z drgań wibrujących w duchowej atmosferze, już też z taktyki nieprzyjacielskiej, już też z duszy ludu, już wreszcie z psychozy partykularnych warunków miejsca i czasu.

Mnóstwo organizacyi tylko dlatego ginie i przepada, iż nie są oparte o taką właśnie żywotną myśl.

Do pierwszych warunków dobrej organizacyi należy, jak rzekłem, odkrycie tej myśli, a potem rozagitowanie jej przez pisma, odczyty, broszury, zgromadzenia; następnie założenie jej pod właściwym kątem do chrześcijańskiej zasady; w końcu przeszczepienie na glebę danych warunków ustroju psychicznego miejsca i czasu.

Myśl taka wspierać się będzie o postulaty sprawiedliwości społecznej, związane w zawodowe interesa, czy warstw robotniczych, czy też ludu. Nie może być też z programu wyrzucone to wszystko, co w kwestyach społecznych lub nawet politycznych interesuje lub nawet roznamiętnia ogół; prędzej bowiem czy później, choćby się murem od nich odgradzać, kwestye te, nazbyt żywotne, same wtargną w ramy programu. Zadaniem akcyi katolickiej będzie nie wykluczanie ich, ale raczej pochwycenie w ręce prądu i właściwe skierowanie go, a przez to samo odebranie monopolu reprezentowania interesów ludu tym, którzy ciągłem jątrzeniem chcą się stać ciągle koniecznymi, a zawsze jedynymi rzecznikami praw i swobód ludowych.

Nie wchodzę tu już w dalszą analizę tej kwestyi, powiem tylko raz jeszcze: jądrem organizacyi jest pochwycenie idei przez akustyczne ucho, a następnie indywidualizowanie jej i przystosowanie do miejsca, chwili, psychologii ludu przez duży, wytrawny, a nadewszystko praktyczny rozsądek. To też program organizacyi zupełnie nie tkwi w większej lub mniejszej liczbie postulatów. Może być całe mnóstwo imponujące mnogością różnych postulatów, wypisanych na sztandarze jakiej organizacyi, a jednak pomimo nich sam program będzie zupełnie anemiczny, skazany w samem swem poczęciu na śmierć głodową. Nawet powiedziałbym,

iż raczej lękać się należy mnogości postulatów, tak jak w rekolekcyach, jeżeli odbywający ćwiczenia duchowne idzie zbyt za popędem gorących swych chęci i czyni za dużo praktycznych postanowień, przez to samo najczęściej żadnego z nich nie spełni, podobnie, niestety, nieraz i gorączkujące w nas chęci działania społecznego, właśnie w swej mnogości kryją dla nas bodaj czy nie najniebezpieczniejszą pokusę. *In der Begränzung zeigt sich der Meister.*

Porównałbym ideę organizacyjną jeszcze do dziennikarstwa. Dziennika nie stanowią np. te wszystkie szczegóły i szczególiki, jakimi codziennie zapełnione są jego szpalty. Dziennik stoi przedewszystkiem jedną jakąś ideą. Dziennikarz zaś, to człowiek, który jedną myśl przelewa w tysiączne formy najróżnorodniejszych objawów, żłobiąc atoli tylko jedną ideę.

Nie potrzebuję już chyba nad tem osobno się rozwodzić, że program musi być aktualny i faktycznie doskonały. Wynika to przecie już z określeń poprzednich. Tu tylko dla illustracyi przytoczę przykład: Kiedy O. Badeni rzucił hasło walki z socyalizmem, chwycono się wtedy do zakładania »Jedności« i »Przyjaźni«, które jedne po drugich powstawały. Były to niezawodnie instytucye bardzo dobre i bardzo potrzebne; nie można jednak powiedzieć, by wobec organizacyi socyalistycznej one wystarczały. Potrzeba było dla taktyki organizacyi zawodowej; te mniej może wymagały pieniężnych ofiar, mniej ludzi; na jedną taką bowiem organizacyę zawodową wystarczyć mógł jeden oddany jej całą duszą kierownik. A jednak te właśnie i tylko te utrafiały w sedno rzeczy i były w stanie dać ujście rozbudzonym skłonnościom robotniczym słusznej ochrony swoich interesów, jak i tem samem przeciwważyć wpływ socyalistów.

Co do ludu np. również spóźniliśmy się z organizacyą ludową dobrze pomyślaną. Program zdrowy rzuciło było stronnictwo katolicko-narodowe. Ale, na ogół biorąc, programy ludowe okręcały się bardziej około strony religijnej i filantropijnej. Niezawodnie, że religia jest pierwszą i główną podstawą — *unum necessarium;* niezawodnie, iż kapłan pracujący nad ludem już z samego powołania swego przedewszystkiem ma uwzględniać stronę religijną ludu. Ale jednak z chwilą, kiedy lud został uświa-

domiony przez szkołę, kiedy przez nadania wolności obywatelskiej budzić się w nim zaczęły instynkty publicznego życia, — wtedy konieczną rzeczą było w program pracy ludowej włożyć to wszystko, co było w bezpośrednim związku z nową ewolucyą duszy ludu i stosunków. W przeciwnym bowiem razie pedagogowie niepowołani staną się w oczach ludu jedynymi rzecznikami jego interesów i z łatwością po pomoście obrony interesów doczesnych przedrą się do interesów ludu wyższych i poczną wydzierać sam skarb wiary.

Cóż powiedzą wtedy na to ci, którzy za jedyny program ludowy stawiali tylko i wyłącznie samo nauczanie religijne; co powiedzą, gdy ujrzą, że obok ambony w kościele roi się od ambon już też ukrytych, już też publicznych na wiecach, gdzie w imię najżywotniejszych interesów ludu, pod zręczną maską agitatora wywracaną jest sama prawda wiary? A niema nikogo, ktoby tam na miejscu fałsz zbił, a prawdę postawił; niema nikogo, któryby ludowi chwytającemu za złą broszurę, w rękę wcisnął dobrą, — bo program, zamykający całą pracę nad ludem tylko do zakrystyi, poza te ramy wyjść nie pozwala.

Lecz nie tylko zasadniczo, ale i taktycznie program musi być aktualny. Jeżeli np. lud socyalnie i politycznie poczyna zwolna dojrzewać, to błędnym będzie ten program, który radzi o ludzie bez ludu; który wtedy przeocza psychologiczny ustrój duszy, dążącej w każdym człowieku do pewnej samodzielności i do współudziału w radzeniu o sobie i rządzeniu sobą.

Ale dość już może tych wywodów. Mimowoli teraz narzuca się pytanie, jakiej to drogi użyć należy, ażeby dojść i dotrzeć do postawienia programu, nie przeładowanego balastem niepotrzebnych albo drugorzędnych dodatków, a utrafiającego w samo jądro rzeczy. Trudno mi w luźnie rzuconych uwagach obszerniej się rozwodzić nad tą niesłychanie ważną kwestyą. Ograniczę się tylko do paru pobieżnych uwag. Kiedy byłem w Lublanie i podziwiałem tam poprostu mistrzowski program akcyi całej i zapytałem, jak do takiego programu doszli, otrzymałem odpowiedź: »Zawiązkiem myśli organizacyjnej u nas był wiec katolicki, do którego jednak przygotowywaliśmy się inaczej, aniżeli

to zazwyczaj w takich wiecach się dzieje. Ograniczyliśmy się do tematów, będących tylko w najściślejszym i najbardziej bezpośrednim związku z duchowemi potrzebami naszego ludu, zdemoralizowanego wówczas lichwą i jęczącego zupełnie w niewoli socyalizmu. Oto urządziliśmy rodzaj ankiety i rok naprzód tematy, mające być dyskutowane na wiecu, już przedtem były rozesłane różnym osobom w kraju, którzy wyrażali o nich swą opinię i krytykę. W ten sposób wiec katolicki już nie wychodził z głowy kilku osób, mających na nim swe referaty, ale wypływał niejako z pracy duchowej całego społeczeństwa katolickiego i był nie tyle jej zapoczątkowaniem, ile raczej koroną i uwieńczeniem. W ten sposób program nie szedł z zielonego stolika i z doktryneryi do społeczeństwa, ale *vice versa:* rodził się z doświadczeń, zawodów, praktycznych poglądów ogółu — i dopiero tam odtworzony, przekąpał się w doktrynie«.

Dobreby były także do tego kursy socyalne, byle tylko teorya w nich nie przeważała i byle w nich wykładali ludzie także praktycznie z kwestyą socyalną obznajmieni. Nie potrzebuję już chyba o tem osobno wspominać, jak w dalszym planie rzeczą dzisiaj wprost niezbędną są kursy socyalne w seminaryum. W jednym z kraików cieszących się znakomitą organizacyą socyalną jednomyślna i gorąca akcya kleru, zawdzięcza się tylko przeważnie znakomitemu i praktycznemu kierunkowi jednego z profesorów, wykładającemu o kwestyach socyalnych. Ale to są już rzeczy dalsze, do najbliższych należałyby odpowiednio urządzone kursy socyalne, albo odpowiednio i praktycznie przygotowane wiece, względnie ankiety. Program przedyskutowany w szerokiej masie, ma przedewszystkiem to za sobą, iż nie wychodzi tylko z papierzanego statutu, który sam jeszcze nikogo nie zdolen zapalić, ani nikim pokierować; lecz przedewszystkiem wspiera się na prawdziwie rozbudzonym interesie społeczeństwa. Nie jest tedy dalej żadnym sztucznym produktem, sztucznie przez reklamę importowanym, ale osadza się o istotne i żywotne ogniska. Nie pomija następnie niczego z kwestyi żywotnych, a wyzbywa się wszystkiego, co jest balastem. W braku bowiem przygotowania dostatecznego, intellektualnego i praktycznego, najczęściej obfi-

tość postulatu, jest wypływem braku przetrawienia rzeczy. Mniejsze i większe rzeczy kotłują tam bezładnie, a nieraz przeoczonem zostaje to, co jest najistotniejszem, a na pierwszy plan wsadzone to, bez czego śmiało obejśćby się mogło.

* * *

Nie dość nam jednak na tem, ażeby mieć w programie wyrażone, co robić: ci, którzy program stawiają, muszą jeszcze objąć sposób, w jaki należy działać.

W naszem społeczeństwie, bardziej uczuciowem, o przewadze wyobraźni, panuje pod tym względem wiele złudzeń, za któremi idzie niedoszłość czynu. Cała bowiem energia wyładowuje się w hasła, które ulatują ze słowami; dlaczego? dlatego właśnie, że nam się zdawało, iż skoro rzucimy słowo, to ono już samo ze siebie porodzi czyn; dlatego, żeśmy nie wzięli w rachubę z ołówkiem w ręku pozytywnych warunków czynu, jego proporcyi do programu, jego stopniowych ewolucyi i jego metody. I właśnie dlatego jesteśmy tak hojni w programy, iż tak mało *a priori* bierzemy w rachubę to »jak«. W dodatku jesteśmy niepoprawni dlatego właśnie, że nie widzimy źródła naszego błędu, rzuciliśmy ogromny program, który niby kloszem dużym miał odrazu kraj cały okryć siecią organizacyjną. Upoiliśmy się sami programem, upojeniu wtórowała prasa i duża reklama. I my tą miarą wyładowania uczucia i wyobraźni w słowa i hasła, już mierzyliśmy powodzenie dzieła. Naturalnie, że czyn tem rychlej spalił na panewce, im mniej mógł się dostroić do kątów olbrzymich programu, im bardziej myśmy myśleli nad tem, co powiedzieć, a nie przemyśleli nad tem, jak zrobić.

Czyny zawiodły.

A nas ogarnęło zdumienie, jak mógł taki świetny program tak nie dopisać. I winimy wszystko i wszystkich, tylko nie siebie.

Spychamy wszystko na apatyę. I cóż? zrywamy się znowu, ale czy do czynu?

Nie. Chcemy znowu budzić z odrętwienia społeczeństwo przez nowe programy, które chorują na tę samą chorobę, co niedawno pogrzebane: chorobę chroniczną nieproduktywności.

Rozumiem to dobrze, że społeczeństwo potrzebuje od czasu do czasu mniej lub więcej silnej ekscytacyi; potrzebuje rozruszania przez hasła i programy, ale one winny być zawsze tylko środkiem do celu; nie wolno im z upodobaniem, zakochawszy się w sobie, zatrzymać się też na sobie, bo jak okwiecia zadaniem jest wydanie owocu, tak tendencyą uczucia jest zrodzenie czynu.

Ponad tą tedy uczuciową, eteryczną powłoką mają się rylcem realnym przebijać kontury czynu. Ma być utworzona ekonomia sił społecznych, które się nań składają; mają być wzięte w rachubę już z góry przeszkody i trudności, mają być przewidziane te właśnie dzieła, które z programu ściśle wynikają; ma być odmienne, wyrachowane, pogłębione to »jak«.

Jeżelibym się nie lękał sprzeczności, tobym powiedział, że więcej zależy nawet na »jak«, aniżeli na »co«.

Cała znakomita organizacya w Lublanie bierze swój praktyczny początek ze starej maszyny drukarskiej, zapisanej przez proboszcza na rzecz dyecezyi. Ona wywołała zaraz potrzebę powołania paru ludzi, którzyby się nią zajęli — i to był pierwszy komitecik organizacyjny. Ci ludzie zaczęli myśleć o wydawnictwie broszur dla ludu. Te wydawnictwa broszur pociągnęły za sobą potrzebę wytworzenia tych, coby je rozdawali, więc agitatorów. Oto, jak z danego faktu na chybił trafił poruszonego, z żenującej darowizny, z którą nie wiedzieć było, co począć, z bardzo skromnego faktu i czynu wybijała się jednak zwolna zasada, wyłaniał się program. Prawiebym użył tego paradoksu, że ci ludzie nie wiedzieli zrazu co czynić, ale za to wiedzieli, jak robić i przez to »jak«, dochodzili do tego »co«. Robić tedy przedewszystkiem, choćby czasem na chybił trafił, chwytając się jakiegoś konkretnego czynu, a wtedy energia i wytrwałość będzie rozszerzać granice i wydobywać kręgi świateł.

Inaczej będziemy się wysilać na programy, które zwolna będą się obracać w zabawkę, ale niestety w zbyt kosztowną zabawkę, bo marnującą energię, bo rodzącą w duszach zawód i pesymizm, iż u nas nic się nie zrobi.

Ażeby jednak zejść do jeszcze bardziej praktycznych wniosków »jak«, powiem tutaj, iż organizacya w sposobie swego pro-

wadzenia zapotrzebowuje dwu środków: idei i nieraz choćby tylko jednego jakiegoś dzieła do niej dostrojonego.

Ale w sposobie tym »jak«, chodzi nie o to już, ażeby mieć ideę, tylko raczej o sposób jej rozprowadzenia i rozagitowania. Do tych sposobów należą: słowo pisane, rozchodzące się poza pismami, przez broszury czy książki i słowo żywe, promulgowane prywatnie albo na zebraniach czy wiecach.

W organizacyi ta propaganda idei nie powinna iść na chybił trafił i być tylko dorywczą. Ma ona przeciwnie dążyć do systematycznego odżywiania przez ideę ogniska duchowego organizacyjnego. Zadaniem tedy organizacyi będzie dobór broszur czy pism, dostrojonych do teoretycznych i praktycznych potrzeb ludu a następnie technika organizacyi słowa przez pośrednictwo agitatorów, działających już to prywatnie już też, o ile to konieczne, przez zjazdy i wiece.

Gdzie takiego aparatu organizacyjnego praktycznego brak, albo gdy ludzie nie wiedzą, jak się wziąć do rzeczy, tam nawet dobrze założona organizacya usycha i gaśnie tak, jak gaśnie lampa, nie podsycana i nie zasilana olejem palnym.

Oczywiście, że strona praktyczna, odzwierciedlająca się w broszurach, mowach i wiecach, musi być odbiciem strony idealnej programu.

To też broszury czy mowy wiecowe nie mogą mieć tylko idei negatywnej. To jest nie mogą mieć tylko jednego na celu, przestrzeżenia ludu przed złem; bo jak program musi mieć w sobie pozytywną jakąś ideę, która dąży do poczęcia i rozwoju w ludzie idei pozytywnej, opartej o wymiar sprawiedliwości społecznej, przez konsekwencyę i w broszurze i w słowie agitatora ów ton przewodni, drgający w idei chrześcijańskiej demokracyi, musi stale tkwić i stanowić tło żywego czy pisanego, prywatnie czy w zgromadzeniu wypowiedzianego słowa.

Obok słowa potrzeba dać ludowi realne korzyści. Tem się właśnie odróżnia katolicka organizacya od wywrotowej, że ta ostatnia żyje z ciągłego jątrzenia i ciągłego obiecywania. Ta pierwsza zaś piętnuje wprawdzie niesprawiedliwość, gdzie należy,

ale dąży przedewszystkiem do łagodzenia ran, przez utrwalanie na ziemi, przez pozytywne działanie królestwa sprawiedliwości.

I jeżeli organizacya katolicka nie jest w stanie przelicytować organizacyi wywrotowej, przez obietnice siane złą wiarą i kłamstwa, to za to z drugiej strony ma wyższość nad nią przez konkretną i realną pracę.

I znowu powiem: nie chodzi o wiele dzieł, może być choćby jedno, ale dobrze dostrojone i należycie zorganizowane. Widziałem np. w jednym kraju znakomitą organizacyę, której cała siła materyalna spoczywała w t. zw. konsumptvereinach.

* * *

Z tem wszystkiem, co tu powiedziałem, łączy się ściśle jedna praktyczna uwaga, którąbym zdefiniował w słowach: organizacya nie tyle stoi programem, ile raczej człowiekiem. Życie bowiem czynu nie idzie z suchych formułek jednego czy drugiego statutu, ale z inicyatywy, energii i wytrwałości człowieka. To też ci, którzy o organizacyi myślą, niechaj prędzej raczej się oglądną za ludźmi dobrymi, aniżeli za dobrymi statutami. Dobór ludzi tam, gdzie trzeba, ich wyszkolenie, stworzenie dla nich odpowiednich warunków zewnętrznych — oto główna troska praktycznych twórców organizacyi.

Niestety, powiedzieć sobie potrzeba, że nieraz u nas zakrój organizacyi, o jakiej przed chwilą mówiłem, bardziej obrócony ku wyładowaniu się słowa, pociąga za sobą lekceważenie troski o dobór ludzi; a nieraz wprost zszeregowaniu ludzi przeszkadza. Jeżeli mi bowiem przedewszystkiem o to chodzi, ażeby rozreklamować nowy statut i nową myśl, to będę się wtedy oglądał przedewszystkiem na reklamowanych prezesów czy wiceprezesów, którzy mają pociągać nie tyle swoją zdolnością, wytrawnością i poświęceniem — ile raczej swem nazwiskiem i stanowiskiem. Rozstrzyga więc w takich razach nie ta dewiza, kto do tego sposobny, ale kogo prosić wypada.

Przestrzegam także przed pewnym błędem, niestety, nierzadkim w organizacyach katolickich. Oto upatruje się często ludzi, których katolicyzm, proszę się nie gorszyć tem słowem, jest nie-

jako w opinii opatentowanym, i którzy nieraz przy swoich prawdziwie głębokich zasadach religijnych, nie mają zdolności ani warunków do przewodniczenia akcyi. Natomiast usuwa się od roboty ludzi, którzy choć mają przekonania katolickie, jednak nie zawsze narzucają w występach i obchodach bardziej dewocyjnego charakteru. Ks. Kalinka podobno mawiał, jeśliby miał do wyboru, jakiemu szewcowi miałby dać buty do roboty, czy bardzo pobożnemu, ale lichemu majstrowi, czy też innemu, który naturalnie nie gorsząc swem życiem, jednak dobrze robi — dałby obstalunek raczej temu ostatniemu. Zresztą ludzi wysoko pobożnych jest zazwyczaj niewiele, to też wciągani do wszystkich możliwych stowarzyszeń, zawsze ci sami, nareszcie podołać nie mogą i zużywają się. Wszystkie zaś ich niedobory, czy w zdolnościach czy w działaniu, szkodzą lub dyskredytują samą akcyę katolicką. Zresztą w tendencyi pewnej ekskluzywności tkwi jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Łatwo się wyradza w takich razach nadużycie przez ludzi, jakich nigdy nie brak, a którzy brak charakteru i zasad pokrywają dewocyjną stroną. Dzięki tej pokrywce wysuwają się naprzód, trzymając się katolicyzmu, jako środka do celu, kiedy tymczasem prawdziwi katolicy, uczciwi i nieposzlakowani w charakterze ludzie trzymani są na uboczu.

Nie rozdawajmy tedy patentów dla akcyonaryuszów katolickich, ale demokratyzujmy niejako ideę katolicką, dbając naturalnie zawsze o siłę zasad i pomnąc także nieraz w sprzymierzeniu się z ludźmi na to, że sama ekonomia Boża w prowadzeniu ludzi nie szablonowemi chodzi drogami.

* * *

Ostatnia uwaga mi się nasuwa o samym zarządzie centralnym, który winna mieć każda organizacya. Mojem zdaniem, jedna z przyczyn nieudawania się organizacyi tkwi do pewnego stopnia w sztucznem narzucaniu centralnych komitetów czy zarządu, które jednak nie mają łączności czucia z ogniskami żywotnemi w poszczególnych częściach kraju. Znowu powiedziałbym tutaj: niechaj raczej z poszczególnych ognisk, jakby autonomicznych akcyi w kraju wyłania się siłą konsekwencyi zarząd centralny,

ale nigdy odwrotnie: niechaj nigdy zarząd centralny, złożony z ludzi, którzy dlatego do niego wchodzą, że np. w danem mieście się znajdują, nie zastępuje potrzeby tworzenia lokalnych ognisk akcyi katolickiej.

Jak się tu bowiem często dzieje, gdy postanawiamy jakąś akcyę, zwołujemy ludzi, którzy radzą nad programem; potem wybieramy wydział, ten ma przygotować statuta, ten ma być rządem tej organizacyi. Wydział wybiera się najczęściej podług recepty wyżej wzmiankowanej; tego wziąć wypada, ten lub ów był łaskaw przybyć na zebranie, niechże będzie jednym z działających, i oto jest sztab generalny; ale cóż z tego, kiedy nie myśli się o wojsku, nie myśli się o tem i nie myślało, ażeby powciągać do akcyi ludzi z prowincyi, znanych nieraz z chlubnej działalności w innych stowarzyszeniach, nie myśli się też o tem, żeby już gotowe i wyrobione kadry prowincyonalnych organizacyi wciągnąć w całość. I zamiast, coby arterye życia pulsując w poszczególnych ogniskach, zasobem swoim ciągle zasiłały centrum, dzieje się inaczej, bo istnieje samo centrum bez ognisk innych i naturalnie, sztucznie żyjąc w solnej puszczy, usycha i marnieje. Mnieby się tedy zdawało, że może wskazańszemby było, wszędzie tam tworzyć centra zarządu, gdzie albo już jest akcya katolicka organizacyjnie rozwinięta, albo łatwo rozwinąć się może. Jest to jeszcze u nas i z tego względu wskazane, że między miastem większem a miastem mniejszem panują konkurencye, stwarzające nastroje, pod których względem np. się mówi: a skądże Kraków przychodzi do tego, by miał mieć komendę uad Lwowem i *viceversa* i t. p. Czy jednak nie potrzebny jest zarząd centralny? Owszem potrzebny, ale niechaj nie stwarza się sztucznie, lecz niechaj na razie stanowi raczej biuro informacyjne i biuro pomocy organizacyjnej. Niechaj niejako wprzód czynami wysługuje sobie zarząd. A ileż to zadań spoczywać na nim będzie: jego rzeczą, do niego należy np. wyszukiwanie i postawienie tam, gdzie należy, ludzi; do niego wybór i wyrabianie mowców; do niego statystyka pracy; do niego przegląd sił nieprzyjaciela i t. d. Ale wszystko czynić on będzie nie narzucając się swą władzą i komendą, ale raczej ofiarując

swe usługi. Zapewne rozumiem to, iż potrzeba i nazwiska jakiegoś, jako sztandaru, ale o ile o taki byłoby trudno, to niechaj raczej takie biuro pracuje w ukryciu; raczej innych niechaj wysuwa, innych zasila, a samo pozostaje w cieniu, aniżeli coby miało być złudzeniem, że utrzymana władza przez takt, zastąpi formowanie komórek życiowych, indywidualizujących akcyę i organizacyę katolicką w poszczególnych punktach kraju.

Gdyby mi przyszło krótko zebrać wszystkie te luźne, narzucone myśli i uwagi i ściągnąć je w obrazek praktyczny i realny, tę wyobrażałbym sobie w ten sposób pracę organizacyjną.

1. W przeciwieństwie do d o r y w c z e g o p r z y g o t o w a n i a należałoby pogłębić ideę organizacyjną czyto przez kursa socyalne, czyto przez wiece: jedne atoli i drugie nie winny poprzestawać na samem rozbudzeniu myśli i uczucia, ale raczej przysposobić bezpośrednio do akcyi przez dobór tylko takich referatów, które w bezpośrednim z nią stoją związku, i które praktycznemi wskazówkami poddają sposoby działania.

2. W przeciwieństwie do n a j o b f i t s z y c h p r o g r a m ó w, grzeszących mnóstwem postulatów, należałoby zredukować wymogi pracy organizacyjnej *ad minimum*. Domaga się tego już nie tylko zdrowy program organizacyjny, ale nadto stan naszego społeczeństwa. Jesteśmy w końcu zrażeni ciągłemi próbami organizacyjnemi. A przytem nie posiadamy żadnej szkoły i żadnego wyrobienia w tym kierunku.

Nie posiadamy przeto ani soków żywotnych do strawienia wielu potraw i zgryzienia mnogich i twardych postulatów, a nie mamy także rozpędu ożywionego nadzieją potem, pesymizm bowiem podciął nam skrzydła.

A więc jak najmniej postulatów; choćbyśmy się tylko ograniczyli do jednego: do dobrej organizacyi broszur i kolportażu.

4. W przeciwieństwie do zasady, iż do n o w e g o d z i e ł a potrzeba statutu nowego, powiedzmy sobie, iż do nowego dzieła potrzeba przedewszystkiem człowieka. Opatrujmy się wpierw za człowiekiem, a potem za programem, opatrujmy się za człowiekiem całym, który wszystkie swe siły włoży w dzieło, a gdyśmy

takiego znaleźli, złóżmy z niego wszystkie obowiązki i dajmy mu warunki materyalne, by się mógł tej jednej sprawie cały oddać.

4. W przeciwieństwie do systemu tworzenia przedewszystkiem reklamowanych wydziałów oglądajmy się za ogniskami działalności autonomicznie skonstruowanemi w kraju, biorąc np. parafię, w której proboszcz, nauczyciel, pisarz, ekonom, co wybitniejsi włościanie stanowić będą zawiązek organizacyjny, a zarazem mężów zaufania, czyli te druty, po których iskra organizacyjna ma się przelewać i przechodzić. Tak jednak, jak zarząd centralny jest niczem bez ognisk organizacyjnych, tak naodwrót one same z siebie są za słabe, jeżeli nie będą zasilane z jakiegoś obfitszego źródła, z jakiegoś centralnego biura, czy przez broszury, czy przez mowców, czy przez instrukcye, czy wreszcie przez pieniądze.

5. Idea sama organizacyjna niechaj będzie rdzennie żywotna, a ludzie jej służący niechaj się strzegą zbytniego separatyzmu i wciągają do wspólnej pracy tak instytucye, które się wciągnąć dadzą, jak i ludzi.

6. O ile idea akcyi organizacyjnej winna być w dyecezyach jednolitą, o ile załamanie się jej zwłaszcza w chwili krytycznej, jaką jest dzisiejsza, w różnych punktach, istotną byłoby szkodą i niepowetowaną dla społeczeństwa, o tyle z drugiej strony sama akcya tej idei odpowiadająca, winna się o ile możności indywidualizować i lokalizować. Nie te z góry idące programy akcyi, ale o ile możności, które wychodzą ze znajomości lokalnych stosunków i potrzeb mają gwarancyę udania się, mogą one być zapewne w związku, a nawet winny być przewodnią myślą całości. Niech tylko o ile być może programy ich praktyczne jak najmniej wychodzą z góry, a jak najczęściej z dołu; zresztą lokalne zabarwienie dzieł potrzebnych da się doskonale pogodzić z uwzględnieniem idei centralnej. Komitet np. lokalny jakiego probostwa, choćby powiatu, radzący nad potrzebami miejscowemi, przybiera do debaty jakiego delegata czy delegatów już to biura centralnego, już też zarządu. Powtarzam tedy raz jeszcze: strona ideowa odbijająca się w programie broszur, przemów czy zebrań, niech

będzie jak najbardziej jednolitą; strona praktycznej akcyi, jak najwięcej zlokalizowana i indywidualizowana.

* * *

Na tych kilku luźnych uwagach zamykam moje rozważania. Nie mają one pretensyi do poważniejszej pracy, ale jeśliby pomogły przy tylu dobrych chęciach, jakie ożywiają nasze społeczeństwo, gdyby pomogły do sprostowania choćby jednego taktycznego błędu, albo też do powzięcia jakiej myśli praktycznej, wtedy aż nadto uczyniły.

Arcybiskup Teodorowicz.

Z powodu dłuższej nieobecności i natłoku zajęć, dopiero dzisiaj mogę odpowiedzieć na pytanie Szanownej Redakcyi, i to bardzo krótko, bo czasu zbyt mało, a pytanie niezmiernej wagi i objętości.

Zdaje mi się, że zadaniem naszem w obecnych stosunkach jest:

1) Wszelkimi środkami (starymi i nowymi) budzić i potęgować ducha katolickiego we wszystkich warstwach społeczeństwa, ze szczególnem uwzględnieniem dojrzalszej młodzieży (do środków nowych zaliczam konferencye apologetyczne i wykłady o kwestyi społecznej po większych miastach).

2) Skupiać ludzi dobrej woli bez różnicy stronnictw politycznych pod sztandarem katolickim.

3) Przeprowadzać ścisłą organizacyę katolicką, iżby stawić czoło złym prądom, a szczególnie socyalizmowi, który dziś stara się opanować nasze miasta, a jutro pójdzie do miasteczek i wiosek, a w tym celu:

a) Tworzyć (względnie popierać) stowarzyszenia odpowiednie dla każdej warstwy społecznej.

b) Łączyć te stowarzyszenia w ściślejsze związki katolicko-społeczne miejscowe, miejscowe w dyecezalne, dyecezalne zaś w jeden związek krajowy.

c) Rozwijać żywszą akcyę na polu społecznem, zapatrując się na Belgię, Niemcy i Włochy.

d) Urządzać corocznie wiece katolickie, ale na mniejszą skalę, obchodząc kolejnie większe miasta.

e) postarać się, aby nie tylko we Lwowie i w Krakowie jeden z większych dzienników był organem katolickiej organizacyi, ale by także w większych miastach kraju wychodziły lokalne pisma katolickie dla paraliżowania lokalnych pism socyalistycznych.

f) urządzać choć co parę lat w Krakowie albo we Lwowie kursa w kwestyi socyalnej, wydawać książki tej treści, zaprowadzić w seminaryach regularną naukę socyologii (co już poniekąd się dzieje).

g) Zajmować się gorąco a mądrze sprawą oświaty ludowej (a w tej myśli zakładać czytelnie i t. d.).

Wszystkie te kwestye trzebaby obszernie omówić, ale na to nie mam czasu.

Przesyłając Szanownej Redakcyi błogosławieństwo biskupie, zostaję z prawdziwem poważaniem

oddany w Chrystusie

† *Józef Seb. Pelczar.*

List Sz. Redakcyi z dnia 20 października u. r. otrzymałem już po dniu 4 grudnia u. r., który był zakreślony, jako terminowy do nadesłania mej opinii.

Ważne kwestye, poruszone w tem piśmie, należałoby szerzej roztrząsnąć. Dla braku jednak ku temu czasu, zaznaczam krótko, że mojem zdaniem, obecnie najwięcej potrzeba zwrócić uwagi na pasterzowanie parafialne, czyli na stosunek pasterza do ludu i klasy robotniczej, udzielając w celu umoralnienia i religijnego prowadzenia ludu nie tylko rad, ale pomocy i wskazówek.

Lud nasz dotąd był odsunięty od spraw społecznych, nie miał przeto pojęcia o sprawach ogólniejszej natury, osobliwie o zarządzie krajem. Obecnie należy go uświadamiać z jego pra-

wami oraz kierować nim, by wolności w zawieraniu związków i występów publicznych i praw mu udzielanych na złe nie użył.

W tym celu proponowałbym środki:

1. Zakładanie pism religijnych lub religijno-społecznych popularnych.

2. Informowanie ludu o złych pismach i broszurkach gwałtem mu narzucanych.

3. Zakładanie związków i stowarzyszeń, na czele których mogliby stać kapłani, w celu opieki bliższej i kierownictwa nad ludem.

Przytem łączę wyrazy życzliwości, by zamiary Redakcyi mogły być uwieńczone obfitym owocem.

X. Kuliński, Bp. D. Kieleckiej.

Dziękując P. O. za skierowanie do mnie po dwakroć pytania co do szczególniejszych zadań katolicyzmu u nas w obecnej dobie, przedewszystkiem zaznaczam, że na ziemi polskiej pod berłem rosyjskiem jest potrzeb, a stąd zadań i pracy bardzo wiele tak, iż w tym ogromie pragnę zwrócić uwagę tylko na jeden przedmiot, którego pomyślne rozstrzygnięcie wpłynie bez wątpienia na rozwiązanie innych kwestyi.

Taką palącą i górującą ponad innemi sprawą jest pomnożenie liczby pracowników wśród wiernych, a szczególniej wskrzeszenie na ziemiach polskich klasztorów zakonnych, tych rozsadników cnoty i doskonałości chrześcijańskiej. Wszak to zakonnik w klasztorze, zapierając się świata i siebie, jak pięknie mówi św. Bernard, *incedit cautius, cadit rarius, surgit velocius, vivit purius, quiescit securius,* poświęca się całkowicie Bogu i zbawieniu dusz ludzkich, nie szukając ani oczekując tu żadnej nagrody lub uznania. Zakonnicy z zaparciem głoszą wszędzie naukę Chrystusową, aby wszyscy wiedzieli, w co wierzyć i jak żyć należy dla dojścia do szczęścia doczesnego i wiecznego, pomni tego, co mówi Duch Pański, iż Bóg zarówno nienawidzi niezbożnika i niezbożności jego (Mądr. XIV, 9), a z drugiej strony, że przez wszy-

stek żywot mamy Go miłować (Ekkli. XIII, 18). Otóż doskonały zakonnik, kochający we wszystkiem tylko samego Boga, najlepiej uczy jego znajomości i miłości. Wiemy zaś, gdy ludzie umiłują Pana Boga, zachowają mowę Jego (Jan XIV, 21, 23) tj. naukę i przykazania Jego, wtedy będą spokojnymi i pożytecznymi obywatelami kraju i dobrymi chrześcijanami, gotowymi wśród dzisiejszego osłabienia wiary i wichrzenia bezbożnych do powtarzarzania słów braci Machabejskich: »Gotowiśmy raczej umrzeć, niźli zakon Boży ojczysty przestąpić« (Machab. VII, 2).

Prowincya kościelna warszawska, o której mogę tylko mówić, składa się dziś *de facto* z siedmiu dyecezyi, liczących wogóle według ostatnich katalogów dyecezalnych, jakie mam pod ręką, 7,602.381 wiernych (Warszawska 1,742.289, Kujawsko-Kaliska 1,297.820, Płocka 793.298, Lubelska z Podlaską 1,313.225, Kielecka 945.324, Sandomierska 818.753 i Sejneńska 691.672) w 1680 parafiach z 2743 kapłanami, (Warszawska 548, Kujawsko-Kaliska 505, Płocka 370, Lubelska z Podlaską 395, Kielecka 303, Sandomierska 277 i Sejneńska 345). Z tej liczby duchowieństwa 262 kapłanów zajmuje posady profesorskie i nauczycielskie po seminaryach i zakładach naukowych, albo kapelańskie przy rozmaitych instytucyach, albo wreszcie ci kapłani są emerytami lub niezdolnymi do pracy tak, iż pieczy dusz we wszystkich dyecezyach oddaje się zaledwie 2481 kapłanów. Pomijając nagły wzrost wiernych w ubiegłym roku, szczególniej w dyecezyi Lubelskiej, pod którym to względem nie mam dotąd danych szczegółowych, zaznaczam, że przeciętnie bardzo nierównoznacznie co do pracy pasterskiej rozłożona jest liczba dusz na jednego kapłana tak, że pomiędzy dyecezyą Sejneńską a Lubelską różnica wynosi prawie 1600 dusz. W szczególe na jednego kapłana wypada wiernych: w dyecezyi Sejneńskiej 2141, Płockiej 2312, Kujawsko-Kaliskiej 2581, Sandomierskiej 3136, Kieleckiej 3248, Warszawskiej 3674 i Lubelskiej 3730.

Cyfry te nie są dokładne, bo, jak wnoszę po mojej dyecezyi, podawana liczba katolików dla rozmaitych przyczyn nie zawsze zgadza się z rzeczywistością. Faktycznie zupełnie pewna jest liczba kapłanów, a liczba wiernych od powyższych cyfr jest

wyższa, stąd też i większa liczba katolików przypada na opiekę duchowną jednego kapłana. Tak niekorzystnego stosunku liczby wiernych do jednego kapłana niema, o ile mam dane pod ręką, w żadnej dyecezyi galicyjskiej ani w dyecezyach Poznańskiej i Gnieźnieńskiej. Nadto, dyecezye galicyjskie mają liczne klasztory, które korzystnie pracują nad oświecaniem i umoralnieniem ludu chrześcijańskiego i przychodzą z wielką pomocą duchowieństwu świeckiemu. Tymczasem w prowincyi kościelnej Warszawskiej jesteśmy prawie zupełnie pozbawieni pomocy ze strony zakonników. Moja dyecezya miała niedawno największą liczbę klasztorów, dziś to wszystko upadło, bo klasztór OO. Paulinów na Jasnej górze nigdy nie wystarcza na bardzo liczne potrzeby pątników, a w Włocławku u OO. Reformatów i w Kole u OO. Bernardynów są tylko starcy, bo najmłodsi z nich mają około 70 lat wieku. Z tego powodu cały ciężar pracy kapłańskiej w kościele i poza kościołem spada wyłącznie na barki duchowieństwa świeckiego.

Wobec powyższego wyjaśnienia dochodzę do wniosku, że gwałtowną potrzebą dla dyecezyi naszych jest wskrzeszenie, a względnie sprowadzenie zakonów odpowiednich do głoszenia słowa Bożego, jako nauk, kazań i konferencyi rekollekcyjnych i misyjnych, a także do sprawowania św. Sakramentów, bo kapłani nasi po większych i fabrycznych miastach są wszędzie pracą przeciążani i nie mogą się innym a licznym zadaniom, jak należy poświęcić. Nie rozwiązuję dziś pytania, jakich nam zakonów najbardziej potrzeba, bo ta kwestya zależy od wielu okoliczności, ani też jakie są na to środki materyalne, bo mam głęboką wiarę, że Opatrzność Najwyższa do sprawy tak wielkiej, bo Bożej, wskaże drogę i pieniędzy przez ludzi dostarczy.

Żniwo u nas obfite, proszę zatem z pokorą i wiarą i ufnością Pana żniwa, aby zesłał coprędzej pożądanych żeńców, którzyby snopy z pełnymi kłosami składali w gumnach niebieskich, dokąd sam Bóg przeznaczył.

Łączę dla Przewielebnego Ojca wyrazy wdzięczności, bo się tu wypowiedzieć mogłem w ważnej dla nas sprawie i szacunku, z którymi zostaję. *†. St. Zdzitowiecki.*

Zbyt późno otrzymałem dwa zaproszenia Wasze, abym m dokładniej na takowe odpowiedzieć. A i ta krótka odpowiedź wąt czy na czas oznaczony przyjdzie.

U nas w Warszawie, zadanie katolicyzmu w stosunku robotników zależy na oświeceniu tej masy ludzi. Robotnicy, zw szcza fabryczni, nie umieją przeważnie ani czytać, ani pisać. Pr rozwinięciu umysłowem bardzo słabem, dają się łatwo uw dzić agitatorom, którzy ich prowadzą na bezdroża. Jednocześn z oświatą, opartą na gruncie religijnym i moralnym tworzyć s powinny związki robotnicze, w celu polepszenia ich bytu mat ryalnego. Te dwa zadania tj. oświecenia religijno-moralnego i po niesienia dobrobytu należy prowadzić umiejętnie i szybko, gdy wypadki pędzące gwałtownie naprzód, domagają się niemniejszeg pośpiechu w tym kierunku.

Wiele ma katolicyzm do spełnienia u nas wśród młodzież klasy rzemieślniczej i cechowej. Młodzież ta wprawdzie otrzymuj słabe wykształcenie w tutejszych szkołach niedzielnych, rzemieśl niczych lub w szkołach miejskich elementarnych, ale dla brak gruntowniejszej znajomości zasad wiary i praktyk religijnych staje się ona materyałem zbyt podatnym do propagandy antyre ligijnej, przewrotowej. Zapomocą związków i kółek urządzan odczyty, wykłady, pogadanki zarówno na tle religijno-moralnem jakoteż i w kierunku specyalnego wykształcenia, przedstawiają się jako nieodzowne zadania do spełnienia. Kapłani i świeccy katolicy znajdą tu dla siebie nader obszerne i wdzięczne pole do pracy.

W parafiach wiejskich najpilniejszą pomocą, jak mnie się zdaje, jest utworzenie związków (kongregacyi według encykliki Ojca św.) katechizmowych. Lud umysłowo doskonale się rozwija przez dobre nauczanie katechizmu. Równocześnie przez związki dążenie do polepszenia bytu materyalnego.

Niemniej ważne a pilne zadanie przedstawia się w stosunku do klasy ludzi (jak dziś mówią) intelligentnych. Ogromny tu brak uświadomienia religijnego. Zowią się katolikami niekiedy nawet praktykującymi, ale zasad katolickich nie znają. Otóż skupienie ludzi, pragnących być katolikami w pewne związki czy koła, da-

łoby zrozumienie zadań katolickich, podniosłoby w nich odwagę do przyznawania się zawsze i wszędzie za prawdziwych chrześcijan katolików. W takich kołach ludzi wykształconych może się zrodzić wiele dobrych i pożytecznych projektów.

Te są zadania, które ma katolicyzm do urzeczywistnienia. Kilka tych myśli pokrótce rzuconych na papier przesyłam Szan. Ks. Redaktorowi.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

† *K. Ruszkiewicz.*

ANKIETA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

(Ciąg dalszy).

Samolubstwo, rozbujałe aż do egoteizmu, jest tym zarazkiem, który znieprawił myślenie i wolę społeczeństwa i sprowadził rozstrój dzisiejszy w rodzinach, szkolnictwie i stosunkach zarobkowych.

Nań zaś istnieje tylko jedno radykalne lekarstwo, to jest: szczepienie wielkiej, czynnej, ofiarnej miłości bliźniego. Na miłowanie niema jednak siłowania. Każda próba, żeby miłość wymusić ustawą świecką, oddali stany jeszcze bardziej od siebie. Zdolna ją rozniecić tylko religia katolicka, bo w niej jednej mieści się całe morze światła, wzór najofiarniejszej miłości Boga i bliźniego, najdoskonalsze pobudki do poświęcenia się za drugich razem i najskuteczniejsza pomoc dla człowieka, aby chciał i umiał miarkować się w mnożeniu bogactw i ograniczać w zarobkowaniu przez wzgląd na dobro drugich ludzi.

Stąd też szczególniejszem zadaniem, jakie dzisiaj Kościół katolicki ma do spełnienia na całym świecie a więc i w Polsce, to praca najusilniejsza o powiększenie w społeczeństwie miłości Boga i bliźniego, aby wzięły przewagę i górę nad egoizmem jednostek i klasowym i zmożyły go.

Zadania tego Kościół może dokonać tylko przez dobre duchowieństwo. Szczególniejszym tedy znowu biskupów obowiązkiem, wychowanie jak najświatlejszego i na każdą pracę i niedolę ludzką ofiarnego kleru. Zakony muszą też wrócić do swego pierwotnego

ubóstwa i prostoty, słowem stać się takimi, jakimi je chcieli mieć ich pierwsi założyciele.

Dużo u nas jeszcze jest analfabetów. Ilość dusz w parafiach nieraz wielka. Wsie inkorporowane często od kościoła macierzystego bardzo odległe. Kler nieliczny. Znajomość prawd wiary u ludu wiejskiego tem samem nierzadko bardzo mała. Muszą się też biskupi oglądać za pomocnikami w nauczaniu katechizmu. Wielką usługę mogą tu oddać zalecone i zreformowane świeżo przez Piusa X »Bractwa nauki chrześcijańskiej«, składające się z ludzi świeckich. Trzeba je tylko dobrze zorganizować, przystosować do naszych warunków, poddać pod stały nadzór kleru i zaprowadzić jak najrychlej w całej Polsce.

Pogłębienie nauki katolickiej potrzebne jest też w warstwach oświeceńszych, aby poznały całą Bożą jej piękność i zrozumiały, że istota katolicyzmu nie polega na mówieniu tylko pacierzy, uczęszczaniu do kościoła i utworzeniu jakiejś asekuracyjnej fundacyi pośmiertnej, ale głównie na sumiennem pełnieniu obowiązków stanu, na ciągłem zapieraniu się siebie i miarkowaniu się z miłości Bożej w mnożeniu majątku, żeby i bliźni mógł jeść i wieść z rodziną żywot godny człowieka.

Aby odzyskać zaufanie warstw uboższych i pokrzywdzonych w społeczeństwie, musi Kościół katolicki jasno, stanowczo i stale występować jako obrońca ich wszystkich sprawiedliwych żądań. Musi też ciągle przypominać ludziom warstw oświeceńszych i bogatszych, że dobro ojczyzny i własny ich interes domaga się, żeby co rychlej dopomogli pieniędzmi i pracą do zorganizowania robotników, rękodzielników, rolników w stowarzyszenia zawodowe, oparte na zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej. Wywrotowej organizacyi męskiej należy przeciwstawić chrześcijańskie organizacye męskie; bezwyznaniowym organizacyom kobiecym, silne związki niewiast chrześcijańskich.

Ważnem dalej zadaniem, które świeccy katolicy łącznie z duchowieństwem mają dzisiaj do spełnienia, to ujęcie i rozszerzenie dzisiejszego ruchu antyalkoholicznego przy równoczesnem uleczeniu go od chorobliwych naleciałości. Każda bowiem tama usypana przeciw opilstwu i niewstrzemięźliwości, to jeden z najskutecz-

niejszych środków do szczęśliwego i pokojowego rozwiązania tak rozognionej kwestyi socyalnej, tej prawdziwej męki naszych czasów.

Także przeciw wszelkiego gatunku pornografii musi Kościół przy pomocy katolików świeckich wywołać krucyatę i doprowadzić ją szczęśliwie do końca. Bóg tego chce!

W Galicyi Wschodniej całe katolickie nasze społeczeństwo musi dołożyć wszystkich sił i nie szczędzić ofiar, aby przez budowę kościołów, dobrych szkół i ochronek uratować od zagłady obrządek łaciński w tem głębokiem przekonaniu, że taką pokojową, cywilizacyjną a pełną dla wszystkich miłości pracą, umacnia same fundamenta Kościoła i społeczeństwa.

† *Bilczewski.*

Kiedy myślą ogarniam rozmaite dziedziny życia na ziemi naszej i zapytuję się: jakie szczególniejsze zadanie ma u nas katolicyzm do spełnienia w dobie obecnej? — gwałtownie ciśnie mi się do głowy wskazanie Ojca św.: *instaurare omnia in Christo.* Wszystko trzeba odnowić. Trzeba ducha Chrystusowego wprowadzić do duszy jednostek, do ognisk rodzinnych, do wszelkich uczelni, do instytucyi świeckich i kościelnych. Potrzeba, żeby martwe dziś napisy na tablicach kościelnych: *Christus vivit, regnat, imperat,* żyły w duszach, widniały z uczynków, były hasłem na forum. Takie jest zadanie katolicyzmu wszędzie — i w Polsce; wczoraj — i dziś.

Do urzeczywistnienia tego wielkiego zadania na ziemi naszej uważam za najbardziej wskazane w dobie obecnej:

I. wykształcenie duchowieństwa.

A więc 1) potrzeba nam wyższej szkoły teologicznej w Warszawie, któraby stała się ogniskiem nauki kościelnej u nas;

2) do takiegoż poziomu należy podnieść jak najprędzej akademię duchowną w Petersburgu;

3) te dwie szkoły naturalną siłą promieniowania powinny wpłynąć na podniesienie poziomu naukowego w naszych dyecezalnych seminaryach;

4) dziś już w centrach dyecezyi utworzyć komitety dla da-

wania systematycznie naukowych odczytów grupom kapłanów parafialnych.

II. Pociągnięcie intelligencyi do Kościoła.

1) przez założenie towarzystwa popierania naszych i przyswajania obcych dzieł naukowych katolickich;

2) przez zakładanie i usilne popieranie Konferencyi św. Wincentego à Paulo;

3) przez wprowadzenie na uniwersytet warszawski katedry historyi Kościoła katolickiego;

4) przez kontrolę władzy dyecezalnej nad wykładami religii w szkołach średnich rządowych i prywatnych.

III. Ochrona klas rzemieślniczych i robotniczych przed socyalizmem.

1) za pomocą katolickich stowarzyszeń zawodowych, mających na celu oświatę katolicką, podniesienie dobrobytu i sprawiedliwą obronę interesów każdego zawodu;

2) zapomocą kotolickich towarzystw opieki nad terminatorami.

IV. Religijno-społeczne uświadamianie ludu.

1) przez ożywienie bractw religijnych czytaniami, opowiadaniami, pogawędkami interesującemi;

2) przez rozszerzanie zakresu działalności włościańskich spółek rolniczych: czytelnia, prenumerowanie pism, pogawędki, pokazy, odczyty;

3) przez zakładanie kas oszczędnościowych w każdej parafii na wzór kas Raiffeisena w Galicyi lub ks. Wawrzyniaka w Poznańskiem.

V. Wprowadzenie zakonów.

To są szkicowo nakreślone uwagi. Szczegółowe opracowanie i sposób wprowadzenia ich w życie zależećby powinien od decyzyi i wskazań Księży Biskupów, zebranych zapewne w Warszawie i mających przy swoim boku po trzech przynajmniej referentów: do sekcyi naukowej, pasterskiej i społecznej.

† *Stefan Zwierowicz*
Biskup Sandomierski.

Chciałbym tu tylko poruszyć jedną sprawę, która jednak mojem zdaniem wielką ma doniosłość w życiu naszem religijnem. — W każdej pracy, w każdem dziele ludzkiem, w każdym systemie myśli rozeznać można, czy człowiek sięgnął w głąb, do źródeł ostatnich, czy tylko z drugiej ręki czerpie swe podniety i natchnienia. Otóż w życiu religijnem wyznawców naszej religii, która przecież jest religią na księgach opartą, kryteryum to od razu rozdzieli ludzi na dwie kategorye: tych, którzy z żywem słowem Chrystusa się oswoili i tych co u życiodajnych źródeł nie zatrzymywują się prawie nigdy. — Po tak zwanej reformacyi świecka część katolików zaczęła zaniedbywać nieco Pismo święte; był to odruch niemal naturalny przeciw wyłączności protestantów, odrzucających wszystko, co po za Pismem świętem myśl chrześciańska zbudowała i rozwinęła. Ale odruch chwilowy, okolicznościowy, przeminąć musiał i przeminął już w wielu krajach zachodu. U nas tymczasem czytanie Pisma świętego należy jeszcze dziś do rzadkości. Jedni go nie czytają, bo głupim pozytywizmem zarażeni z lekceważeniem Pismo święte na bok odsuwają i w swej ciasnocie nie dowiedzieli się jeszcze, że choćby z literackiego, a dalej historycznego punktu widzenia, pomniki to pierwszorzędnej wagi i piękności; nie nauczyli się oni wreszcie tego, że kultura, która wielkie i wieczyste problemy pomija, skazaną jest na płytkość i jałowość. A inni natomiast wyznają naiwną zasadę, że Pismo święte jest dla księży, nie zaś dla świeckich. Jakby taki rozdział był możebnym, jakby człowiek bez pomocy i pośrednictwa bliźniego nie miał badać, poznawać podstaw życia i drogowskazów na życie, jakby nie było jego obowiązkiem, roz-

pamiętywaniem słów Chrystusa udoskonalać się, podnosić. Katechizm sam tu nie wystarcza. Jeżeli *exempla* są zawsze w pedagogii wyższemi od *praecepta*, to wczytywanie się w cudowne zakonu opowieści, z pewnością więcej duszę poruszy od gołosłownych nakazów lub zakazów. A więc tamto obok tego potrzebne. Nie wystarczy też książka do nabożeństwa. Ograniczają się one często do samych próśb i nalegań, przeważnie osobistych i wyrobić mogą pewną egoistyczną żebraninę jako jedyny objaw stosunku do Boga. A przecież prośba nie jest ani jedyną formą, ani środkiem jedynym zbliżania się do majestatu Bożego.

Nieznajomość Pisma świętego jest u nas wprost okropną. W książkach naukowych i pseudonaukowych pojawiają się błędy tak śmieszne, pomyłki tak rażące, że prawdziwie dziwić się należy kulturze, która rzekomo wszystko co ludzkie chciałaby pochłonąć, a nie zna słów i czynów Tego, który największy przełom w dziejach i duszach na lat już tysiące wywołał. Ale po części — i to służy poniekąd za usprawiedliwienie — przyczynia się do tego brak odpowiednich wydawnictw. Nie mamy porządnego przekładu Pisma św., bo Wujek mimo śliczności języka już wystarczyć nie może, a do trudnych części zakonu, jak listów św. Pawła, nie mamy objaśnień podręcznych. Inne pod tym względem panują na zachodzie stosunki. Gdy się spojrzy na bujną teologiczną literaturę lat ostatnich, to urażą w niej zapewne mętne hyperkrytyki zboczenia, zmierzi niekiedy zuchwałość, która rzeczy boskie z nadludzką pychą omawia i obniża zarazem, ale w podziw wprawi ten pościg za prawdą, to zmaganie się z najgłębszymi problemami życia i istnienia na ziemi. Nasza wiązanka na tem polu jest tymczasem nad wyraz marną. A objaw to straszący. Bo dociekanie Bóstwa i boskich rzeczy jest zawsze dowodem wzlotu i energii myśli i uczucia, zastój na tem polu wypływem bezkrwistości, znużenia i bezmyśli. Kiedyśmy byli wielcy i dzielni, dotrzymywaliśmy w tych sprawach kroku innym. Dzisiaj znajomość biblii i studya biblijne leżą u nas odłogiem. A przecież to także wyznawstwo, zajmowanie się dziełem Chrystusa i losami jego posiewu a nie na to żyjemy na ziemi, aby Boga naszego dopiero po śmierci oglądać i poznawać. — Od

zwrotu do rzeczy boskich zależy też nasze odrodzenie religijne, ale także odrodzenie duchowe a nawet literackie.

Kazimierz Morawski.

Chcąc odpowiedzieć w kilku krótkich uwagach, a tylko o takie może chodzić w ankiecie, na jej zapytanie, należy oczywiście wyprowadzić szczególniejsze zadania katolicyzmu u nas w Polsce z ogólnego zadania katolicyzmu na ziemi całej. Z filozoficznego stanowiska zadanie katolicyzmu obejmuje dwa punkta: 1) katolicyzm daje nam poznanie Boga za pomocą objawionej wiary; 2) katolicyzm każe nam żyć według zasad wiary. Drugi punkt obejmuje nie tylko wewnętrzne umoralnienie jednostki lecz też stosunek jednostki do swych bliźnich, a zatem tak indywidualne jak społeczne życie ludzi. W tym drugim punkcie przedstawia nam się etyka chrześcijańska tak dla indywidualnego jak dla społecznego życia. Te dwa wspomniane punkta zadania katolicyzmu stanowią jądro katolickiego światopoglądu, *der katholischen Weltanschauung,* jak niemieccy katolicy mówią, którzy nieomieszkali uzasadnić teoretycznie zadania katolicyzmu. Ale tutaj musi się natychmiast nasunąć pytanie za obszerniejszem uzasadnieniem tego katolickiego światopoglądu. Wszakże etyka istnieje nie tylko u chrześcijan, ona wywodzi się z istotnej natury człowieka, a wiadomą jest rzeczą, że rozumowa etyka szkół chrześcijańskich do swych teoretycznych podstaw przejęła dużo z etyki Arystotelesowej. O niechrześcijańskich staraniach poznania Boga nie chcę tu mówić, gdyż kwestya ta, mojem zdaniem, należy wyłącznie do teologów.

Uważam zaś za szczególniejsze zadanie katolicyzmu w dzisiejszych czasach urzeczywistnienie etyki chrześcijańskiej. Jeżeli zaś etyka istnieje nie tylko u chrześcijan, to należy się zapytać, czy etyka chrześcijańska ma istotne znamiona, które ją oddzielają od etyki niechrześcijańskiej. Musimy na to odpowiedzieć twierdząco. Etyka chrześcijańska przyjmuje pewną podstawę, jaka wprawdzie znajduje się już u niechrześcijańskich filozofów, przede-

wszystkiem Platona i Arystotelesa, ale która w nowoczesnych światopoglądach niekatolickich nie jest przyjętą. Identyfikuję przytem chrześcijański światopogląd i chrześcijańską etykę z katolickim światopoglądem i katolicką etyką, gdyż herezye chrześcijaństwa, pomijając egzotyczne wyjątki, nie wytworzyły dla siebie odrębnych światopoglądów i odrębnej etyki, zasadzając różnicę wobec katolicyzmu głównie na artykułach wiary i nie przyjmując odrębnych znamion etyki do zadań chrześcijaństwa.

Jakie są zatem istotne znamiona etyki katolickiej? Odkąd ludzie zaczęli się zastanawiać nad samymi sobą, lub mówiąc wyrażeniem naukowem, odkąd istnieje filozofia, postawiono pytanie, czy istnieje wyższy porządek świata. Tak kwestyę już postawili filozofowie greccy. Sokrates przyjmuje najwyższe dobro jako wyższy porządek świata, a Platon i Arystoteles starali się nawet ułożyć cały system tego wyższego porządku. Urzeczywistnienie tego systemu przez nich ułożonego, uważają oni za urzeczywistnienie wyższego porządku świata. W przeciwieństwie do tego inni filozofowie greccy, jak zwłaszcza Heraklit nie przyjmują wyższego porządku świata; według ich zapatrywania wszystko co jest, ulega nieustannej zmianie (πάντα ῥεῖ); wszystko co jest, przedstawia nam się jako zjawisko kosmiczne; niema wyższego celu, wyższego porządku, do którego zdążają przemiany świata. Można zapewne powiedzieć, że słaba strona filozofii Arystotelesa leży w tem, iż ona przyjmuje możność ułożenia przez rozum ludzki takiego wyższego porządku świata i iż ona upatrywała urzeczywistnienie wyższego porządku świata w dopasowaniu się do systemu przez filozofię ułożonego. Doświadczenie wykazało, że życie ludzkie do takiego systemu, choćby najlepiej i najszlachetniej obmyślanego, dopasować się nie da. Chrześcijańska filozofia scholastyczna przyjęła za punkt wyjścia i dzisiaj przyjmuje wyższy porządek świata, który jest w Bogu. W tem leży znamię istotne filozofii chrześcijańskiej i dzisiejszego katolickiego światopoglądu. Filozofia scholastyczna z powyższego wychodząc stanowiska starała się ułożyć system wyższego porządku świata według przykazań Bożych.

Ale pod tym względem bywały w dobie upadku scholastyki

zapędy za daleko idące, chcące pod jedną formą objąć wszystkie czasy i wszystkich ludzi, jak ów słynny system teokratycznego imperyum. Dlatego też należy w tem miejscu podnieść odmienne zapatrywanie największego filozofa scholastycznego św. Tomasza z Aquinu. Święty Tomasz przyjmuje wyższy porządek świata *(lex aeterna)*, który jest w Bogu (*Summa*, Prim. Sec. quaest. 91, art. 1 conclusio: »Est aliqua *lex aeterna*, ratio videlicet gubernativa totius universi in mente divina existens«). Odblask tej *lex aeterna*, która jest w samym Bogu, nosi każdy człowiek w duszy swojej: tym odblaskiem *legis aeternae* jest *lex naturalis*. Ta *lex naturalis* jest poczuciem sprawiedliwości, poczuciem wyższego porządku świata, jakie leży w naturze człowieka i dlatego przez św. Tomasza *lex naturalis* nazwane (ib. art. 2 conclusio: »Est in hominibus lex quaedam naturalis, participatio videlicet legis aeternae, secundum quam bonum et malum discernunt«). Że św. Tomasz przez *lex naturalis* nie rozumie jakiegoś skodyfikowanego prawa naturalnego, wynika z jego powołania się na *Glossam ordinariam* w zdaniu, które poprzedza jego konkluzyę: »Habent tamen legem naturalem, qua quilibet intellegit, et sibi conscius est quid sit bonum et quid malum«, t. zn. zaś poczucie dobrego i złego, poczucie sprawiedliwości, poczucie wyższego porządku świata. Że św. Tomasz nie sądzi, jakoby można ułożyć system i w dopasowaniu życia ludzkiego do tego systemu upatrywać urzeczywistnienie wyższego porządku, wynika z całą niewątpliwością z tego, co św. Tomasz mówi o *lex humana*. Zbija on zarzut, jakoby *lex humana* była niepotrzebną (ib. art. 3, 1: »Ergo lex naturalis sufficit ad omnia humana ordinanda. Non est ergo necessarium quod sit aliqua lex humana«) i konkluduje, że *lex humana* jest potrzebną (ib. conclusio: »Praeter aeternam et naturalem legem est lex quaedam ab hominibus inventa, secundum quam in particulari disponuntur quae in lege naturae continentur«). Ta *lex humana* jest zmienną według czasów i warunków życia. Ta *lex humana* musi być zgodną z *lex naturalis* t. zn. z naszem poczuciem sprawiedliwości, jak podnosi św. Tomasz w co dopiero przytoczonej konkluzyi. Wogóle *lex humana* winna mieć na oku dobro powszechne (ib. quaest. 90, art. 2 conclusio: »Cum lex sit

regula humanorum actuum, quorum ultimus finis est beatitudo et quidem communis; necesse est, eam semper ad bonum commune ordinari«, oraz ib. quaest. 96 art. 1 conclusio: »Cum lex humana ad commune bonum ordinetur, in communi magis, quam in particulari poni debet, et secundum personas, et negotia, et tempora«).

Przytoczyłem nieco obszerniej zapatrywanie św. Tomasza, ponieważ ono jasno występuje przeciw dwom sobie przeciwnym poglądom: 1) Z zapatrywania św. Tomasza wynika, że mylnem, bo niewykonalnem jest dążenie do ułożenia systemu niezmiennego, któryby mógł być uważany za urzeczywistnienie wyższego porządku świata. Według tego dążenia należałoby tylko zmusić ludzi do zastosowania się do postawionego systemu, aby usunąć zło, jakie istnieje w społecznych stosunkach ludzkich. To też św. Tomasz wprost przeczy, jakoby *lex humana* mogła usunąć wszystko złe w stosunkach ludzkich (ib. quaest. 96, art. 2 conclusio: »Non potest humana lex — omnia vitia cohibere, sed graviora tantum, sine quorum prohibitione societas humana servari non posset«). W tym względzie poszli za daleko filozofowie z doby upadku scholastyki. Pragnęli oni z *lex naturalis* dedukcyą wyprowadzić niezmienny ustrój prawny i w ten sposób wprowadzić harmonię pomiędzy prawem ludzkiem a prawem naturalnem, i przez to porządek świata zgodny z wolą Bożą. Wprawdzie i św. Tomasz wywodzi *lex humana* z *lex naturalis* (ib. quaest. 95, art. 2 conclusio: »Necessarium est a lege naturali — omnem humanam legem derivari«), ale św. Tomasz w wspomnianem już miejscu (ib. quaest. 96, art. 1 conclusio) podnosi, że należy przytem uwzględnić dane czasy i danych ludzi. To dążenie pewnych przedstawicieli scholastycznej filozofii do postawienia niezmiennego systemu dla stosunków ludzkich, jest zrozumiałem i tłumaczy się oczywiście najszlachetniejszą intencyą uporządkowania stosunków ludzkich tak, aby wszystkim względnie było dobrze.

Jak bardzo takie dążenie jest zrozumiałem, wynika najlepiej z tego, że przeciwnicy filozofii scholastycznej t. zw. naturaliści XVII i XVIII wieku w ten sam popadli błąd. I naturaliści XVII i XVIII wieku, których szereg rozpoczyna Hugo Grotius

głośnem dziełem *De iure belli et pacis,* wydanem r. 1625, przyjmują wyższy porządek świata i oni także kusili się o ułożenie niezmiennego systemu dla stosunków ludzkich. Ale za punkt wyjścia nie przyjęli oni jak scholastycy woli Bożej *(lex aeterna* i *lex naturalis)*, lecz naturę, jaka się nam przedstawia w jej popędach. Według ich zapatrywania sama natura przedstawia wyższy porządek świata. Dać folgę naturalnym popędom znaczy urzeczywistnienie wyższego porządku świata. Przez badanie natury starali się oni odnaleźć prawo natury. W tem leżała różnica nowej filozofii, już nie katolickiej, która do swych adeptów zaliczała tak głębokich myślicieli, jak Hobbes, Samuel Pufendorf, Spinoza, Locke, Leibniz, Thomasius i jeszcze w połowie XIX wieku miała swych przedstawicieli, jak np. Rotteck'a, znanego wydawcę niemieckiej encyklopedyi. Skutki tej filozofii naturalistycznej były gorsze od skutków tych błędów, jakie popełniła filozofia scholastyczna. Kiedy błędy filozofii scholastycznej prowadziły do zasklepiania się i do tamowania rozwoju, to filozofia naturalistyczna sprowadziła wprost rozpasanie najniższych instynktów ludzkich.

Jak mimo to umysł ludzki zawsze na nowo kusi się o wynalezienie i przeprowadzenie niezmiennego systemu dla stosunków ludzkich, aby wszystkim było względnie dobrze, na to dają dowód socyaliści najnowszych czasów. I oni dążą do ułożenia wyższego porządku świata nawet już na tej ziemi i do odnalezienia i przeprowadzenia systemu dla stosunków ludzkich. Ale oni nie opierają swego systemu ani na wyższym porządku, jaki jest w Bogu, ani na prawach natury, jak to czynili naturaliści XVII i XVIII wieku, lecz na zasadach ekonomicznych. Wobec dwóch nieudałych prób niewątpliwie najszlachetniejszych ludzi licznych wieków i narodów, co najmniej przypuszczalnem jest, że i porządek socyalistyczny nie jest urzeczywistnieniem wyższego porządku świata i że skutki tego porządku będą może gorsze od skutków dwóch poprzednich prób w usiłowaniach ludzkości.

Doświadczenie pouczyło nas, że nieodmienny system dla stosunków ludzkich nie da się ani odnaleźć ani przeprowadzić. Zresztą ta konsekwencya, którą filozofia scholastyczna wyciągnęła,

nie jest znamienną dla zasadniczej postawy scholastycznej filozofii. Znamiennem dla zasadniczej postawy scholastycznej filozofii jest, że ona przyjmuje wyższy porządek świata. A ta zasadnicza postawa istnieje dla naszego dzisiejszego katolickiego światopoglądu tak samo, jak ona istniała dla pewnej epoki scholastycznej filozofii średnich wieków. To też dzisiejszy katolicki światopogląd nie akceptuje konsekwencyi, jaką ta filozofia scholastyczna wyciągnęła z podstawy katolickiego światopoglądu. Dzisiejszy katolicki światopogląd przyznaje, że nie można postawić niezmiennego systemu dla stosunków ludzkich i nie można w dopasowaniu do tego niezmiennego systemu upatrywać urzeczywistnienia wyższego porządku świata. *Lex naturalis* nie jest żadnym kodeksem, lecz jest tylko poczuciem, jakie Pan Bóg włożył w duszę naszą, a jakie jest odblaskiem *legis aeternae* znajdującej się u Boga, jak znów św. Tomasz ściśle określa. Poza tem *lex humana,* prawo ludzkie, uwzględnia ludzi i rzeczy, uwzględnia wszystkie czynniki, jakie rolę odgrywają w życiu ludzkiem.

To też słuszne są nawoływania do katolików dzisiejszych czasów, aby oni uwzględnili w swych dążeniach nowe prądy, znajdujące się w stosunkach ludzkich oraz korzystali z wszystkich zdobyczy, które przyniosła nauka, że wspomnę tylko o mowie bar. Hertlinga, jednego z najwybitniejszych członków katolickiego centrum bawarskiego i niemieckiego, wypowiedzianej na kongresie katolickim we Fryburgu szwajcarskim 17 sierpnia 1897 r., przyczem mowca wyraźnie zaznaczył, że zapatrywanie to podziela jeden z najwybitniejszych przywódców francuskiego katolicyzmu, msgr. d'Hulst, jak temu wyraz dał na kongresie katolickim w Brukseli w r. 1894. Autorytatywnie zaś polecił wiekopomnej pamięci papież Leon XIII katolikom zastosowanie się do nowych prądów i nowych czasów w swej głośnej encyklice *Rerum novarum.* Zamykanie się w systemie ograniczonym musi prowadzić do zbytniej kazuistyki i formalistyki, a w dalszej konsekwencyi do zastoju. To też dzisiejszy katolicki światopogląd słusznie nie zamyka się w ograniczonym systemie, lecz w całej pełni przyjmuje hasła postępu.

2) Ale powyżej przytoczone zapatrywanie św. Tomasza wy-

stępuje też przeciw drugiemu poglądowi, który nie przyjmuje wyższego porządku świata. Taki światopogląd jest dzisiaj panującem zapatrywaniem w kołach niekatolickich. Dawnego poprzednika ma ten współczesny światopogląd w greckim filozofie Heraklicie, ale twórcą tego poglądu w nowszych czasach jest niemiecki filozof Hegel. Według Hegla najwyższym celem ludzkości nie jest najwyższe dobro, jak mówi Sokrates, lub wyższy porządek świata, jak mówi Arystoteles, lub Bóg; jak mówi katolicki światopogląd, lecz »wyzwolenie«. To wyzwolenie nie jest zaś jakimś wyższym porządkiem, lub odblaskiem wyższego porządku, lecz jest tylko uwolnieniem z więz materyi. Ale nawet z tych wyżyn spada Hegel w dalszych konsekwencyach swego zapatrywania. Sądzi on, że najlepiej znajdzie jednostka ludzka urzeczywistnienie wyzwolenia w państwie. Za tem poszło zbytnio wygórowane uwielbienie państwa, jako najwyższej formy społecznego życia ludzi. W państwie zaś decyduje »powszechna wola«, przyczem Hegel nie przeczy, że ta powszechna wola przedstawia się jako wola większości. Większa siła decyduje zatem o prawie, jak temu zapatrywaniu dał wyraz Ihering w głośnej rozprawie »Walka o prawo«. Przyjmuje wprawdzie Hegel, że istnieją ideały. Ale ideałem nie jest wzniesienie się ku jakiemuś wyższemu porządkowi świata, lecz ideałem jest to, co dana epoka uważa za ideał. Urzeczywistnienie ideałów danej epoki jest celem usiłowań każdej epoki. Jakie będą ideały następnej epoki, to jest niewiadomem, i okaże się dopiero jako rezultat walki czynników na końcu obecnej epoki. Decydującem zaś dla zabiegów każdej epoki jest egoizm jednostek, których egoistyczne starania łączą się w »egoizmie społeczeństwa«. Mamy zatem przed sobą negacyę dążenia do wyższego porządku świata. W dążeniach poszczególnych epok niema kierunku do jednego, choć dalekiego celu.

Z tego przeciwnego światopoglądu uwydatnia się *a contrario* wyraźnie cecha katolickiego światopoglądu, jak ją już tak dokładnie określa św. Tomasz z Aquinu. Katolicki światopogląd każe nam dążyć do wyższego porządku świata. A choć tego wyższego porządku świata nie osiągniemy na tej ziemi, gdyż on znajduje się u Boga jako *lex aeterna*, to przez uznanie istnienia wyższego

porządku świata, jest dla naszych usiłowań nakreślony kierunek. Busolą dla tego kierunku zaś jest *lex naturalis*, jak znów to określa św. Tomasz. Ta *lex naturalis* nie jest zaś żadnym kodeksem prawa natury, lecz jest poczuciem rozumnej miary i sprawiedliwości, jakie Bóg włożył do duszy każdego człowieka. Nasza etyka katolicka, która normuje życie indywidualne i życie społeczne ludzi stoi zatem pod znakiem tego poczucia sprawiedliwości. To poczucie sprawiedliwości jest zaś odblaskiem odwiecznego wyższego porządku świata, jaki znajduje się u Boga, *lex naturalis* jest *participatio legis aeternae*, jak mówi św. Tomasz. Z tego wynika, że to poczucie sprawiedliwości nie jest czemś względnem, a mianowicie tem, co dana jednostka lub dane społeczeństwo, lub nawet dana epoka uważa za sprawiedliwe, lecz to poczucie podlega kierunkowi *legis aeternae*, jaki nam podany jest w przykazaniach Bożych. Te przykazania Boże normują nasze poczucie sprawiedliwości i dają kierunek naszemu życiu ku wyższemu porządkowi świata, choć ten wyższy porządek na tej ziemi nie będzie naszym udziałem.

Nasz katolicki światopogląd nie stoi zatem na stanowisku zamkniętego systemu, lecz uwzględnia wszystkie prądy i dążenia, jakie znajdują się w życiu ludzkiem. Ale on uwzględnia tylko te dążenia t. zn. on nie przyjmuje wszystkich, lecz tylko te, które zbliżają nas do wyższego świata. Katolicki światopogląd zachowuje się zatem krytycznie wobec dążeń i ideałów epoki i przyjmuje tylko te, które są zgodne z przykazaniami Bożemi, a zwalcza te, które sprzeciwiają się przykazaniom Bożym. Te przykazania Boże podaje nam Kościół jako *ius divinum*, objawione przez Boga. Katolicki światopogląd nie wychodzi zatem z jakiegoś ułożonego apryorystycznie systemu i nie stara się podporządkować porządek ludzki temu porządkowi. Lecz katolicki światopogląd łączy z metodą dedukcyjną metodę indukcyjną; on przyjmuje rozwój stosunków, a miarę dla przyjmowania lub odrzucenia jakiegoś prądu w stosunkach ludzkich stanowi wyłącznie *ius divinum*. Światopogląd katolicki stoi zatem na realistycznej podstawie, na stanowisku danych stosunków. To też wiekopomnej pamięci papież Leon XIII zalecał gorąco badanie tych drugich sto-

sunków życia ludzkiego, wskazując na konieczność historycznych badań. Sam zaś wielki ten papież ogromny dał impuls do historycznych badań w świecie katolickim otwierając przystęp powszechny do tajnego archiwum watykańskiego.

Takie są podstawy naszego katolickiego światopoglądu, jak je już tak ściśle określił wielki myśliciel i wielki realista św. Tomasz z Aquino.

Jeżeli zaś na początku moich uwag podałem, że urzeczywistnienie etyki katolickiej uważam za szczególniejsze zadanie katolicyzmu w dzisiejszych czasach, to należy teraz przystąpić do zapytania, w jaki sposób to urzeczywistnienie nastąpić powinno, przyczem korzystać będziemy z tych wywodów, jakie podałem na określenie naszego katolickiego światopoglądu. Etyka katolicka obejmuje zaś tak wewnętrzne umoralnienie jednostki, jako też stosunek jednostki do swych bliźnich.

Urzeczywistnienie etyki chrześcijańskiej w stosunkach jednostki do bliźnich stawiam, na dzisiejsze czasy, na pierwszy plan; urzeczywistnienie etyki chrześcijańskiej w tych stosunkach, musi też wpłynąć dodatnio na umoralnienie jednostki. Praca społeczna jest zatem dzisiaj szczególniejszem zadaniem katolicyzmu. Przez pracę społeczną jako zadanie katolicyzmu należy rozumieć dążenie, aby stosunki pomiędzy ludźmi były unormowane w zgodzie z przykazaniami Bożemi. Ponieważ zaś sprzeczność pomiędzy faktycznymi stosunkami a przykazaniami Bożemi istnieje przedewszystkiem w odnoszeniu do stosunków życiowych najniższych warstw społeczeństwa, gdyż te często nie mogą się bronić przeciw wyzyskowi, zatem katolicka praca społeczna zwróciła się w pierwszym rzędzie do starań, podniesienia materyalnego, moralnego i intellektualnego poziomu tych najniższych warstw społeczeństwa. Ale w równej mierze katolicka praca społeczna musi się zwrócić przeciw krańcowym dążeniom faworyzowania najniższych warstw ze szkodą innych warstw. W stosunkach społecznych terror z dołu sprzeciwia się tak samo przykazaniom Bożym, jak wyzysk z góry.

Myśli o społecznej pracy jako zadania katolicyzmu występują w wyraźnej formie najpierw we Francyi, jako reakcya prze-

ciw ideom rewolucyi francuskiej. Lacordaire i Montalembert wypowiedzieli pierwsi jasno sformułowane myśli o społecznem zadaniu katolicyzmu, jeżeli nie chcemy mówić o Saint-Simonizmie, który wcześnie zeszedł na fałszywe drogi. Jako reakcyę przeciw ideom francuskiej rewolucyi pojął też za czasów naszych katolicką pracę społeczną jeden z przywódców francuskich katolików na polu katolickiej pracy społecznej, Albert de Mun. W Niemczech zaś ojcem katolickiej pracy społecznej jest biskup moguncki Ketteler, który jeszcze przed objęciem tronu biskupiego, w parlamencie frankfurskim r. 1848 wygłosił swoje zapatrywanie o zadaniu Kościoła katolickiego na polu społecznem. Dzisiaj katolicka akcya społeczna największych rezultatów doczekała się w Niemczech. Jeżeli szukamy za głównym powodem tego powodzenia katolików niemieckich, które szlachetną zazdrość wywołuje u katolików innych krajów, jak to podnosił na kongresie katolickim w Fryburgu r. 1897 francuski biskup Turinaz z Nancy, to można go upatrzyć w tem, że katolicy niemieccy przez kilkadziesiąt lat cichą a systematyczną pracą położyli doskonałe fundamenty dla przyszłego wspaniałego gmachu katolickiej pracy społecznej. Dalecy od dążeń partyjnych i politycznych, wszystkie siły skierowali oni ku temu, aby pozytywną pracą w stosunkach społecznych jak najwięcej urzeczywistnić szczytne zadanie katolicyzmu, pomnąc, że tylko dążenia w czystej podjęte intencyi i prowadzone bez egoistycznych celów liczyć mogą na stałe powodzenie.

Jeżeli takie jest szczególniejsze zadanie katolicyzmu w dzisiejszych czasach i jeżeli prawie we wszystkich krajach katolickich są podjęte starania w celu urzeczywistnienia tego zadania, to uzasadnioną będzie konsekwencya, że i u nas w Polsce katolicka praca społeczna musi być uważaną za szczególniejsze zadanie katolicyzmu. Jeżeli zaś ta praca u nas ma mieć stałe powodzenie, to należy przedewszystkiem się starać o położenie jak najlepszych fundamentów, aby one były przydatne do dźwigania całego ciężaru zadań i odpowiedzialności, który się łączy z każdą pracą społeczną. Te fundamenty mogą się wyrobić tylko przez pozytywną pracę lokalną. Jedynie w pozytywnej pracy lokalnej mogą

się wyrobić jednostki, które zahartowane w długoletniem doświadczeniu będą mogły jednoczyć i kierować zabiegi katolickie całego kraju. O ogólniejszym programie katolickiej pracy społecznej u nas mówić dzisiaj, byłoby przedwcześnie, gdyż nie ma wypróbowanych pracowników w dostatecznej liczbie dla wykonania tego programu. Kto chce stoczyć bitwę, musi mieć wyćwiczonych żołnierzy w dostatecznej liczbie, jeżeli nie chce się narazić na niechybną klęskę. Ogólniejsza organizacya, jaka u nas powstać może a w części już powstała (lwowski Związek katolicki społeczny), może mieć tylko na celu popieranie lokalnej pracy społecznej. Nie potrzeba dodawać, że do wzmożenia fundamentów naszej katolickiej pracy społecznej w wysokiej mierze przyczyni się historyczne badanie naszych stosunków społecznych.

Prof. Dr. Ignacy Łyskowski.

Gdy wieś w płomieniach staje, a podnosi się głos wzywający do ratunku i pomocy, nie pora wdawać się w dyskusye, z jakiego autorytetu ten ktoś śmie na alarm wołać a starszym i doświadczeńszym zdanie swoje narzucać ani na szalach krytyki ważyć, czy posiada do tego odpowiednie dane i kwalifikacye.

W kraju się pali — w różnych kołach i środowiskach rodzą się plany akcyi i organizacyi — może nie od rzeczy będzie, jeżeli z młodszych szeregów obywatelstwa podniesie się głos przedstawiający nieśmiało naszkicowany program działania, ale za to jawnie i otwarcie afirmujący zasady i przekonania, na które niewątpliwie znaczna zdrowa część społeczeństwa by się podpisała.

Że chwila obecna, jaką przeżywamy, tak na całej polskiej ziemi jak i w naszym kraju jest nadzwyczaj poważną i ważną, o tem dwóch zdań być nie może. Pomijając Królestwo Polskie i tragiczne sprawy, jakie się tam obecnie odgrywają, rzut oka na nasze obecne położenie w Galicyi również tylko poważne i zatrważające wrażenia wywołać musi. Gdy w Królestwie już akt drugi lub trzeci tragedyi się odgrywa, my w Galicyi może jeszcze słuchamy prologu, ale i na akcyę samą i zawiązanie konfliktu nie-

chybnie długo nam czekać nie wypadnie — o tyle też nasza sytuacya korzystniejsza niż społeczeństwa w Królestwie, że gdy ich huragan, który tam wyje, zastał nieprzygotowanych i niezorganizowanych — u nas może jeszcze czas, ale bodaj, czy nie ostatnia chwila na jakiekolwiek zszeregowanie się i przygotowanie do walki — bo czy my na nią zechcemy oczy zamykać, lub głowy w piasek chować, czy nie — wojna się zbliża i jest nieunikniona, a wróg potężny i świadom swego celu, tj. wszystkie partye przewrotu grupujące się koło stronnictwa socyalistycznego, już dziś z kadrami doskonale zorganizowanymi i obsadzonymi posterunkami, tak skutecznie do bitwy się gotują, że gotowi nas bez jednego strzału tak łatwo zniszczyć i krajem zawładnąć, że nie długo na arenie życia politycznego najzdrowsza część społeczeństwa wszelkie straci wpływy i znaczenie.

Kogo mam na myśli, mówiąc: »my«, czy szlachtę, czy właścicieli dóbr, czy intelligencyę o zasadach umiarkowanych?

Odpowiem, że jako pierwszy warunek selekcyi mam na myśli ludzi wszelkich warstw w kraju, mających sąd i własne zdanie o rzeczach publicznych — a przyznających się do zasad katolickich.

Jeśli w ogólności rzucona przezemnie myśl zorganizowania się znajdzie uznanie i poparcie, wydaje mi się, że byłoby nadzwyczaj szczęśliwie, gdyby idea i początek organizacyi wyszły od szlachty osiadłej, do czego nawołuje i od przodków już nam przekazana tradycya przodowania w życiu publicznem, tradycya szermierki w obronie uczciwych zadań i wierzeń — i bądź co bądź, nawet w dzisiejszych, tak strasznie ciężkich czasach, możność zrobienia na naszych posterunkach czegoś więcej, niż na stanowiskach więcej zależnych — wreszcie poczucie samoobrony, bo i żadna chyba klasa w społeczeństwie nie tyle zagrożona i tak wystawiona na zawiści i napaści, co nasza.

Chociaż myślę, że dobrzeby było, gdyby początek organizacyi, której szkic tu rzucam, wyszedł od szlachty, sądzę, że stanowczo nie powinna się na niej tylko ograniczyć.

Mieliśmy i mamy jeszcze w kraju stronnictwo, rekrutujące się głównie wśród warstw szlacheckich, któremu, choć nie zapo-

znajemy jego cnót i położonych zasług, nie brakuje niestety i wad, między kardynalnemi, że jako arystokratyczne (nietylko rodem ale i tendencyą) jest arcyniepopularne, po drugie, że cechuje je dziwna bierność, brak zdolności do ewoluowania i assymilowania się do potrzeb chwili i zmian ustroju całego społeczeństwa. Nie mam na myśli, broń Boże, by zasady, dotyczące wiary i uczciwości środków mogły być elastyczne lub kierujące się zbytnio oportunizmem, nie wiele wartem byłoby takie stronnictwo, ale nie sądzę, by partya konserwatywna w tej formie, jak ją widzimy obecnie, była zdolna do stawienia czoła stronnictwom skrajnym.

Pozornie narażę się na zarzut niekonsekwencyi, że gdy zarzucam stronnictwu konserwatywnemu, iż zaszkodziło sobie bronieniem idei i haseł niepopularnych, ja dla stronnictwa, które w myśli mej widzę jako pierwsze sito do przesiania adeptów, wskazuję na sztandar wiary katolickiej.

Niekonsekwencya pozorna tylko, bo choć z jednej strony rzeczą pewną, że wiara katolicka patentu na popularność sobie nie wyrobiła, za to z drugiej strony, nawet pobieżny rzut oka na dzieje świata wystarcza, by się przekonać, że nie było na świecie idei ani instytucyi, któraby tak jak Kościół katolicki cieszyła się wieczną młodością, bajeczną żywotnością i tą specyalną zdolnością, że nie odstępując nigdy na włos od zasad przewodnich, potrafiła wcielać do swego organizmu idee nowe, a sama do nowych er i ewolucyi społecznych się assymilować i nigdy na zarzut zacofaństwa się nie narazić.

Pod tym sztandarem, nawet wywiesiwszy jako swój jedyny szyld, miano »Stronnictwa katolickiego polskiego«, można być pewnym, że jeżeli nie od razu w licznej gromadzie, ale za to drogą najbezpieczniejszej selekcyi, można będzie zjednać sobie stronników.

Przedkładając tu propozycyą, choć jeszcze nie dość konkretnie sformułowaną, zjednoczenia się w nowe stronnictwo polityczne: »katolickie«, nie taję przed sobą bynajmniej licznych trudności urzeczywistnienia tej myśli, ale chcę wierzyć, że znajdą się w kraju ludzie mądrzy, doświadczeni a pewnych zasad, którzy myśl tę w ręce swe wziąwszy, ciało jej dadzą. Propozycya, by to stron-

nictwo było i nazywało się »katolickiem«, ma i tę stronę dodatnią, że w ramach tak szerokich (bo katolickie — powszechne) jest miejsce i na wszystkie warstwy społeczne od góry do dołu i na różne odcienia przekonań czysto politycznych.

Zdaje mi się, że zbliżają się te czasy nietylko w naszym kraju, ale i na świecie całym, kiedy strony walczące odrzucą swe przeróżne szyszaki i tarcze, a dwie tylko chorągwie naprzeciw siebie staną, ludzi, którzy otwarcie się przyznają do nienawiści do Kościoła i tych, którzy odważnie powiedzą: »Jesteśmy katolikami«. — Co znaczy organizacya lub brak tejże, uczy nas przykład niebywałej klęski partyi katolickiej we Francyi, a silne ujęcie steru władzy przez katolików w Belgii.

Czy chwila ta już nadeszła, by tego rodzaju linię demarkacyjną w społeczeństwie naszem przeprowadzić? Zdaje mi się, że tak, a w każdym razie widzimy, z jaką szaloną szybkością wypadki po sobie następują, więc i z organizacyą zwlekać nie można, bo *periculum in mora.*

Ostatnich parę miesięcy stanowią bez najmniejszej wątpliwości początek nowej epoki w Galicyi, oby nie epoki podobnych kataklizmów, jakie już nią wstrząsnęły. Można chcieć się bronić lub nie, na to, co się dzieje, oczu zamykać nie wolno.

Przez szefa obecnego rządu rzucony projekt reformy wyborczej, to kość niezgody, co paroksyzmy wścieklizny politycznej wywoła, czyż to nie illustracya tej szalonej sprzeczności między Habsburskiem: »*Viribus unitis*« a dewizą austryackiej biurokracyi: »*Divide et impera*«.

Rzeczą wytrawnych polityków osądzić, czy uda się bodaj na czas jakiś odwlec tę straszną burzę, którą p. Gautsch na horyzont monarchii sprowadził: »Powszechne, równe, bezpośrednie prawo głosowania« z fatalnymi skutkami, któreby tak zaprojektowana ustawa sprowadzić musiała, rzeczą naszych posłów w Wiedniu, by potrafili projekt ustawy znacznie zmodyfikować, ale rzeczą społeczeństwa w kraju tak się zorganizować, by możliwie zneutralizować skutki złego.

A złe przyjść musi, choroba i to straszna na kraj spadnie, albo: powszechne i równe głosowanie zostanie uchwalone, a nie po-

trzeba wyliczać fatalnych jego skutków, co się stanie z krajem, którym rządzić będzie parlament, gdzie nie jakość, ale ilość posłów z danego kraju o polityce i losach jego decydować będzie, gdzie przestaną być bronione interesa i sprawy żywotne poszczególnych kuryi, gdzie stronnictwa i żywioły najskrajniejsze będą musiały wziąć górę, gdzie półwieczna polityka naszego kraju na zgoła inne tory wejdzie, gdzie z wielkiem prawdopodobieństwem może zostać uchwalony rozdział Kościoła od państwa, albo: powszechne głosowanie skutkiem postronnych wpływów i zręcznych zabiegów poszczególnych stronnictw parlamentarnych, czy wcale, czy bodaj na razie do skutku nie przyjdzie; — a ten wypadek w naszym przynajmniej kraju nie mniejszem będzie złem od pierwszego.

Jeżeli reforma wyborcza wedle projektu rządowego nie zostanie uchwalona, pomijam jeszcze gorsze, niż obecnie rozigranie nienawiści narodowościowych we wschodniej części kraju, ale i tu w Zachodniej Galicyi ta zaraza, której bakterye zaszczepił nam p. Gautsch, w straszliwy sposób rozwijać się i jątrzyć będzie. Duchowieństwo, szlachta, żywioły umiarkowane, wszyscy ci, którzy się nie taili ze swą niechęcią do reformy wyborczej, takiej, jak ją rząd zaprojektował, będą narażeni na stokroć gorszą nienawiść i napaści socyalistów i innych partyi przewrotu, niż dotychczas, jako domniemani sprawcy nowej krzywdy ludu.

Łatwiej jest postawić dyagnozę choroby, niż skuteczną na nią napisać receptę, ale bo też i uniwersalnego środka jeszcze nie wynaleziono: dedukując dalej ten przykład z medycyny, jak medycyna dzisiaj do zwalczania choroby raczej stosuje metody i zabiegi mechaniczne, niż środki apteczne, tak kto wie, czy obserwując pilnie i ściśle przebieg choroby naszego kraju i społeczeństwa, nie wynalazłoby się skutecznego zabiegu, zbadawszy, jakiemi drogami złe weszło do organizmu i jak po nim krąży, a dalej wyszukując ognisk zapalnych i najsłabszych organów! temi są u nas z jednej strony: pomimo pozornej lecz niestety tylko powierzchownej oświaty, wielka ciemnota i obałamucenie ludu — a doskonała organizacya partyi socyalistycznych i skrajnych lu-

dowych z nabytą już rutyną i metodą działania — podczas gdy z drugiej strony brak jakiegokolwiek celowego działania ze strony żywiołów umiarkowanych, a jeżeli to działanie wogóle istnieje, brak w niem jakiejkolwiek jednolitości, brak oryentacyi i konsekwencyi.

Przypatrzmy się jak wyglądają wiece urządzane za powszechnem głosowaniem przez socyalistów i ludowców — ci wiedzą czego chcą i dokąd idą — a jak wygląda przeciwna akcya. Każda grupa chodzi i działa samopas: partya konserwatywna w swej prasie i na sejmikach relacyjnych swych posłów podnosi dyskretne gwałty przeciw powszechnemu głosowaniu, a przeciwnie odłam piśmiennictwa peryodycznego najbardziej katolicki, lekko do niego oscyluje. Duchowieństwo także niejednolicie, zależnie od subjektywnego zapatrywania występuje energicznie przeciw wszelkim wiecom i agitacyi wśród ludu wiejskiego, nie różniczkując dostatecznie między agitacyą ludowców i socyalistów i nie dając ludowi w to miejsce żadnej innej strawy; podczas gdy redaktorowie umiarkowanych pism ludowych nie chcąc zapewne iść przeciw potężnemu wśród ludu prądowi, zajęli stanowisko za powszechnem głosowaniem. Jednem słowem, wśród żywiołów umiarkowanych, uczciwych, zamiast jednolitości w postępowaniu panuje zamęt i chaos nie do opisania, a nie wiem czy w takich terminach okaże się skutecznem lekarstwem stara nasza dewiza: »Jakoś to będzie«, oby z tego nie było »cepów«!

Reasumując com powiedział wyżej, wydaje mi się, że organizacya poważna, a na szerokich podstawach oparta, kierowana czy przez grono, czy przez jednego mądrego człowieka, mogłaby niezmiernie wiele w kraju zdziałać tak na chwilę obecną jak i dla przyszłości — nie wątpię, że znajdą się ludzie mądrzy i szczerze kraj miłujący, którzy z tej, choćby niedołężnie przedstawionej myśli coś zrobić potrafią.

W polityce miarą dzielności danego stronnictwa, są osiągnięte rezultaty — stronnictwo zachowawcze jest narażone na wielkie niebezpieczeństwo — czy to nie ostatnia chwila, aby je zażegnać? Popełniło ono błąd fatalny; nie chcąc jej uznać czy zamykając oczy na sprawę ludową, postąpiło jak niedbały leśnik ze szkółką

drzewek — dało jej się zachwaścić, rozwielmożnić indywiduom niepożądanym, i dziś z przerażeniem po latach zaniedbania konstatuje, że ze szkółki zrobił się las! ale i w tym lesie, choć dziki na pozór, jeszcze nie wszystko stracone, pole do działania jest, byle się do dzieła wziąć z sercem wielkiem, czystą intencyą i wiarą— to powinno być polem pracy przyszłego stronnictwa katolickiego, które może z podobnym, jak następujący programem dałoby się ukonstytuować.

Sądzę, że takie stronnictwo, gdyby ewentualnie powstało, powinno sobie wziąć za cel, nie polityczne działanie, w ścisłem tego słowa znaczeniu, do czego powołani są politycy zawodowi, więc posłowie do ciał reprezentacyjnych — ale raczej działanie obywatelskie i społeczne w kraju:

1) Przez urabianie opinii i zdrowych zapatrywań oraz zasad najpierw we własnych szeregach rekrutujących się wśród najszerszych warstw społeczeństwa, byle dostatecznie uświadomionych i przyznających się do zasad katolickich, przedewszystkiem wśród duchowieństwa, obywateli, nauczycieli i t. d.

2) Przez prawdziwe i zdrowe uświadomienie ludu zapomocą prasy ludowej, czytelń, urządzania po miastach, miasteczkach i wsiach odczytów i zgromadzeń na wzór zgromadzeń i działań socyalistów.

3) Przez popieranie wszelkich akcyi mających na celu ekonomiczne podniesienie kraju, przez zakładanie spółek włościańskich, kas pożyczkowych, mleczarń i t. d.

4) Przez staranie się o osiągnięcie możliwie największej żywotności i ekspanzywności, co dałoby się uzyskać, gdyby na czele stronnictwa stał wydział centralny o jasno określonym programie działania i poruczonym zakresie obowiązków, między którymi byłby najważniejszym zakładanie komitetów lokalnych o podobnym acz ciaśniejszym zakresie działania i zachowania ścisłego kontaktu z tymi komitetami.

5) Ewentualnie przez założenie własnego organu, o ile żaden z istniejących w kraju nie okazałby się skłonnym albo odpowiednim, by interesów naszego stronnictwa bronić, a idee jego szerzyć.

6) Przez przygotowanie zawczasu terenu dla przyszłych wyborów i zajęcia się gorliwie w swoim czasie akcyą wyborczą.

Kazimierz Rostworowski.

Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Pytanie to muszę odrazu ograniczyć tylko do Galicyi, bo aby zabierać głos o zadaniach katolików w innych dzielnicach, trzebaby poznać stosunki tamtejsze naocznie, w każdym razie lepiej, niż mi one są znane.

Aby więc na to pytanie, o ile tyczy się Galicyi, odpowiedzieć, trzeba rozpatrzyć się w obecnym stanie naszego społeczeństwa, czego mu niedostaje, co mu grozi, co w niem jest złego — a wtedy dopiero będziemy mogli poznać, jakie zadania czekają na spełnienie przez katolicyzm, który jako religia prawdziwa jedynie może podnieść i odrodzić społeczeństwo.

Wiek dziewiętnasty przekazał w spuściźnie wiekowi dwudziestemu wiele nierozwiązanych problematów społecznych. I tak wspomnę tu o kwestyi robotniczej, rzemieślniczej, rolniczej czyli agrarnej.

Dla rozwiązania kwestyi robotniczej zrobiono już wiele, głównie dzięki inicyatywie katolickich myślicieli i polityków. Jednak jeszcze bardzo wiele pozostaje do zrobienia. Jeszcze często zapłata za pracę jest za niską, czas pracy za długi, miejsca pracy są nieraz jeszcze nieodpowiednie pod względem zdrowotnym. Praca dzieci, praca kobiet, wymagają ograniczenia ze względu na organizm kobiecy i dziecięcy i ze względów rodzinnych. Dążyć należy do tego, aby mieszkania robotników były suche i zdrowe i odpowiednio do ilości członków rodziny obszerne. Ubezpieczenie od choroby rozciągnąć należy na wszystkich pracowników, zaprowadzić ubezpieczenie na starość i na wypadek niezdolności do pracy, zaprowadzić najtrudniejsze zabezpieczenie od bezrobocia. Dążyć należy do tego, aby spory między pracodawcami i robotnikami nie załatwiały się zapomocą strejków, przynoszących

stratę i jednym i drugim, ale przez wyrok obowiązujący sądów, złożonych z pracodawców i robotników. Należy robotników zorganizować i organizacye wszystkie połączyć zapomocą izb robotniczych, któreby broniły interesów robotników i któreby wysyłały posłów do ciał reprezentacyjnych.

Podobnie i stan rzemieślniczy potrzebuje pomocy, aby się podźwignął z upadku, w jaki go wprawiły rządy liberalne. Wniesiona do Rady Państwa nowela do ustawy przemysłowej odpowiada wprawdzie wielu życzeniom stanu rzemieślniczego, ale nie zupełnie. Potrzeba zaprowadzenia egzaminu majsterskiego, jakto uchwaliła komisya przemysłowa, potrzeba wprowadzenia w życie organizacyi zawodowej i ochrony przed przewagą przemysłu fabrycznego, potrzeba zakładania stowarzyszeń wytwórczych, stowarzyszeń dla dostarczania materyału surowego, taniego dostarczania siły dla małych motorów. Zadania te mogłyby objąć także stowarzyszenia zawodowe.

A najliczniejsza u nas warstwa rolników, która na swojej ziemi nie mogąc się wyżywić, idzie po chleb w obce kraje, potrzebuje też pomocy. Organizacya, zapoczątkowana przez Kółka Rolnicze, powinna objąć cały stan włościański, a towarzystwa osobne, lub też towarzystwa zawodowe rolnicze, powinny dostarczyć rolnikom wszystkiego, czego potrzebują dla podniesienia gospodarstwa, dla lepszego wyzyskania roli, dla umożliwienia przemysłu domowego i rolniczego. Spółki Raiffeisena powinny pokryć kraj cały.

Obowiązkiem, a zatem i zadaniem, katolików jest stawać w obronie klas pracujących, w obronie ludu i razem z nim walczyć o polepszenie bytu materyalnego.

Dotychczas zajmowaliśmy się potrzebami materyalnemi społeczeństwa, ważniejsze jednak jeszcze są potrzeby moralne.

Jeżeli wogóle należy stwierdzić z radością wielki wzrost w kraju naszym pobożności i wiary przy końcu wieku ubiegłego, to fakt ten nie powinien nam zakrywać niebezpieczeństwa, na jakie wiara w narodzie naszym jest już teraz narażona, a w większym daleko stopniu będzie narażoną w niedługiej przyszłości.

Wiara nasza bowiem za mało jest żywą. U nas Polaków

przeważa zazwyczaj uczucie nad rozumem i wiara nasza jest często więcej rzeczą uczucia, niż rozumu. Gdyby tak nie było, jak wytłumaczyć fakt, że przy uroczystościach kościelnych, kongresach widać zgromadzone całe nasze społeczeństwo od warstw najuboższych aż do najwyższych, rządzących. Mowy, jakie wygłaszają ludzie, mający wpływ na rządy w kraju, są nawskróś katolickie, ale tylko — na czas uroczystości. Ci sami ludzie nie rozumieją, że zasady katolickie trzeba i w sprawach publicznych w czyn wprowadzać. Zresztą zrobiliby oni to chętnie, gdyby nie — żydzi, którzy też mają swoje żądania i z którymi się kokietuje. Widzimy więc, że coraz więcej żydów i żydówek uczy w szkole dzieci katolickie, widzimy, że sklepy są otwarte w czasie głównego nabożeństwa przedpołudniowego, widzimy, że wielu bardzo dobrych katolików boi się szkoły wyznaniowej, widzimy jeszcze w wielu biurach pracę w niedziele i święta.

Gdym podczas kongresu maryańskiego spoglądał na zapełnioną salę wielką Filharmonii we Lwowie, na publiczność z zapałem oklaskującą mówców katolickich, rzekłem do jednego z towarzyszy pracy: »Oby z tych tysięcy, wypełniających tę salę, znalazło się choć stu chętnych do pracy socyalnej«. Kongres minął, a tych stu się nie znalazło.

A tymczasem silnie zorganizowana partya socyalno-demokratyczna, prowadzi na razie tylko podjazdową walkę przeciw wierze ludu naszego, a wtóruje jej partya ludowców. A nawet w dziennikach partyj, żyjących nibyto w zgodzie z katolicyzmem, spotykamy strach przed klerykalizmem, nie znajdujemy nieraz słowa nagany dla pojedynku, tej pozostałości barbarzyńskiej z czasów mniej ucywilizowanych.

A nowy kierunek literatury naszej, ta młoda Polska, prowadzi młodzież naszą na łowy, które nawet w Sejmie napiętnowano, jako niebezpieczne. Dzieła filozoficzne i przyrodnicze, zaprzeczające dogmatom Kościoła, wychodzą w tłumaczeniu polskiem w coraz nowych wydaniach i wyhodowują tych półuczonych, którzy wierzą w to święcie, że nauka pozostaje w sprzeczności z religią objawioną. W związku z tem etyka Nietschego, etyka nadludzi, bardzo wygodna dla tych, którzy się za nadludzi

uważają, znajduje wielu zwolenników. To też zepsucie moralne, zwłaszcza pośród młodzieży, szerzy się w zastraszający sposób, kiedy lekarze nawet podnoszą swój głos, ostrzegający społeczeństwo ze stanowiska już tylko sanitarnego. Zepsucie to wzrosło do tego stopnia, że zaszła potrzeba tworzenia towarzystw ochrony młodzieży, przeciwdziałających temu niebezpieczeństwu. Literatura i teatr współzawodniczą w przedstawianiu sytuacyj drażliwych, nieraz z tendencyą wręcz fałszywą. Pornografia coraz mniej się ukrywa. To też coraz częściej się zdarza, że ludzie młodzi, pobudzeni alkoholem, tarzają się w rozpuście, a życie takie kończy się defraudacyą, albo samobójstwem, lub w domu obłąkanych.

Taki stan społeczeństwa wymaga naprawy, a cóż może je naprawić, jeśli nie zwrot do Boga, do praktycznego zastosowania nauk Chrystusowych w całem życiu prywatnem i publicznem? »Wróćmy do praktykowania chrześcijaństwa«, *Zurück zum praktischen Christentum,* ten okrzyk O. Abla w Wiedniu powinien stać się też naszem hasłem. To drugie, ważniejsze jeszcze zadanie katolicyzmu w czasie dzisiejszym.

Lecz łatwiej daleko wskazać zadanie, wytyczyć sobie cel, do którego dążymy, niż rozpoznać środki, których użyć należy, jeśli do tego celu dojść chcemy.

A że, jeśli w każdej pracy potrzeba błogosławieństwa Bożego, to w tej wytkniętej pracy podniesienia materyalnego i moralnego społeczeństwa bez błogosławieństwa Bożego ani kroku naprzód zrobić nie potrafimy, więc nim zaczniemy coś działać dla naprawy społeczeństwa, powinniśmy naprawić siebie samych. Czytałem, że w centrum parlamentu niemieckiego był zwyczaj, że członkowie jego mający występować z mową, lub wnioskiem w parlamencie, przygotowywali się do tego przyjęciem Przenajświętszego Sakramentu. Jeżeli nie przystąpimy do pracy z sercem czystem, z dobrą intencyą, to na nic się nie zda nasz trud. Jeżeli nie będziemy się posilać Chlebem Żywota, sił nam zabraknie do pracy.

A więc wezwawszy Boga na pomoc, co czynić należy? Odpowiedź łatwa: Zorganizować wszystkich katolików kraju naszego do wspólnej pracy pod sztandarem Krzyża. Wykonanie tej odpo-

wiedzi jest trudniejsze. Organizacya musi być zawodowa, organizacya miejscowa, okręgowa i krajowa, organizacya społeczna i organizacya polityczna. O szczegółach organizacyi nie miejsce tu mówić, wspomnę tylko o warunkach potrzebnych do przeprowadzenia organizacyi i jej skutecznej działalności. Warunków tych jest trzy: do organizacyi potrzeba ludzi, potrzeba pieniędzy, potrzeba pracy.

Do organizacyi potrzeba przedewszystkiem ludzi. Organizować należy bowiem masy ludowe, a te bez pomocy intelligentnego czynnika, albo nie dadzą sobie rady, albo też pójdą na bezdroża. Dla każdej nowej organizacyi zawodowej, trzeba przeznaczyć jednego człowieka intelligentnego, któryby ją przynajmniej w początkach poprowadził, dopóki z pomiędzy robotników nie wyrobi się odpowiedni zastęp ludzi, którzy potrafią temi organizacyami dalej kierować.

Tymczasem pracowników takich intelligentnych brak. A dlaczego? Dlatego, że za mało osób z intelligencyi interesuje się wogóle sprawą społeczną, że niema poczucia obowiązku poświęcenia pewnej ilości wolnego czasu dla dobra ogółu, dla pracy społecznej. Obecnie panuje przeważnie przekonanie, że jeżeli kto obowiązki swego stanu wypełni uczciwie, to zrobił co do niego należało, wolny czas może poświęcić rozrywce, sportom, kartom albo i knajpie. Że oprócz obowiązków stanu i rodzinnych są jeszcze obowiązki pracy społecznej, o tem zazwyczaj ludzie, mający się nawet za dobrych katolików, nie mają pojęcia.

Bardzo korzystny wpływ na intelligencyę mają rekolekcye, a na lud misye. Rekolekcyj więc i misyj niech będzie jak najwięcej. Ale gdy dotychczas szło o to, aby ludzi zwrócić do wiary, przyprowadzić do Sakramentów Pokuty i Ołtarza, teraz nie powinniśmy się tem zadowolić. Potrzeba, aby księża na rekolekcyach, w kazaniach, w konfesyonale kładli nacisk na o b o w i ą z e k p r a c y s p o ł e c z n e j. Dopóki nasza intelligencya tym obowiązkiem się nie przejmie, dopóty garstka pracowników na niwie społecznej, podołać nie mogąc ogromowi pracy, zużywa swe siły bez widocznych wyników, a przynajmniej wyniki te są pod każdym względem niedostateczne. Trzeba, aby katolicy to zrozumieli,

że aby być dobrym katolikiem, trzeba kochać bliźniego, jak siebie samego, trzeba więc pójść z pomocą braciom pokrzywdzonym społecznie, że trzeba koniecznie wziąć czynny udział w pracy społecznej.

Praca ta jest jednak tak olbrzymią, że nie podołają jej jednostki choćby najchętniejsze, jeżeli poświęcają jej czas zbywający od zajęć zawodowych. Zrozumieli to socyaliści i tym, którzy pracują dla ich idei, dają całkowite utrzymanie. Opanowawszy kasy chorych, mają do rozdania między takich pracowników-agitatorów i mowców posady dobrze płatne. My tych posad nie możemy na razie ofiarować swoim pracownikom, musimy więc ich utrzymywać z własnych funduszów.

Przyszliśmy tu do drugiego warunku udania się organizacyi, do pieniędzy. Pieniędzy potrzeba na utrzymanie mowców i agitatorów, na tych ludzi, którzy cały swój czas poświęcą sprawie społecznej, pieniędzy potrzeba na pracę, o której później mówić będziemy. Skąd je wziąć?

Socyaliści opodatkowują zorganizowanych robotników i mają do rozporządzenia potrzebne sumy. My za mało mamy zorganizowanych robotników, aby pieniądze te już teraz mogły wystarczyć. Na razie oprócz robotników muszą się opodatkować także stany wyższe. Grosz ten, który zażądać należy od intelligencyi naszej, od osób zamożnych, nie będzie straconym. Wszak będzie on poświęcony na obronę przed przewrotem, zamierzonym przez demokracyę socyalną, która w razie zwycięstwa nie tyle, co my żądamy, ale stokroć więcej sama zabierze. Kto będzie żałował dać teraz na sprawę ogólną pewną cząstkę swych dochodów, ten naraża się, że kiedyś może je postradać wszystkie. Opodatkowanie ogólne jest koniecznem, jeżeli mamy na seryo prowadzić jakąś akcyę, opodatkowanie to jest tem potrzebniejsze, że dla udania się akcyi potrzebną jest prasa katolicka, która z początku przynajmniej wymaga ofiar pieniężnych.

Prasa katolicka, powie niejeden, co za żądanie? Wszakżeż wszystkie dzienniki, z wyjątkiem *Naprzodu,* a może *Kuryera,* są katolickie! Kto tak twierdzi, łudzi się wielce. Prawda, że wszystkie dzienniki uważają się za katolickie, ale cóż? Jeden z nich jest

katolicko-konserwatywny i swego czasu podał z encykliki Leona XIII o demokracyi chrześcijańskiej tylko jeden ustęp, z którego mogło się zdawać, że Ojciec św. potępia demokracyę chrześcijańską, drugi liberalny, trzeci narodowy, normujący swe zdania nie wedle etyki chrześcijańskiej, lecz wedle etyki egoizmu narodowego. Jeden zależy od rządu, drugi od pewnej koteryi, a nie mamy dziennika wielkiego, czytanego w całym kraju, któryby się otwarcie oświadczył za demokracyą chrześcijańską w myśl encykliki Leona XIII, dziennika, któryby służył tylko sprawie katolickiej. A ponieważ mamy obecnie sześć do siedmiu dzienników nazywajacych się katolickimi, więc ta garstka katolików, którzy pracują na niwie społecznej, dzieli się między tych siedm dzienników. Chcąc do nich przemówić, chcąc rzucić jakieś hasło, trzeba pisać do siedmiu dzienników. Nicby w tem nie było złego, ale jeżeli to hasło nie będzie się podobać konserwatystom, to nie umieszczą go dzienniki konserwatywne, jeśli nie znajdzie łaski u rządu, to nie umieszczą go dzienniki oglądające się na rząd, jeżeli nie podoba się narodowym demokratom, lub pewnej grupie miejscowej rządzącej, to nie umieszczą go ich dzienniki. Hasło to nie dojdzie do wszystkich, dla których było przeznaczonem.

Jeżeli organizacya ma się udać, jeżeli ma skutecznie działać, musi mieć swój organ, który czytują wszyscy należący do organizacyi, a przynajmniej nią kierujący.

Jeśliby na razie nie było funduszów na dziennik wielki, występujący otwarcie pod hasłem katolickiem, aby mógł gorliwych katolików odrazu skupić, to mógłby wystarczyć na razie tygodnik, redagowany cięto, zajmująco, nie oglądający się na nikogo, jak tylko na dobro sprawy, odpierający wszystkie napaści na wiarę, na duchowieństwo, na partyę katolicką.

Dr. Maksymilian Thullie.

Przepraszam, że na wystosowane do mnie zaproszenie tak późno odpowiadam. Różne ważne prace naukowe, a szczególnie druk książki, którą właśnie skończyłem, nie pozwalały mi oderwać

myśli i skupić ich w innym kierunku. Ale jest jeszcze inny powód mojego opóźnienia się. Czas jakiś wahałem się, czy wogóle mam wdawać się w podanie jakiejkolwiek na postawione pytanie odpowiedzi. Jestem filozofem, człowiekiem żyjącym wyłącznie w świecie myśli, z polityką nie mam nic wspólnego, a w życiu politycznem obecnie wcale żadnego nie biorę udziału. Następstwem takiego stanu rzeczy jest, iż na tok spraw politycznych i społecznych bieżących patrzę z innej perspektywy, aniżeli politycy zawodowi. Wobec tego myśli moje i zapatrywania mogą się łatwo wydać komuś nie na czasie, a w tych lub owych obozach politycznych wywołać nawet zgorszenie, lub niechęć. Ostatecznie jednak postanowiłem odpowiedzieć, a to zarówno ze względu na chwilę obecną, dla nas wprost przełomową, jak i ze względu na niezmierną doniosłość postawionego pytania. Istotnie wdzięczność należy się Szan. Redakcyi za spowodowanie niniejszej ankiety. Jeżeli kiedy to teraz potrzeba nam jasnej świadomości, jak mamy dalej losami własnymi pokierować. Ktokolwiek więc ma coś do powiedzenia, nie powinien myśli swojej ukrywać, lecz powinien przyczynić się do tego, aby wyrobiła się jakaś jaśniejsza i wyrazistsza opinia o dalszem sterowaniu naszą nieszczęsną nawą narodową i społeczną.

Od chwili ostatniego rozbioru Polski przeżyliśmy jako naród lat sto dziesięć. Do grobów pokładli się dawno nie tylko ci, którzy tych okropnych czasów dożyli, ale i ci także, którzy się już w porozbiorowych porodzili czasach. Cztery pokolenia szarpią się w wewnętrznych rozterkach między rzeczywistością, a poczuciem tego, co stać się mogło i stać się było powinno. Zdaje mi się jednak, że w ciągu tych lat stu dziesięciu nie było jeszcze nigdy chwili tak ważnej dla naszego narodu, tak przełomowej, tak rozstrzygającej o całej jego dalszej przyszłości, o dalszym sposobie żywota narodowego, jak obecna. Chyba na jeden tylko moment, równie w dziejach naszych przełomowy, możnaby wskazać, to jest na czasy gdzieś na przejściu z wieku szesnastego w siedmnasty, gdy się rozstrzygało to wszystko, co wprowadziło nas na późniejsze tory dziejowe zarówno pod względem ustroju wewnętrznego, jak i położenia na zewnątrz. Obecne położenie

nasze jest także w obu tych kierunkach położeniem wprost krytycznem. Na zewnątrz i na wewnątrz przygotowują się w życiu polskiego społeczeństwa rzeczy, które może na długo, jeżeli nie ostatecznie rozstrzygną o jego losach. Z ważności tego, co się teraz dzieje, powinni sobie wszyscy synowie Polski, bez względu na przekonania lub stronnictwa jasno sprawę zdawać, powinni to sobie uświadomić, że od kierunku, w jakim obecnie żyjące pokolenia naród popchną, zależeć będzie może los Polski wogóle. Krytyczność chwili obecnej możnaby śledzić i wykazać na najrozmaitszych polach naszego życia narodowego; w tego rodzaju jednak rozbiór wszechstronny naszego położenia obecnego wdawać się tutaj nie mogę i ograniczę się tylko do postawionego pytania.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cała ważność naszej roli dziejowej polega na związku z cywilizacyą zachodnio-europejską i z katolicyzmem. W tym związku tkwi nasze wielkie posłannictwo dziejowe, ale tu szukać należy także dziejów naszych tragedyi. Mając do wyboru między Rzymem a Bizancyum, wybraliśmy pierwsze i w tem była nasza siła. Urośliśmy na katolickim gruncie, przez katolicyzm staliśmy się wielkimi. Misya nasza dziejowa oczywiście i widocznie miała polegać na szerzeniu cywilizacyi łacińskiej przez pustynie i stepy aż na krańce Azyi i po brzegi oceanu Spokojnego. Szczęściem naszem największem było, iż u progu dziejów przyjęliśmy katolicyzm a drugiem szczęściem, iż wyrwaliśmy się z objęć złowrogiej dla nas reformacyi. Gdybyśmy byli przyjęli chrześcijaństwo z Bizancyum, byłby nas niewątpliwie spotkał ten sam los, który spotkał bratnią Ruś, prawdopodobnie nie bylibyśmy się nigdy wydobyli na szerszą widownię dziejów, bylibyśmy w półsennej pozostali martwocie i stali się pastwą różnych ościennych zdobywców. Z drugiej strony, gdybyśmy byli przyjęli Reformacyę lub narodowy u siebie zaprowadzili Kościół, to w takim wypadku możeby w chwili obecnej była mowa o Mazurach, Kurpiach, Krakowianach lub Góralach na ziemiach polskich zamieszkałych, ale na pewno nie byłoby wcale mowy o narodzie polskim, jako o jednej wielkiej politycznej całości. Czem jesteśmy zawdzięczamy przynależności do katolickiego Zachodu. Gdyśmy się pod względem politycznym

zarówno na zewnątrz jak na wewnątrz rozsypywać zaczęli, jeden tylko katolicyzm zdołał jako tako niesforne skupiać żywioły i do wspólnych doprowadzać wysileń. Ale niewątpliwie w tym związku naszym z katolicyzmem tkwi również nasza tragedya. Osłabiliśmy nasze siły w walkach z protestantyzmem i ze światem muzułmańskim tak, że już bizantynizmu, który po upadku Konstantynopola obrał sobie w Moskwie siedzibę, nie byliśmy w możności pokonać. Do wzrostu protestantyzmu na kresach zachodnich sami przyłożyliśmy rękę. Gdy więc za Piotra Wielkiego protestantyzm i bizantynizm nad głowami naszemi podały sobie ręce, los nasz rozstrzygnął się. Obecnie jest to w interesie obu powyższych czynników zniszczyć nas. My oczywiście zawadzamy zarówno protestanckiemu prusactwu, jak i bizantyńsko-biurokratycznej Rosyi, jesteśmy klinem między nimi, jesteśmy cierniem w ich ciałach politycznych. Między Polską z jednej strony, a między systemem pruskim i bizantyńską biurokracyą z drugiej strony, porozumienia nigdy być nie może, tylko walka na śmierć i życie. Z tego należy sobie zdać całkiem jasno sprawę. Zarówno Prusy, jak i biurokracya rosyjska, nie mogą bezwarunkowo dojść z nami do jakiejkolwiek zgody, w ich interesie leży tylko zupełna nas zagłada, my jesteśmy — jak powiedziałem — cierniem w ich ciele, z którym oba te systemy żyć nie mogą, muszą albo cierń wyjąć i zniszczyć, albo go tak skruszyć i zetrzeć, aby nie bolał. Na zewnątrz przeto położenie nasze obecnie jest takie: Prusak usiłuje u siebie nas zgładzić i wytępić, za granicami zaś własnego państwa stara się, aby Polacy byli możliwie jak najsłabsi, aby żadnej roli politycznej nie odgrywali, obawia się bowiem o własną skórę. W Rosyi od systemu biurokratycznego, będącego dziełem Piotra Wielkiego, także niczego spodziewać się nie można, tam praca nad zagładą naszą musiałaby postępować coraz dalej. Niewątpliwie najboleśniejszemi ze wszystkich naszych złudzeń porozbiorowych, to były złudzenia tak zwanych partyi ugodowych w zaborze rosyjskim. Były to zaiste złudzenia sprzeczne z całą logiką dziejów, a bolesne strasznie, bo zaprowadziły niektórych przyznających się do opromienionej cierpieniem za wolność nazwy Polaków, aż... pod pomnik Katarzyny. Na szczęście

jednak nasze znaleźli się na kuli ziemskiej Japończycy. Cywilizacya zachodnio-europejska, nie mogąc dostać się do azyatyckich wybrzeży Oceanu Spokojnego za naszem pośrednictwem, okrążyła oceany, a dostawszy się tam za sprawą Anglo-Sasów, pozyskała dla siebie naród Japoński. I oto w oczach naszych stała się rzecz niesłychana, uratowano Zachód ze strony odwrotnej, tj. od Wschodu. — Po raz pierwszy cywilizacyę zachodnią uratowała od nawały wschodniej Grecya, następnie po raz drugi w dziejach myśmy ją ratowali, ale nie wytrzymaliśmy naporu i oto zaczęły światu zachodniemu wielkie grozić niebezpieczeństwa, zdawało się, że pod naciskiem Rosyi zaciężą nad Europą system bizantyńsko-chiński. Zagrożona jednak w posadach swoich cywilizacya zachodnia, wykonała manewr obejścia, zaszła śmiertelnych wrogów swoich, t. j. Chiny i Rosyę, od tyłu i pokonała ich. Teraz oba te wielkie światy są w stanie przeobrażania się i mogą, ba, nawet z czasem muszą, przyjąć cywilizacyę zachodnią. Bizantynizm i chińszczyzna, pokonane w heroicznych walkach mandżurskich, prędzej czy później muszą runąć, w interesie zaś narodu rosyjskiego leży, aby runęły jak najprędzej. Tak więc uratowali Japończycy cywilizacyę europejską po raz trzeci. I w tem właśnie fakcie świta dla nas promień nadziei. Jeżeli Chiny nawet przyjmą cywilizacyę zachodnią, to Rosya na żaden sposób nie może zostać tem, czem była przed wojną ostatnią. W trzeciej wreszcie dzielnicy, t. j. w Polsce austryackiej, mamy warunki bytu zewnętrzne znośne, to jednak dla całego narodu bezwarunkowo wystarczyć nie może. — Takie jest nasze położenie zewnętrzne.

Na wewnątrz znajdujemy się jednak także, jako naród i społeczeństwo, w położeniu nad wyraz krytycznem. Do niedawna byliśmy społeczeństwem rolniczem, szlacheckiem, obecnie przekształcamy się w społeczeństwo przemysłowe i ludowe. Przemysł wzrasta, większa własność maleje, ziemia przechodzi w ręce wielkich mas ludu. Ale obok tego dokonywa się jeszcze w naszych oczach drugie ważne przeobrażenie wewnętrzne. Któż nie dostrzega tej cichej, kreciej, ale z niesłychaną energią prowadzonej roboty, zmierzającej do odebrania narodowi polskiemu charakteru chrześcijańskiego. Z wysiłkiem i poświęceniem wielkiem widzimy

prowadzoną w tym kierunku propagandę, mową, czynem, piórem i drukiem. Hasła są różne, ale cel ten sam, chodzi o to, aby społeczeństwu odebrać wiarę, oderwać je od Kościoła i chrześcijaństwa. Z inteligencyą i z młodzieżą sposobiącą się do zawodów wymagających wykształcenia wyższego to się nawet już do pewnego stopnia udało, teraz idzie o to, aby i w szerokich warstwach ludu ten sam cel urzeczywistnić. A więc w naszych oczach rozgrywa się walka potężna, rozstrzyga się wielkie dziejowe pytanie, czy społeczeństwo polskie pozostanie chrześcijańskiem i katolickiem, czy nie. Rozgrywa się obecnie taka sama walka, jak za czasów reformacyi, tylko że wówczas chodziło jedynie o przynależność do katolicyzmu, obecnie idzie o przynależność do chrześcijaństwa wogóle.

Oto jest obraz skreślony krótko, a zapewne bardzo niedokładnie, obecnego naszego położenia. Nie znam drugiego w Europie narodu, któryby znajdował się w naszych czasach zarówno na zewnątrz, jak i na wewnątrz w warunkach tak groźnych, tak niebezpiecznych, jak my. Jakież wobec tego mogą być zadania, które miałby katolicyzm u nas w Polsce do spełnienia?

Rozważmy przedewszystkiem zadania dotyczące położenia zewnętrznego. W interesie Kościoła katolickiego musi oczywiście leżeć, aby naród polski w jego walkach i pracach około utrzymania bytu swojego jak najsilniej i jak najenergiczniej popierać. Naród polski był zawsze dla Kościoła bardzo ważnym czynnikiem, był placówką najdalej na wschód wysuniętą, był klinem wbitym między protestantyzm, a prawosławie. Obecnie rola tego narodu dla Kościoła jest może jeszcze ważniejszą. W Niemczech katolicyzm przez Polaków oskrzydla protestantyzm. Naród rosyjski jest w stanie przeobrażania się, kto wie może da się pozyskać, kto wie, czy Rosya nie odrodziłaby się przez unię z Kościołem rzymsko-katolickim. W takich warunkach jest oczywiście w interesie katolicyzmu i w interesie tej wielkiej misyi, którą on wobec ludzkości spełnia, popierać naród polski w jego ciężkich walkach. Sprawa polska jest równocześnie sprawą katolicyzmu, gdzie polskość będzie silniejszą, tam i Kościół będzie miał także znaczenie większe. Przypuszczam, że najwyższe koła w hierarchii Kościoła zdają sobie z tego sprawę i dlatego otaczały zawsze

naród polski szczególną opieką. Byłoby do życzenia, aby opieka ta nietylko nie osłabła, ale stała się jeszcze czynniejszą i czujniejszą. Z naszej strony należałoby się starać o to, aby Watykan był o sprawach polskich jak najdokładniej informowany. Oczywiście duchowieństwo katolickie powinno sprawy narodowe nasze jak najenergiczniej popierać. Mamy prawo żądać, aby kapłani polscy byli gorącymi polskimi patryotami, nietylko dlatego, że są Polakami, ale dlatego także, że są duchownymi katolickimi. Z tego względu nie uważam za odpowiednie usuwanie się duchowieństwa od pracy narodowej i obywatelskiej. Jeżeli gdzie, to właśnie wśród polskiego narodu sprawa narodowa jest równocześnie sprawą katolicką. Odnosi się to nawet do Polaków w Ameryce, jeżeli ich Kościół naprawdę pragnie utrzymać i przez to wzmacniać w Ameryce katolicyzm, to powinien starać się, aby pozostali przy katolicyzmie jako Polacy. W Prusiech należałoby bez żadnych ustępstw bronić każdego polskiego stanowiska, pod rządem zaś rosyjskim powinnoby duchowieństwo jak najdzielniej zabrać się do pracy w Kościele, w gminie, i wogóle do pracy obywatelskiej na wszystkich polach; żywotność narodu wyjdzie na korzyść Kościoła. W Austryi rzeczą polskiego katolicyzmu powinnoby być łączyć się do wspólnej walki i pracy z innemi stronnictwami katolickiemi, głównie jednak ze stronnictwami katolicko-ludowemi, a to z przyczyn, które nieco niżej wyłuszczę. Katolicyzm ma w Austryi wszędzie tych samych wrogów, t. j. przeżyty liberalizm mieszczański i antychrześcijański socyalizm. Przeciwko wspólnym wrogom niezbędnie potrzebną jest także wspólna walka.

Przychodzę teraz do najważniejszej części moich wywodów, t. j. do rozpatrzenia zadań katolicyzmu na wewnątrz, to znaczy w wewnętrznem życiu społeczeństwa polskiego.

Wspomniałem już, że obecnie rozgrywa się wśród nas walka nad wyraz doniosła. Idzie o to, czy polski naród ma nadal pozostać chrześcijańskim, czy też ma pójść w ślady pewnej części narodu francuskiego, czy ma się chrześcijaństwa wyrzec. Nazywają nas nieraz Francuzami północy, czyżbyśmy więc mieli i w tem Francuzów naśladować? Kto byłby tego zdania, temu pozwolę sobie powiedzieć, że moment dziejowy, w którym większość narodu polskiego

wyrzekłaby się chrześcijaństwa i Kościoła, oznaczałby dopiero naprawdę koniec Polski. Jako naród niechrześcijański i niekatolicki nie potrafilibyśmy ostać się wobec otaczających nas wrogów, lud polski, gdyby przestał być katolickim, przestałby być i polskim. Naród angielski mógł pozostać narodem pomimo że przestał być katolickim. Francuzi wyrzekłszy się katolicyzmu niewątpliwie także pozostaną narodem osobnym; w naszych warunkach byłoby to rzeczą zupełnie niemożliwą. O tem powinni pamiętać ci wszyscy, którzy u nas tak zawzięcie walczą przeciw Kościołowi i chrześcijaństwu. Katolicyzm to nasza ważna cecha narodowa, to jeden z czynników, który pomimo podziałów politycznie nas zespala. Państwo polskie przestało istnieć, ale Kościół polski istnieje nadal i nie przestaje wraz z polskim narodem spełniać roli klina wbitego między prawosławie a protestantyzm. Takiej duchowej broni się wyrzec, równałoby się pójściu dobrowolnemu na rzeź za przykładem baranów. Jakież jednak mogą być powody, że w Polsce pod zaborem rosyjskim i austryackim wydano tak zawzięty bój katolicyzmowi? Jest to w związku z przeobrażaniem się społeczeństwa naszego w ludowe i przemysłowe. Kościół katolicki był u nas, a także i gdzieindziej, dawniej w sojuszu ze stronnictwami konserwatywnemi i ze szlachetczyzną. Rozwój dziejowy europejski zmierzał do tego, aby, jak wszędzie zresztą, poddać religię pod interesa świeckie i polityczne, a fanatyzm religijny do własnych zużytkować celów. Udało się to istotnie wszędzie na świecie z wyjątkiem w stosunku do Kościoła katolickiego. Najwspanialsza ta instytucya już z natury swojej do głębi demokratyczno-społeczna, walczyła przez długie wieki o zatrzymanie swojego charakteru pierwotnego, powoli jednak hierarchia kościelna zaczęła ulegać. Przychodziły czasy, w których tu i ówdzie feudalizowała się i szła w służbę interesów świeckich; najdalej zaszły rzeczy w tej mierze w wieku 17 i 18-tym. Gdy rewolucya francuska wybuchnęła, zdawało się, że i dla Kościoła nadeszły chwile ostatnie. Ale Kościół katolicki wiecznie stary i zawsze młody, otrząsł się ze zgubnego dla siebie sojuszu. W oczach naszych dokonała się druga wielka rewolucya, bo oto Kościół do nowego odradzał się życia. Nie wszędzie jednak to

odrodzenie było zupełne. Gdzie tylko Kościół pozostał w sojuszu z feudalizmem, lub z konserwatyzmem politycznym, tam wyszło to na jego szkodę, gdzie tylko niezależnie od wszelkiej polityki zaczął na nowych, szerokich, ludowych odradzać się podstawach, tam doszedł i dochodzi do rozwoju i żywotności niezwykłej. Przykładem na pierwszy przypadek jest Francya, przykładów drugiego rodzaju dostarczają Niemcy, Anglia, Ameryka północna, a teraz także Włochy. Nic bardziej naiwnego nad ten komunał tak często teraz powtarzany, że katolicyzm we Francyi zgubiło głosowanie powszechne. Ależ na miły Bóg, czyż ci wszyscy, którzy niedorzeczność podobną ciągle powtarzają, nie zechcą raz opamiętać się! Przecież katolicyzm francuski nie popadł w obecne położenie przez głosowanie powszechne, lecz popadł w nie przez zwyrodnienie i niedołęztwo samychże katolików francuskich. Wszak po wojnie mieli oni wszystko w rękach, ale cóż, kiedy te niedołęgi przesiąknięte liberalizmem z czasów Ludwika Filipa i Napoleona III-go, zamiast zabrać się do pracy społecznej od dołu, zaczęły spierać się o to, jaki dynasta ma nad nimi panować, i sprawę Kościoła zaprzepaścili całkowicie, straciwszy wszelki grunt społeczny pod nogami, gdy się zaś ocknęli, było już za późno! Francya, to dla polskiego katolicyzmu wielka nauka. Jeżeli sprzymierzy się on z jakiemkolwiek stronnictwem politycznem, jeżeli katolicyzm polski pójdzie w służbę czyjąkolwiek, prócz służby w świętej sprawie narodu i Kościoła, spotka go ten sam los, który spotkał katolicyzm francuski. Duchowieństwo przeto katolickie i wszyscy szczerzy katolicy u nas, powinni stanąć na najszerszej podstawie ludowej i powinni rozpocząć zorganizowaną we wszystkich kierunkach pracę społeczną. Dlaczego szlachecki nasz konserwatyzm obecnie w Galicyi na tak słabych opiera się podstawach? Dla bardzo prostej przyczyny. Bo prowadził przez lat 40-ci na zewnątrz rozumną politykę, ale zaniedbał całkowicie energicznych wysileń na wewnątrz, zaniedbał zapuszczenia głęboko korzeni w grunt społeczny, głównie przez pracę w gminach. Uzyskawszy obszary dworskie, kurye wyborcze i ster rządów w kraju, konserwatyzm nasz tem się zadowolił, mniemał, że tak będzie zawsze, przypuszczał, że mając

rząd za sobą, wystarczy od czasu do czasu uchwalić w Sejmie jakąś ustawę i w mowach wyrazić przekonanie, iż lud się kocha i pragnie się nim rządzić dla jego dobra, zaś w pracę społeczną i w organizacyę szerokich mas ludowych, w to konserwatyzm wcale się nie wdał, zapomniał o tem, co już Tocqueville powiedział, że punktem wyjścia wszelkiej mądrej a żywotnej polityki powinna być praca w gminie, ubiegły go więc stronnictwa inne. I oto naraz najrozumniejsze w kierunku politycznym w kraju stronnictwo spostrzegło, że stoi na podstawach nad wyraz słabych. Czy to dla katolicyzmu naszego nie powinno być wielką nauką? Nie bawić się w dyplomacyę, nie łączyć się z konserwatyzmem, lecz przeciwnie, oprzeć się na najszerszej ludowej podstawie, zabrać się do pracy społecznej i do organizacyi na wielką skalę. Każda dusza ludzka powinna być policzoną, o każdą powinna być stoczoną walka. W takich warunkach katolicyzm nie powinien obawiać się głosowania powszechnego, przeciwnie, wzmocniwszy się, powinien go pragnąć, powinien popierać reformę wyborczą na sprawiedliwych opartą podstawach. Niema niesprawiedliwszego systemu wyborczego, nad system kuryalny. Kościół działając w myśl Boskiego Założyciela swojego, powinien walczyć przeciw wszelakim przywilejom, wychodzącym poza przywilej zasługi osobistej, powinien wszędzie popierać sprawiedliwość. Zapewne i głosowanie powszechne nie jest ideałem, ale względnie jest lepszem od innych systemów, znosi bowiem przywileje i zmusza do skupienia się społecznego i do pracy. Nie jest prawdą, aby przy głosowaniu powszechnem głos człowieka rozumnego znaczył tyle, co głos prostaka. Zapewne głos rozumnego próżniaka, lub sybaryty, wreszcie głos człowieka nie zajmującego się pracą społeczną, znaczy jedynkę, ale głos człowieka rozumnego, a na polu politycznem pracowitego, czynnego, energicznego, może przy organizacyi odpowiedniej znaczyć tysiące, bo tysiące pójdą za nim i będą tak głosowały, jak on im wskaże. Otóż katolicyzm u nas nie powinien sprzeciwiać się systemowi wyborczemu na podstawie najszerszej, ale sprawiedliwej, jednakiej dla wszystkich warstw i narodowości. Szczerzy katolicy i duchowieństwo katolickie, powinno się złączyć we wielką organizacyę chrześcijańsko-demokratyczną

i nie oglądając się na jakieś znaki z góry, powinno rozpocząć na największą skalę pracę organizacyjną i społeczną. Tu chodzi o rzeczy wagi niemałej, tu idzie o to, czy polski naród ma i nadal pozostać chrześcijańskim, katolickim, albo czy ma pójść w służbę bogów innych na własną zgubę. Zaiste takiej sprawie warto poświęcić pracę życia całego! Katolicyzm nasz w sojuszu z politycznym konserwatyzmem musi zginąć, gdyż straci grunt pod nogami i zawiśnie w powietrzu. Chrystus założył Kościół nietylko dla konserwatystów! Należy zaś z drugiej strony pamiętać także i o tem, że nasz polityczny konserwatyzm przejął mnogość pierwiastków z epoki liberalnej, i że w niejednej sprawie hołduje do dzisiaj doktrynom egoistyczno-liberalnym, nie jest on do głębi we wszystkich kierunkach i pod każdym względem chrześcijańskim. Nie jest takim, jakim chciał widzieć społeczeństwo przyszłe Krasiński, gdy pisał, że »wszędzie, i w izbie poselskiej, i na trybunale, i w kole wyborców, i w kole wybranych, i na stolicy władczej, i na rynku pospolitym, i w rękodzielni, i na giełdzie, i w sztuce każdej, i w każdej umiejętności, Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi«.

Niezbędnie przeto potrzebnem jest u nas wyzwolenie się katolicyzmu z pod konserwatywnej kurateli. Katolicko-ludowe stronnictwo powinno zespolić w sobie wszystkie żywioły narodowe na jak najszerszej demokratycznej podstawie. Wysunąć się na czoło postępu politycznego i społecznego, postęp ten we własne ująć dłonie. Oto zadanie katolicyzmu i to nietylko w Galicyi, ale także w zaborze rosyjskim. Ale hasło postępu powinno być wypisane przez katolików nietylko na sztandarze pracy politycznej i społecznej, rozumnie postępową powinna być także katolicka praca umysłowa na polu nauki, literatury i filozofii. Nasza myśl, jeżeli ma pozostać chrześcijańską, musi również wysunąć się w pierwsze szeregi. Na nic nie zda się galwanizowanie kierunków z przeszłości, kierunków przeżytych. Na taki zbytek mogą pozwalać sobie narody w szczęśliwszych żyjące warunkach. Nam potrzeba śmiało iść naprzód i dla myśli chrześcijańskiej nowe torować drogi. Wszyscy rozumni katolicy powinni stanąć u nas na najbardziej nowożytnem stanowisku, a zbrojni w cały arsenał

myśli współczesnej, niechaj walczą za swoje ideały. My nie ratujemy chrześcijaństwa u nas, jeżeli pozostaniemy w tyle, jeżeli nie przejdziemy w pierwsze szeregi naukowego postępu. Szkodliwą i tendencyjną literaturę antychrześcijańską, należy zwalczać lepszą i bardziej naukową literaturą chrześcijańską. Jak katolicyzmowi nie może zaszkodzić żadne głosowanie powszechne, co najwyżej może paru konserwatystów, mieniących się także katolikami, pozbawić mandatu, tak samo i żadna poważna praca naukowa nie może stać się dlań niebezpieczną. Potrzeba tylko umieć dogmatyzm antychrześcijański odpierać krytycyzmem chrześcijańskim. Prawdą jednak jest, że na to, aby módz takie osiągnąć cele, potrzebaby przedewszystkiem wykształcenie duchowieństwa katolickiego oprzeć na podstawach bez porównania szerszych, aniżeli obecne. Należałoby także system nasz szkolny do gruntu przekształcić, a nauką religii w szkołach całkiem inaczej pokierować.— Zbierając teraz wszystko w całość, powiem krótko: Katolicyzm polski powinien ująć w swoje ręce sztandar postępu we wszystkich możliwych kierunkach; powinien na jak najszerszej podstawie podjąć pracę społeczną. Jeżeli z hasłem postępu pójdziemy śmiało na wielki duchowy bój, który nas czeka, to zwyciężymy, walcząc pod znakiem krzyża, ale, jeżeli pod tem znamieniem pracy, walki i cierpienia, zechcemy ułożyć się do snu wygodnego, to wówczas nie narzekajmy później, i nie dziwmy się, że spotka nas ten sam los, co owe dziewice w przypowieści Chrystusowej, które zaspawszy sobie, spóźniły się.

Maurycy Straszewski

W kraju naszym panuje dziwna lękliwość w poruszaniu kwestyi, która nas wszystkich najżywiej obchodzi, od której rozwiązania, pod, niejednym względem dalszy nasz rozwój i nasze powodzenie zależy, a którą jednak niedość seryo traktujemy.

Jest nią kwestya żydowska, o tyle dla nas, niż dla Zachodnich narodów, ważniejsza, że Polskę w jej historycznych granicach zamieszkuje $2^1/_2$ miliona żydów, w małej tylko stosunkowo

liczbie, mówiących poprawnie po polsku, mających nietylko odrębną religię, ale co niemal ważniejsze, odrębną kulturę, upodobania i tradycye, zdolność do handlu i przemysłu, nadzwyczajnie wielką wytrwałość i zapobiegliwość — a odpłacających nam za naszą pewną ekskluzywność nienawiścią wprost groźną — systematycznem podkopywaniem naszych wierzeń i ideałów. To, że niejeden wstydzi się dziś przyznać do katolicyzmu, to, w gruncie rzeczy, w znacznej mierze wpływ żydowski, kultywowanych żydów naszych i zagranicznych.

Wstrzymuje nas zaś w zabieraniu głosu w tej kwestyi — powiedzmy prawdę — obawa, by nie być posądzonym o antysemityzm, okrzyczany przez żydowską prasę Zachodu, jako hańba wieku.

Francya i Niemcy miały i mają swoją kwestyę żydowską — 40 milionów Francuzów mają u siebie 100 tysięcy zupełnie zasymilowanych żydów, a 60 milionów Niemców liczą u siebie pół miliona żydów. Oba narody bogate, wytrwałe i politycznie wolne. Zważywszy odmienne warunki, wśród których naszym niespełna 18-tu milionom wypada żywić i utrzymać rzeszę żydów pięć razy tak liczną, jak w całych Niemczech, dziwić się istotnie wypada, że u nas kwestya żydowska nie wywołała najgroźniejszych zaburzeń. Dziwić się, ale zarazem cieszyć, a cieszyć dlatego, bo jak Ewangelia mówi: »Kto mieczem wojuje, od miecza ginie«.

Ale nie znaczy to, abyśmy nie mieli zastanowić się poważnie nad tem, co w danych warunkach uczynić nam należy z obcym narodem wśród nas tak licznie osiadłym i jak stosunek nasz do niego ułożyć, abyśmy jemu, a on nam, nie mógł żadnej uczynić krzywdy?

Przedewszystkiem zaś pytanie, czy żydzi czynią nam krzywdę i jaką? Czynią najprzód tę widoczną każdemu, że trudnią się szeregiem nieproduktywnych, a wielce szkodliwych, zajęć: jak faktorstwo, uprawiają lichwę, namawiają chłopów do emigracyi zamorskiej, zarabiając miliony na tym procederze, wywożą za morze dziewczęta wiejskie i sprzedają do domów publicznych i są prawie wyłącznymi w kraju właścicielami takich domów, pod berłem austryackiem w Galicyi wolno im sprzedawać wódki, więc

rozpajają lud wiejski i wywłaszczają go z ziemi, jako agitatorzy socyalizmu podburzają robotników, wykształceńsi z pośród nich, w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach warszawskich podkopują systematycznie wiarę w napół oświeconych głowach, wyśmiewają wprost i z niej się naigrawają, obrażając nasze najświętsze uczucia, a w ostatnich latach poczuwszy się na siłach, wypierają się już otwarcie naszej narodowości, w okrzykach: »precz z białą gęsią« i głoszą się odrębnym starodawnym narodem żydowskim, związanym w partyę syonistyczną, wobec czego, nie mogą żądać, abyśmy ich traktowali inaczej, jak szkodliwych cudzoziemców wogóle traktować należy. I to wszystko czynią nie we własnym kraju, między swoimi, ale u nas, cośmy im dali przytułek, czynią to na ziemi naszej polskiej, krwią naszych bohaterów zroszonej, mięszają się w nasze sprawy, oświadczając w naszem imieniu, że nie chcą Polski chrześcijańskiej, nie chcą polskiej autonomii — by módz jątrzyć i bruździć na całym obszarze ziem polskich i państwa rosyjskiego.

Hola, moi panowie, wiemy, że nasze interesy mało was obchodzą, ale w zamian bądźcie tak uprzejmi mówić tylko o waszych interesach i postulatach. Jeżeli będą sprawiedliwe, to je nawet gotowiśmy poprzeć — ale od spraw polskich wam wara, zwłaszcza teraz skoro sami głosicie się syonistami i narodowcami żydowskimi.

Żydzi krzywdzą nas wyzyskiem i jątrzeniem, bluźnierstwami i demoralizacyą. Co wobec tego czynić należy? Co sfery katolickie czynić w tej mierze powinny?

Nienawiść szerzyć, lub istniejącą pogłębiać — broń Boże! Katolicyzm inną szedł drogą i historya Kościoła na najchlubniejszych zapisała kartach opiekę udzielaną stale przez papieży, mordowanym i krzywdzonym żydom.

Zamiast abstrakcyjnych wywodów, wskażę na kilka konkretnych szczegółów.

Najpierw winniśmy oświadczyć się stanowczo za szkołą wyznaniową. Nasze dzieci musimy zabezpieczyć przed wpływem demoralizującym dzieci żydowskich, które przynoszą do szkół karty, szerzą złe skłonności, wobec ich wczesnej dojrzałości płciowej

uczą kolegów wybryków przeciw naturze, lub prowadzą do domów publicznych, robią w szkole geschefty, sprzedając kolegom kajety, ołówki i t. p. z zyskiem.

Przy tej sposobności, *à propos* wychowania szkolnego, nie zawadzi wzmiankować, że wychowanie musi być religijne, wychowanie bezwyznaniowe, nie może dać żadnych rezultatów. Szkoła nie jest tylko od tego, aby naładować mózg ucznia pewną ilością wiedzy, ona musi go wychować, musi nam dać uczciwego i pożytecznego obywatela. *Non scholae sed vitae discas* — więc to nie dosyć, że jest katecheta, winna być cała szkoła owiana duchem głębokiej wiary, a historya i nauki przyrodnicze winny być wykładane tak, aby nie powtarzano w wykładach niesprawdzonych hipotez, które mogłyby przez ludzi złej wiary użyte być jako taran przeciw religii, a wreszcie skład ciała nauczycielskiego, zwłaszcza Rady szkolnej krajowej, winien być wyłącznie katolicki, czego niestety wbrew woli galicyjskiego episkopatu, w jedynym Sejmie polskim, jaki istnieje, nie uszanowano. Dzięki temu kierunkowi, jaki obecnie panuje w szkołach, młodzież nasza, nasza najdroższa nadzieja przyszłości, wystawiona jest na tyle strasznych prób, które, jako przedwczesne, nie mogą wydać dodatnich rezultatów.

Przejdźmy do innej kwestyi, kwestyi przemysłowej. Kupiec powinien się wykazać dowodem uzdolnienia fachowego; jeżeli rzemieślnik musi być wpierw uczniem i czeladnikiem, zanim majstrem zostanie, o ileż trudniejszym jest zawód kupca. Chcemy mieć zaufanie do niego i gwarancyę, że ten człowiek sprowadza towar z najlepszych źródeł, że wie co jest zdrowiu szkodliwe, lub pożyteczne i t. d.

W austryackiej komisyi przemysłowej dla tego słusznie oświadczono się za tem, aby domagać się dowodu uzdolnienia fachowego od kupców. Warunek taki otwarcia sklepu, zabiłby za jednym zamachem setki żydowskich oszustów i lichwiarzy.

Napór żydów do sądownictwa w Galicyi, wytwarza tę wprost straszną sytuacyę dla katolickiego sumienia, że wierzący katolik zmuszony jest w ręce żyda sędziego, w ręce tedy człowieka, który gardzi krzyżem, a przynajmniej wzrusza nań ramionami, składać

przysięgę, to jest na prawdę słów swych powoływać Tego właśnie, którego ukrzyżowali przodkowie tego, w czyje ręce składa przysięgę.

»Przysięga, jest to powoływanie Pana Boga na świadka«. Tak mówiąc i pouczając stronę, sędzia ustawia krucyfiks wprost niej, każe patrzeć na Bożą Mękę i powtarzać za sobą rotę przysięgi. Łatwo się domyśleć, jakie uczucia budzą się w tej uroczystej chwili w sędzi, który ukrzyżowanego za Boga nie uznaje, a że to może wpłynąć na wyrok sędziego, to jest oczywiste.

Nie twierdzę tego, nie podaję tego za własne zdanie, notuję tylko, co mi z wiarogodnych ust opowiadano, że wyroki wydawane przez sędziów żydów w Galicyi, forytują bądź żyda przeciw katolikowi, bądź w sporach między katolikami tę stronę, która ma żyda adwokata. Gołosłowne zaprzeczenia nic tu nie pomogą, lub oficyalne pochwały przełożonych. Nie odmawiam tym panom wiedzy i zdolności prawniczej, odmawiam im tylko kwalifikacyi do sądzenia naszych spraw, do odbierania od nas przysiąg.

Nawzajem zabronione być winno odbieranie przysiąg od żydów sędziom katolikom; pod tym względem lepiej jest u nas w Królestwie, gdzie przysięgę odbiera rabin. Wnikając w psychologię żyda wierzącego jeszcze, trzeba zrozumieć, że on tę biblię hebrajską, przechowaną w sądach, uważa za rzecz trefną, a przysięgę na nią składaną za bez znaczenia, tem bardziej, że składa ją w ręce »niewiernego«. Stąd tak liczne między żydami krzywoprzysięstwa, że sami sędziowie przysiędze żydowskiej w głębi duszy nie wierzą, choć oficyalnie wierzyć muszą.

Należy nam dalej wyrzec się stanowczo tradycyjnego faktora żyda, oraz wszelkich interesów z żydami. Kupować tylko u swoich i tylko swoim sprzedawać.

Potępiają i bardzo słusznie obywateli w Księstwie Poznańskiem, sprzedających majątki Niemcom — a cóż powiedzieć o tych, którzy sprzedają je, lub wydzierżawiają w Galicyi żydom? I to naród obcy, który nas tak samo w prasie zohydza i napada, i oni wyzuwają nas z posiadania w dawnych polskich siedzibach, nas wyprawiają do miast, sami rozsiadając się po polskich dworach, nieomal zostają patronami kościołów. Opowiadają mi, że dość zna-

czny procent ziemi w Galicyi jest w rękach żydowskich. Należałoby to sprawdzić, a choćby nawet mniejszy procent wypadł, to i tak wielkie *memento* dla narodowego rachunku sumienia.

A cóż o tem prasa galicyjska? Wierzy oficyalnie w asymilacyę żydów, bo potrzebuje ich przy wyborach i zyskuje w nich za to abonentów, tuszuje i tłumi niezadowolenie. A nawet zawiera niemoralne z nimi sojusze. Moi panowie, dokąd my idziemy? Wszystkie, absolutnie wszystkie, większe stronnictwa w Galicyi zawarły sojusz braterski z żydami. Stronnictwo konserwatywne ma swoją partyę żydowską, stronnictwo demokratyczne także, socyalizm cały na żydostwie stoi, obecnie ludowcy łączą się na wiecach z syonistami i socyalistami, a stronnictwo wszechpolskie koopłowało niedawno gromadkę lwowskich żydów. To ostatnie stronnictwo, chyba dlatego tylko ogłosiło w swoim świeżym statucie enuncyacyę, że stoi ponad celami wyznaniowymi, enuncyacyę z różnych względów niepożądaną w naszem życiu publicznem, bo wbijającą klin między zjednoczone u nas idee religii i narodowości. Wskutek tego sojuszu wszystkie stronnictwa są w rzetelnej samoobronie przeciw nadużyciom żydowskim unieruchomione. W żadnym dzienniku tych stronnictw, od czasu sojuszu, nie pamiętam jakiejkolwiek walki z nadużyciami żydowskiemi. Wygląda to tak, jakby żydzi wydelegowali do wszystkich stronnictw pewną garstkę swoich na ambasadorów, ażeby w ten sposób wszelką akcyę samoobronną sparaliżować. A poza temi ambasadami rośnie szybko syonizm, odrzucający wprost wszelką ideę asymilacyi i roszczący sobie pretensye do ziemi polskiej, jako do własnej, krzewi się podkopywanie naszego dobrobytu materyalnego i moralnych wartości. Dochodzi nawet do tego, że w organie żydów niezawisłych, w tygodniku wychodzącym po polsku od kilku miesięcy w Krakowie, postawioną jest jako główny cel programowy tego żydowskiego stronnictwa walka »z klerykalizmem«, czyli, odtrąciwszy widoczną przenośnię, z katolicyzmem. I wobec tego mogąż istnieć polsko-żydowskie sojusze? Tych sojuszów dokonywują nasi politycy w imię chwilowej korzyści wyborczej, nie pomni klęsk trwałych, jakie z tego stanu rzeczy płyną. Bo chyba ideą asymilacyi, wobec dotychczasowych prób nieudanych, zwłaszcza wo-

bec syonizmu, żaden rozumny polityk łudzić się nie będzie. A cóż dopiero powiedzieć, gdy pomyśli się, że ci politycy mają być reprezentantami woli ludu polskiego, ludu, który dla doznanych krzywd taką niechęć ku żydostwu żywi. Z tego względu wielką przyszłość ma powstające stronnictwo katolickie, które chyba w sojusz z żydami nie wejdzie. Co to za silny atut w ręku, gdy powie się wyborcom: My sami jedni nie łączymy się z żydami.

Idźmy dalej. Przywódcom socyalizmu polskiego, przeważnie żydom, tym Katonom cnoty, którzy z niezwykłą brawurą, sami synowie, lub bracia wyzyskiwaczy, śmią obywatelstwu naszemu zarzucać kłamliwie wyzysk ludu roboczego i podburzać go po wsiach i fabrykach przeciw jego chlebodawcom, należy wreszcie zedrzeć obłudną maskę z twarzy, należy śledzić ich życie i przeszłość i ją zgodnie z prawdą, lecz bez żadnych obsłonek, do publicznej podawać wiadomości. Niech robotnicy wiedzą, co za szumowiny ich bronią. Gdyby wiedzieli, odwróciliby się ze wstrętem od tych nieproszonych opiekunów. Przez fałszywe poczucie delikatności, prasa polska dotąd tego nie czyni. Ale myli się.

Kupczących i frymarczących sam Pan Jezus wyrzucił z Świątyni Pańskiej. Prasa ma obowiązek objaśnić dokładnie, kto są ci agitatorzy, ciskający gromy na polskie społeczeństwo, wyrzucający potomkom najpierwszych rodów brak polskości, a tym, na których tarczy herbowej od pół tysiąca lat niema najmniejszej plamki, wyzysk służby dworskiej. Bawiąc w Krakowie, rozpytałem się umyślnie o tego i owego i dowiedziałem się, że adwokaci żydowscy, należący do »partyi«, łupią niemiłosiernie chłopów, a tylko dla swoich mężów zaufania i agitatorów są względni, że opłacają naganiaczy i faktorów, że wreszcie sami wstydzą się starych nazwisk na »eles«, lub niemieckich na »er« i zamieniają je na »ski«, lub »icz«, przy łaskawem poparciu namiestnictwa, które dopomaga w ten sposób do wprowadzenia w błąd ogółu, co do pochodzenia adwokata, czy lekarza żyda, nazywającego się dziwnym sposobem z polska.

Wpływ żydowski, a raczej ich przewagę, należy złamać, inaczej idziemy ku ruinie. Mamy chyba prawo być panami na własnych śmieciach.

Żydzi, którzy chcą być naprawdę Polakami, niechaj się chrzczą, jak to w Królestwie kilka zacnych i zasłużonych uczyniło rodzin — wtedy między niemi a ich dawnemi współwyznawcami wytworzy się tak wielki rozłam, że wobec znanej ich nienawiści do neofitów, nikt z nas nie będzie miał prawa uważać nowoprzybyłych za obcych w naszem gronie. Ale póki to nie nastąpi, musimy się bronić, choćby dlatego, aby nas nie pożarli.

A sprawę tę za tak ważną uważam, iż mam nadzieję, że światły nasz episkopat, który tyle już dał dowodów gorącej miłości Ojczyzny i ma w swem gronie dziś tylu znamienitych przedstawicieli, bodaj w sprawach szkoły wyznaniowej i żydowskiego sądownictwa, jako bezpośrednio dotykających naszej wiary katolickiej, poważny głos swój na szali położy, a nowo powstająca w Galicyi partya katolicka, wszystkie punkta tego programu na swym sztandarze wypisze.

K. Siemieński.

Zaszczytne wezwanie czcigodnej Redakcyi zastało mnie w takim nawale pracy, iż niepodobna mi było w krótkim terminie odpowiedzieć na kwestyonaryusz ankiety co do zadań katolicyzmu.

Powtórnie wezwany, nie śmiem się uchylić od tyle pochlebnego zadania, ale przyznaję zarazem to otwarcie, iż — jak mniemam — do zdań z wielu poważnych stron wygłoszonych nie będę miał chyba nic ważniejszego dorzucić.

W obecnych czasach materyalizmu z jednej strony, a nienawiści klasowej, a dodajmy i narodowej, z drugiej strony; w czasach, w których religia wogóle traci niestety znaczenie w ukształtowaniu się życia jednostek, życia rodzinnego a niemniej i stosunków społecznych, katolicyzm ma ważne i wielkie acz trudne zadanie. Jeżeli ludzkość niema pogrążyć się w zamęt, który krwawe piętno wywrzeć może na epoce, w której żyjemy, trzeba nam wszelkiemi siłami dążyć do spełnienia hasła rzuconego przez panującego nam Ojca św., hasła: *instaurare omnia in Christo!*

Katolicyzm naszego wieku winien, wzmocniwszy przywiąza-

nie do tradycyi wiary Chrystusowej, popularyzować zasady etyki katolickiej w szkole, życiu rodzinnem, małżeństwie, w sprawach społecznych a po części i politycznych.

Przedewszystkiem zaś odzyskać trzeba katolicyzmowi wpływ na szkołę. Kwestya religii, to nie rzecz prywatna jednostki, która jeszcze nie urobiona i duchowo nie wyrobiona, nie może mieć sądu, ale rzecz społeczna. Taka będzie nasza przyszłość, jaką będzie nasza młodzież a bez podstawy religijnej niema wychowania młodzieży, któraby mogła dawać gwarancyę na przyszłość. Ale i to pewna, że wpływ życia rodzinnego współdziałać winien ze szkołą, inaczej praca szkoły pozostanie bezowocną.

Gdy do wywierania wpływu w duchu katolickim na ustrój społeczeństwa powołane są w pierwszej linii osoby duchowne, wychowanie wzorowego duchowieństwa jest najkardynalniejszem zadaniem katolicyzmu. Eklektyzm osób powinien tutaj jak najdalej być posuniętym, a wychowanie duchownych świeckich powinno być tego rodzaju, by oni, jak to dawniej bywało, stykając się poza sferą obowiązków zawodowych z publicznością, byli mile widzianymi towarzyszami w życiu towarzyskiem i rodzinnem, by i tam nie gorsząc przykładem, raczej moralnie i duchowo podnosząc, wpływ swój wywierać mogli na otoczenie. Katolicyzm wszystkich pociągać winien, a w tym celu otrząść mu się trzeba z niektórych naleciałości wiekowych, które nieprzyjaciołom katolicyzmu często za przedmiot zaczepek służą, gdy łatwo czepia się tego umysł niekrytyczny.

To myśl, która mi się ciśnie pod pióro, gdy piszę o wychowaniu duchowieństwa, ale nie czuję się kompetentnym oznaczyć, w jakim kierunku naprawę spowodować. To rzecz wysokich władz duchownych.

Poza szkołą, poza rodziną pozostaje ważny jeszcze zakres działania w sprawach społecznych zawodowych i politycznych. Są to sprawy, które dziś zajmują wszystkich, wielkich i małych, bogatych i biednych, uczonych i ubogich na duchu.

Nie można pozostawić wolnej ręki w kierunku pouczania i przodownictwa ludziom czy stronnictwom, które właśnie pra-

cują w duchu przewrotu, osobom, które mącą wodę, aby w niej łowić ryby.

Tu akcya katolicka przez środki tylokrotnie wskazywane rozwinąć powinna całą energię, zasilaną mądrością i przezornością.

Do tej akcyi jednak, zdaniem mojem, powoływać trzeba ludzi, których każdy krok w życiu czy to prywatnem czy publicznem odpowiada zasadom katolickim i głoszonym przez nich zapatrywaniom. Oczywiście nie dewocyę, ale szczerą, rozumną religijność mam tu na myśli, gdy dewocya jest często maską, która raczej wstręt nie zaufanie budzi.

Słowo wygłaszane czy pisane winno zwierciedlić się w czynie tego, od którego pochodzi, inaczej do naszej akcyi nie będzie zaufania, bo nie będzie wiary w przekonanie. Że wybrańcy ruchu katolickiego odznaczać się winni inteligencyą, rozwagą i zdolnością osobistego jednania sobie ludzi, zachowaniem miary i w czynie i słowie i powściągliwością, zbyteczna zapewniać.

Wzmocnienie katolicyzmu nie może dziś się obyć bez walki z ukrytym wrogiem na słowo pisane. Ileż to broszur ulotnych, tanich a doskonale pisanych wychodzi w Niemczech, broszur omawiających kwestye religijne, socyalne, polityczne, historyczne, przyrodnicze a nawet artystyczne w duchu przeciwnym powadze Kościoła a w zamiarze podkopywania powagi katolicyzmu, zachwiania wiary czytającego. Tu zadanie wielkie i ważne ma katolicyzm do spełnienia rozpowszechniając takie broszury ale jeszcze zręczniej pisane a jeszcze tańsze i formą zewnętrzną nęcące, bez zdradzenia tendencyi. Jedynym ich celem byłoby wyrwanie kąkolu przez masoneryę zasianego. Ale i większe dzieła z dziedziny nauk przyrodniczych, w duchu wykazującym zgodność naszej wiedzy i nauki z prawdziwą objawioną wiarą, powinno być przedmiotem ciągłych starań ludzi, którym sprawa katolicyzmu jest drogą.

Tyle pobieżnych uwag co do zadań katolicyzmu wogóle.

A na bieg spraw politycznych czy katolicyzm nie ma zadania do spełnienia? Może jedno z najdonioślejszych..,

Wobec niebezpieczeństwa, jakiem grozi porządkowi społecznemu kierunek bezreligijności względnie wolnomularstwo, za-

milknąć winny waśnie pojedynczych stronnictw politycznych, tam, gdzie o wspólnego chodzi wroga, a cały zasób sił materyalnych i intellektualnych trzeba skierować przeciw prądom, które, gdy nie powstrzymane rozwiną się więcej jeszcze, sprowadzić muszą kataklizm w świecie cywilizowanym.

Dla nas Polaków niebezpieczeństwo to tem groźniejsze, iż na sprawę narodową, na wzmocnienie poczucia narodowego i zjednoczenie rozdzielonych części naszej ojczyzny, nie może pozostać bez wpływu ten zamęt socyalny.

Ze zdwojoną więc siłą bronić winniśmy katolicyzmu, bo z nim bronimy i polskich spraw wszędzie, gdzie język nasz rozbrzmiewa.

Organizacyjna praca, którą przeprowadzić zamierza Związek społeczno-katolicki, powołany do życia przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego, jakoteż podobny ks. biskupa Pelczara i związki analogiczne mające powstać w innych dyecezyach Galicyi, a niemniej i programowe dążności stronnictwa centrowego, mogą oddać sprawie wielkie usługi, jeżeli organizacye te nie ograniczą się do spisania ustaw względnie programu, lecz znajdą ludzi, którzy ciągle i ciągle sprawy pilnować i do współpracy zachęcać będą.

Krom tego potrzeba nam jednak jeszcze czegoś, coby pojedyncze ogniwa tej zbożnej pracy łączyło w jeden łańcuch ogarniający całe społeczeństwo, bo tylko w jedności siła. To zadanie mogłaby spełnić Liga polsko-katolicka, której statutw krótkim zarysie pozwalam sobie do wiadomości Szanownej Redakcyi niniejszem podać. Nie łudzę się, by on miał być idealnym.

Wiem, iż gdyby myśl moja miała się ucieleśnić, czego najgoręcej pragnę, sprawa statutu wymagałaby pod wielu względami przerobienia względnie uzupełnienia, a cieszyłbym się, gdyby tak szczęśliwie poruszona ankieta dała może sposobność do wymiany zdań i pod względem utworzenia Ligi katolickiej polskiej. Szanowna Redakcya zechce może wziąć i w tej sprawie inicyatywę?

Sprawa akcyi narodowo-katolickiej, to sprawa nie samej Galicyi, ale wszystkich ziem polskich, o ileby ze względów politycznych Liga polska jedna jedyna nie mogła obejmować wszyst-

kich naszych działów porozbiorowych, wypadałoby podobne do proponowanej utworzyć w pojedynczych ziemiach polskich a te stosownym węzłem w całość połączyć.

Liga katolicka polska. Celem Ligi jest wzmocnienie i utrwalenie ducha religijnego w społeczeństwie polskiem, popieranie w tym duchu wszelkich spraw ekonomiczno społecznych, jednoczenie stronnictw opartych na tych samych podstawach narodowych i religijnych pod jeden sztandar, dla zwalczania wszelkich interesom polskim grożących niebezpieczeństw, skądkolwiek by one pochodziły i dla skutecznego zwalczania wszelkich kierunków przewrotowych w stosunkach społecznych i politycznych (anarchii, socyalizmu i masoneryi).

Cel Towarzystwo stara się spełnić przez:

a) tworzenie, względnie popieranie działalności już isniejących związków społeczno-katolickich;

b) zbieranie i zużytkowywanie materyału do poznania potrzeb kraju, tak w kierunku ekonomicznem jakoteż społeczno-politycznym;

c) zwalczanie słowem i czynem wszelkich kierunków społecznych zagrażających podstawom narodowym i religijnym narodu polskiego i podkopujących jego byt materyalny w szczególności, a porządek społeczny w ogólności;

d) Przeprowadzenie do ciał prawodawczych osób choćby rozmaitych stronnictw politycznych ale dających pewność, że bronić będą zasad katolickich i narodowych;

e) wzajemna pomoc duchowa i społeczna, a gdzie potrzeba i materyalna;

f) bronienie praw obywatelskich każdego członka Ligi.

Na czele Ligi katolickiej polskiej dla Galicyi, która ma swą siedzibę w Krakowie, stoi Zarząd składający się z 31 członków, z tych 11 winno zamieszkiwać Kraków, reszta rekrutuje się we Lwowie, Przemyślu, Stanisławowie, Bochni, Tarnowie itd.

Członków Głównego Zarządu wybiera się na lat trzy.

Główny Zarząd wybiera komisye, a mianowicie:

a) administracyjną i

b) prawniczą dla obrony praw swych członków Ligi, względnie normowania stosunków prawnych Ligi;

c) redakcyjną dla nadawania kierunku pismom przez Ligę popieranym;

d) wydawniczą dla rozpowszechniania pism ulotnych;

e) finansową dla kapitalizowania składek i funduszy na cele Ligi;

f) wyborczą dla porozumiewania się ze stronnictwami w celu stawiania stosownych kandydatów i rozwijania akcyi wyborczej.

Każda komisya składa się z 9 członków. Członkowie Zarządu mogą należeć do kilku komisyi.

Osobny regulamin oznacza zakres działalności pojedynczych komisyi.

Główny Zarząd wybiera dalej mężów zaufania czyli delegatów Ligi, a) politycznych dla pojedynczych dyecezyi (wzgl. prowincyi wzgl. gubernii) b) powiatowych.

Delegaci polityczni pośredniczą ze związkami społeczno-katolickimi pojedynczych dyecezyj dla wspólnej akcyi.

Delegaci powiatowi urządzają wiece powiatowe dla zszeregowania wszystkich warstw społecznych pod sztandar Ligi, dla pouczania się w kwestyach ekonomicznych, społecznych i politycznych, zapowiadają policyjnie wiece i porozumiewają się z mówcami wyznaczonymi przez główny Zarząd. Zagajają wiece powiatowe, proponują przewodniczącego albo sami przewodniczą, zdają raport z odbytego wiecu pisemnie jakoteż ustnie na posiedzeniach głównego Zarządu ze stanu spraw. Spis kandydatów, składki członków i wykaz wydatków przesyłają komisyi administracyjnej.

Członkiem może zostać tylko Polak i katolik.

Członkowie Ligi dzielą się na członków zwyczajnych, założycieli i czynnych. Członkowie zwyczajni płacą rocznie dwie korony, mają prawo brania udziału we wiecach i uroczystościach przez Ligę urządzanych i prawo do bezpłatnego odbioru ulotnych pism wydawanych przez komisyę wydawniczą.

Członkowie założyciele płacą jednorazowo najmniej 100 koron wstępnego i rocznie 20 koron.

Członkowie czynni płacą najmniej 50 koron wstępnego i 10 koron rocznie.

Członkowie założyciele i czynni mają obok praw członków zwyczajnych nadto prawo wyboru i wybieralności i biorą udział w zebraniach rocznych i nadzwyczajnych.

Wszyscy członkowie mają nadto prawo korzystania z materyalnego prawnego i moralnego poparcia, jakiego Liga członkom swym udzielać winna.

Członków przyjmuje Zarząd Ligi na podanie delegatów powiatowych i wyklucza bez podania powodów,

W razie rozwiązania Ligi majątek przechodzi wedle uznania głównego Zarządu na towarzystwa o celach społeczno-ekonomicznych, pokrewnych, o ile stoją na podstawach katolicko-narodowych.

Zarząd Ligi odbywa posiedzenia najmniej raz w miesiącu z współudziałem prezesów komisyi, a co 3 miesiące z współudziałem delegatów dyecezalnych i powiatowych.

W końcu marca zwołuje Zarząd Ligi walne zgromadzenie.

Bolesław Wicherkiewicz.

Związania mojego duszą i ciałem z tem, co nam wszystkim najdroższe, dowiodłem nie teoryą na szpaltach dziennikarskich, ale krwią przelaną na polu walki, kiedy niosłem w ofierze moją młodość i życie z tem przekonaniem, że udziałem moim przyczyniam się do zbliżenia tej godziny, w której Polska wolną będzie od kozackiego knuta.

Niestety! z jakąż goryczą muszę dziś patrzeć na to, że przyszło mi dożyć czasów, w których przyniesiona z Zachodu, a tak zgubna w naszem położeniu, anarchia religijna, społeczna, polityczna i artystyczna, z każdym rokiem zdaje się utrwalać nawet w oczach ludzi, miłujących wolność, wszechwładztwo tych podpór i narzędzi znienawidzonego absolutyzmu.

Wpływ tej anarchii dokazał tego, że młodzież polska, zamiast wyrabiać w sobie hart duszy do przyszłych zapasów, om-

dlewa dziś w histerycznych i zwyrodniałych popędach seksualnych i kończy często obłędem lub samobójstwem.

W chwili, kiedy cały naród stoi w ogniu oblężenia, a ze wszystkich stron potężni wrogowie biją w niego taranami zagłady, anarchia taka spełnia rolę tyfusu plamistego w obozie oblęganych i podcina najżywotniejsze siły jego oporu.

Jeżeli młoda Polska pragnie zbawienia ojczyzny, to musi oprzeć się o ten pewnik, że wiara jest dzisiaj jedynym łącznikiem, wiążącym jeszcze wszystkie rozbite na atomy sfery naszego społeczeństwa, że jest ona ostatnią twierdzą niezdobytą przez wrogów — że każdy, co robi w niej choćby najmniejsze wyłomy, osłabia ostatnią najsilniejszą obronę przeciw naporowi nieprzyjaciół.

Stojąc poza polityką wszelkich stronnictw, nie mam w tem, co mówię, żadnego interesu ani osobistych dążeń i ambicyi. Nie jestem fanatykiem ani bigotem i nie modlę się nigdy na pokaz, ale oświadczam publicznie, że duszą i ciałem pozostanę do śmierci Polakiem i katolikiem. Wychodząc ze stanowiska narodowej obrony tego wszystkiego, co jest najdroższem sercu Polaka, nie wstąpię nigdy w przeciwne szeregi.

Zresztą w tych przeciwnych szeregach niema dziś żadnej podnioślejszej kierowniczej myśli. Chyba nikogo szlachetnego nie zapali brutalny socyalizm, oparty na nienawiści i żydowszczyźnie, walczący oszczerstwem i mordem — a inne bożki, inne kierunki i systemy, odwodzące od katolicyzmu, już się przeżyły i rozpadły. Stąd też w tym przeciwnym obozie panuje dzisiaj ogromne spragnienie i głód za jakąś wielką i podnoszącą dusze ideą. A któraż wyższa od idei chrystyanizmu?

Stąd też przed katolicyzmem u nas otworzyć się może obecnie wielka epoka. Nie wchodzę w szczegóły i środki, stare czy nowe, tej akcyi katolickiej. Powiem jedno, że za najważniejsze uważam, by akcya ta podjętą była z płomieniem entuzyazmu, z poświęceniem bohaterstwa, z siłą lwa i z polotem orła.

Ludomir Benedyktowicz.

ANKIETA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

(Ciąg dalszy).

»Pośród największych trosk, jakie u nas sprowadzał i sprowadza ten tak wielki ciężar Papiestwa, nie mało dodaje nam otuchy głęboko zakorzenione w duszy naszej przekonanie o wielkiej mocy, jaką posiada Kościół nie tylko, aby zbawić dusze ludzkie, co jest istotnym i właściwym jego celem, ale też, aby zapewnić ratunek całemu społeczeństwu ludzkiemu«.

Tak pisał w r. 1887 Leon XIII do kardynała Rampolli, powierzając mu urząd Sekretarza Stanu [1], a słowa te najlepiej może streszczają przewodnią myśl tego wielkiego pontyfikatu. Nikt nie nastawał tak jak Leon XIII na tę prawdę, że Kościół ma nie tylko zadania nadprzyrodzone, lecz i przyrodzone, że od niego zależy nie tylko szczęśliwa wieczność pojedynczych jednostek, ale i powodzenie doczesne całego rodzaju ludzkiego [2] i że przeto winien on dbać o dobro ludzkości na ziemi, bez którego w pewnym stopniu i osiągnięcie szczęścia wiecznego staje się utrudnionem [3]. Współczesny upadek moralny ludów i rozstrój społeczny i ekonomiczny, panujący we wszystkich krajach świata cy-

[1] *Acta Leonis XIII:* II, 275. Cytować będziemy Leona XIII z wydania belgijskiego Desclée. Bruges 1887—1900. Doprowadzone ono jest do r. 1897; co po tej dacie wyszło cytować będziemy z *Acta S. Sedis.*

[2] *Acta Leonis XIII:* I, 6 ss., 36, 43, 51, 210 ss.; II, 153, 275; III, 213; IV, 34, 191.

[3] *Acta Leonis XIII:* III, 236, 282; IV, 191; VI, 13—14. *Acta S. Sedis* t. 33, 385 ss. Porównaj św. Tomasza *De regimine principum* l. I, c. 15.

wilizowanego, miał Leon XIII zawsze przed oczami, lecz nie tracił on nadziei w przyszłość ludzkości, ufając siłom społecznym tkwiącym w Kościele; *Sanabiles fecit (Deus) nationes orbis terrarum* (Sap. 1, 14) powtarzał on w niejednej ze swoich nauk, jakie dał światu [1], lecz dodawał do tego zawsze, że uzdrowione pod względem społecznym nie mogą być narody inaczej, jak przez Kościół [2].

Możnaby powiedzieć, że dopiero Leon XIII uzupełnił naukę katolicką o władzy Kościoła nad wszystkiem tak wiecznem, jak i doczesnem; w tej nauce, *de potestate indirecta Ecclesiae quoad temporalia* mówiono o prawach Kościoła, otóż Leon XIII zastosował to samo do jego obowiązków i jak daleko rozciągano jego prawa, tak daleko on rozciągnął jego obowiązki. Niemal za każdym razem, gdy głos w sprawie społecznej zabierał, wskazywał na Kościół, na jego naukę i jego instytucye, jako na najlepsze lekarstwo, chcąc, aby i Kościołowi nic ludzkiego obcem nie było.

Mając więc odpowiedzieć na ankietę *Przeglądu Powszechnego*, tak bardzo na czasie zainicyowaną, z jakiego źródła mielibyśmy czerpać wskazówki o obowiązkach i zadaniach Kościoła w czasach obecnych, jak nie z dzieł tego człowieka, który przez ćwierć wieku stał na czele świata, do którego uszu dochodziły skargi całej ludzkości i który każde zagadnienie z którem się zetknął, oświecił, jeśli go nie rozstrzygnął? Wprawdzie w historyi nic się nie powtarza, więc i nasze położenie doby bieżącej ma wiele sobie jedynie właściwych cech, ale niema między niemi takiej, na którąby społeczne zasady Leona XIII nie rzucały światła. Toteż, rozbierając pokrótce rozmaite potrzeby naszego społeczeństwa, na które Kościół powinien zareagować, będziemy się starali, jeśli nie wprost słowami tego wielkiego Papieża kwestye rozstrzygać, to w każdym razie kierować się jego geniuszem.

Jeśli jednak ankieta *Przeglądu Powszechnego* jest, jakeśmy to powiedzieli, bardzo na czasie, to dla tych samych powodów odpowiedź na nią jest bardzo trudna. Z jednej bowiem strony kryzys, jaki w chwili obecnej przechodzimy, a który doniosłością

[1] *A. L. XIII:* I, 5 ss; III, 194; IV, 138.

[2] *A. L. XIII:* I, 117, 138; II, 124; III, 194; IV, 184; V, 4. *Acta S. S.* 34, 515 ss., 525.

swą przewyższa może podobne kryzysy 31 i 63 roku, wymaga jak najszybszego uświadomienia sobie w sferach katolickich tych szczególnych obowiązków, jakie Kościół na nie wkłada. Z drugiej zaś strony zadania Kościoła, o jakie ankieta nas zapytuje, odnoszą się do przyszłości, od niej bowiem możliwość ich urzeczywistnienia zależeć będzie; a czy była kiedykolwiek chwila, w którejby przyszłość była więcej przed nami zakryta, niż to ma miejsce teraz? Ktokolwiek trzeźwo patrzy się na rzeczy, musiał zawiesić swój sąd o tem, co nam da jutro, a z trzech możliwych wyjść, jakiemi są reakcya, rewolucya i konstytucya, każda wydaje się mieć równe szanse. Odpowiedź więc na ankietę należy podzielić na dwie części; najpierw trzeba się zastanowić nad zadaniami Kościoła w chwili obecnej, przejściowej, później dopiero trzeba będzie przejść do jego zadań na wypadek, gdyby z chaosu dni dzisiejszych wyszła zwycięsko konstytucya, co, można mieć nadzieję, prędzej czy później nastąpi.

I.

Kościół Boży oprócz środków do uświęcania dusz wiernych, należących do tak zwanej *potestas ordinis*, został obdarzony przez Chrystusa władzą zwaną *postestas iurisdictionis*, za pomocą której ma skierowywać czyny ludzkie do zbawienia wiecznego. Że zaś w każdym czynie ludzkim dwa czynniki działają, rozum i wola, przeto i władza Kościoła, zwana *potestas iurisdictionis*, rozpada się na władzę nauczania i władzę rządzenia; z nich pierwsza zwraca się do rozumu, ucząc go prawd przyrodzonych, lub nadprzyrodzonych, do zbawienia koniecznych, lub tylko pożytecznych, druga zaś ma za zadanie kierować wolą wiernych, a więc i ich postępkami. Stosunek i różnica, jakie między dwoma temi władzami zachodzą, są te same, jakie we wszystkich innych dziedzinach znajdujemy między teoryą a praktyką; teorya zakłada fundamenta i od niej zależy powodzenie praktyki; praktyka jest jednak celem teoryi, która bez praktycznego zastosowania byłaby tylko czczą spekulacyą.

Rozumie się, że ankieta *Przeglądu* władzy uświęcania nie dotyczy; władza ta bowiem, *potestas ordinis*, spływając na kapła-

nów bezpośrednio od Boga, ma wszelkie cechy niezmienności właściwe Bogu; jest ona pierwiastkiem Boskim w tej Oblubienicy Chrystusa, jaką jest Kościół, odpowiadającym naturze Boskiej w samym Oblubieńcu. Jeśli więc, odpowiadając na ankietę, nie wspomnimy ani słowem o zadaniach Kościoła, wynikających z władzy uświęcania dusz, to nie będzie to dlatego, iżbyśmy je lekceważyli, lecz jedynie dlatego, że tu o żadnych szczególnych zadaniach mowy być nie może; wszystkie środki zbawienia do tej dziedziny należące są równie potrzebne i żaden z nich nie może być w jednej epoce potrzebniejszy od innych. Chodzić więc tu może tylko o władzę nauczania i rządzenia czyli o t. zw. *potestas iurisdictionis*, która reprezentując w Kościele pierwiastek ludzki, odpowiadający naturze ludzkiej w Chrystusie, podlega ciągłym zmianom i musi się przystosowywać do warunków, potrzeb i wymagań ludzkości [1]. Zmiany te są właściwym przedmiotem historyi Kościoła, która nam pokazuje, jak Kościół stopniowo, w miarę potrzeb wyjmował ze skarbca wiary prawdy pierwej mniej znane, jak coraz to nowe wydawał rozporządzenia dyscyplinarne, kierując się jak w jednej, tak i w drugiej dziedzinie niczem innem, jak tylko zmiennemi i wciąż falującemi potrzebami wiernych.

Otóż potrzeby te w naszych czasach w nową weszły fazę, a Kościół z tą zdolnością przystosowywania się do nowych warunków i potrzeb [2], świadczącą, jak żywotnym jest organizmem, wyjął ze swego skarbca nowe prawdy, w naszych czasach więcej niż kiedyindziej potrzebne, zaś dla nadania kierunku działalności wiernych ustanowił nowe normy postępowania.

W tej więc dziedzinie mamy szukać szczególnych zadań Kościoła w zastosowaniu do naszych potrzeb.

Zaczniemy od nauczania, do którego w epoce przejściowej, w jakiej się w obecnej chwili znajdujemy, będzie się musiał chyba

---

[1] *Acta S. Sedis:* 35, 259.

[2] Mało kto tak dobrze scharakteryzował tę zdolność przystosowywania się do warunków Kościoła katolickiego, jak W. Rozanow w artykule p. t. »Leon XIII i katolicyzm«, pomieszczonym w *Nowoje Wremja* wkrótce po śmierci wielkiego papieża.

Kościół ograniczyć. *Régime* stanu wojennego, w jakim żyjemy, sprawia, że jesteśmy w stosunku do wolności konstytucyjnych w położeniu Tantala, cierpiącego głód przed misami pełnemi jadła; dlatego też i praktyczna działalność Kościoła, która się bez rzeczywistej swobody zebrań, słowa i związków na szeroką skalę rozwinąć nie da, jest w tym okresie prawie że niemożliwą. Trzeba więc, robiąc naturalnie w dziedzinie praktycznej wszystko, co zrobić można, ograniczyć się do nauczania, które z jednej strony powinno uspokajająco wpłynąć na wzburzone umysły i przyspieszyć przez to nadejście lepszych czasów, z drugiej zaś strony jest konieczne, jako przygotowanie do działalności praktycznej.

Lecz cóż ma być przedmiotem tego nauczania, którego nasze społeczeństwo najbardziej potrzebuje? Odpowiedź na to pytanie da nam tradycya; ona nam powie, że w każdej epoce Kościół kładł szczególny nacisk na nauczanie tych prawd, które najbardziej były wypaczone, których pomiatanie stanowiło dla wiernych największe niebezpieczeństwo. Pozostaje nam więc teraz tylko rozejrzeć się wokoło i przekonać się, z której strony całokształt nauki katolickiej jest najbardziej zagrożony; na ten wyłom trzeba będzie pospieszyć.

Otóż przelotny nawet rzut oka na stan umysłów zarówno u nas, jak i w całej Europie pozwoli nam stwierdzić, że dziedziną w której toczy się najzaciętsza walka, jest szerokie pole zagadnień społecznych. Kwestya społeczna zdołała skoncentrować na sobie uwagę całego świata, a zamęt jaki w niej panuje, wzrasta nieomal z dniem każdym.

To też jako pierwszy punkt odpowiedzi na ankietę *Przeglądu* twierdzimy, że:

W naszych czasach najpilniejszem zadaniem Kościoła jest szerzenie społecznej nauki chrześcijańskiej w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa i ze wszystkiem co z niej wypływa.

Ciasne ramki odpowiedzi na ankietę nie pozwalają na rozwinięcie w całej pełni społecznej doktryny Kościoła; na niektóre jej punkta wszakże wypadnie zwrócić uwagę.

Na pierwszem miejscu stawiamy naukę o Kościele, o jego

istocie [1] i ustroju hierarchicznym [2], o obowiązkach wiernych względem hierarchii, szczególnie zaś obowiązku posłuszeństwa [3], wreszcie o stosunku Kościoła do państwa [4]. Nauka ta, aczkolwiek do dziedziny nadprzyrodzonej należąca, tyczy się jednak społecznego życia wiernych; nie wszystkie jej punkta może bywają teoretycznie zwalczane, w praktyce jednak pod wpływem demokratycznych haseł naszych czasów, idzie ona często w zapomnienie.

O wiele jednak ważniejsze, nie sama przez się, ale dla jeszcze większego zapoznania, jakiemu w naszych czasach uległa, jest doktryna chrześcijańska o społeczeństwie świeckiem, czyli o państwie [5].

Nauka ta ma w sobie coś z chrześcijańskiej surowości i popularną w naszych czasach nie będzie. Św. Paweł wyraził ją w tem krótkiem zdaniu »nie masz władzy, jeno od Boga« (Rzym. 13, 1), a uczynił to w czasach, kiedy tym, który władzę piastował był Neron; odtąd Kościół, wstępując w ślady Apostoła narodów nie przestawał podawać ją ludom chrześcijańskim bez względu na to, czy odpowiadała ich chwilowym dążeniom, czy nie. Ostatnio naukę chrześcijańską o pochodzeniu konieczności społeczeństwa i władzy, magistralnie wyłożył Leon XIII, który dwie Encykliki *ex proffesso* tym zagadnieniom poświęcił, a w wielu innych dotknął ich mniej lub więcej [6].

Należy jednak zauważyć, że o ile na pierszy rzut oka nauka o pochodzeniu władzy wydaje się rozpaczliwą, o ile komentowana przez stronnictwa polityczne, z których jedne ją przesadzają, gdy inne starają się ją zohydzić, wywołuje bunt w duszy, o tyle, będąc całkowicie rozwinięta ze wszystkiemi swemi przesłankami i konsekwencyami, nie może nie zyskać sobie nieuprzedzonych umysłów.

---

[1] *A. L. XIII:* I, 151; VI, 156 ss.
[2] Tamże: IV, 23.
[3] Tamże: II, 141, 186; III, 183; IV, 95.
[4] Tamże: II, 149 ss.; V. 48 ss.
[5] *A. L. XIII:* II, 123, 275; IV, 34—36.
[6] *A. L. XIII: Diuturnum illud.* I, 210—222 i *Immortale Dei*, II, 146—168. Oprócz tego I, 50; IV, 9 ss.; V, 36 ss., 245.

Wartość jej polega na tem, że, czyniąc istnienie społeczeństwa i władzy niezależnem od woli jednostek, lecz danem w naturze ludzkiej, z której z konieczności wypływa, wymaga ona od jednostki w imię dobra ogólnego uległości dla tej władzy, nie ze strachu przed karami, lecz z poczucia obowiązku, *non propter illam, sed propter conscientiam* (Rom. 13, 5); w tem to upatrywał Leon XIII wielką doniosłość tej nauki dla państwa, któremu zapewnia ona uległych z poczucia obowiązku, nie zaś ze strachu przed siłą poddanych [1]. Miłości ojczyzny nie wyklucza ona wcale [2] przeciwnie w imię tej miłości żąda poszanowania dla władzy, bez którego żadne społeczeństwo pomyślnie rozwijać się nie może; nie zakazuje dążyć do reformy ustroju społecznego [3], do odzyskania praw narodowych [4], z żadną bowiem formą rządu teorya o pochodzeniu władzy nie jest związaną [5]. Zakazuje ona tylko i to zakazuje w sumieniu, zwalczać wszelką władzę, jako taką, okazywać jej nieposzanowanie w jej postępowaniu prawnem, powstawać przeciw niej w sposób samozwańczy i zbójecki [6]. W doktrynie bowiem społecznej Kościoła władza państwa nie jest nieograniczona, przeciwnie praw Bożych i przyrodzonych przekraczać nie może, a gdy to czyni poddani zawsze mają prawo a czasami i obowiązek okazać jej opór [7].

Oto są główne zasady socyologii chrześcijańskiej, które Kościół ze zwykłą sobie konsekwencyą, gdy chodzi o zasady, nauczał od początku swego istnienia. Leon XIII żądał zastososowania się do nich zarówno od nas, pozostających pod berłem rosyjskiem, jak i od katolików francuskich, którzy się z republikańskimi rządami pogodzić nie chcieli [8].

Oprócz tej ogólnej doktryny społecznej są jeszcze pewne poszczególne punkta, które w chwili obecnej wymagają więcej

---

[1] *A. L. XIII:* I, 54, 214—215, 220; II, 189; V, 245.
[2] Tamże: I, 286—288; II, 1—3; IV, 8, 90; V, 39.
[3] Tamże: V, 43—46, 69—70; VI, 11.
[4] *A. L. XIII:* I, 285—286.
[5] Tamże: III, 119; IV, 18, 119; V, 42. *Acta S. S.* 33, 387.
[6] *A. L. XIII:* I, 51, 181—182, 287; II, 1; III, 121 ss.
[7] Tamże: I, 215—216; 218; IV, 9 ss.; V, 47,
[8] *A. L. XIII:* I, 217; IV, 119; V, 38 ss., 66 ss.; 243 ss.

niż kiedykolwiek chrześcijańskiego oświetlenia. Tak więc naukom z których jedne proklamują nieograniczoną wolność w dziedzinie społecznej i ekonomicznej, a drugie dążą do zupełnego jej zniesienia, należy przeciwstawić naukę chrześcijańską o celu państwa, w myśl której państwo ma za zadanie dobro ogólne, któremu ma podporządkowywać dobro jednostek; nie jest ono tylko stróżem nocnym pilnującym porządku, lecz powinno pozytywnie zdążać do dobra ogółu, nie znosząc przez to prywatnej inicyatywy; ma ono obowiązek popierać wysiłki w celu poprawienia losu warstw bardziej upośledzonych, które z dobra ogólnego mniej korzystają, dążąc w tem nie do jakiejś chimerycznej równości między obywatelami, lecz do społecznej równowagi [1].

Następnie chodzi o obronę godności ludzkiej, tak często poniewieranej przez współczesny ustrój liberalno-kapitalistyczny; dążeniom do poddania żywej pracy ludzkiej prawom popytu i podaży, jakim podlegają towary, bez względu na potrzeby jednostki, od której ta praca oddzielić się nie da, należy przeciwstawić naukę chrześcijańską, która twierdzi, że każdy człowiek normalny musi módz z pracy rąk swoich utrzymać siebie i swoich, nie opadając w hierarchii społecznej, lecz przeciwnie podnosząc się powoli; dążenia klas roboczych pod tym względem powinny być popierane przez państwo, lecz przedewszystkiem powinni oni sami organizować się w celu obrony swych interesów [2].

Wreszcie tak bardzo dyskutowane w naszych czasach zagadnienie o prawie własności wymaga także, aby je w świetle nauki chrześcijańskiej przedstawić; tu także trzeba będzie zająć miejsce pośrednie między teoryami, które proklamują niczem nie ograniczone prawo prywatnej własności, a dążeniem do zupełnego jego zniesienia. W myśl nauki chrześcijańskiej prawo własności opiera się na prawie przyrodzonem, jakie każdy ma do utrzymania się przy życiu i do owocu swej pracy; ograniczone

---

[1] *A. L. XIII:* I, 49; III, 104—120; IV, 37—38; V, 183, 193 ss. *Acta S. S.* 33, 385 ss.

[2] *A. L. XIII:* IV, 184, 199 ss. *Acta S. S.* 33, 320 ss.

jest ono jednak podobnemi prawami innych i jest tylko prawem używania rzeczy, jako własnych, nie zaś prawem nadużywania [1].

Te i inne punkta chrześcijańskiej nauki społecznej winny być bezsprzecznie rozpowszechnione zarówno w klasach wykształconych, od których niejednego poświęcenia będą wymagały, jak i wśród niższych warstw, którym dużo otuchy dodać mogą. W tym celu nauka ta powinna być przedmiotem specyalnych studyów ze strony duchowieństwa [2]; znajdzie ono ją w dziełach św. Tomasza z Akwinu i Leona XIII świetnie wyłożoną, lecz na to, aby ją w naszych warunkach módz zastosować, będzie ono musiało zaznajomić się także z położeniem społecznem i ekonomicznem kraju, bez czego trudno będzie przejść od teoryi do praktyki.

Tak więc, uspakajając z jednej strony wzburzone umysły zapomocą chrześcijańskich zasad społecznych, z drugiej zaś strony, studyując te zasady bliżej i zaznajamiając się jednocześnie z warunkami, w jakich wypadnie je stosować, powinno nasze duchowieństwo przygotowywać się do działalności praktycznej, na to, aby z uderzeniem godziny swobód konstytucyjnych módz stanąć na czele ruchu społecznego i nadać mu charakter katolicki.

II.

Rozejrzyjmy się teraz w tej praktycznej działalności i zapytajmy się, jakie będą na tem polu szczególne zadania Kościoła katolickiego. Tutaj także, jakeśmy to poprzednio zaznaczyli, nie będziemy mówić o tych zadaniach wiecznych i niezmiennych, które były i będą pierwszym celem ustanowienia Kościoła, lecz o tych, które powstały w naszych czasach dla zaspokojenia potrzeb współczesnych.

Jak w dziedzinie nauki Kościół zawsze szczególny nacisk kładł na te punkta, które najbardziej były zagrożone, tak i w dziedzinie działalności praktycznej zajmował się najbardziej tymi, którzy najbardziej pomocy potrzebowali. Tak więc od początku

---

[1] *A. L. XIII:* I, 46, 52; III, 282—283; IV, 178—189.

[2] *A. L. XIII:* I, 55, 221—222; III, 1; II, 123 ss.; IV, 38, 71, 164, 165. *Acta S. S.* 35, 263.

swego istnienia Kościół uważał się za prawnego obrońcę ubogich [1], wdów i sierót, których sprawy nawet cywilne należały w średnich wiekach do kompetencyi sądów biskupich. Lecz oprócz tego widzimy, że w pewnych epokach całe warstwy społeczne stawały się przedmiotem szczególnej opieki ze strony Kościoła, gdy same nie mogły osiągnąć poprawy swego losu. Wymownym przykładem tej macierzyńskiej troskliwości, jaką Kościół otaczał warstwy upośledzone, służyć może jego rola w sprawie zniesienia niewolnictwa, zarówno w pierwszych wiekach chrześcijaństwa w Europie, jak i w wieku XIX w Afryce [2]. W średnich wiekach w łonie Kościoła powstało parę zgromadzeń zakonnych, mających na celu zaopiekowanie się wziętymi w jassyr i Kościół nie szczędził ofiar, żeby niezamożnych jeńców z niewoli wykupić. Możnaby wiele innych jeszcze znaleźć w historyi przykładów, świadczących, jak Kościół umiał brać do serca sprawę pokrzywdzonych, lecz wróćmy do teraźniejszości.

Że w naszych czasach istnieje wśród ludności warstwa w szczególny sposób upośledzona, tego nie trzeba dowodzić [3]: możnaby ją nazwać proletaryatem, choć termin ten oznacza wyłącznie robotników, gdy tymczasem do warstw upośledzonych, o których mowa, jeśli niekoniecznie pod względem materyalnym, to pod względem kulturalnym zaliczyć należy i wielu takich, którzy robotnikami nie są. Te więc klasy mają prawo spodziewać się od Kościoła tej opieki, jakiej on nigdy uciśnionym nie odmawiał [4]. Stąd też szczególnem zadaniem Kościoła w dziedzinie działalności praktycznej będzie akcya społeczna na korzyść klas roboczych; zadanie to zaś jest tem pilniejsze, że warstwy te, próbując same lepszy byt sobie wywalczyć, zaczęły się przejmować coraz bardziej wrogiemi dla chrześcijanizmu zasadami.

Sprawa jednak udziału duchowieństwa w akcyi społecznej wymaga obszernego omówienia; ma ona bowiem przeciwników i nie można zaprzeczyć, że przedstawia pewne niebezpieczeństwo,

---

[1] *A. L. XIII:* II, 130; III, 13—14, 130; IV, 44.
[2] *A. L. XIII:* III, 67 ss., 172; IV, 65, 112.
[3] *A. L. XIII:* IV, 177—178.
[4] Tamże: IV, 184, 191. *Acta S. S.* 33, 392.

oderwania duchowieństwa od właściwych mu funkcyi kościelnych. Widział to niebezpieczeństwo Leon XIII [1], a jednak nie wahał się zachęcać duchowieństwa do pracy społecznej nad poprawą doli klas upośledzonych [2], ufając, że wskazówki jakie w tej materyi dał wystarczą do zapobieżenia zboczeniom [3]; w tym celu nalegał on przedewszystkiem na jedność duchowieństwa ze swymi pasterzami, od których wymagał, żeby podobnie jak w sprawach kościelnych, tak i w akcyi społecznej szli na czele swego duchowieństwa [4].

Najważniejszy zarzut, jaki akcyi społecznej duchowieństwa bywa stawiany, da się streścić w słowach św. Pawła: *Nemo militans Deo implicat se negotiis saecularibus* (II Tim. 2, 4). Zakaz ten jednak, zarówno w ustach św. Pawła, jak i w późniejszych dekretach prawa kanonicznego, tyczy się zatrudnień świeckich, prowadzonych w celach zysków materyalnych [5], nie tyczy się zaś wcale akcyi społecznej, w której o zyskach materyalnych nikt nie myśli i która, gdy się zważy pobudki, dla których bywa podejmowana, z akcyi świeckiej staje się akcyą duchowną.

W samej bowiem rzeczy kapłan w żadnej swej czynności, a więc i w działalności społecznej nie może tracić z oczu swej racyi bytu t. j. zbawienia dusz ludzkich; wszystko, co czyni, musi mieć z tym celem jego istnienia bliższą lub dalszą styczność. Dlatego też o ile potępienia godną byłaby działalność społeczna księdza, któryby pracował nad polepszeniem dobrobytu materyalnego klas upośledzonych, abstrahując od tego, czy im ta poprawa losu ułatwi osiągnięcie zbawienia, czy też nie [6], o tyle zasługiwać na pochwałę będzie działalność księdza, dążącego do podniesienia pod względem materyalnym klas, pogrążonych w nędzę, w tym celu właśnie, żeby im z drogi do zbawienia prowadzącej wielką prze-

---

[1] *A. L. XIII:* I, 287; V, 183—184. *Acta S. S.*

[2] *A. L. XIII:* II, 227; III, 32; IV, 205; V, 21, 183. *Acta S. S.* 32, 204.

[3] *Acta S. S.* 33, 385 ss.; 34, 401 ss.; 35, 289.

[4] *A. L. XIII:* I, 287; II, 51, 73, 141; IV, 23, 38, 44—46, 158, 164, 205; V, 183. *Acta S. S.* 33, 394; 32, 204 ss.

[5] Aichner: *Compendium iuris ecclesiastici* p. 288.

[6] *A. L. XIII:* IV, 206.

szkodę usunąć; zasługiwać ona będzie tem bardziej na pochwałę, jeśli w parze z podniesieniem materyalnem tych klas będzie szła praca kulturalna nad niemi. Takie powinny być pobudki i charakter akcyi społecznej duchowieństwa i niewątpliwie takie były we wszystkich krajach, gdzie akcya ta wydała obfite owoce. Jej punktem wyjścia jest zawsze to przeświadczenie, aż nadto faktami stwierdzone, że brak wystarczających środków do życia, gdy przekroczy pewne granice, szczególniej przy tej niepewności jutra, tak charakterystycznej dla nędzy współczesnego proletaryatu, czyni życie moralne nadzwyczaj utrudnionem.

Niebezpieczeństwo to, zagrażające duszom ze strony niedobrowolnej i krańcowej nędzy, bardzo trafnie określił w jednem ze swych przemówień społecznych biskup Ketteler[1]; mając na myśli kwestyę poruszaną przez moralistów o tych, którzy się znajdują w ciągłej i niezależnej od nich okazyi grzeszenia *(de constitutis in proxima continua et necessaria occasione peccandi)*, twierdzi on, że proletaryat w naszych czasach znajduje się właśnie w takiem położeniu. I w samej rzeczy, jeśli się przyjrzymy życiu niższych warstw naszej ludności szczególniej w miastach, jasnem się stanie, jak trudno im jest praktykować cnoty chrześcijańskie. Wyobraźmy sobie robotnika, który, wyczerpany kilkunastogodzinną pracą, często w zabójczej pod względem hygienicznym atmosferze, w'eczorem wraca do domu; zastaje on tam w zimnej, ciemnej i wilgotnej suterenie albo poddaszu, żonę, która może też dopiero co z fabryki wróciła, która nie umie, nie ma czasu, a wreszcie często nie ma za co dobrej strawy ugotować; zastaje dzieci, które wyżywić musi, a które mu są prawie obce, wychowując się w czasie całodziennej nieobecności rodziców przeważnie na ulicy; zastaje on tam może jeszcze w tej dusznej atmosferze niejednego sublokatora, wynajmującego kąt w izbie na noc. I cóż dziwnego, że, jeżeli go sen zaraz nie zmorzy, ucieka on z tego miejsca, które ironią byłoby nazwać ogniskiem domowem, że idzie do szynku, łudząc się, że alkohol pokrzepi jego siły, których niewystarczająca strawa pokrzepić nie zdołała, że doda mu

[1] Niemając dzieł Kettelera pod ręką myśl tę przytaczam z pamięci.

otuchy, której go życie na każdym kroku pozbawia. Cóż dziwnego, że, zarabiając, jak to mówią, za dużo, żeby umrzeć z głodu, lecz za mało, żeby żyć i widząc wkoło siebie w wystawach sklepowych i wśród przechodniów, mijających go na ulicy, dostatek, a często nawet przepych, tak bardzo kontrastujący z jego nędzą, nie potrafi stłumić w swem sercu pożądania cudzej własności, że, gdy mu się nadarzy sposobność, nie zdoła powstrzymać ręki, sięgającej po cudzą własność; cóż dziwnego, że zmuszony pod strachem utraty miejsca pracować w niedziele i święta, dni świętych święcić nie będzie i do Kościoła uczęszczać przestanie, że, tracąc powoli wiarę, zacznie mieć inne bożyszcza przed Bogiem prawdziwym, że pierwszy lepszy agitator, obiecujący mu w dobrej lub złej wierze poprawę losu, pociągnie go za sobą, zacznie rozdmuchiwać w jego duszy najgorsze uczucia, a wreszcie może i pchnie go do targnięcia się na cudze życie; cóż dziwnego, że nieraz wyjdzie z ust jego przekleństwo, że dzieci swych nie wychowa, jeśli ich sam złego nie nauczy, że wiarę małżeńską nieraz złamie, jeśli wogóle zawarł małżeństwo z kobietą, z którą żyje. Ot prawie i cały dekalog!

Weźmy teraz położenie kobiet, zatrudnionych w przemyśle i w służbie domowej; na jaki wyzysk materyalny i na ile niebezpieczeństw moralnych są one wystawione z powodu swej biedy, ciemnoty i niezaradności! U nas sprawa ta jest ważniejsza, niż gdzieindziej, nasz kraj bowiem dzięki roli, jaką Żydzi w nim odgrywają, dostarcza większego, niż inne kraje, kontyngentu kobiet handlarzom żywym towarem[1]. Weźmy teraz położenie dzieci, o uczeniu których nikt nie myśli, i które, wychowując się w fabryce lub na ulicy, od najmłodszych lat spoufalają się ze złem we wszystkich jego formach.

Wziąwszy to wszystko razem pod uwagę, musimy dojść do przekonania, że o warunki, w jakich się te klasy w naszych czasach znajdują, muszą się rozbić bezskutecznie zwykłe środki, ja-

[1] Patrz »Zbiór dokumentów«, dotyczących handlu żywym towarem w Królestwie, wydany w 1903 r. przez *Niwę Polską* w Warszawie. Porównaj »W sprawie handlu żywym towarem«, *Ruch społ. chrześć.* Rok III, nr. 1, 2, 4 i 5.

kimi Kościół wiernych umoralnia, tem bardziej, że środki te nie mogą nadążyć za wzrostem liczebnym proletaryatu w większych centrach przemysłowych (np. w Łodzi). Samo więc zbawienie tylu tysięcy dusz wymaga, aby wszelkiemi siłami dążyć do zmiany tych warunków.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że w takiem położeniu człowiek musi grzeszyć, broń Boże! Słowa Chrystusa Pana, powiedziane do św. Pawła: »Wystarczy ci łaska moja« (II Kor. 12, 9), stosują się do każdego człowieka, choćby w najcięższem znajdował się położeniu. Nie idzie jednak za tem, abyśmy mieli z założonemi rękoma patrzeć, jak setki i tysiące dusz wystawione są na niebezpieczeństwo dlatego tylko, że Bóg sam może ich od zła uchronić. Byłoby to zapoznawać naukę Kościoła o stosunku porządku nadprzyrodzonego do przyrodzonego, w myśl której konieczność łaski do dobrych uczynków nie uwalnia nas od pilnego baczenia na nasze władze przyrodzone. Nauka ta w zastosowaniu do życia społecznego, każe nam zająć się poprawą położenia tych klas, do których słowo Boże z trudnością trafić może; ignorować tę tak zaognioną sprawę społeczną, byłoby kwietyzmem społecznym, byłoby to ze strony Kościoła zaparciem się swej tradycyi, która mu tyle razy kazała się zajmować interesami doczesnemi klas wydziedziczonych.

Zresztą istnieje w tej kwestyi jeszcze jedno nieporozumienie, które wyświetlić należy. Wiele osób, gdy mowa o akcyi społecznej, ma na myśli jedynie interesa materyalne klas robotniczych, a więc podwyższenie płacy, zakładanie wszelkiego rodzaju kas, spółek spożywczych, związków zawodowych i t. d. Jak w chwili obecnej winne jest temu u nas wyjątkowo ciężkie położenie proletaryatu, które każe myśleć przedewszystkiem o zaspokojeniu głodu; dlatego też widzimy, że w Warszawie myśli się prawie wyłącznie o związkach zawodowych, które tylko interesa materyalne mają na oku i nawet w broszurce o Demokracyi chrześcijańskiej, w ustępie o organizacyi wewnętrznej mowa jest tylko o związkach zawodowych. Otóż zaznaczyliśmy już, że cała ta działalność czysto ekonomiczna nabiera cech akcyi moralnej, gdy się zważy pobudki, dla których się ją podejmuje; lecz oprócz tego,

nawet jeśli, abstrahując od pobudek, akcyę społeczną samą w sobie rozpatrywać będziemy, wnet dojrzymy, że jest ona czemś więcej, niż dążeniem do podniesienia dobrobytu materyalnego niższych warstw ludności. Prawda, mają słuszność ci co mówią, że sprawa społeczna jest przedewszystkiem sprawą żołądka, lecz nie jest ona nią wyłącznie, jest bowiem także sprawą sumienia [1] i oświaty. Kto więc chce choć cokolwiek przyczynić się do jej rozwiązania, nie może myśleć tylko o tem, co robotnik będzie dziś jeść, lecz powinien swą akcyę społeczną rozłożyć na dłuższy przeciąg czasu w tym celu, aby podnieść robotnika na wyższy stopień kultury, oświecić go, zrobić z niego dobrego obywatela kraju, świadomego swych praw i obowiązków i któryby mógł z czasem sam się zająć poprawą swego materyalnego dobrobytu, nie oglądając się na cudzą pomoc [2]. I oto otwiera się przed nami ogromne pole pracy kulturalnej, może nie tak gwałtownie pilnej w naszem wyjątkowem położeniu, jak praca nad poprawieniem położenia ekonomicznego proletaryatu, ale za to bez porównania ważniejszej dla każdego, kto się nie łudzi, że zatarg społeczny naszych czasów da się w rok lub dwa załagodzić.

Widzimy więc, że w sprawie społecznej chodzi o coś więcej, niż o interesa materyalne proletaryatu, chodzi tu o jego kulturę a od kogóż miałby jej oczekiwać, jeśli nie od Kościoła katolickiego, który od początku swego istnienia był rozsadnikiem kultury na całej kuli ziemskiej. Sam zresztą Kościół jest tu zainteresowany, kultura bowiem zawsze bywa szerzona albo przez Kościół, albo przeciw Kościołowi.

W zachodniej Europie Kościół katolicki dawno już podjął to zadanie i coraz obfitsze zbiera owoce swej pracy; dla nas przedewszystkiem powinna służyć za przykład działalność społeczna duchowieństwa niemieckiego, tak zawsze jednolita i karna; nieraz też była ona przedmiotem pochwał ze strony Leona XIII [3].

Że ten wielki papież tak właśnie rozumiał rolę społeczną duchowieństwa, świadczą o tem liczne miejsca z jego pism i prze-

[1] *A. L. XIII:* v, 4. *Acta S. S.* 33, 389.
[2] *Acta S. S.* 33, 392.
[3] *A. L. XIII:* iv, 44—46; 138—139; v, 96.

mówień; z nich przytoczymy tylko jeden ustęp, wyjęty z allokucyi, jaką miał do kardynałów w ostatnią wilię Bożego Narodzenia, jaką mu było dano na tym świecie spędzić.

»Akcya demokratyczno chrześcijańska, tak bardzo odpowiadająca dążeniom naszych czasów i potrzebom, które ją wywołały, uzyskała naszą sankcyę i zachętę, określiliśmy wszakże bardzo ściśle jej cel, środki i granice; gdyby więc ktoś na tej drodze zbłądził, nie można byłoby tego składać na karb niewystarczających wskazówek z naszej strony. Wogóle jednak widoczną jest rzeczą, że ci, którzy się tej akcyi oddali zarówno we Włoszech, jak i w innych krajach, pracują z gorliwością godną pochwały i w sposób wybitnie owocny; nie można tu pominąć pożytecznego udziału, jaki w tej akcyi biorą liczne grupy dzielnych młodych ludzi. Zachęciliśmy też i duchowieństwo, aby weszło choć z pewną ostrożnością na to pole działalności; każde bowiem roztropne przedsięwzięcie, wypływające ze szczerego uczucia miłości bliźniego, da się pogodzić z powołaniem katolickiego kapłana; otóż czy nie jest to dowodem prawdziwej miłości bliźniego oddawać się całem sercem zupełnie bezinteresownie sprawie poprawienia położenia moralnego i materyalnego tak licznych tłumów? Macierzyńska miłość Kościoła dla wszystkich ludzi, jest równie powszechną, jak i ojcowstwo Boga; a jednak wierny swym początkom i pamiętny na Boskie przykłady swego założyciela zwykł był Kościół zawsze zbliżać się ze szczególną miłością do pokornych, do nieszczęśliwych i do wydziedziczonych. Przejmując się szczerze i stale duchem tej powszechnej matki wszystkich ludów, demokracya chrześcijańska może śmiało ufać, że nie chybi celu« [1].

Możemy więc i my wejść śmiało na tę drogę akcyi społecznej, na której w innych krajach katolicy już tyle zdziałali; trzeba tylko, abyśmy się dobrze zapoznali z chrześcijańską nauką społeczną, abyśmy się przejęli tym ożywczym duchem, jaki w nią tchnął Leon XIII i wreszcie, abyśmy pamiętali, że w zastosowaniu społecznych zasad chrześcijańskich do naszych warunków nie

---

[1] Ustęp ten przetłumaczyłem z francuskiego tekstu podanego w *Univers* z dnia 26 i 27 grudnia 1902.

wolno nam się wyłamywać z hierarchicznego ustroju Kościoła, ustrój ten bowiem jest dla nas najlepszą gwarancyą, że z tej nowej dla nas drogi, jaką jest działalność społeczna, nie zejdziemy na manowce.

Zapytać się więc teraz tylko wypada, jakie konkretne formy ma przybrać społeczna działalność Kościoła?

Na zapytanie to odpowiemy, a będzie to drugim punktem odpowiedzi na ankietę *Przeglądu:*

Szczególnem zadaniem Kościoła na polu działalności praktycznej z chwilą gdy się ona stanie możliwą, będzie zakładanie i popieranie wszelkiego rodzaju towarzystw we wszystkich warstwach społeczeństwa, szczególnie jednak wśród tych, którzy najbardziej kultury potrzebują i którym najtrudniej o własnych siłach wydostać się z tego ciężkiego położenia, w jakiem się znajdują.

Będzie to konieczne przygotowanie społeczeństwa do tych reform, których tak łaknie, a które samo obmyśleć i przeprowadzić będzie musiało. Bez tego zrzeszenia się, od którego pod rządem rosyjskim takeśmy odwykli, nie uda się podnieść kultury szerokich warstw naszego ludu, nie uda się ich uchronić od demoralizacyi, która też z większych swobód politycznych skorzysta; jedynie przez związki i towarzystwa potrafimy przygotować niższe klasy narodu do odegrania tej roli, jaka im wobec coraz bardziej demokratyzujących się form rządu przypadnie w udziale, jedynie przez nie położymy trwałe podstawy ich dobrobytu materyalnego, przysposabiając ich do tego, iżby się z czasem na naszą pomoc pod tym względem oglądać nie potrzebowali.

Leon XIII doskonale zrozumiał rolę, jaką towarzystwa odegrają w procesie uzdrowienia stosunków społecznych; nie szczędził on pochwał społeczeństwom, w których ruch ten przybrał żądane rozmiary, ani słów zachęty tym, w których się jeszcze nie rozpoczął[1]. Dla nas szczególne znaczenie ma ustęp z encykliki *Caritatis providentiaeque,* wystosowanej do biskupów polskich,

[1] *A. L. XIII:* I, 259; II, 73, 123, 227; III, 13; IV, 164, 259, 263, 202 ss.; V, 249; VI, 22, 77, 85. *Acta S. S.* 33, 393; 32, 204.

w której Ojciec święty zaleca zakładanie wszelkiego rodzaju towarzystw:

»Doświadczenie uczy, jak wielki wpływ mają zarówno na złagodzenie ciężkiego losu klas uboższych, jak i na podniesienie wśród nich oświaty, różnego rodzaju instytucye katolickie, w duchu świętej miłości rozpoczęte i prowadzone, jak to: stowarzyszenia rzemieślnicze, stowarzyszenia wzajemnej pomocy i inne; ktoby więc czyto radą, czy swą powagą, czy pieniędzmi, czy wreszcie pracą przyczynił się do rozwoju tych instytucyi, od których zależy ratunek, a nawet zbawienie wieczne tylu istot ludzkich, ten zaprawdę wielką miałby zasługę i względem religii i wobec współobywateli« [1].

W Galicyi, a szczególnie w W. Księstwie Poznańskiem powyższe słowa nie pozostały bez skutku; tylko u nas warunki polityczne nie pozwalały jak dotąd zastosować się do tych cennych wskazówek; lecz teraz, gdy wolność stowarzyszania się otrzymamy, czyż wolno nam będzie się jeszcze wahać? [2].

Nie! Wkrótce kraj nasz powinien się pokryć całą siecią towarzystw i związków, a więc: towarzystw młodzieży wszelkich warstw społecznych, towarzystw czeladników, rzemieślników, robotników i robotnic, Kółek włościańskich, spółek i kas, związków zawodowych i t. d. Na tej to dopiero podstawie oprą się wszystkie inne dążenia społeczne; w towarzystwach tych dopiero dojdą do pełnej świadomości szerszych warstw istotne potrzeby narodu; w nich to, stosownie do ich składu, będą dyskutowane dążenia społeczne w polityce wewnętrznej, poczynając od gminnej a kończąc na ogólno-państwowej, one to będą popierały inicyatywę prywatną tam, gdzie ona wystarcza, lub gdzie współdziałania państwa spodziewać się nie będzie można; one to zapewnią rozwój zdrowemu o chrześcijańskim duchu piśmiennictwu, rozpowszechnią dziennikarstwo katolickie, ułatwią kolportaż książek zdrowych, a zarazem pozwolą walczyć ze złą literaturą. Trudno

[1] *A. L. XIII:* v, 249.

[1] Jedną pobudką więcej do rozpoczęcia tej pracy powinien być dla nas ustęp z listu Piusa X, w którym zachęca on nas do pracy społecznej wogóle, a do zakładania towarzystw w szczególności.

wymienić wszystkie zadania, jakie towarzystwa nasze będą miały do wypełnienia, nie sposób nawet przewidzieć wszystkich potrzeb, jakie z czasem zrodzić się mogą; zaznaczyć jednak należy, że najważniejsza rola przypadnie w udziale towarzystwom kulturalnym; one to nadadzą ton całemu ruchowi społecznemu, który o tyle będzie chrześcijański, o ile one będą duchem chrześcijańskim przejęte.

Główną więc rolę musi odegrać w nich duchowieństwo, które z urzędu swego ściśle przeznaczone jest do szerzenia chrześcijańskiej kultury; u nas rola duchowieństwa jest tem konieczniejsza, że wśród świeckich między t. zw. intelligencyą coraz mniej posiadamy wojujących katolików. Ma się rozumieć, że całemi siłami dążyć trzeba będzie do tego, ażeby się te stosunki zmieniły; z czasem musimy utworzyć wśród świeckich zastęp, że tak powiem, katolików integralnych t. j. takich, którym nie wystarczy w prywatnem życiu kierować się zasadami chrześcijańskiemi, lecz zechcą je też do życia społecznego powrócić; ich też wyrobią nam towarzystwa.

Nie trzeba jednak się łudzić, że cała ta naszkicowana dotąd akcya społeczna pójdzie łatwo; nie uniknie ona starć z jednej strony z liberalnym konserwatyzmem, z drugiej zaś z postępowym radykalizmem, a walka ta będzie wymagać ze strony sług Kościoła nie tylko gorliwości i ducha poświęcenia, ale i specyalnego przygotowania zarówno naukowego, jak i praktycznego; o niem więc trzeba przedewszystkiem pomyśleć, jeśli się chce być gotowym w chwili, gdy wybije blizka już może godzina rozpoczęcia pracy.

A do tej pracy, śmiało możemy powiedzieć ze św. Pawłem: *Caritas Christi urget nos* [1].

A. Woroniecki.

Idąc za wezwaniem Szan. Redakcyi, mam zaszczyt przedstawić w kilku słowach odpowiedź na postawione w szanownem

[1] 2 Kor. 5, 14. Porównaj *A. L. XIII:* III, 1.

Jej piśmie pytanie: Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dziś do spełnienia?

Sądzę, że wniknę w myśl Szanownej Redakcyi, jeżeli przez katolicyzm rozumieć będę ogół kierunków i dążności mających za punkt wyjścia i za podstawę Kościół katolicki. Jak religia chrześcijańska, której ciągłem urzeczywistnianiem, a zarazem formą społeczną jest Kościół katolicki ogarnia całego człowieka, przenika wszelkie sfery jego umysłowości, jego uczuć i jego działalności na zewnątrz, tak też i katolicyzm w powyższem pojęciu obejmuje nie tylko najściślejszą sferę religii, odnoszącą się do wiary, kultu i moralności, ale również wszelkie dziedziny nauki, sztuki tudzież akcyi społecznej i politycznej. Nie zatrzymując się dłużej przy sferze ściśle religijnej, w obrębie której wszelka inicyatywa i wskazywanie kierunków akcyi katolickiej należy jedynie i wyłącznie do władzy kościelnej, pozwolę sobie zwrócić uwagę tylko na jeden punkt, a mianowicie na konieczną potrzebę, aby w społeczeństwie świeckiem, a zwłaszcza wśród intelligencyi, budzić, utrzymywać i potęgować przeświadczenie, że jakkolwiek Kościół t. zw. wojujący jest społecznością widzialną, tak jak każda inna społeczność, złożoną z ludzi, działałającą dla ludzi i przez ludzi *(societas externa)*, to jednak ma cel nadprzyrodzony, przechodzący granice doczesności, cel wyższy od wszystkich innych celów, bo cel ostateczny całej ludzkości, a zarazem każdego człowieka z osobna, tj. osiągnięcie zbawienia i szczęśliwości wiecznej. W naszych czasach, kiedy prądy najgrubszego materyalizmu i zmysłowości wnikają do człowieka żyjącgo w świecie, że się tak wyrażę przez wszystkie pory, przez literaturę, sztukę i stosunki życiowe, odrywając jego umysł i serce od rzeczy nadziemskich, duchownych, coraz naglejszą staje się potrzeba zastosowania wszelkich środków, które podaje religia katolicka, aby tym wrogim prądom naszego zbawienia przeciwdziałać i takowe zwalczać. Jednym z najskuteczniejszych środków jest niewątpliwie — oddawanie publiczne czci i hołdu Bogu żywemu, utajonemu w Najśw. Sakramencie Ołtarza. Jest to akt najpokorniejszego i zupełnego poddania rozumu Słowu Bożemu, a zatem najwznioślejszy akt

religijny, przez który bierzemy zupełny rozbrat ze zmysłowością, aby na skrzydłach wiary i tą wiarą oświeconego rozumu wznieść się w najwyższe sfery życia nadprzyrodzonego, bez którego o katolicyźmie wcale nie może być mowy. To też zawiązywanie, zwłaszcza wśród sfer naszej intelligencyi, stowarzyszeń mających za cel publiczną Adoracyę Najśw. Sakramentu, a względnie liczne przystępywanie sfer intelligencyi do już istniejących stowarzyszeń tego rodzaju, ich popieranie, urządzanie wieców eucharystycznych na wzór zagranicą rozpowszechnionych, uważam jako jeden z najdzielniejszych środków akcyi katolickiej w naszym kraju, w sferze ściśle religijnej.

Ależ rozum, który Bogu w Najśw. Sakramencie utajonemu składamy w ofierze, jest najszczytniejszym darem od niego otrzymanym. Winien on być należycie, zapomocą wszelkich środków, według metody umiejętnej ukształconym i przez wiarę z upadku grzechowego podniesionym do najwyższej swojej potęgi. Jest to kardynalny obowiązek chrześcijanina wobec Boga i w stosunku do bliźnich obowiązek człowieka, który nosi miano istoty rozumnej i wolnej. Przedewszystkiem chrześcijanin winien się zwrócić, o ile na to tylko przyrodzone siły jego rozumu pozwalają, do poznania Boga i jego stosunku do człowieka, t. j. do poznania podstaw religii, a poznawszy te podstawy w świetle objawienia Bożego, zaznajomić się z całą rozległą dziedziną Nauki Chrześcijańskiej, i z tą instytucyą, którą założył sam Bóg-Człowiek, w której żyje, działa jako Głowa Swego Ciała mistycznego, t. j. z Kościołem katolickim, bez którego o katolicyźmie nie może być mowy. A zatem nauka katolicka w całym jej zakresie winna w pierwszym rzędzie być przedmiotem akcyi katolickiej u nas w Polsce, gdzie pod tym względem w porównaniu do innych krajów, jak Niemiec i Francyi, ruch naukowy jest jeszcze bardzo słaby. Odwołuję się w tym kierunku do uwag, które przedstawiłem na lwowskim kongresie Maryańskim w referacie p. t. »Zasadnicza charakterystyka obowiązków społecznych Sodalisa na podstawie nowszych encyklik papieskich«. (Odb. z ks. pamiątk. Maryańskiej. Lwów 1905. Str. 9—12). Założenie Towarzystwa, któreby miało jako wyłączne

zadanie popieranie i rozszerzanie nauki katolickiej, uważam jako naglącą potrzebę stwierdzoną kilkakrotnie rezolucyami zjazdów katolickich. Nauka katolicka w naszym narodzie, którego dzieje tak ściśle się łączą z kościołem, ma swoje właściwości, dlatego też przystąpienie w celu spełnienia zadania katolicyzmu w powyższym kierunku do ogólnej akcyi katolickiej w Austryi, która w t. zw. *Leo-Gesellschaft* znalazła swój wyraz a zarazem swój organ, nie uważałbym za dostateczne. Wszak katolicy w trzech polskich dzielnicach mogliby się zdobyć na założenie Towarzystwa, któreby było ogniskiem dla nauki katolickiej w Polsce. Sądzę, że nie potrzebuję się nad tem rozwodzić, jak niezbędnem jest istnienie takiego ogniska dla szkół katolickich, i dla katolickiej prasy, tak w kierunku kształcenia personalu redakcyjnego, jakoteż wydawnictwa pism, któreby mogły godne zająć miejsce obok najpoważniejszych tego rodzaju publikacyi zagranicą. W związku z popieraniem nauki katolickiej pozostają: piecza o archiwa kościelne dyecezyalne, parafialne, kapitulne i klasztorne będące bardzo wielkiej wagi dla poznania dziejów Kościoła w Polsce, oraz sprawa dotyczących wydawnictw archiwalnych, jak również w zakresie sztuki kościelnej zakładanie muzeów dyecezyalnych.

Ale nauka katolicka, zarówno jak wiara, która stanowi najwyższy jej przedmiot, nie jest tylko teoryą abstrakcyjną, lecz normą na wskróś praktyczną regułą postępowania, ona bowiem mieści w sobie słowa żywota, a jako taka winna ciągle wcielać się we wszelkie stosunki życia ludzkiego, ma je przepromieniać, uszlachetnić i uduchownić. Stąd wypływa obowiązek katolików oraz zadanie katolicyzmu, jako takiego nieustannego stwierdzania żywotności wiary w stosunkach społecznych, stąd wynika potrzeba społecznej akcyi katolickiej. Nie jest moim zamiarem w odpowiedzi na powyższe zagadnienie przedstawić program rzeczonej akcyi, akcyi wnikającej, jak nadmieniłem, we wszystkie kierunki życia społecznego. Katolicy mają zasadnicze podstawy rzekomego programu w encyklice *Rerum novarum* i w późniejszych jej interpretacyach, przez obecnego Papieża wydanych. Program ów jest wysnuty z niewzruszonych principiów prawa Bożego i prawa przyrodzonego. Jedynie tylko na owych zasa-

dach oparta akcya społeczna podejmowana w poszczególnych krajach, zasługuje na miano akcyi katolickiej. Takowa wymaga organizacyi; to też jak trafnie zaznaczył Szanowny ks. Redaktor w zeszycie listopadowym *Przeglądu Powszechnego*, głównem zadaniem ostatniego wiecu katolików austryackich w Wiedniu, miało być stworzenie organizacyi dla obrony praw Kościoła, a polegającej na komitecie centralnym na całą Austryę i podporządkowanych mu komitetach prowincyonalnych. Szeroko już rozgałęzionej u nas organizacyi socyalistycznej należałoby, mojem zdaniem, przeciwstawić w zakresie katolickiej akcyi społecznej silną organizacyę, obejmującą i pokrywającą swą siecią kraj cały i poszczególne tegoż okręgi. I w tym kierunku potężna, bo do końca wieków przetrwać mająca, oparta na niewzruszonych podstawach prawa Bożego, organizacya Kościoła służyć może za wzór, a zarazem jako najskuteczniejszy środek do krzewienia działalności katolicko-społecznej, któraby mogła stawić zaporę szerzeniu się zgubnych prądów podkopujących główne podstawy życia i porządku społecznego. Ustrój kościelny, którego kamieniem węgielnym jest Prymat papieski, opiera się również na episkopacie, tudzież na istniejącym od wieków najniższym organie władzy i rządu kościelnego t. j. na urzędach plebanów, których zakres terytoryalny kompetencyi zamyka się w granicach parafii. Parafia stanowi najniższą w kościele jednostkę administracyjną. To też chcąc rozwijać należycie zorganizowaną akcyę katolicko-społeczną w kraju naszym, należałoby przedewszystkiem oprzeć takową na podstawie kościelnego podziału terytoryalnego na parafie. Pleban, czy to na wsi, czy w mieście, już z obowiązku swojego urzędu duszpasterskiego, ma być ojcem duchownym swoich parafian, pośrednikiem pomiędzy bogactwem a niedostatkiem, nie powinien on ograniczać swojej działalności jedynie do kościoła i zakrystyi, w których właśnie chcieliby go zamknąć wrogowie Kościoła, lecz na głos rozbrzmiewający donośniej z wyżyn Stolicy Piotrowej winien iść w lud, t. j. ma być głównym inicyatorem i kierownikiem a przynajmniej moderatorem wszelkiej akcyi katolicko-społecznej w obrębie parafii. On już w myśl przepisów kanonicznych powinien lepiej, niż ktokolwiek inny, znać swoich parafian. Pomimo wszel-

kich przeszkód, które plebanowi w tym kierunku stoją na zawadzie, jak np. obarczenie plebanów ze strony państwa obowiązkami dodatkowymi, jako urzędników stanu cywilnego, częste w miastach fluktuacye wśród parafian z powodu zmiany ich miejsca zamieszkania i t. d., to jednak sądziłbym, że nie byłby wygórowany postulat, i za daleko idącem przypuszczenie, że każdy proboszcz w mieście tudzież na wsi, o przeciętnym poziomie kapłańskiego ducha i wykształcenia, mógłby, zwłaszcza gdyby miał do tego wyraźną zachętę ze strony swego Arcypasterza, znaleźć w obrębie swoich parafian kilku (5—10) mężczyzn katolików praktykujących o nieco wyższym w stosunku do innych parafian poziomie wykształcenia, którzyby stanowili zawiązek do utworzenia komitetu parafialnego na wzór i podobieństwo instytucyi szeroko rozgałęzionych, a skutecznie popierających akcyę katolicko-społeczną we Włoszech, w ścisłym związku z władzą kościelną — t. j. kółek i komitetów parafialnych. Utworzenie pierwszego zawiązku, projektowanego przeze mnie dzieła komitetów i związków parafialnych i dyecezyalnych, dałoby się przynajmniej w niektórych parafiach przeprowadzić z łatwością, przy pomocy kongregacyi Maryańskich, tudzież konferencyi Tow. św. Wincentego à Paulo.

Nasuwa się teraz pytanie, jakie jest znaczenie komitetu parafialnego dla akcyi katolicko-społecznej, jaki jego cel i zadanie, organizacya i zakres działania, wreszcie, jakimi środkami rozporządza?

Komitet parafialny ma być organem lokalnym, zapomocą którego w ścisłej zależności od władzy duchownej ma być podjętą, kierowaną, popieraną i przeprowadzoną akcya katolicko-społeczna w obrębie parafii. Zadaniem i celem komitetu parafialnego jest w szczególności: 1) staranie o to, aby kardynalne prawo życia chrześcijańskiego o święceniu niedzieli i świąt było przez katolików w granicach parafii ściśle przestrzegane a tem samem aby charakter katolicki miasta lub wsi był o ile możności utrzymany, a względnie przywrócony, do czego służy także piecza o tradycyjne obchody religijne i procesye, zwłaszcza odbywające się w kościele parafialnym, temuż kościołowi na cele służby Bo-

żej, a zwłaszcza *pro fabrica ecclesiae* przychodzi komitet z pomocą przez udzielanie zasiłków pieniężnych; 2) urządzanie, względnie popieranie zasiłkami pieniężnymi konferencyi i wykładów w zakresie kwestyi socyalnej i nauki katolickiej wogóle; 3) zakładanie katolickich czytelni ludowych, względnie popieranie katolickiego Towarzystwa Oświaty Ludowej; 4) inicyatywa przy zakładaniu, względnie popieranie istniejących katolickich stowarzyszeń zawodowych, kas zapomogowych rzemieślniczych, i związków robotniczych i t. d.; 5) piecza o wypełnianie w duchu katolickim obowiązków obywatelskich; 6) popieranie moralne katolickiego handlu i przemysłu. Wogóle piecza o wszelkie objawy chrześcijańskiego życia społecznego w granicach parafii, oraz wykonywanie i przeprowadzanie dotyczących poleceń ordynaryusza dyecezyi, tudzież uchwał odnośnego komitetu dyecezyalnego. Spełnianie powyższych zadań, będących zarazem zadaniami Związku parafialnego w obrębie parafii, należy do zakresu komitetu parafialnego. Kilku (5—10) parafian, których wskaże, a względnie przeciw którym proboszcz nie wzniesie swego *veto*, zawiązuje się i tworzy komitet parafialny, który większością głosów wybiera przewodniczącego. W obradach komitetu parafialnego uczestniczy proboszcz, lub jego zastępca, z głosem stanowczym i z prawem stawiania wniosków. On, względnie jego zastępca, może każdą uchwałę komitetu parafialnego zawiesić w wykonaniu, przedkładając motywa swoje przez komitet dyecezyalny do ostatecznego zatwierdzenia ordynaryuszowi dyecezyi lub tegoż delegatowi w komitecie dyecezyalnym. Toż samo prawo odnosi się do exkluzywy przez proboszcza dotyczącej członków komitetu parafialnego. Ordynaryuszowi dyecezyi, względnie jego delegatowi mają być przedłożone wszelkie uchwały komitetów i związków parafialnych, tudzież komitetu i związków dyecezyalnych, on ma również co do członków wszelkich komitetów stanowcze, ostateczne, bezpośrednie tudzież pośrednie i nieograniczone *veto* bez podania powodów. W skład komitetu dyecezyalnego wchodzi z głosem stanowczym delegat biskupi.

Komitet parafialny oprócz powyżej określonych funkcyi, jest zarazem wydziałem obszerniejszego ciała t. j. stowarzyszenia zwa-

nego Związkiem parafialnym. Członkiem zwyczajnym Związku parafialnego może być każdy katolik pełnoletni mężczyzna, będący zarazem parafianinem, dotyczącej parafii, który na cele związku powyżej oznaczone, jako zadania komitetu parafialnego, jako jego organu wykonawczego złoży roczną wkładkę w minimalnej kwocie 1 kor. 20 hal. jednorazowo, lub w ratach miesięcznych po 10 hal., do rąk właściwego ze względu na miejsce zamieszkania kolektora Związku. Członkiem wspierającym może być każdy katolik obojej płci, który powyższą minimalną wkładkę uiści do rąk właściwego kolektora. Oprócz tego ma Związek swoich Dobrodziejów i członków honorowych. Komitet parafialny mianuje z pośród członków zwyczajnych Związku parafialnego dziesiętników i kolektorów. Zadaniem dziesiętników jest informowanie komitetu o stanie życia katolicko-społecznego w wyznaczonych im dzielnicach, na które jest podzielona każda parafia, oraz jednanie nowych członków dla Związku parafialnego i kontrola nad kolektorami. Kolektorowie oprócz jednania nowych członków mają zadanie za procentowo od uzyskanych od członków wkładek oznaczonem wynagrodzeniem wybierać takowe od członków i dobrodziejów Związku parafialnego; mają prowadzić dotyczące księgi wkładek wyznaczonych im okręgów pod kontrolą dziesiętników a zarazem winni z końcem każdego miesiąca doręczać uzyskane wkładki podskarbiemu komitetu parafialnego. Kolektorem może być mianowany przez komitet parafialny każdy członek Związku parafialnego obojej płci.

Wkładki i dary członków Związku mają być obracane w pewnych częściach stale oznaczonych na cele kościoła parafialnego, na fundusz rezerwowy Związku parafialnego, na cele Związku i komitetu parafialnego, wreszcie na cele ogólne Związku i komitetu dyecezyalnego. Członkowie Związku parafialnego wszelkich kateoryi mają prawo uczestniczenia w zgromadzeniach ogólnych takowego, odbywających się corocznie, w połączeniu z nabożeństwem w uroczystość św. Patrona kościoła parafialnego, dla wysłuchania sprawozdania z działalności komitetu parafialnego; na owych zgromadzeniach ogólnych, na które mają wstęp również zaproszeni z poza grona członków parafianie i inni go-

ście, zapadają rezolucye, mające znaczenie rezolucyi wiecu parafialnego, które przez komitet parafialny mają być przedkładane do zatwierdzenia komitetowi dyecezyalnemu tudzież ordynaryuszowi dyecezyi lub jego delegatowi. — Co trzy lata odbywają się wybory w miejsce ustępujących członków komitetu parafialnego, tudzież delegatów do komitetu dyecezyalnego, na ogólnych zgromadzeniach Związku parafialnego, na takowych członkowie zwyczajni mają czynne i bierne prawo wyboru. — Organem centralnym, zapomocą którego mają być podejmowane, kierowane i popierane ogólne sprawy dotyczące akcyi katolicko-społecznej w obrębie dyecezyi, w ścisłej zależności od ordynaryusza dyecezyi jest komitet dyecezyalny, złożony z przewodniczących poszczególnych komitetów parafialnych, ich zastępców, tudzież wybranych przez ogólne zgromadzenie związku parafialnego delegatów. Ów komitet jest zarazem organem, służącym do wykonywania i przeprowadzania zarządzeń ordynaryusza dyecezyi, odnoszących się do akcyi katolicko-społecznej w obrębie takowej, tudzież rezolucyi zapadłych na wiecach dyecezyalnych, co trzy lata odbywać się mających przy uczestnictwie członków wszelkich kategoryi, należących do poszczególnych związków parafialnych, w obrębie dyecezyi istniejących, tudzież z poza ich grona zaproszonych dyecezyan i innych gości. Rezolucye wieców dyecezyalnych winny być przez komitet dyecezyalny przedkładane ordynaryuszowi dyecezyi do zatwierdzenia.

W tych kilku uwagach starałem się przedstawić w najkrótszym zarysie projektowaną przeze mnie organizacyę akcyi katolicko-społecznej w kraju naszym, działalności rozwijającej się od dołu t. j. od parafii i coraz bardziej się uogólniającej przez komitety i wiece dyecezyalne, które znowu mogą być podstawą do ogólniejszej jeszcze organizacyi akcyi katolicko-społecznej, a zarazem warunkiem skuteczności wszelkich uchwał generalnych wieców katolickich. Uchwały te, w braku należycie i stale funkcyonujących organów wykonawczych, choćby miały pierwszorzędną wagę dla katolickiego społeczeństwa, pozostają po największej części, jak doświadczenie uczy, martwą literą. Z akcyą poczynającą się od dołu t. j. od parafii, wymagającą wprawdzie

dłuższego czasu, lecz rokującą stale wzmagające się rezultaty, łączyć się może skutecznie w celu nadania jej szybszego tempa, organizacya z góry opierająca się przedewszystkiem na związkach centralnych, obejmujących kraj cały, a nawet państwo, a dających impuls do tworzenia się związków ściślejszych, partykularnych np. prowincyonalnych, dyecezyalnych i t. d.

Dr. Józef Brzeziński.

Stoimy pod znakiem związków i przeróżnych stowarzyszeń. Niewątpliwie każda organizacya dobrych ludzi ma swoje dodatnie strony, nie mam też zamiaru zwalczać ogólnego prądu. Spostrzegam jednak, że mimo gorączkowego ruchu tych asocyacyi jednostka ludzka, jako taka, nie podniosła się i nie uszlachetniła tak, jakby można się było spodziewać. Czyja to wina? Znamy jednę wielką organizacyę, nad którą ani lepszej ani trwalszej nie umieli stworzyć sami Rzymianie — organizacyę starej gminy chrześcijańskiej. O jej potędze i spoistości mamy dzisiaj zaledwie słabe wyobrażenie, ale wiemy to, że uczynność i wzajemna pomoc, duch równości i polot dusz, miłość bezgraniczna bliźniego podały sobie ręce nierozerwalnie i bez zastrzeżeń. Tak więc mamy jedno z najświetniejszych poleceń organizacyjnej pracy — a zarazem wskazówkę, czego wymagać od stowarzyszeń chrześcijańskich. Ludzie zawodowi i doświadczeni muszą się zastanowić, czy przypadkiem dzisiejsze organizacye, mimo najlepszej chęci, nie kuleją z braku pewnych podstawowych założeń i warunków? W tej kwestyi nie mogę zabierać żadnego głosu, pozwoliłem sobie natomiast na kilka uwag, które z ważnem pytaniem, postawionem przez Szanowną Redakcyę, pozostają może w jakimś związku. Chcę mówić o wychowaniu w naszych szkołach, nieco o kobietach i o duchowieństwie.

Jeśli słusznie nazwano młodość życia »rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały«, potrzeba wprawnej, zamiłowanej i wytrwałej ręki, żeby cios dłuta, nie krusząc materyału, tworzył z niego

dzieło piękne i zbożne, przez wszechstronne, harmonijne rozwinięcie sił prawie uśpionych i spotęgowanie zarodów w kierunku dodatnim zaraz w pierwszych latach, w samem zaraniu życia. Prawdą jest, że główna waga w systemie szkolnym przypada na kształcenie umysłu, na zaopatrzenie go w cały zasób wiedzy. Pamiętajmy jednak, że nauka prawdziwa zdąża w ostateczności do umoralnienia i udoskonalenia istoty ludzkiej przez otwarcie jej oczu na cel, jaki ma do spełnienia tutaj na ziemi, i na obowiązki, jakie ma w stosunku do Boga i do bliźnich. Tylko taka wiedza zasługuje na miano zupełnej i pożytecznej. Niepodobna więc odłączyć od nauczania w szkole drugiego, ściśle z niem związanego zadania, polegającego na wychowywaniu. Zważmy dalej: człowiekowi, jako najdoskonalszemu stworzeniu, dostało się w udziale tyle zdolności, że, wyzyskawszy je należycie, może rozporządzać potęgą zarówno wielką, jak groźną, może wsparty na tej przewadze umysłowej zaciężyć złowrogo nad całą rzeszą mniej uzdolnionych i słabszych, stać się dla otoczenia postrachem i zgubą, jeżeli do tych nabytków rozumu nie przystąpi równoważący i uszlachetniający czynnik moralny, jeśli zabraknie cnoty. Z takiego materyalistycznego źródła płyną owe zapędy hakatystyczne, tam się wylęgła zmora siły przed prawem, tutaj początek wszystkich rozstrojów społecznych, haseł skrajnych i buntów przeciw tradycyi uczciwej i bogobojnej pracy. A skoro nawet w wyższych sferach społeczeństwa, u samych szczytów, zjawiają się takie posągi na glinianych nogach, o ileż więcej baczyć trzeba, by szerokie warstwy ludu i średnich klas zyskały silną podstawę i szły w ciężkie zawody życiowe z wytyczną, niejako z busolą, którą jest przedewszystkiem ugruntowany, czysty i nieskażony obyczaj, pewne zasady wiary i umoralnienie. »Daj mi duszę, resztę zabierz« — mówił wielki wychowawca dzieci, O. Bosco. Nam też wśród dzisiejszych zamętów i przewrotów socyalnych zależeć powinno głównie na rozwinięciu i utrwaleniu tych lepszych pierwiastków człowieka, na uchronieniu go od zboczeń, do których skłonna jest każda natura nie miarkowana silnym charakterem, nie wstrzymywana głosem sumienia i cnotliwości. Zawczasu też musi się rozpoczynać troska o wychowanie, bo pierwsze wrażenia działają

najsilniej i na długo zostawiają ślady, a kiedy człowiek wejdzie na złą drogę, poprawa staje się trudniejszą. Pomiędzy środkami wychowawczymi dwa zajmują wybitne miejsce: przyzwyczajenie i nauka. Zapomocą pierwszego działamy oczywiście na najniższym stopniu edukacyi, bo w tym okresie trudno wdawać się w rozumowe uzasadnienie i pouczanie, co jest dobrem lub złem. Przyzwyczaja się zaś skutecznie rozkazem lub zakazem i w tym względzie należy wymagać od dziecka bezwarunkowego posłuszeństwa, bo malec nie ma pojęcia, dlaczego mu się nakazuje lub zabrania. W ten sposób dążąc do ujmowania woli dziecka w pewne karby, musimy poprzeć stanowczość naszego wymagania przedewszystkiem niezłomną powagą przykazania Bożego, jako też miłością dzieci do Stwórcy i do rodziców, a w dalszym rzędzie do bezpośrednich przełożonych w szkole, to jest nauczycieli, którzy zastępują miejsce rodziców. Porównanie nauczycieli z rodzicami ma głęboko sięgającą podstawę i uzasadnienie. Wymagamy, by kierownicy duchowi otoczyli dzieci troskliwą i wyrozumiałą opieką, ujawniającą się tak w konsekwentnem przestrzeganiu dobra i korzyści moralnej pupilów, jak i w ciągłości przywiązania, wolnego jednak od zbytku czułości. Ma to być powiązanie ojcowskiej surowości z matczyną miłością. Jeżeli przełożeni odpowiedzą w całości tym warunkom, dzieci snadnie zdobędą się na szacunek, cześć i rzeczywiste oddanie serc i duszy takim przewodnikom — i dopiero przez to obopólne działanie wyrobi się i wysnuje między nimi wzajemna nić sympatyi i zaufania, rzuci się podkład pod psychologiczną dźwignię, pobudzającą do pracy i ułatwi nie tylko kierowanie, ale także i poddawanie się pod wpływ. Ale samo uczucie miłości bywa nieraz słabsze od zewnętrznej pobudki pożądania, dlatego uciekać się wypada do dalszych czynników, nagany lub pochwały, których stosowanie wymaga jednak wielkiej ostrożności. Niepoślednią rolę gra w wychowaniu dobry przykład. W zakresie szkoły może on wychodzić od przełożonych w pierwszym rzędzie, a po części także od szczęśliwie obdarzonych przez naturę uczniów, od pilniejszych i bardziej rozbudzonych dzieci. Aby zaś ten zbawienny wpływ mógł się swobodnie rozszerzać i utrwalać, pożądanem byłoby, żeby młodzież poza godzi-

nami szkolnemi gromadziła się wspólnie pod kierunkiem nauczycieli celem wspólnej zabawy, wycieczki lub jakiej pożytecznej gry, gdyż w takich okolicznościach najłatwiej działać na zmysł koleżeński, zachęcać do wzajemnej pomocy, zespalać i przywiązywać do siebie przez dzielenie wspólnych trudów, a w niemałym stopniu zwłaszcza wspólne przechadzki wpływają na umocnienie przywiązania dzieci do przełożonego i na serdeczniejsze przylgnięcie jednych dzieci do drugich. Wyobraźnia dziecka napełnia się nadto zachwytem dla pięknej okolicy, wspaniałość przyrody uszlachetnia i przyzwyczaja je do podziwiania dobroci Boga, łagodzi instynkty, wpływa dobroczynnie na zdrowie fizyczne, a tem samem pomaga duszy do normalnego rozwoju. Toż nie dziw, że organizacya wspólnych wycieczek, nawet dalszych, dochodzi dzisiaj do poważnych rozmiarów, a któż nie ocenia dobrodziejstw takich podróży do stolicy kraju lub znaczniejszych miejscowości, gdzie młodzi turyści szkolni poznają łatwym sposobem pamiątki ojczyzny, zabytki historyczne, miejsca święte — i uczą się za młodu kochać przeszłość, wpajają w siebie cały zasób wrażeń i ożywczych myśli, zapalając się przez to samo do pracy, bo miłość wszelka, jeśli jest czysta, prowadzi ku górze, ku ideałom. W Galicyi ten ruch wędrówek młodzieży wzmoże się z czasem jeszcze bardziej, a jak korzystnie oddziaływać potrafi na znajomość rzeczy i stosunków, wskazuje analogiczny zwyczaj, od dawna wprowadzony w Szwajcaryi, tym na wskroś praktycznym kraju. Niemałą zdobyczą podobnych wycieczek będzie poczucie spójni i solidarności, ważne dla młodych dusz, przeznaczonych kiedyś do pracy na polu socyalnem. Niepośledniego znaczenia będzie również szacunek i cześć dla starszych, wszczepiane w młode serca, które tem więcej przejmą się tą uległością, im większą miłość i wyrozumiałość znajdą u swych przełożonych. A jest to cnota niepomiernej wagi dla całego społeczeństwa, w którem zasada posłuszeństwa i poszanowania powag staje się coraz rzadszą z ogromną szkodą dla ładu i normalnego biegu czynności społecznych. W parze z powyższymi przymiotami iść winno poszanowanie dla pracy wszelkiego rodzaju, nie tylko umysłowej, a więc dla roboty ręcznej, dla zajęć gospodarskich, dla przemysłu i tym

podobnych gałęzi. Po części będzie to rzeczą teoretycznego pouczania, po części zaś da się to zamiłowanie podtrzymać i utrwalić przez zręczne prowadzenie robót praktycznych. Należałoby dążyć do otwierania jak największej liczby kursów rolnictwa, sadownictwa, przez co przysporzyłoby się fachowych sił krajowi, i nauczyło młodzież patrzeć rozumniej na zawody praktyczne, dotąd przez nią lekceważone lub nawet z rozmysłem omijane, jako rzekomo coś podrzędnego, nie zasługującego na wysiłek umysłowy.

W takich mniej więcej granicach obracaćby się powinno wychowywanie przez przyzwyczajenie. Najodpowiedniejszym czasem do tego oddziaływania na młodzież jest okres nauki elementarnej. Rzeczą dalszych lat jest stopniowe wykształcenie cnót, opierających się na poznaniu, bo człowiek musi sobie z czasem zdać jasno sprawę z tego, dlaczego ma się etycznie zachowywać, ma więc pod czyny wykonywane z przyzwyczajenia i natury podłożyć silne oparcie rozumowego ugruntowania i uzasadnienia.

Powyższe środki i zabiegi wychowawcze będą całkiem naturalnym pokarmem dla organizmu młodocianego, nie obciążą go ani nie przeciążą. Nie można tego samego powiedzieć o samej nauce w szkołach ludowych. Uczy się tutaj zbyt wiele i zbyt obszernie, a wynik taki, że zaledwie pewna część materyału pomieści się i przyjmie w umyśle dziatwy. Nadmiar prowadzi do tego, że najbardziej zasadnicze rzeczy, np. znajomość katechizmu, proste rachunki, czytanie i poprawne pisanie pozostawiają u wielu wiele do życzenia. Z chwilą, kiedy się dziecko zaczęło uczyć formułki na powierzchnię koła lub objętość walca, zapomniało nieraz, co to jest Sakrament lub jak się pisze »Bóg«. Wogóle niema pożądanej proporcyi między dawkami a zdolnością trawienia u tych prawdziwych pacyentów szkolnych. Uważam, że rozumne ograniczenie materyału jest na tym stopniu nauki koniecznie potrzebne ze względu na istotną korzyść wychowawczego kierunku.

W zakresie szkół średnich wydaje mi się niezbędną zmiana w nauce religii. Czekamy długo na wprowadzenie tego przedmiotu, jako obowiązkowego do egzaminu dojrzałości. Sprawa tak ważna powinna być jak najprędzej pomyślnie załatwiona. Wskazanem byłoby kłaść w ciągu nauki główny nacisk na etykę i historyę

Kościoła ze szczególniejszem uwzględnieniem Polski i nowszych czasów. Dużo bowiem troski sprawia wykład dogmatyki. Bardzo zdolny i bardzo taktowny katecheta poprowadzi lekcyę z pożytkiem, w przeciwnym razie zdarzają się wypadki kłopotliwej dyskusyi między uczniami a katechetą, na czem po największej części cierpi powaga samego przedmiotu. Albo więc należałoby poprzestać na pewnem *minimum,* nie wdając się w zanadto subtelne i trudne wywody, albo też wykładać na to miejsce obszerny, komentowany katechizm. Bolesną jest kwestya karności. Nie jest nam tajnem, jak trudne jest utrzymanie moralnego ładu pośród takiej różnobarwnej i tak licznej młodzieży. Wiemy, że grona nauczycielskie walczą tu często z ogromnemi przeszkodami, zdaje nam się atoli, jakoby w ostatnich czasach otworzono furtkę pewnej sentymentalności pedagogicznej. »Dajcie się pojmać, panowie młodzi (wołał ks. Birkowski), ozdobną uzdę karności dajcie na bystre rozumy wasze nałożyć; jedno kochanie z was będzie miała Rzeczpospolita nasza«. Sądzę, że młodzież zawsze da się »pojmać«, ona nie jest zła w gruncie rzeczy, nie jest gorszą od dawniejszej, tylko potrzebuje ciepła, mądrej ręki i szczerej opieki przełożonych, a w takim razie podda się i rygorom przepisów. Dodajmy zaraz, że misya edukacyjna nie byłaby zaokrągloną ani nie miałaby trwałych warunków powodzenia, gdyby ziarna, jej ręką zasiane, miała deptać i niszczyć obojętność, destrukcyjna robota otoczenia. Tutaj właśnie potrzeba współdziałania wszystkich czynników, nie tylko szkoły, ale w wielkiej mierze rodziców, niemniej samego społeczeństwa. Zewsząd powinno wiać zdrowe powietrze, młode pokolenie, na którem spoczywają nadzieje narodu, ma być uważane za świętość, której ani brudzić ani złym przykładem czy szatańską radą nie wolno kazić. Niepodobna w dzisiejszym zamęcie społecznym stworzyć od razu takie czyste środowisko. Jedno można i trzeba uczynić bez zwłoki. Oto sami rodzice niech zmienią zgubną taktykę potakiwania, różne objawy niechęci lub krytyki nauczycieli ze strony dzieci. Lamentują benjaminki, lamentuje i rodzina rzekomo krzywdzonego, na pedagoga padają gromy, a przez to podkopuje się powagę nauczyciela, wyrywa z duszy dziecka zarody posłuszeństwa. Ileż u nas biednej, bezdomnej dziatwy! Ale czy

szczęśliwszą jest ta grupa malców, co mieszkają w domu rodziców, nie mogą jednak korzystać z ich bezpośredniej opieki, albo całkiem takowej są pozbawieni. Tamci nieraz zgoła nie zaznali ciepła rodzicielskiego, ci je zawcześnie stracili z winy samych rodziców. *Miserius est perdidisse, quam nunquam accepisse!* Akcya społeczna w duchu katolickim prowadzona ma na tem właśnie polu szczytne zadanie do spełnienia: wykształcić i wychować kobietę, zahartować ją tak, żeby na żadnem stanowisku nie traciła równowagi i godności, a w razie danym była nie Norą Ibsenowską, lecz prawdziwą wychowawczynią i najlepszą podporą dzieci, aniołem opiekuńczym rodziny. Bo wierzymy w to, że dobra, rozumna i moralna kobieta przyczyni się bardzo wiele do odrodzenia społeczeństwa.

Przysłowie nasze tworzy następujące równanie: »ksiądz, panna i anioł trzeci...« Więc po niewiastach jeszcze kilka uwag o samem duchowieństwie.

Ażeby księża mogli skutecznie zajmować się sprawami społecznemi, trzeba ich do tego zawczasu przygotować. Z drugiej strony daje się uczuwać wielki brak znajomości Ojców Kościoła, podstawy wszelkich nauk teologicznych. Młodzi alumni znają zaledwo jakieś urywki i cytaty wielkich pisarzy chrześcijańskich, nie czytają atoli z obowiązku całych dzieł, a przez to pozbawiają się trwałego wrażenia i podniosłego nastroju. Porywające kazania ś. p. ks. Goliana, na które chodziła tłumnie młodzież gimnazyalna, brały swe ognie z tego właśnie nieprzebranego źródła natchnionych traktatów. Tenże ks. Golian, będąc w Wieliczce proboszczem, na wzór Grzegorza z Sanoka studyował usilnie patrystykę i czytał z wikaryuszami Ojców, sam dla nich najlepszy ojciec. Mniemam zatem, że episkopat rzuciłby bardzo trwałą podwalinę pod rozwój akcyi społecznej, gdyby przeprowadził reformę studyów teologicznych w duchu nowoczesnych potrzeb. Księża zyskaliby silną broń w ciężkiej walce, jaka ich nie minie, gdyby czytali *ex officio* literaturę chrześcijańską i słuchali odpowiednich kursów, gdyby nadto przed wyjściem ze seminaryum przechodzili koniecznie kurs nauk socyalno-politycznych i zaznajamiali się

z całym aparatem czynności społecznych, jakie ich czekają poza ścisłą pracą kościelną.

U nas, w Galicyi, z powodu stanowczego braku księży spada na proboszczów i wikaryuszów wielkie brzemię obowiązków. Mogę to zaznaczyć na podstawie własnych obserwacyi, że spełnianie licznych zadań, związanych z *cura animarum*, obsługa kilku szkółek, nieraz daleko od siedziby parafialnej położonych, praca w kółkach rolniczych, kasach oraz licznych chrześcijańskich związkach, załatwianie wreszcie mozolnych wykazów dla władz świeckich, wypełniają cały czas tym cichym i gorliwym pracownikom. Znaczna większość stoi na swoich placówkach bardzo zaszczytnie i godnie, wszyscy (z małymi wyjątkami) mają najlepsze chęci i gotowość do usług zawodowych. Ewangelia, którą z przejęciem głoszą, daje im odporność i czyni cierpliwymi nawet w najcięższych warunkach, nawet tam, gdzie inni załamaliby ręce lub upadli na duchu, na pustkowiach, w zapadłych kątach, wśród pocisków oszczerczych, wśród jadu i podszczuwań złych ludzi. Oni pocieszają, koją rany moralne, powiedzmy otwarcie: oni są wzorowymi opiekunami biednych i nieszczęśliwych, bez rozgłosu, z oddaniem poświęcają się, dzielą ostatnim groszem. Ale i oni potrzebują często pomocy, podpory i zachęty w swoim własnym obozie; są chwile i sytuacye, że łakną dla siebie przyjacielskiego słowa, chcieliby komuś zwierzyć się z żalami i smutkami. Dlaczegóż miłość chrześcijańska miałaby ich uważać za wydziedziczonych? Dlatego więc, a nadto dla samego podtrzymania ducha i sił misyonarskich, zbawienną byłoby rzeczą stworzyć dla księży jakąś organizacyę, rodzaj związku braterskiego, któryby łączył w sobie niższych i wyższych, umożliwiał wymianę myśli, ułatwiał zbliżenie się maluczkich do swych przełożonych, zacieśniał serdeczniejsze węzły między rozprószonemi i oddalonemi dotąd ogniwami!

Dr. A. Miodoński.

Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Non auctores sed rationum momenta
quaerenda sunt. Cic.

Czyniąc zadość wezwaniu Szan. Redakcyi *Przeglądu Powszechnego*, by wziąć udział w ankiecie w sprawie powyżej poruszonej, obawiam się, piszę to otwarcie, czy zdania, rady i projekty, jakie różni członkowie ankiety już wypowiedzieli, lub jeszcze wypowiedzą, nie pomnożą tylko liczby poprzednich wieców i całego legionu pięknych referatów i rezolucyi, uchwalanych z wielkim zapałem przez zgromadzenia i nie doznają tego samego losu — zapomnienia? Ileżto już kwestyi nie poruszono, które dotyczyły życia katolickiego u nas, ileż środków nie proponowano, które miały zaradzić złemu, wskazać nowe drogi, któremi chciano prowadzić społeczeństwo do lepszej przyszłości? Pytać się więc godzi, czy te rezolucye wydały jakie owoce, czy zrodziły czyny, które na szali pracy publicznej jako dorobek usiłowań poszczególnych lub zrzeszonych poczytane być mogą? Pytanie takie ma znaczenie doniosłe, metodyczne, gdyż w razie negatywnym, powinno pobudzić do krytyki samej pracy oraz środków, przez nią i w niej używanych.

Mówiąc o pracy publicznej na gruncie katolickim, mam na myśli przedewszystkiem »akcyę społeczną w najróżnorodniejszych odmianach«, raz dlatego, ponieważ sprawa ta jest nie tylko »najaktualniejszą« w obecnej chwili, ale także i dlatego, że katolicyzm przedewszystkiem jest powołany nie tylko do nadania wytycznego kierunku tej akcyi, ale wprost do jej rozwiązania. Natomiast zagadnienia i postulaty natury teoretycznej, jakkolwiek mogą mieć i niezawodnie mają pewne znaczenie, o ile oparte są na realnej podstawie i zmierzają do realnych celów, zastosowanych do potrzeb i wymagań chwili obecnej, muszą ustąpić na plan drugi w obecnej akcyi społecznej, ponieważ nie można rozprawiać o tem wtenczas, gdy dom się pali, jakie narzędzia ratunkowe są najodpowiedniejsze, ale jąć się wszelkich środków, jakie praktyka dotychczasowa posiada i stosować je do

warunków miejscowych i rozmiarów niebezpieczeństwa. Jestem stanowczym zwolennikiem zasady, wypowiedzianej już dawno wśród analogicznych, tylko na innem polu panujących stosunków: »w słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę« (Mickiewicz), a wiadomą jest powszechnie rzeczą, że dobremi chęciami brukowaną jest droga do piekła.

Jest rzeczą ogólnie znaną, praktykowaną nie tylko w nauce, ale wogóle w każdej umysłowej pracy, w każdem myślowem, planowem działaniu, ażeby poznać najprzód fakt dany, rzecz samą, przedmiot odnośny, zanim wyda się sąd o jego lub ich istocie i wartości, zanim przystąpi się do wysnuwania wniosków lub stawiania kwestyi, związanych z sądem naszym o tych rzeczach. Żeby wyrobić sobie gruntowną świadomość tego, »jakie szczególniejsze zadania ma katolicyzm do spełnienia«, trzeba przedewszystkiem kwestyę tę oprzeć na stałym gruncie, jakim jest poznanie obecnego katolicyzmu, trzeba poznać środki, jakimi posługuje się on w pracy społecznej, a dopiero stworzywszy w ten sposób dla swego badania podstawę stałą, opartą na znajomości dzisiejszej akcyi katolickiej w sferze pracy społecznej i środków przez nią stosowanych, można mieć przeświadczenie, że wnioski nasze będą opierały się na gruncie pewnym, że zadania katolicyzmu na przyszłość nie będą czemś oderwanem, teoretycznem, ale tem, co jest ściśle związane z naturą tych zagadnień, do których rozwiązania katolicyzm postępuje, że środki obierane zależne będą od właściwości, własności, stanu panujących stosunków obecnych i stosowane do potrzeb realnego życia. Nie jest to żadne *petitum* teoretyczne, ale konkretne, wzięte z doświadczeń życiowych i ma zastosowanie w codziennem życiu we wszelkich wypadkach. Wiemy wszyscy, że zanim lekarz przepisze lekarstwo dla chorego człowieka, musi wpierw poznać stan jego choroby, zanim architekt wzniesie jaką budowę, musi mieć wprzód plan gotowy, obliczyć wytrzymałość fundamentów i wiązań sklepieniowych, na których chce oprzeć budynek. Zastosujmy więc tę prawdę życiową do obecnej sprawy, która nas zajmuje!

Pobudką do urządzenia ankiety *Przeglądu Powszechnego* jest »wzrost ruchu religijnego wogóle, a żywotności katolicyzmu

w szczególności, tak za granicą, jak u nas«, jak to wyraźnie podaje w swem zaproszeniu Redakcya tegoż czasopisma.

Musimy przedewszystkiem porozumieć się dokładnie, co rozumieć należy pod »ruchem religijnym wogóle a żywotnością katolicyzmu w szczególności«. Jeżeli przez to rozumie się akcya, tocząca się, czy to w sferze naukowej — a więc natury teoretycznej, czy też na polu zastosowania praktycznego różnych postulatów, stawianych przez pisarzy i działaczy na tem polu, — a więc wchodząca więcej w sferę życia samego, to »wzrost« tego ruchu można łatwo poznać i ocenić na podstawie znajomości odnośnych publikacyi i rezultatów, osiągniętych w różnych instytucyach lub stowarzyszeniach, opierających swą działalność na tle pewnych, z góry obmyślanych sposobach i środkach działania, normujących cel i zadanie ich organizacyi i pracy w myśl tych postulatów. Ale jakikolwiek będzie rezultat tych dążności, jakie, choćby najżywotniejsze postulaty, stawiane przez »wybitnych pisarzy«, to akcya ta będzie tylko dalszym ciągiem wszystkich tych usiłowań, jakie od szeregu lat podejmowano, których skutek dotychczas okazał się nikłym a prawie nawet żadnym. Musimy więc jasno stawiać kwestyę i z całą ścisłością sąd swój stosować do istniejących faktów, bo od tego zależy wogóle, nie tylko świadoność obecnej chwili, ale także cała akcya na przyszłość. W sferze dyskusyi teoretycznych i postulatów, choćby najżywotniejszych, nie leży rozwiązanie kwestyi, będących na porządku dziennym chwili obecnej a tem mniej można na nich budować żywotność katolicyzmu, jeżeli się przez to rozumie życie prywatne i publiczne, nie tylko jednostki ale całego społeczeństwa, zastosowane do przepisów wiary katolickiej i oceniane miarą rzeczywistej wartości, t. j. jego uczynków.

Jeżeli z góry twierdzić można, że »żywotność katolicyzmu« a więc nasze życie katolickie, prywatne i publiczne, nie stoi często w żadnym przyczynowym stosunku do »ruchu religijnego« i może być nawet jaskrawem przeciwieństwem jego, to wniosek logiczny byłby ten, że podstawą, gruntem, na których akcya katolicka opierać się winna, powinno być nie co innego, jak właśnie wszelkie dziedziny tego życia prywatnego

i społecznego, jego potrzeby i niedomagania, czy i o ile jest zgodne lub niezgodne z przepisami wiary, w czem leżą jego braki a stosownie do tego, jakie środki przedsiębrać należy, które byłyby zastosowane do jego potrzeb i niedomagań a tem samem o których można przypuszczać, że będą skutecznymi.

Pytaniem więc głównem, będącem niejako pierwszym krokiem do rozwiązania zagadnień katolicyzmu i stawiania postulatów dla jego akcyi w obecnej chwili, być winno, jakim jest wogóle ten katolicyzm w różnych dziedzinach życia prywatnego i publicznego? Poznanie jego jest owym fundamentem, na którym, jeżeli jest silnym, można oprzeć budowę wielką, która natomiast musi runąć, jeżeli były błędne obrachowania budowniczego i słaby fundament. Mówić o życiu katolickiem wogóle pod względem etycznym byłoby bezwartościowem, gdybyśmy twierdzenia lub przypuszczenia nasze chcieli opierać na wrażeniach i sądach, jakie odnosimy z ogólnych objawów życiowych, czy to pojedynczego człowieka, czy też społeczeństwa całego. Poddawać pod dyskusyę pewną kwestyę, której prawdziwość z góry się przyjmuje, nie oznacza jeszcze dowodzenie faktu jednego, znanego, przez fakt drugi, nieznany, dlatego tylko, by zająć stanowisko opozycyjne lub negatywne. Wiadomą jest bowiem rzeczą, że jeden i ten sam przedmiot wywiera na ludzi różne wrażenia, odpowiednio do tego, pod jakim kątem widzenia go obserwują, jakim jest ich ustrój psychiczny, wogóle jak różne są warunki, wśród których człowiek znajduje się wobec odnośnego przedmiotu. Kto więc z góry przyjmuje za fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, usuwający się zatem z pod dyskusyi jako bezprzedmiotowy, np. głęboką religijność ludu naszego, ten będzie konsekwentnie opierał na nim swoje wywody i sądy, które będą stały w przyczynowym stosunku do tego założenia, on będzie wznosił gmach wielki, ponieważ fundament uważa za niewzruszony.

Ale słusznie zapytać się również można, czy taka apriorystyczna teza rozwiązuje wszystkie zagadnienia, czy usuwa wszelkie wątpliwości, tłómaczy fakta, które takiemu założeniu wręcz przeczą? Jeżeli nie, jak jest rzeczywiście, wówczas stawianie ta-

kich kategorycznych twierdzeń we wszelkich zakresach pracy umysłowej lub objawów życiowych, trzeba poddawać gruntownej krytyce, ponieważ w ten sposób usuwa się fałszywą podstawę do rozumnego wnioskowania, będącego warunkiem skutecznej pracy. Postąpmy zatem w ten sposób co się tyczy »żywotności katolicyzmu« jako objawu we wszelkich zakresach życia prywatnego i społecznego!

Gdybyśmy posiadali statystykę czynów dobrych, jak posiadamy np. statystykę kryminalistyki, to moglibyśmy z pewnem prawdopodobieństwem układać bilans etyki życiowej, w której tak po stronie czynnej jakoteż i biernej trzebaby przyjąć wiele pozycyi wątpliwych, nie tylko dlatego, że trudną jest rzeczą ująć w stałe cyfry to, co jest dziełem ducha ludzkiego, ale też i dlatego, ponieważ w wielu razach zachodziłaby wątpliwość, do jakiej rubryki kwalifikuje się fakt pewien, stosownie do warunków i okoliczności, mogących wartość jego etyczną podnieść lub też obciążyć. Ale i bez takiej matematycznej ścisłości możemy przedstawić sobie obraz życia jednostki lub całego społeczeństwa na tej samej zasadzie, na jakiej np. medycyna opiera zdrowotność lub choroby jednostek, gmin i całych krajów. Jeżeli się twierdzi, że stosunek śmiertelności np. 35 na 1.000 oznacza zły stan zdrowotny pewnej miejscowości, lub 10%—20% chorób zakaźnych nazywa się epidemią, to równem prawem możemy przyjąć pewne dane etyczne za normę do oceny poziomu moralnego całego społeczeństwa.

Mamy wszyscy w świeżej pamięci głosy, podnoszone na ankietach i zebraniach sfer nauczycielskich i rodzicielskich we Lwowie i gdzieindziej w kraju i poza granicami Galicyi, odsłaniające straszny upadek moralności, panujący w szkołach, nie tylko średnich ale nawet ludowych, w których dzieci 10-letnie chorują na zakaźne choroby płciowe, które w szkołach średnich osiągają wysoki procent. Na ten stan groźny zwrócił uwagę młodzieży uniwersyteckiej rektor uniwersytetu w Wiedniu w swej mowie inauguracyjnej, do czego widocznie jako lekarz miał dostateczne powody. A przecież moralność nie ogranicza się tylko do świata płciowego, poza którym rozciąga się szerokie pole, na

którem rosnąć mogą bujnie chwasty i wszelkie możliwe zielska, podobnie jak i w życiu ludzkiem. Na tych samych ankietach i zebraniach skarżą się powszechnie na nizki poziom wychowania młodzieży, domagają się energicznie od szkoły, ażeby nie tylko uczyła, ale także wychowywała, przytaczają się przykłady nierzadkie krnąbrności, braku uszanowania młodzieży względem nauczycieli i gorsze jeszcze, gdyż kradzieży, samobójstw i t. p. innych wad i występków. Jeżeli dodamy do tych faktów niemniej smutny fakt taki, jaki nastręczają owe legiony wałęsających się po ulicach i placach targowych Lwowa i innych miast prowincyonalnych dzieci małoletnich, uprawiających systematycznie, w sposób wyrafinowany, żebraninę i kradzieże, z których wielki procent dostaje się w ręce policyi a jeszcze większy uchodzi bezkarnie, to otrzymamy pewne kryteryum, wprawdzie nie oparte na statystyce, ale w każdym razie w wysokim stopniu znamienne, na podstawie którego możemy oprzeć nasze wnioski i sądy odnośnie do poziomu moralnego młodzieży w wieku szkolnym. A chociaż daleko większy procent młodzieży tej składa się z jednostek moralnie zdrowych, uczciwych i cnotliwych, to w każdym razie procent przeciwny będzie taki, który uprawni do twierdzenia, określającego stan moralny tej najmłodszej latorośli społeczeństwa, jako chorobę groźną, wymagającą gwałtownie poprawy.

Idąc wyżej w tej obserwacyi życia społecznego, natykamy się zaraz na taki znamienny fakt, jakim jest statystyka Lwowa za rok 1905, która z urodzin ślubnych dzieci 6.129, podaje cyfrę nieślubnych 1.918, — a więc blizko $^1/_3$! Czy cyfra ta nie stoi w przyczynowym związku z tym stanem moralności, jaki dla wieku niedojrzałego z całem prawdopodobieństwem przyjąć trzeba? czy ona nie każe nam także przyjąć podobnego stosunku co do zawartych w tym roku małżeństw 1650, poza któremi trzecia część lub jeszcze większa przypadać będzie na dzikie małżeństwa? Wszak taki stosunek wykazała ankieta, urządzona przez pastorów protestanckich w Prusiech, która i pod tym względem nakreśliła smutny obraz panujących stosunków.

Jeżeli życie rodzinne uważa się słusznie za podstawę moralności społecznej, to brak jego można znów poczytać za główne

źródło jej upadku. Wykazy policyjne, ogłaszane codziennie w gazetach, potwierdzają to w zupełności, a z pewnością potwierdzi to także stan więzień naszych i ich mieszkańców męskich i żeńskich, z których wielki procent przypada nie tylko na analfabetów, alkoholików ale i na takie jednostki, które życie »na wiarę« przekładają nad życie związane węzłami małżeństwa. Sam fakt zaprowadzenia w niektórych państwach ślubów cywilnych, dowodzi obniżenia wśród społeczeństwa znaczenia ślubów kościelnych a co za tem idzie rozluźnienia stosunków rodziny. »Niema szczęścia w narodzie, jeżeli go niema w rodzinie«, powiedział Mickiewicz.

Z różnych chorób społecznych z pewnością alkoholizm jest najstraszniejszą plagą, toczącą, jak rak organizm społeczny. Badania nad alkoholizmem w Galicyi zachodniej podjęte przez d-ra Zofię Daszyńską-Golińską (*Lud* VIII, 62, 113), mogą posłużyć za odstraszający przykład dla tych ekonomistów, którzy w celu przysporzenia dochodów krajowi chcieliby jak najdłużej zachować dla Galicyi prawo propinacyi. Fakt, że w r. 1893 przypadał w Galicyi 1 szynk na 328 mieszkańców, powinien bez wszelkich komentarzy wytłumaczyć przyczynę »nędzy Galicyi«! Kto zna stosunki ludu i życia na wsi, ten wie, jakie znaczenie ma pijaństwo, karczma pod względem moralnym, nie tylko dla całych rodzin, ale dla całych gmin i kraju. Zarazem w tem leży wytłumaczenie tego zjawiska, że napady anarchiczne i mas ulicznych w Królestwie zaczynają się zwykle od monopolów, przeciwko którym instynktowo zwraca się nienawiść tłumu, jako sprawcom jego nędzy i upadku moralnego.

Czy wszystkie objawy i skutki tego smutnego stanu, jaki wytwarza alkoholizm w kraju, mają znaczenie tylko ekonomiczne i moralne a nie powinny także zaważyć na szali postulatów społecznych? Wszak w karczmach dochodzą do skutku wszelkie uchwały i organizacya tego ruchu, jaki np. we wschodniej Galicyi ogarnia całe wsie i powiaty. A czy ruch ten, wybuchający nienawiścią przeciwko współmieszkańcom tej samej miejscowości, tylko innego języka i obrządku, podniecany tak często przez tych, którzy głosić winni główną zasadę chrześcijaństwa o mi-

łości bliźniego, nie jest jednym z najznamienniejszych dowodów upadku moralności życia katolickiego? Czy ten sam objaw nie cechuje także socyalizmu, którego jawna nienawiść przeciwko religii, szczególnie katolickiej, uważaną bywa za jedną z cech charakteryzujących ten ruch społeczny? (Zob. Werner Sombart: *Sozialismus und soziale Bewegung im XIX Jahrhundert*, str. 70).

A postępując dalej po tej drabinie socyalnych chorób, owych walk klasowych, godzących już nie w przeciwników zasady, ale we wszelkie jednostki, więcej posiadające, przychodzimy do owego punktu kulminacyjnego, gdzie działanie, nie już rozumu, ale prostej rozwagi ustaje, a panuje ślepy instynkt nienawiści, prosta chęć mordu i grabieży, będąca udziałem barbarzyńskich ludów, zostających na najniższym stopniu oświaty. Taki obraz patologiczny, mówiąc uczuciem politowania, przedstawia ów ruch w Królestwie i zaborze rosyjskim, w którym, podobnie, jak w owych dzikich napadach hord azyatyckich, niszczy się przemysł i handel a zamierza zniszczyć rolnictwo — a więc wszelkie źródła życia i morduje tych, którzy nie należą do tego samego klanu, zowiącego się partyą lub stronnictwem. Historya zna wiele faktów upadku moralnego ludów, liczy wiele kart zapisanych różnego rodzaju okrucieństwy, ale przykładów, żeby człowiek chcący żyć, mający zamiar siebie i innych uszczęśliwić, zatruwał wodę, którą musi pić, niszczył chleb i wszelkie pokarmy, które mają służyć do jego życia, — takich przykładów historya nie zna. Mamy tu więc jeden z tych objawów, obłędów duchowych czasu, nad którym psychologia będzie mogła głębokie robić spostrzeżenia a który w historyi życia chrześcijańskiego przedstawiać będzie czarną kartę.

A ten obraz, naszkicowany czarnym węglem, ma za tło tylko te warstwy społeczne, którym nie dostaje o ś w i a t y, a więc które nie znają owej busoli, jaką w życiu stanowi oświata, kierującej żądaniami i pragnieniami praw, ale równocześnie nakładającej i poczucie obowiązków. Niestety! oświata dzisiejsza nie może się poszczycić, że dając jedną ręką większą obfitość i możność korzystania z prawa, drugą rękę wyciągnie równocześnie po rachunek, spłacony odpowiednio spełnionym obowiązkiem, że kształcąc w człowieku rozum, uszlachetnia zarazem jego serce,

że stwarzając zastępy ludzi wyższej intelligencyi, wyrobi również takie zastępy ludzi z silnym charakterem. W tych sferach oświeceńszych zło występuje może w formie więcej eleganckiej, nawet wykwintnej, ale za to w treści, istocie i skutkach jest ono stokroć gorszem i szkodliwszem. Urzędnik, który każe całemi godzinami wyczekiwać chłopkowi w sieni lub na dworze przed biurem, mimo że on kilka mil zrobił, by stanąć na termin o pewnej godzinie mu wyznaczonej, dlatego tylko, że p. nrzędnik ma gości, lub zajęty jest spożywaniem śniadania a często nawet nie przyjmuje go i drugi naznacza termin: taki funkcyonaryusz państwowy czy autonomiczny większym jest szkodnikiem publicznym, aniżeli prosty złodziej, ponieważ zapuszcza jad trujący w cały organizm społeczny, tem groźniejszy, że działa na uczucie. Albo kto bezprawnie dopuszcza się gwałtów pod ochroną urzędowego munduru na zebraniach lub w innych czynnościach publicznych, ten powinien być stawiany na równi z anarchistami i innymi burzycielami porządku społecznego.

W jaką sferę działalności publicznej zwracamy swój wzrok wśród tej klasy społecznej, czy to na polu wytwórczości materyalnej czy umysłowej, wśród ram życia prywatnego czy publicznego, wszędzie znajdujemy zarazki, toczące organizm społeczny, które lęgną się w atmosferze o nizkiej temperaturze moralnej. W tem leży przyczyna, że nie mamy opinii ani etyki publicznej a te, które mamy, stosują się nie według skali istoty dobrego lub złego, ale wedle takich okoliczności, najczęściej pozycyi społecznej lub urodzenia, które z pojęciami etyki nic nie mają wspólnego. To jest większe zło, groźniejsze nieszczęście, aniżeli np. p o j e d y n k o m a n i a, bo ono zabija w społeczeństwie sąd pomiędzy złem a dobrem, odbiera mu zdolność w doborze środków dla swej zachowawczości, podczas gdy pojedynek dotyczy tylko jednostek, może często niewinnych, ale w każdym razie nie wolnych od winy i odpowiedzialności, choćby dlatego tylko, że nie posiadają dostatecznej odwagi cywilnej a w każdym razie okazują brak zasad religii katolickiej.

Najgorszem jednak złem, grasującem na tej niwie, zasianej nibyto lepszem nasieniem, uprawnej według zasad teoryi nauko-

wych i praktyki konwencyonalnej, jest brak kultury wyższej, zmysłu krytycznego a najczęściej także logiki. Biorąc formę za treść, konwenanse za rzeczywistość, dobry ton za wychowanie, zatraca się poczucie prawdy, pielęgnuje fałsz i obłudę, wyzbywa się uczuć wyższych, szlachetniejszych, których miejsce zastępuje egoizm i gruby materyalizm. Człowiek pozbawiony uczuć altruistycznych, lub żywiący uczucia te tylko do pewnych osób, urodzeniem i pozycyą społeczną do siebie zbliżonych, podobny jest do tych dzikich plemion murzyńskich, które w każdym Europejczyku widzą wroga dlatego, że nie jest czarnym lecz b i a ł y m. Brak serca i poszanowania dla bliźniego dlatego tylko, że nosi sukmanę lub ręcznej oddaje się robocie, pociąga za sobą te okropne skutki, które gniotą naród cały i prowadzą do ruiny ekonomicznej. Podział społeczeństwa na »panów« i »lud« według miary, że »pan« nie potrzebuje pracować a »chłop« musi, jest dowodem nizkiego poziomu kulturalnego u nas i zarazem tłómaczy to lenistwo nie t y l k o fizyczne lecz także umysłowe, jakie charakteryzuje całe warstwy, szczególnie wyższe, naszego narodu, a co za tem idzie ową apatyę w życiu publicznem a brak energii i inicyatywy w życiu prywatnem. Dopóki życie zwykłem toczy się kołem: jest fantazya, jest rezon, jest szumno i buńczuczno; niech tylko jedna sprężynka na inną zatoczy się drogę; konsternacya, bieda, wyrzekanie na złe czasy i stosunki. Prawda, że czasy są trudne, stosunki niepomyślne, ale i to jest prawdą, że c z ł o w i e k panuje nad czasem, on stwarza i normuje stosunki. Jeżeli więc w pomyślności człowiek chętnie s i e b i e uważa za sprawcę tejże, niech będzie więc konsekwentnym i w razach przeciwnych przedewszystkiem niech w sobie szuka przyczyny i winy swego nieszczęścia. Nie zmieni się położenia, nie zyszcze się poprawy stosunku, jeżeli np. owe w miliony idące kondykty na płacach urzędniczych spychać będziemy na stosunki drożyźniane; łatwiej i prędzej osiągnie się cel pożądany, jeżeli zmieni się tryb życia, jeżeli opustoszeją handelki i kasyna a zastosuje się w swoim budżecie zwykły rachunek czterech działań.

Zupełnie tę samą normę przyłożyć trzeba do akcyi ekonomicznej na gruncie agrarnym stosunków wiejskich, którym nie

pomogą ani kredyty melioracyjne, ani zniżka taryf kolejowych, jak nie pomogło wykupno propinacyi i zamknięcie granicy rosyjskiej i rumuńskiej dla bydła opasowego. Owe setki majątków większych ziemskich nie pójdą na sprzedaż, jeżeli właściciele ich będą posiadali wykształcenie gruntowne fachowe, jeżeli pracę uważać będą za obowiązek i warunek swego bytu i zawodu, jeżeli wydatki stosować będą do dochodów, a »życie nad stan« zastąpi skromność; trzeźwość, jeżeli gościnność zasadzać się będzie na otwartości duszy, na uprzejmości i przyjaźni a nie na sutych przyjęciach i licznie obsadzonych zielonych stolikach. My to znamy wszyscy, nawet potępiamy cicho w duszy, ale wyrwać się z tych objęć własnych nawyknień i nałogów, nie mamy odwagi i siły, nie chcąc narazić się na języki ludzkie, na mowy i uwagi sąsiedzkie! I dlaczegóż to wszystko tak się dzieje, jak dziać się nie powinno, dlaczego robimy to, co sami uważamy, jeżeli już nie za złe, to przynajmniej za niepotrzebne i stratę przynoszące, dlaczego owa sentencya, którą niegdyś Owid wypowiedział: *video memoria proboque, deteriora sequor*, ma w nas tak gorliwych zwolenników? Odpowiedź prosta, bo brak nam rozwagi, brak konsekwencyi, które zastępują apatya i lenistwo duchowe, próżność i pyszałkowatość a więc wady, o których mówi każdy katechizm jako o grzechach ciężkich.

To, co w jednostkach i całych warstwach społecznych widzimy złego, powtarza się, tylko na daleko szerszą skalę, w wyższym stopniu, w całych narodach, państwach i rządach. Mówi się o chorobach społecznych, pisze liczne broszury i grube dzieła na ten temat, podaje różne rady i środki dla ich naprawy, nawet stanowi się prawa, czy to dla ich polepszenia, czy przeciw nim wymierzone, — a zło jest, potężnieje; choroby nie giną, owszem zataczają szerokie kręgi i stają się chronicznemi. Czy i tu winy trzeba szukać daleko, tam, gdzie jej się nie znajduje, a nie zacząć od siebie, od tego otoczenia i tych warstw, skąd źródło choroby płynie, gdzie leży przyczyna złego? Gdyby jednostki więcej posiadające, całe warstwy zamożniejsze były zawsze wypełniały pierwsze i najgłówniejsze przykazania Chrystusowe, kwestya robotnicza nie istniałaby, bo nie miałaby racyi bytu; gdyby rządy,

państwa i narody powodowały się zasadami słuszności i sprawiedliwości, kwestya socyalna byłaby dawno rozwiązaną i nie potrzebowanoby uciekać się do prawa wyborczego, opartego na czteroprzymiotnikowych zasadach. Ale egoizm ludzki jest tak wielki, że nie pozwala widzieć zła, gdzie ono jest widoczne, przytępia umysł i rozsądek, które nie widzą niebezpieczeństwa, które musi nastąpić, jeżeli nie usuniemy przyczyny, sprowadzającej je jako konieczne następstwo. Wiemy dobrze, że nie może być zdrową ręka, jeżeli jest palec chory, również i ciało będzie chorem, jeżeli cała ręka jest chorą; dlaczego tego nie chcemy zrozumieć, jeżeli to odnosi się do całości społecznej w państwie czy narodzie? Wszak prostą jest ta dedukcya logiczna, że jeżeli chore jest całe ciało, będą chore i poszczególne członki jego; jeżeli nieprzyjaciel nawiedzi cały kraj i pustoszyć go będzie wojną i grabieżą, nie ostoi się pojedynczy mieszkaniec jego, lecz klęska ogólna dotknie go w różny sposób. To zrozumieć nie pozwala chciwość i egoizm, brak poczucia sprawiedliwości i miłości bliźniego, które wbrew własnemu interesowi na dalszą metę, kierują czynami naszymi według tej zasady, która tylko dla chwili obecnej korzyść nam przynosi. Gdy dziki Tatarzyn zapuszczał rok rocznie zagony w południowe województwa naszej Rzeczypospolitej i krocie uprowadzał w jasyr a pustoszył i niszczył, województwa wielkopolskie, nie wystawione na te niebezpieczeństwa, były nieczułe i niechętne w uchwalaniu podatków na pobór wojskowy, jak również województwa ruskie tą samą miarą mierzyły bezpieczeństwo swoje, gdy Szwed zalewał ziemie wielkopolskie. Nieszczęsni! nie wiedzieli, że nie pomagając innym, szkodzą tem samem nie tylko Rzeczypospolitej ale i sobie samym, a upadek Ojczyzny przygniótł swojem nieszczęściem wszystkich w równym stopniu, równym ciężarem!

Mówić się zwykło, każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Prawda ta stosować się może tylko do tych narodów, które stanowią prawa dla siebie, wybierają rządy własne — które posiadają konstytucyę. Ale zasada ta w teoryi słuszna, w praktyce rzadko się powtarza. Przyczyna tego leży nie tylko w tem, że rząd mając liczne środki i sposoby, może dobrać sobie taką

reprezentacyę narodową, jaka mu będzie wygodną, ale ona leży także po stronie samych obywateli, którzy albo nie korzystają w całej pełni z praw politycznych im przysługujących, albo prawa te spełniają niedbale, często nawet ze szkodą dla ogółu, jeżeli skądinąd mają tylko zysk osobisty i chwilową korzyść. Niema nic smutniejszego dla człowieka rozsądnego i uczciwego jak czytać owe programy i odezwy wyborcze, słuchać mowy kandydackie, z których gdyby w tysiącznej części było prawdą, co się głosi, gdyby mała odrobina w czyn się zamieniła, co się przyrzeka: —. ile złego nie widziałoby słońca dziennego, ile rzeczy pięknych i szlachetnych uszczęśliwiłyby ludzi i całe pokolenia! Co jest więc przyczyną tego, że wszystkie te słowa piękne, obietnice i przyrzeczenia, owe szumne programy i projekty ulatniają się z wiatrem, skoro zebranie się skończyło i odbyły wybory, podobnie jak rosa poranna znika, gdy słońce zagrzeje? Czy wina leży tylko po stronie tych, którzy słowa te głoszą, czy także i tych, którzy je słuchają i im wierzą? Widocznie wina leży po stronie jednej i drugiej, a większą jest po tej, która dla zaślepienia lub z pobudek nizkich, osobistych, nawet partyjnych, oddaje głos temu, o którym wie, że życie jego codzienne nie jest zgodne z tem, co mówi i przyrzeka, przeciwnie, że główną pobudką i celem jego jest próżność, chęć dogodzenia swej ambicyi a nawet chciwość i względy natury często materyalistycznej.

Zle jest, jeżeli jednostki grzeszą, większem złem, gdy społeczeństwa, ale największem, gdy rządy, ponieważ one są nie tylko stróżem prawa, ale jego wykonawcą. A gdy prawo dla wszystkich obywateli jest jedno, wykonanie jego powinno być równe i sprawiedliwe. Biada temu państwu, nieszczęście wisi nad tym narodem, którego rząd jest szafarzem prawa według nierównej miary, stosownie do okoliczności i względów politycznych, dzieląc obywateli według wyznania i języka na takich, którym wymierza się sprawiedliwość według miary większej i takich, którym przysługuje miara mniejsza. W takim państwie niema mowy o prawie i sprawiedliwości a choć władza podtrzymuje jego byt żelazną obręczą siły fizycznej, prędzej czy później nastąpi jego upadek, który będzie tem straszliwszym, im większym był ucisk.

Prawda ta bije w oczy z każdej strony historyi, cóż z tego kiedy *historia est magistra vitae* może dla jednostek tylko i badaczów uczonych ale nie dla narodów a najmniej dla rządów! Na tej wyżynie życia publicznego racya stanu, interes państwowy decydują o wszystkiem. Mogą pisać gazety i oburzać się opinia publiczna na barbarzyństwa, jakie się dzieją w Kamerunie, Kongo, Abisynii i tylu innych posterunkach cywilizacyi europejskiej; interes państwowy przechodzi w milczeniu nad tem do porządku dziennego. Ale historya nie cofa się w swym biegu, jej prawa stosują się z nieubłaganą konsekwencyą, a obojętnem jest dla niej, czy wywyroki jej zapadną prędzej czy później na sądzie sprawiedliwości dziejowej, które powtórzą słowa Chrystusa: »przeto powiadam wam, iż będzie odjęte od was Królestwo Boże i będzie dane narodowi czyniącemu owoce jego«. (Mat. XXI, 43).

Tak wyglądają p a s s y w a tego bilansu życiowego, na który składają się jednostki, całe społeczeństwa, całe narody i państwa ze swymi rządami, którego obraz naszkicowany w grubych rysach, przedstawia się ciemno i ponuro, ale wiernie i prawdziwie. Komentarze do niego podawane na temat »pessymizmu«, widzenia wszystkiego »w zbyt czarnych kolorach«, nie zmienią niestety! niczego; przeciwnie, obraz ten, wykończony z całą ścisłością i dokładnością, wypadłby o wiele czarniej, a komentarze te są tylko dowodem, że nie chcemy widzieć prawdy, dlatego, że jest przykra, wolimy łudzić się nadzieją i żyć illuzyą!

A jak się przedstawiają a k t y w a tego bilansu? Naturalną jest rzeczą, że ta strona dodatnia w życiu ludzkiem musi wykazywać więcej plusów aniżeli minusów, gdyż w razie przeciwnym, społeczeństwa przedstawiałyby taki stan, w jakim się znajdowały zostając na najniższym stopniu cywilizacyi, gdzie siła rozstrzygała o prawie a korzyść materyalna o słuszności. Ale, jak się rzekło wyżej, o tem czy jaka rzecz jest dobrą czy złą, decyduje jej użycie, która odpowiednio do warunków i okoliczności może jednemu korzyść przynosić, drugiemu szkodę. Chleb dobrą jest rzeczą, ale gdyby bogaty miał na tej potrawie tylko swój obiad ograniczyć, czułby się nieszczęśliwym, gdy tymczasem ubogi wyrobnik z chę-

cią i zadowoleniem na niej poprzestaje. A iluż jest takich nieszczęśliwych, którym często i suchego kawałka chleba nie dostaje!

Jeżeli opinia publiczna zwraca baczną uwagę na młodzież, czyni to w przeświadczeniu, że ona stanowi podstawę przyszłości narodu, jego doli lub niedoli. Dlatego też narody, mające w swym ręku szkolnictwo, dokładają wszelkich starań, ażeby szkołę uczynić jak najlepszą, ażeby w niej wychować dzielnych, przyszłych obywateli. My niestety znajdujemy się pod tym względem w niekorzystnych warunkach: szkoła nasza pozostaje w rękach obcych, przeważnie nam wrogich a jeżeli nie, jak tutaj w Galicyi, to wolność nasza, w jaki sposób szkoły zakładać i naukę w nich udzielać, jest w wysokim stopniu ograniczona. Ale obok tego ograniczenia naszej akcyi na polu wychowania publicznego, zło występuje z innej strony w stopniu niemniej niebezpiecznym. System szkolny, plany nauki są albo wręcz w duchu obcym, naszemu charakterowi narodowemu przeciwnym, szkole naszej narzucone, albo też według modły i szablonu obcego przykrojone. Stąd wypływa ten skutek, że szkoła nasza nie wychowuje przyszłych obywateli, nie kształci rozumu i zaprawia do przyszłego życia w najrozmaitszych jego zakresach, nie uszlachetnia serca i wyrabia charakteru na wzorach rodzimych, znajdujących łatwo oddźwięk w młodzieńczej duszy, zapalających umysł do naśladowania tego, co w tej przeszłości jest pięknem i szlachetnem. Nie chce się wprost wierzyć, ażeby system szkolny, który zmusza rodziców do wyboru 10-letniemu synowi zawodu przyszłego a więc do zdecydowania o jego przyszłości, szczęściu i pożyteczności publicznej w wieku, w którym dziecko nie może okazać swych zdolności, w pewnym objawiających się kierunku, trwał wieki i znajdywał tak gorliwych zwolenników, uważających go za niewzruszony fundament ustroju społecznego i dobra publicznego. Widocznie szkoła, która szablonowo przygotowuje uczni do przyszłych urzędów, która mechanicznie, pamięciowo każe obrabiać penza, które nie przemawiają do duszy, ani kształcą rozumu, odniosła skutek pożądany, gdyż nie nauczyła myśleć swobodnie, oryginalnie, szeroko, ale myśli wtłacza w gotowy szablon, suchy szemat, poza którym wychowanek tej szkoły nie

umie się oryentować, ani widzieć świata szerokiego i jego różnorodnego życia. On przez cały czas szkolny, a więc przez ośm i więcej lat uczył się przeważnie słówek i formułek gramatycznych i ich zastosowania na pamięć, którą obciążał także pamięciowem, mechanicznem uczeniem się innych przedmiotów w najdrobniejszych szczegółach i szczególikach, począwszy od religii a skończywszy na naukach przyrodniczych, — szczegółach które nie rozjaśniają przedmiotu, ponieważ nie dotyczą jego istoty nie dają całokształtu odnośnej umiejętności, ponieważ gubią się w drobiazgach, nie uczą myśleć rozumowo i krytycznie, ponieważ zadawalają się wyliczeniem zjawisk bez wytłumaczenia i zrozumienia ich przyczyny. I jakiż jest więc rezultat tego systemu szkolnego? Młodzieniec z ukończoną szkołą średnią powinien znać świat klasyczny, dla którego poznania tyle poświęcił czasu, a on niezna najgłówniejszego źródła, z którego czerpać ma tę znajomość t. j. języka. Nie można bowiem nazwać znajomością języka, jeżeli uczeń utyka co chwila nie już dla braku leksykalnej strony, gdyż to byłoby jeszcze złem nie wielkiem, ale tego, co stanowi istotę języka, t. j. jego organizmu i gramatycznej budowy. Nie dziw więc, że taka nauka nie nęci i nie zapala ucznia, który chodzi do szkoły z musu, uczy się tylko dla chleba, a im dłużej się uczy, t. j. im wyżej postępuje w klasach, nie postępuje równomiernie w rozwoju umysłowym.

To jest jeden rys naszego systemu szkolnego, rys znamienny, który tłumaczy nam całą ujemność i niedostateczność jego rezultatów. Szkoła nasza nie jest więc ową fundamentalną pozycyą w bilansie zagadnień życia społecznego, która mogłaby decydować o żywotności społeczeństwa. Ona nie dostarcza społeczeństwu dzielnego, wyrobionego materyału, który pod względem naukowym przedstawiałby podwaliny budowy społecznej silne i zdrowe, na których opierałaby się najżywotniejsza warstwa każdego społeczeństwa t. j. jego intelligencya.

Jeżeli tak jest w szkole średniej, nie lepiej też będzie w szkole ludowej, która również uczy dużo przedmiotów niepotrzebnych, a bezpożytecznych i ze stratą i ujmą dla rzeczy koniecznych i potrzebnych. A dodać do tego trzeba ten fakt najsmutniejszy,

że nawet te okruchy, w jakiejkolwiek są one szacie i jakiej wartości, dostają się w tak ograniczonej mierze tym, dla których są przeznaczone. Przeważające liczby analfabetów wśród naszego społeczeństwa, wielka liczba dzieci w wieku szkolnym, nie uczęszczających do szkoły, niezadowolenie i wprost opłakane stosunki pomiędzy nauczycielstwem — nie przedstawiają korzystnej pozycyi, lecz przeciwnie przeważają szalę ujemnych rezultatów pracy na polu wychowania publicznego.

A jakiem jest zachowanie się społeczeństwa wobec szkoły, jaki jego stosunek do szkoły, jaką rolę odgrywa w wychowaniu publicznem? Wprawdzie zasady: jaki naród, taka szkoła, nie można w całej pełni zastosować do naszego społeczeństwa ze względu na niekorzystne nasze warunki, ale w każdym razie współudział jego w pracy tej nie jest dostateczny. Pomijając Towarzystwo szkoły ludowej, które mimo całego swego znaczenia i ważności, nie stało się jeszcze integralnym artykułem naszego *credo* narodowego, w który naród nie tylko wierzyłby, ale czynem go wyznawał, poczęści także Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, do którego przecież nie należą jeszcze wszyscy nauczyciele szkół średnich, a mniej jeszcze zakładów wyższych, inne towarzystwa nie mogą się uważać za wystarczające do zapełnienia tej wielkiej luki, jaka panuje w szkolnictwie, ani pod względem współudziału członków w tej pracy, ani też w wyższym jeszcze stopniu, co się tyczy sposobu i istoty samej pracy. Praca zatem, na tem polu, jakkolwiek wykazuje znaczny postęp, może więcej pod względem liczebnym, aniżeli jakościowym, nie podaje tych rezultatów, które jako znaczna nadwyżka w tej pozycyi oznaczone byćby mogły.

Idąc dalej w tym przeglądzie pracy i usiłowań w rozwiązywaniu zagadnień i spełnianiu obowiązków życiowych, z pewnym lękiem zatrzymuję się na tem polu, na którem kipieć powinnaby praca, ponieważ wre na niem życie w całej pełni najróżnorodniejszych objawów i najrozmaitszych potrzeb i pragnień. Jaką bowiem mozaikę widzimy w życiu dorosłego człowieka, nie tylko gdy chodzi o człowieka z pewną »pozycyą« społeczną, ale także w daleko wyższym stopniu, gdy tym człowiekiem jest jednostka,

która pozycyę tę zmienia stosownie do okoliczności, wśród których żyje i środowiska do którego się dostaje! A jaką skalę uczuć, żądań, pragnień przedstawia ta jednostka, która często zmuszoną jest regulować swój byt, nie według potrzeb, koniecznych do tego bytu, lecz według okolicznościowych i zmiennych warunków, po większej części niezależnych od własnej woli a więc niepewnych i niestałych! Stajemy bowiem wobec k w e s t y i s p o ł e c z n e j, która nie dotyczy tylko bezrolnych, bezdomnych i »wydziedziczonych«, ale w równej mierze i tych, którzy posiadają rolę, domy, nawet i tych, którzy mają piękne pałace, dostatek i bogactwa. Jednostronne traktowanie tej kwestyi, o ile dotyczy ona najniższe warstwy społeczne, nie może liczyć na rozwiązanie należyte bo przecież jasną jest rzeczą, że nie może być uregulowaną np. płaca robotnika bez współudziału fabrykanta, podobnie jak nie może być mowy o równości praw politycznych bez zniesienia ich nierówności i przywilejów na korzyść tych, którzy ich dotychczas nie posiadają.

Kardynalnym błędem zasadniczym całej akcyi społecznej jest ten fakt znamienny, że prowadzi się ona j e d n o s t r o n n i e, że bierze w niej przeważnie udział ta strona, która uważa się za pokrzywdzoną i domaga się wyrównania praw pod względem ekonomicznym i politycznym. Z natury rzeczy następstwa tego jednostronnego postępowania muszą być takie, że strona występująca w charakterze powoda, nie może czuć się zadowoloną, jeżeli strona przeciwna, oskarżona, albo nie jawi się w sądzie, w którym układają się stosunki społeczne, ekonomiczne i prawnopolityczne pomiędzy obiema stronami, albo występuje w charakterze s ę d z i e g o, który jako interesowany, równocześnie musi bronić swej sprawy i swego interesu, kolidującego z interesem przeciwnika, a tem samem nie może być bezstronnym a więc także sprawiedliwym. Inaczej wyglądałaby akcya społeczna, gdyby strona, dotychczas uprzywilejowana, nie tylko z poczucia sprawiedliwości, ale w dobrze zrozumianym własnym interesie, wzięła czynny, równomierny w niej współudział i starała się różnice wyrównać w sposób zadawalniający. Ponieważ to się nie stało, przeciwnie, ponieważ występowano nieprzychylnie, nawet wrogo

przeciwko żądaniu strony skarżącej, nazywając je pretensyami nieuzasadnionemi, nawet nieprawnemi, stąd poszło, że obok rozgoryczenia i nienawiści wzmagała się skala żądań i pretensyi powoda. Nienawiść i gniew są złymi doradcami, wiemy o tem dobrze, ale gorszem złem jest upór, który zamiast sprawę zbadać wszechstronnie, bez uprzedzenia i sprawiedliwie, podaje takie rady i środki, które mając wyłącznie własny interes na oku, powodując się chwilową korzyścią, nie prowadzą do rozwiązania kwestyi w sposób należyty i sprawiedliwy.

Jest to więc jednym z owych dowodów, nie już krótkowidztwa, ale wręcz egoizmu i materyalizmu klasowego, które nie bacząc na interes ogółu, nie wiedząc, że zdrowie całego organizmu społecznego, wymaga zdrowia poszczególnych jego członków, pragnie leczyć choroby społeczne nie zapomocą środków leczniczych, przedewszystkiem przez usunięcie przyczyny tych chorób, ale w sposób najniewłaściwszy, gdyż zapomocą siły i interwencyi rządu. Ale i przy tej interwencyi zgoda jest trudną, jeżeli po jednej stronie żądania są wygórowane, po drugiej mała albo żadna ochota do ustępstw. Wynik takiej sytuacyi łatwy do przewidzenia: zwyciężyć może strona, po której na razie siła jest większa, ale sprawa nie zostanie załatwioną, nawet odroczoną.

Co się tyczy środków i sposobów, zapomocą których prowadzi się akcya społeczna, to mogą one być najróżnorodniejszej natury, a te z nich będą najskuteczniejszymi, które najpewniej prowadzą do celu. Celem zaś ich być powinno, służyć sprawie słusznej, bronić interesu tych, którzy potrzebują pomocy i poparcia nie tylko moralnego ale i materyalnego. Akcya więc na tem polu, mimo swej różnorodności i rozbieżności, musi koncentrować się w tym punkcie, ażeby obok użyteczności ogółu, mieć na celu przedewszystkiem użyteczność klasy tej, o której sprawę walka się toczy. Jeżeli chce się wyrównać różnice społeczne i prawnopolityczne, trzeba otwarcie przyznać, że różnice te istnieją, a więc trzeba starać się je usunąć; jeżeli się widzi, że pod względem materyalnym jest źle, trzeba otwarcie wskazać palcem na źródło tego złego, przystąpić z odwagą do jego naprawy. Niestety! zamiast uznania tej metody jako jedynie racyonalnej a więc skute-

cznej, nasza akcya na tym punkcie cierpi na ten ogólny obłęd, który ujawnia się często, szczególnie w sferach urzędowych, gdy chodzi np. o ratunek w czasie epidemii, że ogłasza się światu, iż epidemii niema a wypadki jej pojawienia się są sporadyczne i nic nie znaczące. Fakta pokazują zawsze, że metoda ta jest błędną!

Jeżeli podstawa, na której opiera się nasza akcya społeczna, jest błędna, ponieważ myślą przewodnią jej jest, nie usuwać przyczyny złego, ale ją albo ignorować, albo obchodzić z daleka; jeżeli w tej akcyi pomija się jeden czynnik, odgrywający najważniejszą rolę w tem zagadnieniu życiowem, albo wyznacza mu się z góry pozycyę niewygodną i nieodpowiednią; jeżeli czy to z egoizmu, czy z nawyknienia do istniejącego stanu rzeczy, nie chcemy lub nie mamy odwagi wejść na drogę reform, by nie zrobić »skoku w ciemność«; wynik tej akcyi musi być minimalny, albo żaden. Tem się tłómaczy, że wszystkie nasze towarzystwa, prowadzące akcyę społeczno-polityczną, nie tylko nie rozwijają się, ale wegetują tylko, będąc mało komu znane. Z tej strony więc nie znajdujemy pożądanego równoważnika dla akcyi społecznej, któryby skutecznie przeciwdziałał przeciwko chorobie, rozszerzającej się z nieprzezwyciężoną siłą wśród szerokich warstw społecznych.

Jest rzeczą karygodną, niedozwoloną prawnie, jeżeli przy układaniu bilansu jakiegoś przedsiębiorstwa lub stowarzyszenia publicznego przyjmuje się pozycye fałszywe, a błędem jest fatalnym, mszczącym się w skutkach na interesach towarzystwa, jeżeli jego dyrekcya stara się w sztuczny sposób »upiększyć« stronę czynną, ażeby tylko podnieść efekt jego rentowności. Pamiętajmy o tem także przy układaniu bilansu pracy naszej publicznej i to tem więcej, że błąd popełniony rozmyślnie w chwili obecnej, mścić się będzie w przykry sposób na całej przyszłości. Jeżeli więc przy zestawieniu tak biernej jakoteż czynnej strony tego bilansu w akcyi społecznej, nasz dorobek okazał się niedostatecznym, ażeby mógł zrównoważyć wszystkie niedomagania, potrzeby i postulaty chwili obecnej, to nasuwa się pytanie, czy wobec tego, idąc za przykładem ekonomistów, nie lepiej byłoby

zlikwidować naszą dotychczasową akcyę, albo, jeżeliby się okazało, że interes jest żywotny a tylko nieudolna administracya, nie zmienić radykalnie całego systemu dotychczasowej gospodarki?

O tem, żeby zrezygnować ze współudziału w pracy, podejmowanej dla dobra publicznego, mowy być nie może, bo równałoby się to dezercyi z wyznaczonego przez Opatrzność stanowiska, a fala rozhukana burzącego się żywiołu, nie znajdując nigdzie oporu, podobna do wylewu rzeki, niszczyłaby uprawne pola, znosiła domy i wioski, zamieniając długoletnią pracę człowieka w gruzy i rumowiska. A więc trzeba nam zmienić system dotychczasowej pracy, jąć się innych środków i sposobów; ludzi, którzy czy nie umieli czy nie mogli sprostać zadaniu, zastąpić nowymi, którzy dorośli do ważności chwili obecnej, rozumieją jej ducha i zagadnienia i czynem i sercem zdolni są ująć ster w swe dłonie nawy publicznej i poprowadzić ją do spokojnej przystani. *Rex eris, si verte facies*, tej zasady trzymają się chłopcy w zabawach, jak mówi Horacy, Epist. I, 1, 59.

Wyliczać odpowiednie środki, wskazywać drogi nowe, któremi postępować winna akcya społeczna, wskazywać ręką ludzi i instytucye, których obowiązkiem jest ująć w swe ręce akcyę i rozwiązywać postulaty bieżącej chwili, jest rzeczą trudną w referacie takim, jak obecny, gdyż do tego potrzeba studyów gruntownych, na to składać się musi praca zbiorowa, zapełniająca całe tomy. Ale z zestawienia tak dodatniej jakoteż ujemnej strony dotychczasowej pracy na polu publicznem, z porównania objawów, niedomagań i chorób społecznych i zbadania ich właściwej przyczyny, można wykreślić wytyczne linie, w które ująć należy przewodnie myśli rozpoczętej akcyi, mającej na celu, jeżeli już nie rozwiązanie problematów, będących na porządku dziennym obecnej chwili, to przynajmniej sprowadzenia ich na właściwą drogę. A i tu pamiętać należy, że *longum iter per praecepta, brevis via per exempla*, co wyraził jeden z nowszych socyologów w sposób podobny tylko dobitniej: każdy krok naprzód w żywym ruchu ważniejszy jest od tuzina programów.

Gdym przed 23 laty w blizko całorocznej podróży po Turcyi europejskiej, miał wiele sposobności stykać się z ludnością

turecką, po wsiach i miastach osiadłą, uderzyły mnie przy pierwszem zaraz z nią zetknięciu się wielkie zalety jej charakteru, jak uczciwość, rzetelność, sprawiedliwość, słowność, gościnność bezinteresowna i t. p. — rysy, które oznaczają charakter szlachetny, wyrobiony według zasad etyki natury prywatnej i publicznej. Również w rozmowach z duchowieństwem tureckiem zauważyłem dziwną wyrozumiałość dla wyznań obcych, wielką tolerancyę religijną, harmonię okazującą się pomiędzy zasadami wiary a praktyką życia, których podstawa moralna mogłaby żywcem mieć zastosowanie przez wyznawców jakiegokolwiek wyznania chrześcijańskiego. A jak budującym był dla mnie widok modlącego się Turka w moszei, zatopionego w Koranie, na którego twarzy czytać można było, że myślą, całą duszą rozmawia z Bogiem! Obrazy te, których rysy pozostały mi dotychczas żywo w pamięci, w dziwnym jednak stały kontraście do tych, jakie przedstawiało życie narodów i ludów chrześcijańskich, jak Ormian, Greków, Bułgarów, Lewantyńców i t. p., którzy pomięszani z ludnością mahometańską, stanowią większość mieszkańców wielu wsi, miast i miasteczek, u których przebiegłość, chciwość, fałsz obok tylu innych wad od razu rzucają się w oczy. A gdym wstąpił w Konstantynopolu do kościoła katolickiego na nabożeństwo, szczególnie włoskie lub francuskie, znalazłem dziwny kontrast z tym widokiem i tem uczuciem, jaki przedstawiało nabożeństwo tureckie i jakie budziły we mnie napotykane tam obrazy i przypomniało mi się znane przysłowie o polskim moście, niemieckim poście i włoskiem nabożeństwie.

Dziwnego doznałem uczucia, gdy po dwudziestu trzech latach, czytając opisy dalekiego Wschodu i charakterystyki narodu japońskiego, przez różnych autorów podawane, znalazłem w nich jakby odzwierciedlenie, tylko w wyższym stopniu i więcej wyraziście, moich wrażeń z życia Turków. Wszyscy pisarze, czy przyjaźnie czy nieprzyjaźnie dla Japonii usposobieni, godzą się w tem, gdy opisują charakter tego narodu, jego dzielność, prawość i uczciwość, które to rysy wybitne zacierają się lub bywają zastąpione przez różnego rodzaju wady i występki tam, gdzie się stykają z ludnością chrześcijańską, jak np. w miastach portowych. Fakt

ten, który powtarza się także w opisach innych plemion o niższej kulturze, jak np. Kirgizów, musi dziwne uczucia wywoływać w człowieku myślącym, szczególnie w socyologu i pobudzać do głębokich refleksyi na temat religii i cywilizacyi chrześcijańskiej i ich wpływu na życie ludzkie. Każdy, ktokolwiek zastanawia się nad tem życiem, opartem na zasadach religii chrześcijańskiej, karmionem i kształconem według wzorów cywilizacyi chrześcijańskiej, przychodzi do tego smutnego wniosku, jakim jest ten rozdźwięk, nawet różnica wielka pomiędzy nauką ewangeliczną a jej zastosowaniem w życiu prywatnem jak i publicznem nie tylko pojedynczego człowieka, ale całych warstw, społeczeństw i narodów. Czyżby więc nauka Chrystusowa była za ciężką i niewykonalną dla człowieka? Ale naukę tę przeznaczył Chrystus nie dla aniołów, tylko właśnie dla człowieka, więc choć jest ona »jarzmem«, ale jarzmo to jest »słodkiem«, według słów Chrystusa. Więc nie musi być ona ani przeciwna słabej naturze człowieka, ani żądać takich doskonałości i nadzwyczajności od człowieka, którychby wypełnić nie był w stanie! Że tak jest, wiemy o tem z historyi nie już owych czasów początkowego chrześcijaństwa, ale daleko późniejszych, to potwierdza życie tych, na których patrzymy naszemi oczami, którzy na jakimkolwiek stopniu społecznym, jakiegokolwiek zawodu, prostaczkowie czy uczeni, żyją po chrześcijańsku i spełniają obowiązki i zajęcia życiowe.

Zatem jeżeli pomiędzy nauką chrześcijańską a życiem może być harmonia, skąd to pochodzi więc, że szerokie masy narodu, daleko większa większość społeczeństwa stosuje się raczej do przepisów prawa państwowego, a etykę swą normuje według paragrafów kodeksu prawa karnego, strzeżonego przez władzę bezpieczeństwa publicznego a daleko mniejsza mniejszość, nieomal nieliczne jednostki, za normę życia swego uważają prawo Boskie. Chodźmy tylko do kościołów naszych, szczególnie w miastach większych na prowincyi, jak we Lwowie i Krakowie, a zdanie o »głębokiej religijności« narodu naszego, będącej jednym z głównych warunków »żywotności katolicyzmu«, nazwać muszą frazesem ci, którzy bywali w kościołach katolickich za granicą. Czyż w tem ma leżeć dowód tej głębokiej religijności, że świątynie są

wprawdzie przepełnione, ale zachowanie się publiczności robi wrażenie raczej jakiegoś wielkiego zebrania publicznego, aniżeli nabożeństwa, w którem daleko większa część zebranych nie bierze żadnego udziału. Gdzie tu może być mowa o wierze, jeżeli w chwili, gdy się dokonują najświętsze tajemnice na ołtarzu podczas podniesienia, cała masa zgromadzonych stoi obojętnie lub rozmawia a nawet wprost od ołtarza odwraca się i wychodzi z Kościoła? Domagamy się »święcenia niedzieli«, podając za argument uczęszczanie na nabożeństwo, ale byłoby więcej zbliżonem do rzeczywistości, gdyby to »święcenie« nazwać raczej odpoczynkiem a chodzenie do kościoła prostym zwyczajem. Bierzmy więc rzeczy tak, jak są, nie poddawajmy im tego znaczenia, którego nie mają, bo przez to nie osiągnie się niczego, przeciwnie zaciemnia się jasny pogląd i zrozumienie rzeczywistości.

Jeżeli więc nauka Chrystusowa jest dobrą, bo pochodzi od Boga, jeżeli może być wypełnioną, bo miliony ją w życiu wypełniały i wypełniają, wówczas wniosek logiczny, prawdziwy, będzie ten, że przyczyna, dlaczego stosunkowo tak słabe zapuściła ona korzenie w życiu całych warstw i społeczeństw, leży albo w tych, dla których jest przeznaczoną, t. j. w człowieku samym, albo też po stronie tych, którzy naukę tę wykładają człowiekowi. Wychodząc z pierwszego założenia, musimy przyjąć nierówną naturę ludzką, jak się też przyjmuje, jedną skłonną do dobrego, drugą do złego, ale równocześnie trzeba się godzić także na konsekwencye tego twierdzenia, będącego znowu w sprzeczności z nauką o wolnej woli człowieka, o jego poczytalności a tem samem i odpowiedzialności za własne uczynki. Stawianiem takich i tym podobnych kwestyi, należących do sfery traktatów teologicznych i filozoficznych, nie rozstrzyga się właściwego pytania i nie zmieni faktu, podobnie jak nie zmieni go, jeżeli w tem upatrywać się będzie dzieło szatana lub wpływ masoneryi. Trucizna, czy roślinnego czy mineralnego pochodzenia, jest dziełem przyrody szkodliwem, ale staje się ona dopiero zabójczą, jeżeli człowiek zażyje jej czy z własnej woli czy podanej ręką zbrodniczą drugiego człowieka. Truciciela nie potępi sąd dlatego, że przecie on trucizny nie stworzył, ale dlatego, że użył jej dla celu zbrodniczego

spełnił czyn karygodny. Podobnie Chrystus opowiadając przypowieść o kąkolu i pszenicy, każe aniołom swoim kąkol (t. j. synów złych) zebrać i wrzucić w piec ognisty, chociaż nasienie tego posiał człowiek nieprzyjazny t. j. dyabeł. Obojętną więc jest rzeczą, przez kogo człowiek przyprowadzony został do grzechu, czy przez wpływ postronny, czy przyczyna jego leży w człowieku samym, skutek ten sam: człowiek jako sprawca złego, jest za nie odpowiedzialny — ale pod warunkiem, że jest świadom swego czynu, gdyż »niewiadomość grzechu nie czyni«. Świadomości tego, co jest dobrem lub złem, co się czynić godzi a co nie godzi, nie przynosi z sobą człowiek na świat, ale o tem uczy go prawo państwowe, jeżeli chodzi o rzeczy świeckie, a prawo Boże, jeżeli chodzi o rzeczy duchowe. »Alem grzechu nie poznał, jedno przez zakon; bobym był pożądliwości nie poznał, gdyby zakon nie mówił: Nie pożądaj«. (Św. Paweł, ep. ad Rom. VII, 7). Zatem wniosek logiczny, prawdziwy, jest ten, że przyczyna, dlaczego nauka chrześcijańska tak słabe korzenie zapuściła w duszy ludzkiej, leży w tem, że człowiek albo nie zna tego zakonu albo zna go niedostatecznie.

Godząc się na »głęboką religijność« ludu naszego, zapytać się godzi z drugiej strony, skąd to pochodzi, że obok gorącej wiary ludu tego, obok i mimo jego budującej pobożności, na dnie duszy tego ludu chowa się cały świat pogański z jego wierzeniami w siły nadprzyrodzone, ich związek i wpływ na życie i losy człowieka, wierzenia w moc i potęgę tworów przyrody, czy to ze świata roślinnego czy zwierzęcego? Cała kosmogonia i demonologia, w ogólnych rysach podobna do tej, jaką znamy z mitologii ludów pogańskich, zapełnia świat duchowy tego ludu i stanowi z jego wierzeniami religijnemi silny podkład dla religii katolickiej. Jak wytłumaczyć fakt ten, znany każdemu etnologowi i badaczowi zwyczajów i obyczajów ludowych, który powtarza się nie tylko u naszego ludu, ale u wszystkich w całej Europie, stojących oświatą o wiele wyżej od polskiego? Widocznie tradycya ludowa okazała się silniejszą od nauki Kościoła, który przez dwa tysiące lat nie był w stanie zatrzeć śladów świata pogańskiego, zniszczyć jego wpływów i unicestwić jego wiary. »Gusła i zabo-

bony«, jak je powszechnie nazywać się zwykło, tkwią tak głęboko w duszy ludu tego, że wchodzą często w kolizyę z ustawami państwowemi, w nich leży nieraz źródło i zarazem wytłumaczenie czynów, które lud uważa za dobre, podczas gdy etyka chrześcijańska i kodeks karny przeciwko nim występują.

A »przesądy« te i wierzenia nie są udziałem tylko ludu, a więc klasy społecznej, na którą oświata stosunkowo mały wpływ wywarła, ale panują one również wśród warstw oświeconych czy to pod postacią wiary w potęgę słowa i zaklęć, czy też wiary w sny, przeczucia, jasnowidzenia i tym podobne wpływy nadprzyrodzone. Również i te przeżytki, które niegdyś tworzyły nierozdzielną cząstkę religii pogańskiej, mają dzisiaj w tej sferze znaczenie głębsze, które nic niema wspólnego z religią chrześcijańską. Jak więc wytłumaczyć te fakta? — czy tylko wpływem szatana i z rezygnacyą, godną lepszej sprawy, fakt przyjmować do wiadomości, czy też przyczyny szukać tam, gdzie ona leży rzeczywiście, t. j. w braku lub niedokładnej znajomości nauki wiary chrześcijańskiej?

Dla każdego, kto patrzy głębiej w sprawy, nie jest tajemnicą, że cała religijność, nie tylko ludu naszego ale, rzec można, całego narodu, zasadza się na gorliwem spełnianiu form religii katolickiej, na wypełnianiu przepisów, normujących stosunek człowieka do Kościoła i regulujących jego życie, jako jednostki społecznej pod postacią katolicką, ale żeby życie swe jednostka starała się stosować do przykazań Boskich, żeby istota jego a więc uczynki były wyrazem i odbiciem żywem nauki Chrystusowej, tego twierdzić, niestety! nie można. Zatem w niedziele i święta spieszy ten lud do Kościoła i modli się pobożnie, jak umie, t. j. przesuwając pociorki na różańcu; słucha uważnie kazania, którego najczęściej nie rozumie; pości ściśle, żywiąc się potrawami roślinnemi, olejem lnianym lub rzepakowym, rzadziej nabiałem zaprawionemi i spełnia wogóle przykazania kościelne, jak najskrupulatniej. Natomiast przykazania Boskie rzadziej są stosowane w życiu a najczęściej pobudką do ich przestrzegania jest obawa mniej przed karą wieczną po śmierci w piekle, raczej przed karą sądową a najmniej miłość ku Bogu.

Również i inne rodzaje grzechów, jak np. głównych, cudzych, wogóle tych, które oznaczają stosunek jednostki wobec Boga i odnoszą się do jej życia, przedstawiają całą skalę najzwyczajniejszych codziennych występków, które składają się na nizki poziom moralny nie tylko niższych ale także i wyższych warstw społecznych. A co najcharakterystyczniejszem jest w tej szarej mozaice codziennego życia, to jest ta miara moralna, którą się przykłada do własnych czynów, z których najmniejszą ilość uważa się za coś zdrożnego a najmniej za g r z e c h, jeżeli tylko źródłem ich sama działająca jednostka. Żaden wieśniak nie uważa tego za grzech, jeżeli się na Wilię lub Wielkanoc obje zanadto tak, że aż zachoruje, lub jeżeli się na chrzcinach i weselu upije; żaden intelligentny nie myśli o tem, że dopuszcza się grzechu jeżeli raczy się z miłym gościem aż do upicia się.

Jakie mają więc źródło te i tym podobne czyny, składające się na nić codziennego życia, które katechizm klasyfikuje jako g r z e c h y, bardzo często nawet jako c i ę ż k i e g r z e c h y, a zwyczajny śmiertelnik kroczy po nich w przekonaniu, że idzie drogą wiodącą do nieba? Można więc odpowiedzieć ze św. Pawłem: nie znają grzechu, bo nie znają zakonu. Kto zna inne wyznania i miał sposobność, jak piszący te uwagi, dłuższy czas spędzić pomiędzy innowiercami, przypatrywać się ich życiu, wchodzić z nimi w rozmowy na tle religijnem, ten przyzna mi słuszność, że znajomość zasad wiary własnej jest u nich wielka, o wiele większa, w sferach nawet mniej oświeconych, aniżeli u nas w sferach najoświeceńszych. Nie zdarzyło mi się nigdy i nigdzie spotkać z taką ignorancyą nie już głębszych nauk teologicznych i subtelnych tłumaczeń artykułów wiary, ale zwykłych zasad, których uczy katechizm najzwyczajniejszy, jak u nas. Znajomość zasad wiary katolickiej stawia się na równi, jak np. polityki lub medycyny, nawet gramatyki języka polskiego, o których toczą się nieraz żywe dyskusye i zacięte spory na tle tych przedmiotów, chociaż nikt z dysputujących nauką tych przedmiotów się nie zajmował, nawet przekonany jest, że n a u k a tutaj jest zbyteczna, bez której można sobie wyrobić zdanie i mieć sąd własny o kwestyach wchodzących w zakres religii, polityki, medycyny, nawet języka.

Nic dziwnego więc, że ludzie, szukający w religii nie tyle zadosyćuczynienia zwyczajowi, ile raczej potrzebie duszy i serca, chwytają się rozmaitych środków, by wiarę tę ożywić, uczynić przewodniczką życia, wyrazicielką myśli i pragnień. Ale cóż, kiedy nie znając przyczyny, popadają z jednej w ostateczność drugą, myśląc, że im bardziej bić będzie w oczy ta wiara, tem będzie lepszą, im więcej katolicką będzie jej forma, tem treść jej będzie głębszą. A więc zakłada się bractwa, stowarzyszenia religijne, sodalicye, urządza procesye, pielgrzymki i tym podobne występy, które głośniej wprawdzie akcentują formę katolicyzmu, ale nie przyczyniają się do jego pogłębienia. Lepszy środek podało tych stu doktorów wszystkich zawodów naukowych, którzy przed kilku laty w Krakowie odnieśli się do władzy kościelnej, by nauczyła ich k a t e c h i z m u!

Z powyższej analizy praktyki i stosunków życiowych czy jednostek czy całych warstw społecznych, wysnuwają się łatwo wnioski, jako logiczne następstwa panujących obecnie niedomagań i potrzeb w różnych dziedzinach życia, które przyjąć trzeba jako p o s t u l a t y dla akcyi społecznej, mającej na celu stworzyć trwalsze i doskonalsze formy życia.

I. Pierwszym i najgłówniejszym, będącym fundamentem życia jednostek i narodów, w szeregu tych postulatów, jest praca nad podniesieniem moralności tak prywatnej jako też publicznej, opartej na podstawach nauki chrześcijańskiej. Jako najskuteczniejszy środek, prowadzący do tego celu, jest znajomość zasad wiary, których niech nauczają ci, którzy są do tego powołani, ale w sposób inny i z lepszym skutkiem, jak dotychczas. Dlatego trzeba zmienić nie tylko środki nauczania ale także sposób i system nauki. Podręczniki religii, używane obecnie w szkołach średnich, nie tylko że nie nauczą zasad wiary, ale odstraszają młodzież od nauki, budzą do nich niechęć i wstręt przez swą oschłość i drobiazgowość. Przedewszystkiem trzeba usunąć z katechizmu sposób średniowiecznej pedagogiki, uczącej przez pytania i odpowiedzi, gdyż w ten sposób podsuwa się uczniowi gotowe formułki odpowiedzi, które odwodzą go od samodzielnego myślenia, będącego głównym warunkiem zrozumienia przedmiotu a rolę

nauczyciela w osobie katechety sprowadzają do czystego mechanizmu i ciasnego szablonu. Nauka religii cierpi za ten sam błąd, który jest ogólnym w obecnym systemie nauki szkolnej, że uczniów sposobi na przyszłych teologów, wymagając od nich znajomości takich szczegółów, które teolog powinien wiedzieć ale nie człowiek świecki. Zamiast pamięciowej nauki dogmatyki ogólnej i szczegółowej, z większym pożytkiem będzie dla uczniów, jeżeli czytać będą Pismo św., Ojców Kościoła, prześliczne homilie św. Jana Chryzostoma i inne utwory klasyczne literatury kościelnej. O literaturze kościelnej nie ma, nie tylko uczeń gimnazyalny ale wykształcony katolik, żadnego pojęcia, gdyż literatury tej nie widział, a jeżeli coś o niej słyszał, to tylko gołosłowne nazwy niektórych Ojców Kościoła, o ile odgrywali rolę w dogmatyce Kościoła. Nie można się zatem dziwić, że katolicyzm dla katolika wydawać się musi jako prosty zbiór formułek dogmatycznych, suchy szemat gołosłownych przepisów wiary, spis nic nie znaczących nazw i imion, które nie mogą go interesować, zapalać i budować podobnie, jak bezużyteczną i nic nie znaczącą byłaby znajomość np. literatury polskiej, któraby się opierała tylko na biografii i bibliografii.

Poza szkołą jest daleko rozleglejsze pole pracy nad umoralnieniem szerokich mas społecznych przez żywe słowo, głoszone w kościele. Również i tu nauka powinna być zastosowaną nie tylko do poziomu umysłowego słuchaczy, ale także sama swoją treścią opierać się na życiu realnem, uwzględniać jego rzeczywistość, potrzeby i niedomagania. Błędem byłoby niepojętym, gdyby nauczyciel uczniowi z I klasy mówił o rzeczach, o których się mówi w klasie VIII, lub rozbierał i opisywał przedmioty, których uczeń nie widział i nie ma żadnego o nich pojęcia. A przecie kazania w ten sam sposób wygłaszane w kościele, są na porządku dziennym! Albo mówi się o abstrakcyach, niezrozumiałych dla umysłów słuchaczy, wykłada się po prostu teologię według szablonu średniowiecznej scholastyki, albo buja się w retorycznych zwrotach po niebie, a ziemia, życie codzienne, jego dola i niedola nikną w mglistych obrazach z świata rzeczywistości. Skutek takiej nauki jest żaden, bo lekarz, który wykładać będzie choremu różne

rodzaje choroby i ich skutki a nie nauczy go, jak się wystrzegać chorób lub w jaki sposób im zapobiegać, nie da lekarstwa i nie pouczy, jak lekarstwa zażywać — nie spełnia swego zadania a chory nie ma z niego żadnego pożytku. Nie trzeba być fizyologiem uczonym, żeby nie wyczytać z twarzy słuchaczy, jakie wrażenie robią na nich takie kazania: apatya, bezmyślność, ziewania, będące wyrazem nudów, oto obraz i skutek martwego słowa. W tym kierunku winna być wytężoną nauka kaznodziejstwa w seminaryach, która, obok wzorów sławnych kaznodziejów, musi opierać się na gruntownej znajomości psychologii, socyologii a nadewszystko na znajomości życia i stosunków jego, na które trzeba patrzeć przez pryzmat serca i prostego rozsądku: »A ja przyszedłszy do was, bracia, przyszedłem nie z wyniosłą mową albo mądrością, opowiadając wam świadectwo Chrystusowe. A mowa moja i przepowiadanie moje nie było w przyłudzających mądrości ludzkiej słowach, ale w okazaniu ducha i mocy«. (Św. Paweł ad Corinth. I, 2, 1, 4).

Jeżeli wymaga się od nauczyciela znajomości pedagogii, dlaczego niema posiadać jej także ten, który ma zostać nauczycielem nie tylko prostaczków i nieoświeconych, ale także sfer wykształconych i uczonych. Ale pedagogia ta niech nie zasadza się tylko na wyuczeniu się *pensum* ze skryptów dyktowanych, ale przedewszystkiem na praktyce, na znajomości życia, stosunków tych, wśród których ma się żyć, nauczać i pracować, dlatego przygotowanie do praktycznej strony zawodu kapłańskiego, do pracy »na parafii«, powinno w seminaryach poruczone być kapłanom doświadczonym, którzy w pracy długoletniej na parafii poznali życie parafian, ich zwyczaje, wady i potrzeby. W taką wiedzę życiową zaopatrzony młody kapłan, będzie umiejętnie i z pożytkiem sterował łodzią na falach życia ludzkiego, będzie nauczycielem, przyjacielem, »ojcem duchownym«, środowiskiem światła, dźwignią pracy, ostoją szczęścia i zadowolenia. Sam stanie na czele każdej pracy zbiorowej, podobnie jak to czynią kapłani w Księstwie Poznańskiem, pójdzie pomiędzy pierwszymi, gdzie chodzi o oświatę i dobro ludu, będzie miał i serce otwarte i rękę

pomocną dla niedoli ludzkiej. Taki kapłan z pewnością nie »schłopieje«!

Żeby być nauczycielem, trzeba posiadać naukę odnośnego przedmiotu i to tem gruntowniejszą, im przedmiot jest rozleglejszym, im większy jest zastęp uczniów o różnym stopniu wykształcenia. Jeżeli świeca ma oświecać otoczenie, musi stać wyżej od przedmiotów otaczających ją, w razie przeciwnym światło jej będzie bezużyteczne. Kościół przez długie szeregi wieków kroczył na czele cywilizacyi, która na gruzach świata klasycznego oparta rozwinęła się w najróżnorodniejszych gałęziach do wspaniałego drzewa; on stwarzał i uprawiał wszelkiego rodzaju nauki i sztuki nie tylko duchowne ale i świeckie. Dla jednej gałęzi tylko — nauk przyrodniczych nie otwierał swoich podwoi, które tryskając z żywego źródła, jakiem jest życie natury, mając za przedmiot badanie nieprzebranych praw przyrody, rozwinęły się w krótkim czasie do niebotycznych wyżyn, skąd płynęło nowe światło na całą wiedzę ludzką, stwarzając nowy świat o ś w i e c e n i a. Wobec tego nowego bieguna cywilizacyi, dawniejszy, nie postępując z równą chyżością w pochodzie cywilizacyjnym, stał się podobnym do planety, na którym zamarło dawniejsze życie, a blask jego świeci światłem pożyczanem od słońca — dalekiej przeszłości. Wobec tych nowych centrów umiejętności, rozpływających się jak wspaniałe fale rzek wielkich w najrozmaitsze dziedziny życia umysłowego, ruch naukowy na polu nauk teologicznych, szczególnie u nas, jest bardzo nieznaczny, nie tylko co do ilości publikacyi naukowych, lecz także co do ich jakości. Pod tym względem czeka cały ogrom pracy tych, których zadaniem być winno podnieść katolicyzm na wyżyny, na których stoją inne działy wiedzy ludzkiej. Droga do tego może prowadzić tylko ta sama, którą kroczyły inne nauki; metoda dotychczasowa, podobna do tej, jakiej się filologia klasyczna do niedawna trzymała a poniekąd trzyma, musi być zastąpiona inną, historyczno-porównawczą. Ramy nauki muszą być rozszerzone i obejmować ten dorobek, jaki inne działy naukowe wnieść powinny do teologii w celu jej pogłębienia i oświetlenia. Z drugiej strony, żeby studya teologiczne młodzieniec objąć mógł należycie i gruntownie w czasie 4-letnim,

trzeba z planu tego usunąć takie przedmioty, które w niczem nie przyczyniają się do poznania i pogłębienia teologii. Do tych należą w pierwszym rzędzie języki: hebrajski, syryjski i chaldejski i cały filologiczny balast, których znajomość może mieć wielkie znaczenie dla filologii semickiej lub gramatyki porównawczej, ale dla teologa jest co najmniej zbyteczną, dla którego miarodajnem jest tłumaczenie łacińskie Vulgaty lub polskie Wujka.

II. Jeżeli katolicyzm znajdzie w duchowieństwie należycie przygotowanych, oświeconych, swemu stanowi z miłością i poświęceniem oddanych bojowników, akcya społeczna, będąca wśród obecnych zagadnień życia jednym z najważniejszych postulatów, dozna nie tylko z tej strony wielkiego poparcia, ale wprost może liczyć na powodzenie i częściowe załatwienie. Kapłan bowiem już z zawodu swego powinien stać na straży sprawiedliwości, kierować się miłością ku tym, którzy są uciśnieni i pokrzywdzeni i podawać rękę pomocy, by dźwignąć tych, którzy błądzą i są w upadku. Zasada, by »iść w lud«, ma w nim rzeczywiste zastosowanie, a należycie pojęta i wykonana, wydać musi bezsprzecznie pożądane owoce. Każdy z nas może przytoczyć fakta na poparcie tego zapatrywania; parafia materyalnie podupadła a w następstwie tego przedstawiająca smutny obraz moralnej choroby i społecznego rozsprzężenia, w ręku gorliwego i rozumnego duszpasterza zmienia swoją fizyognomię, podnosi się w niej dobrobyt, krzewi oświata, nastaje w rodzinach i gminach spokój i zadowolenie. Są więc gotowe wzory, trzeba je tylko żywcem naśladować! Temu też trzeba przypisać, że tam, gdzie duchowieństwo należycie pojmuje i sumiennie spełnia swoje obowiązki, kwestya społeczna straciła swoje ostrze, wymierzone przeciwko obecnemu porządkowi społecznemu a weszła na drogę, po której może dojść do sprawiedliwego rozwiązania. Widzimy to np. w Ks. Poznańskiem, w Westfalii, w Bawaryi i wszędzie tam, gdzie na czele towarzystw robotniczych, albo wśród gorliwych ich członków, księża zajmują jedno z pierwszych miejsc i pracują skutecznie z równym zapałem nie tylko dla dobra duchowego, ale także dla dobra materyalnego klasy roboczej. Metoda, której się dotychczas

trzymano a po części jeszcze trzyma, ażeby tylko starać się o dobro wieczne, mając jako lekarstwo na wszelkie niedostatki, smutki i biedy na tym świecie, nadzieję zapłaty w niebie, okazała się bezskuteczną. Bogatemu młodzieńcowi nie nakazuje Jezus przedewszystkiem, ażeby sprzedał wszystko co miał i rozdał ubogim a będzie miał skarb w niebie, gdyż kto to czyni, ten jest »doskonałym«, ale poprostu każe mu chować przykazania, a wnijdzie do żywota. Świat nie składa się z samych doskonałych, ale wystarczy, jeżeli jego mieszkańcy chować będą przykazania Boskie. Socyalizm przyjął żywcem tę metodę, jako jeden z najgłówniejszych środków agitacyjnych z tą tylko różnicą, że biednym i nieszczęśliwym nie obiecuje nieba po śmierci, ale tu na ziemi.

Co się tyczy samej akcyi społecznej, trzeba zdać sobie z niej sprawę należycie, rozróżniać w niej pojęcia i czynniki, które są ściśle z sobą spojone, lub nie należą do siebie. Dążenia robotników mające na celu poprawę stosunków materyalnych, powinny być traktowane z wyłączeniem teoryi socyalistycznych, natury prawnopolitycznej, zmierzających do przeobrażenia społecznego, opartego na kolektywiźmie. Ruch robotniczy dążący do usunięcia krzywd, do ustanowienia pewnych godzin pracy i unormowania płacy sprawiedliwej, żądający opieki prawnej dla siebie i swej rodziny i zabezpieczenia na wypadek choroby lub kalectwa i na starość, nie może uważać się za coś zbrodniczego i nieprawnego, lecz przeciwnie za objaw zdrowy, który może dać społeczeństwu zdrowie, siłę, zadowolenie będące wyrazem szczęścia. Tego przecie pragnąć powinni nie tylko ci, których byt opiera się na pracy ręcznej, ale i ci, którzy pracują umysłowo, jako i ci, dla których jedna i druga praca przynosi zyski i pożytek t. j. kapitał i państwo. Tymczasem dziwny pod tym względem panuje bezkrytycyzm, który kierowany wyłącznie grubym egoizmem, widzi swoją korzyść jedynie w niesprawiedliwości, krzywdzie i wyzysku. Wszak były czasy, kiedy pańszczyznę uważano nie tylko za instytucyę społeczną dobrą i sprawiedliwą, opartą na przykazaniach Bożych, ale wszelką myśl, zmierzającą do usunięcia tej niesprawiedliwości, potępiano jako zgubną, rewolucyjną, godzącą

w ład i porządek społeczny. Historya tymczasem przekonała nas, że społeczeństwo przez uwłaszczenie włościan wiele zyskało moralnie i materyalnie a wartość gospodarstw rolnych podniosła się ogromnie pod względem intenzywności i rentowności.

Tak będzie też i powinno być z kwestyą robotniczą, że po po sprawiedliwem jej załatwieniu nie tylko nie ucierpią fabryki i przemysł, ale podniosą się i ustalą, ponieważ opierać się będą na sprawiedliwości i zadowoleniu klasy roboczej. Ponieważ rozwiązanie tej kwestyi musi nastąpić obustronnie, dlatego też z równą chęcią, tak chlebodawcy jakoteż i robotnicy powinni w wspólnym celu i dobrze zrozumianym własnym interesie, złączyć swe siły do porozumienia i zgody. Zatem wszystkie towarzystwa i instytucye, jak Kółka rolnicze, Towarzystwa gospodarskie, Związek fabryczny, Gwiazda i t. d. — wogóle wszystkie stowarzyszenia, których celem jest pomoc materyalna i moralna członków, winny wciągnąć w zakres swego działania obok właścicieli rolnych większych i mniejszych posiadłości, właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych i t. d., także najemników i robotników tych samych zawodów. W ten sposób nastąpi nie tylko zbliżenie się rozbieżnych interesów, ale wspólna praca dla wspólnego dobra. Ale akcya ta powinna postępować zbiorowo; jednostki, które w należytem zrozumieniu swego interesu, unormują stosunki ze swymi robotnikami, nie zmienią ogólnej sytuacyi niezdrowej, podobnie jak uwłaszczenia lub oczynszowania chłopów przez Staszica, Chreptowicza i innych nie zniosły pańszczyzny i nie uleczyły choroby społecznej.

W ten sposób akcya społeczna otrzymałaby wytyczny kierunek i podstawę realną, gdyż oparłaby się na obopólnym interesie i zaufaniu. Również towarzystwa nasze zyskałyby nowy impuls do stawiania sobie celów konkretnych, wypływających ze stosunków życia, z jego potrzeb i niedomagań i zmierzających do ich naprawy. Wszystkie zatem »Przyjaźnie«, »Jedności«, »Wspólności« i t. d. i t. d., których akcya obecnie zaczyna się od sprawienia i poświęcenia sztandaru a kończy na braniu udziału w procesyach i uroczystościach kościelnych, dla sprawy społe-

cznej nie przedstawiają żadnej wartości, a sprawa religijna schodzi u nich na poziom czystej formalności i czczej ostentacyi. Również nie można nazwać dodatnią czynnością i zakładaniem kamieni węgielnych pod budowę społeczną takich towarzystw, które jak Czytelnie katolickie zajmując się stawianiem i rozbieraniem takich kwestyi, jak np. równouprawnienie kobiet, uważając je za niepotrzebne a nawet szkodliwe, dowodzą, że nie stoją na wyżynie zadania obecnej chwili, a dla sprawy religijnej są wprost szkodliwe, bo dyskredytują ją i czynią katolicyzm synonimem reakcyi obskurantyzmu.

Bądźmy sprawiedliwi w ocenianiu własnej pracy, prawda niech przyświeca naszym zamiarom i usiłowaniom, intencye nasze niech będą szczere i prawdziwe a czyny niech nie boją się światła dziennego i sądów ludzkich! Niestety! nie można tej miary przyłożyć do stowarzyszeń, których celem jest chwała Boża i miłość bliźniego. Forma zewnętrzna, występy publiczne pod znakiem Maryi, nie dowodzą jeszcze głębokości wiary, ani też uczucia religijnego, ujawniającego się w czynach i życiu świątobliwem; przeciwnie, jeżeli objawy te zewnętrzne nacechowane są próżnością, jeżeli życie codzienne jest kontrastem życia uczciwego, jeżeli pobudki do zaciągania się w szeregi wyznawców Maryi są natury materyalistycznej — wówczas nie można się dziwić, że opinia publiczna zwraca się przeciw takiemu frymarczeniu świętościami uczuć religijnych tych, którzy »na P. Bogu chcą interes robić«. Również i te stowarzyszenia filantropijne nie spełniają swego zadania, których działalność zasadza się na urządzaniu rautów, koncertów, przedstawień amatorskich i tym podobnych środków przymusowego miłosierdzia a realizuje na udzielaniu jałmużny biednym wątpliwej potrzeby a wątpliwszej jeszcze wartości moralnej. Zarzućmy te wszystkie oznaki naszej miłości bliźniego, ujawniającej się tylko w braniu udziału w posiedzeniach komitetów dobroczynnych, w przewodniczeniu im, w wygłaszaniu mówek, przepełnionych naukami i radami na temat pomocy bliźniemu na uroczystościach, łamania się opłatkiem lub święconego, bo o tej pracy społecznej, o tej miłości bliźniego, takich przywódców w akcyi społecznej, można powtórzyć słowa Chrystusa:

»Wodzowie ślepi, wy przecedzacie komara, a wielbłąda połykacie«, Mat. 23, 24. Z pewnością wielkim balsamem na rany społeczne jest czynna miłość bliźniego, ale taka, jaką wykonują np. damy z najwyższych sfer arystokratycznych Londynu, które w cichości i ze skwapliwością niosą garnuszki obiadu dla biednych sierót i dzieci fabrycznych robotników, które uczą dzieci te pracy i uczciwości. Natomiast altruizm, oparty na chęci popisywania się przed publicznością i na skarbieniu jej łask przez udzielanie biednym jałmużny a nie pracy i nauki, nie tylko że nie goi ran społecznych, ale staje się nowym zarazkiem, który krzewi lenistwo, uczy obłudy i udawania.

III. Przez wyłączenie kwestyi robotniczej w akcyi społecznej, otrzymujemy dla akcyi samej, jeżeli chodzi o jej cele prawno-polityczne, wielkie uproszczenie i ułatwienie. Kwestya chleba, która w dzisiejszych ruchach głównym jest motorem i skrajnym doradzcą do czynów gwałtownych i niesprawiedliwych, traktowana oddzielnie ze stanowiska ekonomicznego, odejmie przywódcom socyalizmu główną siłę i znaczenie haseł, wywieszanych na czele ich programu. Zarazem teorye socyalizmu, mające na celu przeobrażenie form społecznych i przekształcenie stosunków politycznych, pozbawione głównego materyału palnego, zejdą na pole dyskusyi naukowych i doktryn o ewolucyi dziejowej, która toczyć się będzie w nieprzerwanym biegu, stopniowo, bez kataklizmów, druzgocących obecny ustrój społeczny i państwowy, jeżeli naturalnie nie będą jej stawiane szczelne zapory przez reakcyę. W tej akcyi katolicyzm może odegrać ważną rolę, stać się czynnikiem, działającym pokojowo na wzburzone umysły, być regulatorem żądań i pragnień, opartych na równości praw i obowiązków obywatelskich.

Kościół przyjmując każdorazowe formy społeczne i stosując się do zasad, układających i normujących te formy, nie mógł tem samem być inicyatorem takich reform, któreby zaprowadzały nowy porządek w ustroju społecznym i zakładały podwaliny pod nowe życie poszczególnych warstw jego. Związany przez politykę z temi sferami, które w organizmach państwowych zajmowały naczelne miejsce, musiał stosować się do norm i warunków

ich bytu, związanego silnymi węzłami politycznymi z warunkami prawno-politycznymi państwa kościelnego. W tej sferze wpływ Kościoła, chociaż zależnym był od wielu okoliczności natury politycznej, był czynnym i wyciskał swe piętno na duchowej i umysłowej dziedzinie życia klas panujących i uprzywilejowanych. Natomiast niższe warstwy, nie odgrywające żadnej roli w ustroju dawnych społeczeństw państwowych, nie wchodziły w czynny współudział wpływu kościelnego pod względem politycznym a wpływ Kościoła ograniczał się tu do nadawania tym warstwom tych form prawnych, których domagały się każdorazowe warunki ogólno-państwowe. Interes państwa i reprezentujących je klas uprzywilejowanych miał nie tylko w Kościele współinteresowanego wspólnika, ale także potężnego pomocnika, który w każdej chwili i potrzebie szalę swojego wpływu i znaczenia przechylał na stronę państwa i przywileju. Stąd poszło, że po wyrównaniu praw przez nadanie swobód konstytucyjnych wszystkim warstwom państwowym, niższe warstwy, które przyszły do równouprawnienia nie dzięki polityce Kościoła, ale przez walkę i własną zasługę, zostawały w stosunku do Kościoła na stanowisku wyłącznie własnego interesu, który przeciwnym był po większej części interesowi klas uprzywilejowanych i związanego z niemi interesu kościelnego. Tem tłumaczy się to nieprzyjazne stanowisko partyj demokratycznych i liberalnych wobec Kościoła, które rosło w miarę jak jedna ze stron obu rosła w siłę skutkiem ujęcia w swe ręce steru władzy państwowej, druga zaś traciła na swem znaczeniu z powodu upadku państwa kościelnego.

Ponieważ stosunki polityczne związane są ściśle ze stosunkami ekonomicznymi a te znów normują się według warunków, na które się składa ustrój wewnętrzny państwa, przeto dalszem następstwem tych nowych przemian politycznych, była także przemiana ustroju państwowego na wewnątrz. Warstwy, które dawniej odgrywały bierną rolę w życiu publicznem, biorą czynny w niem udział, nadając mu taki kierunek, który ich interesom służyć jest przeznaczony. Zrozumiałą jest rzeczą, że wśród tych prądów i walk wewnętrznych różnych klas społecznych, głównym motorem tych antagonizmów był i jest interes polityczny i chęć

władzy, który działał i działa różniąco a nawet nieprzyjaźnie na umysły rywalizujących z sobą partyj. Zrozumiałą też jest rzeczą lub być powinno, że Kościół skutkiem tych wielkich przemian politycznych, jakich świadkami były wieki ośmnasty i dziewiętnasty, chcąc utrzymać się nadal na stanowisku sternika nawy politycznej światowej, nie mógł łączyć swego interesu z interesem którejkolwiek z partyj walczących, lecz stać na stanowisku neutralnem, lub przyjąć rolę sędziego, który w danym razie powinien rzucić na szalę głos swego moralnego wpływu, jeżeli chodziło o zwycięstwo słuszności i sprawiedliwości. Stawanie zaś po stronie jednej, zwyczajnie dawnej klasy uprzywilejowanej, dowodzi wprawdzie wierności w przyjaźni, ale nie zrozumienia interesu politycznego.

W walkach zatem partyjnych, jakie się obecnie toczą na gruncie naszego życia politycznego, rola, jaką katolicyzm powinien odegrać, stanowisko jakie powinien zająć, wytyczone zostały mu przez historyę. Chcąc utrzymać się na wyżynie dotychczasowej, nie powinien z niej zstępować, by wstąpić w szeregi jednej ze stron walczących, bo przez to musi jąć się środków i posługiwać tymi, jakie służą w walce do zwalczenia przeciwnika, a które często stoją w przeciwieństwie z zasadami nauki wiary. Zarazem stając po jednej stronie z walczących, musi przyjąć konsekwencye, które z przegranej, z natury rzeczy, spadają na zwyciężonego. Taka zaś rola szkodliwą jest zadaniu i posłannictwu Kościoła pod względem religijnym, a religia uczy miłować nawet przeciwnika, dobrze czynić tym, którzy nas nienawidzą i obrażają. A skutki nienawiści zwycięzcy są dotkliwe, nie tylko ze względu na stanowisko p o l i t y c z n e, ile raczej m o r a l n e Kościoła. Przykład, jaki daje Francya, powinien wskazać drogę, którą katolicyzm u nas postępować winien; fakta, jakie dzieją się w Królestwie, porównane ze znamiennym faktem, jaki przedstawia nienawiść socyalizmu do Kościoła, stawiają horoskopy na przyszłość dla katolicyzmu w świetle ponurem. Można być pewnym, że w razie przejścia prawa o powszechnem głosowaniu, ze zmianą fizyognomii parlamentu zmieni się grunt jego pracy

w kierunku tych, którzy dotychczas pozostają na szarym końcu wśród rozdawnictwa praw politycznych.

Jeżeli więc *historia est magistra vitae*, niech będzie ona przedewszystkiem nauczycielką dla tych, którzy życie to stosować według zasad religii mają za zadanie. A religia ta, jak z jednej strony jest wyrazem nauki Chrystusowej, tak z drugiej strony winna naukę tę uczynić drogowskazem i przewodniczką życia. Życie ludzkie, czy to jednostek, czy społeczeństw całych i narodów, niech znajdzie w niej gwiazdę przewodnią, świecącą jasnym blaskiem wśród burz i powodzi, które tak często je nawiedzają; niech będzie jak ten posąg Ateny na Akropolu, wskazujący żeglarzowi wśród nocy ciemnej, wśród fal i bałwanów morskich, kierunek jego podróży, gdzie go czeka przystań pewna i ocalenie. Wśród walk i namiętności ludzkich, w których często zwycięża siła i bezprawie, Kościół niech będzie owym najwyższym trybunałem, w którym bogaty czy ubogi, uczony czy prostaczek, możny czy maluczki znajdują równą sprawiedliwość i prawdę.

Dla człowieka zaś i społeczeństw niech płynie z historyi ta nauka, którą dawno już wypowiedział Cycero: »Wszyscy ludzie do jednego zdążać powinniby celu: celem tym korzyść pojedynczego człowieka uczynić korzyścią ogółu. Skoro zaś każdy za własną sprawą gonićby zaczął, rozpadnie się społeczeństwo ludzkie«.

Hoc opus, hoc studium parvi properemus et ampli,
Si patriae volumus, si nobis vivere cari. Horat.

Dr. A. Kalina.

Kościół miał zawsze i wszędzie dwie kategorye wrogów: 1) zewnętrznych i 2) wewnętrznych. Z zewnętrznymi, t. j. tymi, co walczyli z samą treścią duchową Kościoła, walka była stanowcza i wkońcu zawsze zwycięska: »bramy piekielne nie przemogą Go«. Gorzej bywało z wrogami wewnętrznymi, którzy jak złodzieje domowi, długi czas czają się, osłaniają się najpiękniejszemi pobudkami, aż narobiwszy sporo szkody, spustoszenia, zry-

wają z Kościołem, osłabiają jego organizacyę, szerzą zamęt i zwątpienie w obozie wojującym.

Ma Kościół i w Polsce dzisiejszej takich wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Zewnętrznych: protestantyzm i prawosławie odpiera zwycięsko; ratował dusze polskie w najstraszniejszych czasach Mikołaja I i Aleksandra III. Da sobie łatwo radę i dzisiaj.

Gorzej jest z wrogami wewnętrznymi.

Przeróżne czynniki złożyły się na to, że wiara w narodzie polskim osłabła. W której dzielnicy jest pod tym względem najgorzej — nie będę mówił; tej uciechy wewnętrznym wrogom nie sprawię, ale biskupi nasi wiedzą chyba, gdzie najgorsza posucha i gdzie ratunek najszybszy jest konieczny. Wiarę podkopują przeważnie czasopisma i broszurki argumentami pseudonaukowymi. Ten sam młokos, który ze skrytą uciechą czyta wywody o »nonsensach« dogmatów wiary, zdziwiłby się, gdyby mu kto wytłumaczył, że łatwiej zrozumieć dogmat o Trójcy Swiętej, niż istotę promieni Roentgena lub prawo ciężkości. Bezwyznaniowcy nie lubią tego, gdy im kto przypomni, że największa chluba nauki współczesnej, Pasteur, był człowiekiem wierzącym. Natomiast niejeden u nas suplent lub asystent poczytałby sobie za ubliżenie, gdyby go kto zapytał, czy jest katolikiem nie tylko z metryki chrztu. Tak zw. »intelligencya« nasza coraz powszechniej wstydzi się przyznać do wiary swych ojców, albo raczej matek; bo z ojcami bywało już i dawniej niewyraźnie.

Zdaje mi się, że najpilniejszą potrzebą jest ratowanie dusz młodych od niewiary, a to nie tylko sposobem oficyalnym przez kazania raz na tydzień, ale sposobem praktycznym, przez odpowiednie książki apologetyczne. Brak nam trafnych, łatwych, ogólnie przystępnych podręczników apologetycznych.

Z niewiarą trzeba walczyć; nie dość jest zamknąć uszy na szydzenie z dogmatów, trzeba umieć wyśmiać pseudo-naukowe argumenty niedowiarków, umieć ich pobić ich własną bronią. Tu ambona nie wystarczy, trzeba zejść do życia codziennego, do rozmów potocznych, trzeba uzbroić duchowo setki i tysiące, któreby dotarły tam, dokąd księdzu nie pozwala dotrzeć jego suknia

duchowna. Sprawę podręcznika apologetycznego uważam za bardzo naglącą; jeśli na poczekaniu niełatwo go napisać Polakowi, to niech nam kto da dobry wyciąg z apologetów niemieckich lub francuskich.

Wiarę zatem krzepić i ochraniać należy wśród młodzieży wszelkich stanów; w czyn wprowadzona wiara zbliży wszystkich i złagodzi przeciwieństwa społeczne.

Charitas! Słowo niezgłębionej mocy, a tak mało jeszcze urzeczywistniane. U nas stokroć łatwiej o »cymbał brzmiący« na tańcującej filantropii, niż o rozumną, codzienną, nieustającą miłość bliźniego. Łatwiej sarkać na socyalistów, niż porwać się do wielkiej, zbiorowej organizacyi finansowej Katolików-Polaków, któraby stworzyła trwałą podwalinę rozumnej, celowej propagandy społecznej w duchu miłości bliźniego.

Poznańskie dało nam już tyle przykładów »o skutecznym rad sposobie«, że byle związać się w ligę prawdziwie polską i prawdziwie społeczną, a już po latach kilku uczulibyśmy nowy przyrost sił do walki z bezwyznaniową międzynarodówką. *Periculum in mora!* To, co się działo niedawno, a poniekąd i dzieje jeszcze na bruku warszawskim, niech nam będzie przestrogą, że pora z dziedziny pomysłów przejść do energicznej samoobrony. Kościół dajenam tu wypróbowaną organizacyę i nie odmówi swej skutecznej pomocy.

Jest jeszcze jedna wielka sprawa, której przemilczeć nie mogę: sprawa ruska. Zanosi się na nowe jej ukształtowanie w Galicyi. Trudno uwierzyć, aby dla dwóch narodów, do jednego Kościoła należących nie miał się znaleźć sposób do trwałej zgody.

Nie moja rzecz wchodzić w szczegóły polityczne. Ale sądzę, że są jeszcze chyba wśród Polaków i Rusinów ludzie gorącej wiary, ludzie dbali o przyszłość narodu, nie tylko doczesną... A jeśli tacy ludzie są i mają wśród swoich wpływ, niechże dla miłości Kościoła i swych narodów zejdą się, niech szczerze i bez zastrzeżeń o zgodzie chrześcijańskiej pomyślą, niech odbędą *concilium charitativum,* póki czas, póki wrodzy wspólni nie roznamiętnią ludu i nie rozniosą po kraju pożaru wojny domowej. Tu

Kościół ma piękne i ważne do spełnienia zadanie, tu Sejm nie wystarczy!

Niech się pokaże, czy katolicyzm przeważa na Rusi czy nienawiść do Lachów — niech się wytoczą skargi i żale obustronne dwóch braci przed jedną Matką. Może, czego polityka od lat tylu nie dokazała, dokaże przecie religia, której zadaniem odwiecznem: spajać, wiązać *(religare)*, nie dzielić. A to, com tu o sprawie ruskiej napisał, odnosi się równie do sprawy litewskiej. I tam, oby najprędzej do zgody całkowitej Kościół doprowadził! Zgoda tam łatwiejsza, bo i waśń nie tak stara i charakter narodowy Litwinów spokojniejszy.

Nie siłą, nie podstępem, przygarnęła niegdyś Polska Ruś i Litwę ku sobie; a to co za dni Jagiełłów i Sobieskiego żyło wspólnie pod jednym dachem, miałożby rozpaść się na uciechę i pożytek ościennych, dziedzicznych wrogów? Nie daj tego Boże!

Ufajmy, że jedność Kościoła doprowadzi zwaśnionych do chrześcijańskiej wyrozumiałości, że nieufność ustanie, a nienawiść zniknie wśród dzieci jednej wielkiej rodziny katolickiej. Inaczej przyszłoby zwątpić o sile przekonań u nas, o sile tradycyi szczerze polskiej, która najpiękniejsze swe chwile w dziejach łączy zawsze narodowo i religijnie: Grunwald, Chocim, Częstochowa...

Józef Kallenbach.

Na odezwę Szanownej Redakcyi z d. 20 października 1905 roku pozwalam sobie przesłać odpowiedź co do szczególniejszego zadania, które katolicyzm w Księstwie Cieszyńskiem ma w obecnej chwili do spełnienia:

Ludność polska w Księstwie Cieszyńskiem należy do dwu wyznań, 150.000 dusz jest wyznania katolickiego, 68.000 wyznania protestanckiego. Gdy w połowie zeszłego stulecia ludność ta zaczęła się budzić z wiekowego uśpienia, pracowały oba wyznania ręka w rękę na polu narodowem. Mimo pewnej nieufności, mimo cichej walki toczonej przez oba wyznania, panowała na

zewnątrz zgoda. Z biegiem czasu nastąpiły w obozie katolickim donośne zmiany, objawiające się w silniejszem rozbudzeniu poczucia narodowego i pomnożeniu liczby pracowników wśród duchowieństwa. Naturalnym rzeczy biegiem pracowali księża katoliccy w towarzystwach narodowych założonych i przeznaczonych dla obu wyznań. Odłam protestantów narodowych niechętnie patrzał na wybijanie się duchowieństwa katolickiego w towarzystwach narodowych i starał się różnemi szykanami, czasem intrygami, wyrugować je z naczelnych stanowisk. Jako zasadę postawili protestanci żądanie: niewysuwania księży katolickich jako kandydatów przy wyborach do Rady państwa, do sejmu i do wydziałów towarzystw narodowych, gdyż ludność protestancka, widząc w nich przedstawicieli wyznania katolickiego, zraża się do sprawy narodowej i tem samem stroni od wspólnych towarzystw polskich. Zasady tej jednak katolicy uznać nie chcieli, znając wpływ kapłana na masy i nie mając ochoty pozbywać się swoich doświadczonych przewodników w braku innej intelligencyi, gdyż nauczycielstwo dopiero w latach ostatnich stanęło po stronie ludu. Lecz i nauczyciel o przekonaniach szczerze katolickich razi tutejszych protestantów nie mniej od kapłana katolickiego.

Na tem tle od przeszło 25 lat toczy się walka pomiędzy katolikami a protestantami, która przybierała niejednokrotnie dosyć ostre formy. W ostatnich czasach zaznaczyła się ona dosyć wyraźnie w »Macierzy szkolnej«, która po długiej walce opanowaną została przez protestantów, radykałów i socyalistów, po usunięciu się z jej zarządu duchowieństwa, jako też katolickiej intelligencyi świeckiej.

Protestanci śląscy dążą do opanowania wszystkich towarzystw narodowych, ażeby wyrobić sobie w Polsce opinię jakoby oni tylko wyłącznie pracowali na Śląsku dla sprawy polskiej, nadto przez liczne korespondencye, umieszczane w dziennikach starają się przedstawić ludność katolicką jako czynnik renegacki, nieuświadomiony, zgermanizowany i zczechizowany, siebie zaś jako wykwit patryotyzmu polskiego. Dlatego sądzę, że wspólna praca w towarzystwach narodowych w danych warunkach jest

niemożliwą, i że katolicy przystąpić muszą jak najrychlej do założenia pewnej liczby nowych towarzystw katolickich i narodowych, w którychby obecność księdza katolickiego nikogo nie raziła. Obowiązek ten nakłada na stronnictwo katolickie i ta okoliczność, że protestantyzm śląski sympatyzuje z socyalizmem i nim się chętnie w walce z ludnością katolicką posługuje. Pierwszem więc zadaniem katolików śląskich, a to nie cierpiącem żadnej zwłoki jest udoskonalenie i rozbudzenie istniejących już stowarzyszeń katolickich i narodowych, przedewszystkiem towarzystwa politycznego »Związku śląskich katolików«, jakoteż zorganizowanie ludności katolickiej w nowych towarzystwach, z jakich wyparta została przez nietolerancyę protestantów. Organizacya nasza wykazuje nadto jeszcze wielkie luki na polu ekonomicznem i socyalnem i musi być w najbliższym czasie uzupełnioną i pogłębioną, jeżeli masy robotnicze nie mają się odwrócić zupełnie od Kościoła.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika nadto potrzeba podniesienia prasy katolickiej, któraby budziła poczucie katolickie, stała na straży interesów ludności katolickiej, rozbudziła zainteresowanie dla spraw Kościoła i zrozumienie potrzeby łączności wśród ludności i wykrywała wszelkie podstępne i tajne zakusy, zmierzające do podkopania fundamentów wiary i do szkodzenia ludności katolickiej na wszelkich polach, nie wyłączając strony materyalnej. Potrzeba dobrej prasy jest tem konieczniejszą, bo oprócz protestantyzmu nastaje na katolicyzm w Księstwie Cieszyńskiem, szczególnie w rewirze karwińsko-ostrawskim, międzynarodowy, antyreligijny socyalizm i niewiele od niego lepszy, idący z nim w parze, radykalizm.

Stosunki te wymagają wielkiej czujności, energii, pracy w kościele i szkole, w życiu zaś publicznem pracy społecznej. Gdzie chodzi o podniesienie poczucia religijnego w ubogiem jeszcze w intelligencyę społeczeństwie, jakiem jest śląskie, tam kapłan musi objąć rolę pierwszego przewodnika i pracownika. Nie można powiedzieć, że duchowieństwo śląskie stoi na wysokości zadania. Kilkunastu księży pracuje wprawdzie bardzo gorliwie i skutecznie, ale znaczna większość nie chce pojąć, że praca w kościele

i zakrystyi jest w naszych czasach niewystarczająca. W kraju o tak mieszanej pod względem wyznaniowym ludności, w kraju, gdzie prawie w każdej wiosce znajduje się kościół parafialny lub filialny, duchowieństwo powinno więcej pracować, ludności katolickiej w jej usiłowaniach przewodniczyć, organizować ją i skupiać około sztandaru Chrystusa.

Ks. Józef Londzin.

Jako malarz, zwrócę uwagę tylko na jeden szczegół, związany z moim zawodem. Oto, poczytuję za wielki grzech naszemu duchowieństwu, że tu i ówdzie wpuściło do kościołów dzisiejszą sztukę. Jestto uśmiech ku tłumom, zniżenie się do upodobań kapryśnej chwili. Dzisiejsza sztuka jest na wskróś pogańską, żąda, żeby przed nią tłum klękał i jej cześć oddawał. Tymczasem wielka sztuka religijna sama klęka przed Bogiem w niemej adoracyi a tak klękając przed tym Majestatem sprawia, że tysiące przed nim zginają w uwielbieniu kolana. Sztuka dzisiejsza szuka siebie, sztuka religijna Boga. W sztuce religijnej tętni świętość uczucia, która duszę widza niewidzialną nicią ku źródłu świętości prowadzi.

Sztuce dzisiejszej nie tylko brak wiary, ale tak często brak jej i głębszej myśli. Dzisiaj artysta zadowala się najczęściej fantomem, zewnętrznym kształtem. Tymczasem wielka sztuka jest jak ocean głęboką. W głębi tkwi wielkość i majestat. Gdyby ocean nie był głębokim, nie byłby wspaniałym, pomimo swoich obszarów. Widok samej powierzchni jest nużący, a jeżeli wzrok na tej morskiej powierzchni tak długo może pozostać, to dlatego tylko, że pod falami, które dostrzega, przeczuwa inne niewidzialne fale. Ta głębia i to idąca gdzieś w nieskończoność, ta jest udziałem prawdziwej sztuki. Dopiero też wtedy, gdy ta głębia zjawi się napowrót w sztuce, a mógłby i w tym kierunku wpływ katolicyzmu dopomódz, będzie można mówić o możliwości religijnej sztuki, która nieskończoną głębię Bóstwa kontempluje.

Czy ta ewolucya w kierunku pogłębienia idei przyjdzie prędko, przewidzieć się nieda. Gdyby artyści oddani byli tylko sztuce samej, z całą szczerością i prostotą artystycznej duszy, z niezależnością od wpływów nieartystycznych, ewolucya poszłaby prędko. Ale tak nie jest. Dziś, naprzykład, wpływy semickie opanowały sztukę i zrobiły z niej produkt giełdowy. Nawet w dzisiejszym secesyjnym kierunku sztuki upatruję wpływ semicki, proste następstwo tego, że znaczenie tej rasy tak potężnie wzrosło dziś w Europie. Semickiem, przynajmniej mnie, wydaje się istotne znamię tej sztuki, jakiem jest secesyjna linia okrążająca chude ciało. Po secesyi gotów przyjść znów kierunek, dbający tylko o formę, innemi słowy, o zewnętrzną zmianę sceneryi. Tymczasem doskonałość formy sztuka osiągnęła już dawno, a teraz raczej o rozwój idei dbaćby powinna, o coraz doskonalsze odtwarzanie duszy, tak, że, jeżeli naprzykład w sztuce religijnej istnieje już wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, wzruszający tysiące, to sztuka powinna dążyć do stworzenia takiego wizerunku, którego widok musiałby wszystkich nawrócić.

Zakończę tę refleksyę cytatem z Ernesta Hello, który dla sztuki religijnej może być dobrą wskazówką. »Jeżeli sztuka, wogóle powinna podnosić człowieka, to bardziej bezpośrednio ku temu celowi powinna dążyć sztuka religijna. Powinna ona być wspaniałym odciskiem świetlanych szlaków, jakie tradycya złożyła w człowieku. Zwycięskie wspomnienia i nieprzezwyciężoną nadzieję ludzkości, powinna ona malować wielkimi rzutami, ze wspaniałą bujnością. Powinna ona czuwać przy kołysce Jezusa, czuwać przy jego grobie. Powinna jak święty Jan czuwać nad niewiastą, nad niepokalaną Dziewicą, która jakgdyby jest powierzoną straży jej rąk. Powinna żyć światłem i poprzez życie ludzkie, z Edenu ku dolinie Józefata, nieść, jakby płaszcz purpurowy, chwałę Bożą«.

Jacek Malczewski.

We wszystkich ziemiach polskich Kościół katolicki rozporządza dotychczas tak olbrzymim materyałem ludzkim, jak może

i absolutnie nie umie wytworzyć i wciągnąć do swych działań żadnych postulatów etycznych.

Znamienną rzeczą jest, że na tej drodze nie czynił nawet prób i usiłowań. Owóż z tego błędu powinien skorzystać Kościół. Wszelki układ społeczny musi obok wielu innych, opierać się i na podstawach etycznych, inaczej bowiem zmieni się w społeczny chaos. Chrześcijaństwo zwyciężyło w znacznej części i dlatego, że stworzyło nową, doskonalszą etykę. Dzisiejszy obóz reformy społecznej zapomniał o tej potrzebie i z tego powodu, w tej postaci, w jakiej się objawił, nie ma przyszłości. Jeżeli Kościół zetrze z siebie tę pewną rdzę, która go w ostatnich czasach pokryła, jeśli zajmie tę opuszczoną placówkę, jeśli z nową siłą, z odrodzoną energią weźmie się do dzieła w imię potrzeb etycznych tkwiących na dnie sumienia ludu — jeśli wreszcie, obok przestrzegania czcigodnych swych form i przepisów, potrafi tchnąć nowego ducha w moralne życie społeczeństwa, to zwycięstwo jest jego. Będzie ono u nas tem większe i bardziej chwalebne, że stanie się zarazem narodowem zwycięstwem ładu nad bezładem, miłości nad nienawiścią, światła nad ciemnotą i powszechnej korzyści nad zgubą i zatraceniem.

Walka zaś nie przedstawia się jako zbyt trudna, albowiem im dłużej trwa dzisiejszy, rozpaczliwy pod względem społecznym stan rzeczy, tem prawdopodobnie bliższe jest wielkie odrodzenie religijne, nie tylko w Polsce, ale w całym świecie.

Henryk Sienkiewicz.

Jeśli jest jaka prawda ogólna, widoczna dla wszystkich ludzi dobrej woli i jasnych pojęć, to niezawodnie ta, że w pracy wewnętrznej kraju nad sobą, w dźwiganiu się jego pod wszelkimi względami, leży najgłówniejsze nasze zadanie w teraźniejszości, najpierwszy warunek naszego wyzwolenia w przyszłości. Czy powszechne jakieś rewolucyjne wstrząśnienie, jak wielu u nas wygląda i przepowiada, czy, jak inni wierzą i przewidują (a jesteśmy z ich liczby) normalny raczej bieg wypadków i poznanie się Za-

chodu na rzeczywistych swych interesach i niebezpieczeństwach, da nam sposobność i możność do upomnienia się o nasze odwieczne prawa; w jednym jak drugim razie, chwila przeznaczeń tylko wtenczas będzie dla nas chwilą wybawienia, jeśli zostanie nasz kraj zasobny w jakieś siły i środki, zdolny do jakiegoś organicznego działania, w codziennej pracy zaprawny do najwyższego trudu, posiadający te polityczne i społeczne żywioły, które w konieczny skład każdego prawdziwego i żywotnego wchodzą państwa, ludnością, energią, oświatą, przemysłem ważący w interesach cywilizowanej Europy, jeśli jednem słowem wypadki zastaną w Polsce naród, który ducha nie stracił i darów nie uronił, który godnie, bo w Czyścu odbył próbę grobu, który w ciągłej czynności się uzacnił i usposobił do ostatecznego Czynu i jak owa mądra niewiasta Ewangelii, w nocy niewoli czekał przyjścia Zbawiciela z podniecaną bez przerwy lampą życia. Wolno retorom upewniać niedoświadczoną młodzież, że jedno westchnienie starczy za sądne trąby; wolno im przy brzęku toastów zapowiadać, iż »zniebozstąpi kosynier wskrzesiciel«... Ale kto trzeźwy ma umysł i sąd niezaćmiony, ten wie, że nawet za trąbami Jerychu stały w odwodzie zbrojne hufce dwunastu pokoleń, ten wie, że z nieba zstępuje tylko Łaska i Miłosierdzie, kosynier zaś, i nierównie skuteczniejszy od kosyniera wskrzesiciel, jakim jest dobry polski żołnierz, powstaje z ziemi i w niej czerpie wszystkie środki do walki i zwycięstwa. Uprawa i naprawa tej ziemi i jej mieszkańców jest najlepszą i najpotężniejszą naszą formacyą wojskową; podniesienie kraju pod wszelkimi względami, pod względem religijnym, obywatelskim, naukowym, administracyjnym, rolniczym, przemysłowym, społecznym, jest najbliższem, bo niechybnem przygotowaniem do prawdziwego powstania. Nie dosyć jest poić się żalem i karmić nadzieją; nie dosyć nawet czuwać troskliwie nad całością ojczystej spuścizny; tego nie dosyć! Trzeba się krzątać i pracować, trudzić w pocie czoła i znoju niewczasów; trzeba tę spuściznę pomnażać — pod karą jej ostatecznej utraty! »Kto złożonego w swe ręce kapitału nie powiększył, i choćby go ukrył i nienaruszonym przechował, temu on będzie odjęty i oddany

tym, co już obfitują« [1]: takie to twarde i nieprzebłagane, a jednak sprawiedliwe i opatrzne zlecenie moralnej i politycznej ekonomii świata, wyrzekł — nie »Smith żaden, ani Say lub Ricardo« — wyrzekł je Ten, który był na początku i będzie na końcu wszech czasów, który zna nasze zamiary i sądzić będzie nasze czyny, który powołał do siebie »wszystkich spracowanych i obciążonych«, który dla nas się urodził, żył, cierpiał, umarł i zmartwychwstał, wyrzekł je Jezus Chrystus Syn Boży! Nauka Ewangelii jak nauka dziejów, głos Boga jak głos naszego wieku zarówno do nas woła o pomnażanie kapitału, który Opatrzność w nasze ręce złożyła, jeśli nam nie ma być ostatecznie odebrany i oddany tym, co już obfitują, Moskalom, Austryakom, Prusakom i Żydom. Czas jeszcze do naprawy i czas do upamiętania: jedenasta to jeszcze godzina z przypowieści Wielkiego Nauczyciela [2].

Julian Klaczko.

Podzielam w zupełności idee społeczne w chrześcijańskim duchu, to jest bez żadnych klas uprzywilejowanych, bądź przez urodzenie, bądź przez tytuły. Wszyscy mamy prawo dobijania się znaczenia w społeczeństwie i wedle indywidualnej wartości musimy być cenieni.

Socyalizmu jednakże w tem znaczeniu, aby klasy nieoświecone miały teroryzować intelligencyę i zasługę osobistą nie pojmuję wcale, gdyż zakrawa to już na komunę, która burzyć chce stare a zbudować czegoś nowego a zdrowego nie jest w stanie. Równość pojmuję tylko w oczach Boga, który daje każdemu możność do pracy, a wedle tejże każdy zdobywa stanowisko i znaczenie w świecie, a religia chrześcijańska winna utrwalać równowagę ducha, aby każdy zgadzał się ze swem stanowiskiem z tem przekonaniem, że tak wielki jak maluczki równym jest wobec Boga.

Równości absolutnej majątkowej wcale już nie uznaję, gdyż nie każdemu daną jest jednaka zdolność zapracowania i utrzy-

---

[1] Ewang. św. Mateusza XXV, 14—20.

[2] Czcigodny autor, złożony długoletnią niemocą, przyzwolił na przytoczenie niniejszego ustępu z jego pism poprzednich. *Redakcya.*

mania dorobku. Na ludziach jednakże posiadających większe majątki ciąży obowiązek uznania należytego pracy i jej słusznego wynagrodzenia. Nie przysłuża im prawo bezwzględnego używania, liczyć się muszą i z tem, że i biedniejszym pomoc się należy. Oto jedna z dróg dzisiejszej katolickiej pracy.

Szerzenie zdrowej oświaty między ludem winno być obowiązkiem świętym większych właścicieli i duchownych. Oświataw dobrem znaczeniu pojęta utrwali moralność opartą na gruntownej wierze, i niezawodnie wpłynie korzystnie na dobrobyt ogólny, który bądź co bądź jest jednym z koniecznych warunków naszego istnienia narodowego.

Władysław Żeleński
Dyrektor Konserwatoryum.

Zadanie katolicyzmu u nas leży w pracy nad przywracaniem katolicyzmowi, godności tego czynnika społecznego jakim był u nas przez tyle wieków. To zaś da się uskutecznić podniesieniem jednostek do wyżyny ideałów tej religii, którą wyznają. Gdy zaś jednostki na każdem stanowisku i w każdej partyi politycznej będą prawdziwie katolickiemi, to i katolicyzm narodu, w którym one będą przeważały, będzie naturalną tego faktu konsekwencyą.

A do tego ideału nam bardzo daleko niestety i jakoby coraz dalej, a więc coprędzej, póki jeszcze pora, należy się zabrać do dzieła.

Tej pracy muszą być, z natury rzeczy, różne drogi. Za jedną z głównych dróg uważam to, by jak najliczniejsze jednostki z pomiędzy ludzi świeckich skupiać koło wcielania idei katolickiej w życie. Trzeba pracować nad tem, by jak najwięcej ludzi zrozumiało, że katolicyzm nie jest tylko własnością duchowieństwa, lecz, że on jest własnością wszystkich katolików, że zatem wszyscy, proporcyonalnie do swego stanowiska mają obowiązek współdziałania w pracy katolicyzmu, w szerzeniu idei Chrystusowej.

Co do tej akcyi katolickiej świeckich i wśród świeckich dałoby się dużo powiedzieć. W nadziei, że inni omówią pewne jej strony, zwrócę tylko uwagę na jeden szczegół.

Akcya katolicka świeckich i wśród świeckich powinna być skierowana przedewszystkiem na stronę moralną. Sumienie u nas spaczyło się i paczy coraz bardziej. Ludzie wierzący, uważający się za katolików, dopuszczają się występków, stojących w sprzeczności z najelementarniejszemi prawidłami etyki już nie katolickiej tylko, ale ogólno-ludzkiej. Rzecz niewytłumaczona niemal, jak człowiek wykształcony, przystępujący do spowiedzi i Komunii św. może popełniać przez szereg lat kradzież (delikatniej zwaną malwersacyę); co to była za spowiedź? co za sumienie, przypominające bandytów włoskich modlących się o powodzenie w rabunku lub zabójstwie. Albo przekupstwo tak zwane kubaniarstwo, tak częste po małych zwłaszcza miastach, a praktykowane przez ludzi nieraz, którzy stoją na czele prawie akcyi katolickiej! Albo znowu co powiedzieć, gdy w pierwszych szeregach akcyi czy manifestacyi religijnej staje człowiek wprost niemoralnego życia, którego imię związane ze skandalami buduarowymi najgorszego gatunku. Jakże to możliwe? Przecież żadne z naszych miast nie jest tak wielkiem, by wszyscy o wszystkiem mniej więcej nie wiedzieli; jakże można było dopuścić do takiej kompromitacyi katolicyzmu? Bo, że to sprawie katolickiej szkodzi w najwyższym stopniu, na pośmiewisko publiczne ją naraża, jej akcyę paraliżuje, to jasne jak słońce.

Jeżeli gdzie to w kościele cel nie powinien uświęcać środków. Zresztą tak ubogim w ludzi dzielnych Kościół jeszcze nie jest, by musiano wzywać do pomocy ludzi przynoszących swem życiem wstyd idei chrześcijańskiej!

Należy tedy przeciw temu paczeniu etyki energicznie występować słowem i to głośnem, wyraźnem, niedwuznacznem i czynnem t. j. wykluczaniem indywiduów niegodnych z akcyi i kół czy towarzystw katolickich. Spotyka się ze zdaniem, że nie jest to zgodnem z ideą miłości chrześcijańskiej, że takie jednostki mogą pod wpływem otoczenia katolickiego jeszcze się poprawić i t. p. — jest to złudzeniem; człowiek, który z częstą spo-

wiedzią godzi trwały występek, pogodzi go i z wzniosłemi zasadami towarzystwa religijnego; a kto uważa akcyę katolicką za środek do swego ambitnego celu, temu egoizm niełatwo pozwoli zastanawiać się nad postulatami etycznymi roli, jaką chce odgrywać. W warstwach nieoświeconych może to być skutek ciemnoty, jak to widzimy właśnie we Włoszech, ale dla człowieka intelligentnego niema tu ani wytłumaczenia ani po ludzku mówiąc — ratunku. A szkoda, jaką takie jednostki wyrządzają Kościołowi, jest bez porównania większą od możliwych korzyści.

Stąd głównem zadaniem akcyi katolickiej wśród świeckich być winno to oczyszczenie materyału, mającego służyć do tejże akcyi. Część tego zadania winno spełniać duchowieństwo na ambonie, a zwłaszcza w konfesyonale. Widząc bowiem takiego »łapownika« chodzącego częściej do spowiedzi, mimowoli człowiek stawia sobie pytanie: czy część winy nie spada tu na kierownika tego karykaturalnego sumienia? Oczywiście świeccy, społeczeństwo całe musi się tu energicznie zabrać do dzieła, tak jednostki jak całe towarzystwa czy instytucye, a cóż dopiero gdy mają charakter wybitnie katolicki.

Z tą ideą s pokrewniona jest inna. Trzeba u nas pracować nad urobieniem zdrowej opinii publicznej, która podnosząc dobrestrony życia idywidualnego i publicznego, karci bez oglądania się na względy ludzkie, wszystko, co złe. Dziś niema u nas uczciwego dziennika, któryby ten obowiązek chłostania spełniał, spełniają więc go pisma socyalistyczne. A to smutny precedens na przyszłość, gdyby ludzie mieli uwierzyć, że tylko socyaliści mówią prawdę.

Grzechem, mszczącym się na dalekiej przyszłości, jest tuszowanie, krycie brudu moralnego z obawy skandalu, nie mówiąc już o braniu takich wyrzutków społecznych w szczególną opiekę. Prócz innych konsekwencyi jest to jeszcze zachętą dla innych z podobnemi skłonnościami. Przed kilkunastu czy więcej laty wykryto »nieporządki« i winnego w pewnej instytucyi naukowej; dla uniknięcia skandalu, zacnie ale płytko rozumujący dobrodziej pokrył niedobór w kwocie około 20 tysięcy; winowajcy włos z głowy nie spadł. W kilkanaście lat potem w pokrewnej instytucyi okazał się »nieporządek« na 70 tysięcy; wartoby dociekać

psychologicznej genezy sprawy: kto wie, czyby się nie pokazało, że ono pierwsze zatuszowanie zachęciło właśnie drugiego winowajcę. Dopóki solidarnie, bez litości nie będziemy nazywali osób i rzeczy po imieniu, nie może być mowy o poprawie bodaj w tym jednym kierunku!

Na takiej dopiero podstawie mogą mieć znaczenie towarzystwa katolików świeckich. Wyobrażam sobie towarzystwa katolickie jako narzędzia służące do nadania większej energii tej działalności Kościoła, którą nazwałbym wychowaniem narodu. Czem dziecko wobec matki, tem ludzkość wobec Kościoła i tak jak matka nie kształci wprawdzie zawodowo swych dzieci, ale wszczepiając im pewne zasady moralne tem samem pośrednio przyczynia się do sumiennego, uczciwego, czasem pełnego poświęcenia spełniania pracy zawodowej, tak też i Kościół wychowując ludzkość w swych wzniosłych zasadach, winien być czynnikiem dobra i postępu w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Dziś zaś kiedy indywidualizacya narodów, warstw, zawodów i t. d. tak ogromnie postąpiła, towarzystwa katolickie, obejmując pewne warstwy, zawody i t. d., pracę tę Kościołowi ułatwią niezmiernie, bo jak każda specyalizacya pracy tak i ta wyda i lepsze i prędsze owoce. Niechby więc towarzystwa katolickie były taką rodziną wychowującą dzielnych, prawych, po Bożemu myślących pracowników, którzy wszędzie będą podporami Wiary i Ojczyzny.

Th. J. Wybicki.

Pragnąc zapewnić wieczną trwałość naszej ojczyzny, jako człowiek praktyczny, chciałbym związać jej losy z losami jedynej na świecie instytucyi, mającej od samego Boga obiecaną wieczną trwałość. Jak wiadomo instytucyą tą jest jedynie nasz Kościół katolicki.

Ponieważ zaś Pan Bóg cudami ciągłymi światem nie rządzi, lecz posługuje się środkami naturalnymi i ludźmi takimi, jacy są i jakimi zostać mogą, chcąc dojść do należnego nam stanowiska,

musimy gromadzić zasoby moralne i materyalne, bo niepotrzebne narzędzia sam bieg wypadków odrzuca i niszczy, a dobre i pożyteczne przy życiu i potędze utrzymuje. A więc, nie tracąc nigdy z oczu głównego celu, powinniśmy szanować i rozwijać wszystkie dary Boże, moralne, fizyczne, materyalne; szanować i rozwijać zdrowie duszy, własne, swej rodziny, swych potomków, swego narodu. W tym duchu powinien Kościół i duchowieństwo ludzi kształcić i uświadamiać.

Jan Mańkowski.

Katolicyzm mając w treści swej nauki nieprzebrane źródło takich głębokich zasad, które tworzą świeczną wiedzę dla celów, ku którym ludzkość dąży różnemi drogami, ma tem samem ważne i trudne zadania do spełniania. Z zadań tych, odnoszących się do celów całej ludzkości, wynika potrzeba dążenia do realizowania ideałów chrześcijańskich a dążenie to winno się opierać głównie o zasadę samopomocy. Katolicyzm powinien przeto popierać wszystko, co wynika z treści tej nauki, a więc z miłości bliźniego, jak sprawiedliwość, równość, skromność, dobroć i uświadomienie. Program ten, jako program niejako polityczno-katolicki, tak się wyodrębniać powinien, że obcą winna mu być partyjność, a mając własny program działania, byłoby niepolitycznie przyłączać się nawet do pokrewnego lub przyjaznego programu. Wynika z tego naturalne następstwo, że katolicyzm powinien zawsze pamiętać o tem, że jego program polityczny wznosić się powinien ponad wszystkimi innymi programami. Wspólna praca katolicyzmu przy własnym programie we wszystkich społeczeństwach jest wprawdzie trudna, bo odbywa się wśród różnych warunków, ale ta różność dostarcza często cennych wskazówek, które odpowiednio zużytkowane przyczynić mogą siły i trwałości związkowi katolickiemu. A więc i w naszem społeczeństwie własny wyodrębniony program, utrzymany na wyżynie sprawiedliwości, mógłby i dla siebie jako idei i dla społeczeństwa polskiego zdobyć nieocenione korzyści. Nie wynika z tego, aby nie brać czynnego udziału

w życiu politycznem. Przeciwnie. Wszak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że idea zamknięta w kraju teoryi ma tylko względną wartość i dopiero przeszczepiona do kraju rzeczywistości może się wznieść do wysokiej ceny. Jeżeli program ma być wyższy, to musi obejmować cele poszczególnych programów, o ile są one zgodne z ideą chrześcijańską, a tem samem musi czynnie wnikać we wszystkie przejawy życia społeczeństwa. Katolicki program może wtedy tylko popierać dążności ujawnione innymi programami, jeżeli są one z nim zgodne. Inaczej, popierać należy zgodnie z własnym programem słuszną część każdego programu, bo jednostronne poparcie może łatwo naruszyć zasadę sprawiedliwości i własny program osłabić. Wtedy też tylko można zdobywać zaufanie i wiarę do programu. Zaufanie wzajemne dzisiaj osłabło wogóle z powodu różnych prądów społecznych, a może i z powodu braku programu katolickiego i własnego według powyżej wyrażonej myśli realizowanego. To też dziś należałoby w danym razie postępować ze zdwojoną ostrożnością w przestrzeganiu zasad sprawiedliwości, a wszelka krytyka idei innych programów wymaga wielkiej oględności, bo każde porywcze słowo odbiegałoby od przewodniej myśli własnego programu, opartej na zasadzie miłości bliźniego. Zyskanie zaufania jest obecnie tem trudniejsze, że brak zaufania dość silnie występuje prawie we wszystkich wzajemnych stosunkach. Objaw ten uniemożliwia spójność siły naszej społecznej, a więc jako szkodliwy wymaga przeciwdziałania. Przyczyna zaś zdaje się pochodzić z programu, jak się w skutkach okazuje chybionego, że siła, jaka z władzy wynika, jest najlepszym obrońcą idei. Program ten jest jeszcze trwale w użyciu, więc i choroba społeczna nie ustępuje, a jej szczególniejszemi znamionami szybko się rozrastającemi na podatnym gruncie wrodzonej człowiekowi sporności i wyrodzonej z miłości własnej próżności są: nieszczerość, obłuda, zawiść i zemsta. Czemże więc zdobyć wzajemne zaufanie? Tu ani siła, ani słowa same nie wystarczą. Na to potrzeba czynów imponujących swoją sprawiedliwością bez przymieszki nieszczerości, a więc czynów opartych o nieprzebrane źródło mądrości, jakie tkwi w zasadzie miłości bliźniego. Czyny zatem same wymagają odpowiednich zasad i od-

powiednich ludzi czyli wzorów, a terenem działania są wszystkie kierunki pracy społecznej. Mówić o zasadach w szczegółach nie tu miejsce. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego skutki nauki miłości bliźniego nie dają dziś upragnionego rezultatu. Odpowiedź na to ma też związek i z kwestyą zaufania. Będzie to tylko psychologiczne postawienie kwestyi aż nadto znanej, mające jednak to za sobą, że wskazuje sposób, nie nowy, ale odpowiadać mogący dniom dzisiejszym. Główną przyczyną wydaje mi się różny sposób pojmowania i przeszczepiania zasady miłości bliźniego. Ustalenie i rozjaśnienie treścią własnej zasady tego pojęcia jest niezmiernie ważnem, bo w tem tkwi jakość ziarna i jakość owocu. Przez słowa »kochaj bliźniego twego, jak siebie samego«, w myśl Ewangelii, nie należy rozumieć potrzeby uczenia kochania siebie, bo to prowadzi do rozwijania egoizmu przeciwnego pojęciu altruistycznemu, tkwiącemu w części w zasadzie miłości bliźniego. Miłość własna jest więc tylko wrodzonym człowiekowi wzorem, rozwijającym się podług pewnych praw przy współudziale człowieka, jaką miłością bliźnich otaczać należy. Z tego określenia można wprawdzie wyprowadzić i równość i różność miłości, co jednak łatwo się z sobą godzi, bo wzór jako taki, skoro się go uznaje, jest w zasadzie najlepszy, a miłość bliźniego, jako następstwo, wymaga naśladowania wzoru, a więc pracy, której skutki mają być zrealizowane w granicach równości. I oto to, na co wskazać pragnę.

Czynną pracę zasady miłości bliźniego należy pojmować jako pracę zwalczania wrodzonych i nabytych uprzedzeń względem bliźnich, aż do idealnego zrównoważenia z własną miłością. Skuteczna praca około rozbudzenia siły w kierunku miłości bliźniego wymaga usunięcia przeciwnej siły sprawczej, którą jest pośrednio rozbieżność celu i wzoru miłości własnej od miłości bliźniego. Skoro zaś tę rozbieżność powoduje rozrodcza siła miłości własnej, jaka ma być wzorem dla miłości bliźniego, to wydaje się niezbędną potrzeba pracy nad wzorem, tak, aby wzór ten obniżyć do najdalszych granic prostoty, bo tylko wtedy mogą się otworzyć widoki zbieżności i łatwość naśladowania wzoru. Wtedy też wśród różnych ideałów rozróść się może także ideał wolności

i skromności w miejsce próżności i zarozumiałości, objawiającej się obecnie we wszystkich nawet naukowych sferach. Zapomina się o zasadzie, że małe zero rozdmuchane tworzy wielkie zero. Realizowanie tej zasady sprowadzi też ograniczenie potrzeb osobistych, co także ułatwi pracę sprawie ekonomiczno-socyalnej ważnej równorzędnie — jako kwestya bytu. Metodyczna praca w tym kierunku wymagałaby systematycznego a umiejętnego ćwiczenia woli przy uwadze, by w jej miejsce nie wyrósł upór.

Społeczeństwo, które w ten sposób swe choroby leczyć będzie, tak się uzdrowi, że łatwo wzniesie się na górne szczyty, skąd promienieć będzie ciepłem światłem odradzającem zaufanie i spajającem pozrywane nici.

A. Szyszkiewicz.

Kilku słowy zwrócić pragnę uwagę na nowy kierunek pracy, żłobiący się przed katolicyzmem w Polsce, a żłobiący się pod wpływem wielkich historycznych wydarzeń, na jakie cały świat dzisiaj patrzy. Oto, misya apostolska na Wschodzie — misya, którą po dwakroć tak chwalebnie w dziejach naszych spełniliśmy względem dwu innych narodów.

Przypominam sobie z moich studyów akademickich przed 25 laty, jaki to wielki nacisk, niespożytych zasług krakowska szkoła historyczna kładła na to, że każdy naród powinien żyć tem, z czego powstał. Rozumiano jednak przez to »trzymanie się zachodniej cywilizacyi«, nie wspominano jeszcze o katolickiej religii, co chyba nieodłączne. Odrodzenie religijne narodu, a właściwie jego warstw wyższych, dopiero się zaczynało.

Jeżeli więc w istotę tego narodowego życia wchodzi katolicyzm i jeżeli nieodzownym objawem normalnego życia jest działanie i rozszerzanie się, to tem samem płynie i konsekwencya co do apostolskiej misyi naszego katolicyzmu na Wschodzie.

A jakie ogromne pole pracy i jak to pole upragnione tej uprawy, jaką daje prawdziwa religia! Czyż o tem spragnieniu nie mówią tysiączne sekty, czyż o niem nie mówi melancholia tam-

tejszej literatury, czyż o tym głodzie nie mówi ten dziwny wyraz »nihilizm«, wyraz gdzieindziej na kuli ziemskiej nie spotykany a tam będący całym programem — wyraz rozpacznie uznający, że w jego ojczyźnie jest jedno *nihil.*

A jeżeli tam jest głód i pragnienie, to czyż na wyznawcach Chrystusowej nauki nie ciąży żaden obowiązek? Czyż i do tego głodu nie odnoszą się słowa Chrystusa, które wypowie na sądzie: »Byłem głodny a nie nakarmiliście mnie«.

W. Woysym-Antoniewicz.

Ankieta o zadaniach (a zatem obowiązkach) katolicyzmu w Polsce jest dowodem wielkiej odwagi cywilnej. Wyznaję, że byłem mniej odważny, skoro zaproszony do udziału w ankiecie, wahałem się zrazu, czy pisać. Ja, człowiek świecki, a więc mniej krępowany, zostałem wyprzedzony przez księży, w ochocie do jawnej krytycznej dyskusyi w dziedzinie spraw katolickich. Zle ze mną! A jednak obronię się. Oświadczam, że to właśnie dobrze i pragnąłbym, żeby zawsze i we wszystkiem ze wszystkimi również źle było. Oby każdy z nas miał zawsze kapłana p r z e d sobą, czyli:

O b y K o ś c i ó ł w y p r z e d z a ł s p o ł e c z e ń s t w o!

Wtem, zdaje mi się, kwintesencya wszystkiego, co tylko dałoby się powiedzieć na temat poruszony przez Szanowną Redakcyę.

Kościół wychował narody europejskie, ale potem w kulturze nie tylko już im nie przodował, ale nawet przestał dotrzymywać kroku. W naszym okresie dziejowym ocknął się, za Leona XIII Wielkiego, wziął rozmach ku dopędzeniu społeczeństwa, oby za Piusa X stał się na nowo przodownikiem w pochodzie kultury. Warunkiem do tego będzie, żeby zerwać z temi pętami, które skrępowały niegdyś jego lot: fatalnością tą było pogodzenie się z niechrześcijańską nowożytną państwowością za cenę popierania przez państwo — czego? Wcale nie zasad katolickich, lecz tylko »kultu« katolickiego. A potem było jeszcze gorzej, bo

nastało godzenie się nawet z wybitnie antychrześcijańską państwowością za cenę jeszcze mniejszą, prostego tolerowania kultu, t. j. formalnej strony Kościoła.

Niegdyś Ojcowie Kościoła i długi szereg pierwszorzędnych myślicieli kościelnych obmyślał kształty dla państwa katolickiego; w późniejszych jednak wiekach przyjęto za zasadę nie mięszać się w te sprawy, uśpiono się formułą — że tak powiem — nieinterwencyi kościelnej w sprawach politycznych. Jakiż skutek? Oto za naszych dni dąży Kościół do tego, by powrócić w opuszczoną dziedzinę życia publicznego, bo to nieuchronne i sami świeccy (nawet niekatolicy) wołają na duchowieństwo coraz natarczywiej, by wyszło z zakrystyi. Takie nastały czasy, że ksiądz nieczynny w ruchu kulturalnym społecznym przestaje być niejako w oczach ludzkich kapłanem, a wydaje im się tylko urzędnikiem od funkcyi liturgicznych.

Wierzę, że Kościół spełni, do czego jest powołany. Rzecz to dla katolika prosta. Wierzymy, bo wiemy, co rzekł Zbawiciel.

Pocóż więc zastanawiać się po ludzku i całkiem świecką metodą nad zadaniami Kościoła? Zaiste nie dlatego wcale, żeby się nie mógł obejść bez naszego wglądania gmach osadzony na opoce, lecz dlatego jedynie, że nałożony jest na członków tej »powszechnej społeczności« obowiązek c z y n n e g o w niej udziału, a — ludźmi będąc — możemy to spełnić ludzkimi tylko sposobami. Najmędrszem z przysłów jest: Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże. Kto nie się trzyma tego prawidła, popadnie w fatalizm, a ten przeniesiony na dziedzinę stosunków kościelnych odciąłby od Kościoła cały ogół świeckich wiernych.

Spełni więc Kościół misyę swą bez nas, ale my upadalibyśmy coraz niżej, gdybyśmy z zajęć swych wykluczyli zastanawianie się nad tą jego misyą i dopomaganie Mu.

Polska intelligencya nie znajdzie lepszego sposobu dopomożenia Polsce, jak starając się o podwyższenie Kościoła w Polsce, t. j. o to, żeby Kościół spełnił w obrębie naszego narodu swoje zadania. Tak sobie wyjaśniam teoretycznie i tę naszą ankietę. Jedno z drugiem, Kościół i Ojczyzna, łączą się tu w tak

zwartem kole, że nikt nie dostrzeże, gdzie jego początek, bo można go sobie wyobrazić w każdym punkcie jednako. I rzeczywiście znajdujemy się na niwie napół kościelnej, napół świeckiej.

Bo też chodzi tu o stosunek wzajemny spraw kościelnych, a świeckich. Nie chodzi o sprawy wiary, lecz życia w wierze, a życia całego, nie tylko religijnego.

Najwyższym, bo najwszechstronniejszym, życia wykładnikiem jest państwo. Kto się zajmuje sprawami publicznemi, musi też wcześniej czy później zawadzić o kwestyę organizacyi państwowej.

Stwierdzam fakt, że Kościół wchodzi w nowy okres udziału w życiu publicznem, nie mając katolickiej teoryi nowoczesnego państwa. Póki się tej luki nie zapełni, działalność katolicyzmu będzie szwankowała i nie porwie za sobą ani szerokich mas, ani nawet nie skupi około siebie ogółu intelligencyi. Ludzie muszą wiedzieć, jak ma wyglądać państwo, w któremby Kościół tryumfował.

Mamy więc do czynienia z ilością nieznaną. Wejdźmy jednak na chwilę w tę algebrę. Przypuśćmy, że katolicka teorya państwowości (nowoczesnej) istnieje i że Kościół doprowadził do wcielenia swej idei. Solidaryzuje się oczywiście z tem państwem, popiera je, nawzajem przezeń popierany. Wyrabia się z tego pewna tradycya, która po pewnym czasie (jak każda), kostnieje. Życie idzie jednak naprzód. Państwowość, doskonała dla wieku X, jest już mniej dobrą dla wieku $X+1$, a nie wiele warta dla wieku $X+2$. Państwowe tradycye kościelne stają się więc znowu przestarzałemi i zaczyna się na nowo *circulus vitiosus*, przerobiony już raz w historyi.

Z błędnego koła jedno tylko wyjście: Kościół musi udoskonalać nieustannie katolicką teoryę państwowości, nie może nigdy powiedzieć, że już robota *de Civitate Dei* ukończona, nie może nigdy zsolidaryzować się z żadną formą państwową, ani nawet z tą, którąby sam w danym razie wytworzył, boć i ta się... przestarzeje, a Kościół ma kroczyć nie za społeczeństwem, lecz przed niem.

Podnoszę tę rzecz w ankiecie, w której pytają o katolicyzm

w Polsce, dlatego, bo już od szeregu lat utrwala się we mnie przekonanie, że właśnie Polska powołaną jest do obmyślenia katolickiej teoryi państwa przyszłości. W Polsce o to łatwiej, właśnie dlatego, że nie mając własnego państwa, możemy w tem dziele łatwiej oprzeć się pokusom i pomyłkom, które nazwałbym zapożyczając się u Bacona, *patria idola fori*. Kościół polski ma doprawdy najlepszą sposobność oddania tej walnej usługi katolicyzmowi; niemniej przeto nie mogę się powstrzymać od życzenia, żeby ta sposobność trwała jak najkrócej!

O rzeczy ogólnej, powszechno-europejskiej, rozpisałem się, mając pisać o sprawach polskich. Łączy się to z głębokiem przekonaniem, że Kościół polski może wogóle o tyle tylko coś działać, o ile będzie cząstką twórczą w katolicyźmie powszechnym. Wszak niema osobnego polskiego katolicyzmu, a gdyby mógł być, nie chcielibyśmy go! Mało działa u nas Kościół, a w każdym razie za mało, właśnie dlatego, że w Europie o polskim Kościele głucho... I póki nasz Kościół nie będzie na tyle silnym, żeby módz brać udział w pracy kościelnej europejskiej dopóty będzie też za słabym, ażeby we własnym kraju zająć należne mu stanowisko w życiu publicznem. Trzeba w duchowieństwie naszem wzbudzić europejskie ambicye. Kiedy w Rzymie nastąpi uznanie, że polski Kościół stanowi siłę twórczą w katolickim świecie, wtenczas, ale dopiero wtenczas będzie ten Kościół pewny swego w Polsce.

Nie zapominam bynajmniej o wielkich zasługach naszego Kościoła wobec powszechnego, położonych wyznawstwem, a nawet męczeństwem; ale trzeba do tego koniecznie dołączyć jeszcze zasługi inne.

A byłoby to dziełem patryotycznem. Niegdyś rektor krakowski Paulus Vladimiri pierwszy obmyślił był katolicką teoryę prawa międzynarodowego. Czemużby z Polski nie miała wyjść teorya państwa przyszłości? Zadatek tego dzieła dała już Polska Kościołowi, chodzi tylko o ciąg dalszy i dokończenie. Krasińskiego poetyczne marzenia o Kościele domagają się przetłumaczenia na prozę; prozą nazywa się to teoryą państwa.

Oczywiście państwo to, do którego chcemy dążyć z Kościo-

łem, ma wcielić etykę chrześcijańską w życie publiczne. I to stare marzenie naszych wieszczów! Postęp etyki wymaga tego, a etyka winna się rozwijać pod skrzydłami Kościoła.

Etykę można rozwijać tylko przez opozycyę do istniejących urządzeń. Oczywiście, że innej drogi niema i nigdy też innej nie było.

Kościół — a opozycya? Ach, jakżeż się już utarło, że Kościół popiera »porządek prawny«, t. j. istniejące urządzenia publiczne! Ale też za to ma sam coraz mniej poparcia w społeczeństwie; boć te urządzenia są już nie do wytrzymania przestarzałe. O tem jest już dawno cała literatura, także i katolicka, niema się nawet nad czem rozwodzić. Na jedno tylko zwrócę uwagę nowej wierze:

Zródłem fatalnego biegu dziejów ostatnich stuleci była nieszczęsna recepcya prawa rzymskiego. Na fakt ten złożyło się przyczyn wiele, omówionych też wszechstronnie w różnojęzycznych dziełach naukowych. Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę, że do przyczyn tych należy dopisać jeszcze jedną: zacofanie prawa kanonicznego, które już w XV wieku było zacofanem.

Otuchę w szczęśliwy na przyszłość stosunek Kościoła do społeczeństw europejskich budzi po pracach Leona XIII, których symbolem ogólnym jest encyklika *Rerum Novarum,* druga praca, zainicyowana przez Piusa X, t. j. reforma prawa kanonicznego. Podjęto w Rzymie dzieło, które będzie jednem z największych wydarzeń historyi, dzieło, którego olbrzymich skutków najbujniejsza nawet wyobraźnia ogarnąć dziś nie zdoła. Oby nasz Kościół polski przystąpił zawczasu do współpracownictwa w niem i oby się przy tem odznaczył! Praca to na długie lata i nawet ci, którzy do seminaryum jeszcze nie dorośli, znajdą dosyć sposobności do odznaczenia się, zwożąc cegiełki do tego nowego gmachu. Ale byłoby dobrze, żeby w seminaryum dowiadywali się czegoś o tem...

Oto dwie główne, zasadnicze dziedziny pracy dla polskiego Kościoła. Wszystko inne wynika już z jednej lub z drugiej. Udział w rozwiązaniu kwestyi socyalnej jest tylko cząstką pracy

nad wytworzeniem chrześcijańskiego państwa. O akcyi socyalnej Kościoła pisano już tyle, pisano też po polsku, a oryginalnie, rozumnie i pięknie. Nie nasuwa mi się żadna nowa myśl w tym zakresie, więc o tem nie piszę. Zwracam tylko uwagę, że ta praca nie uda się absolutnie, jeżeli Kościół nie przejdzie do opozycyi.

Za naszych czasów ludzie są ogromnie spragnieni, ideałów, a niema ich kto wieść, a więc idą na lep kogokolwiek, kto wieść ich raczy. Wtem cała tajemnica powodzenia demagogów, sekciarzy politycznych i socyalistycznych prowodyrów.

Bo to nieprawda, stokrotnie nieprawda, że socyalizm szerzy się skutkiem zmateryalizowania się społeczeństwa. Nie okłamujmyż samych siebie! Szerzy się właśnie na tle idealizmu, który wzmaga się coraz bardziej koło nas. Jeszczem nie stary, ale postąpiłem w latach na tyle, żebym mógł wydać sąd o etycznej wartości trzech pokoleń. Do tego wystarczają moje lata. Wszak pamiętamy, jacy byli starsi za czasów naszej pierwszej młodości, wiemy, jacy byliśmy sami i jacy jesteśmy i możemy już obserwować krytycznie dorastające nowe pokolenie. Nie chcę tu krytykować starszego pokolenia, poprzestanę na krytyce samego siebie i swych rówieśników; mojem zdaniem młodzież jest (dzięki Bogu!) daleko lepsza od nas. Ale rzadko kto rozumie ją. Oni szukają nowych form, a że w tem pozostawieni są samym sobie, że zwłaszcza Kościół im w tem nic nie dopomaga, to już nie ich wina. Ale kocham tę burzącą się młodzież, za to właśnie, że się wyrzeka przestarzałych form, stojących na zawadzie rozwojowi ludzkości, rozwojowi etyki, a więc rozwojowi chrześcijaństwa! Oni o chrześcijaństwie przy tem nie myślą — to inna rzecz, ale mimowoli sami dla niego pracują. Są na złej drodze, ale czyż ich wina, że innej nie widzą?

Zarzuca się, że młodzież niereligijna. Być może, że my za czasów szkolnych wydawaliśmy się religijniejszymi, ale naprawdę — to oni religijniejsi. Tylko, że życie postąpiło już o jedno pokolenie. Cóż powiedzieć o jednej rzeczy, która już za naszych szkolnych lat była strasznie przestarzałą, a utrzymała się do dziś dnia. Mam na myśli wykłady dogmatyki w klasie

V i VI-tej, *horrendum*, wołające doprawdy o pomstę do nieba, jako każenie młodzieży. Sami katecheci... muszą to robić. Miałem o tem referat na owym I wiecu katolickim w Krakowie, potem zgodziła się na zniesienie tego cudactwa pedagogicznego konferencya katechetów i wszyscy, duchowni i świeccy, jednego już w tej rzeczy jesteśmy zdania, ale... zmiana nie następuje. Jeżeli wszystkie reformy w zakresie wpływów Kościoła pójdą w takiem tempie, można pogratulować... socyalistom.

Przykładów podobnych mógłbym przytoczyć niestety, wiele. Trzeba przyspieszyć tempo, trzeba to zrobić koniecznie, bo inaczej my, katolicy, spóźnimy się i będziemy się wlekli, jak ciury, za społeczeństwem, którego ogół coraz bardziej będzie się od nas odwracać.

Dziwna powolność w przeprowadzaniu reform w rakresie działalności kościelnej tłumaczy się wstrętem do wszelkiej opozycyi. Z tego wynikają wady: brak odwagi cywilnej w łonie własnej organizacyi i nieskorość do inicyatywy.

A w sam raz nastały w Polsce czasy, w których trzeba inicyatywy duchowieństwa więcej, niż w jakiemkolwiek innem społeczeństwie europejskiem. Przechodzimy przez kryzys, wśród której rączo trzeba się zabrać do pracy nad podniesieniem poziomu religijnego w Kongresówce. Czy da się to osiągnąć bez zakonów?

Dotknąłem dziedziny, w której twórczość polskiego katolicyzmu jest stwierdzona. Podobno my jedyni w Europie wydawaliśmy w ciągu XIX w. z łona społeczeństwa — nowe zakony. Szczególna jednak rzecz, że rzadko który Polak wie o tym fakcie! A żaden z tych zakonów nie jest nawet należycie wyzyskany w służbie samegoż Kościoła; to jeszcze dziwniejsze. Jest zaś wciąż ochota i popęd do wytwarzania nowych zakonów[1] i gdybyśmy tylko mieli ku temu swobodę na całym obszarze Polski, kto wie, czy nie zacząłby się w Polsce nowy okres historyi kościelnej pod tym względem. To rozważyć i w tem

[1] Sekta Maryawitów jest także tego objawem i zaradzić jej możnaby tylko ujęciem jej w regułę zakonną — za wczasu.

rodakom z innych zaborów dopomódz wydaje mi się obecnie najpilniejszym obowiązkiem Kościoła tu, w Galicyi.

Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że reformy zakonów nigdy się nie udawały, bo ilekroć się udały, kończyły się zawsze — wytworzeniem nowych! Historya uczy, że każdy zakon obumiera po spełnieniu swego zadania i potem już tylko wegetuje [1]. Nowsze badania stwierdziły, że w wieku XIII zakonnicy ocalili Europę od rewolucyi socyalnej. Te same klasztory istnieją jeszcze, ale żadna siła nie jest zdolną sprawić, żeby powróciły do swej roli. W nich zaginęła już zupełnie tradycya, czem niegdyś były. Zakonnicy ci żyli wówczas, w XIII w. z ludźmi i wśród ludzi i dzięki temu wygrali. Następcy ich dzisiejsi nie zdają sobie z tego sprawy, a życie samo tak się zmieniło, że gdyby żądać od nich, żeby robili to samo, co ich poprzednicy, musieliby to zrobić w innych formach, w takich, które wydałyby się im... profanacyą habitu, a świeckiem dziwnem widowiskiem, niemal śmiesznem. Mnich przyszłości (oby najbliższej) musi być... nawet robotnikiem fabrycznym. Do tego trzeba koniecznie nowych zakonów. O te najłatwiej w Kongresówce, gdzie starych prawie niema, a te które są, są bez nowicyatów, na wymarciu. Boję się, że wysunie się na pierwszy plan akcya za utworzeniem nowicyatów w dawnych zakonach i usunie na dalszy plan akcyę dążącą do pomocy i opieki nad nowemi, które są w społeczeństwie *in nuce*, lecz wymagają opieki. Na razie powinna Galicya dać przytułek zakonom d l a K o n g r e s ó w k i przeznaczonym.

Powtarzam, że bez nowych zakonów nie wyobrażam sobie rozwiązania kwestyi socyalnej, a — szczególnym zbiegiem okoliczności — Polsce najsnadniej jest wytworzyć obecnie te nowe zakony, dopomódz sobie i Europie. Ale trzeba do tego śmiałości, o d w a g i.

Jeżeli w jakiej dziedzinie, toć najbardziej w kościelnej musimy mieć wolę i odwagę iść własnemi drogami [2], to znaczy, n i e

---

[1] Są dwa wyjątki, a to zakony ściśle ascetyczne i ściśle naukowe. Asceza zawsze jednaka, nauka zaś sama się wciąż odmładza.

[2] Nie boję się nieporozumienia z powodu tego wyrażenia, boć w t e m

bać się, że trzeba będzie zrobić niejedno, czego nie zrobiono przedtem w Niemczech lub we Francyi. Idźmyż za własnem natchnieniem, nie czekajmy, aż będzie sposobność naśladowania cudzych wzorów. Pytam: Dlaczegóżby Kościół polski nie miał być pierwszym? Ależ owszem, tem lepiej!

Jeżeli u nas najpierw oprze się Kościół nawet materyalnie na wiernych, przeprowadzi równość parafii i t. p., będzie to naszą zasługą. Nie czuję się powołanym, ani oczywiście kompetentnym do wskazywania rejestru reform; chodziło mi tylko o wskazanie czegoś dla przykładu, żeby sobie ułatwić wyrażenie ogólnej myśli i proszę nie przywiązywać do tego innego znaczenia. Cytuję zaś Kongresówkę na pierwszem miejscu dlatego, że tam w sam raz trzeba będzie Kościół w niejednem organizować na nowo, jest więc sposobność snadniejsza.

Czy wielu ze mną się zgodzi? W jednem zapewne nie zgodzi się nikt, a wiem pozytywnie, że nie godzi się Redakcya *Przeglądu Powszechnego;* a mianowicie w tem, że mojem zdaniem z chwilą, gdy ustało prześladowanie unii, należy nam przestać opiekować się nią. Nie dlatego wcale, że to ruska już teraz sprawa, a nie polska, lecz ze względów ogólno-katolickich. Jestem tego zdania, że gdyby nie unia brzeska 1596 roku, katolicyzm byłby się już dawno utrwalił nie tylko na Rusi całej, lecz w samej Rosyi. Pracę nad rozszerzaniem unii dalej na wschód uważam za przeznaczoną z góry na zmarnowanie; lepiej nie tracić na to sił, skoro jest tyle do roboty na wszystkie strony! A posunęliśmy się aż do uprzywilejowania cerkwi! Wszak u nas nie wolno przechodzić z unii na łaciński obrządek! To sztuczne obwarowanie unii jest dowodem jej słabości. Sądziłbym przeto, że wobec unii mamy już tylko jeden obowiązek: Oto wystarać się o zniesienie przynoszącego jej ujmę przywileju.

Feliks Koneczny.

---

piśmie czytelnicy moi wiedzą, czego te słowa nie mogą znaczyć i gdzie granica »własnych dróg«.

W obecnej chwili jednym z najważniejszych naszych obowiązków, jest usilne, tak materyalne jak i moralne popieranie katolickiej prasy.

Mówi się często, że prasa jest szóstem mocarstwem, w rzeczywistości jednak należy jej przyznać pierwsze miejsce, ona bowiem tworzy wszędzie masową opinię publiczną. Pomijając nieliczne stosunkowo jednostki o samodzielnie wyrobionem zdaniu, ogół czytelników pism peryodycznych rozpada się na dwie wielkie grupy. Jedni z góry już zaliczają się do pewnego kierunku politycznego, lecz idą tylko za samą nazwą i hasłem, nie zdając sobie dokładnie sprawy z jego istoty, inni nawet w tak drobnych rozmiarach nie mają indywidualnego zdania, nie należąc jeszcze do żadnego stronnictwa. Na jednych i drugich wywiera prasa wpływ ogromny. Pierwsi czytają wprawdzie tylko pisma swojej partyi, lecz ta partya jest dla nich jedynie białą kartą, którą wypełniają dopiero artykuły czytywanej prasy, drudzy przypadkiem nieraz lub dzięki reklamie czy agitacyi, stają się zwolennikami pewnego pisma, a w ślad za tem siłą przyzwyczajenia solidaryzują się z jego poglądami. Wszak wiemy wszyscy jak wielkie znaczenie dla pisma posiada zastosowana do gustu czytelników powieść i kronika. Przez nie ściąga się prenumeratorów, a raz ich pozyskawszy, wpaja się im powoli swe własne zasady polityczne i społeczne.

Tego rodzaju agitacya na rzecz pewnego stronnictwa jest z pewnością najskuteczniejszą, bo najsłabszych jedna zwolenników. Jednostki o własnem wyrobionem zdaniu, oceniają każdy artykuł krytycznie, godzą się na jego myśl przewodnią lub ją odrzucają; inni, nie mając własnego sądu, wstrzymują się z oceną każdego faktu do czasu, aż ulubiony dziennik zajmie wobec niego stanowisko. Przywiązani do pisma, wierząc mu bezwzględnie, idą za niem wszędzie i zawsze; są najwierniejszymi jego przyjaciółmi, a tem samem najpewniejszymi stronnikami jego kierunku.

Zrozumiały to od dawna stronnictwa liberalne, to też opanowanie prasy stało się dla nich najpierwszem zadaniem. Dzięki bezczynności przeciwników udało im się to w całej pełni, tak, że od dawna już naczelne organa, kierujące opinią publiczną, znaj-

dują się w ich ręku. Tem też w najznaczniejszej mierze tłumaczy się przejście do obozu liberalnego przeważnej części intelligencyi, dlatego nawet lud idzie w pewnej liczbie z partyami antychrześcijańskiemi, chociaż jest tak głęboko przywiązany do swej wiary. On przecież w wielu bardzo razach nie widzi dokąd go prowadzą, a przyzwyczaił się i przywiązał do swego pisma.

Ostatni czas już z tem skończyć. Prasie katolickiej wiele z pewnością braknie jeszcze do doskonałości, lecz wszelki postęp zależy od środków, którymi się rozporządza. Dajmy jej poparcie, rozszerzajmy ją wszędzie, wyposażmy ją w fundusze, a niewątpliwie znajdzie ludzi zdolnych do pisania, będzie przynosić informacye równie pewne i szybkie, jak którekolwiek pismo przeciwników. To też zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich, którym leży na sercu rozwój ducha narodowego i katolickiego w naszym kraju, ażeby całą siłą poparli naszą prasę katolicką, zgrupowaną około polskiego centrum ludowego, a stojącą szczerze na gruncie demokracyi chrześcijańskiej. Mamy już w naszym obozie dwa dzienniki: *Głos Narodu* w Krakowie i *Dziennik Polski* we Lwowie; mamy wpływowe pisma ludowe: *Wieniec* i *Pszczółkę*, *Prawdę*, *Gazetę Niedzielną*, *Związek chłopski* i *Kuryera Dąbrowskiego*, rzeczą więc was wszystkich użyczyć im jak najskuteczniejszego poparcia, czytać je, wspierać i szerzyć, bo w ten sposób najskuteczniej działamy dla najszczytniejszych naszych ideałów, najpewniej zwalczamy wszystkie kierunki wrogie i niebezpieczne. A więc raz jeszcze, popierajmy naszą prasę katolicką polskiego Centrum ludowego!

Ks. Leon Pastor.

Wielkie zainteresowanie ankietą, przez całą opinię publiczną wszystkich trzech zaborów dowodzi, jak szczęśliwą była myśl redakcyi *Przeglądu Powszechnego* — i jak bardzo odczuwało potrzebę oryentacyi całe nasze społeczeństwo. Do wielu świetnych i głębokich myśli, zawartych w dotąd ogłoszonych odpowiedziach, pragniemy i my dorzucić naszą cegiełkę, mniejszą z pewnością

i skromniejszą od innych, lecz najpotrzebniejszą w obecnej chwili, a praktyczną.

Każdemu nasunęło się już może pytanie, dlaczego w społeczeństwach katolickich, w których innowiercy stanowią stosunkowo drobną tylko cząstkę, życie publiczne przesiąknięte jest tendencyami, ideom chrześciańskim wprost wrogiemi; dlaczego ta garstka przeciwników, zajęła dominujące stanowisko i systematycznie przeprowadza swą wolę?

Nie potrzeba iść za granicę, nie potrzeba nawet brać przykładów z za kordonu — wystarczy rozglądnąć się po naszej dzielnicy. W kraju tak przywiązanym do wiary swych ojców, pomiędzy ludnością głęboko katolicką, w społeczeństwie w którem narodowość zlewa się niemal z religią, szerzą się coraz więcej idee chrześcijaństwo zwalczające, rosną gwałtownie zastępy przeciwników, bo w ich szeregach dzięki agitacyi i niezrozumieniu ostatecznego celu, stają nawet tacy, którzy szczerze i w najlepszej wierze, uważają się za wiernych synów Ojczyzny i Kościoła. Zręczna i nieprzebierająca w środkach agitacya, posiadająca poddostatkiem ludzi i pieniędzy, prowadzi coraz szybciej ku temu, że zasady chrześcijańskie, wykluczone zupełnie z dziedziny życia publicznego, zejdą na razie do rzędu wewnętrznych tylko zapatrywań jednostek, ażeby bez siły i czynu powoli i tam wygasać.

Przed laty kilkunastu zobaczyliśmy niebezpieczeństwo, gdy już było dość groźne i rzuciliśmy się do pracy. Niestety, użyło się broni niezupełnie skutecznej, a środki były zbyt małe, ażeby mogły wydać dostateczny rezultat. Widząc niepokojący wzrost socyalizmu, działającego przedewszystkiem na gruncie ekonomicznym, rzucono hasło pracy społecznej, jako równoważnika dla akcyi socyalistycznej. Zapomniano przy tem o jednej i to najważniejszej rzeczy. Socyalizm w swej teoretycznej formie liczy i liczył niewielką tylko liczbę zwolenników, lecz w życiu publicznem pojawił się jako skrajne lewe skrzydło liberalizmu, który od wieku już pracował, ażeby opanować opinię publiczną. Społeczna agitacya socyalizmu była tylko nową formą walki, prowadzonej od dawna, formą przystosowaną do nowego terenu, jaki stanowiły sze-

rokie masy ludu. To co masonerya i liberalizm zdziałały między intelligencyą, używając haseł wolnościowych, to miał osiągnąć socyalizm u ludu, uderzając w strunę materyalną. Tem się tłumaczy jego walka przeciw katolicyzmowi, z punktu widzenia ekonomicznego zupełnie przecież zbyteczna, dlatego socyaliści od razu uzyskali jawne lub ciche poparcie bardzo znacznej części prasy, dlatego nie utrudniał im nigdy akcyi brak funduszów.

Wobec tego zamknięcie się w pracy społecznej nie mogło wydać pomyślnych skutków. Każda niemal reforma, każda nowa instytucya wychodziły na korzyść tego antychrześcijańskiego sojuszu, który nie krępował się niczem, a rozporządzał środkami, które zapewniają panowanie w życiu publicznem: wpływem politycznym, prasą i pieniędzmi.

Polityka nie stanowi z pewnością wszystkiego, jest tylko środkiem, który ma doprowadzić do celu, lecz jest czynnikiem niezbędnym, bo ona tylko może stworzyć podstawy, na których codzienną wytrwałą pracą można oprzeć całą akcyę socyalną, filantropijną i narodową. Głównym błędem taktycznym każdej chrześcijańskiej organizacyi było właśnie wykluczenie czy lekceważenie polityki. A przecież pamiętajmy, że liberalizm, masonerya i socyalizm zamieściły jako pierwszy, naczelny punkt swego programu, uzyskanie wpływu politycznego, rozumiejąc doskonale, że raz go posiadłszy z łatwością przeprowadzą wszystkie swe postulaty. To też słusznie jako powód całej wrogiej Kościołowi polityki francuskiej przytoczył O. Coubé T. J. brak po stronie katolickiej funduszów na prasę i organizacyę wyborczą. I gdy na kongresie w Lille zapytał, czy jest kto, ktoby przypuszczał, że Combes zamknąłby 1700 klasztorów, gdyby we Francyi wychodziło 1700 katolickich dzienników — nie było nikogo, ktoby dał na to twierdzącą odpowiedź.

Już od lat próbowano i u nas chrześcijańskiej organizacyi politycznej. Nie rozumieliśmy jednak całej grozy niebezpieczeństwa, więc też drobne różnice i antagonizmy, utrudniały całą robotę i zamiast skupiać, rozbijały tylko nasze siły.

Dziś już jest inaczej. Zobaczyliśmy wreszcie, że to co dzieje się gdzieindziej może przyjść i do nas, że nie czas na spory o dro-

biazgi, bo w grze są pierwszorzędne dobra i podstawy społecznego ustroju. To też wszystkie odcienia chrześcijańskich stronnictw zlały się w jedną całość w polskie centrum ludowe i przystępują do działania na gruncie demokracyi chrzecijańskiej, której zasady stanowią treść jego programu.

Jak bardzo odczuwano potrzebę takiej organizacyi dowodem fakty zewnętrzne. Od razu pod sztandarem centrum stanęło kilkunastu posłów sejmowych i parlamentarnych, od razu znalazło centrum bardzo licznych zwolenników we wszystkich sferach społeczeństwa, od razu rozporządza szeregiem pism, mających tysiące czytelników, bo *Głos narodu*, *Wieniec i pszczółka*, *Prawda*, *Gazeta niedzielna* stanęły natychmiast na gruncie jego programu.

Z otuchą przeto przystępujemy do pracy. Lecz każda agitacya i organizacya potrzebują przedewszystkiem pieniędzy, a tem bardziej nasza, która nie tylko ma tworzyć i grupować, lecz także zwalczać przeciwników, od dawna już jednających sobie zwolenników. Socyaliści i pokrewne im stronnictwa urządzają bezustannie liczne wiece, zarzucają lud setkami tysięcy broszur, gazet i pism ulotnych, objęli kraj cały gęstą siecią stałych agitatorów. Polskie centrum ludowe nie może przeciwstawić im tak długo równej działalności, dopóki na równi z nimi nie będzie potrzebowało się liczyć z każdym wydatkiem, dopóki nie zgromadzi dostatecznych funduszów. Dlatego zwracamy się do wszystkich, którzy tak jak my myślą i czują, którym na sercu leży los naszego narodu, obrona wiary i społeczeństwa, ażeby wydajnie poparli nasze usiłowania materyalnymi środkami[1]. Niema może dzisiaj ważniejszego i pożyteczniejszego celu, bo agitacya i organizacya polskiego centrum ludowego, ma zapewnić panowanie zasad chrześcijańskich i narodowych w naszem życiu społecznem, które tak systematycznie i skutecznie podkopuje socyalizm, popierany całą siłą przez żydów i międzynarodowe wolnomularstwo.

Za komitet wykonawczy »Polskiego centrum ludowego«

Ks. Stanisław Spis.

[1] Składki nadsyłać należy pod adresem: Ks. Stanisław Spis, Kraków, ul. Kanonicza 3.

ANKIETA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

(Ciąg dalszy).

Otrzymawszy dość późno zapytanie w sprawie urządzonej przez Szanowną Redakcyę ankiety, nie miałem — wyznaję — dość czasu na szczegółowe przemyślenie wszystkich kwestyi łączących się z niem, i dlatego proszę usprawiedliwić, że odpowiedź, jaką na razie dać mogę, będzie tylko ogólnie nakreskicowaną.

Naszemu społeczeństwu potrzeba bardzo tego ducha karności, solidarności, tej zdolności podporządkowania się, zaparcia osobistych zachcianek i ambicyi, tych wielkich cech, które znamionują organizacyę Kościoła katolickiego. Jakkolwiek niestety mimo żywych i silnych uczuć katolickich od wieków w narodzie polskim, cechy te ogółowi naszemu dotąd nie udzieliły się w dostatecznej mierze, by go uczynić odpowiednio odpornym na prądy rozkładowe w jego wnętrzu i na nacisk z zewnątrz — to jednak nie trzeba tracić nadziei, że przy należytem uświadomieniu sobie wspólnych niebezpieczeństw, zacieśniać się będzie coraz bardziej sojusz między czynnikami naszego życia narodowego i religijnego, że one będą szczerze i bez zastrzeżeń wzajemnie się popierać i że wtedy tak sama hierarchia kościelna, jak pozostające w związku z nią stowarzyszenia czy to o celach czysto religijnych, czy też także socyalno-ekonomicznych, postawią sobie jako nieodłączne od swej działalności zadanie: wypleniać wybujały praktyczny indywidualizm z jego anarchistycznemi skłonnościami.

Miłość Najwyższego Ideału t. j. Boga, powinna wystarczać jako motyw z a r a z e m w naszem społeczeństwie, czyli wszelkiego rodzaju sobkostwo, pod jakiemikolwiek czai się ono pokrywkami, zawodowemi, klasowemi czy stronniczemi, czy też niekiedy nawet pod pokrywką prawowierności. Ale chcąc ten cel osiągnąć, trzeba unikać działania zapomocą pobudek egoistycznych jak nadzieja nagrody doczesnej. Zarazem będąc z natury swej rzecznikiem zasad powszechnej, ogólno-ludzkiej sprawiedliwości, może Kościół katolicki najskuteczniej ochraniać nasze uczucia narodowe przed wyrodzeniem się w szowinizm, przed wytworzeniem etyki bezwzględnego narodowego egoizmu, która w najlepszym razie tylko na niedaleką metę mogłaby wydawać owoce zbawienne.

Obok tych zadań jeszcze jedno wydaje mi się niemniej piekącem, mianowicie wyrabianie wśród wszystkich szczerych katolików, mających po temu zdolności — a talentów u nas nie brak — poczucia, iż praca naukowa jak najintenzywniejsza, samodzielna i krytyczna, nie stroniąca od żadnej specyalności, jest dziś obowiązkiem świętym każdego niepozbawionego zgoła do niej daru i możności, a zwłaszcza Polaka i katolika. W Belgii, w Niemczech, we Francyi, w Ameryce nie poprzestają pisarze katoliccy na traktatach apologetycznych ani na czysto historycznych dociekaniach — ale badaniami swemi, doświadczeniami biorą czynny udział w postępie wiedzy — dość przytoczyć w biologii prace cenionego przez specyalistów Jezuity Wasmana, również należących do tego zakonu Bolsiusa, Pantela, Dierckxa, Ginety'ego, profesora Lowańskiego uniwersytetu, Carnoy'a i całego szeregu jego uczniów. Gdyby u nas powstał podobny zastęp mężów, niekryjących się ze swym katolicyzmem, ale z drugiej strony uprawiających, zgodnie zresztą z zasadą podziału pracy — wszystkie dziedziny umiejętności ze spokojem, przedmiotowo, bez szkodzącej naukowemu charakterowi ich prac tendencyi — byłoby to skuteczniejszem od wszelkiej apologetyki, bo wykazałoby naszemu myślącemu ogółowi jak na dłoni, że katolicyzm nie jest wcale zaporą w postępie umysłowości, w torowaniu jej dróg nowych, że owszem stał się niejednemu badaczowi podnietą, że mu nieraz dał szczęśliwą intuicyę nieprzekraczalnych granic między rozumem a wiarą, że

go skłaniał do ścisłości i ostrożności przy stawianiu hipotez zarówno w interesie naszej nauki, jak w interesie pogłębiania naszej religijności, życzyć nam sobie wypada jak najwięcej takich badaczy.

Dr. W. Rubczyński.

Nie będąc politykiem, nie mogę wydawać sądu o tem, jakie stanowisko mogłyby zająć zorganizowane koła intelligencyi katolickiej w sprawach narodowych i czy wogóle pod tem hasłem praca polityczna wydałaby spodziewany owoc.

Zadanie katolicyzmu, jako skrystalizowanej idei chrześcijańskiej może być przedewszystkiem społeczne. Im więcej ludzi będzie pracowało i żyło podług zasad etyki katolickiej, im głębiej we wszystkie myśli i dążenia nasze wniknie idea miłości bliźniego, tem mniej będzie złego, a tem bliżej staniemy ideału doskonałości etycznej. Podniesienie poziomu moralnego całych społeczeństw i narodów jest tak olbrzymiem a wdzięcznem i w następstwa obfitem zadaniem, że do jego spełnienia należałoby użyć wszystkich czynników i nie pominąć nawet drobnego kamyczka, jeżeli do tej budowy się przyda.

Nikt nie zaprzeczy, że wychowanie młodego pokolenia nie tylko w zasadach wiary katolickiej, ale w głębokiem pojmowaniu idei etycznej i praktycznem jej stosowaniu w życiu — jest najpotężniejszą dźwignią odrodzenia moralnego społeczeństw. Młodzież polska nie może być niereligijna, bo wynosi z domu rodzicielskiego ziarna prawdziwej i żywej wiary w sercu, ale obojętnieje wskutek wpływów poza domem rodzicielskim na nią działających. Młodzieniaszka przybyłego ze wsi do miasta większego psuje to miasto, a psuje go tak stale i systematycznie, że wyjątki tylko potrafią się oprzeć temu wpływowi; większość i to bardzo znaczna obojętna jest sprawom wiary już w połowie nauk w szkole średniej i wtedy łatwo idzie na lep taniej wymowy agitatorów, którzy od burzenia podstaw wiary rozpoczynają swe dzieło zniszczenia. Psują młodzież szkolną złe stancye, a psują

i słowem i przykładem rozluźnienia moralnego, psują ją starsi koledzy, psują osoby lekkomyślne, psuje ją życie samo, w którego objawach młodzieniec nie widzi zgody z prawdami wiary i wątpi w ich istotę.

Rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby wiarę w młodzieży osłabiały nauki przyrodnicze, przeczę stanowczo i owszem twierdzę, na przykładach i doświadczeniu oparty, że nic prościej i pewniej nie wiedzie do Boga, jak poznanie przyrody ziemi i wszechświata. Czemuż nikt dotąd nie zarzucił lekturze autorów starożytnych, zwłaszcza łacińskich, że osłabiają wiarę przez pogańskie ideały etyczne? (Np. epikureizm Horacyuszowski).

Szukajmy prawdy jasnego promienia,
Szukajmy nowych, nieodkrytych dróg...

1) Trzeba rozciągnąć opiekę nad młodzieżą, mieszkającą na stancyach; gdzie takich towarzystw niema, należy je jaknajrychlej zorganizować i wspierać szkołę.

2) Trzeba zmienić nauczanie religii, jako przedmiotu wyłącznie pamięciowego, zerwać z odpytywaniem »odtąd — dotąd«, z którem już szkoła w innych przedmiotach zerwała, a objaśniać, rozwijać, utrwalać i pogłębiać wszystkie szczegóły odnoszące się do zasad wiary.

3) Trzeba w etyce położyć nacisk na treść, na spełnianie czynów dobrych, a nie na formę, bo wiara w słowach, bez uczynków jest martwa.

4) Trzeba zmienić podręczniki dogmatyczne, suche i do zrozumienia trudne na dzieła apologetyczne i etyczne, jasne i przystępne.

5) Trzeba nauczycielom religii czyli t. zw. katechetom szkół średnich, dać prócz teologicznego, wykształcenie uniwersyteckie w filozofii i socyologii, ukoronowane uzyskaniem doktoratu filozofii; trzeba utworzyć dla nich stypendya na czas tych studyów w kraju czy zagranicą i tym sposobem dać im nie tylko w zupełności równe, ale przewagą wykształcenia wybitne w gronach nauczycielskich stanowisko. W wyborze osób do tego zawodu powinien rozstrzygać *ceteris paribus* talent pedagogiczny i oratorski.

6) Trzeba we wszystkich akcyach religijnych zachować żywy

związek z życiem a nie odgradzać się od niego murem chińskim; z życia należy czerpać materyał do kazań, bo nauka z ambony, czy w konfesyonale podana jest tem skuteczniejsza, im bardziej ludzka, im bardziej płynie ze współczucia i miłości bliźniego.

Wreszcie słówko o roli katolicyzmu u nas w Polsce i dzisiaj.

Jeżeli katolicyzm ma być wpływowy, musi być narodowy; z pojęciem Polaka musi się zróść pojęcie katolika, tak jak to jest w Prusiech zachodnich i w Poznańskiem. Kosmopolityzm szkodzi Kościołowi katolickiemu u nas i katolicyzm polski nie powinien »mieć żadnych z obłudą sojuszów«... Katolicyzm stanie na tem silniejszej w naszym narodzie podstawie, im więcej uszanuje tradycyę polską. Wyrzucanie np. polskiej pieśni z kościoła po wiekowej tradycyi, a wprowadzanie łacińskiej, nie wyrządzi przysługi katolicyzmowi w Polsce.

Roman Zawiliński,
Dyrektor gimnazyum w Tarnowie.

Ważnem, bardzo ważnem zadaniem naszem powinno być oczyszczenie z chwastów pola naukowej, artystycznej i literackiej krytyki. W ostatnim dziesiątku lat zeszło na tym ugorze i rozbujało przerażające swoją potwornością zielsko. Nie potrzeba wskazywać palcem wielkiego historyka, którego istotą wielkości jest autoreklama, nie trudno znajść wielkiego malarza, którego dzieł nigdzie nie widać, który nigdy żadnego obrazu nie wymalował, nie trudno znajść wielkiego poetę, w którego krótkim utworze *Poradnik językowy* wytyka — to nie żart, moi państwo, to rzeczywistość i prawda — ośmdziesiąt sześć ortograficznych błędów. Na polu krytyki opinia u nas nie istnieje, istnieje tylko jej surrogat, paradoks. Byle śmiało, byle bezczelnie powiedziany. Kałuża, a nad nią słońce świeci. Przyszedł pan, dla którego jedyną uczelnią, jedynym uniwersytetem była dziennikarska kawiarnia, przyszedł pan, któremu tysiąc prześlęczanych nad książką nocy zastąpił *Fremdenwörterbuch, Pierre Larousse* i *Lexikon fremdsprachlicher Citate,* przyszedł i krzyknął:

— To słońce jest czarne, jak noc, a w tej kałuży płynie szampańskie wino.

Dawniej zamknęlibyśmy go do czubków. Dziś na seryo rozważamy paradoksy, które on plecie. To mało. Jego paradoks, ze złą wiarą, śmiało i bezczelnie powiedziany, przechodzi w krew ludzi oszołomionych, staje się wyznaniem publicznem i wiarą publiczną. Oto gawiedź powtarza chórem:

— To słońce jest czarne, a w tej kałuży płynie szampańskie wino.

Rdzeń narodu jest i będzie zdrowy. Oni widzą, że słonko jasno świeci, czują, że kałuża literacka cuchnie. Ale, o dziwo! Nikt tego nie ma odwagi powiedzieć. A jeśli nawet powie, to półsłówkiem, jeśli napisze, to wdziawszy na palce rękawiczki. Nie potrzebuję chyba wyraźnie wskazywać sławnych historyków literatury, którzy w sprawie kałuży... jednego słowa nie napisali. Bo... Bo się obawiają, aby nie odegrali roli Koźmianów, Osińskich i Dmochowskich wobec dzisiejszych operetkowych Mickiewiczów...

Naprawdę temat do operetki. Znam wielkie dzienniki, które były i są twierdzą tradycyi. Ponad linią fejletonową była i jest nagonka na nas, demokratów, a pod linią... Boże wielki! Nie było jednej rozstrojowej ramoty, którejby pod niebiosa nie podnoszono. Tam, pod linią fejletonu, przeczono temu, co było nad linią, tam zachwalano szampańskie słodycze z kałuży, tam protegowano wszelkie obrzucania błotem i bluźnierstwa, wszelkie »szarpanie trzewiów matki«. Gdy w części politycznej pisma gotową była redakcya kruszyć kopię nawet za średniowieczną barbaryę, to w fejletonie, w małym sprawozdawczym fejletonie, ma przystań, ma reklamę, ma ochronę, ma apologię i apologetyczną egzegezę wszelka, malarska i literacka miernota, byleby markę nowożytnego rozstroju i rozkładu miała. Wszak tam pisano reklamy o bez granic miernej Androgyne...

Nie jestem wcale kaznodzieją, który przeciw rzekomej zgniliźnie dzisiejszego pokolenia występuje. Jest notoryczną nieprawdą, jakobyśmy gorsi od naszych praojców byli. Łatwo dowieść, że literacka pornografia większa, śmielsza i bezwstydniejsza dawniej

była. Dość będzie wspomnieć »Dekamerona« Boccacia i swawolne »Fraszki« Kochanowskiego. Krakowska Akademia Umiejętności wydała z rękopisu pisma z XVI wieku Anonima (Stanisława Porębskiego?), w których są fraszki, przechodzące zaprawdę granice swawoli. Takich utworów jak »Pani do woźnice«, »Sobótka« i t. d., żaden pornograf dzisiejszych dni napisaćby się nie ośmielił. Myśmy dziś lepsi — nie gorsi. Ale nie wynika z tego wcale, jakoby należało urzędowo propagować pornografię. A jednak dzisiejsza anarchia krytyczna to czyni. Dlaczego? Bo tym krytycznym pajacom ulicy, tym ludziom po polsku piszącym, polskie szowinistyczne frazesy nierzadko deklamującym, Polski zaś z całej duszy nienawidzącym, jest wszystko na rękę, co rdzenną Polskę osłabić i rozstroić może. Wszczepiają nam małpią ospę rozstroju, wstrzykują w nas morfinę, propagują pornografię i literacką neurastenię. Kult idyotyzmu nas osłabi. Za ubranym w polską maskę wrogiem naszym, wlecze się cały szereg gapiów bez własnej duszy, bez własnego zdania, byłych klakierów teatralnych, których ironia losu awansowała na dziennikarzy, którym babiloński szał dzisiejszych dni dał pióro recenzenta do analfabetycznej niedawno ręki. Wrzeszczy zgraja:

— Słuchajcie ludzie, w tej kałuży płynie szampan! *Munim Extra Dry! Veuve Cliquot et St. Marceaux!* Pijcie! Co?! Gęba wam się krzywi?! Uciekacie z Wystawy Sztuk Pięknych?! Szczęki wam z zawias wychodzą podczas spektaklu w teatrze?! Boście barbarzyńcy! Pij chamie dalej, a zasmakujesz w tym rosolisie. W tej chwili jesteś tym, któremu po raz pierwszy zastrzyknięto morfinę...

. . . . . .

Ogrom narodu ma chłopski rozum i chłopskie zdrowie. On wie, że słoneczko śle morze jasności, on wie, że w kałuży jest gnojówka. Ale ten ogrom nie ma organizacyi, nie umie wypowiedzieć zbiorowego zdania. A ci z nich, którym los czy talent dał pióro do ręki, ci — liczę się zupełnie z rozmiarami słowa — ci tchórzą. Boją się smutnej doli Osińskich i Dmochowskich. Kto ma choć odrobinę odwagi kałużę nazwać kałużą, ten jest w prasie odosobnionym. Losu tego doświadczyłem na własnej skórze. Dla tych, co żyją kulturą wielkich miast, słowa moje są jasne. Oni

wiedzą o kim i o czem mowa. Oni znają historyczny fakt, że jakiś kretyn, ucząc młodzież w Szkole Sztuk Pięknych, powiedział, że obrazy Matejki należy wynieść na plac kleparski i podpalić, bo one czego innego nie warte, — oni wiedzą, że sławny na całą Polskę alkoholik, pouczał studencików gimnazyalnych: szukasz dziecko szczęścia w życiu, znajdziesz je, jeśli strzelisz sobie w łeb.

Należy nam stworzyć krytykę. Zbudować i podtrzymać opinię, której gmach ryją i podkopują, obalić molocha paradoksu. Mieć odwagę powiedzieć, że ten, co studentom doradza samobójstwo, nie jest wodzem myśli narodu, ale zbrodniczym kabotynem, należy sprawić organizacyę, któraby płytkom dziennikarskim społeczeństwa bałamucić nie dała, któraby wskazała nieświadomym gdzie słonko jasne, a gdzie ohydna kałuża.

Ludwik Stasiak.

Pędzi błyskawiczny pociąg. Zdaje się, że bieg jego nie ma końca. Mija ciągle pomniejsze stacye i miasteczka, przebiega dziesiątki kilometrów, nie myśląc o wytchnieniu. Włościanin, oparłszy na chwilę rękę swą o kosę, spojrzał nań, zadumał, i — już go z oczu stracił. Podróżny, znużony zasypia w wagonie. Maszynista nawet umęczony utkwił niedbale wzrok swój w daleką przestrzeń i wydaje się, jakoby on, kierujący pociągiem, najmniej wiedział, że w dłoni jego wielkość siły i chyżości biegu i bezpieczeństwo podróżnych.

Przystanął. Wszczyna się nowy, zupełnie odmienny ruch. Maszynista bada okiem znawcy, czy maszyna podoła wytrzymać trudności dalszej drogi, zabiera wodę i węgle; a inny uderzając młotem w koła, nadsłuchuje, co mu oddźwięk uderzenia powie.

Podobnie na początku nowego wieku pędzi lotem błyskawicznym społeczny, umysłowy i polityczny ruch we wszystkich swych objawach. Żywot jednostki, nie stojącej na uboczu od owego ruchu, jest jakoby w szalonym wirze. Idee tworzą się i obejmują coraz to szersze kręgi obywateli. Poco? By za chwilę nowe w nich pragnienia obudzić i nowym ideom ustąpić. Ludzie, ba nawet

ludzkość cała, ulega chwilowym wrażeniom, które ją w szalony wir porywają, nie dając wytchnienia, by się rozglądnąć, rozważyć i zbadać, czy i o ile owe ideały są w możności ją uszczęśliwić.

Co począć? Zadaniem każdego myślącego jest, na wzór owego maszynisty, na chwilę przystanąć, by w spokoju zbadać, czy owe ideały są na czasie i co uczynić, by ująć je w pewne formy i nadać im siłę tworzenia, a jeżeli szkodliwe, zwalczać i usunąć.

Takie zadanie postawiła Czcigodna Redakcya *Przeglądu Powszechnego,* nawołując do ankiety ludzi z różnych obozów i różnych powołań, ażeby wyrazili swe zapatrywanie na ono ważne zagadnienie: »Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm ma dzisiaj u nas w Polsce do spełnienia«. Poco? Ażeby na wzór dobrego kupca i *Przegląd Powszechny* i jego czytelnicy zrobili bilans ze swego »ma i winien« i ażeby zbadali, czy czegoś w maszyneryi do ich zakresu przynależnej nie brakuje a i na dalszą podróż nazbierać nowych zapasów.

Zaproszony przez Szanowną Redakcyę do skreślenia mych skromnych uwag, ścieśniam całe to ogromne zagadnienie do małych rozmiarów, t. j. do roli proboszcza na parafii i w krótkości skreślę nasze »ma i winien« na parafii.

Jak wygląda nasze konto »ma«?

Pod względem spełniania obowiązków w dziedzinie ekonomii praktycznej, wywiązał się nasz polski ksiądz ku zupełnemu niemal zadowoleniu. Dąży i on sam z zupełną świadomością do celu i prowadzi tysiące tysięcy włościan ze sobą do zrozumienia doniosłości dobrobytu, ucząc ich, jak tenże dobrobyt wywalczyć sobie i utrzymać go. Że tak jest, świadczą o tem setki Kółek rolniczych, które przeważnie w rękach księżych się znajdują, przez tychże zostały stworzone i są zawiadywane. Świadczą Spółki oszczędności i pożyczek. Bo na 348 spółek z dniem 31 grudnia 1904 r., w samym zarządzie brało czynny udział 266 kapłanów, a to 184 było przełożonymi zarządu, 8 kasyerami a 74 przewodniczącymi rad nadzorczych.

A praca to wielka, bo wymaga wiele poświęcenia i wiele bezinteresowności!

Pod względem społecznym polski ksiądz jest kitem, który łączy stan włościański ze stanem obywatelskim. Na mocy swego powołania stoją mu otworem podwoje dworu, drzwi warsztatu i nizkie odrzwia chaty. I bywa ksiądz tu i tam, by u jednych i drugich przesądy, jeśli są jeszcze, zwalczać, do niedawna zwaśnionych godzić i szerzyć katolicką jedność opartą na miłości Kościoła i ojczyzny.

Pod względem politycznym miał polski ksiądz bardzo skromny zakres działania, bo go ograniczono na zakrystyę, a gdzie działał, to zawsze z korzyścią dla ludu i ojczyzny. Jaki na to dowód? Wielki. Bo nikt jeszcze w Polsce nie zarzucił księdzu braku patryotyzmu.

Takie nasze konto *habet.*

Jakie zadanie ma przyszłość?

Do niedawna jeszcze włościanin nasz spoglądał na ruch polityczny tak samo, jak, stojąc przy kosie, przyglądał się pociągowi błyskawicznemu, który w mgnieniu oka obok niego przemknął. On był zupełnie obojętny na ruch polityczny, i czasem tylko iskra elektryczna wstrząsnęła nim, a to przy wyborach do sejmu i do rady państwa.

Obecnie inaczej. Prawda, że znaczna większość włościan i dzisiaj jeszcze jest zupełnie obojętną a i nieświadomą ruchu politycznego. Ale za to pewne jednostki w każdej parafii, w każdej niemal gminie rwą się do życia politycznego z entuzyazmem młodzieńca, z silną wiarą i zapałem, który podziwiać i pochwalić należy. Nie chcą już poprzestać na roli obserwatora, nie chcą być manekinami, ale chcą sami już kierować polityczną nawą. Tak jest. Z tym faktem trzeba się liczyć. A biada, jeżeli go ci, którym przyszłość kraju w pierwszym rzędzie na sercu leżeć powinna, ignorować będą. Agitacya w tym kierunku zakreśla z każdym dniem coraz to szersze kręgi.

Tego rodzaju włościanin uważa się za dorosłego, za świadomego celu i chwyta niejako z chorobliwą gorączką hasła i poi się obietnicami, które, jako narkotyk upajają go w tem przeświadczeniu, że ma już dostateczną samowiedzę, talent, siłę i doświadczenie polityczne. Z roli biernego podróżnika chce wyjść,

aby objąć rolę maszynisty pociągu. A przecież silny to i bardzo ważny czynnik w społeczeństwie każdem a i w polskiem, który też na szalę przyszłości usiłuje dorzucić swoje »ja«, i zupełnie słusznie i sprawiedliwie. Ale jaki będzie bieg tego pociągu błyskawicznego pod kierunkiem takich nowych maszynistów?

Jakież tedy ma zadanie proboszcz wobec tego ruchu?

Ukochać całą duszą stan włościański i zupełnie mu się poświęcić. Tak. Ujmijmy się uczciwie, otwarcie i z współczuciem doli chłopskiej, bo bądź co bądź, twarda ona i rychłej naprawy czeka. Chłop polski najuboższy w państwie. Ma ci wprawdzie wielu dzisiaj opiekunów. A gdy się jeden przestanie nim opiekować, na miejsce tego wyrasta nowych dziesięciu. Wszyscy niby o nim myślą, a mało kto rzetelnie dla niego pracuje. Lichwa go pożera. Procesy ubożą. Chciwość różni sąsiadów. Pijaństwo tu i owdzie jeszcze go rujnuje. Niezgoda w małżeństwie. Żądza używania i strojenia się. I dziwna choroba, co go wypycha z pod strzechy rodzinnej, choćby na zarobek lichy do Prus. U wielu namiętność politykowania, a i ogromna żądza wiedzy. Dużo słyszał, dosyć czytał. Szedł i idzie jeszcze na oślep. Chociaż u wielu obudził się już zmysł krytyczny i umie swym chłopskim rozumem rozeznać, kto mu naprawdę dobrze życzy i uczciwie dla niego pracuje.

Jakżeż ogromne pole do działania dla proboszcza. Nie mówię o działalności w kościele i w szkole, gdzie występuje w roli nauczyciela, w imieniu Boga, jako Jego maluczki szafarz. Mam na myśli pracę poza sferą duchowną, według onego napomnienia, co padło niedawno z Watykanu: »Wychodźcie z zakrystyi! Wchodźcie w blizkie stosunki z ludem i oddawajcie mu usługi. Idźcie śmiało i z zapałem!« Jeżeli pójdziemy między drogie nasze dzieci, to fale socyalizmu rozbiją się o opokę Kościoła. Ale nie oglądajmy się na nikogo w parafii, bo w tej pracy nikt nam nie pomoże, nikt nas nie wyręczy.

Może powiesz mi tak. Tyle już włożono pracy dla dobra ludu, tyle poniesiono ofiar, tyle nasi Czcigodni obecni Księża Biskupi robią dla niego, a przecież ten lud polski nie stoi ze zupełnem zaufaniem przy swoim proboszczu. Powierza mu los

duszy swej, a nie chce się poddać jego kierunkowi w politycznym, społecznym i ekonomicznym zakresie.

Nie dziwcie się temu. Włościanin nasz to dziecię. Ufa temu, co mu obiecuje. Lęka się tego, kto go straszy. Ale pamiętajmy ciągle o tem, o czem my proboszczowie najlepiej wiemy, że to naprawdę niezepsuty lud, że to poczciwy, święty i bardzo dobry ten chłop polski, że to dusze na wskroś szlachetne. Dzisiaj odruchowo broni się przed rdzą sceptycyzmu, jaki w niego z wielu stron sączą. Jutro uczyni to ze świadomością. Weźmy go za rękę; ale z macierzyńską miłością, co sercem prowadzi i prowadźmy go. Wszak tylko proboszcz stoi w ciągłym kontakcie z ludem. On, na mocy swej misyi, jest dla ludu ojcem, bratem, przyjacielem, sędzią, adwokatem, doradcą, pocieszycielem. Jednem słowem: wszystkiem. »Stałem się mdłym mdły, abym mdłych pozyskał. Wszystkim stałem się wszystko, abym wszystkie zbawił« (1 Kor. 9, 22). Niechajże tedy plebania pozostanie na zawsze ogniskiem parafii. Zaniedbamy nasze powołanie, to lud bez nas zacznie hołdować namiętnościom i występkom, i zajdzie do pogańskich zasad. A wtenczas stanie się to, o czem już mówił Tacyt: *Ruere in servitium*, zagrzebie się sam chłop polski w niewolę. Bo jeżeli nie pójdzie z nami, to pójdzie z tymi, co mu ciągle kłamią, co wpajają w niego zawiść przeciw innym stanom, co dążą do usunięcia Boga i religii.

Jak robić?

Czy wskazówki tu podane mają jaką wartość? — nie wiem. Kreślę to, co sam, jako proboszcz, czyniłem i to, com oglądał na innych parafiach.

Najpierw zaprowadzić »Związek katolicko-społeczny« w każdej parafii. W lwowskiej i przemyskiej dyecezyi już się zabrano do tego dzieła.

Jaki mają cel te związki, wyjaśniają listy pasterskie. Więcej tedy o tem pisać, zbyteczną byłoby rzeczą.

Drugim środkiem byłyby »zebrania czysto włościańskie, złożone z samych pełnoletnich parafian«. Możnaby i lepszą młodzież dopuszczać. Kiedy je urządzać? W niedziele i w święta. W dużych parafiach zaraz po sumie, bo wtenczas przyjdzie

większość. W mniejszych parafiach po nieszporach. Gdzie? Rozchodzi się o obszerną salę. Gdzie jest stowarzyszenie »Sokoła« albo inna duża sala, to je tam urządzać. W braku tychże w szkole. Czy wolno w szkole? Gdzie jest zawiązane Kółko rolnicze albo Czytelnia krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, tam wolno odbywać zebrania w szkole. W lecie, sądzę, że najlepiej pod gołem niebem.

Praktyka wskazuje, że proboszcz wiele może dokonać na takich zebraniach. Dlaczego? Wszakci to jest wrodzone naturze ludzkiej, że się poddajemy większości we wszystkich niemal zakresach naszego życia. Większości poddajemy się w życiu towarzyskiem, w parlamentach, w radach gminnych, bo się poddać musimy. A i z tytułu moralnego wyrabia sobie większość supremacyę, a z nią karność i zaparcie się indywidualnych zachcianek.

Zróbmy sobie taką większość między parafianami. Jak ją zdobędziemy? Pamiętajmy o tem, że ludzie małej intelligencyi nie porwą ludu za sobą, jeżeli wśród tego ludu staną ludzie z wyższą intelligencyą i poczciwem hasłem. Tę wyższość i te poczciwe hasła my mamy. Gdy się raz skutek odniesie, potrzeba potem ciągle go podtrzymywać, by wszedł zwolna w krew i kości parafian.

Jak postąpić w praktyce? Sprosić w każde święto i w niedzielę parafian, czy to zaraz po sumie, czy po nieszporach na zebranie. Tamże odczytać im takie ustępy, czy to z *Prawdy*, czy z *Gazety niedzielnej* czy z *Ojczyzny*, *Postępu* lub innego pisma, które są aktualne i blizko obchodzą włościan. A więc ich wiarę, moralność, dobrobyt, rolę, przyszłość. Z odczytanego artykułu nasuną się wnioski. Zachęcić zdolniejszych, by przemawiali. To przychodzi trudniej. Włościanin lęka się, by się nie narazić na śmiech lub szyderstwo. Otóż potrzeba sobie poprzód choćby trzech takich wyrobić. Stykać się z nimi częściej, rozmawiać i dawać do czytania poważniejsze rzeczy. A gdy się ośmieli wynurzać swe zdania i przekonania przed proboszczem, to już na zebraniu śmiało głos zabierze. Po dyskusyi nad jakąś kwestyą, powinna nastąpić uchwała zebranych. Bo gdy parafianie powezmą jaką uchwałę, to ona staje się ich własnością i o niej mówić i bronić

jej będą. Gdy się tak dłużej popracuje, to się będzie miało stałą większość parafian, a i tę pewność, że ani socyalista, ani ludowiec nie przekroczy bezkarnie granic parafii. Ludzie sami się już bronić będą a i zaczepnie wystąpią przeciw tym wrogom chłopa polskiego.

W ważnych sprawach powinno się uchwały do protokółu wpisywać, a pod niemi mają się wszyscy podpisać. Wniosku sam włościanin jeszcze nie opracuje. To już rzecz proboszcza. Jeżeli chce jakąś uchwałę przeprowadzić, niechajże zaprosi kilku z parafian, sprawę omówi i wyjaśni i jednemu lub kilku z nich niechaj odda gotowy wniosek na piśmie, ażeby go oni na zebraniu niedzielnem postawili, wyjaśnili i do podpisania innych nakłonili.

Powoli wyrobią się kierownicy, którzy zastąpią proboszcza i oni zostaną przewódcami i będą panowali nad wolą innych i przerabiali serca ich na lepsze. O żadnym bowiem parafianinie nie wolno zwątpić. Bo zaniedbane serca, to jak kłoda drzewa, co leżała długo na słocie. Zdaje się być próchnem, na paliwo nawet nieprzydatnem. Ale uderz siekierą raz i drugi, a trafisz na zdrowy rdzeń. Bijmy tedy siekierą w to na pozór próchno, a dojdziemy do zdrowego rdzenia i urobimy z niego to, co Bogu chwałę a ludziom korzyść przyniesie.

Nie dopuśćmy, by na wsi zanikło poczucie religijne. Bo trzeba ciągle o tem pamiętać, że wieś zawdzięcza swą moralną wyższość nad miastem temu swemu głębokiemu poczuciu religijnemu, którego miasta nawet nie rozumieją. Trzeba żyć na wsi, by widzieć tę ogromną wiarę i tę bezgraniczną miłość Boga, która mieszkańca miast w podziw wprowadza. O bo ten chłop polski, to prawdziwy wyznawca Jezusa Chrystusa. Ale w miarę, jak to poczucie zanika, upada najsilniejsza podpora przeciw naciskowi zepsucia, jakie z miast i z zagranicy ogromnem korytem do wsi przypływa. A wtenczas i rodzina i wieś zaginą, a niewierny miejski tłum zwycięży. I pójdą parafianie, ale bez nas, nowemi drogami i staną się podobnymi tym, którzy nowych nauk nabrali w pewnym salonie we Lwowie i na bruku wiedeńskim. Może się mylę. Obym się pomylił.

Po trzecie. Gdzie niema jeszcze kas Raiffeisena, zaprowadzić je i być w nich przewodniczącym zarządu. Spółki te, w licz-

bie 348, zostające pod patronatem Wydziału Krajowego, udzieliły pożyczek w r. 1904 na kupno gruntu 2,866.623 K. A razem w tym roku 7,469.465 K. Moja skromna spółka w ośmiu latach nabyła gruntu z obszarów dworskich i innych za 408.202 K., a miała obrotu 2,311.318 K. 94 h. Żydzi gromadnie opuszczają parafię, w której spółka istnieje. Dobrobyt się wzmaga. Domy bywają dachówką kryte. Inwentarz silny. Rolnicy dobrze się odżywiają i dobrze mają. Lichwiarz, czy żyd, czy chłop, niema co w takiej parafii robić.

Zachęcają niektórzy do zakładania spółek spożywczych. Mojem zdaniem, takie spółki się nie udadzą. Wiele już ich było i wszystkie niemal zbankrutowały. Miałyby one racyę bytu, gdyby niemi zarządzały zakonnice, raczej służebniczki lub siostry św. Franciszka. Ale to w dalekiem polu, bo nie wnet władza duchowna zgodzi się na to, by sklepy po wsiach i spółki spożywcze, były w rękach sióstr. Chociaż z czasem i to się stanie. Mogły służebniczki iść z sierpem na czele wśród wielu robotników, toć mogą prowadzić sklepy po wsiach i spółki spożywcze. Gdy się to stanie, towar potanieje a włościanin otrzyma dobry i tani towar. Trzebaby atoli najpierw, ażeby w każdej parafii sklep pierwszorzędny był w rękach sióstr. A następnie, ażeby w Krakowie założono ogromny skład wszelkich towarów, ale na to tylko, by po cenach najtańszych zaopatrywać wszystkie sklepy wiejskie w najdoborowszy towar. Warto o tem pomyśleć.

Zajmijmy się wychodźcami do Ameryki w pierwszym rzędzie. Wszakci niemal z każdej parafii 20% i więcej bawi w Ameryce. U mnie 25% Pieniędzy stamtąd bardzo wiele przypływa. Najubożsi zakupili sobie po dwa a i po dwanaście morgów. Wielu umiera na suchoty, garstka ginie z lekkiego życia, znaczny procent osiedla się stale w Ameryce, gdzie albo zakupili kamienice, albo grunt, albo ma restauracye. Reszta wraca. I trzeba przyznać, że wraca bardzo moralna, światła a i bardzo pracowita. Bo tam tylko lekkoduchy giną. Ale potrzeba nakłaniać męża, by po znalezieniu pracy zabrał potem z sobą żonę. Proboszcz powinien o wszystkich wiedzieć, z wszystkimi ciągłą korespondencyę prowadzić, ich interesa tu w kraju zastępować, i w sądzie

i w gminie. Dla nich kupować grunta i na nich intabulować. Jednem słowem być ich pełnomocnikiem.

Zakładać biblioteki krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej. Najpierw w szkole, następnie w tej wsi, gdzie obywatel wiejski, albo uczciwy włościanin podejmie się tej żmudnej pracy. Lud chciwy czytania. U nas w Mielcu żydki sprzedają broszury najlichsze po kilka halerzy, które młodzież chciwie kupuje i chciwie czyta. Dajmy tym głodnym zdrowy chleb z biblioteki, która stoi pod opieką proboszcza. A dajmy mu i broszur wiele. On zapłaci, byle nie drogo.

Odczyty. To ważna rzecz. Ale profesorowie niechaj przybywają z tego rodzaju odczytami, które korzyść włościaninowi przynoszą, które go zajmują i które on rozumie. Nauczyciele wiejscy wiele też w tej sprawie mogą dobrego zdziałać. Ale dla nich powinny być dostępne publiczne biblioteki wędrowne.

Teatra ludowe i jasełka, to lekarstwo dla młodzieży wiejskiej. Oj ta wiejska młodzież! Ona prawdziwym krzyżem dla proboszcza. Ciągle ci się z ręki wyrywa. I tobie i ojcu.

Trzeba ją czemś zająć. Uczenie się sztuk teatralnych zapełni mu wolny czas i przyciąga go do proboszcza.

Z wójtami częściej się stykać i czasem na obiady ich zapraszać. Przez nich ma się wpływ na gminę. Nie zapominać o nauczycielach. Wszakci oni powinni być prawą ręką proboszcza. Ażeby takimi byli muszą być twoimi częstymi gośćmi, i musisz być ich przyjacielem i to za wszelką cenę. Otoczyć ogromną czcią na ambonie niewiasty — żony, by ich mężowie nie bili, ale za prawdziwą połowicę duszy swej mieli. Zachęcać sąsiadki, by w czasie połogu słabą zastępowały w domu i wszystkiem się zajmowały. Zwalczać procesa o obrazę honoru i na ambonie i w prywatnych rozmowach. A odwodzić od zaorywania miedz, które tyle bijatyk, kalectwa i więzienia sprowadzają. Trzeba skończyć; boć to, com napisał, to każdy proboszcz czyni.

Na zakończenie jedno słowo jeszcze. Słyszałem nieraz, że teraz gorzej, niż ongi. Nigdym temu twierdzeniu nie dawał wiary i nie uwierzę. Czemu? Bo rzeczywiście pod każdym względem jest lepiej. Przecież tak społeczeństwo, jak i człowiek, nie działa

ciągle źle. Owszem i złe i dobre się miesza. Ale więcej dobrego niż złego. Są bardzo wzniosłe czyny, są i zwierzęce. Jedno jest. A to, co trafnie skreślił Leon XIII, »jest tylko trwożliwe oczekiwanie przyszłości«. A mimo to nadzieja nie powinna nikogo opuścić. Jakto? Przecież Kościół święty wychowywał nasze społeczeństwo polskie dziesięć wieków. Przez te szeregi wieków był naród nasz kierowany i wychowywany przez biskupów, kapłanów i zakonników. I z tego wielowiekowego wychowania miałożby powstać takie na wskróś zepsute społeczeństwo? To niemożliwe. Bądźmy sprawiedliwymi. Ta oświata, która była w zaczątkach swych chrześcijańską, musi wydawać obecnie i w późniejszych czasach bardzo szlachetne i bardzo podniosłe owoce i rodzić wierzące duchy. Będzie się mieszało złe z dobrem. Czemu? Bo to taki los śmiertelnych. Ale przecież więcej jest dobrego i więcej go będzie. Nie załamywać tedy rąk, ale iść i pracować, ale z miłością. Miłość stworzyła szpitale, domy przytułku, ochronki, zakony dla wykupna niewolników, dla opiekowania się trędowatymi, dla uczenia ciemnych i głuchoniemych, dla zajmowania się nieuleczalnymi, dla ratowania błądzących chłopców i upadłych dziewcząt. Czego ta miłość jeszcze nie dokona! A kto jej granice działania zakreśli?

Wróg nas nie zwycięży. Gdy Spencer a za nim inni mówią: »precz z miłosierdziem, bo ono opóźnia śmierć słabych a zwycięstwo mocnych, czyli opóźnia postęp ludzkości«, to my głośmy miłosierdzie, bądźmy miłosiernymi, bądźmy samą miłością, w myśl słów św. Pawła: »A o miłości braterstwa nie potrzeba nam do was pisać: albowiem wy sami jesteście nauczeni, abyście jedni drugie miłowali«. (I. Thess. 4, 9).

Mamy dosyć wolności i dosyć swobód. Ale z tych wolności najwięcej korzystają socyaliści i ludowcy, którzy kłamstwem się posługują i z poza płotu na uczciwych ciosy rzucają. I odpór w społeczeństwie z każdym dniem słabnie. Nie pomaga cenzura, ani sądy przysięgłych, ani konfiskata, ani przymusowe podpisywanie się redaktora. Prasa zwyciężyła.

Społeczeństwo zdobyło ogromną moc politycznych swobód. Jednego atoli w tem wszystkiem brakuje. Czego? Korony. Ja-

kiej? Uznania praw Jezusa Chrystusa, któremu zostały oddane w dziedzictwo narody. Cała budowa na którą składają się obecnie zdobycze polityczne, jest wspaniała. Dodajmy do niej gotycką wieżę, a dzieło będzie zupełnie skończone. Tą wieżą to prawo i ewangelia Chrystusowa.

Ks. A. Kopyciński.

Zadanie Kościoła jest wszędzie i zawsze to samo, rozbudzać i utrzymywać ducha Chrystusowego na ziemi — i gdyby ono jedno było należycie spełniane, znalazłoby się w niem rozwiązanie wszelkich możliwych kwestyi, zarówno osobistych, jak rodzinnych i społecznych. Chrystus Pan, ogłaszając światu »dobrą nowinę«, przewidział w niej wszelkie potrzeby ludzkości i na każdą z nich obmyślił skuteczny ratunek. Gdy więc Apostołowie roznieśli ducha jego po świecie, to chociaż oprócz małych rozporządzeń co do jałmużny nic nie urządzali, a tem bardziej nic nie burzyli, duch ten spłynął całkowicie na odmianę zasad pogańskich, zmieniając swojem działaniem i stosunki i prawa, obyczaje i zwyczaje i dając podstawę całej nowożytnej cywilizacyi chrześcijańskiej. I potem ile razy świat bardziej odstępował od Ewangelii, tylekroć Bóg posyłał mu nowych Apostołów, którzy również nic innego nie czynili, tylko rozbudzali uśpionego ducha Chrystusowego, a ten — sam przez się potrzebnej reformy dokonywał.

Tak jest i dzisiaj. Wielkie są i naglące potrzeby ludzkości, ale zdaje się i każdy się na to zgodzi, iż najpilniejszą z nich wszystkich jest rozwiązanie tak zwanej kwestyi socyalnej. Tak bowiem groźnie przedstawiają się światu ci, którzy nie będąc powołanymi, sami się porywają do załatwienia jej bez Boga, że to samo już woła o ratunek do Kościoła. Dzieło przez nich zaczęte Kościół tylko gruntownie załatwić potrafi i to nie innymi środkami, jeno przez podniesienie ducha Chrystusowego.

Mogą rządy przez swoje prawa zmuszać pracodawców do jakichś ulg dla klas roboczych i do zabezpieczenia ich losu; mogą ludzie dobrej woli ponosić w tymże celu jakieś ofiary lub two-

rzyć stowarzyszenia, ale ostateczne rozwiązanie tej sprawy leży tylko w rękach Kościoła. Można powiedzieć, że Kościół od pierwszych dni swoich na świecie już całą kwestyę socyalną w duchu Chrystusowym rozstrzygnął. Czytamy w Dziejach Apostolskich, że pierwsi chrześcijanie przynosili swoje majętności i składali je u nóg Apostołów, dla rozdzielenia między bardziej potrzebujących. Nikt im tego nie nakazywał, ale gdy usłyszeli słowa Chrystusa: »Cokolwiek uczynicie jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili — cokolwiek chcecie, aby wam drudzy czynili i wy im czyńcie — dajcie, a będzie wam dano — jaką miarką mierzycie, taką i wam będzie odmierzone«, — nic dziwnego, że sami się do tego poczuwali. Owszem, dość było tych jednych słów Zbawiciela: »Cokolwiek uczynicie biednemu, mnieście uczynili«, bo ukochawszy Chrystusa, który umarł za nich na krzyżu, chwytali każdą sposobność do okazania Mu swej miłości i wdzięczności przez wspieranie Go w osobie ubogich. Jeszcze za życia Zbawiciela, Zacheusz tyle już znał Chrystusa, że wiedział dobrze czemby mu się mógł najlepiej wywdzięczyć za nawrócenie jego domu, gdy zawołał: »Oto połowę majątku mego biednym daję«.

Obowiązek ten, jaki nakładali na siebie pierwsi chrześcijanie, był tak powszechny, że stosowali się do niego nawet ludzie słabszego ducha lub odznaczający się wrodzoną chciwością, bo dla samej opinii nie mogli się od niego usuwać. Potwierdzał go niejako sam Pan Bóg, karząc wszelką w tej rzeczy obłudę, jak się pokazuje z nagłej śmierci tych, którzy oddając na biednych swój majątek, pewną jego cząstkę sobie zatrzymali. A że nie mieli w tym względzie żadnych ścisłych przepisów, widzimy to ze słów św. Piotra: »Przecież mogliście sobie zatrzymać wszystko; pocóż więc obłudnie postępujecie?«

Któż to nakłaniał tych pierwszych wyznawców do takiej sprawiedliwości, jeżeli nie duch Chrystusowy, którym na wskróś przejęci byli? Sam Duch święty podawał im do serca ten obowiązek, dając im wyrozumienie tego, że Pan Bóg dał im więcej na to jedynie, aby dzielili się z biedniejszymi i zaskarbili sobie w ten sposób Królestwo niebieskie. Istotnie, kto wierzy w zapewnienie Chrystusa, że wszystko co się uczyniło dla biednych, On

na sądzie swoim tak przyjąć raczy, jakoby dla Niego samego było uczynione; kto pamięta na słowa, które ma wyrzec do miłosiernych: »Pójdźcie, wybrani Ojca mego, posiądźcie nagrodę zgotowaną wam przed wieki za to, żeście mnie głodnego nakarmili, nagiego przyodziali« i t. d., ten byłby chyba z rozumu obranym, gdyby z darów Bożych inny chciał czynić użytek. Więc tylko brak wiary w słowa Chrystusa Pana jest powodem oziębienia serc ludzkich i samolubnego używania darów Jego. I dziś, gdybyśmy w nie żywą wiarą wierzyli, czyżby bogacze nasi ściskali tak swoje worki, wiedząc, że komu więcej dano, więcej też od niego wymaganem będzie; czyżby wreszcie nie spieszyli się z dobrem użyciem swego mienia, dla okazania miłości ku Bogu i zapewnienia sobie szczęścia wiecznego?

Cały więc sekret rozwiązania kwestyi socyalnej i u nas i na całym świecie w tem się zawiera, żeby obudzić między nami ducha Chrystusowego. Wszelkie inne usiłowania, czynione w tym celu przez działaczy społecznych, nie osiągną nigdy trwałego skutku. Przemilczamy już o tych, którzy powodowani dziką namiętnością, zieją pomstą względem bogatszych, pobudzając względem nich do gwałtów i mordów i o takich również, których zabiegi skierowane są jedynie do swojej własnej chwały, a twierdzimy, że i ci nawet, co ze szlachetnych pobudek w tym kierunku pracują, nie osiągną jednak wielkich owoców, gdy czyny ich nie będą wypływać z ducha Chrystusowego i gdy go nie będą szerzyli wkoło siebie.

I.

Właściwa kwestya socyalna w czasach dzisiejszych wynika z wadliwego ustroju społecznego i z zaniedbania obowiązków sprawiedliwości. Rozbierając tę rzecz w duchu chrześcijańskim, trzeba uznać, że cały ten ustrój jest niesprawiedliwym. Brak sprawiedliwości w prawach, które karzą ciężko biedaka, co kradnie z głodu, podczas gdy milczą wobec bogaczy spekulantów, rujnujących krocie tychże biedaków. Brak sprawiedliwości w zwyczajach, które rozkosznikowi bezczynnemu, a często szkodliwemu zapewniają szacunek, a robotnika podtrzymującego swą pracą cały

gmach społeczny, każą traktować z lekceważeniem. A obok tego jakiż brak sprawiedliwości w samych warunkach życia, szczególniej dla klasy roboczej, na czem głównie teraz kwestya socyalna się opiera. Dwie rzeczy są tutaj uderzające: krzywda pracy i nadużycie własności.

Wobec socyalizmu przeto możemy słusznie utrzymywać, że wszystkie takie gwałtowne przełomy społeczne są karą Bożą za odstąpienie wiernych od ducha Chrystusowego, i że przez to chce Pan Bóg przypomnieć Kościołowi jego zadanie. Tak już w pierwszych wiekach, ile razy wierni zaczynali się skłaniać do życia pogan, Bóg zsyłał na nich nowe prześladowania i męczeństwa, które rozbudzały słabnącą gorliwość i pobudzały do większej wierności zasadom Ewangelii św., a gdy to nastąpiło wówczas ustawały i kary.

Podobnież i w wieku XVI różne nadużycia w Kościele wywołały fałszywą reformę Lutra i Kalwina, która bardzo szybko się rozwijała, mając za sobą pozory słuszności. Dopiero gdy Kościół zaprowadził prawdziwą reformę na soborze Trydenckim, tamta fałszywa poczęła upadać i już wegetuje tylko, rozpadnięta na cząstki, każdy bowiem z wyznawców Lutra ma inną religię i wolno mu nawet bóstwa Chrystusowi zaprzeczyć.

To samo jest i dzisiaj. Któż tego nie widzi, że nastały czasy, o których mówił św. Paweł, iż będą ludzie sami siebie miłujący, a nie myślący o potrzebach bliźnich swoich. Przejdźmy wszystkie stany po kolei. Magnat nie poczuwa się do wspierania zakładów dobroczynnych i myśli jedynie o przyjemnościach; obywatel nie zajmuje się wcale ludem wiejskim, sądząc, że po zniesieniu pańszczyzny, wolny jest od tego obowiązku; fabrykant przemyśla jedynie o wyzyskaniu cudzej pracy na swoją korzyść, nie przypuszczając wcale, aby na nim ciążył obowiązek opieki nad robotnikami; urzędnik patrzy na swoją posadę, jako na sposób utrzymania i uwygodnienia sobie życia, chociażby z krzywdą interesantów; wielu z kapłanów nie troszczy się ani o byt materyalny ludu, ani o szerzenie oświaty, ani o wyjaśnianie mu kwestyi bieżących, cóż więc dziwnego, że »gdy ludzie spali, przyszedł człowiek nieprzyjazny i nasiał kąkolu«; tylko, że nie odszedł

jak tamten ewangeliczny, ale czuwał, hodował i zbiera już owoce swojej siejby.

Chciałem przez to powiedzieć, że gdy wierni nie spełnili obowiązków społecznych, Bóg dopuścił, że ogarnęli je ludzie niepowołani, kierujący się tylko ludzkiemi uczuciami. Ci, zrozumiawszy potrzeby ludu wiejskiego i roboczego i zobaczywszy zaniedbanie takowych, zaczęli na to głośno się oburzać, będąc zaś nieświadomi zasad chrześcijańskich i widząc same tylko złe owoce, zrzucili winę na religię, która takich wyznawców wychowuje i umyślili poza nią dążyć do poprawy losu cierpiących.

Czytamy w żywocie św. Pachomiusza, że będąc jeszcze poganinem i żołnierzem, zaszedł raz do pewnej osady chrześcijańskiej, gdzie go z wielką miłością przyjęto i we wszystko zaopatrzono. Bardzo zdziwiony, bo mu się to po raz pierwszy zdarzyło, spytał co to za ludzie, którzy taką miłością się rządzą, a gdy mu powiedziano, że to są chrześcijanie i że religia to im nakazuje, uczynił ślub przyjęcia jaknajprędzej tej wiary. Czyż więc nie jest naturalnem, że ktoś, widząc dzisiejszych chrzescijan tak obojętnych na nędzę bliźniego, przypuszcza, że w ich religii niema wcale środków, któreby mogły podnieść ubogich z tego stanu. Nie można się też dziwić, że młodzież nasza wychodząc ze szkół, przyłącza się zaraz do partyi socyalistycznej. Wychowana bez religii we wstręcie do rzeczy świętych, nie rozbiera błędnych zasad, lecz idzie za szlachetnymi popędami swego serca, w przekonaniu, że robi rzecz najlepszą i że się wznosi nad uprzedzenie, a raczej nad obojętność wyższych stanów. Owszem, żywi nawet dla tych ostatnich nieprzyjazne uczucia, widząc, że ludzie nie wiele mający, daleko więcej robią dla biednych, niż ci co we wszystko obfitują. Nie należy jej więc bezwzględnie potępiać, skoro tyle jest przyczyn złego; — trzeba tylko przyczyny te usuwać. Na nic się nie przyda ganić socyalizm przed tymi, którzy widzą w nim strony dodatnie, dostrzegając ich brak tam, gdzie się przedewszystkiem znajdować powinny; ale niechaj ta młodzież zobaczy wiernych chrześcijan, podobnie krzątających się około dobra bliźniego i poświęcających się dla poprawienia ich bytu, a przytem wolnych od stron ujemnych socyalistów: od

nienawiści, gwałtów i scen krwiożerczych, od bratobójczej walki partyjnej i krzywdy samych ubogich — a wtedy zobaczymy, że bardzo ochotnie przejdzie do katolickiego obozu.

Jak więc Pan Bóg dopuszcza prześladowanie, nie dlatego, iżby ono było dobrem, ale żeby pobudziło wiernych do gorliwości, albo jak dopuścił fałszywą reformacyę, aby ta przywiodła Kościół do reformy prawdziwej, tak i dzisiaj dozwolił, że ci ludzie z dobrą czy ze złą wolą, ale zawsze z błędnemi i zgubnemi zasadami, ujęli w swe ręce kierunek pracy społecznej. Jeśli to skłoni chrześcijan do podjęcia tej sprawy i do jej uporządkowania według prawideł wiary, wtedy socyalizm niereligijny sam przez się upadnie; dopóki zaś to nie nastąpi, niewiele pomogą wszelkie gwałtowne represye, a złe szerzyć się będzie i nurtować bez końca. Zrozumiał to dobrze a raczej przeczuł wielki papież Leon XIII i dlatego pierwszy dał pobudkę do pracy społecznej w duchu katolickim, zachęcając do niej wszystkich wiernych. On to więc wskazał jedno z głównych zadań, jakie ma Kościół na całym świecie, a którego spełnienie w naszej biednej Polsce dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebnem się staje.

II.

Konieczną więc jest praca na wszystkich polach i wszystkimi godziwymi środkami do usunięcia zła społecznego.

Chcę wskazać, podług założenia, na środek najistotniejszy, na wskrzeszenie ducha Chrystusowego.

Dwojaki nam do tego sposób się przedstawia. Jeden nadzwyczajny, wyjątkowy, który jak pożar stepu w jednej chwili ogarnia i rozpłomienia, drugi spokojny, lecz także skuteczny, bo ciągły i wytrwały, jak te krople wody, które choć słabe i malutkie, spadając jedna za drugą, żłobią kamienie i całe góry podmywają. Pierwszy więcej od Boga, niż od Kościoła zależny, zdarza się w czasach większego odstępstwa od ducha Chrystusa Pana. Bóg posyła wtedy na świat wybranych sług swoich, których obdarza nadzwyczajną wymową, a nieraz i łaską czynienia cudów, oni zaś naukami swemi i przykładem cnót heroicznych, zaparcia siebie i poświęcenia dla bliźniego porywają dusze, zbierają naśladowców

i przebiegając wraz z nimi kraj jakiś albo i świat cały, rozbudzają na nowo przygasłego ducha, podnosząc go do najwyższej potęgi. Pod ich wpływem nawracają się krocie grzeszników, którzy z samego dna przepaści upadków i błędów, wstępują niekiedy od razu na szczyt bohaterstwa i poświęcenia. Takimi właśnie były czasy św. Franciszka Serafickiego, św. Dominika, św. Antoniego, św. Wincentego Fereryusza, bł. Dydaka Józefa i innych sławnych apostołów, którzy rozbudzali tak wielki zapał w słuchaczach, iż żadne kościoły pomieścić ich nie mogły i zwykle na placach publicznych nauczać musieli. Nieraz ludzie zagrzani ich słowami, znosili do ich stóp wszelkie narzędzia zepsucia, jak karty, kości, maski, książki złe i światowe, a złożywszy je u stóp — palili. Niekiedy znów po takiem kazaniu wielcy tego świata porzucali swe stroje, zamieniając je na grubą siermięgę i rozdając majątek na ubogich, albo tłumnie opuszczali świat, poświęcając się na służbę Pańską. Tak na przykład po kazaniu św. Jana Kapistrana, mianem w Krakowie, 50 uczniów Akademii Jagiellońskiej wstąpiło do Zakonu św. Franciszka. Św. Jakób z Marchii na jednej nauce nawrócił 36 nierządnic i po tejże nauce zebrał dla nich fundusz, wystarczający na kupienie domu i na utrzymanie. Tacy ludzie roztaczali swój wpływ na szerokie obszary; całe kraje nawracali, powodując gruntowną odmianę społeczeństwa, w sposób, jakiego potrzeba czasu wymagała. Wielu z nich wsławiło się i na polu społecznem, że wspomnę tylko św. Bernardyna z Feltry, który w całych Włoszech pozakładał t. zw. *Montes pietatis*, czyli powstałe z ofiar lombardy dla ubogich, aby przez udzielanie bezprocentowych pożyczek wyratować ich z wyzysku Żydów, którzy przez lichwę cały kraj do nędzy przywodzili. W naszych znów czasach Kapucyn, Teobald Matthew, przez zaprowadzenie Związków wstrzemięźliwości wyratował całe kraje od upadku moralnego i materyalnego. Ale takich ludzi epokowych żadnym sposobem wywołać nie możemy, ponieważ Bóg tylko sam ich zsyła, gdy widzi tego potrzebę.

Są jednak w Kościele środki dostępne i zwyczajne, z których w każdym czasie korzystać możemy i powinniśmy. Papież Leon XIII, który pierwszy tak gorliwie zajął się sprawą społeczną, wskazał nam ratunek w duchu i idei św. Franciszka.

Pisał on o tym Patryarsze, że gdy inni święci byli przeznaczeni od Boga na pewien czas, tego wybrał Pan na wszystkie wieki, albowiem z natchnienia Bożego ustanowił on instytucye, które wyczerpnęły aż do dna zasady Ewangelii św. Jakiekolwiek przeto zdarzą się kiedy w Kościele odstępstwa od nauki Chrystusowej, dość jest te same instytucye ożywić nowym duchem, aby w nich znaleźć lekarstwo dla świata na wszelkie jego nędze moralne. Szczególniej podnosił papież Trzeci Zakon św. Franciszka, uważając go na dziś za najskuteczniejszy środek reformy świata i załatwienia sprawy socyalnej. Opierając się na tem zaleceniu, chcemy najpierw dla większej powagi przytoczyć wszystkie znane nam słowa, jakie wyszły w tej kwestyi z ust wielkiego papieża, który chciał być nazywanym »papieżem robotników«, a potem spróbujemy wysnuć z nich cały pogląd na dzisiejszą rolę Kościoła katolickiego w kraju naszym.

III.

Leon XIII przez cały czas biskupstwa swego, kardynalstwa i tak długie lata papiestwa zalecał wszystkim Trzeci Zakon i wszystkich nawiedzających go biskupów zaraz na wstępie pytał o niego, a chociaż słyszał, że mieli krocie tysięcy tercyarzy, jeszcze się tem nie zadawalniał, bo pragnął milionów i wszystkich wiernych chciał widzieć pod sztandarem św. Franciszka. Z woli jego całe duchowieństwo tak świeckie jak zakonne w Rzymie przyłączyło się do Trzeciego Zakonu. Nazywał on ten zakon »zrządzeniem Boskiej mądrości« [1], »lekarstwem na choroby i szkody społeczne« [2], »środkiem przeciwko wszelkiemu złemu« [3], »środkiem poświęcenia się dla wszystkich ludzi«[4], »środkiem do podtrzymania ducha pokuty« [5], »życiem po chrześcijańsku urządzonem« [6], »przestrzeganiem przepisów Ewangelii św.«[7], »upowszechnieniem ewange-

---

[1] Przemówienie z 1873 r., kiedy był jeszcze biskupem w Perudżii.
[2] Będąc kardynałem w liście pasterskim 12 stycznia 1877 r.
[3] Tamże. [4] Tamże.
[5] Encykl. Jubil. 1886 r. *Quod auctoritate.*
[6] Przemówienie 18 lutego 1888 r.
[7] Audyencya 28 października 1882 r.

licznej doskonałości« [1], »uświęceniem wszystkich czynności« [2], »środkiem do rozżywienia wiary i świetnych jej objawów« [3], »środkiem do udoskonalenia własnego i działalności dobroczynnej«[4]. Mawiał, »że zakon ten prowadzi do naśladowania Chrystusa, miłości Kościoła, do wykonywania wszystkich cnót chrześcijańskich« [5]. Nazywał go jeszcze »środkiem do podniesienia moralności, nabycia świętości i odrodzenia w duchu Bożym« [6]. »Przez ten zakon, mówił, przechodzi się z ciemności i zamętu do światła, pokoju i zbawienia« [7]. W innych razach oświadczał wyraźnie on czujny Pasterz, że »Trzeci Zakon jest środkiem przeciw tajnym stowarzyszeniom« [8], i drogą »do osłabienia działalności masońskiej« [9], to znowu, że »jest środkiem odpornym przeciw socyalistom«[10], a nawet głównym »czynnikiem w Kościele«. Tamże wspomina, że »czem wolnomularstwo dla rewolucyi, tem Trzeci Zakon dla Kościoła« [11], że »jest zniweczeniem postępu naturalizmu« [12]. Nazywał go też »sposobem rozwiązania kwestyi socyalnej« [13], to znowu »środkiem zbliżenia do siebie stanów i tryumfem królestwa Bożego« [14]. Oświadczył również jednemu Zgromadzeniu św. Franciszka, że »Trzeci Zakon jest jedynym środkiem odrodzenia społecznego« [15], a innym razem »że jest środkiem zbawienia świata« [16], zaś do biskupów francuskich powiedział, że »jest sposobem podźwignięcia ludzkości« [17].

Biskup z Sulford wspomina, że »w r. 1880 Ojciec święty sławną encykliką [18] rozkazał biskupom wszelkimi sposobami postarać się o zaprowadzenie studyów filozofii chrześcijańskiej i nauk ścisłych według metody św. Tomasza. Było to lekarstwem na

---

[1] Tamże. [2] Audyencya 30 listopada 1882 r.
[3] Aud. 28 października 1882 r.
[4] Do członków Stow. młodz. katol. 7 lutego 1882 r.
[5] Enc. *Humanum genus* 20 stycznia 1884 r.
[6] Breve 17 kwietnia 1882 r. [7] Tamże.
[8] Audyencya 11 maja 1884 r. [9] List okól. 20 kwietnia 1884 r.
[10] Enc. przeciw socyal. [11] Cit. loc.
[12] Breve 17 września 1882 r. [13] List okól. 20 kwietnia 1884 r.
[14] Ibidem. [15] Do Kapucynów przy złożeniu Żyw. św. Franc.
[16] Do Kapucynów 12 marca 1886 r. [17] Audyencya 18 lutego 1888
[18] *Aeterni Patris.*

uleczenie zła, trapiącego umysły naszych czasów. W dalszym ciągu Ojciec św. Duchem Bożym wiedziony uzupełnił swój plan, przepisując lekarstwo przeciwko zepsuciu moralnemu, zatruwającemu wprost powietrze, którem oddychamy. Tem lekarstwem jest właśnie duch św. Franciszka i rozszerzanie Trzeciego Zakonu. Może ono wyda się zbyt prostem i małoznaczącem. Ależ to są właśnie charakterystyczne cechy dzieł Bożych, mających za cel poprawę obyczajów. O zaprawdę, wielkie dzieło przedsięwziętem zostało!« W odpowiedzi Ojca św., danej biskupom zebranym w Assyżu na obchód 700-letniej rocznicy urodzin św. Franciszka, znajdują się te słowa: »Żadne inne dzieło nie może nam być przyjemniejszem nad rozszerzanie świętej milicyi Trzeciego Zakonu, która idąc śladami tego przewodnika i mistrza (Serafickiego Patryarchy), przynosi lekarstwo na nieszczęścia wieku i gotuje światu największe dobrodziejstwa tak prywatne, jak publiczne« [1].

W przemowie do generała Kapucynów [2] Leon XIII mówi: »Czegóż wymaga od Tercyarzy św. Patryarcha, jeśli nie przestrzegania jak najściślejszego świętych przepisów Ewangelii. A ponieważ największem nieszczęściem społeczeństwa jest zapomnienie o Bogu i Jego prawach, rozszerzać przeto Trzeci Zakon znaczy to samo, co pracować nad rozszerzeniem dzieł Bożych i nad spełnieniem dzieła odkupienia Chrystusowego. Błagamy Boga, aby w miłosierdziu swojem zechciał pobłogosławić społeczeństwo i ożywić je Trzecią regułą św. Franciszka«.

W innem miejscu powiedział papież: »Rozpowszechnianie Trzeciego Zakonu św. Franciszka jest może ze wszystkich objawów życia wiary, żarliwości i miłości dziełem najobfitszem w błogie owoce, mogącem najskuteczniej nieść usługi krajowi i ludzkości całej w walce ze stowarzyszeniami tajnemi, a więc z rewolucyą«.

W przemowie swojej do Braci pokutujących w r. 1873 ówczesny kardynał Pecci powiedział: »Kto się szczerze do waszego zakonu przyłącza, przystępuje do dzieła wielce katolickiego, które jednomyślny sąd wszystkich dobrych chrześcijan uznał za zba-

[1] 28 października 1882 r.
[2] 3 października 1881 r.

wienne, a papieże ogłaszali tak często za święte, pełne zasług i silnie popierające doskonałość chrześcijańską. Kto zatem usiłuje czynnie wspierać i rozszerzać ów zakon, ten przykłada się do religijnego, moralnego, cywilizacyjnego dzieła nadzwyczajnej owocności. Jest ono bowiem zbawiennem lekarstwem na tyle złego, pod którem jęczy społeczeństwo; jest wypróbowanym środkiem do przywrócenia królestwa cnoty i miłości na ziemi. Cóż stosowniejszego możnaby wymyślić, coby lepiej odpowiadało potrzebom dzisiejszych czasów. Wśród licznych uciskających nas utrapień i prześladowań, wśród tylu bezbożnych, którzy nas otaczają, oby nam Pan Bóg łaskawie ujrzeć dozwolił mnóstwo wiernych, skupiających się wokoło Żebraka z Assyżu. Byliśmy wtenczas pewni, że ręka Pańska przygotowuje nam odpowiednie narzędzia, które zdołają przywrócić światu utracony i pożądany pokój«.

Innym razem z wyrzutem odezwał się do przewodników pielgrzymki francuskiej: »Kilkanaście lat już temu wydałem encyklikę wzywającą wszystkich, aby się garnęli do Trzeciego Zakonu, a dotąd tak mało zostałem zrozumiany«.

W encyklice *Auspicato* tak się papież odzywa: »Wśród tak opłakanego stanu rzeczy snadnie pojmiecie, Wielebni Bracia, że największą nadzieję koniecznego ratunku najwłaściwiej pokładać możemy w Trzecim Zakonie św. Franciszka, byle go do pierwotnego rozwoju i siły przywrócić«. I nakoniec uroczyście wzywa do tego wszystkich wiernych, wołając całą powagą swojego najwyższego ojcowstwa. »Oby pomiędzy ludami chrześcijańskimi tak chętnie, licznie i wszędzie wstępowano do Trzeciego Zakonu, jak niegdyś, gdy do samego Franciszka zewsząd tłumy całe w tym celu się garnęły«. A zwracając się do biskupów mówi: »Dołóżcie przeto starania, aby Trzeci Zakon powszechnie był znanym i właściwie cenionym. Polećcie, aby ci, którzy mają pieczę o duszach, nauczali starannie czem on jest, jak przystępny dla każdego, jakimi przywilejami opatrzony i jak wiele korzyści przynosi tak osobom pojedynczym, jak rodzinom i całemu społeczeństwu«.

Na audyencyi 10 grudnia 1884 r. papież tak się odezwał:

»Wszystko, co uczyniliśmy ku czci św. Franciszka, nie potrafi należycie okazać tego hołdu, jakim dlań przejęci jesteśmy od naszej młodości. Zaledwie obrani na papiestwo natchnieniem niebieskiem a silnem, zniewoleni zostaliśmy do uznania Franciszka za Opiekuna w nieszczęściach czasu, w których żyjemy i do wskazania zarazem na Trzeci Zakon, jako na jedyne lekarstwo w potrzebach ludzkości. Dlatego chcemy, Kochani Synowie, byście skupili wszystkie swoje siły na rozszerzanie Trzeciego Zakonu. Tercyarstwo czyni ludzi prawdziwymi chrześcijanami, nie tylko przez przepisy w niem zawarte, które My złagodziliśmy i zastosowaliśmy bardziej do potrzeb czasu, ale także przez obronę zbawienną, jakiej udziela swym członkom, wstrzymując dusze od potępienia, jak zakazy skąpstwa, nienawiści, niepomiarkowanych zabaw światowych. Usiłujmyż więc współpracować z dziełem św. Franciszka. Mamy silną nadzieję, silną w nim ufność; każdego dnia zanim przystąpimy do ołtarza odmawiamy 12 Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu«.

W przemowie swojej do generała Franciszkanów Leon XIII tak się wyraził: »Zakon św. Franciszka wielki jest w Kościele; jest on jednym z głównych, na którym papieże w ciągu siedmiu wieków się opierali. I ja chcę w nim znaleźć czujną i silną podporę ku obronie praw Kościoła i przeprowadzeniu reformy społecznej. Gdy zaś mówię o reformie społecznej, mam szczególnie na uwadze Trzecią Regułę św. Franciszka. Wielki ten Patryarcha nie ograniczał się na ustanowieniu życia ściśle zakonnego dla płci obojga; gorącem sercem swojem chciał objąć świat cały i w tym celu wszystkim wiernym wszelkich stanów społecznych podał regułę tercyarską swojego zakonu. Praktyka tej reguły jest łatwa, a duch jej ma na celu ożywienie wiary i cnoty. Dlatego kiedy byłem biskupem peruzkim, krzewiłem Tercyarstwo w mojej dyecezyi i dziś chcę działać w tym samym kierunku«.

Wspomina także o owocach Trzeciego Zakonu, mówiąc: »Wielką podporą dla dobra pospolitego byli członkowie Trzeciego Zakonu, którzy wziąwszy sobie za wzór ustawy swego Założyciela, pracowali ze wszystkich sił nad tem, aby cnoty chrześcijańskie na nowo w społeczeństwie odżyły. Za ich staraniem i przy-

śladem nikły i zmniejszały się stronnicze rozterki, wypadały miecze z rąk zaciętych wrogów, ustawały przyczyny sporów i kłótni, nędzarzom i opuszczonym niesiono pomoc. Rozwiązłość, ta żarłoczna otchłań majątków i cnoty, ujęta została w ścisłe karby, przeto z Trzeciego Zakonu, jakby z pnia jakiego, wyrasta szczęście domowe i pokój publiczny, czystość i łagodność obyczajów, dobre użycie i opieka majątku, co razem wzięte, najlepszą jest podstawą bezpieczeństwa i cywilizacyi«.

»Ponieważ duch jego z gruntu chrześcijański przedziwnie odpowiada wszystkim czasom i krajom, nikt przeto wątpić nie może, że Tercyarstwo i naszemu wiekowi znakomite przyniesie pożytki. A to tem bardziej, że kierunek naszych czasów zbliża się pod pewnymi względami do kierunku ówczesnego. Jak bowiem w XIII wieku, tak i obecnie miłość Boża niezmiernie ostygła; niemałe też w przedmiocie powinności chrześcijańskich panuje zamieszanie, pochodzące po większej części z niedbalstwa. Z tą samą skwapliwością gonią wszyscy prawie za wygodami życia, albo co gorsza wylewają się na rozpustę, gubiąc siebie i drugich. Podnoszą godło braterstwa ludów, a przecież braterstwo to raczej na ustach, niż w uczynkach mają; uwodzi ich bowiem miłość własna a prawdziwa miłość względem słabych i biednych z każdym dniem maleje. W owym czasie wielorakie błędy Albigensów, podnosząc bunt przeciw Kościołowi, zaburzały równocześnie stany świeckie, torując drogę do pewnego rodzaju socyalizmu. I dziś podobnież rozmnożyli się tego systemu zwolennicy, którzy odmawiając uporczywie posłuszeństwa Kościołowi, targają się nawet na władzę świecką, zalecają ludowi gwałty i rokosze, przeczą własności osobistej, a schlebiają żądzom proletaryatu, burzą podstawy porządku domowego i publicznego. W Trzecim Zakonie św. Franciszka słusznie można pokładać nadzieję, byle tylko do pierwotnego stanu został przywrócony. Skoro instytucya ta zakwitnie, wraz z nią rozwinie się wiara, pobożność i cnoty chrześcijańskie wszelkiego rodzaju, a wzgarda rzeczy znikomych zachęci wielu do poskromienia swoich namiętności. Złączeni węzłem bratniej zgody, ludzie zaczną miłować się prawdziwie, a z ubogimi i nieszczęśliwymi obchodzić się będą z przynależną im względnością.

Przejąwszy się zasadami religii chrześcijańskiej, nabiorą niewątpliwego przekonania, że prawowitej władzy należy się posłuszeństwo, że krzywdzić nie wolno w niczem i nikogo, że wszelkie gwałty, żądza nowości, nienawiść pomiędzy rozmaitemi warstwami społeczeństwa stanowią początek i broń socyalizmu. Nareszcie stosunek bogatych do ubogich, nad którym mężowie stanu tyle się trudzą i mozolą, zostanie najlepiej uporządkowanym na podstawie niewzruszonego przekonania, że i ubóstwo nie jest pozbawione godności«. Po tych słowach zwraca się Ojciec święty do biskupów, zalecając im, aby się starali objaśniać ludowi pożytek tego zakonu i aby wszystkich do niego zachęcali, co w ten sposób zakończa: »Tym sposobem po siedmiu wiekach naród włoski i cały świat chrześcijański za sprawą Patryarchy z Assyżu przeszedłby z otchłani zamieszek do przybytku pokoju, z zaguby do zbawienia«.

Biskup z Sulford, odebrawszy takie wezwanie papieskie, pisze do swych dyecezyan: »O zaprawdę wielkie dzieło przedsięwziął Namiestnik Jezusa Chrystusa! Zwracając się do biskupów Kościoła, a z nimi do wszystkich wiernych duchownych i świeckich, wzywa ich do studyowania życia i ducha św. Franciszka Assyzkiego i do zaciągania się pod jego sztandar. Oświadcza, iż natychmiastowe przeprowadzenie jednolitej działalności w tej rzeczy będzie balsamem zbawiennym na rany i blizny świata dzisiejszego. Któżby nie usłuchał takiego wezwania! Któż nie uwierzy, iż to jest echo mówiącego z krucyfiksu do św. Franciszka: »Idź, podtrzymuj Kościół mój, który się wali«. Jeżeli chcecie od niego się nauczyć, aby każdą sprawę odnosić do Boga jedynie z miłości ku Niemu, możecie żądać przypuszczenia do Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Nie możemy się dość wydziwić, z jak cudowną zręcznością i mądrością prawdziwie nadludzką wybrał Ojciec św. Franciszka i jego Trzeci Zakon za wzór i środek w celu wskrzeszenia życia chrześcijańskiego za dni naszych«.

Mówiliśmy powyżej samemi słowami Leona XIII, które zdają nam się dość wyczerpującą odpowiedzią na to pytanie, jakie założyliśmy sobie od początku, dotykają bowiem wszystkiego, co nas niepokoi i nad czem bolejemy, i zawierają wszystko, coby

przeciw temu czynić wypadało; a przynajmniej one usprawiedliwiają nas, gdy opierając się na tym gruncie będziemy przedstawiać środki do spełniania wielkiego zadania Kościoła u nas w obecnych czasach.

IV.

Trzeci Zakon nazywany jest często wolnomularstwem katolickiem, dla ustroju podobnego z masoneryą, ma bowiem nader liczne stowarzyszenia, działające w różnych kierunkach, a między innemi różnicami, dzieli się na członków świeckich i zakonnych, czyli zachowujących trzy rady Ewangelii św. Jakkolwiek wszystkie te stowarzyszenia mogą bardzo skutecznie szerzyć pracę socyalną, my jednak chcemy mówić głównie o tych, które całkowicie i z poświęceniem jej się oddają. Niema wątpliwości, że i osoby żyjące w świecie, mogą robić w tym kierunku bardzo wiele dobrego, ale zawsze będzie to działalność dorywcza, niestała, która się urywa przy zmianie stanu lub miejsca; tylko więc osoby zupełnie Bogu oddane mogą z pożytkiem i owocem na tej niwie pracować. Skoro Zgromadzenie zakonne weźmie się do jakiej pracy społecznej, to już jej nie przerwie ani wyjście za mąż, ani odjazd w inne strony, ani choroba, ani śmierć nawet, bo na miejsce ubywających Zgromadzenie przedstawia innych członków i dzieło postępuje bez przerwy. Dał nam tu przykład sam Zbawiciel, gdy wybierając Apostołów do nawrócenia świata, zażądał od nich, aby opuścili ojca, matkę, braci, siostry, żonę i rolę, i aby się całkiem sprawie Bożej oddali. Nie mówimy wcale o zewnętrznych formach zakonnych, ani o habitach lub welonach a tem bardziej o klauzurze, o kratach, ale o duchu poświęcenia i zobowiązaniu się przed Bogiem, które jedynie daje wytrwałą wierność wśród różnych przeciwieństw i utrapień. Potrzebne do tego koniecznie oderwanie się od rodziny, od wszelkich doczesnych kłopotów i interesów, aby módz swobodnie tej sprawie się poświęcić, a nadto potrzeba mieć serce rozszerzone do przygarnienia wielu dusz i wszelkiej nędzy, by troska o przyszłość i ustalenie swego losu lub swoich nie przeszkadzała służeniu ludzkości. Gdy w Towarzystwie Rolniczem warszawskiem postanowiono zakładać ochronki po wsiach

i delegacya złożona z najzacniejszych obywateli naradzała się, czy ochroniarki mają być świeckie czy zakonne, za temi ostatniemi przemawiał protestant (Kurtz), i skłonił do powierzenia im tego obowiązku; chociaż bowiem z zasady przeciwny był zakonom, ale uważał w tem wielkie korzyści praktyczne. Między innemi powiedział, że ochroniarka świecka, jako pierwsza partya na wsi, ściągać będzie oczy wszystkich oficyalistów, zwłaszcza, że zmuszona jest myśleć o ustaleniu swego losu.

Pod kierunkiem osób Bogu poświęconych mogą pracować i inne, choćby nie pełniące rad ewangelicznych, a nawet związane stanem małżeńskim, byle jednoczyły się z tamtemi w czynnościach i dążyły ku wspólnemu celowi. Takie połączenie jest bardzo pożyteczne, bo nie tylko że owe stowarzyszone otrzymują od dusz zakonnych prawidłowy kierunek moralny, ale co większa, mogą roznosić ducha Chrystusowego tam, gdzie osoba Bogu poświęcona przeniknąć nie jest w stanie.

Kościół Boży jest zawsze przemyślny i niewyczerpany w wynalazkach ku dobremu. Gdy ujrzał niektóre kraje pozbawione przez swój rząd zakonów, potwierdził rodzaj życia ukrytego przed światem, w którem wszystko tak samo się zachowuje jak w Zgromadzeniach jawnych, ale niema żadnych oznak życia zakonnego, przedstawiając swoich członków, jakby świeckich wzorowych katolików i katoliczki. Pierwszy taki zakon, o ile nam wiadomo, powstał we Francyi za czasów Robespiera i dotąd istnieje, a potwierdzony został w 1825 r. przez Leona XII. Pożyteczność owych zgromadzeń najlepiej okazuje się z tego, że apostolstwo domowe i wpływ na bliźnich, oraz wszelkie posługi miłości daleko łatwiej spełniają się dzisiaj pod zasłoną świeckiej odzieży, niżeli w zakonnym habicie. Duch sekularyzacyi czyli zeświecczenia wszystkiego, który ogarnął ludzkość, chociaż w źródle jest złym, zniewolił jednak do pewnego uwzględnienia siebie. Habit zakonny jest dziś znienawidzony i dość na tem, że go kto nosi, aby mu nie ufano, posługą jego gardzono, a nawet aby jej wzbraniano. I to nie tylko w prywatnych domach, ale i w zakładach publicznych, nie tylko w krajach heretyckich, lecz i na pozór katolickich. W Paryżu i w całej Francyi powypędzano ze szpitali Szarytki

i inne zakonnice, aby je zastąpić świeckiemi osobami, chociaż wiedzą doskonale, że te i więcej kosztują i nigdy tak dobrze nie wywiążą się ze swego zadania. Cóż tedy mają robić dusze kochające szczerze Boga i bliźniego? Przebojem do posług dobijać się niepodobna. Więc chcąc służyć Bogu i ratować dusze, trzeba wyrzec się noszenia sukni świętej i schować ją pod świecką, jak to nieraz święte królowe czyniły. Dlatego to zapewne jeden z kardynałów, po przeczytaniu ustawy tych Zgromadzeń, napisał do osoby interesowanej, że one nie tylko u nich są konieczne, ale i na całym świecie bardzoby się przydały. Członkowie ich przestrzegają życia ukrytego przed światem nie tylko dla prostej ostrożności i konieczności, ale z zasady dla naśladowania ukrycia Matki Bożej i tak dalece są w niem zamiłowane, że nawet w razie zmiany okoliczności nie odstąpiłyby tego rodzaju służby Bożej dla większej Jego chwały, dla prędszego postępu i łatwiejszego ratunku dusz. Nie wolno im przeto nic takiego mówić, czynić, ani nosić, czemby zdradzały swoje powołanie, lecz mają wszędzie tak się zachowywać, jako dobre i wzorowe dzieci Kościoła.

V.

Jak się przedstawiają takie Zgromadzenia?

Bóg w miłosierdziu swojem nigdy niewyczerpany, wciąż wywołuje nowe środki, któreby nam drogę do Niego coraz łatwiejszą czyniły. Więc też i Kościół św., ta miłościwa Matka nasza, jako w przykazaniach swoich stosuje się do potrzeb czasu i do usposobienia nowych pokoleń, tak samo czyni i z drogą doskonałości. Życie zakonne zaczęło się w zupełnem oddaleniu od świata lub w najściślejszej klauzurze. I był czas, gdy Kościół innych Zgromadzeń za prawdziwe zakony nie uważał. Lecz potem wskutek wymagań czasu, życie to przeszło na pole czynu: przydano zakonnikom prace apostolskie, które rzeczone zgromadzenia z jednej strony przystępniejszemi, z drugiej pożyteczniejszemi uczyniły. Gdy zaś klauzura poczęła wywoływać oburzenie w zepsutem społeczeństwie, Kościół św. potwierdził różne zakony żeńskie oddane uczynkom miłosierdzia. Jak zbawienne było to ustępstwo, sam skutek najlepiej pokazał. Pomnożyły się powołania do stanu za-

konnego i powstało wiele zgromadzeń, w których uświęciło się mnóstwo dusz, z pożytkiem w winnicy Pańskiej pracujących. Im to trzeba przypisać, że w tych opłakanych czasach utrzymują się jeszcze zasady wiary i moralności chrześcijańskiej.

Obecnie zaś żyjemy w nowej epoce życia zakonnego. Nie tylko bowiem klauzura, ale i habit jest dla bezbożnego ludu okazyą do obrazy Boskiej, a życie klasztorne uważa się wzgardliwie jako próżniactwo, a chociaż ta opinia jest fałszywą i niegodną, pozbawia jednak te osoby wszelkiego wpływu na wiernych, skąd i prawdziwe powołanie w dawnych zakonach rzadko się dziś spotyka. Czyż nie wypadało przeto uwzględnić potrzebę czasu i stosując się do ułomności zepsutego pokolenia, służyć Bogu w ukryciu przed światem? Niema wątpliwości, że ustępstwo to zostanie opłacone tak obfitymi owocami, jakich dotąd nigdy nie widziano, co już dziś spostrzegać się daje. Zresztą jak w wojsku wielkiego monarchy różni są żołnierze, a między regularnymi szeregami są także partyzanci, napadający na nieprzyjaciela znienacka i z ukrycia, czyż nie przystoi, aby i w wojsku Chrystusowem oprócz zakonów regularnych i jawnych, były także kongregacye z ukrycia przeciw nieprzyjaciołom Bożym walczące? Jeżeli oni mają swoje tajne związki, dlaczegóż tą bronią nie miałby walczyć Kościół Boży, naśladując Apostołów, zebranych tajemnie przy drzwiach zamkniętych oraz dusze zakonne pierwiastkowego Kościoła.

Zresztą należy zauważyć, że te zgromadzenia tylko pozór mają ukrytych. Ukrywają się coprawda przed światem, ale jedynie ze swojem poświęceniem, ale w rzeczy samej jawniejsze są, niż wszystkie inne zakony. Głównym ich celem jest przedstawienie z blizka bezbożnemu światu przykładu moralności i cnót chrześcijańskich, oraz uczenie wszystkich, jakim sposobem obowiązki względem rodziny i towarzystwa można pogodzić z zachowaniem przykazań, z moralnością chrześcijańską a nawet z praktyką rad Ewangelicznych. Do takich to dusz mówi Pismo Boże: »Starajcie się, abyście byli bez przygany wpośród narodu złego i przewrotnego, między którym świecćie, jako światła na świe-

cie«. Zdaje się, że nastała pora, żeby te przykłady doskonałości chrześcijańskiej, dotąd w klauzurach zamknięte, wyszły ze swoich kryjówek i nie wydawały się zawsze niemożliwymi do naśladowania. W czasach ogólnego upadku wiary, dawni pustelnicy opuszczali pustynie, mówiąc: »Dom ojcowski się pali, trzeba mu spieszyć na ratunek«. I Chrystus Pan nie unikał ludzi. Sam szedł do nich, nie czekając, aż do Niego przyjdą. Każdy do Niego miał łatwy dostęp. Oddawał się cały na usługę ludziom, jadł nawet i pił z nimi, bywał w domach faryzeuszów i grzeszników. Tak samo Apostołów posłał między ludzi i tylko chwilowo usunął ich od świata, aby maluczko odpoczęli i na samotności zaczerpnęli sił do pracy nad bliźnimi. Jeżeli tamto wyprowadzenie zakonów z klazury dla prac apostolstwa i miłosierdzia chrześcjańskiego tak znakomite przyniosło owoce, nie można wątpić, że to ostatnie, większe jeszcze zbliżenie ich do świata, większe też pociągnie za sobą korzyści.

VI.

Praca społeczna zwrócona do jednego stanu.

W sercu należy mieć zapał i pragnienie, aby wszystkich potrzebujących ogarnąć i stać się wszystkiem dla wszystkich; w wykonaniu jednak pożyteczniej jest ograniczyć się na pewnym zakresie, aby tem lepiej wniknąć w rzeczywiste potrzeby i skuteczniej je zaspokoić. Zakony przygarniają zwykle osoby różnego stanu; tam córki magnackie stoją na równi z ubogiemi dziewczynami, według zasady Chrystusa: »Kto chce być większym, niech będzie sługą naszym«. W tym jednak rodzaju poświęcenia, o którym mówimy, wydaje się pożyteczniejszem, aby się dobierały osoby jednego stanu i aby poświęcały się na pracę około tegoż stanu. Tym sposobem każdy stan będzie się sam w sobie reformował i uświęcał i sam w sobie znajdował środki do zaspokojenia swych potrzeb materyalnych i moralnych.

Nie chodzi o to, aby nie było żadnych wyjątków, dla samego bowiem zarządu okażą się one potrzebnemi, lecz aby w za-

sadzie Zgromadzenie składało się z członków jednego stanu i dla tegoż stanu się poświęcało. Powody tego są następujące:

1) Łatwiej zachować ukrycie przed światem, bo łączenie się osób jednego stanu nikogo nie zadziwia, gdy przeciwnie zrównanie stanów natychmiast zdradza życie zakonne.

2) Poświęcając się jednemu stanowi, głębiej można wniknąć w jego potrzeby i łatwiej obmyśleć skuteczne środki.

3) Łatwiejszy jest stosunek wzajemny osób jednego stanu i większe zaufanie.

4) Zawiązuje się jakby jedna rodzina duchowna, w której wzajemna wymiana usług jest obowiązkiem miłości.

5) Każdy stan uczy się radzić samodzielnie swym potrzebom drogą zjednoczonej pracy.

6) Obudza się zainteresowanie w sferach wyższych, z któremi ten stan w najbliższym zostaje związku i dla których dobra pracuje.

7) Rozrywając się zaś na różne stany, nie można nigdy z takim skutkiem pracować i takie osiągać pożytki.

Inne przeto powinny być zgromadzenia dla osób wykształconych lub dla wyższych stanów; inne dla średnich, inne dla niższych. Jedne dla rzemieślników, drugie dla rolników, inne dla osób trudniących się handlem lub utrzymujących gospody. Inne dla pracujących w fabrykach, inne dla sług a inne dla dziewcząt wiejskich. Każdy rodzaj miłosierdzia, nawet różnego rodzaju szpitale powinny mieć osoby odpowiednie dla swoich potrzeb i oddające im posługi miłości.

Wszystkie te Zgromadzenia, oprócz celu właściwego duszom Bogu poświęconym, t. j. własnej doskonałości i oprócz ogólnego zadania, którem jest ciche apostolstwo i przywrócenie na świecie gorliwości, właściwej pierwszym wiekom Kościoła, mają jeszcze swoje zadania szczegółowe, tyczące się tego stanu, któremu się poświęciły. Każde z nich ma swoją myśl przewodnią, która powinna być pobudką a raczej kierowniczką czynności każdego z członków, a tyczy się zwykle uświęcenia i podniesienia duchownego danego stanu, oraz naglącej potrzeby społecznej.

VII.

Główne warunki.

Chcielibyśmy ciągle powtarzać i przypominać dwie rzeczy:

1) że przedewszystkiem trzeba podnosić ducha czyli jednocześnie z pracą społeczną, a może jeszcze przed nią zabiegać o uświątobliwienie każdego stanu, bez tego bowiem wszystkie usiłowania będą jałowe, gdyż będą się opierały na pobudkach ludzkich, które wiadomo jak się zmieniają. Przeciwnie zaś, gdy się oprze fundament na odnowieniu ducha Chrystusowego, czyli na miłości Bożej, — wszystko się samo przez się ułoży.

2) że obrawszy sobie jeden stan, nie należy zaraz działać na całe masy, ale zaczynać od dusz gorliwych i stałego charakteru. Jedna osoba, choćby dobrej woli ale słabszego ducha, może wszystko zepsuć a przynajmniej oziębić. Dopiero gdy cała rzecz ureguluje się i ustali, wtedy można się rozszerzać i przygarniać osoby słabsze na duchu, bez żadnej szkody dla całości. Trzeba więc małe kółko zebrać, a gdy to urządzi się po Bożemu, wziąć się do wpływu na resztę tej klasy.

To samo tyczy się i Sług Ołtarza. Chcąc w duchu stan kapłański zreformować i usposobić go do pracy społecznej, nie można zwracać się do wszystkich, ale należy wyszukać gorliwych i mężniejszych i z nich utworzyć Stowarzyszenie świeckich kapłanów, a skoro ci się ustalą i urządzą, przykład ten pociągnie innych słabszego ducha. Każde więc zapoczątkowanie powinno być z dusz gorętszych i pragnących szczerze zarówno własnego postępu duchowego, jak i poświęcenia się dla drugich.

VIII.

Życie spokojne i wygodne wpływa zwykle na upadek ducha: odwrotnie zaś prześladowanie rozbudza go i rozpala. Tak się stało w Polsce pod zaborem rosyjskim. Trudno nawet uwierzyć, żeby w XIX wieku takie rzeczy się działy.

Niewątpliwie kasata zakonów w Królestwie Polskiem r. 1864 była tylko wynikiem zawziętości, jaką pałał przysłany tu kniaź, mający zrujnować wszystko co polskie i katolickie. W okólniku

pisma urzędowego, gdzie tłumaczono ten postępek rządu, nie znalazł się ani jeden zarzut prawdziwy, lecz wszystkie aż do śmieszności naciągane [1]. Jednakże stało się to nie bez zamiarów Bożych. Zapał religijny był już wtedy rozbudzony, wiele przeto dusz po tej kasacie wahało się, czy ma razem z wygnanymi kraj opuścić, czy też na miejscu pozostać. Potrzeba tedy było obmyśleć środek dla zaspokojenia ich pragnień, odpowiedni do okoliczności, miejsca i czasu. Niektóre z nich mogłyby się udać tam, gdzie były jeszcze dawne zakony, ale zdawało się to wielką szkodą dla kraju, pozbawiać go dusz, które swoją świątobliwością i modlitwą mogły ściągnąć na niego miłosierdzie Boże i przyświecać drugim przykładem i słowem, a to w czasach, kiedy on tego najbardziej potrzebował. Wiele z nich nie mogło być przyjętych zagranicą do dawnych klasztorów dla braku posagu, zdrowia lub odpowiedniego wykształcenia. Starać się więc należało, aby i tym dać możność spełnienia swych pragnień, nie ciążąc nikomu. Ponieważ zaś życie zakonne było nietolerowane, trzeba je było zasłonić od prześladowania i wskazać im sposób życia ukrytego.

Szło i o to także, aby z tych dusz wybranych przygotować zastęp wyznawców, opierających się mocno szyderstwu świata i domowników, tudzież uczynić z nich apostołów i apostołki domowe, ciche i nkryte, pracujące każda w swoim zakresie, a przykładem i słowem zachęcające do wytrwania. Dusze bowiem gorące roztaczają dokoła siebie atmosferę moralną, która bez ich wiedzy oddziaływa nie tylko na jednostki, ale i na szerszy ogół. Ludzie lepszego ducha już przez to samo tylko, że gdzieś są, choćby nic osobliwego nie czynili, wywierają wpływ dobroczynny.

Postanowiono przeto zatrzymać te osoby dla ratunku duchownego kraju. Uważano, że Bóg postępuje z każdym narodem, jak gospodarz ewangeliczny z drzewem niepłodnem: przykłada siekierę do korzenia i grozi wycięciem, skoro to drzewo narodowe nie wydaje owoców godnych Ewangelii św., to jest dusz spełnia-

[1] Np. mowę żałobną, którą miał pastor reformowanej religii, przypisano księdzu Reformatowi, zakonnikowi, przedstawiając to jako dowód ducha buntowniczego w zakonach.

jących rady ewangeliczne. Błysnęła więc nadzieja, że wśród tego prześladowania, na jakie się wtedy zanosiło, te właśnie dusze staną się godnymi owocami, dla których Bóg nie tylko przebaczy krajowi, ale powróci przez nie obserwancyę zakonną, a za nią pierwotną gorliwość wiernych i wolność polityczną. Mając od dawna upoważnienie od władz swoich do urządzania Trzeciego Zakonu, jak wymagałaby tego większa chwała Boża i drugie — na mocy którego można to było czynić wszędzie, za wiadomością jednego tylko biskupa, zaczęto pobudzać te dusze, aby w ukryciu przed światem Bogu służyły. Nie układano nic w swej głowie, ani narzucano tym osobom żadnych przepisów z góry, ale wyrozumiewano wolę Bożą z tych samych dusz, które Bóg przysyłał i z okoliczności w jakich zostawały. Urządzało się przeto życie zakonne w różnych zakładach dobroczynnych i naukowych, tudzież po pracowniach, gospodach i wśród rodzin.

W miarę jak się rozszerzało to życie, zauważono trudność w zbieraniu się i porozumiewaniu osób różnych stanów, stąd wynikł podział na kilkanaście zgromadzeń, z których każde ma swoje własne zadanie, ustawę i przepisy, tudzież odpowiedni zarząd i kierunek duchowny i zakonny. Te więc powody skłoniły do urządzenia ich w sposób, jaki w owych okolicznościach zdawał się jedynie możliwym, a skutki dopiero okazały jego pożyteczność i odpowiedniość do potrzeb czasu.

IX.

Zgromadzenia osob wiejskiego stanu.

Chcąc dać dokładniejsze pojęcie o tych zgromadzeniach, przytoczymy tu niektóre, przedstawiając zarazem powód ich zawiązania, tudzież organizacyę ze względu na ich pożyteczność. Co się zaś tyczy urządzenia ich zakonnego, jest ono takie samo prawie jak we wszystkich dawnych zakonach. Najwięcej było styczności z ludem wiejskim, który niedawno przedtem uwłaszczony, zaczynał wówczas życie samodzielne. Chodziło głównie o to, aby uprzedzić szkodliwy dla niego wpływ ludzi bez wiary, lub siejących niezgodę między stanami i podać mu takie apostolstwo

i w tak przystępnej formie, iżby go ono w wierze i pobożności umocniło. Gdy zaś jednocześnie obudził się w tym ludzie duch poświęcenia i okazało się bardzo wiele prawdziwych powołań, trzeba było dla tego nowego rodzaju sług Bożych obmyśleć też nowy rodzaj życia, odpowiedni do ich stanu i nie wyprowadzający ich z prostoty i ubóstwa, aby to wejście do Zakonu nie było zyskownem, jakiemby musiało być przy wstąpieniu do dawnych zgromadzeń, gdzie prowadziłyby życie wygodniejsze, niżeli w rodzicielskich chałupkach. Z drugiej strony należało te powołania obrócić na korzyść samego ludu wiejskiego i skierować poświęcenie tych dusz tam, gdzie najwięcej wpływu mieć mogły i gdzie go najwięcej było potrzeba. Nie odmieniając przeto dawnego trybu ani warunków ich życia, związano te dusze pewnymi stałymi przepisami i utworzono z nich dwa zastępy: sług i służebnic Bożych.

Żeńskie.

Dziewczęta wiejskie, które poświęciły się Panu Bogu, mieszkają częścią razem w zakładach, gospodach, pracowniach, sklepikach i t. p., częścią zaś w domach rodzinnych a nawet we dworach i w innej służbie. Zadaniem ich jest wpływać na lud wiejski, dając z siebie odpowiednie wzory cnót wszelakich. W kościele pobożnem zachowaniem się i uczęszczaniem do Sakramentów, rozbudzają i utrzymują ducha pobożności; w domach są przykładem chętnej pracy, uszanowania dla starszych, znoszenia cierpliwie niedostatku i wstrzymywania się od klątwy. Przy robocie w polu zachęcają do sumiennej pracy, tak że gdzie one są, tam często zostawiają ludzi bez nadzoru. Wszędzie powstrzymują złe mowy, powściągają towarzyszki od zbytków w ubiorach, od zabaw karczemnych i t. p. Przy każdej sposobności nauczają nieumiejętnych: i w domu, i w polu, i za pasionką; czytają im rzeczy pożyteczne, urządzają pogadanki, rozpożyczają książki, a w wielu miejscowościach pomagają kapłanom, ucząc katechizmu i przygotowując do Sakramentów Św., tak dzieci jak i chorych. Zdarza się, że biskupi na wizytach pasterskich zdumieni są doskonałą znajomością katechizmu u dzieci, a wtedy proboszczowie wska-

zują im Siostry, jako swoje wikaryuszki i pomocnice, za co nawet pasterze zaszczycają je swemi nawiedzinami [1].

Siostry podnoszą także gospodarstwo kobiece według ulepszonej metody, wziętej z Chyliczek, a nawet prowadzą na własną rękę gospodarstwo rolne, mają bowiem takie osady, gdzie same orzą, sieją i pełnią wszystkie inne czynności. Zaprowadzają też po wsiach rozmaite zakłady, jakoto: sklepiki spożywcze, aby odstręczyć wieśniaków od kupowania u Żydów, szwalnie, pracownie koszykarskie, tkackie, wyrobów ze słomy, rogoziny, wiórów i t. p. przez co szerzą pomiędzy ludem wiejskim zamiłowanie drobnego przemysłu. Mają ochronki w których nie tylko dziećmi się zajmują, ale w wieczornych porach całą wieś u siebie gromadzą na ciekawe czytania i pogadanki. Zakładają szpitaliki dla dzieci, gospody i sklepiki po mniejszych miasteczkach lub na przedmieściach, żeby uchronić wieśniaków przybywających z interesami do miasta, od złego wpływu i zepsucia miejskiego i od utraty zapracowanego grosza. Rozbudzają w ludzie zapał do radzenia potrzebom swoim w sposób samodzielny, rozumny i zbiorowy, a zyskując zaufanie i sympatyę państwa po dworach, skłaniają ich do pieniężnego a nawet osobistego współdziałania w tej rzeczy. Gdziekolwiek znajdą się takie dusze, tam obywatelstwo przyczynia się chętnie do zakładania po wsiach ochronek, żłóbków, szpitalików a nawet nowicyatów dla Zgromadzeń; tam pani służy chętnie radą lub pomocą wieśniaczce, a panienki uczą czytać wiejskie dzieci i osobiście opatrują chorych i ubogich, czyniąc to przeważnie za ich przykładem i pobudką. Potrafią one nieraz odwieść i od zbytków i od niepotrzebnego wyjazdu zagranicę, lub od sprowadzania stamtąd różnych rzeczy ze szkodą przemysłu krajowego. Ostrzegą i przed wyzyskiem Żydów i przed kupowaniem u nich lub zaciąganiem pożyczek, a co najgłówniejsza, że między chatą wiejską a dworem zaprowadzają harmonię w miejsce nieufności i nieżyczliwości, tak częstej niestety z powodu zaniedbania przez panów obowiązków społecznych i wskutek podszczuwania włościan przez socyalistów, którzy to położenie w swoich

[1] Taki wypadek był z J. E. ks. biskupem Roppem.

celach wyzyskują. Zgromadzenia te rozpowszechnione są we wszystkich dyecezyach Królestwa i zabranego kraju.

Męskie.

Równolegle z żeńskiem, do tego samego celu dąży Zgromadzenie z mężczyzn złożone. Członkowie jego trudnią się po większej części uprawą roli oraz ogrodnictwem, mieszkając w domach rodzinnych lub prywatnych. Obok dzieł miłosierdzia i wychowania młodzieży wiejskiej, przyczyniają się oni do zawiązywania spółek, mających na celu podniesienie gospodarstwa i dobrobytu wśród ludu, starając się szerzyć wstrzemięźliwość od wódki i tytoniu, wpływają na zachowanie ubiorów i zwyczajów ludowych, odwodzą od emigracyi lub wychodzenia na zarobki w inne kraje, szerzą po wsiach zamiłowanie drobnego przemysłu, a po miastach zakładają warsztaty wyłącznie dla dzieci wiejskich, żeby się w terminach nie psuły i nie przerabiały na paniczów, ucząc się rzemiosła razem z mieszczanami. Organizują śpiewy choralne lub kapele, dając w ten sposób okazye do szlachetnej rozrywki, a odwodząc od złych i gorszących. Jednem słowem starają się wdrożyć do pracy społecznej ten bogaty materyał, jakim jest ogół wiejskiego ludu, który jednak wskutek zaniedbania i zostawienia samemu sobie, żył do niedawna w ciemnocie, niechlujstwie i w innych nałogach, a gdzieniegdzie nawet nadstawiał ucha zgubnym podszeptom socyalizmu, obudzającym nieżyczliwość i rozgoryczenie względem panów.

W domu Macierzyńskim Bracia mają piekarnię, warsztat krawiecki, szewski, stolarski, tkactwo sukienne, introligatornię i kuźnię. W zakładach księcia Radziwiłła nauczają dzieci slojdu. Przyjmują też posługi po kościołach, klasztorach, seminaryach i u proboszczów. Nie od rzeczy będzie podać tu jeden przykład ich mimowolnego wpływu. Pewna osoba wolnomyślna, będąc z obowiązku na nabożeństwie żałobnem, w kościele obsługiwanym przez Braci, zauważyła ich niezwykłe skupienie i powagę. Chcąc się przekonać, czy to pochodzi z obłudy, czy z istotnej pobożności, przyszła powtórnie do kościoła w godzinach popołudniowych, kiedy żadnego nabożeństwa nie było, tylko służba ko-

ścielna krzątała się koło porządków. I oto widok Braci, którzy z większą jeszcze niż rano gorliwością oddawali pokłon Najśw. Sakramentowi i od czasu do czasu przerywali swą pracę rzewną modlitwą, tak ją usposobił, że wyszła z kościoła nawrócona, o czem dotąd często lubi wspominać.

Bracia są jeszcze dozorcami w przytułkach sierót i w domach noclegowych, w szpitalach i innych zakładach. Dają po wsiach rekolekcye setkom osób, które potem przychodzą do konfesyonału z takiem usposobieniem, że spowiednicy wydziwić się nie mogą nadzwyczajnej zmianie w ich duszach, jakiej żadna misya dokonaćby nie potrafiła.

Zgromadzenia miasteczkowe żeńskie.

W taki sam sposób inne stowarzyszenia spełniają rozmaite posługi względem ludności miejskiej, radząc jej we wszystkich potrzebach duszy i ciała. Stają się one aniołami opiekuńczymi tych miejscowości, w których się znajdują. Uczą więc dzieci miejskie w ochronkach, w domach prywatnych, lub zbiorowo u siebie, kładąc główny nacisk na katechizm, historyę św. i zasady moralności. Starsze dziewczątka wprawiają do szycia, kroju, haftu, koronkarstwa, kwiatów i wszelkich innych robót pożytecznych, a zarazem wpływają na ich umoralnienie. W tym samym celu zakładają pracownie, które służą dla nich obok tego jako środek utrzymania. Zaprowadzają kółka żywego Różańca, zbierając osobno dzieci, osobno panny, osobno mężatki i każdą Różą kierują ku dobremu, stosownie do rodzaju osób do niej należących; przez żony zaś i matki działają na mężów i synów, na domowników i na miasto całe. Zakładają gospody i domy gościnne, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie ludzie liczniej się gromadzą dla celów pobożności. Mają przytułki dla osób, które przychodzą do miast i miasteczek szukając pracy, dają im tutaj czasowe schronienie i opiekę, aby w złe ręce nie wpadły, a także pośredniczą w poszukiwaniu dla nich obowiązków. Pielęgnują chorych, czuwają nad nimi, nakłaniając przytem i przygotowując do ostatnich Sakramentów św. Zaprowadzają uczciwe gry i rozrywki, a odwodzą od gorszących. Odciągają od życia nad stan,

i wszelkiej żądzy wynoszenia się, dając jak pod tym, tak i pod innymi względami żywy przykład umiarkowania.

Zgromadzenia oddane pracy ręcznej.

Bardzo żywotną w naszych czasach jest kwestya pracy, tak często podejmowana przez ekonomistów i przez zmarłego papieża Leona XIII, albowiem złe jej zrozumienie jest główną przyczyną wszystkich zawichrzeń socyalistycznych. Aby tę pracę uzacnić i uświęcić, zebrano osoby z tej sfery, mające ducha poświęcenia, skąd znów utworzyły się zastępy prawdziwych choć cichych rycerzy pracy, którzy apostołując przykładem i słowem, zachęcają współtowarzyszów do pracy chrześcijańskiej i służą zbudowaniem dla wszystkich, z którymi mają stosunki.

Szwaczki.

Służebnice Boże, zajęte pracą ręczną, a szczególniej szyciem ubiorów, dążą głównie do podwyższenia pracy, czyli nauczenia drugich, jak należy pracować po chrześcijańsku na wzór Chrystusa Pana, w duchu pobożności, dla spełnienia woli Bożej i dla wiecznej nagrody, nie ubiegając się za samym tylko zarobkiem, lub używaniem, ale poprzestając na małem z ochotą i radością. Zdarza się, że jedna osoba takim duchem przejęta, wpływa na wszystkie towarzyszki w magazynie i odwodząc je pomału od pragnień światowych, skłania je nawet do zamiłowania pracy.

Z drugiej strony celem zgromadzenia jest przyjście z pomocą biednym szwaczkom w ich potrzebach materyalnych. W tym celu Siostry mają przepisane używanie rozmaitych środków, jakoto: 1) Zakładanie szkół szycia i kroju, w których biedne dziewczęta uczyłyby się darmo ale pilnie, przez co uniknęłyby długoletniej i niedbałej nauki, jaką zwykle odbierają po pracowniach. Uczennice mogłyby się potem wywdzięczać, czy to bezinteresowną pracą, czy też zapłatą, gdy już same będą miały stosowny zarobek. 2) Otwieranie kantorów stręczenia roboty, gdzie szwaczki w każdym czasie mogłyby znaleźć dla siebie odpowiednie zajęcie. U kierującej kantorem należy porozumiewać się z zarządami pensyi, szpitali, lub ze sklepami, gdzie zwykle robota bywa w wię-

kszej ilości. Kantory te, oprócz robót, stręczyłyby i pracownice, takie zwłaszcza, które uczyły się w zakładach zgromadzenia. 3) Otwieranie elementarnych nauczalni szycia dla wdów obarczonych dziećmi i nie mogących wydalać się z domu dla zarobku, a nie umiejących szyć nawet jako tako, żeby robotę same przyjmować mogły. Zakład taki istnieje już półtora roku i pięknie się rozwija. Wdowom daje się robotę bardzo łatwą, szczególniej na początek, a jeśli źle co zrobią muszą poprawić na miejscu pod okiem krojczyni, aby na drugi raz mogły już uszyć dobrze. 4) Jest też »Koło opieki« nad rodzinami tych ubogich szwaczek, które czuwa nad zaopatrywaniem ich potrzeb materyalnych i moralnych, oraz nad wychowaniem ich dzieci w zasadach religii chrześcijańskiej. 5) Utrzymywanie składów gotowych robót, w których szwaczki, nie mające zamówień, mogłyby składać swoją pracę, pobierając naprzód jakąś zaliczkę, a resztę otrzymując po sprzedaży. Zgromadzenie starać się ma o przychylne osoby lub sklepy, któreby kupowały ubiory w tych składach. 6) Zawiązywanie stosunków z firmami towarów bławatnych lub norymberskich, w którychby nie tylko członkom zgromadzenia, ale i wszystkim szwaczkom pod ich opieką będącym sprzedawano towary po zniżonej cenie, a w czasach kiedy zwykle brakuje roboty ustępowano je na kredyt za poręczeniem lub na książeczkę. 7) Zakupywanie towarów wprost z fabryk po cenach hurtowych i odsprzedawanie ich prawie bez zarobku lub na kredyt biedniejszym szwaczkom. 8) Wpływanie na właścicieli magazynów, aby ograniczały robotę do pewnych godzin, aby dawały słuszną zapłatę, wynagradzały za przedłużenie pracy, udzielały zapomóg na czas bezrobocia i t. d. 9) Nauczanie szwaczek różnych potrzebnych wiadomości w niedziele i święta. 10) Staranie się dla nich o kolonie letnie, gdzieby za parę godzin pracy mogły mieć odpoczynek przez lato. 11) zakładanie lombardów, gdzie jedne szwaczki mogłyby składać swoje drobne oszczędności, a drugie zaciągać pożyczki za jakiem poręczeniem lub zastawem, na procent nie większy niż w kasach oszczędności. 12) Zakładanie schronień dla szwaczek starych i osłabionych, czy to przez zbieranie odpowiedniego funduszu od dobrodziejów, czy też łącząc po kilka ze

sobą, aby się wzajemnie w potrzebach swoich wspierały. 13) Organizowanie kółek opieki nad szwaczkami z osób zamożnych i dobrej woli, któreby schodziły się na narady, celem polepszenia losu szwaczek, pomagały biednym w niedostatku lub chorobie i t. d. i zobowiązywały się do jakich datków, kładąc np. do puszki choćby po rublu, przy sprawieniu sobie każdej sukni balowej lub jedwabnej. 14) Uczestniczenie w wiecach odpowiednich lub zbieranie takowych, dla określenia po Bożemu ceny robót i wpływanie na szwaczki, aby od nich nie odstępywały, dla ogólnego dobra zarówno pod względem ciała jak i duszy, gdyż jak sam wyrzekł Leon XIII do zachowania życia duchownego i postępu w cnocie, potrzebne jest koniecznie jakie takie zapewnione utrzymanie.

Tu należy wspomnieć o pracownicach kościelnych, których zadaniem jest ozdoba i porządek domu Bożego, oraz opatrywanie ubogich kościołów.

Rzemiosła.

Rzemiosła są dzisiaj bardzo podniesione, ale niestety, przez upadek lub zniesienie cechów osłabła w nich religijność i moralność. Potrzeba je było w ich własnem łonie odrodzić i wychować rzemieślników według Boga, którzyby czy to w charakterze terminatorów czy czeladników lub majstrów, wpływali zbawiennie na swoich towarzyszów i podwładnych. W tym celu urządzono małe i bardzo nieznaczne seminarya, a raczej warsztaty, które były zarazem ich nowicyatami. I dziś domy rzemieślników poświęconych służbie Bożej są prawdziwymi szkołami cnoty, gdzie nie tylko współpracownicy przyzwyczajają się żyć według Boga, ale i wszyscy wogóle, widząc ich uczęszczających do Świętych tajemnic, a przytem pracujących pilnie i ochotnie, w serdecznej miłości i w zgodzie i używających wzięcia i zaufania u wszystkich, zachęcają się do ich naśladowania i porzucenia złych nałogów. Patrząc na takie owoce, to wszystko, co czytamy o zakładach zagranicznych, zaprowadzonych z wielkim kosztem dla ściągnięcia robotników na wspólne zabawy, dla ochronienia ich od złych okazyi i t. p. zdaje nam się zbyt długą drogą w poró-

wnaniu z tem, co tu widzimy. Bracia ci podobnie się urządzają, jak się mówiło o wiejskich, prowadzą różne rzemiosła jak krawiectwo, szewstwo, stolarstwo, introligatorstwo. W ważniejszych miastach, jak Częstochowa, Łódz i t. d. mają pierwszorzędne sklepy i warsztaty, oraz mnóstwo czeladzi i terminatorów, których przełożeni są głównymi seniorami swego cechu. Najmują także ogrody w miastach i niemały wpływ wywierają na mieszkania robotników przy kopalniach i fabrykach. Mieszkań takich bardzo ludnych i urządzonych po Bożemu mają kilkanaście, prowadzą przytem ochrony po miastach z uznaniem kapłanów i biskupów, Wszędzie rozszerzają pożyteczne książki, prowadzą nawet księgarnie katolickie, wydają swoje pismo, ściągają ludzi na czytania moralne i naukę rzeczy pożytecznych, szczególniej w niedzielę i święta. Szerzą bractwa, przewodniczą w rekolekcyach, uczą katechizmu. W jednem np. mieście przygotowali więcej niż dwa tysiące dzieci do pierwszej Komunii św. i mają tam około trzydziestu wianków Żywego Różańca. Ci sami Bracia sprawują także urząd misyonarzy i z narażeniem na wielkie niebezpieczeństwa pod osłoną rzemiosła przebiegają dalekie okolice, a dotarłszy tam, gdzie nawet kapłan nie ma dostępu, ożywiają wiarę, szerzą Zywy Różaniec oraz inne bractwa, odprawiają wspólne modlitwy z wiernymi, którzy już prawie pacierza zapomnieli. Kapłani tamtejsi dopraszają się bardzo o taką pomoc i utrzymują, że bez nich nie mogliby sobie poradzić. Wreszcie spełniają oni posługi po Kościołach, seminaryach, szkołach i zakładach dobroczynnych, prowadząc tanie kuchnie utrzymując domy sierót i t. d.

Fabryki (żeńskie).

Fabryki stały się w naszych czasach jakby uosobieniem materyalizmu i kuźnią socyalistów, tudzież bujną rolą, w którą ci przewrotni apostołowie rzucają obfite nasiona bezbożności i zepsucia. Trzeba więc było i tam posłać apostołów Chrystusowych, jak owce między wilki, aby ich swoją cichością na owieczki przerobili. Obecnie rzadką jest fabryka, w którejby nie pracowało kilka lub nawet kilkanaście osób Bogu poświęconych, gdyż liczba ich dochodzi już do dwóch tysięcy. Przedstawiają się one na-

przód jako zwyczajne robotnice i znoszą zwykle z początku prześladowania i szyderstwa swoich współpracowników, powoli jednak zyskują zaufanie majstrów, którzy z czasem ulegają ich dobroczynnemu wpływowi, a z drugiej strony zaufanie robotników, powstrzymując ich od wielu czynów niechrześcijańskich i przerabiając wszystko wkoło siebie na modłę Chrystusową. Na kongresach katolickich często odzywali się wielcy przedsiębiorcy z tem, że fabryki, w których zaprowadzone są przepisy co do religii i moralności, są rzeczą Opatrznościową dla uświątobliwienia dusz. Przedstawiali też owoce, jakie w swoich zakładach zbierają z odmawiania wspólnie pacierzy, uczęszczania do Sakramentów św. i t. p. Lecz nasze Siostry rzecz większą robią, bo wchodzą do zakładów niereligijnych i bezbożnych i wystawiają się na różnorodne trudności, a potem przerabiają nieznacznie wszystko dokoła siebie. Socyaliści widzą w nich obecnie największą przeszkodę do rozszerzania swojej niszczącej działalności i wcale się z tem nie kryją. Grożą nawet fabrykantom i wyższym oficyalistom, nakazując im wydalić te »dziewki narodowe«, a samym Siostrom każą zapisywać się na listę ich członków, zagrażając w przeciwnym razie śmiercią. Żadna jednak dotąd nie dała się pociągnąć, ani nie uległa żadnemu wypadkowi, tak, że nawet w czasach ciągłych i tłumnych aresztowań, ani jedna nie została uwięzioną, a kozacy, którzy na żądanie właściciela jednej z fabryk wpadali do domów z nahajkami i zapędzali ludzi do roboty, mieszkania tychże Sióstr ominęli. Fabrykanci i oficyaliści bynajmniej nie chcą ich wydalać, widząc w nich doskonałe pracownice, niepotrzebujące nadzoru, owszem przykładem swoim zachęcające innych do sumienności i uczciwości. Co więcej, ze względu na nie lub pod ich wpływem czynią różne folgi dla ogółu pracujących, jedni np. dają robotnicom kilka dni w miesiącu na wypoczynek i pracę koło siebie, a co rok 10 dni lub więcej bez wytrącenia z zarobku; inni stawiają dla fabryki kaplice, wszędzie wznoszą ochronki dla dziatwy ludu fabrycznego i takowe Siostrom powierzają. Same zaś Siostry wpływają znakomicie na moralność i dobrobyt swoich współpracownic, urządzając wspólne mieszkania dla tych, które nie mają na miejscu blizkiej rodziny i musiałyby mieszkać u obcych, na-

rażając się przez to na wielkie niebezpieczeństwa moralne. Mieszkania takie są przy każdej niemal fabryce, a w niektórych miejscowościach jest ich po kilka. W nich dwadzieścia lub trzydzieści osób łączy się razem, obierając z pomiędzy siebie jedną za gospodynię, drugą za kucharkę i wspólnym a daleko tańszym kosztem, pożądnie się żywią i mieszkają, mając nadto towarzystwo, opiekę w chorobie i pomoc w potrzebach materyalnych i moralnych. Błogosławieństwo Boże tak widoczne jest nad niemi, że choć w obecnych ciężkich czasach z powodu strejków, wiele ludu fabrycznego cierpi głód i nędzę, one nigdy jeszcze w żadnym domu głodu nie zaznały; owszem nie tylko nie potrzebowały udawać się o wsparcie do komitetów dobroczynnych, ale same pomimo skromnych środków niosą pomoc innym rodzinom fabrycznym. W wolnych chwilach chodzą do chorych kobiet, zastępują je w obowiązkach domowych, szyją i karmią dzieci, gotują posiłek. Każda ma jakąś rodzinę, albo i kilka na swojej pieczy, przez co nie ma czasu myśleć o próżnościach właściwych temu stanowi, lecz cała oddaje się na posługi bliźnich, pociągając inne dziewczęta swoim przykładem.

W niektórych miejscach Siostry utrzymują własną pracą przytułki dla suchotnic. Bardzo też wiele zrobiły dobrego w walce z różnemi sektami, które się do fabryk wdzierają: np. z anabaptystami, masonami, nie mówiąc już o protestantach i kalwinach. Propaganda tych sekt odbywa się w fabrykach na większą skalę, niżby to można było przypuścić, a przynętą są głównie pieniądze: lepsze wynagrodzenie za pracę lub posag, gdy dziewczyna fabryczna zgodzi się wyjść za mąż za anabaptystę i t. p. Mnóstwo takich zostało powstrzymane przez Siostry od zguby.

Handel.

Również ważną zdaje się być dzisiaj kwestya handlu. Biorą się do niego ludzie wszelkich stanów, ale czynią to w duchu pogańskim, t. j. dla samych tylko korzyści materyalnych. Trzeba było przeto zebrać zastęp osób, które prowadziłyby ten zawód w duchu poświęcenia, zadawalniając się małym zyskiem, aby tylko opędzić swoje potrzeby, a natomiast starałyby się ułatwić ludziom

nabycie rzeczy koniecznych, chroniąc ich od zdzierstwa Żydów i wpływając moralnie na wszystkich, co do ich sklepów uczęszczają. Bo dlaczegóżby i do handlu nie mogły się brać osoby z duchem poświęcenia?

To samo można powiedzieć i o domach gościnnych. Urządzają się dziś one na wielką skalę, ale mają charakter zupełnie niereligijny, czy to przedstawiając się w postaci hotelów i restauracyi, czy też kolejowych bufetów lub karczem. Zdawało się przeto bardzo potrzebnem zaprowadzić gospody chrześcijańskie, które byłyby jednocześnie rozsadnikami i miejscem apostolstwa.

Pierwszą myśl w tym względzie podał Pan Bóg zmarłemu Ojcu Franciszkowi Kapucynowi, który chcąc zapobiedz pijaństwu i zdzierstwu, założył gospody chrześcijańskie, gdzie za bezcen sprzedawano herbatę i inne artykuły żywności. W przedmiocie tym napisał on broszurkę pod tytułem: »Przestroga braterska«. Owe gospody rozpowszechniły się po kraju niezmiernie prędko, bo się pokazało, że nie tylko nie tracono, ale zyskiwano na ich liczbie, że jednak były to instytucye katolickie, więc zawadzały rządowi, który je wszędzie pokasował. Pomimo to i dzisiaj jeszcze istnieją, choć nie zawsze pod nazwą gospód chrześcijańskich. Zadaniem ich, jak również i sklepików jest ułatwianie wiernym nabycie taniego i zdrowego posiłku, a gdzie można, to i dobrych książek, oraz przedmiotów służących do pobożności, jako też innych rzeczy w mieście lub na wsi potrzebnych. Dalej zapobieganie gorszącym mowom, nastręczanie dobrych czytań i niewinnych rozrywek, wreszcie rozmaite uczynki miłosierdzia, jak np. przyjmowanie podróżnych, wspieranie ubogich, nauczanie nieumiejętnych, udzielanie rad, stręczenie sług, i o ile czas pozwoli, służenie chorym, a nadewszystko budowanie całej wioski lub miasta dobrym przykładem tak w kościele jak w domu.

Za gospodami poszły sklepy chrześcijańskie i tak się szerzą po kraju, że dziś mało jest miejscowości, gdzieby ich nie było, gdy przedtem stanowiły one niezmierną rzadkość. Wiele w tem zasług przypisać trzeba *Roli*, która bardzo te sklepy popiera. Inne zaś pisma, przeważnie żydowskie, nie śmią tego czynić, bo Żydzi

uważają się zawsze za uprzywilejowanych do handlu, a raczej do szachrajstwa i wyzysku biednego ludu.

Sługi.

Stan służebny także zasługiwał na uwagę i posiadał wiele dusz z prawdziwem poświęceniem. Osoby te, zostając przy swojem zajęciu na wzór św. Zyty, mogą czynić wielkie postępy w cnocie, a wstępując do klasztorów, niezmiernie rzadko się uświęcają. Potrzeba było nadto podnieść ten stan z poniżenia i to do takiej wysokości, jaką mu Ewangelia św. nadaje mówiąc: »Kto chce być starszym, niech będzie sługą«. Zebrano tedy zastęp sług prawdziwie Bożych, które pracując ochotnie i same się uświęcają i są przykładem dla innych, gardzących swoim stanem, a nawet dla samych państwa, apostołując w swojem kółku roztropnie i cicho.

Celem więc tego zgromadzenia jest podniesienie z upadku stanu służebnego; wszechstronna nad nim opieka, odnosząca się do potrzeb tak duszy, jak i ciała, tudzież obudzenie w wyższych stanach poczucia obowiązków społecznych chrześcijańskich, a przedewszystkiem względem służby domowej. Dla osiągnięcia tego celu używają się środki następujące: 1) Szerzenie zasad pobożności i moralności między sługami. Zbierając je w zakładach swoich, w kuchniach i w innych miejscach, Siostry nauczają je prawd wiary i obowiązków stanu, ćwiczeń pobożności, wykładają Trzecią Regułę S. O. Franciszka, odprawiają z niemi rekolekcye, urządzają dla nich czytelnie pobożne, nawiedzają przy pracy, radzą w trudnościach, uczą oszczędności, sumienności, skromności w ubiorach, a szczególnie poszanowania i zamiłowania swego stanu. 2) Nauczanie zawodu. Siostry utrzymują rozmaite zakłady, jako to: pralnie, magle, garkuchnie i t. d., gdzie sługi wprawiają się w pełnienie różnych obowiązków służebnych i słuchają odpowiednich wykładów. Zgromadzenie ma też ochronki dla dziewcząt, sposobiących się do stanu służebnego. 3) Pomoc w wyszukiwaniu zajęcia. Siostry zakładają schronienia dla sług, pozostających chwilowo bez miejsca oraz kantory pośredniczące między państwem a sługami. 4) Opieka w nieszczęściach i w chorobie. Zgromadzenie

urządza kasy oszczędnościowe, stara się o bezpłatną pomoc lekarską dla chorych, otwiera domy dla sług, przychodzących do zdrowia. 5) Zapewnienie bytu na starość. Zgromadzenie zabiega o emerytury dla sług, otwiera przytułki dla wiekowych lub kalek, daje opiekę przy śmierci, wyprawia chrześcijańskie pogrzeby biednym sługom. 6) Obrona przed wyzyskiem i nadużyciem. Siostry pilnują, aby sługi w świeckich domach pracujące, były należycie wynagradzane, z miłością traktowane i nie przeciążane robotami, aby miały możność spełniania obowiązków religijnych i czas do wytchnienia. 7) Obudzanie działalności społecznej w innych stanach. Pomiędzy osobami należącemi do klas wyższych. Siostry tworzą kółka opieki nad sługami; członkowie zaś tych kółek obowiązują się spełniać względem własnych sług wszelkie wymagania sprawiedliwości i miłości, pobudzać do tego inne osoby swego stanu i wspomagać instytucye dla sług, zakładane przez Zgromadzenie.

Zgromadzenia nauczające.

Szkoły były zawsze dla Kościoła przedmiotem szczególnej pieczy, zwłaszcza dzisiaj, gdy duch wychowania bezwyznaniowego cały świat prawie ogarnął. U nas zaś nie tylko jawne zakony nie mogły nauczać, ale nie wolno było nawet otwierać szkół katolickich, jak to czynią gdzie indziej dla przeciwdziałania bezwyznaniowym. Łatwiej cokolwiek dopuszczano szkoły rękodzielnicze; można też było do szkół rządowych i prywatnych posyłać dusze zakonne, ukryte przed światem i opatrzone wszelkiemi kwalifikacyami naukowemi, aby kierując się roztropnością, niweczyły podstępne dążenia bezbożnych i przygotowywały wśród świata zastęp wyznawców Chrystusowych na czas prześladowania[1].

To dało początek dwom Zgromadzeniom nauczającym.

---

[1] Podobno i te nowe szkoły polskie, które się teraz zakładają, prowadzone są w duchu bezwyznaniowym, a przytem na sposób amerykański, t. j. łącząc razem chłopców z dziewczynkami. Będzie to coś jeszcze gorszego, niż dawne szkoły rosyjskie, bo przeciwko tamtym dzieci uzbrojone były wstrętem do języka, tu zaś z całym zapałem piją truciznę niedowiarstwa w imię postępu im podawaną. Zbierały się na to podatki z całego kraju,

W wyższych zakładach naukowych.

Jedno z tych Zgromadzeń założyło pierwszorzędny zakład rękodzielniczy, zamieniony potem na wyższą pensyę, z której wychodzą panny wykształcone w duchu katolickim i przejęte wielkim zapałem do szerzenia światła Bożego po kraju. Zaprowadziło także naukę wyższego gospodarstwa kobiecego, ze wszystkiemi ulepszeniami, jakich potrzeba czasu wymagała. Wreszcie posiada ono szkołę dla ochroniarek, z której co rok wychodzi po 50 i więcej osób, roznosząc na różne strony zdrową naukę elementarną w duchu katolickim prowadzoną.

W ochronach i szkółkach.

Drugie Zgromadzenie, złożone z osób intelligentnych a nie mogących po większej części opuścić rodziny lub swego położenia w świecie, również zajmuje się nauczaniem. Osoby te nie tak wszakże to czynią, jak inne z ich stanu, pracują bowiem nie tyle dla utrzymania, ile z poświęcenia i z miłości Bożej, przeciwdziałając prądom bezwyznaniowym, oraz korzystając z każdej okazyi, aby wrażać w młode serca zasady żywej wiary i moralności chrześcijańskiej. Pokazują też na sobie, że można przebywać wśród świata, nie odstępując w rzeczach godziwych od jego wymagań, a jednak żyć nie tylko moralnie, lecz nawet według rad ewangelicznych. Rozszerzają wreszcie praktyki wyższej pobożności chrześcijańskiej, wychodząc z tej zasady, że na wypadek prześladowania takie tylko dusze okażą się mężnemi, które będą Bogu oddane i ugruntowane mocno w ćwiczeniach pobożności.

Celem więc tych osób jest prowadzenie nauki chrześcijańskiej tak wyższej jak niższej, przeciwdziałanie oświacie szerzonej przez socyalistów i przez inne bezbożne sekty, tudzież obudzanie poczucia obowiązków społecznych,

W tym celu oświecają młodzież o zgubnych dążeniach so-

---

byłby to więc poważny zawód dla wszystkich, którzy dawali, bo przecież nie chodziło im o szerzenie oświaty socyalistycznej ani nawet o sam tylko język polski, ale o zmianę gruntowną systemu wychowawczego, zarówno co do języka, jak i pod względem religijnym i moralnym.

cyalizmu, budząc natomiast zamiłowanie pracy społecznej w duchu encykliki *Rerum novarum*. Wpływają, aby obowiązki społeczne spełniane były w rodzinach, zarówno co do sprawiedliwości i miłości względem podwładnych, jako też co do uczynków miłosierdzia, przez zakładanie lub wspieranie ochron, szpitali, szkół, rzemiosł i drobnego przemysłu i t. d. Przestrzegają od zbytków, wyjazdów zagranicę, od procesów szczególnie z ubogimi. Łączą młode panienki w Żywe Różańce lub inne kółka, aby je pozyskać dla swego celu t. j. dla szerzenia nauki Chrystusowej. Radzą im, aby szukały analfabetów po domach, w których mieszkają, i parę godzin na dzień im poświęcały, ucząc rzeczy koniecznych w ich stanie i używając do tego zawsze właściwych podręczników. Zachęcają te osoby do objaśniania swych braci i znajomych o zgubnych dążeniach różnych partyi wywrotowych, aby ta opinia rozchodziła się powoli po świecie, zwalczając przeciwne mniemania. Gdzie widzą sposobność po temu, tam zbierają składki na zakupienie książek dla dzieci ubogich rodziców, lub na wynagradzanie uczących panienek, któreby nie miały innych środków do życia. Wszystko to czynią, aby pokazać, że miłość katolicka nie tylko słowem i językiem, ale w uczynkach się objawia, — z intencyą, aby ta miłość pociągnęła błądzących do prawdy.

Dla młodzieży wykształconej.

Tu należy wspomnieć o innem Zgromadzeniu, oddanem głównie osobom, opuszczającym zakłady naukowe. Panienki te obok wykształcenia, są zwykle moralnie spaczone, przez zgubny system szkolny, jako też przez czytanie szkodliwych pism i książek. Pomnąc, że te osoby staną się kiedyś nauczycielkami albo matkami i będą wychowywały nowe pokolenie według zasad, jakiemi same przesiąkły, członkowie Zgromadzenia korzystają z każdej sposobności, aby się do nich zbliżyć i prostować błędne ich poglądy. W tym celu utrzymują stancye dla panienek uczęszczających do zakładów naukowych, dla ustrzeżenia ich od zgubnego wpływu, urządzają odczyty i pogadanki, zakładają czytelnie i westyarnie dla ubogich, w których schodzą się młode osoby, aby szyjąc posłuchać pożytecznego czytania. Otwierają nadto biura nauczy-

cielskie lub mieszkania dla nauczycielek chwilowo pozbawionych miejsca, księgarnie dzieł moralnych oraz innych pożytecznych, piszą artykuły do pism, tłumaczą lub wydają książki i t. p.

Dla rodzin.

Duch poświęcenia dla pracy społecznej ogarnął nawet osoby w stanie małżeńskim zostające, które również zawiązały się w stowarzyszenie, jedno męskie drugie żeńskie, pod tą samą Trzecią Regułą, chociaż bez ślubów zakonnych. Zadaniem ich społecznem jest:

1) Właściwie wychować dzieci i zaprawiać je jak najwcześniej do pełnienia obowiązków społecznych, wykorzeniać samolubstwo, a natomiast wpajać zasady miłości chrześcijańskiej przez czynny udział w dziełach miłosierdzia; pilnować, aby szanowały służbę i ludzi z niższego stanu, nie unikały ich, ani się wynosiły, aby ceniły ich pracę i poczuwały się do wdzięczności za nią i rozumiały wzajemny stosunek członków społeczeństwa, którzy wszyscy potrzebują wymiany usług i mają stąd wzajemne względem siebie obowiązki. Powinni też zachęcać inne osoby do podobnego wychowywania swoich dzieci.

2) Podnieść cel życia towarzyskiego, które obecnie znajduje się w stanie bardzo opłakanym i podtrzymuje się tylko z obowiązku lub dla pokazania się, zaimponowania strojami, brylantami, dla wydania córek za mąż, a co najwyżej dla zabawienia się i zabicia czasu. Zebrania stają się nudnemi, młodzież męska ucieka, woli knajpę, panowie starsi usuwają się do zielonego stolika i co najwyżej mówią o polityce, panie obmawiają i plotkują. Członkowie Stowarzyszeń dążyć powinni do tego, aby pozbawić zebrania towarzyskie czczości i koteryjności, a uczynić je zajmującemi i pożytecznemi, aby spotykały się na nich osoby różnych poglądów, aby rozbierano tam sprawy ogólne i aby z nich wychodziło zapoczątkowanie czynów obywatelskich.

3) Na wszelki sposób przykładem i słowem pobudzać do spełniania obowiązków społecznych, aby nie tracono czasu i pieniędzy, aby rozumiano, że kto więcej od społeczeństwa bierze, ten więcej dawać powinien, że nie dość jest wychować starannie

dzieci i byt im zapewnić, albo nawet okupić się od obowiązków społecznych datkami pieniężnymi z tego co komu zbywa, lecz trzeba przykładać do nich serce i rękę. Głównie zachęcać wszystkich do miłości, sprawiedliwości i opieki nad tymi, wśród których Opatrzność kogo postawiła i od których potrzebuje się usług. Np. obywatela względem wieśniaków, fabrykanta względem robotników, urzędnika względem pomocników, pani domu względem sług, bon, nauczycielek, które uczą jej dzieci, względem szwaczek, które szyją im ubranie i t. p.

4) Tłumaczyć, aby nie gaszono zapału w młodzieży, nie przytłumiano w niej pomysłów, nie zrażano jej przedstawianiem trudności, lecz owszem aby pobudzano do czynu, kierowano radą roztropną, zachęcano przykładem. Aby młode panny po skończeniu nauk nie marnowały czasu bezczynnie, oczekując na męża, lub wymyślając sobie rozrywki. Aby tych lat swobody przed zamążpójściem nie uważały za przejściowe, a ich użycie za dowolne i od nikogo nie zależne, tylko właśnie przeznaczone do pracy dla dobra innych, która je najlepiej przygotuje do przyszłych obowiązków stanu małżeńskiego. Aby nie zadawalniały się przygodnymi uczynkami miłosierdzia, ale zaprawiały się do pracy zorganizowanej pod rozumnym kierunkiem i w duchu chrześcijańskim, gdyż taka tylko przynosi trwałe owoce.

Dla wyższych stanów.

Ponieważ w wyższych i w zamożnych stanach także się okazały objawy tej gorliwości, jaka inne warstwy ogarnęła, wypada nam wspomnieć, jaką rolę zajęli w nich słudzy Boży na polu pracy społecznej. Otóż nie zmieniając swego położenia na świecie, stają się oni przykładem dla innych osób tego stanu, które wciągają do pełnienia obowiązków społecznych, obudzając w nich podniosłe uczucia, szlachetne dążności, ducha poświęcenia i dokładne zrozumienie swego zadania. Przypominają im, że arystokracya z natury swojej nie jest czemś szkodliwem w społeczeństwie, owszem stanowi ona najwyższą hierarchię narodu, w ręce której Bóg złożył środki przeznaczone dla dobra wszystkich warstw społecznych. Na to bowiem zamożni posiadają niezależność i wolni

są od zabiegów o własny dobrobyt, aby ich używali dla podniesienia cywilizacyi i dla dobra klas pracujących. Obowiązek ten sam z siebie wypływa, bo mając większe potrzeby, więcej też potrzebują od ludzi pomocy, za którą z ich strony wzajemna uczynność się należy. Jest to dla nich zresztą jedyna droga do Królestwa Niebieskiego, o której wyraźnie powiedział Pan Jezus, że stanowi własność ubogich, więc bogaci mogą ją tylko odkupić dobrymi uczynkami, w przeciwnym zaś razie trudniej im będzie tam się dostać, niż wielbłądowi przejść przez ucho igielne.

Zadaniem więc tych osób Bogu służących, jest wpoić w nich przekonanie, że nie mają prawa używać dóbr swoich według zachcianek, a tem bardziej ich marnować. Że nie tylko pieniądze, ale nawet i czas ich do społeczeństwa należy, bo praca jest obowiązkiem każdego człowieka, bez względu na stan i majątek. Ze więc bezczynność albo ciągłe uganianie się za rozrywkami, marnotrawstwo, wypuszczanie z rąk majątków ziemskich, mieszkanie zagranicą, gardzenie swoim językiem i zwyczajami, przyjmowanie na służbę cudzoziemców, otaczanie się produktami zagranicznymi i t. p. jest grzechem wobec społeczeństwa, że rozmaite koncerty i bale na ubogich nie są wcale czynami społecznymi, że wydawanie pieniędzy na zbytki nie podnosi bynajmniej dobrobytu klas pracujących i że takie tłumaczenie jest przewrotne i nizkie, niegodne człowieka uczciwego, bo maleńka korzyść, pochodząca z tych czynów, nie opłaci bynajmniej daleko większych strat, jakie za sobą pociągają.

Dalej wskazywać im powinny przykładem i słowem aktualne obowiązki tego stanu, a więc podnoszenie cywilizacyi kraju przez popieranie nauki, przemysłu i sztuki, przez ustanawianie stypendyów dla uczącej się młodzieży lub wspomaganie młodych talentów, przez podnoszenie literatury, wydawnictwa książęk, urządzanie konkursów, kształcenie wysokie swoich własnych dzieci, otaczanie się i ozdabianie dziełami sztuki, ale tylko krajowej i natchnionej myślą rodzinną, przez utrzymywanie stosunków z zagranicą i godne przedstawianie tam naszej cywilizacyi, a nawzajem przynoszenie stamtąd i popieranie wszystkiego co warte zastoso-

wania i co pożyteczne dla kraju, przyswajając zdobycze na polu nauk, sztuk i przemysłu.

Należy im też tłumaczyć, aby to co robią teraz dla mody, zysków, rozrywek, zreformowali i czynili w celu szlachetnym, dla podniesienia sławy swego społeczeństwa, iżby w tem co cywilizacya ma dobrego i wzniosłego, nie zostawało za innymi krajami. Gdy zaś to czynić będą, niech wiedzą, że ze wszystkich tych pożytków jakie daje cywilizacya, mają prawo z umiarkowaniem korzystać, pod warunkiem, że spełnią jeszcze drugi swój obowiązek, zajmując się potrzebami tych, których dobra cywilizacyi dosięgnąć nie mogą, t. j. losem klas ciężko pracujących. Niech dobrze rozumieją ten konieczny warunek, zawierający w sobie pogodzenie obowiązków i przywilejów, bo gdyby w tem była utrzymana harmonia, socyaliści nie mogliby mieć prawa ani podstawy do występowania przeciw arystokracyi.

To zajęcie się powinno być nie tylko pieniężne, ale czynne i osobiste, mianowicie opieka moralna i podniesienie dobrobytu. Poczynać się ma naturalnie od najbliższych: od służby, oficyalistów rządców, plenipotentów, w których potrzeby sami wchodzić i sami radzić powinni, utrzymując w majątkach swoich wszelkie zakłady, jak żłóbki i ochrony dla małych dzieci, a dla starszych sale zajęć i różne warsztaty, np. koszykarski dla chłopców, tkalnie i szwalnie dla dziewcząt. Dalej idą szpitaliki, przytułki, spółki, gospody i sklepy chrześcijańskie, chroniące przeciw nadużywaniu trunków i wyzyskowi żydowskiemu, szkoły gospodarcze, czytelnie ludowe, opieka religijna i lekarska. Dbać też mają, aby dwór służył wszystkim przykładem i radą, aby uroczystości rodzinne i gospodarcze przy współudziale państwa się odbywały, aby mieszkania służby tak dworskiej jak i folwarcznej były zdrowe i schludne a strój ludowy w poszanowaniu.

Z drugiej strony do nich należy sprawowanie honorowe czynności w instytucyach dobroczynnych, oraz takich, które mają na celu potrzeby klas pracujących, jakoto sług, rzemieślników, szwaczek i t. d.

Mają nadto rozwijać miłość do wszystkiego co swojskie, czuwać, aby nie powierzano dzieci zagranicznym niańkom i bonom,

nie wysyłano ich na naukę zagranicę, zwłaszcza panien, bo stąd prócz innego zła, wyradza się nieznajomość stosunków, potrzeb krajowych, oraz obojętność na sprawy ogólne. Inna rzecz, gdy młodzieniec dorosły jedzie do jakiego specyalnego zakładu naukowego zagranicę, bo w tem jest cel nabycia wiadomości i obrócenia ich potem na użytek dla kraju. Niech dbają aby nie wyjeżdżano zagranicę bez potrzeby, a tem bardziej nie mieszkano tam stale, aby poznawano potrzeby krajowe i starano się im radzić wspólnemi siłami, aby popierano rodzimy przemysł i handel, nie sprowadzając z zagranicy rzeczy, których tu dostać można, tylko starając się dopomagać, aby i u nas rzemiosła i przemysł się podnosiły, aby robotnik krajowy był kształcony, aby zdolności swojskie były rozwijane na każdem polu: przemysłu, literatury, sztuki, nauki. Popierać też mają stroje i zwyczaje narodowe, wycieczki po kraju, letni wypoczynek w naszych miejscowościach, niekupowanie u Żydów, wspomaganie wszelkich dzieł użyteczności publicznej, zaradzanie potrzebom ekonomicznym, organizowanie się w związki dla powyższych celów i t. d. i t. d.

Stowarzyszenia miłosierdzia.

Istnieją Zgromadzenia poświęcone usłudze chorym i powszechnie cenione zwłaszcza w stolicy. Mają one w różnych stronach kraju zakłady i przytułki, nadto jako zwyczajne posługaczki niosą pomoc chorym w ich domach, a wraz z opieką — słowa zbawienia. Z tego zaś głównie wszystkim są znane, że najzatwardzialszych grzeszników lub bezbożników do pojednania z Bogiem przywodzą.

Są też i takie, które się poświęciły wyłącznie posłudze chorych po szpitalach i klinikach, lub obsługują zakłady dla paralityków i nieuleczalnych, a nawet dla ubogich lub upadłych położnic. Inne rozciągają opiekę nad posługaczkami i dozorczyniami chorych wszelkiego rodzaju, ucząc je obejścia z chorymi, używania środków domowych, robienia opatrunków, a zarazem dopomagając samym dozorczyniom w ich moralnych i materyalnych potrzebach, przez urządzanie dla nich wspólnych mieszkań, kursów lub wykładów.

Były u nas także Siostrzyczki Ubogich, urządzone na wzór podobnego Zgromadzenia we Francyi. Regułę dla nich, przepisaną w samej kancelaryi Św. Kongregacyi, raczył przysłać czcigodny ks. Azbijewicz, a pani Przeździecka ofiarowała im fundusz na zakupienie domu. Naśladowały one wiernie tamte Siostrzyczki, w ubóstwie i poświęceniu, lecz że i tego nie wolno im było czynić swobodnie, musiały poprzestać na przytulaniu ubogich jako swoich sublokatorów i sublokatorki. Urząd miejscowy patrzył na to przez palce i często włóczęgów, z którymi nie wiadomo było co począć, do nich odsyłał. Wkońcu jednak dla swobodniejszego działania przeniosły się do Galicyi.

Zastąpiło je w tej rzeczy inne Zgromadzenie, którego Siostry są prawdziwemi wspomożycielkami wszystkich nieszczęśliwych. Przygarniają do siebie ubogie staruszki i kaleki, otwierają przytułki dla żebraków, szpitaliki dla nędzarzy, nawiedzają ubogie rodziny, wyszukują dla nich pracę, przygotowują do śmierci i opiekują się dziećmi włóczącemi się po ulicach. Tu należy wspomnieć o osobach, które opierając się na zdaniu Piusa IX, że Cześć Wynagradzająca zbawi świat, zajmują się upowszechnieniem tej czci na różny sposób, a jednocześnie pełnią różne uczynki miłosierdzia, tak względem duszy jak i względem ciała, pilnując jednak głównie potrzeb duchownych.

Zgromadzenie pracujących nad upadłemi.

Podnoszenie dusz upadłych i ułatwianie im sposobu trwałego nawrócenia, niemniej także należy do sprawy społecznej. Otóż i ta potrzeba kraju wpadła do serca osób zacnych i gorliwych, dla których niema nic trudnego. Wielkie to bowiem i niełatwe zadanie służyć dziewczętom upadłym i zbłąkanym. Siostry wyszukują ich po szpitalach, więzieniach, zaułkach i innych kryjówkach grzechu, a miłością i cierpliwością przywodzą je do poprawy, wyprowadzając na użytecznych członków społeczeństwa. Dla wpływu na nie przyjmują stałe obowiązki po klinikach i odpowiednich szpitalach, zakładają schronienia, utrzymując przy nich pracownie, warsztaty, pralnie oraz inne zakłady, w których te dziewczęta sposobią się do pracy zarobkowej. I później nawet

po ich wyjściu ze schronień, rozciągają nad niemi moralną i materyalną opiekę, a najprzód dopomagają w wyszukaniu służby lub innego zajęcia. Prace Zgromadzenia są bardzo owocne i trwałe. Nie wielka liczba pokutnic wraca do dawnego życia, inne zaś poprawiają się szczerze, a nieraz z dziewczyny zdawałoby się zupełnie zepsutej, wyrabia się istota niemal święta. Kilka z nich wyszło za mąż i są dobremi matkami i żonami. Wśród rozpustnic Zgromadzenie dobrze jest znane i co dziwniejsza, cieszy się sympatyą i zaufaniem. Jedna dziewczyna złego życia opowiada o niem drugiej, a nawet niekiedy wzajemnie się zachęcają do oddania się pod jego opiekę, lub pomagają czynnie tej, która chce porzucić złe życie, aby się do niego dostała. Są wypadki, że taka nieszczęśliwa ofiara, zaprzedana wbrew swej woli, lub zaplątana w sieci niegodziwych przedsiębiorców, zadaje sobie sama straszne cierpienia, aby się dostać do szpitala, a stamtąd pod opiekę Sióstr.

Zgromadzenie to ma przed sobą wielkie pole w zakładaniu przytułków noclegowych dla włóczęgów, domów poprawy dla małoletnich przestępców, ochronek dla podrzutków i dzieci zbrodniarzy; w rozciąganiu opieki nad kobietami, wychodzącemi z więzienia i podawaniu im pomocy, oraz w pełnieniu obowiązków dozorczyń więziennych.

Kapłani.

Przystępujemy teraz do najważniejszego przedmiotu, jesteśmy bowiem przekonani, że słudzy Ołtarza powinni być głównymi przywódcami pracy społecznej, i że oni sami jedni, przy wielkiej gorliwości, poradziliby całemu temu zadaniu, jakie Kościół katolicki ma w kraju naszym. Owszem dokazaliby tego daleko prędzej i skuteczniej, niż wszystkie wspomniane Zgromadzenia, które dopiero przy ich poparciu mogą działać owocnie i na szeroką skalę. Jest dosyć dzieł, wysławiających świetne posłannictwo kapłana i wskazujących mu środki do godnego pełnienia obowiązków swego stanu. Szczególnie celuje w tem dzieło *Homo Dei,* księdza Królickiego, które zostało u nas przerobione i otrzymało bardzo właściwy tytuł: »Ideał kapłana«. Nie będziemy więc syste-

matycznie rozbierali tych rzeczy, lecz ograniczymy się tylko na luźnych uwagach, jakie nastręczyły nam stosunki ze świeckiem duchowieństwem.

Kapłan wiejski.

Położenie kapłanów wiejskich jest najtrudniejsze, najbardziej odpowiedzialne, a najmniej mające skądkolwiek pomocy. Muszą być kierownikami dusz, a sami zostają bez kierownictwa. Wszystkich oczy na nich zwrócone, każdy ich postępek krytykowany, choć oni na większą od innych wyrozumiałość zasługują, będąc nieraz wszystkiego pozbawieni: i rodziny i towarzystwa i rozrywek, którym ludzie samotni na świecie bez grzechu oddawać się mogą.

Tymczasem całą niejako pracę społeczną kapłana możnaby streścić w udzielaniu się wiernym osobiście. Niech więc taki proboszcz, który lubi samotność; przestanie się nią napawać i otworzy drzwi plebanii dla wszystkich parafian, potrzebujących rady i pomocy, chociażby tylko duchownej, jeżeli go nie stać na inną. Niech taki, który chętnie odwiedza sąsiedztwo, czyni to z wyższym celem, żeby wywierać wpływ moralny, odwodzić od zbytków, zachęcać do wspomagania biednych podwładnych lub sąsiadów, niech w sposób chrześcijański rozbiera sprawy bieżące i szerzy w swojem otoczeniu właściwe na nie poglądy. Niech się nie krępuje względami ludzkimi, ale niech mówi w oczy prawdę tym, którzy śniedzieją w samolubstwie i dogadzaniu sobie, a o obowiązkach społecznych nie myślą lub je w sposób gorszący przestępują. Kazania księży niech nie będą czemś, co się kończy na ambonie, lecz niech zawsze pociągają za sobą skutek praktyczny. Niech będą w nich wytykane wady, podawane środki, wskazywane sposoby i ofiarowywana pomoc osobna tym, którzyby życzyli sobie z niej korzystać. Niech na ambonie rodzą się początki różnych organizacyi, zastosowanych do potrzeb miejscowych. A więc np. gdy w parafii jest nałóg pijaństwa, to na ambonie zawiązać się powinno bractwo wstrzemięźliwości; jeżeli rozwiązłość — to bractwo skromności; jeżeli gwałcenie niedziel, to związek święcenia dnia Pańskiego; jeżeli jest mania emigracyi do Ame-

ryki lub do innych krajów — to związek z odpowiednią nazwą, któryby od tego powstrzymywał; jeżeli panującym jest grzech kradzieży — to związek szanowania cudzej własności, jeżeli lud jest w rękach żydowskich, to związki na podobieństwo *Montes Pietatis*. Jednem słowem w każdej parafii zależnie od najgłówniejszych jej chorób moralnych, powinien być jeden lub dwa związki, mające za swój organ ambonę, a za uczestników nie tylko włościan, ale i panów. Na tem bowiem polu spotkanie się pana z chłopem najłatwiej może obudzić wzajemną miłość i zaufanie, bo tu jak jedni tak i drudzy nie dla siebie tylko lecz i dla bliźnich pracują. Niech z ambony wyznaczane będą zebrania, najprzód dla tych, którzy sami przyjść zechcą a potem wciągając i innych. Mogą się one odbywać czy to u samego księdza, czy też u innego szanowanego członka, a treścią ich powinny być narady, sprawozdania, obmyślanie środków działalności, zachęcanie i przyjmowanie nowych członków, rozmowa o sprawach społecznych, nawet stosowny poczęstunek, choćby wspólnym kosztem, jednem słowem, pomaganie do życia, nie tylko dla siebie samego.

Do księdza też należy organizowanie zbiorowego ratunku w razie jakiejś ogólnej klęski lub potrzeby, na wypadek głodu, ognia, powodzi, a nawet w celach zaprowadzenia lepszej gospodarki. Niekoniecznie ksiądz ma być zawsze pierwszą osobą, prezydującym, ale inicyatorem, a potem jak wypadnie; lepiej nawet żeby przewodniczył ktoś gorliwszy z pośród członków, do księdza zaś powinien należeć tylko kierunek moralny. Dobrze żeby członkowie mieli jakieś oznaki honorowe albo trzymali zapalone świece podczas nabożeństwa w kościele, bo to pociąga innych.

Ksiądz na wsi, jak chce *Homo Dei*, powinien kilka razy do roku zwiedzić całą parafię, powinien znać wszystko i wszystkich; mieć listę osób upadłych duchownie, a drugą — wszystkich ubogich. Ale niekoniecznie sam ma robić wszystko, owszem niech się wyręcza i z daleka kieruje, bo inaczej czasuby nie znalazł. Powinien nawiedzać ochronki, szkółki, szpitaliki, jeżeli są; zaglądać do tych osób, które do jakiego związku należą, aby się przekonać, czy postępują tak, jak się zobowiązali, dzieci zbierać na naukę katechizmu i przygotowywać do Sakramentów św.; zapra-

szając sobie do pomocy zarówno jaśnie panienkę ze dworu, jak i zdolną Marysię z wiejskiej chaty, żeby się na tem polu pracy społecznej zbliżały ze sobą. Ksiądz na wsi powinien mieć taki wpływ, żeby bez niego nikt nie potrafił zacząć jakiej budowy, wydać zamąż córki lub ożenić syna, rozpocząć sprawy z sąsiadem lub sprowadzić nowej młockarni. I nie o to chodzi, żeby się sam we wszystko wtrącał, tylko żeby się stał nieodzownym, koniecznym dla każdego, pozyskawszy ogólne zaufanie przez swoją życzliwość, praktyczność i wchodzenie we wszystkich potrzeby. Zamiast więc ciągle siedzieć w książkach treści oderwanej lub takie pisać, ksiądz niech ma też i książki, z których mógłby czerpać praktyczne wiadomości dla wieśniaków, coby do niego po radę przychodzili. Jeżeli proboszcz będzie rzeczywiście Ojcem duchownym, jak go nazywają, i jeżeli będzie kochany, to w jego parafii żaden socyalista nie znajdzie nic do roboty, bo mu nie uwierzą. »E, co on tam plecie, powiedzą, pójdziemy się spytać naszego Ojca duchownego, czy to prawda, że w Ameryce ziemia bez uprawy rodzi, albo że jak wyrzniemy panów, to nam cesarz daruje ich ziemię«.

Powinien też mieć wpływ na wyższą klasę, przez odwodzenie od wyjazdów za granicę lub na karnawał do Warszawy, od gry w karty, od robienia długów, kupowania u Żydów, nieskromnych strojów. Powinien zachęcać do zakładania szkółek, ochronek, szpitalików, żłóbków, do nauczania dzieci, prenumerowania pism odpowiednich dla ludu, wypożyczania książek i t. d. Powinien wreszcie wciągać młodzież obywatelską do prac społecznych, zwłaszcza do czynnej pomocy w różnych sprawach ogólnych przez niego samego kierowanych; co wszystko na zebraniach sąsiedzkich mogłoby być przedmiotem zajmującej a pożytecznej rozmowy.

Kapłan miejski.

Praca społeczna księży po miasteczkach mało się będzie różniła od pracy proboszczów wiejskich. Zmiany mogą być chyba tylko takie, że inne nałogi trzeba wykorzeniać, innym potrzebom przychodzić z pomocą. Ponieważ po miastach ludzie pną się zwykle jeden przez drugiego, żeby się przewyższyć w strojach, przyję-

ciach; rzemieślnik np. chce dorównać urzędnikowi, urzędnik burmistrzowi, w czem celują głównie ich żony i córki, — przeto wielką pomocą może być szerzenie Tercyarstwa. Wśród ludu wiejskiego ma ono tylko charakter religijny, a wśród mieszczan i społeczny, bo nakazuje umiarkowanie we wszystkiem: w jedzeniu, w stroju, i powstrzymuje od tego, co do grzechu wiedzie, od widowisk, tańców, kłótni i t. d.; wreszcie zachęca do uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego: do zbierania składek, nawiedzania i wspomagania ubogich i chorych, jak to wszystko wyświetla Leon XIII.

W dużych miastach nowe się otwiera pole, tam bowiem księża mogą pracować w różnorodnych kierunkach: jedni np. są proboszczami, drudzy wikaryuszami, inni prefektami i t. d. Pierwsi więc niech dbają najprzód o swoich wikaryuszów, aby mieli porządne mieszkania i wszyscy wspólnie u proboszcza się żywili, żeby żaden nie potrzebował mieć kuchni, ani kucharki, tylko by jeden lokaj mógł ich obsłużyć, jak w hotelu. Dla służby kościelnej, którą powinni mieć wszystką z osób Bogu poświęconych, również niech utrzymują porządne mieszkania na plebanii, bo kto nie dba o swoich, mówi Pismo święte, jakże może mieć staranie o Kościół Boży?

Wikaryusze, prócz obowiązków parafialnych, pełnią zazwyczaj inne jeszcze czynności, np. prefektów w zakładach naukowych. Tutaj pole do pracy społecznej jest nieograniczone. Po ludzie wiejskim, młodzież stanowi materyał najpodatniejszy, gdyby więc księża obok formuł dogmatycznych i stawiania stopni wykładali popularnie i dostępnie zasady moralności chrześcijańskiej i obowiązki względem społeczeństwa — nie byłoby prawie socyalizmu na świecie. Rażące jest to dla uczniów, że gdy każdy profesor potrafi swój przedmiot ożywić a słuchaczów zaciekawić i rozpalić, wykłady religii, która sama tylko zawiera w sobie pobudki do wywołania prawdziwego zapału, odbywają się tak sztywno, że tylko znudzenie w uczniach rodzą i czynią im ten przedmiot niemal wstrętnym. Jasna więc rzecz, że na prefektów należy wybierać księży najzdolniejszych. Wprawdzie wszyscy gorliwsi księża byli przez kuratora wyłączani od tego urzędu i jak

tylko który prefekt lepiej wykładał religię, to go zaraz usuwano, ale nie upoważnia to księży do niedbalstwa w tym obowiązku, od którego zawisła przyszłość moralna młodzieży. Powinni więc prefekci starać się o zaprowadzenie osobnych godzin w szkołach na wykład moralności, a jeśliby to nie było możebnem, zbierać uczniów u siebie w mieszkaniu, uczennice zaś kolejno u każdej, która może przyjąć i choć raz na tydzień kłaść im te rzeczy do głowy. Mogliby urządzać dla młodzieży składkowe biblioteki dzieł religijno-moralnych, tak jak się urządzają zbiorowe czytelnie socyalistyczne. Wszyscy np. uczniowie w klasie składaliby swoje książki u księdza prefekta albo u jakiego powszechnie szanowanego kolegi, biorąc na to kwity, za którymi w każdej chwili mogliby zażądać zwrotu swoich książek, z wypowiedzeniem na parę tygodni naprzód. Do takiej biblioteki nie wolno byłoby wprowadzać żadnych dzieł bez aprobaty ks. prefekta, a każdy uczeń w oznaczonych dniach i godzinach mógłby wypożyczać z niej książki za bardzo małą opłatą miesięczną, z której dochód przeznaczałby się na kupno nowych książek.

I po wyjściu młodzieży ze szkół, księża powinni ją mieć pod swoim kierunkiem oraz do celów społecznych jej używać. Tacy, którzy się oddają przeważnie kierownictwu dusz w konfesyonale, mogliby dużo robić, zwłaszcza wśród młodych panien zamożnych i wśród niewiast z arystokracyi. Te biedne młode panny, których los nie zmusza do pracy zarobkowej, siedzą w domu, czekając na mężów i w tym celu chodzą na bale, do teatrów, wyjeżdżają do wód, co jest głównie winą rodziców i wychowania, bo w gruncie są to dobre materyały. Praca społeczna, myślenie o innych, jest dla nich samych nawet potrzebne, bo odrywa je od przemyśliwania nad zapewnieniem sobie przyszłości. Trzeba im tylko poddać czy to nauczanie biednych dzieci, czy przysposabianie po kościołach do pierwszej spowiedzi, czy urządzenie szwalni dla ubogich, czy zbiorowej czytelni a mogą być bardzo użyteczne. Osoby pracujące możnaby tą drogą pociągać do istniejących już kółek w duchu chrześcijańskim prowadzonych. Panie z arystokracyi dość chętnie garną się do Towarzystwa, przez co można je ochronić od zbytków, zachęcać do umiarko-

wania, do szafowania pieniędzmi na rzecz ubogich, do wspomagania różnych dzieł miłosierdzia i samopomocy.

Inni księża obdarzeni zdolnościami mogą wydawać gazety, pisywać artykuły lub jakie dzieła [1]. Drudzy — brać osobisty udział w różnych instytucyach dobroczynnych, starając się wpływać, aby były prowadzone w duchu chrześcijańskiej miłości, nie zaś w duchu tak zwanej »filantropii«, która jest tylko okupieniem się pieniędzmi od obowiązków społecznych, ale bez włożenia w nie swojej ręki i serca. Wszyscy zaś głosić powinni śmiało i otwarcie zasady Ewangelii, zwłaszcza pobudzające do pracy społecznej i to nie tylko przy sposobności, ale niekiedy nawet w osobnych odczytach publicznych, czego nigdy nie robią, zadawalniając się tem, że mówią z ambony, tymczasem do kościoła socyalista nie przyjdzie, a na odczyt chętnie pospieszy, choćby dla skrytykowania, tu zaś przy łasce Bożej może się czasem nawrócić.

Lecz, aby zostać działaczami społecznymi, księża muszą być do tego odpowiednio przygotowani. Zaradzą temu najlepiej należyte wykłady seminaryjskie, prowadzone według najnowszych podręczników i dotykające wszelkich kwestyi żywotnych. Profesorowie powinni być mężami wysokiej nauki i wielkich zdolności pedagogicznych, aby wykłady ich były ożywione i mniej posiadały rutyny, niżeli miłości i ciepła, wtedy bowiem ci nawet, którzy są słabszego ducha, dadzą się pociągnąć do gorliwej pracy nad drugimi. Jest to jeden z głównych warunków, bez którego zadanie Kościoła nie może być należycie spełniane.

Pożądanem też byłoby przywrócenie synodów prowincyonalnych i dekanalnych (którym początek dał ks. Pelczar, biskup przemyski), byle nie odbywały się urzędowo i tylko dla formy. Niechby wzywano na nie księży gorliwych i uczonych i pozwalano im przemawiać z wolnością słowa, bez obawy ściągnięcia na siebie niełaski, aby ci, którzy odczuwają żywiej potrzeby czasu lub konieczność jakich zmian, np. w systemie katechizacyi, mogli

[1] Widzimy z pociechą, że mamy już wielu kapłanów tej pracy oddanych, którzy wydają nawet kilka tygodników. Za ich przykładem pospieszają i świeccy, bo oto z początkiem roku przybyło nam nowe pismo do kilku innych czysto katolickich, kiedy niedawno żadnego nie było.

swoje poglądy swobodnie wypowiadać. Przez te lata niewoli pod rządem rosyjskim takeśmy się przyzwyczaili do milczenia, że każde swobodne odezwanie się za bunt się poczytuje. Jest to punkt bardzo ważny, szczególnie dla kapłanów, bo nieraz sami się wzajemnie potępiają nie wiadomo za co, gdy który z nich ośmieli się inaczej pomyśleć, niż wymaga rutyna, albo niż myśli rządca dyecezyi.

Stowarzyszenie kapłanów świeckich.

Bardzo wielką pomocą w działalności kapłanów byłoby zawiązanie ich w stowarzyszenie. Rozciągnęłoby ono pracę społeczną przedewszystkiem na samo duchowieństwo. Wiadomo jak smutny jest los proboszcza wiejskiego, odosobnionego od wszystkich i zostawionego własnym siłom bez kierownictwa i pomocy, pomimo tak trudnych i odpowiedzialnych obowiązków. Otóż stowarzyszenie zapewniłoby im najprzód życie towarzyskie i rodzinne wśród braci, chociażby w niejakiem oddaleniu; pomoc duchowną do wytrwania w gorliwości i do uniknięcia błędów, na jakie samotność i niezależność naraża; wreszcie zabezpieczenie i opiekę na starość przez zakładanie domów przytułku dla wysłużonych, chorych i podeszłego wieku kapłanów i dla tych, którzyby potrzebowali odnowić ducha swego przez rekolekcye.

Zapewniałoby ono kapłanom o wiele obfitsze środki do działania w parafiach. Obecnie słabi są wskutek odosobnienia, każdy rozpoczyna pracę na swoją rękę i na swój sposób, a ze śmiercią jego wszystko się kończy. W stowarzyszeniu staliby się ciałem silnie zorganizowanem, a dorobek moralny jednego byłby dorobkiem wszystkich, złączonych wspólnością celów i usiłowań. Wprowadzaliby w użycie najlepsze sposoby pełnienia obowiązków pasterskich, katechizowania, kaznodziejstwa, prowadzenia bractw, kierowania dziełami miłosierdzia chrześcijańskiego i różnymi związkami, których urządzanie i kierunek z natury rzeczy do nich należy. Mieliby swoich misyonarzy dyecezyalnych a zdolniejszych członków mogliby poświęcać nauce, starając się o wysokie ich wykształcenie w różnych gałęziach nauk teologicznych. W stosunku do parafian zyskaliby daleko większy wpływ i zaufanie

i łatwiej przychodziłoby im starać się o środki materyalne dla różnych celów religijnych i społecznych, skoro bezinteresowność ich byłaby powszechnie znaną. Praca ich, daleko przez to owocniejsza, pociągnęłaby za sobą odrodzenie miast i wiosek, a więc odrodzenie całego narodu. W pracy tej byłaby ciągłość bez ustawania, bo gdy ostygnie w zapale jeden, wtedy podtrzyma go drugi. Wreszcie powiększyłaby się bardzo liczba pracowników, zarówno przez wzrost powołań do stanu duchownego, jak i przez możność utrzymania większej liczby kapłanów na wspólny koszt po parafiach żyjących. Powołania zaś rosłyby nie tylko przez wpływ moralny, ale i przez zajęcie się dziećmi, okazującemi pociąg do stanu kapłańskiego. Ktoby chciał się w tem więcej objaśnić, niech przeczyta książeczkę p. t. »Wiadomość o stowarzyszeniach świeckich kapłanów«, wydaną w Krakowie u W. L. Anczyca i Sp. w r. 1893.

Zawiązek takich stowarzyszeń.

Stowarzyszenia kapłanów świeckich istniały już dawniej we Francyi, popierane gorąco przez biskupa orleańskiego Dupanloup, a potwierdzone przez Piusa IX i Leona XIII, u nas zaś początek ich wyszedł od samych Najprzewielebniejszych Pasterzy. Gdy bowiem szerzące się już po kraju Zgromadzenia życia ukrytego doszły do ich wiadomości, zebrani razem w stolicy, uznali potrzebę, aby i dla kapłanów coś w tym rodzaju utworzono. Słowa te zostały wzięte literalnie, napisało się więc coś podobnego do innych, na co wszakże jeden z biskupów[1] zauważył, że to będą mnichy w sutannach. Wtedy sprowadzono dwie ustawy: Zjednoczonych kapłanów francuskich i Bartłomieja Holzhausera czyli naszych dawnych Komunistów albo Bartoszków i z nich złożyła się odpowiednia ustawa, przy współudziale ś. p. ks. biskupa Sotkiewicza, który każdy prawie punkt takowej rozbierał. Podano ją też do przejrzenia i krytyki najznakomitszym kapłanom w kraju. Najprzewielebniejsi zaś Biskupi, nie mogąc z obawy rządu sami jej aprobować, zwrócili się do JE. Ks. Kardynała Dunajewskiego,

[1] Ś. p. ks. biskup Nowodworski.

prosząc, aby w ich imieniu to uczynił. Znalazło się wkrótce gronko bardzo gorliwych księży, którzy zrazu tę ustawę przyjęli, ale potem, obałamuceni fałszywemi objawieniami, odrzucili jako rzecz ludzką, łudząc się, że mają rzeczy Boskie, wprost z nieba im zesłane. Na tej jednak drodze niebawem się zmarnowali i zostali przez Kościół rozwiązani. Jest wszakże pewna liczba kapłanów, którzy się dawnej ustawy trzymają.

Co do nas, jesteśmy przekonani, że to jest jedyny sposób reformy duchowieństwa. Każda reforma od małej liczby gorliwych zapoczątkować się musi, tylko zaś przez obowiązanie się do pewnych przepisów i do zdawania z nich sprawy, można się w gorliwości utrzymać. Zwłaszcza tam, gdzie duchowieństwo bardzo jest zajęte, każdy łatwo znajdzie wymówkę od zachowania uczynionych postanowień, jeśli się nie podda kontroli przewodnika.

Książeczka zawierająca powyższą ustawę i wydana jednocześnie ze wspomnianemi wyżej wiadomościami, musiałaby uledz pewnym zmianom, uwzględniającym położenie obecnych czasów.

Znamiona dzieła Bożego.

Już to samo, że zgromadzenia ukryte poczęły się, utrzymały i rozwinęły w tak nieprzyjaznych okolicznościach i pod rządem, który był najprzeciwniejszy zakonom, dostatecznym jest dowodem dzieła Bożego. Wyznać i to trzeba, że ono w żadnej głowie nie powstało, bo nikt tu z góry nic nie układał, a i ci nawet, których Bóg użył za narzędzie do tego, sami nie zwrócili uwagi na organizacyę, jaka się z czasem ułożyła. Dopiero gdy na rozkaz z Rzymu przygotowano szczegółowe sprawozdanie i pokazano je spoczywającemu już w Bogu pewnemu kapłanowi zakonnemu, ten przeczytawszy je, rzekł: »Patrzcie-no jak ta rzecz się ułożyła; wszak ona ogarnęła już wszystkie stany. Wyraźne to działanie ręki Bożej«. Dodajmy jeszcze, że znikąd nie było żadnej pomocy materyalnej; przeciwnie, rzecz rozwijała się w najwyższem ubóstwie i ostatnim niedostatku, ponieważ nikt prawie niechciał do niej ręki przyłożyć. A przecież niepodobna, by takie

zastępy dusz ubogich i »nic nie mających«, a jednak pracujących dla dobra drugich, mogły się utrzymać z pracy rąk, czego jednak nikt nie uwzględniał, kierując się w tem rozmaitemi pobudkami. Pewien zacny pan, arcykatolik, gdy go raz jedna z przełożonych prosiła o wsparcie, odpowiedział: »Nie mogę się przecież dla was kompromitować«, a w kilka dni potem drukowano w gazetach, że dał 50 rubli na ruski *prijut* dla sołdatów. Czyż to nie było istotne skompromitowanie? Wtedy nawet, gdy ś. p. Augustowa Potocka zostawiła znaczne sumy dla ubogich, — najzacniejsi ludzie, którzy mieli sobie powierzony rozdział takowych i szafowali niemi na wszystkie strony, — Zgromadzeniom jednak zawsze odmawiali pomocy, chociaż mogli ją łatwo upozorować, a czynili to z obawy narażenia się rządowi. Wreszcie i samo duchowieństwo nie tylko z niczem nie przychodziło z pomocą, ale przestrzegało z największą skrupulatnością, żeby tym osobom nic nie dawano. Gdy zaś młode dziewczęta wiejskie lub fabryczne, którym one z wielkiem poświęceniem służyły, widząc ich ubóstwo, chciały im w czem dopomódz, księża z największem oburzeniem patrzyli na to »wyzyskiwanie« i surowo zakazywali tych datków, więcej pilnując grosza owych dziewcząt, niżeli dobra ich duszy, na które dobrowolnie oczy sobie zamykali. I swojem oburzaniem się przywiedli Zgromadzenie do tego, że pomimo, iż z pracy i głodu wiele osób traciło zdrowie i życie, musiały jednak same postanowić, aby nic nie przyjmować od tych którym służyły, chociaż Pismo święte mówi, że kto Kościołowi służy, ten z Kościoła żyje.

Teraz już wielu przyznaje, że skoro ta rzecz w tak nieprzyjaznych warunkach się rozwinęła, więc oczywiście dziełem Bożem być musi. I jakkolwiek bolesnem jest widzieć, że osoby zamożne i duchowne nie poczuwają się do obowiązku popierania dzieł tak pożytecznych dla kraju i stanowiących prawie jego jedyny ratunek, jednakże wolimy w tem upatrywać dopuszczenie Pańskie, aby w przeciwnościach lepiej się okazała moc prawicy Bożej. Ale co jest najpewniejszym objawem dzieła Bożego, życie to przez wszystkich członków św. Kongregacyi zostało uznane i wysoko ocenione, a Papież Leon XIII osobom do niego należącym

kilkakrotnie błogosławił i wiele bardzo łask im użyczył, uznając, że taki rodzaj poświęcenia wśród tylu trudności wielkiego wymaga ducha. Wreszcie Pius X, któremu te osoby z okazyi pielgrzymki polskiej były przedstawiane, obiecał im ze swej strony oddzielne potwierdzenie. Przedewszystkem jednak zapytał, czy mają jakie zadanie społeczne, a gdy się dowiedział, że się zajmują sługami: »O to dobrze, to bardzo dobrze!« wykrzyknął i po trzykroć powtórzył: »Będziecie potwierdzone, bo zakonnice nie habit stanowi, ale cnoty i śluby zakonne«.

Sposób rozszerzania tego dzieła.

Przeciwności te wyszły Zgromadzeniom na dobre, gdyż rozwinąwszy się na fundamencie ubóstwa Seraficznego, oswojone są teraz ze wszystkiemi następstwami braku i niedostatku, a stąd i rozszerzanie ich jest bardzo łatwe. Nie potrzeba bowiem budować dla nich kaplicy lub klasztoru, ani nawet zakładu dobroczynnego, ale wystarcza w jakiem mieście czy na wsi, przy jakiej fabryce lub szpitalu opatrzyć na początek utrzymanie dla dwóch lub trzech osób: mężczyzn lub niewiast, a one same znajdą sobie powoli odpowiednią pracę społeczną i przy Boskiej pomocy przyjdą do założenia domu macierzyńskiego, a nawet i kaplicy z Najśw. Sakramentem, co już i dziś w wielu miejscowościach posiadają. Najbardziej wszakże potrzebna im jest pomoc duchowna, bez której trudnoby się im było utrzymać w duchu poświęcenia. Liczba ich z każdym dniem się rozrasta, żadna trudność ich nie zniechęca, zdaje się więc, jakoby dla nich pobielały już pola do żniwa. Zawody, jakich doznał świat na polu naukowem, politycznem i socyalnem, przenikają te dusze wzgardą wszystkich rzeczy doczesnych i przemijających, pobudzając do szukania jedynie Królestwa Bożego. Zaledwie znajdą odpowiednie dla siebie instytucye, zastosowane do potrzeb wieku, a już w krótkim czasie napełniają takowe z zapałem. Wypada przeto prosić z Chrystusem Panem Boga Ojca, aby tych dusz poświęconych sobie ze świata nie usuwał, ale by je strzegł od złego, a raczej, aby wszystko złe na świecie przez nie usunął i dusze błądzące i spragnione prawdy przez nie do siebie pociągnął.

Jeszcze jedna uwaga. Jakkolwiek te kilkanaście tysięcy dusz, które w ucisku wykształciły się na sługi Boże i na pracownice społeczne, mogą się uważać za drobiazg mało znaczący ze względu na wielkość i obszerność zadania jakie się dziś przedstawia, lub też mogą być poczytane za niedostateczne, za zbyt ograniczonego zakresu działalności; jakkolwiek wreszcie może kto uważać potrzebę obmyślenia nowych środków na szersze pola pracy, — zawsze jednak utrzymywać będziemy, że osoby te mogą sprostać wszelkim dzisiejszym potrzebom, byle były duchownie a zwłaszcza materyalnie wspomagane. Bo choć ubóstwo ma swoje zalety i pożytki, ale w wielu rzeczach jest też przeszkodą. Aby odpowiedzieć słusznym wymaganiom czasu, potrzeba się kształcić, choćby tylko dla objęcia ochrony, a na to potrzeba funduszów. To samo rozumie się o kształceniu we wszystkich innych kierunkach, aby prowadzić można było na większą skalę wszelkie zakłady naukowe i dobroczynne; skoro jednak nie mają środków po temu, muszą wezwań takich odmawiać, ustępując miejsca osobom bez zasad, lecz obfitującym we wszystkie pomoce materyalne i mającym uznanie u dzisiejszego antychrześcijańskiego świata.

Niechże więc wszyscy, którzy kochają kraj po Bożemu i chcą go mieć katolickim, zwrócą w tę stronę swoje ofiary, zwłaszcza, że dla względów ludzkich często niosą pomoc tam, gdzie jest ona mniej potrzebną, a nieraz całkiem szkodliwą.

Delegacya Stowarzyszeń Tercyarskich
w Królestwie Polskiem.

Do Kobiet Polskich!

Pełne grozy przeżywamy chwile! Z dniem każdym mnożą się znaki zamętu i rozkładu, liczba jasno patrzących a do czynu chętnych tak mała — moc złego tak wielka.

Nawoływania tych, co kraj kochają giną bez oddźwięku. Porozumienie coraz trudniejsze, duch czasu taki przeciwny wszelkiej akcyi odrodzenia.

Więc jak dziecko nad łożem konającej matki, tak my,

w ojczyznę naszą wpatrzone pytamy z lękiem, czy to już nie koniec tym razem? Czyżby wszelka dla nas zniknęła nadzieja?

Nie — przenigdy! Ani nam rozpaczać, ani rąk opuszczać nie wolno.

Narody są uleczalne! Tą nadzieją się krzepiąc, patrzmy co jest do czynienia, aby się naszemu dziejowemu posłannictwu nie sprzeniewierzyć i spełnić to, co nam jako polskim kobietom na łonie Kościoła katolickiego wychowanym przypadło w udziale.

Jakto! W takiej przełomowej chwili nam kobietom głos zabierać i zbawczą akcyę przedsiębrać? Czy to nie jedno zamieszanie więcej w zamięszaniu ogólnem? Nie! to święte poczucie obowiązku, to wiara tem żywiej tryskająca z duszy żeglarza, czem silniej na łódź jego uderzają bałwany, to ostatnia nadzieja ocalenia, która całą załogę okrętu około głównego skupia masztu i każe płynąć dalej odważnie i wytrwale.

Tylko wytężyć nam trzeba wszystkie siły, tylko zjednoczyć serca i z odrętwienia otrząsnąć umysły, a popłyniemy przed siebie ku odrodzeniu ojczyzny, ku odrodzeniu Polski w Chrystusie.

U kolebki naszych dziejów stanęły jako anioły opiekuńcze przyszłej »Matki Świętych«, Dąbrówki, Jolanty, Kunegundy, a na wstępie wieku złotego ta, która serca swego ofiarą, dusz miliony pozyskała dla nieba i oświaty — Jadwiga, ów przedziwny wzór cnót niewieścich i poczucia obywatelskich obowiązków. Wszystkie one wraz z długim szeregiem matek, żon, córek, rycerzy z pod Grunwaldu, Chocimia, Wiednia świadczą o wielkiem posłannictwie kobiety w narodzie polskim.

Nam na inne przyszło patrzeć czasy — fala przewrotu zalewająca wszystkie stosunki społeczne już wprost naszym zagraża ogniskom i fundamenta bytu narodowego podmywa.

Zbyt długo nie zdawałyśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zbyt długo patrzałyśmy bezczynnie i obojętnie, jak cegła po cegiełce usuwały się podstawy katolickie wszelkiego społecznego i narodowego działania. Czas ostatni przystąpić do silnej organizacyi kobiecej, mającej na celu odrodzenie społeczeństwa i rodzin naszych na podstawie zasad ewangelicznych i gorącej miłości ojczyzny.

Zawiązany przed sześciu laty »Polski związek niewiast katolickich w Krakowie«, takie sobie właśnie wytknął zadanie:

1) Dopomagać członkom do gruntownego obznajamiania się z obecnymi prądami i potrzebami społecznemi z szczególniejszem uwzględnieniem miejscowych stosunków;

2) Łączyć wszystkie polskie niewiasty do wspólnej pracy nad społecznem odrodzeniem kraju ojczystego na podstawie zasad katolickich.

Zachęcone osiągniętymi rezultatami w ciągu tych lat sześciu a przynaglone wzmagającemi się trudnościami, drugi punkt zadania naszego pragniemy obecnie rozwinąć.

Z nimto do wszystkich kobiet polskich, jak my czujących i myślących się zwracamy. W powyżej streszczonem zadaniu, mieści się cały program naszego działania, a zatem:

1) Wychowywać dzieci po chrześcijańsku przez pogłębienie i nabyte zrozumienie zasad naszej religii;

2) Wprowadzać ducha Ewangelii we wszystkie kierunki społeczne, rodzinne i umysłowe;

3) Pielęgnować ideały narodowe i gorliwie badać dzieje ojczyste, aby z nich czerpać pobudkę do gorącej miłości Polski i brać naukę, jak pełnić jej służbę;

4) Wytężyć usiłowania i do wszelkich zachęcać się ofiar w celu zbliżenia warstw społecznych, wyższych z niższymi, posiadających z robotnikami, dworów z ludem;

5) Stać na straży sprawiedliwości i brać zawsze w obronę interesa pokrzywdzonych;

6) Walczyć z egoizmem i próżnością oraz chęcią używania, temi cechami dzisiejszych czasów, a przeciwstawiać im poświęcenie, umiarkowanie, pracę, jako jedyne normalne chrześcijańskiego społeczeństwa zasady;

7) Śledzić rozwój chrześcijańskiej socyologii, wspierać groszem i osobistą pracą akcyę społeczną, na wielu punktach w kraju już rozpoczętą;

8) Pilne dawać baczenie na sprawy tyczące się kwestyi kobiecej i dziś koniecznego jej rozwoju i postępu;

9) Starać się o uszanowanie, wysoko przez kulturę chrześcijańską postawionej, godności kobiecej;

10) Podjąć akcyę w celu rozszerzenia organizacyi »Związków polskich kobiet katolickich« w całym narodzie.

Oto zarys programu, z którym się zwracamy do tych licznych zastępów kobiet polskich, w trzech dzielnicach naszych rozprószonych, które zarówno z nami czują, cierpią i pragną poprawy stosunków, a tylko wyczekują podjęcia akcyi zbiorowej, aby razem zabrać się do pracy.

Nie tu miejsce szczegółowo roztaczać nasz program; każda część kraju odmienne przedstawia stosunki, stąd odmienne potrzeby. Ale chciałybyśmy, aby z Krakowa, jako serca Polski, wychodził tradycyjnie impuls do żywszego tętna narodowego i religijnego, ażeby ta wszczęta akcya społeczna kobiet polskich serdecznym pierścieniem cały kraj objęła.

Służymy każdemu naszem sześcioletniem doświadczeniem, to nasz obowiązek, nasze gorące pragnienie. Nawzajem prosimy o informacye i sprawozdania, by nasze wspólne działanie nabrało jednolitości i solidarnie szło naprzód. Ale prócz programu trzeba nam hasła — hasła zdolnego poruszyć wszystkie serca kobiece, w których miłość ojczystych ideałów nie wygasła. To hasło już rzucone.

Oto niedawno słowami: »Zbudźmy Jadwigę« odezwał się głos, wzywający cały naród do skupienia się około sztandaru tej, która misyi dziejowej Polski najszlachetniejszą jest przedstawicielką.

Nie dajmy się w czci dla Jadwigi wyprzedzić. Do nas kobiet ona przedewszystkiem należy. Chlubą ona Polski, ale i rodu kobiecego perłą prawdziwą.

Więc praca nasza społeczna, każdy czyn dodatni, każdy szczegół powyżej nakreślonego programu, odtąd pod Jej niech się spełnia znakiem. Ona nam dla pracy uprosi błogosławieństwo i drogi rozświecać będzie, a tak zawiąże się między Jadwigą a kobietami polskiemi nić serdeczna, wielkie duchowe obcowanie, z którego dla nas ratunek, dla Niej wyższy stopień chwały wyniknie.

A więc w imię najwyższych ideałów miłości ojczyzny i świętej wiary katolickiej, z Jadwigą na czele stańmy do pracy. Pole ogromne roztacza się przed nami, więc pomocy rąk i serc wielu nam potrzeba. Chwila stanowcza. Biada nam gdybyśmy ją przeoczyły.

Polski związek niewiast katolickich w Krakowie.

Wspaniałe odpowiedzi na ankietę *Przeglądu Powszechnego* poruszają z trafnością niezrównaną wszystkie nieomal potrzeby naszego społeczeństwa, i podają praktyczne wskazówki, co czynić nadal. Uczą nas tworzyć związki, korporacye, każą zajmować się robotnikiem, ludem wiejskim, aby ich obronić przeciwko socyalistycznym zakusom.

Wszelako tylko jeden z piszących dotyka ważnej, a może najważniejszej kwestyi: środków niezbędnych do czynu, świadom tej prawdy, że chcąc jaką pracę wykonać, potrzeba do tego narzędzi. »Dla spełnienia nakreślonych postulatów — pisze dr. Thullie — potrzeba nam l u d z i, pieniędzy i pracy«. Niech nam będzie wolno zatrzymać się nieco nad pierwszą z wymienionych potrzeb, — nad potrzebą ludzi, — idąc zaś o krok dalej, niż szanowny profesor, zapytać: skąd tych ludzi wziąć mamy? boć z profesorem stwierdzić musimy tę prawdę, »że pracowników intelligentnych nam brak«. Ludzi do pracy społecznej, do tej pracy, która się przed nami otwiera, nie mamy, a skarga na ten brak zewsząd w naszym kraju rozpaczliwie rozbrzmiewa. Gdzież jednak źródło tego niedoboru? bo czyż nasze polskie społeczeństwo jest do tyle wyjałowione, że nam nie dostarcza z łona młodszego odpowiedniego materyału, t. j. osobników intelligentnych i zdatnych?

Bynajmniej. Wystarcza bowiem zbliżyć się do młodego pokolenia, aby się przekonać, że owszem niepospolity w niej posiadamy materyał do wszelkiej pracy, do wszelkiego czynu, materyał, któremu zbywa tylko na wyrobieniu lub, który od zarania został wykolejony. Lecz jeśli tak jest, pytam znów czyja w tem

wina? Boć naprawdę, kto w naszych szeregach do tej pory młodzieżą się kiedy zajmował stale a celowo?

I czyż nie słusznie o młodzieży polskiej powiedziećby można, że to owca bez pasterza, na pastwę drapieżników rzucona, że to sierota, paryas wreszcie, na którego każdy czuje się w prawie cisnąć kamieniem, lecz ku któremu nikt bratniej dłoni nie wyciągnie ... bezduszne bowiem rozdawanie stypendyów żadną miarą zwać się nie może opieką.

Prawdą jest więc, którą czujemy się w obowiązku tu stwierdzić, że do tej pory młodzież nasza była zupełnie sobie zostawiona, bo każdy młodzieniec kształcił się u nas jedynie we własnych widokach, o ile nie został porwany przez tych, którzy u nas niestety czynnie młodzieżą się zajmują.

Powie może kto, że skrępowanie, w jakiem jęczeliśmy do tej pory, utrudniało nam wszelką inicyatywę w tym względzie. To prawda... Wszakże i to prawdą jest, że w sprawie tak doniosłej, jaką jest sprawa młodzieży w narodzie, należało nam niczem się nie zrażać. Byli zawsze tacy, którzy się nie zrażali, owszem, podczas gdy my staliśmy z założonemi rękami, krzątali się i pomimo przeszkód, utrudnień, prześladowań nawet, dzielnie pracowali. To też dziś zbierają oni plon swoich trudów. Oni dziś nie skarżą się na brak ludzi, mają ich bowiem poddostatkiem i olbrzymie dzieła nimi prowadzą.

Znamiennem jest, że w swym programie czynu wszyscy przewódcy skrajnych stowarzyszeń stawiają zawsze na pierwszem miejscu c e l o w e k s z t a ł c e n i e m ł o d z i e ż y.

I czegóż oni nie czynią w celu pozyskania młodych? Jakże oni umieją młodzież pociągać, skupiać, szeregować i pchać do czynu, jakże oni ją umieją zapalać! W jakiejże obfitości jej dostarczają książek, broszur, oraz innych źródeł oświaty! A jakże hojnie sypią ofiary w celu wychowania w swoich widokach młodego pokolenia! Cóż więc dziwnego, jeśli oni dziś górą nad nami?

Bebel powiedział, że socyalizm na dwóch wspiera się nogach: na studentach i na robotnikach; w podwójnym zatem kierunku każe działać swoim adeptom. Każe kokietować studenta i robotnika.

My nie tylko, że ich nie kokietujemy, ale jeszcze niejednym

nietaktem ich ku sobie zrażamy, dziwić się tedy nie mamy prawa, jeśli tak student jak robotnik garną się do tamtych, a nas tłumnie opuszczają.

Pozwolimy sobie jeszcze na jedną uwagę.

Na całym świecie różniczkują się stronnictwa bardzo wyraźnie na katolickie i akatolickie, które w życiu społecznem w osobliwym ścierają się turnieju.

Ostatnie czasy wykazały w obozie katolickim pocieszający fakt we Włoszech, Niemczech, Belgii pełnego zwycięstwa demokracyi chrześcijańskiej nad obozem socyalistycznym. Pogrążyły go.

U nas, naprawdę, nie może być nawet mowy, nie tylko o podobnem zwycięstwie, ale choćby o jakiem poważnem starciu, gdyż stronnictwa katolickiego do tej pory nie posiadamy.

Nie posiadamy sił skupionych, programu, co sprawia, że gdy usiłujemy młodzież odwodzić od związków skrajnych, nie mamy doprawdy co tym związkom przeciwstawić i ku czemu naszą młodzież zwrócić.

Nie mamy sformułowanego obozu, nie mamy działaczy, a to wszystko dlatego, że ludzi nam brak [1].

Lecz niema tu miejsca na czcze rekryminacye. Stwierdziwszy fakt boć na rzeczywistość trzeba mieć oczy otwarte, trzeba myśleć c o c z y n i ć d a l e j. Tu nasuwa się odpowiedź konkretna. »Czynić to, co się do tej pory zaniedbało, a czynić tem spieszniej, im bardziej praca jest spóźniona. Zaniedbaliśmy kształcenie młodzieży, kształćmy ją od tej pory, a kształćmy c e l o w o, sami zaś szeregujmy się ku wspólnej pracy dla dobra młodzieży i kraju.

W tej właśnie myśli inicyujemy Towarzystwo przyjaciół młodzieży!

Gdy mamy na myśli powyższe zadanie, nasze stowarzyszenie wydaje mi się być właśnie tem, czego obecnie najbardziej potrzebujemy, dziełem największej doniosłości, jakie się w obecnym czasie w kraju zapoczątkowało; dziełem tak ważnem i wiel-

[1] Od chwili pisania tych kartek wspaniała inicyatywa ku pracom odrodzenia zewsząd się zerwała, niemniej wszakże prawdą jest, że w tej inicyatywie pracowników jest stanowczo za mało..

kiem, że gdybyśmy jego wszechstronną doniosłość zrozumieli i do głębi duszy odczuli, nie szczędzilibyśmy ani pracy ani zachodu, aby je wspomódz. Na tym ojczystym ołtarzu składalibyśmy hojnie wszelką daninę, sypalibyśmy złoto, a młodzieży otwieralibyśmy nasze domy, a nadewszystko serca nasze. Tu zogniskowalibyśmy wszelkie nasze wysiłki.

Każdorocznie jesteśmy świadkami, jak kraj nasz łoży krocie na różne instytucye, wszelkiego typu i pokroju... na podtrzymanie czasopism względnej wartości... a nawet na przeróżne dzieła zagraniczne i francuskie... O ileż bardziej powinienby zwrócić uwagę na dzieło tak blizko go obchodzące, a tak doniosłe, jakiem jest wychowanie własnej młodzieży, swych przyszłych obywateli, szermierzy, profesorów, literatów, dziennikarzy, społeczników, kapłanów... tych, w których ręku jego los będzie spoczywał... którzy będą jego dobrem, światłem, całą jego przyszłością.

Chcąc jednak zrozumieć doniosłość naszego stowarzyszenia, niezbędnem jest uprzytomnić sobie choć w krótkim zarysie, jego główne zadanie. Według komentarza jego ustawy celem jego jest podać rękę młodzieży męskiej tak szkół średnich, jak wyższych, aby w wieku przełomowym życia, utrzymać się mogła na drodze wiary i dobrych obyczajów, nadto aby miała możność wykształcenia w sobie tych zasobów, tak fizycznych jak i intellektualnych i duchowych, jakimi jest udarowana, aby następnie wydać mogła ze swego łona takich ludzi, jakich kraj i społeczeństwo tak bardzo potrzebują.

Nadto celem stowarzyszenia jest dopomódz młodzieży starszej, aby utworzyła bratnią pomoc dla młodszej. Wreszcie celem stowarzyszenia jest: skupiać, kształcić, szeregować takich młodzieńców, którzy dają nadzieję, że przyczynią się do duchownego i moralnego odrodzenia narodu i tą drogą urobić dla kraju intelligencyę prawdziwie chrześcijańską, jednomyślną, skupioną, z której niebawem dałaby się utworzyć u nas partya katolicka, której brak tak dotkliwie odczuwamy, zdolna wystąpić do boju z partyą niechrześcijańską.

Zawiązujące się stowarzyszenie młodzieży: kółek etycznych samo-kształcenia, wypełnia jeden z najważniejszych

punktów programu wyżej naszkicowanego, ogniskuje bowiem młodzież starszą, z wyższych zakładów naukowych, w celu wykształcenia i urobienia dla kraju obywateli, którzyby w najbliższej przyszłości byli rozsadnikami wzniosłych haseł wiary i wiedzy, chrześcijańskimi plantatorami zachwaszczonej przez agnostyczną propagandę gleby społecznej. Łączyć cele: patryotyczne, socyalne i naukowe, na podstawie zasady chrześcijańskiej — ich wytycznem hasłem, rozciągać zaś opiekę nad młodszą bracią szkół średnich, ich wzniosłem zadaniem.

Statut tego Towarzystwa już jest gotowy i organizacya już zapoczątkowana. Dla dokładnej informacyi podajemy pierwszy ustęp statutu:

Cel i środki Towarzystwa.

§ 1. Celem Towarzystwa jest materyalne i moralne popieranie uczącej się męskiej młodzieży katolickiej wyróżniającej się zdolnościami i charakterem. Towarzystwo to rządzi się na podstawie zasad chrześcijańskich.

§ 2. Dla osiągnięcia powyższego celu Towarzystwo:

a) Ogniskuje i skupia uczącą się młodzież w kółka etyczne;

b) otwiera dla niej ogniska rodzinne;

c) zakłada biblioteki, wypożycza, bądź dostarcza na własność książki;

d) Prowadzi wydawnictwo dzieł etycznych i naukowych, oraz wydaje pisma peryodyczne, poświęcone intelligentnej uczącej się młodzieży;

e) urządza odczyty, prelekcye i pogadanki naukowe;

f) pośredniczy w wyszukiwaniu lekcyi, korepetycyi, kondycyi lub innych zajęć znajdującym się w uciążliwych warunkach materyalnych młodzieńcom oraz dopomaga im w wynajdywaniu miejsc dla przepędzenia letnich wakacyi;

g) udziela zasiłków pieniężnych na całkowitą lub częściową opłatę szkolną;

h) wydaje stypendya na kształcenie się zagranicą lub na specyalne studya naukowe w kraju;

i) dostarcza pomocy przy urządzaniu zbiorowych wycieczek naukowych;

k) wyszukuje tereny sportowe dla ćwiczeń fizycznych młodzieży;
l) zaopatruje niezamożnych młodzieńców w czasie choroby w środki lecznicze i dostarcza im opieki lekarskiej.

Od lat wielu społeczeństwo nasze odczuwało palącą potrzebę utworzenia w kraju związku młodzieży katolickiej, któryby skupiał nasze zacne młodzieńcze siły i na zewnątrz przez nich w duchu chrześcijańskim oddziaływał. Dużo się na ten temat myślało i rozprawiało , a nawet niejedną próbę zapoczątkowało — zawsze jednak bezskutecznie.

Z jakąż więc radością, a nawet powiem c z c i ą dziś witać powinniśmy ideę młodocianego związku już zapoczątkowanego w kilku naszych stolicach, a mającego na celu dobro naszego kraju... jakież mieć słowa zachęty i uznania dla zacnych młodzian, inicyatorów tego związku, młodzian, którzy przy obecnej atmosferze zepsucia zdołali zachować zdrowie moralne, którzy porywani niewiarą, wiernymi pozostali chorągwi Chrystusa, którzy wreszcie oparłszy się pokusom na młody wiek czyhającym, nie przestali szukać u Bożego źródła światła dla własnej duszy i pierwiastku odrodzenia.

I czyż to nowo powstałe stowarzyszenie nie robi wrażenia zarannej jutrzenki, wspaniałej zorzy, zwiastunki dnia lepszego?... I czyż my starsi, którzy na to wszystko patrzymy nie powinniśmy przyłożyć wszelkiego starania, aby tych naszych młodzian podtrzymywać w ich szlachetnych zamiarach?

Pamiętajmy jednak, cośmy wyżej wzmiankowali, że jeśli wszelki początek jest trudny, tu trudności piętrzyć się będą, gdyż im które dzieło większem jest w swojej istocie, tem większe w swym pochodzie napotykać musi przeszkody. Taki już jest zwykły porządek, że wszystko co dobre i użyteczne w pocie czoła budować się musi, a chrztu przeciwności doświadczyć.

Nie dajmy się jednak niczem zrażać w zbożnej pracy, którąśmy zapoczątkowali. Nie wymagajmy, aby wszystko nam szło od razu składnie, a nadewszystko nie żądajmy natychmiastowych i namacalnych skutków, bądźmy nawet przygotowani na zawody i na niejedno nieudanie.

Ideę tę naszego Związku dlatego pomieszczamy w tej ankiecie, ażeby z tego miejsca, na które dzisiaj patrzy Polska cała, idea ta nowych jednała sobie stronników we wszystkich trzech dzielnicach Polski. Chodzi nam o to, aby Związki te objęły kraj cały i do lepszej prowadziły go przyszłości.

Towarzystwo Przyjaciół młodzieży.

Wielokrotnie w przebiegu tej ankiety, jako jeden z najgłówniejszych postulatów naszej katolickiej pracy w dobie dzisiejszej, stawianą była oświata ludowa. Postulat łatwo zrozumiały, bo każdemu myślącemu oczywistą jest jego doniosłość społeczna religijna.

Oświaty tej mogą być różne środki i sposoby. Jeden z nich, ściśle określony i zorganizowany, stanowi podstawę naszego Towarzystwa.

Dwadzieścia cztery lat naszej działalności publicznej uwalnia nas od obowiązku podawania szczegółowego jej rachunku. Niech wystarczy wiadomość, że z końcem 1905 roku liczyliśmy 983 założonych przez nas czytelni, że rozdaliśmy ogółem 264.000 książek. Jak wielkie są rozmiary działalności nowych czytelni, niech świadczą wykazy, stwierdzające, że ilość czytelników, wynosiła:

w roku	1902	38.000
»	1903	46.000
»	1904	48.000
»	1905	57.000

że ilość wypożyczonych książek z czytelni wynosiła

w roku	1902	274.000 egz.
»	1903	361.000 »
»	1904	432.000 »
»	1905	524.000 »

Zabierając dzisiaj głos w tej ankiecie, chcielibyśmy wyrażonemu w niej ogólnemu postulatowi co do oświaty ludowej nadać konkretny wyraz. Wiele pracy włożono w stworzenie takiej organizacyi, jaka dzisiaj istnieje. Daje ona możność dalszej, z każ-

dym rokiem skuteczniejszej działalności. Kto oświatę ludową uważa za postulat katolickiej pracy, niechaj przystąpi do Towarzystwa, które z powodu katolickiego kierunku swej działalności nie miało dotąd takiego poparcia, na jakie zasługiwało, które przyjąwszy za zasadę bezpartyjność polityczną swej działalności a za jej cel podniesienie moralnej kultury ludu naszego, nie mogło dla tych haseł pozyskać popularności. Oto wyjątki z naszego statutu:

Celem Towarzystwa jest szerzenie oświaty narodowej wśród polskiej ludności w Austryi, a to w duchu religijnym.

Członkiem zwyczajnym może być każdy, kto oświadczy gotowość przystąpienia i przez Zarząd główny do Towarzystwa przyjęty zostanie.

Członek obowiązany jest:

a) składać w chwili przystąpienia do Towarzystwa, a następnie corocznie z początkiem każdego roku, wkładkę, w ilości przynajmniej 1 złr. w. a. (2 korony).

Kto osobistą, bezpłatną pracą, spełnianą za wiedzą i zgodą Zarządu głównego, popiera cele Towarzystwa, może być uwolnionym przez Zarząd główny od płacenia rocznych wkładek;

b) przysparzać towarzystwu nowych członków;

c) popierać cele towarzystwa i w miarę możności podejmować prace dla Towarzystwa.

Głównie chodzi nam o zyskanie nowych członków, przejętych ideą i chcących dla niej choć odrobinę czasu, nawet niewielką, poświęcić. Obowiązek to nietrudny do spełnienia, byleby się tylko »chciało chcieć« praktycznie dopomódz do poparcia dążności, które wszyscy w teoryi za niezmiernie doniosłe uważają.

Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej.

Przynosimy do ankiety jeden postulat praktyczny a dla życia katolickiego pełen doniosłego znaczenia.

Kościół katolicki nakazuje wyraźnie w niedziele i święta Mszy św. i kazania z nabożeństwem wysłuchać. Jak ciało codziennie pokarmu, tak dusza ludzka potrzebuje pokarmu duchowego,

Niedawno donosiły dzienniki, że nawet w protestanckich Niemczech doręczanie paczek w święta jest zniesionem.

Społeczeństwo dochodzi do smutnych rezultatów wskutek braku wiary w niektórych instytucyach. Niedawno padły na arenie politycznej słowa, wzywające rząd nasz do przywiązywania większej wagi do życia duchownego przy wojsku. Jako pierwszy krok ku temu ma być zwrócenie baczniejszej uwagi na życie w szkołach kadeckich. Słowa te mają wielkie znaczenie nie tylko dla wojska.

Gdyby u nas pozwolono więcej dbać o duszę, kto wie, czybyśmy mieli tyle rozpraw sądowych o defraudacye i nadużycie władzy urzędowej.

Weźmy teraz pod uwagę względy czysto fizyczne. Przy której to instytucyi mają funkcyonaryusze bardziej nieregularną służbę? Ileż to nocy muszą te białe murzyny prześlęczeć? A potem przy tak odpowiedzialnej służbie jak pocztowa nie zostawia się im nawet tyle czasu, by mogli się należycie wyspać lub wypocząć. I czyż wśród tak twardych warunków służbowych mogą ci ludzie myśleć o nabożeństwach?

Do tego należy nadmienić, że każdy ma rodzinę. Jakiż przykład daje ta głowa rodziny swoim dzieciom? kiedy on ma się przyczynić do wychowania swoich dzieci, gdy w domu jest tylko gościem? Odpowiedzialność to bardzo wielka, która spaść powinna na instytucyę, nie pozwalającą ojcu zająć się należycie swojemi dziećmi. I gdy wykolejony taki osobnik jest ciężarem dla społeczeństwa, czy można za to winić tego biednego ojca, który mimo chęci nie mógł dołożyć starania do wychowania swego dziecka, li tylko z braku czasu, ale świat i społeczeństwo nieświadome przyczyn czynią ojca odpowiedzialnym za syna!

Jeżeli jeszcze Pan Bóg powoła towarzyszkę życia do swojej chwały, to człowiek taki zostaje na razie bez wszelkiego ratunku nad przepaścią, która pochłania powoli sieroty, a wkońcu i jego samego.

Odpoczynek niedzielny i świąteczny na pocztach nie przyniesie bezwarunkowo nikomu w Galicyi uszczerbku, jeżeli w ta-

kich ogniskach handlu i przemysłu jak w Anglii i innych nikogo nie zrujnował i nikt tam na niego nie narzeka.

Ręczymy za to, że społeczeństwo nabędzie wtedy ochotnych pracowników, dziś białych murzynów, a Kościół odzyska bezwarunkowo wielu synów marnotrawnych, którzy z winy stosunków służbowych są obecnie niemal dla niego straceni.

Przecież dziś najlichszy robotnik cieszy się tym odpoczynkiem świątecznym, czemuż my nie mamy zaznać tego dobrodziejstwa, zwłaszcza, że obecnie kongregacya kupiecka rozszerzyła swój odpoczynek świąteczny, a Izba adwokacka w tym kierunku wdrożyła akcyę; dla kogóż tedy to bezcelowe ślęczenie w biurach? Jeżeli zatem kupcy świętują, to upór ze strony Izb handlowych uważamy za chęć urągania z naszych uczuć religijnych, oraz zbeszczeszczenia naszych świąt.

Żywimy niepłonną nadzieję, że idąca akcya katolicka przed podobnemi upokorzeniami weźmie nas skutecznie w obronę.

Związek c. k. urzędników pocztowych w Krakowie.

Organizacya zawodowa jest głównym wyrazem obecnych społecznych dążności. Nic też dziwnego, że ona jest głównym postulatem dotychczasowej ankiety *Przeglądu Powszechnego.*

W czasie tej ankiety powstała inicyatywa, by ściślej organizować dotychczasową pracę nad katolicką młodzieżą robotniczą. Następstwem tego jest nasz »Związek katolickiej młodzieży robotniczej«.

Zadaniem Związku jest popierać swych członków pod względem duchowym i materyalnym a mianowicie:

a) utwierdzać ich w zasadach religii katolickiej i dobrych obyczajów;

b) kształcić umysł i serce dostarczaniem rozmaitych wiadomości, potrzebnych przedewszystkiem w zakresie obranego zawodu;

c) krzewić zasady oszczędności, trzeźwości i pracowitości;

d) popierać materyalnie członków w razie potrzeby;

e) utrzymywać przyjacielskie stosunki i organizować wspólne uczciwe rozrywki.

Chodzi teraz o to, by najpierw zrekrutować jak największą ilość członków zwyczajnych, z pośród młodzieży robotniczej, a powtóre, by wzmódz ilość członków nadzwyczajnych, członków założycieli i członków wspierających, którzyby pomocą materyalną i moralną wspierali cele Związku. Pisząc o tem w tem miejscu, mamy także i to na oku, by na wzór naszego Związku potworzyły się po kraju całym związki podobne. Dopiero na takiej zawodowej, ściśle określonej pracy społecznej, można budować większe nadzieje na przyszłość.

Związek katolickiej młodzieży robotniczej w Krakowie.

Nie dla reklamy zabieramy głos w tem miejscu.

Chcemy rzucić myśl, godną naszem zdaniem, uwagi, względnie i poparcia społeczeństwa.

Weszliśmy w europejskiem życiu już dawno w okres przełomowy, w którym mnóstwo dawnych form rozpada się, a wiele nowych powstaje. Szczęśliwy, kto w tych nowych formach, często nieuchwytnych jeszcze mgławicach, umie dostrzec mieszczący się w nich objaw dodatni, a oddzieliwszy go i otrząsnąwszy z towarzyszących objawów ujemnych, skieruje formy tego objawu na drogę normalnego rozwoju.

Jedną z takich form nowych upatrujemy w dążnościach dzisiejszej młodzieży, usiłującej wcześniej, niż dawniej to bywało, dojść do krytycznego poglądu na świat i do brania udziału w pracy społecznej. Dążności te od dawna już są brane w rachubę przez różne stronnictwa polityczne i to z wielkiem powodzeniem — inna sprawa, czy zawsze z korzyścią dla młodzieży.

Wszelkie ociąganie się sfer, które mogłyby dodatnio tę dążność wyzyskać, powiększa tylko szeregi stronnictw przewrotowych nowymi zastępami młodzieży.

Oto idea, która skłania nas do stworzenia nowego pisma.

Idea ta może mieć rozliczne inne zastosowania i dlatego poddajemy ją uwadze ogółu.

Co do naszego pisma, to cel jaki zakreśliła sobie redakcya *Prądu* jest następujący:

Wychodząc z zasady, że zadaniem młodzieży, wstępującej do wyższych zakładów naukowych, tego kwiatu dojrzewającego pokolenia, — jest obok zdobywania wiedzy wyższej także samodzielne wytworzenie pojęcia o dalszem życiu i obowiązkach obywatelskich i oryentowanie się moralne, estetyczne, społeczne i polityczne, — uznając również, że właśnie owa młodzież bywa najidealniejszą i najbezinteresowniejszą przodowniczką w przeprowadzaniu haseł równości, wolności i postępu.

Redakcya pragnie, aby organ jej ułatwiał w pewnej mierze spełnianie tych zadań przez wszechstronne i wytyczne roztrząsanie rozmaitych aktualnych spraw naukowych, społecznych, literackich i artystycznych, a zarazem dawał możność wypowiadania się i wysłuchiwania, to jest wzajemnego porozumienia się ideowego tej części młodego pokolenia z pokoleniem dojrzalszem i starszem.

Hasłem naszem jest dążenie do doskonalenia się we wszystkich dziedzinach życia indywidualnego i społecznego, w myśl zasady chrześcijańskiej i ideałów narodowych, postęp w nauce, kulturze i ustroju socyalnym, przy zachowaniu równości i solidarności wszystkich warstw i klas narodu.

Redakcya chce postawić pismo na wysokim poziomie umysłowym i dlatego starać się będzie, aby zabierali w niem głos, we wszelkich sprawach, pośrednio lub bezpośrednio wiążących się z kulturą i działalnością młodzieży uniwersyteckiej, wybitni uczeni i pisarze. Zarazem chce skupić z łona tejże młodzieży liczne grono współpracowników, aby dać ujście początkującym talentom autorskim i publicystycznym i aby otworzyć im pole do wypowiadania swych poglądów na rozmaite kwestye życia własnego i ogólnego.

Niemniej w celach ściśle praktycznych Redakcya ma zamiar ześrodkować, o ile to będzie możliwe, usiłowania i starania dla ułatwienia warunków bytu materyalnego słuchaczy wyższych

uczelni miejscowych i oryentowania się w dalszem prowadzeniu studyów w kraju lub zagranicą.

W ten sposób *Prąd* stanie się organem polskiej młodzieży uniwersyteckiej, a zarazem łącznikiem między nią a starszymi przedstawicielami nauki, kultury i działalności społecznej.

Redakcya czasopisma »Prąd« w Warszawie.

ANKIETA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

(Dokończenie).

Zastanawiałam się na innem miejscu nad faktem bijącym w oczy stopniowego odchrześcijanienia naszego społeczeństwa. Nie trzeba być pesymistą, aby dostrzedz, że w wielkiej mierze już tylko wygląd świata, wśród którego się obracamy, pozostał chrześcijańskim: duch bowiem Chrystusa uleciał zeń od dawna lub skrywa się w nim na coraz rzadszych oazach.

Nie każdy wszakże dostrzega to odchrześcijanienie, — jeśli bowiem oko przywyka do każdego światła, a płuca do każdego powietrza, — choćby najniezdrowszego, — bardziej jeszcze duch oswaja się z atmosferą, jaka go otacza; — a że to odchrześcijanienie odbywa się zwolna, szerząc się z wewnątrz na zewnątrz,— form nie tykając, — trudno niejednemu na tem się poznać.

A j e d n a k p o z n a ć s i ę t r z e b a, b o n i e b e z p i e c z e ń s t w o g r o z i.

Daleką jestem, abym miała sądzić, że stan obecny świata jest najgorszy i nie widziała w nim jasnych świateł, jakiemi przyświeca. Oczywiście, gdyby tych świateł nie było lub gdyby one były przed nami zakryte, zapewne opuścilibyśmy ręce ze zniechęcenia. Celem wszakże obecnych uwag nie jest pocieszyć wskazaniem świateł, lecz raczej otworzyć oczy na całokształt obecnego położenia: zapasów poganizmu z chrześcijaństwem, co mnie zmusi do skreślenia niejednego czarnego obrazu, jakie rzeczywistość nasuwa.

Kto chce objąć całokształt danej okolicy i wzrokiem sięgnąć w dal, ten musi koniecznie wznieść się na wyżynę i stąd spojrzeć dokoła. My zarówno chcąc ocenić, jakim jest świat, wśród którego życie nam spływa, i zrozumieć nasze w nim posłannictwo, musimy wznieść się nieco nad jego poziom, aby z wyżyny zasad niezłomnych na ten świat spojrzeć.

Jakże on wygląda?

Tu, niestety, ujawnia się na każdym kroku tryumf poganizmu, bo choć pojedyncze objawy zdradzają pewien zwrot ku lepszemu, przecież, na ogół biorąc, przyznać trzeba, że jesteśmy obecnie pod falą. Powódź zasady pogańskiej zajmuje już niemal wszystkie nasze stanowiska, a pochłania coraz to nowe ofiary. Chwila zastanowienia o tem przekonywa.

Trudno nie dostrzedz, że nie tylko arena życia politycznego spoganiała na wskroś, ale spoganiały: życie społeczne, towarzyskie, — rodzinne nawet. Wszystkie składniki życiowe przesiąkły poganizmem. Pogańskiemi są: belletrystyka, poezya, powieść, pogańskiemi sztuka i teatr, pogańskiemi w wielkiej mierze dziennikarstwo i nauka, a co gorsza — zasady, pojęcia, poglądy, zwyczaje i obyczaje mało już co z ducha chrześcijańskiego zachowały. A czego tknąć, poganizmem przejęte, bo: uzasadnia egoizm, schlebia namiętnościom, podnieca próżność, dogadza lenistwu, bo jest wysiłkiem dla teraźniejszości, a pominięciem wieczności, bo jest apoteozą zmysłów, bo wbrew nawet ideałom socyalistycznym jest wyniesieniem nadczłowieka, a zdeptaniem biedaka.

W chwilach przełomowych tryumf poganizmu najbardziej się uwydatnia, bo wziąwszy np. pod uwagę chwilę obecną, pytam, kto dziś w naszym kraju stoi u steru wszelkiego ruchu, wszelkiej inicyatywy społecznej — czy wyznawcy Chrystusa, czy jego wrogowie? Kto rzuca despotyczne hasła? kto terroryzuje? kto tworzy popularność lub niepopularność, w czyim ręku spoczywa reklama? z jakiego to źródła płyną prądy i kto nimi kieruje?

Tu z odpowiedzią nikt się chyba nie zawaha.

Ten osobliwy tryumf poganizmu uwydatnia się nie tylko w sprawach doniosłych, lecz sięga także szczegółów, z których życie się składa. Wystarcza np., aby jaka książka obrażała mo-

ralność i wywracała podstawy etyki chrześcijańskiej, aby była rozchwytywaną; wystarcza, aby jakie przedstawienie sceniczne wywlekało brudy, aby budzić entuzyazm; wystarcza, aby jaki literat wystąpił z negacyą prawdy lub jakiem bluźnierstwem, aby wnet stał się popularnym; wystarcza, aby który profesor uczył bez Bożej zasady, aby zyskał sławę... i na odwrót, wystarcza, aby jaka inicyatywa naukowa, wychowawcza lub społeczna była w myśli Bożej poczęta, aby niepopularność była jej udziałem, owszem, aby opinia szarpała ją na strzępy.

Dziś być wyznawcą Chrystusa niepopłaca na świecie, a doszło do tego, że na zgromadzeniach publicznych imienia Bożego nie wymawia się już wcale jakoby się ludzie Go wstydzili.

Są to realności, na które oczu zamykać nie wolno.

A co najbardziej zadziwia, że za tym osobliwym prądem zdążają nie tylko ci, którzy jawnie z Bogiem zerwali, ale także i ci, którzy za dobrych chrześcijan uchodzą. A jakże my sami wyglądamy w tym smutnym obrazie. Czy pomimowoli nie dostrajamy się do kamertonu świata?

Czy cały nasz chrystyanizm nie zasadza się na spełnianiu pewnych praktyk, na pewnych formułkach i aktach urzędowych, a czy poza tem pogański modernizm nie wdarł się już w dziedzinę życia naszego, czy nie starł w naszej duszy delikatności zmysłu chrześcijańskiego? Czy idąc małodusznie za drugimi nie czynimy poganizmowi ustępstw za ustępstwem z tego, czego zasada ewangeliczna wymaga? czy np. nie pochwalamy pojedynków; nie tolerujemy niemoralności, nie stajemy w obronie rozwodów, czy nie uznajemy odrębnej etyki dla mężczyzn, wyzwolenia sztuki z pod praw moralności? A mowa nasza czy nie zdradza osobliwego spoganienia naszego ducha, bo czyli »bogowie« nie zastąpili nam Boga... »Mesyasz idei« — Chrystusa, a »Kobieta przyszłości« — Niepokalanej Dziewicy?...

Czy nie nauczono nas uważać ludzkość jako stada bydła, do którego stosują się prawa: »sellekcyi, doboru« i t. p. A choćby nasz pogląd na kobietę wyrażany w krytykach literackich, w powieściach, czyli nie zdradza pojęć już całkiem pogańskich, bo czyż nie przyzwyczajono nas uważać cnotę niewiasty za »brak

temperamentu«, czyli nie zowią jej godności »konwencyonalnością«, równość charakteru »banalnością«, wiarę — »bezkrytycyzmem«?

Powiadają, że styl jest odbiciem człowieka: *le style c'est l'homme*. Jeśli to prawda, jakież w tem słowie mieści się dla nas potępienie, bo jakże ciemnym, pretensyonalnym a bombastycznym stał się styl naszych autorek najnowszej doby. Jestże w nim odcień prostoty chrześcijańskiej?

»Człowiek ułomny jest« — powiedzą obrońcy stanu dzisiejszego — »a nie od dziś zło na świecie istnieje«. To prawda, — zauważmy wszakże, że między złem, jakie się przed laty objawiało, a złem obecnem zachodzi ta znamienna różnica, że dawniej — w rzeczy samej — grzeszono z ułomności, dziś grzeszy się z zasady, gdyż dziś — trudno tego nie widzieć — każde bezprawie znajduje dla siebie legitymacyę. A tem większą jest groza zła obecnego od dawnego, że dawniej złe płynęło ze świata do rodzin, a dziś już z łona rodzin zgorszenie na świat się przelewa.

Dawniej więc dzieci nasze, choć w rodzinach cieszyły się atmosferą czystą, pokrzepiającą na zapasy życiowe, a dziś już i w tym przybytku bezpiecznemi nie są. Zło zaś tak dalece się posunęło, że rumieniec wstydu zalewa, gdy przychodzi porównać chrześcijańską Europę np. z pogańską Japonią, i że tu, dla uratowania imienia chrześcijańskiego, wyznać trzeba, iż jedynie dlatego Europa o tyle niżej stoi w swej etyce od ludów pogańskich, że od dawna chrześcijańską być przestała, gdyż przewrotną f i l o z o f i ą, — którą się rządzi, — obaliła u siebie nie tylko zasadę ewangeliczną, ale i prawo natury, które, bądź co bądź, jest w poważaniu u pogan.

Kto zna życie i prądy w niem rządzące nie zarzuci temu obrazowi przesady. A nie tylko Europa chrześcijańską być przestała, ale wytworzyła dokoła siebie taką atmosferę, wśród której duch chrześcijański zamiera.

Tu proszę mi wybaczyć chwilową dygresyę.

Drogocenne spostrzeżenie uczynił pewien lekarz. Zauważył, że nowoczesne warunki bytu są tego rodzaju, że pomimo rozwoju nauki o hygienie przestrzeganie najbardziej elementarnych

jej przepisów stało się niemal niemożebnością. I tak np. choć człowiek jasno zdaje sobie sprawę z tego, że to i owo mu szkodzi, że tego i owego wystrzegać się winien, widzi się wciąż znaglany wbrew temu przeświadczeniu postępować i czynić w tej mierze ustępstwo za ustępstwem, aż w końcu zniechęca się do wszelkich przepisów hygieny z przyczyny, że w czyn wprowadzić ich nie jest w stanie.

Powyższe spostrzeżenie daje się całkowicie zastosować w dziedzinie ducha. Taki jest obecny ustrój świata, iż ten, który się wśród niego obraca, musi koniecznie albo przyjąć jego obyczaje, albo jemu się narazić, co więcej musi dostroić się do jego ducha, bez czego wyróżniałby się i stałby się poniekąd śmiesznym.

Wymagania świata są temi czasy takiego rodzaju, że stawiają człowieka w ustawicznej rozterce z ewangelią, z sumieniem, każą bowiem na każdym kroku czynić to, co sumienie wzbrania, a nie czynić tego, co ono nakazuje, każą np. dużo czasu marnować, wydawać na zbytki, żyć nad stan, czytać książki treści niemoralnej, ubierać się nieprzyzwoicie, uczęszczać na erotyczne widowiska, zachwycać się pornografią, rozmawiać drastycznymi dwuznacznikami... każą zabawiać się hazardem, łamać posty, tolerować pojedynki... i t. p.

A taki jest terroryzm świata, że rzadko który młodzieniec ośmieli się modlić z książki w kościele, z obawy, aby go nie posądzono o bigoteryę. Jeśli między ptakami — jak mówi przysłowie — nie wolno się wyróżniać, tem bardziej między ludźmi. Tak twierdzi świat.

To też dzieje się, że niejeden młodzieniec lub młoda osoba dobrej woli, słysząc czego zasada chrześcijańska wymaga, twierdzą ze zniechęceniem: że nawet na łonie rodzin życia chrześcijańskiego praktykować nie można. Z tej samej przyczyny, skoro która rodzina zasady Chrystusa w czyn wprowadza, wnet takową mianują klasztorem lub piętnują znamieniem dziwactwa. Czyż to wszystko nie świadczy o coraz głębszem odchrześcijanieniu społeczeństwa i stopniowym w nim zaniku ducha ewangelicznego?

A więc żyjąc wśród świata nie możnaby naprawdę życia

chrześcijańskiego prowadzić, zarówno jak nie można przepisów hygieny przestrzegać.

Można, tak jedno jak i drugie i nie tylko można, ale trzeba.

Można, wszakże ku temu jedyna droga: zapoczątkować chrześcijańskie odrodzenie w rodzinie.

Posiadamy niewątpliwie w kraju naszym ogniska, w których duch Chrystusowy w całej pełni rządzi, — są to jednak oazy na pustyni świata. Posiadamy takie dzielne matrony — niewiasty ducha i czynu — reagujące nadludzkim wysiłkiem przeciwko prądom pogańskim — i Bogu za nie dziękujemy. Przyznam się jednak, że patrząc na ich pracę, na ich rozpaczliwe zabiegi, w których są zwykle osamotnione, mam wrażenie, jakoby one dłonią zatykały szczeliny, któremi się wilgoć sączy, wówczas gdy całą kaskadą woda z góry spływa. Tu więc oazy i pojedyncze wysiłki wystarczyć nie mogą, tu potrzeba czegoś innego, potrzeba pracy jednomyślnej, kollektywnej — tu potrzeba ześrodkowania celów, zespolenia sił.

Ku temu jedyna droga: gruntowna reforma w wychowaniu.

I.

Z fałszywego poglądu wielu rodziców na życie płyną wszystkie błędy wychowawcze, które popełniają — brzemienne w nieobliczalne następstwa. Zdaje się niejednej matce, że celem życia jest używanie, że szczęście w tem życiu należy się jej dzieciom, i że krzywda dziać się im będzie, jeśli tego szczęścia na świecie nie osiągną.

Pod wpływem tych pojęć wychowują swe dzieci: dla świata i używania; choć tak konkretnie tego nie przyznają. Co na świecie popłaca, ku temu zmierza wychowanie, a ponieważ najbardziej popłacają blichtr i forma, formę zatem matki najstaranniej uprawiają. Uprawiają talenty, choćby urojone, obce języki, częstokroć kosztem własnego, a wszystko więcej dla popisu, niż dla istotnej korzyści. Uczą nadewszystko obejścia salonowego, przestrzegają poprawności tualety, niezmierną wagę jej przyznając, uczą córki motylkowania a nawet kokieteryi, w celu zdobycia dla niej konkurenta, — ojcowie podniecają zmysłowość dorastających synów.

A wieleż to matek prowadzi swe podlotki na najbrudniejsze przedstawienia sceniczne, na wystawy takich obrazów, które rumieńcem wstydu okryćby je powinny. Długo i szeroko mówićby o tem należało. Są też matki, które w najlepszej wierze widzą w tem szczyt miłości rodzicielskiej, aby przysporzyć swym dzieciom *maximum* używania, a oszczędzić im wszelkiego trudu, ani przypuszczając, aby takiem postępowaniem cokolwiek niewłaściwego czyniły. Znałam i takich rodziców, którzy, powyższym poglądem rządzeni, postawili sobie za program wychowawczy niczego nigdy swym dzieciom nie odmawiać, choćby to przechodziło ich możność a dzieciom szkodziło, a to w myśl, aby dzieciom było w domu... jak w raju, bo i tak poza domem dość biedy zażyją.

Łatwo domniemać, jak daleko takie pojęcie zaprowadzić może.

Są i tacy rodzice, którzy wprost litują się nad swemi dziećmi za każdy trud przez nie poniesiony, bądź w szkole, bądź w spełnianiu obowiązku, jak gdyby przez to pokrzywdzonemi były, że musiały się nieco wysilić lub przez chwilę być skrępowane. Litują się nad dzieckiem, gdy po wakacyach musi wracać do szkoły, poświęcić dla ważnej sprawy chwilę przyjemności, a choćby powściągnąć się w zapędzie zbyt głośnej wesołości przez wzgląd na osobę starszą, na chorego i t. p. Obiecują im za to, jako rodzicielskie wynagrodzenie, »złote góry przyjemności«, gdy już raz te nudy się skończą. Wtenczas to dopiero będzie »używanie«.

A czyż nie często słyszeć się daje, jako starsi biadają nad panienkami, »że jeszcze się nie bawiły w zrozumieniu zabaw światowych, a biadają jak gdyby nad istotnem nieszczęściem, co najmniej nad sieroctwem lub czemś podobnem.

Ile te przesadne i bezzasadne współczucia starszych fałszują sąd młodzieży, a bałamucą jej pojęcia, trudno to wyrazić. Młodzieniec łatwo daje wiarę temu, że używanie jest jego prawem, skoro z ust starszych słyszy ten pogląd wciąż wygłaszany. Wierzy także i temu chętnie, że obowiązek jest przykrością, przeciwko której wolno każdemu się uzbrajać, od której wolno się wykręcać, a że zabawa jest treścią życia.

Dziecko bawi się przeto, bo jest dzieckiem, podlotek bawi

się także, wzdychając za chwilą, gdy wolno mu będzie tylko się bawić, pensyonarka nie przestaje tęsknić za gorączkowem życiem świata, za zabawą, za hołdami. Wiek nawet późniejszy nie powściąga na tej pochyłości; człowiek bowiem raz rozpędzony w danym kierunku łatwo się nie powstrzymuje. Starsi tworzą więc sobie w roku cały szereg karnawałów: karnawał zimowy, karnawał zielony, karnawał wyścigów i polowań jesiennych i t. p.

A czyliż ten obraz z życia uchwycony nie robi wrażenia istnego karuzelu, w którym dzieci, młodzież i starsi w kółko bezmyślnie wirują, radując się tem bezmiernie, że siedzą na drewnianym koniku lub wózku wkoło obracanym.

Miałożby to być życiem rozumnego człowieka?

Nie sądźmy, aby życie chrześcijańskie usposabiało do smutku lub piętnowało wesołość, przeciwnie, jest to życie ustawicznego wesela, jednak nie ustawicznej zabawy i używania, a to jest wielka różnica.

Dzieci więc i młodzież trzymaćby należało w zdrowej atmosferze wesołości, promiennej słońcem, zielenią i kwieciem, promiennej zwłaszcza w zaufanie i ciepło serdeczne, jednak nigdy w atmosferze wiru światowego.

Stwierdzając powyższe spostrzeżenia fałszywego poglądu na życie i jego cele, danego dzieciom w rodzinach, czyliż dziwić się będziemy osobliwym objawom ostatnich czasów, zdradzających od góry do dołu, na wszystkich szczeblach społecznych, gorączkową chęć używania, a osobliwą niemoc w odmówieniu sobie czegokolwiek, skoro ta gorączka i niemoc płyną u młodych nie tylko z naturalnej skłonności, ale z kierunku wychowania? Czyliż dziwić się będziemy odchrześcijanieniu świata?

Z innego jeszcze źródła to odchrześcijanienie płynie, a mianowicie przez szkołę, której pogląd wychowawczy bardziej jeszcze, niż w rodzinach jest zarażony duchem poganizmu.

Trudno też o tem nie wiedzieć, że nauka w szkołach, tak męskich jak żeńskich, spoczywa dziś u nas przeważnie w ręku intelligencyi bezwyznaniowej, t. j. w ręku ludzi, którzy nie tylko

że wiary nie mają, ale jeszcze są najbardziej wrogo względem wiary usposobieni.

Zdaniem ich, wiara jest zacofaniem, religia zaś zaporą do postępu i światła. Uświadomić o tem młodzież stało się dziś ich celem wytycznym, ku czemu każdy środek im dobry. Urokiem nowości pociągają, a olśniewają hasłem postępu. Złote góry obiecywać na czasy wyzwolenia ludzkości z pod jarzma religii nic ich nie kosztuje, jak zarówno nie wzdrygają się zohydzać Kościół z jego przedstawicielami, a zniechęcać do wiary. A jakże łatwo im zjednywać młodzież, skoro ich zasada pozwala schlebiać namiętnościom, a zwalniać ze wszelkich więzów.

Skutki ich działania są znane: młodzieńcy idą na bezdroża, a panny emancypują się, ba, najskrajniejsze tworzą związki wolnej miłości, w czem widzą krok pierwszy do upragnionego postępu. Z liczby tych młodzieńców i panien rekrutują się w następstwie całe falangi agitatorów i agitatorek, społeczników, działaczy wszelkiego pokroju, idących wszyscy w kierunku odchrześcijanienia. Przez nich oczywiście najpierwsza fala uderza na rodzinę. Na polu zaś społecznem, działają oni z niezmierną umiejętnością i energią; tu zdobywają każdy posterunek. Trafiają wszędzie: do ludu, do robotnika, rzemieślnika — wszędzie ich pełno. Piszą książki, głoszą odczyty, rozrzucają odezwy, proklamacye, a zatruwają swym duchem: poezyę, sztukę, teatr, belletrystykę, krytykę literacką, naukę, akcyę społeczną, mnożą wreszcie z niezmierną szybkością szeregi antychrześcijańskich dziennikarzy, nauczycieli, literatów, wychowawców bez wiary.

Co za szereg konsekwencyi! To jak ogień na stepie!

I czyż nam wolno, matkom i wychowawczyniom, o tem wszystkiem nie wiedzieć i łudzić się, jakoby wszystko było u nas w najlepszym porządku?

Oskarżą mnie może o paradoks, gdy powiem, że dawniejszymi czasy łatwiejszem było szerzenie zasady Chrystusa wśród pogańskiej Romy i Grecyi, niż dziś w ucywilizowanem społeczeństwie, gdyż dawniej Chrystyanizm pociągał, bądź co bądź nowością, oraz ideą humanitarną, wówczas gdy dziś wydaje

się on być czemś zbutwiałem, a zwrot do poganizmu świeci urokiem postępu i wyzwolenia.

Jakże ważnem jest wskazać młodzieży jasno, że w Chrystyanizmie właśnie i w Chrystyanizmie jedynie, ale w Chrystyanizmie dobrze zrozumianym i głęboko pojętym spoczywa niespożyty pierwiastek wszelkiego i najwyższego postępu rozwoju i światła.

Nie uczynią wszakże tego ci, dla których Chrystyanizm jest tylko skorupą.

II.

Ważne tu wszakże nasuwa się zagadnienie. Szkoły świeckie źle wpływają — prawda. Ależ istnieją szkoły zakonne, — te powinnyby przecież dobrze wychowywać? Dlaczego jednak młódź nasza, której wychowanie spoczywa od lat tylu — w Galicyi zwłaszcza — w ręku ludzi Bogu poświęconych, wsiąknąwszy w społeczeństwo nie odradza go w kierunku chrześcijańskim, lecz owszem, sama rychło od świata wpływ pogański chłonie? Wszakże mielibyśmy prawo czego innego od niej się spodziewać?

Jęczą bezradnie nad tą smutną realnością chrześcijańscy wychowawcy. Być może, iż w pewnej mierze i oni w tem nie są zupełnie bez winy, bo któż ośmieli się twierdzić, że uczynił wszystko co należało i jak należało?

Sądzę jednak, że tu gdzieindziej szukać trzeba głównego winowajcy, a mianowicie w atmosferze domowej, jaka wnet ogarnia nasze dzieci zaraz po ich wyjściu z ognisk wychowawczych. Nie znajdują one w swych rodzinach żadnego podtrzymania w swych dobrych zamiarach, przeciwnie pojęcia jakie w nich wpojono bywają wnet wyśmiane, zasady skrytykowane, poglądy zaś napiętnowane mianem skrupułów, ciemnoty, ciasnoty, zacofania, przesady i t. p. Panienki idą zaraz w wir zabaw, młodzieńcy do swobody bez kierunku i hamulca, a świat uśmiecha się młodym; jakżeby oni oprzeć się jemu mogli? stopniowo więc dostrajają się do jego wymagań, poglądów i ducha. Chrystyanizm idzie w kąt, a poganizm porywa.

Gdzież tu mówić o jakiej reakcyi chrześcijańskiej?

Pamiętajmy także i o tem, że w dziele wychowania wpływ atmosfery rodzinnej bywa zwykle dominujący. A jaka jest potęga wpływu macierzystego, nie tylko na córki ale i na synów, świadczy niejeden przykład z dziejów. Bo jakim sposobem stało się — pytam — że niejeden z wielkich Doktorów Kościoła, jakoto: Święci Grzegorz z Nazyanzu, Bazyli Hieronim, Jan Damasceński i tylu innych, choć kształcili się w szkołach pogańskich i żyli w czasach krańcowego zepsucia, nie tylko wpływu pogańskiego nie przyjęli, ale owszem wykształcili się na pierwszorzędne filary Kościoła, na dzielnych szermierzy i obrońców wiary? Skąd to też pochodzi, że Św. Augustyn, choć zaplątany w młodych latach w herezye swego wieku i sidła namiętności, nawrócił się przecież i został wielkim świętym? Niewątpliwie, że ci święci zawdzięczają to matkom, które jak anioły opiekuńcze — rozumne a tkliwe — czuwały na straży ich życia.

Nie zrzucajmyż tedy całej winy moralnych niedostatków naszych dzieci na szkoły choćby świeckie i wpływy zewnętrzne, lecz raczej w części siebie obwiniajmy i bądźmy pewne, że żadne szkoły ani najzgubniejsze wpływy dzieciom naszym ostatecznie nie zaszkodzą, jeśli my matki w ognisku rodzinnem świecić im będziemy przykładem, jeśli będziemy im pochodnią i strażą, a naodwrót, że najlepsze szkoły niewiele im dopomogą, jeśli zasadniczych warunków życia chrześcijańskiego dzieci nasze w domu nie znajdą.

Mając na uwadze odchrześcijanienie świata rzecz dziwna nas jeszcze uderza. Oto jednostki bywają u nas przeważnie chrześcijańskie, a całość z nich składająca się jest pogańską. Czem sobie wytłumaczyć to osobliwe zjawisko? Tem zapewne, że Chrystyanizm wielu jednostek bywa u nas powierzchowny, bo polega przeważnie na formach, na utartym obyczaju, a życia nie przenika. Poganizm zaś nowoczesny jest prądem żyjącym, który tworzy rwącą falę, stąd łatwo porywa w swe nurty to, co jest martwe i nie stawia jemu oporu.

Jakaż jasna konsekwencya stąd płynie: konieczności pogłębienia i uzasadnienia naszego Chrystyanizmu!

Pytam się jeszcze o jedno. Skąd pochodzi porażka wycho-

wawcza wielu matek, które przecież usiłowały religijnie wychować swe dzieci? Wiele zapewne na nią się składa — zwrócę tu wszakże uwagę na dwie zasadnicze przyczyny. Niektóre matki zanudzają wprost swe dzieci, a zwłaszcza synów religijnością. Zmuszają je do praktyk nadobowiązkowych, przetrzymują nad miarę w kościele, nadto podają im religijność ciasną, szablonową, jednostronną, rutyniczną, a zatem ciemną i nudną, a nie uwzględniają ich godziwych młodocianych porywów. Stąd niejeden młodzieniec zniechęca się do religii i wnioskuje: że religia jest zacofaniem a niewiara światłem. W pierwszej zaś chwili upragnionej swobody rzuca obmierzłe mu więzy i puszcza się w wir życia bez hamulca.

Inne znów matki czynią odwrotnie. Na wszystkie wybryki swych dzieci patrzą przez palce, a nawet oczy zamykają i czekają, utartym zwyczajem, aż młode piwko się wyszumi, nie bacząc, że niejedno tyle szumieć będzie, aż nic z niego nie pozostanie. Opłakane są skutki obydwóch ostateczności.

III.

A teraz kwestya ze wszystkich najważniejsza: co czynić, aby złemu zaradzić?

Nadewszystko trzeba zmienić pogląd wychowawczy — pogląd na cel człowieka, na cel życia — a to nie w abstrakcyi lecz praktycznie w czynie, w zastosowaniu do codziennego życia. Nie! używanie nie jest celem człowieka, ani przyjemność nie może być jego prawem, ale spełnienie powinności, jakie Bóg nałożył. Ziemia nie jest też rajem, lecz miejscem pracy, pielgrzymowania i pobojowiskiem, życie zaś nie chwilą rozkoszy, ale czasem dorobku i zasługi. Taki jest pogląd chrześcijański z wiary płynący. Gdy pozytywista myśli inaczej, jest poniekąd w swojem prawie, a w każdym razie z logiką się nie kłóci, skoro bowiem sądzi, że z tem życiem wszystko się kończy i że poza grobem niema wymiaru sprawiedliwości, logicznie postępuje, skoro się wysila na zdobycie *maximum* chwil rozkosznych, a na uniknięcie przykrych, wreszcie gdy sobie życie odbiera, skoro to życie w czem go zawiodło lub przestaje mu być rozkoszą. Lecz gdy rodzice

chrześcijańscy rządzą się w wychowaniu poglądem pozytywisty, zaprawdę — niczem nie dają się usprawiedliwić.

Zrozumiejmy się jednak; nie chodzi wszakże o to, aby dzieci nasze były pozbawione uczciwej rozrywki, której ich wiek młody potrzebuje, ale o to, aby ta rozrywka nie była w rozterce z duchem Chrystyanizmu i sumienia nie obrażała, a to wszakże nie trudno. Chrystyanizm w swej istocie jest szeroki, bo zadaniem jego trafić i przeniknąć wszystkie składniki życia ludzkiego i odpowiedzieć wszystkim człowieka potrzebom. Nie zacieśniajmyż go przeto i nie redukujmy go do praktyk pobożnych, nie odosobniajmy go na szczytach, owszem wprowadźmy go wszędzie, gdzie być powinien: do belletrystyki, poezyi, sztuki, teatru, do życia towarzyskiego i społecznego, a gdy to uczynimy choć w części, dzieci nasze uskarżać się nam nie będą, że na arenie świata i w rodzinach, życia chrześcijańskiego prowadzić nie mogą.

Chcąc wszakże w rodzinach pogląd na życie zmienić i uczynić go chrześcijańskim, trzeba koniecznie umotywować go na podstawie zasady, następnie trzeba zasadę w czyn t. j. w obyczaj wprowadzić i całe życie nią ożywić.

»Ależ nie brak nam zasad« — powiedzą niektórzy — owszem mamy ich o wiele więcej aniżeli inne narody. Tak jest — tylko że pozwolę sobie zauważyć, iż zasada bywa u nas głównie na ustach, lub na papierze, ale życia nie przenika i że najczęściej tak się dzieje, że zasada u nas idzie w prawo a życie w lewo, jak gdyby zasada z życiem nic nie miała wspólnego. To nas znamionuje.

Jesteśmy katolikami w pewnych porach roku, w pewnych okolicznościach, jak np. około świąt Wielkiej Nocy, na gremialnych rekolekcyach, w dzień ślubu, przy łożu umierającego, na ostentacyjnych pielgrzymkach, na wiecach sodalicyi i t. p., ale w różnych szczegółach wychowania, jako to w obyczajach domowych, w interesach, — gdy chodzi o uczciwość w sprawie publicznej, na sejmie, przy głosowaniu, jakże my dziwnie wyglądamy, boć poganin na podstawie prawa naturalnego inaczejby nieraz postąpił.

Przykładu szukać niedaleko, bo np. w czasie niedawno ukończonych uroczystości Maryańskich wieluż to sobie dopiero przypomniało, że są katolikami. Na tę chwilę rozgrzali w duszy katolickie uczucia, zajrzeli do chrześcijańskiej zasady... i dalej z nią na widownię, a życie ich jakże świadczyło inaczej, — i czyż nie mieli w tem zgorszenia ci, którzy sądzą o sprawie według jej przedstawicieli!

W tej mierze oczywiście reforma jest niezbędna i nagląca, bez czego religia stanie się formą bezduszną, rutyną, szablonem bez życiowej doniosłości, niezdolną powstrzymać powodzi poganizmu.

Trzeba, aby nasz Chrystyanizm był życiem, a nie martwotą, jeśli ma iść w zapasy z tem co żyje t. j. z modernizmem pogańskim i aby w walce zwyciężał.

IV.

Jeszcze słów parę na zakończenie.

Jeśli kto chce pracować w kierunku reakcyjnym i dzieci swe do tej pracy sposobić, ten znać powinien koniecznie sytuacyę obozów walczących, ten powinien mieć oczy otwarte na niebezpieczeństwa, jakie grożą, na prądy jakie porywają, na pozory jakie łudzą, na zło, jakie się szerzy z konsekwencyą jaką niesie. Ten powinien być uzbrojony, czuwać i znać wroga.

O jakże naszym matkom daleko do tego! Żyją one zazwyczaj w zacieśnieniu koteryi rodzinnej lub towarzyskiej, życiem salonowem, pudełkowem, sztucznem i rzadko kiedy zbliżają się do realności życia. Karmią się przeważnie nabożeństwem prywatnem, uczuciowem, praktykują pobożność rozćwiartkowaną na drobne praktyki i rzadko kiedy biorą udział w wielkiem nabożeństwie kościelnem. Stąd niewątpliwie pochodzi, że one pomimo woli stają się jakieś sztuczne, jednostronne, filigranowe, egzotyczne i niepraktyczne, niezdolne zatem do pracy reakcyjnej, do walki, a tem mniej do hartowania swych dzieci w kierunku trudu i boju.

A jakże miałyby walczyć, skoro wroga nie znają, co więcej, skoro najzaciętszy wróg zasady chrześcijańskiej — świat i miękkość zasiadają przy ich ognisku na najpierwszem miejscu?

Nie znają też oczywiście sytuacyi, strategii wroga, jego względem nich polityki, to też ustawicznie w jego sidła wpadają. Bo jakże często dzieje się, że zachwycone niejednym działaczem, maskującym swe zamiary pozorem najszlachetniejszym, dają swą inicyatywę, swój pieniądz na cele podkopujące Królestwo Chrystusowe, czego się oczywiście nie domyślają.

A ten wróg nie zasypia — on wszędzie się wdziera, działa bez wytchnienia, przytem on jest roztropny, bystry, on wreszcie umie siły sprzęgać i wszystko wyzyskiwać w swych celach. Czyż wszakże matki są w tem bez winy, że je w tej mierze wyzyskują i oszukują, bo jeśli są proste jak gołębice, czyli zarówno nie są obowiązane być roztropne jako węże? Wygodniej im wszakże pozostawać w illuzyach, a chociaż fala złego się piętrzy, a niegodziwość, jako powódź dokoła zalega, sięgając już niejednego szczytu, choć młódź ginie w grzązach niewiary i zepsucia, a świat leci w przepaść znikczemnienia, one wolą nic o tem nie wiedzieć, aby nie zakłócać swego błogiego spokoju, nerwów nie rozstrajać.

Czyż jednak — raz jeszcze pytam — jako chrześcijanki, matki i obywatelki mają prawo na realności życia oczy zamykać, a raczej czy nie mają obowiązku jaknajbardziej je otwierać, aby widzieć wszystko i wiedzieć o wszystkiem, cokolwiek się dokoła nich dzieje, aby wiedzieć co zagraża nie tylko ich dzieciom, ale ich rodakom i rodaczkom, co zagraża ich domowemu ognisku, krajowi, społeczeństwu? Czyli nie mają obowiązku stojąc na swem stanowisku bezustannie czuwać, bronić i ratować? I czy nie tę powinność zalecił im Bóg na tym świecie?

Zamykać oczy na niedolę, niczemu nie zaradzać, a wobec złego zasłaniać się argumentem, że pewna suma zła istnieć zawsze musi na świecie, jest rezygnacyą niechrześcijańską, lecz raczej zimnem samolubstwem, małodusznością, co więcej jest kapitulacyą w walce — bo pozwala leniwie ręce opuszczać.

Nie, nie należy nam się uspakajać, bośmy do zbytku spokojne, lecz raczej uświadamiać się o grożącem zewsząd niebez-

pieczeństwie. Należy nam wzajemnie się pobudzać do pracy reakcyjnej, do nadludzkich wysiłków.

Sądzę naprawdę, że jedna z głównych przyczyn, dla których fala poganizmu coraz szerzej zalewa dziedzictwo Chrystusowe, jest ta, że matki i wychowawcy grozy i doniosłości zła nie widzą, że o niem nie mają wyobrażenia. To przeświadczenie sprawia, że dziś przemawiając do matek nie waham się im malować czarnych obrazów i że radabym mieć pod ręką jakieś wielkie dzwony, aby nimi dzwonić na alarm.

Zbliżenie się do realności życia ma to do siebie, że choć na razie przeraża i wstrząsa, przecież stawia człowieka w prawdzie i rozbudza w nim gorliwość — częstokroć uśpioną — a niekiedy przynagla do rozpaczliwych wysiłków.

Nam w obecnej dobie takich potrzeba wysiłków — do nich więc matki chrześcijańskie wzywamy.

V.

Cóż więc czynić powinniśmy?

Miejmy oczy otwarte i czuwajmy, a nadewszystko nakreślmy sobie wyraźny program czynu. Wewnątrz budujmy i dezynfekujmy, na zewnątrz bądźmy na straży. Budujmy w rodzinach naszych obyczaj chrześcijański, a dezynfekujmy nasze ogniska z wszelkich miazmatów, które ze świata się cisną. Same świećmy dzieciom przykładem — bądźmy logiczne, konsekwentne, a to co jest u nas na ustach, niechaj też będzie i w czynie. Kształćmy w młodzieży raczej ducha niż formę, a każdą formę napełniajmy duchem, bo dziś, wobec niezwykłego parcia fali z zewnątrz, groble nasze bez silnej kamiennej podwaliny długo nie wytrzymają. Pamiętajmy, że młódź nasza jest już dziś do tyla uświadomiona i krytyczna, że formy bez treści nie znosi, — zrzuca ją jak skorupę. Idźmy w kierunku światła, postępu, rozwoju, a lękliwym konserwatyzmem nie zacieśniajmy dróg młodzieży i nie krępujmy jej polotu. Po światło zaś zdążajmy do wielkich jego ognisk, a nie bierzmy go z dziesiątej ręki od świeczek i stoczków francuskiej bigoteryi.

Zródłem światła sternicznego dla chrześcijan jest ewangelia, wspaniałe listy apostolskie, wogóle Pismo św.; nauczmy się czerpać z tej krynicy i na tej podstawie kształćmy religijność własną oraz dzieci naszych, aby ta religijność była jędrną, wspaniałą, prawdziwie Chrystusową, nie zaś czułostkową, ckliwą, histeryczną. Umiejmy patrzeć szeroko i daleko i rozprzestrzeńmy serca, aby zdolne były objąć nie tylko sprawy osobiste lub własnych rodzin, ale sprawy całego kraju, ojczyzny, społeczeństwa, Kościoła. Zbudujmy w sercu młodzieży wzniosły ideał: patryotyczny, społeczny i religijny, — roztoczmy przed nią szeroki horyzont, obszerne pole dla czynu.

Bądźmy pewne, że jeśli młodzi tak często zbaczają na manowce, dzieje się to przez to po większej części z przyczyny, że starsi zaniedbują dać ujście jej młodocianej energii. Siły niezużytkowane rozsadzają, zacieśnione w swej ekspensywności — butwieją.

I cóż dziwnego, jeśli socyaliści oraz szowiniści wszelkiego pokroju porywają naszą młódź, skoro my nie otwieramy przed nią żadnej drogi? Gdybyśmy w tem uprzedzili socyalistów i świecili naszym dzieciom nie tylko zachętą ale i przykładem, bez wątpienia poszłyby za nami.

A nie poprzestawajmy na tem, aby mówić młodzieży czego czynić nie powinna, lecz raczej uczmy ją tego, co jej czynić należy. Krótsza to i pewniejsza droga. Rozbudzajmy w niej inicyatywę, a nie wychowujmy jej w pudełkach, bo pudełkowe wychowanie mnoży tylko niedołęgów. Nauczmy, aby na żadnem polu nie dała się wyprzedzić, owszem, niechaj ma ambicyę, aby była wszędzie pierwszą, a wszędzie niosła oświatę i ratunek.

Między sobą niech organizuje stowarzyszenia, niech prowadzi rozprawy, dysputy, niech wnosi kwestye, obrabia referaty, — będzie to dla niej zapoczątkowaniem pracy społecznej, znakomitem dla niej przysposobieniem. Bo czemużby w następstwie nie miała objąć w kraju najważniejszych posterunków? Nie uczyni wszakże tego, jeśli w tym kierunku nie będzie za młodu wdrażaną. A bądźmy pewne, że dopóty społeczeństwo nasze nie odrodzi się w kierunku chrześcijańskim, dopóki my, którzy mamy

wiarę, trzymać się będziemy na uboczu i na stanowiskach zwartym szeregiem nie staniemy.

W życiu towarzyskiem nie dajmy też gnuśnieć naszej młodzieży: niechaj i tu będzie czynną. Niech urządza chóry, deklamacye, żywe obrazy, odczyty, przedstawienia sceniczne. Myśl rozbudzona, a serce rozgrzane w kierunku prawdy, dobra i piękna uczyni ją niezmiernie odporną przeciwko niejednej pokusie. Wesołość niech będzie jej tarczą. Znałam takich młodzieńców, których poczucie estetyczne, silnie w naturze rozwinięte od wielu zła obroniło, boć zło i fałsz są tak szpetne!

Wtajemniczajmy młódź naszą w życie Kościoła, w jego potrzeby i walki, co niezmiernie rozszerzy widnokrąg jej myśli i co ją do czynu pobudzi; a walczmy, gdy tego będzie potrzeba, jako przystoi córkom Kościoła wojującego. Walczmy w obronie prawdy i zasad, a w tej walce podtrzymujmy się wzajemnie.

Religia nasza niech będzie światłem, miłością, niechaj będzie czynem.

Jeśli gorącość ducha naszego będzie wielka, przekonanie silne, wola niezłomna, a siłę czerpać będziemy u właściwego źródła, zaprawdę wiele zdziałać możemy. Bo czyżby siła nienawiści przemogła siłę miłości? Bądźmy więc dobrej myśli i na widok złego nie opuszczajmy rąk. Owszem, ufajmy, albowiem walczymy pod chorągwią Tego, który powiedział: »Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie — Jam zwyciężył świat. (Jan 16—33).

Cecylia Plater-Zyberkówna.

Nie zamierzałem zabierać głosu w odpowiedzi na kwestyonaryusz *Przeglądu Powszechnego* o szczególniejszych zadaniach katolicyzmu w Polsce, nie czując się bynajmniej powołanym do rozstrzygania kwestyi tak niezmiernie doniosłej. Gdy jednak w ostatniej chwili Szanowna Redakcya zaszczyciła mnie ponownem wezwaniem do skreślenia choć kilku słów w tej sprawie, czyniąc zadość jej życzeniu, na jedno tylko pragnę zwrócić uwagę.

Pierwszem zadaniem katolicyzmu u nas w Polsce jest, aby się on utrwalił, aby wszedł nam w krew, aby nas całych przeniknął na wskroś, aby regulował całe nasze życie prywatne, społeczne i polityczne. Pod tym względem dużo jest u nas do zrobienia. W Niemczech czy we Francyi wierzący katolik bardzo się różni od wierzącego katolika w Polsce, bo jest katolikiem całą duszą. U nas dużo jest katolików, wierzących nawet, ale z imienia tylko, bo życie ich nie odpowiada nauce wiary katolickiej, a są, niestety, i tacy, dla których katolicyzm jest tylko szyldem czy maską, pod którą kryją się wręcz sprzeczne z wiarą naszą przekonania i czyny. Jest to objaw najsmutniejszy, najwstrętniejszy, bo nic niema wstrętniejszego od obłudy, objaw dla katolicyzmu najszkodliwszy. Nie może być nieszkodliwy taki obłudnik, wilk w odzieniu owczem, który wiarę naszą dyskredytuje; niewiele dobrego zdziała dziennik, którego współpracownicy piszą po katolicku nie z przekonania, lecz tylko dlatego, że im za to płacą, by pisali tak a nie inaczej. Jeżeli, jak to zaznacza Szanowna Redakcya w kwestyonaryuszu ankiety, i u nas budzi się ruch katolicki, to powitać to należy z wielką radością, ale zarazem wszelkiemi siłami dążyć trzeba do tego, aby ruch ten stał się i pozostał katolickim *sans phrase,* w całem znaczeniu tego wyrazu. Zle się u nas dzieje pod niejednym względem, a katolicyzm jedynie zdoła nas uzdrowić; ale katolicyzm nie pozorny, nie na praktykach religijnych wyłącznie oparty, lecz ugruntowany w sercu i myśli i objawiający się w czynach, słowem, katolicyzm żywy, żywotny i życiodajny. Niech więc każdy z nas zacznie reformę od samego siebie, niech się odrodzi i przeniknie duchem wiary katolickiej, a gdy wszyscy staniemy się prawdziwymi katolikami albo przynajmniej o to się przedewszystkiem starać będziemy, wtedy tak w życiu prywatnem jak i społecznem doczekamy się niezawodnie zmiany na lepsze według słów Chrystusa: »Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego: a to wszystko będzie wam przydane« (Mat. VI, 33).

Leon Mańkowski.

»Jaką młodzież — taką przyszłość narodu!«

Pewnik ten stał się od wieków hasłem, pod jakiem walczyły i walczą partye pragnące przeprowadzić swoje idee religijne i społeczne — jedna pragnąca i dążąca do tego, by życie narodów i społeczeństw było na wskroś przejęte zasadami nauki Chrystusa — druga zmierzająca do tego, by zerwać wszelkie więzy nakładane ludzkości przez naukę Boską Chrystusa a w miejsce religii objawionej postawić rozum ludzki niczem nie skrępowany i rozwijać indywidualizm nie znający żadnych granic a gardzący wszelką powagą ludzką czy Boską.

Środkiem do tego celu z jednej strony wydzieranie z serc młodzieży wszelkiej wiary w Boga, w życie pozagrobowe — a z drugiej strony rozbudzenie najniższych namiętności w okresie rozwoju fizycznego i umysłowego młodzieży, w którym z powodu bujności sił najłatwiej wywołać wybujałości i spaczenie charakteru, pozostawiające na zawsze ślady niczem niezatarte.

O te dusze młodzieży — o przyszłość narodu — o cywilizacyę chrześcijańską rozpoczęła się w połowie XVI wieku walka, najpierw w zaciszu w jednej ze szkół włoskich, następnie na szerszej arenie. Był to początek Sodalicyi maryańskich.

Z czasem sodalicye rozszerzyły zakres działalności, objęły świat cały, wszystkie stany, zawody, zacząwszy od monarchów, skończywszy na dziatwie robotniczej. Z tych kongregacyi wyszli nie tylko sławni papieże, biskupi, cesarze i książęta, rycerze, uczeni jak Benedykt XIV, Fenelon, Bossuet, Ferdynand II i III, cesarze niemieccy, Zygmunt III, król polski i t. d., ale także i wielcy święci, jak św. Franciszek Salezy, Karol Boromeusz, Franciszek Regis, Alfons Liguori, Stanisław Kostka, Alojzy i t. d.

I Polska nie pozostała w tyle poza innymi narodami, bo nie mogła zostać, skoro jej królową była Marya.

Kraków, Warszawa, Lwów, Wilno, Poznań, Lublin, Jarosław, Kalisz, Płock, Brunsberga — to gniazda Sodalicyi maryańskich, w których doborowa młodzież już na ławie szkolnej zaprawiała się do walki życiowej pod sztandarem Bogarodzicy a opuściwszy ławy szkolne, rozproszona po całym kraju, szerzyła słowem i czynem cześć Maryi we wszystkich warstwach ludności.

Żywa, gorąca wiara, obok niezachwianego męstwa i odwagi, prawość charakteru i szlachetność obok głębokiej pobożności do Maryi, były pojęciami przywiązanemi do słowa: *Sodalis Marianus.*

To też nic dziwnego, że wszystkie imiona, które błyszczą w dziejach narodu, spotykamy na kartach Kongregacyi maryańskich.

Królowie: Zygmunt III, Władysław IV, Jan Kazimierz, Michał, Jan III, całe szeregi dygnitarzy kościelnych i świeckich a więc Maciejowscy, Sobiescy, Zamoyscy, Potoccy, Lanckorońscy, Czartoryscy, Zebrzydowscy, Korybut Wiśniowieccy, Opalińscy, Braniccy i całe szeregi innych rodów — to Sodalisi maryańscy.

Ostatnie wysiłki narodu w obronie religii, niepodległości i wolności kraju — to Konfederacya barska, a w jej szeregach Sodalisi maryańscy. Ta konfederacya pozostawiła na kartach historyi naszej nie tylko niezatarte ślady męstwa i poświęcenia dla ojczyzny pod sztandarem N. Maryi Panny ale także w literaturze naszej.

»Wśród bojów Konfederacyi, z ust księży i rycerzy (mówi Adam Mickiewicz w lekcyi XV z dnia 22 lutego 1842 r. »Literatury słowiańskiej«) odezwał się pierwszy głos poezyi rzeczywiście lirycznej; uchwycili oni motyw istotny, dali kamerton, podług którego poezya liryczna miała nastroić swoje nuty«.

Pieśń Konfederatów barskich »Stawam na placu z Boga ordynansu« (»Skarbiec historyi polskiej«, wydanie Karola Sienkiewicza, tom I, Paryż 1839, str. 226), to utwór Sodalisa Maryi wierzącego głęboko w to, iż »nie nowina, Maryi puklerzem zastawiać Polskę«.

Kiedy w trzeciej części »Dziadów« Konrad karci Jankowskiego za użycie w piosence hasła »Jezus Marya!«, pod którem rycerstwo polskie rzucało się na nieprzyjaciela, słowami: »Nie dozwolę bluźnić imieniowi Maryi« i kiedy kapral z żywą i gorącą wiarą pochwala Konrada, że mu »jedno to zostało imię«, przyznając się, że on stary legionista »ma patent sodalisa i z powinności broni Maryi imienia« — to każdy przyznać musi, iż to najpiękniejszy pomnik wystawiony przez największego z naszych wieszczów Sodalicyom maryańskim w Polsce.

Tak więc działalność Sodalicyi maryańskich w Polsce pozostawiła niezatarte ślady i w historyi narodu i w literaturze.

Rzuciwszy okiem na powyższy krótki szkic dziejów Sodalicyi maryańskich, uderzają w oczy dwa znamienne fakta:

1) iż Sodalicye maryańskie przeznaczone były zasadniczo dla młodzieży szkolnej, lecz siłą rozwoju ogarniały następnie wszystkie warstwy narodu;

2) iż sodalicye jako takie żadnego dzieła nie dokonały, któreby można przypisać tej lub owej Sodalicyi a nawet związkowi lub usiłowaniom wszystkich Sodalicyi, czyli, że dzieje czy to całego świata czy też samej Polski nie wykazują żadnego dzieła w akcyi społecznej, któremby się mogły pochlubić Sodalicye maryańskie, jako wyłączną swą własnością.

Fakt ten drugi podnosi dr. A. Kalina w ankiecie *Przeglądu Powszechnego* nr. 268 za kwiecień 1906, str. 36—74, jako ciężki zarzut przeciw działalności Sodalicyi maryańskich w Polsce.

Zarzut ten przypisać należy jedynie błędnemu zapatrywaniu się na cele i środki działalności Sodalicyi maryańskich, określone bullą złotą papieża Benedykta XIV z d. 27 września 1748 r.

W bulli tej, Kongregacye maryańskie zostające pod opieką Przeczystej Bogarodzicy, nazywa papież Benedykt XIV szczególnym środkiem wspierania usiłowań Kościoła przez kształcenie młodzieży w świętej religii, rozumne stosowanie ustaw Kongregacyi do rozmaitych miejscowych właściwości stowarzyszenia — dziełem służącem do rozbudzenia cnoty i oddającem nieobliczone usługi zbawieniu dusz ludzkich.

»Wreszcie najusilniej polecamy — słowa bulli wyż przytoczonej — wszystkim członkom wogóle i każdemu w szczególe, aby tak pomiędzy sobą jako też względem wszystkich współwiernych chrześcijan zachowywali miłość braterską i troskliwie jej obowiązki spełniali, aby ćwicząc się nieustannie w bojaźni Bożej i miłosierdziu, dwojakie przykazanie miłości, na którem się wszelkie prawo i prorocy zasadzają, wypełniali a tym sposobem Kościół Boży nieustannie pocieszali i wspierali«.

Zastanawiając się nad tą treścią bulli, dojdziemy do prze-

konania, iż fakta powyżej pod 1 i 2 stwierdzone są naturalnym objawem i wynikiem instytucyi Sodalicyi maryańskich,

Skoro pewnikiem jest: »Jaką młodzież — taką przyszłość narodu«, całkiem naturalne, iż każdy mający na celu dobro narodu będzie wszelkich sił dokładał, by w tę młodzież zawczasu wpoić zasady religii, moralności, etyki prawdziwej, by one weszły w krew młodzieży i tak się ugruntowały, aby mimo zboczeń, mimo upadków tak łatwych w wieku krewkości, ta młodzież miała dość siły do poznania upadku i do podźwignięcia się z niego. Zasady te silnie wpojone pozostaną na zawsze, owszem z biegiem czasu, po smutnych doświadczeniach i zawodach życiowych wzmocnią się w wieku dojrzałym, przeniknią całą istotę i nadadzą cechę odpowiednią jego działaniom na polu społecznem i politycznem. Wśród tej jednak działalności konieczną jest pewna ostoja nawet dla męża dojrzałego, gdzieby w gronie sobie równych wiekiem, zajęciem, stanowiskiem, wykształceniem a złączonych pod sztandarem Bogarodzicy, zaczerpnął sił do dalszej walki i umocnił się w swych przekonaniach.

Naturalnym wynikiem tego było i jest, iż Sodalicye maryańskie utworzone pierwotnie dla młodzieży szkolnej rozwinęły się i rozwijają między ludźmi dojrzałymi bez różnicy płci i między różnemi warstwami ludności tworząc odrębne kółka wedle płci, zawodu, stanowiska społecznego, obejmujące temi odrębnemi kółkami całe narody; suma zaś działalności wszystkich tych drobnych kółek jest dopiero wynikiem działalności Sodalicyi jako takiej.

Wobec rozrzucenia tych drobnych kółek po całym kraju obejmujących różne warstwy ludności, trudno do tego dążyć, by one stworzyły jakiekolwiek dzieło na polu społecznem, któreby na sobie nosiło cechy świadczące, iż autorem tego dzieła są Sodalicye maryańskie. To nie jest zresztą celem Sodalicyi maryańskich — bo Sodalicye maryańskie — jak to dobitnie wypływa z bulli papieża Benedykta XIV — są dziełem służącem do rozbudzenia cnoty, kształcenia się w zasadach religii i etyki katolickiej z uwzględnieniem miejscowych właściwości stowarzyszenia.

Sodalicye maryańskie winny być owem źródłem, w którem

Sodalis szukać będzie umocnienia się w zasadach wiary i etyki, usunięcia wątpliwości nasuwających się wśród praktyki życia a zaczerpnąwszy u tego źródła nowych sił, pójdzie szerzyć te zasady słowem, przykładem i czynem w gronie najbliższej rodziny, w życiu społecznem i politycznem jako Sodalis maryański, którego hasłem prawość życia prywatnego i publicznego i spełnianie zasad prawdziwie chrześcijańskich.

Sodalicye maryańskie winny być owem źródłem, w którem Sodalis szukać będzie umocnienia się w zasadach wiary i etyki, usunięcia wątpliwości nasuwających się wśród praktyki życia a zaczerpnąwszy u tego źródła nowych sił, pójdzie szerzyć te zasady słowem, przykładem i czynem w gronie najbliższej rodziny, w życiu społecznem i politycznem, jako Sodalis maryański, którego hasłem prawość życia prywatnego i publicznego i spełnianie zasad prawdziwie chrześcijańskich.

Stwórzmy całe szeregi takich Sodalisów maryańskich rozrzuconych po wszystkich zakątkach kraju a wówczas powstaną tysiące rodzin żyjących prawdziwie po chrześcijańsku, wówczas podniesie się moralność tak prywatna, jak i publiczna, oparta na podstawach nauki chrześcijańskiej w całym narodzie, bo rodzina jest z prawa Bożego jedyną podstawą społeczeństwa. Będzie to wspaniałem dziełem Sodalisów czerpiących siły do przeprowadzenia tych zadań w Sodalicyach maryańskich.

Dr. Franciszek Bujak,
Prefekt Sodalicyi męskiej w Krakowie.

W odpowiedzi na pytanie postawione przez *Przegląd Powszechny*, zdaje mi się zbytecznem, szukać długo dowodów na to, że systematyczna, energicznie prowadzona i wszystkie warstwy społeczne ogarniająca akcya katolików wogóle, a katolików polskich w szczególności stała się konieczną — konieczną dla przyszłości Kościoła katolickiego w Polsce, zarówno jak narodu polskiego, niemniej jak i dla dobra całego ludzkiego społeczeństwa.

I co do tego dzisiaj dwóch zdań być nie może, że akcya katolicka musi mieć charakter wybitnie socyalny.

Kwestyą poniekąd nierozwiązaną, u nas przynajmniej, jest raczej ta, j a k ą powinna być ta akcya społeczna, aby nie spełzła na niczem, jak tyle innych już podjętych, nieraz z olbrzymimi wprost wysiłkami prób.

Nie zamierzam dać wyczerpującej ze wszech stron odpowiedzi na to nader ważne i nader trudne pytanie, chciałbym jednak — dorzucając drobną cegiełkę do wspaniałego gmachu Przeglądowej ankiety — wskazać na kilka zasadniczych warunków, które, mojem zdaniem, są niezbędne, aby akcya katolicka u nas doczekała się wreszcie powodzenia.

Jestem Górnoślązakiem, z obwodu przemysłowego. Miałem więc aż nadto sposobność zapoznać się z wielkiemi potrzebami naszemi na polu właśnie społecznem. Znam też, sądzę dość dokładnie, świetną akcyę katolików niemieckich, usiłowałem wniknąć w jej istotę, poznać przyczyny i warunki jej rozwoju i powodzenia. Kilkoletni pobyt we Włoszech umożliwił mi także zetknięcie się z ruchem katolików włoskich, pozwolił mi zapoznać się z wielką ich organizacyą centralistyczną, t. zw. *Opera dei Congressi*, która w r. 1904 się rozbiła, i śledzić teraźniejsze usiłowania do utworzenia nowej akcyi, wywołane znaną encykliką Piusa X *il fermo proposito*. Spostrzeżenia tą drogą zebrane pozwolą mi może wypowiedzieć parę myśli i uwag, dla dobra sprawy, sądzę, nie bez znaczenia.

I.

Stara polityczna zasada: *Divide et impera!* niewątpliwie największe odniosła tryumfy w dziedzinie rozwoju gospodarczego. Podział pracy — tak brzmi owa zasada, tłumaczona na język gospodarczy, — jest jeżeli nie przyczyną, to zapewne niezbędnym warunkiem postępu gospodarstwa narodowego. Zawsze, tak nas uczy ekonomia polityczna, przejście z niższej formy gospodarstwa do wyższej, stało w przyczynowym związku z dalej idącym podziałem społecznym pracy. Okazuje się to szczególnie w dzisiejszej fazie gospodarstwa społecznego. Niezmierna wprost

wydajność produkcyi przemysłowej, która wzrosła dziś do rozmiarów, o jakich dawniej ani marzyć nie śmiano i względna doskonałość jej wytworów, w wielkiej części polega na umiejętnym, daleko idącym podziale pracy, albo raczej ściślej się wyrażając, bez przeprowadzenia podziału pracy, bez specyalizacyi pracy przemysłowej, dzisiejszy świetny stan przemysłu byłby niemożliwym.

To samo, z większą może jeszcze słusznością da się powiedzieć o pracy naukowej i wogóle o wszystkich niemal dziedzinach pracy ludzkiej.

Otóż te same przyczyny, dla których w dziedzinie pracy gospodarczej i naukowej podział pracy stał się koniecznym, istnieją i dla społecznej akcyi katolickiej. Wynika stąd pierwszy zasadniczy warunek zdrowej akcyi katolickiej, na który tu wskazać chcemy, a mianowicie: akcya katolicka musi się opierać na zasadzie ścisłego podziału pracy. Inaczej w samym swym zarodku jest chybioną i nie może mieć pożądanego skutku.

Jest to, naszem zdaniem, warunek tak elementarny, że nie trzeba długich wywodów na jego uzasadnienie. Już samo zastanowienie się nad zadaniami, które akcya katolicka ma do spełnienia, każdego musi przekonać o jego słuszności i konieczności. Dziedzina zadań akcyi katolickiej jest wprost olbrzymią i z każdym dniem staje się jeszcze większą. Żeby tylko wspomnieć o jednym jej dziale, to jest o pracy społecznej: ileż to ważnych i trudnych kwestyi wchodzi w jej zakres! Mamy tu kwestyę agrarną, rzemieślniczą, robotniczą, kwestyę drobnego handlu, kwestyę kobiecą, kwestyę wychodźtwa, kwestyę zdrowych mieszkań i t. d. i t. d. Każda zaś z tych kwestyi zawiera w sobie cały szereg podrzędnych zagadnień, wymagających rozwiązania. A na pracy społecznej akcya katolicka ograniczyć się nie może. Do niej także należy praca religijna poza Kościołem, praca polityczna, działalność charytatywna, kwestya szkolna, naukowa, walka przeciwko niemoralności i alkoholizmowi... wogóle wszystko to, co stanowi nowoczesną kulturę chrześcijańską odnośnego narodu. Każde z tych zadań wymaga znacznych środków, wielu współpracowników, głębszego obznajomienia się z całym szeregiem zagadnień

w jego zakres wchodzących, wreszcie zastosowania odrębnych, nieraz bardzo specyalnych, praktycznego tychże zadań rozwiązania. Niema ani człowieka, ani organizacyi — choćby najdoskonalszej i najsilniejszej — któraby była w stanie objąć jakokolwiek wszystkie te zadania i choć w części im sprostać, w którejby — jednem słowem — polegało prowadzenie całej akcyi katolickiej. Innemi słowy: akcya katolicka nie może się skupić w jednym jedynym związku, w jednej jedynej organizacyi, mającej za cel rozwiązanie wszystkich tych zagadnień, ale odpowiednio do mnóstwa różnych tych zadań, powinien powstać cały szereg różnych, odrębnych organizacyi i związków, któreby między sobą podzieliły całą pracę katolicko-społeczną, ograniczając się każdy na pewne ściśle określone zadanie wielkiego programu katolickiego. Tylko przy takim podziale pracy akcya katolicko-społeczna osięgnie wszechstronnie swój cel, zdoła w harmonijnym rozwoju podnieść naród prawie równocześnie we wszystkich dziedzinach życia katolickiego i społecznego.

Przeciwko tym wywodom niewątpliwie podniesie się zarzut — któremu nie odmawiam znaczenia — że przy przeprowadzeniu zasady co dopiero postawionej, jedność akcyi katolickiej stanie się illuzoryczną, rozstrzelą się siły katolików. *Dato non concesso*, że takie niebezpieczeństwo istnieje, można na ten zarzut odpowiedzieć, że bądź co bądź lepiej jest osiągnąć skromne rezultaty na niektórych polach akcyi katolickiej, co pewnem jest przy działaniu organizacyi mających ograniczone zadanie, aniżeli zgoła nic nie osiągnąć, owszem zniechęcać społeczeństwo do pracy wspólnej, co niemniej pewnem jest przy zakładaniu organizacyi, których program obejmuje całą wogóle pracę katolicko-społeczno-narodową. Jeżeli takie organizacye podejmowane zazwyczaj z wielkimi wysiłkami, z wielkiemi hasłami i nadziejami upadają lub w znacznej części zawodzą — a muszą upaść i zawieść wskutek ogromu i idącej za tem niewykonalności swego programu — społeczeństwo traci stopniowo coraz więcej wiarę i zaufanie we własne siły, w żywotność i skuteczność zasad i idei, w imieniu których całą akcyę poczęto.

Nie ta jednak jest główna nasza odpowiedź na zarzut sfor-

mułowany powyżej. Przeczymy stanowczo, aby przy podziale pracy katolicko-społecznej na cały szereg odrębnych, niezależnych od siebie organizacyi, jedność akcyi katolickiej koniecznie rozbitą być miała. Czyż w pracy przemysłowej a tak samo w pracy naukowej, mimo bardzo daleko idącego podziału pracy nie mamy w rezultacie najwspanialszej i najpłodniejszej w skutki jedności? Skąd ta jedność pochodzi? Dwa analogiczne czynniki powodują ją, pierwszy polega na idei potężnej, drugi na pewnej luźnej organizacyi zewnętrznej. Idea dająca jedność pracy przemysłowej — to wszystkich jednoczące dążenie do bogactwa, prywatnego i narodowego; organizacya zaś zewnętrzna tworząca pewne punkty środkowe dla przeróżnych zabiegów — to giełdy. Na polu naukowej pracy taką ideą jednoczącą jest dążenie do prawdy, do oświaty; a instytucyami ześrodkowującemi wszystkie rozstrzelone na pozór prądy naukowe — to uniwersytety, to akademie. Podobnie rzecz się ma w dziedzinie społecznej pracy katolickiej. Potężną ideą, wszystkie organizacye chrześcijańskie jednoczącą, wszystkim nadającą jeden kierunek, jeden główny, ostateczny cel — to duch katolicki, to zasady chrześcijańskie wszystkim wspólne. Aby zaś ta jedność wspaniała nwydatniła się na zewnątrz w pewnej, aczkolwiek luźnej, jednak silnej organizacyi — na to trzeba do życia powołać ogólne wiece katolików. Nie można sobie pomyśleć silniejszej, żywotniejszej jedności akcyi katolickiej przy równoczesnym, najskuteczniejszym podziale pracy.

Wywody nasze nie są konstrukcyami, oderwanej od rzeczywistości spekulacyi, ale opierają się na obserwacyi faktów. Dwa świetne przykłady, jeden pozytywny, drugi negatywny, mogą potwierdzić powyższe konkluzye. Akcya katolików włoskich, t. zw. *Opera dei Congressi* na zewnątrz przedstawiała najściślejszą jedność. Program jej obejmował całe życie społeczno-katolickie narodu włoskiego: nie mogła powstać organizacya katolicka, którąby od niej nie zależała. Nie zaniedbano też całkiem zasady podziału pracy: *Opera dei Congressi* dzieliła się na pięć sekcyi; ale istotnie ten podział był tylko teoretycznym, w samej rzeczy nie wystarczał dla zdrowej i skutecznej działalności. Stąd też rezultaty tej akcyi były więcej jak skromne. Mimo silnej progra-

mowej jedności, tem silniejszej, że *Opera dei Congressi* stała pod faktycznem kierownictwem samego papieża, kongresy i zjazdy zwłaszcza w latach ostatnich były widownią namiętnych walk. Ciągłe te spory i kłótnie, jedno z głównych swych źródeł — o drugiem będzie mowa poniżej — miały niewątpliwie w tem właśnie niefortunnem połączeniu najróżnorodniejszych zadań w jednej jedynej organizacyi. I nie mogło się stać inaczej: *Opera dei Congressi* wreszcie się rozbiła. Pozostała jedynie ta grupa, która wskutek swego konkretnego, ściśle ograniczonego programu miała warunki bytu i rozwoju: grupa ekonomiczno-społeczna.

Zupełnie inny obraz przedstawia akcya katolików niemieckich. Nie jest ona ujętą w żadne ramy wspólnej jakiejś centralistycznej organizacyi, owszem składa się z całego szeregu odrębnych i samoistnych, oprócz chyba wspólnych zebrań wiecowych żadnego zgoła nie mających między sobą związku organizacyjnego. Każda z nich ma właściwe, wcale nie różnorodne, ale jedno zazwyczaj jasno sformułowane i w ciasnych granicach zamykające się zadanie. Tak więc mamy organizacyę polityczną w *Centrum* i w komitetach centrowych, mamy t. zw. *Windhorstbundy* dla wyrobienia centrowych polityków. Osobne organizacye zajmują się sprawami religijnemi, jak np. *Bonifatiusverein*, który buduje Kościoły i umożliwia duszpasterstwo dla katolików przebywających w okolicach protestanckich. Cały szereg organizacyi zupełnie niezależnych od siebie, rozdziela między siebie różne zadania na polu społecznem: mamy związki robotnicze z charakterem więcej religijnym, niezależne obok nich związki zawodowe z celami czysto ekonomicznymi; dalej związki robotnic, związki czeladzi rzemieślniczej, związki młodocianych robotników, związek pracodawców, *Arbeiterwohl* dla podniesienia robotnika, związki włościańskie, związki różnych kas włościańskich i t. d. Na polu dobroczynności rozwija szeroką działalność związek *Charitas*, wychodźcom poświęca się *Rafaelverein*, przeciwko alkoholizmowi walczy *Kreuzbund*, przeciwko niemoralności taki *Männerverein* w Kolonii i w innych miastach, o rozpowszechnienie dobrej literatury stara się *Borromäusverein*; na polu naukowem mamy *Albertus Magnus-Verein* dla popierania świeckich ludzi nauki, tych zwłaszcza,

którzy mają zamiar pracować na wszechnicach: dalej *Görresgesellschaft, Gesellschaft für christliche Kunst;* mamy związki katolickich akademików, katolickich nauczycieli, nauczycielek, *Augustinusverein* dla pracy katolickiej i t. d. i t. d. Wreszcie należy wymienić najpotężniejszy ze wszystkich związków, niemiecki *Volksverein*, szeregujący do pracy społecznej dziś już przeszło pół miliona katolików. A podkreślić tu należy z osobnym naciskiem, że *Volksverein* nie jest, jak u nas niektórzy zdają się sądzić, organizacyą jakąś wielocelową i centralistyczną. Żadna z wyliczonych organizacyi nie zależy od niego; ma on zadanie odrębne od zadań wszystkich innych związków i organizacyi katolickich; a zadanie to bardzo uchwytne i szczegółowe — to szerzenie oświaty społecznej i katolickiej w społeczeństwie niemieckiem.

Jedynie dzięki temu daleko idącemu podziałowi pracy akcya katolicka w Niemczech mogła dojść do tak świetnych rezultatów na wszystkich polach życia katolickiego i społecznego. Przez ograniczenie swej działalności na bardzo mały zakres, pojedyncze organizacye, które dopiero stanowią całość akcyi, mogły stać się niezmiernie czynnemi i rzutkiemi, jak najodpowiedniej mogły się stosować w swej metodzie i w swych środkach do wytkniętego sobie celu, i bez oglądadania się na inne pole życia katolickiego, skierować wszystkie siły ku przeprowadzeniu swego zadania. W ten sposób każda z tych licznych organizacyi mogła najlepsze stosunkowo osiągnąć rezultaty. A dopiero suma tych wszystkich rezultatów z odrębnych organizacyi wynikających, stwarza ów wielki zbiorowy a tak świetny obraz katolickiej akcyi niemieckiej. Co dziwniejsza, akcya ta nie tylko tak świetna jest w rezultatach, ale nadto pomimo pozornego rozstrzelenia sił katolików na całe dziesiątki niezależnych i odrębnych organizacyi, daje nam wzór takiej jedności i spoistości, jakiej dotychczas przynajmniej nie spotykamy nigdzie. Jeżeli słowo w ostatnich latach tak często powtarzane względem katolików niemieckich: *Germania docet,* pod jakimkolwiek względem jest słusznem, jest niem niewątpliwie co do umiejętnego zastosowania zasady podziału pracy.

Myślę, że i my pod tym względem powinniśmy uczyć się

u katolików niemieckich i możemy nauczyć się wiele. Nie ulega wątpliwości, że tak liczne próby stworzenia wielkiej akcyi katolickiej podejmowane u nas w ostatnich kilkunastu latach, dlatego właśnie nie miały i nie mogły mieć powodzenia, iż grzeszyły przeciwko tej fundamentalnej zasadzie podziału pracy. O ile nam wiadomo prawie wszystkie programy tej akcyi, przynajmniej więcej głośne i znane, zawierały nadmiar najróżnorodniejszych zadań. Można było spotkać się z programami wyliczającymi nie mniej jak 30 do 40 różnych zadań ze wszystkich prawie dziedzin życia katolickiego, narodowego i społecznego. Były tam zadania religijno-kościelne, jak budowanie kościołów i kaplic, urządzanie misyi, przeprowadzenie spoczynku niedzielnego i t. d. — zadania moralnego i etycznego wychowania społeczeństwa, jak walka systematyczna przeciwko niemoralności we wszystkich jej objawach, walka przeciwko alkoholizmowi, pojedynkom, karciarstwu i t. d. — zadania dotyczące oświaty ludu, jak nauczanie katechizmu, rozszerzanie dobrych czasopism, gazet, broszur, zakładanie czytelń ludowych, popieranie ubogich studentów i t. d. — zadania narodowe, jak wzmocnienie polskiego żywiołu pośród innych narodowości, popieranie krajowego przemysłu i t. d. — zadania na polu tak rozległem dobroczynności, jak zakładanie i utrzymywanie różnych zakładów do różnych potrzeb, przytulisk, ochronek, tanich i zdrowych mieszkań, szpitali i t. d. — zadania prawie wszystkie, które obecnie są do spełnienia w dziedzinie socyalnej, jak tworzenie organizacyi robotniczych, związków rolniczych, rzemieślniczych, biur pośrednictwa pracy, spółek, kas różnych, opieka nad wychodźcami i t. d. — jednem słowem, wszystkie prawie zadania, jakie może mieć do spełnienia społeczeństwo katolickie. A tych zadań w mniejszym lub większym zakresie, zawsze jednak bardzo licznych i różnorodnych dokonać miała jedna i ta sama organizacya, jeden i ten sam związek. A to jest niemożliwem!

Ileż to pracy wymaga każde z tych zadań z osobna! Weźmy dla przykładu jedno z ich liczby, a mianowicie sprawę wychodźtwa tak doniosłą dla samego społeczeństwa i odpowiedzmy sobie na pytanie: Co dobrze zorganizowana akcya dążąca do uzdrowienia ruchu wychodźtwa czynić powinna. Przedewszystkiem musi

informować społeczeństwo o rozmiarach wychodźtwa i o wszystkich wogóle stosunkach, w jakich nasi wychodźcy pracują i żyją, a więc zbierać dokładne statystyczne wiadomości dające wierny i powszechny obraz tego ruchu. Statystyczna ta praca każdego roku powinna być powtarzaną i ogłoszoną w biuletynach peryodycznych. Ku temu celowi założenie generalnego biura wychodźtwa staje się niezbędnem. Dalej akcya musi zdobyć wpływ na ciała ustawodawcze i administracyjne i ciągły na nie wywierać nacisk celem osiągnięcia ustanowienia pewnych norm legalnych dla wychodźtwa i przeprowadzenia energiczniejszej niż dotąd obrony wychodźców na obczyźnie przez konsulaty i ambasady. Sama bezpośrednia opieka nad wychodźcami obejmuje: 1) pracę w kraju nad przygotowaniem wychodźców (zaznajomienie ich z wszystkiemi niebezpieczeństwami wychodźtwa, religijne, apologetyczne, narodowe wykształcenie, aby z tych niebezpieczeństw wyszli zwycięsko, informacye o stosunkach zarobkowych, organizacya wychodźców i t. d.); 2) pracę w podróży (biura przy stacyach zagranicznych, przytułki, biura pośrednictwa pracy i t. d.); 3) pracę na miejscu zatrudnienia (praca duszpasterska, obrona prawna, sekretaryaty dla wychodźców, gazety, pisma, organizacya, związki, szpitale i t. d.); 4) pracę przy powrocie (ułatwienie przesłania i ulokowania zarobionego grosza, zatrudnienie wychodźców podczas zimowego bezrobocia, paraliżowania złego ich wpływu na pozostającą w kraju ludność). Krótkie to określenie zadań, jakieby powinna spełnić akcya dla wychodźców, wykazuje, że praca na tem polu do wykonania jest tak ogromna i wymaga tak znacznych środków, tak odrębnych sposobów postępowania, iż skutecznie spełnić ją potrafi jedynie i wyłącznie temu celowi oddana a w całem swem urządzeniu zastosowana do odrębnych warunków tego ruchu. Świetny wzór takiej akcyi mamy we włoskiej *Opera di Assistenza degli operai italiani emigrati in Europa e nel Levante*, na której czele stoi znany biskup kremoński, mons. Bonomelli.

To samo mniej więcej, co w kwestyi wychodźtwa należy powiedzieć o wszystkich innych zadaniach wymienianych zazwyczaj w owych programach, o których wspomniałem wyżej. Prawie

każde z nich wymaga osobnej organizacyi. Inaczej praca jest daremną.

Ale podział pracy katolickiej na cały szereg odrębnych, od siebie niezależnych organizacyi, z konkretnemi, ściśle ograniczonemi zadaniami pożądany jest jeszcze i z innego punktu widzenia. Pragnąć i dążyć do tego należy, aby wszyscy ile możności katolicy brali udział w jakikolwiek sposób czynny w akcyi katolickiej. Zdolności jednostek są atoli bardzo różne, różne też są skłonności i usposobienia, poglądy i zapatrywania. Znajduje się wielu takich, co chętnie pisać się będą na akcyę dobroczynności, o działalności zaś socyalnej, o tworzeniu np. związków zawodowych i słyszeć nie chcą. Inni znów chętnieby się może poświęcili pracy społeczno-ekonomicznej, mniej zaś mają pociągu czy kwalifikacyi do zadań więcej religijnych. Otóż jeżeli w jednej organizacyi skupi się wiele bardzo różnorodnych zadań, łatwo stać się może, że dla jednego albo drugiego punktu zbiorowego programu wielu z członków lub kandydatów na członków się nie zgodzi z całością programu i tem samem straceni będą dla akcyi. Jeżeli zaś istnieje cały szereg odrębnych organizacyi, każdy może znaleźć odpowiednie do swych poglądów, skłonnościom i zdolnościom pole pracy społecznej i katolickiej. W ten sposób można wyzyskać wszystkie siły katolickie. Organizacye poszczególne stają się silne, żywotne.

Nie będzie, sądzę, zbytecznem, z dotychczasowych uwag wysnuć krótkie wnioski i wskazówki praktyczne.

1) Akcya katolicka musi się opierać na daleko idącym podziale pracy. Stąd

2) dla odrębnych zadań należy zakładać odrębne organizacye.

3) Istniejących zatem organizacyi katolickich nie należy łączyć w związek ogólny, centralistyczny, ale pozostawić je o samodzielnem wyodrębnieniu, a zato popierać je wszelkiemi siłami.

4) Nie rozumiemy tego jednak o lokalnem wyodrębnieniu związków i towarzystw, przeciwnie wszystkie lokalne związki i organizacye istniejące w kraju i mające mniej więcej to samo zadanie, powinny się połączyć w jeden wielki związek krajowy; np. wszystkie parafialne towarzystwa robotników powinny two-

rzyć jeden wielki związek krajowy towarzystw robotniczych; wszystkie spółki rolnicze jeden wielki krajowy związek spółek rolniczych i t. d. Tego rodzaju centralizacya jest konieczną.

5) Poszczególne organizacye nigdy nie powinny dać się wciągnąć i używać do innych zadań nie leżących w ich programie, choćby to były zadania skądinąd najlepsze i najważniejsze.

6) O ile chodzi o objęcie w ramach katolickiej, jednolitej organizacyi wielkich mas narodu czy społeczeństwa — a bez wątpienia musi chodzić o to każdemu — wcale nie jest potrzebnem, aby tego rodzaju organizacya objęła czy to wszystkie, czy choćby tylko główniejsze zadania zbiorowej katolickiej pracy; do stworzenia takiego związku wystarczy zupełnie, owszem więcej nawet dopomoże, postawienie mu za cel jednego, całkiem prostego i jasno określonego zadania, byleby ono odpowiadało powszechnej, żywo odczutej potrzebie i jako takie w szerokich warstwach żywy budziło interes. Wzorem takiej akcyi jest, jakeśmy już zaznaczyli, potężny *Volksverein* niemiecki. § 1 jego statutów opiewa: »Celem związku jest zwalczanie błędów i usiłowań przewrotowych w dziedzinie społecznej, jako też obrona porządku chrześcijańskiego w społeczeństwie«. § 2: »Środkami, którymi związek stara się osiągnąć ten cel, są: osobista działalność członków, pouczające wykłady, rozszerzanie dobrych pism«. § 3: »Uprawnionym do głosu członkiem związku jest każdy pełnoletni Niemiec-katolik płacący rocznie jedną markę do kasy związku«. Oto podstawa, na której pod hasłem *Volksvereinu* zgromadziło się już blizko pół miliona członków — unikat w historyi organizacyi katolickich, podziwiany i studyowany z coraz większym zapałem nawet przez sąsiadów z tamtej strony Renu.

7) Założenie u nas podobnego związku, owszem na bardzo podobnej, jeśli nie na tej samej podstawie, uważamy za zadanie najbardziej naglące w obecnem położeniu, najbardziej pożyteczne i najłatwiejsze do przeprowadzenia. Cel tego związku, jak go pojmujemy, byłby bardzo prosty: szerzenie i pogłębienie rzetelnej katolickiej oświaty i społecznego wyrobienia w szerokich warstwach narodu. Środki, za pomocą których dążyłby projektowany związek do celu, mogłyby być następujące: Założenie centralnego

związku, w którymby się koncentrowała główna praca. Dyrektorzy, sekretarze i wogóle wszyscy pracownicy w tem biurze powinni być uwolnieni od innych zatrudnień, aby módz się całkiem poświęcić dobrej sprawie. Wydawanie broszur i dzieł społecznych i apologetycznych; przytem należy zwrócić uwagę, że takie pisma niemniej jak dla prostego ludu są potrzebne tak i dla szerokich kół intelligencyi, nie znającej nieraz najfundamentalniejszych prawd religijnych i społecznych. Pisma te winny wyświecać wszystkie palące kwestye religijne i społeczne naszych czasów, jak np. kwestyę pogodzenia wiary (Objawienia) z nauką; naukę Kościoła o dobrach tej ziemi; o cywilizacyi doczesnej, jej wartości i uprawnienia; naukę Kościoła o państwie, o narodowości; stosunek Kościoła do literatury i sztuki nowoczesnej, kwestyę kobiecą i t. d. Regularne wysyłanie do wszystkich gazet i czasopism katolickich artykułów i rozprawek treści apologetycznej i społecznej, uwzględniając przytem zawsze najaktualniejsze kwestye. Żaden zapał socyalistów lub innych prądów antyreligijnych i antyspołecznych nie powinien zostać bez dobitnej odpowiedzi. Rozrzucanie w masy ludu pism ulotnych, wydawanie peryodycznego pisemka, będącego organem związku. Założenie centralnej biblioteki dzieł apologetycznych i społecznych. Urządzanie kursów socyalnych, a tak samo też apologetycznych dla różnych warstw: dla intelligencyi, dla dorosłej lub dorastającej młodzieży (klerycy w seminaryach powinni tworzyć kółka socyalne dla przygotowania się praktycznego do późniejszej działalności), dla robotników, dla włościan. Kursa te odbywaćby się mogły ile możności kolejno w różnych miejscowościach kraju. Przez takie kursa uda się wyrobić zdolnych młodych robotników na mowców, agitatorów, redaktorów pism ludowych, kierowników związków, sekretarzy robotników, nawet posłów i t. d. Odczyty, wykłady. Agitacya za istniejącemi już albo mającemi dopiero powstać organizacyami chrześcijańskiemi wszelkiego rodzaju.

Taki związek mógłby powstać w każdym z trzech zaborów. Choćby trzy te związki jednolite nie mogły się połączyć jakby można życzyć, w jeden wielki polski związek katolicki, działalność ich mogłaby być przeprowadzoną według jednolitego programu

harmonijnie we wszystkich trzech zaborach, wzajemnie mogłyby się popierać i uzupełniać w swej pracy. Wszak pisma wszędzie już dziś mają dostęp, na kursa apologetyczne i społeczne wszędzie można uczęszczać, książki z bibliotek centralnych wszędzie mogą kursować.

II.

Drugim warunkiem, który dla zdrowego rozwoju akcyi katolicko-społecznej uważać należy za konieczny, jest jej samodzielność czyli autonomiczna organizacya. Związki poszczególne, między które, jak to w pierwszej części podnieśliśmy, zbiorowa praca katolicka ma być podzieloną, mają się rządzić same; w miarę wzrostu i mnożenia się związków lokalnych mogą one i powinny — jak to również wykazaliśmy — wytwarzać ze swego łona własną swą mniejszą lub większą centralizacyę i zarząd naczelny; wolne jednak być muszą od jakiejkolwiek władzy z góry sobie nałożonej i całą już może masą innych związków zawiadującej.

Postulat ten jest, jak każdy łatwo spostrzeże, poniekąd logiczną konsekwencyą wniosków, w których streściliśmy rezultat pierwszej części niniejszej rozprawy. Niezależnie jednak od racyi tam podanych ma on jeszcze głębokie swe uzasadnienie w silnych prądach nowoczesnych nurtujących głęboko w społeczeństwie.

Żyjemy w czasach ustroju konstytucyjnego państw, powszechnego prawa wyborczego, samorządu miast i gmin, autonomii krajów i najmniejszych nawet kraików. Nie dziw więc, że żądanie samodzielności, niezależności, swobody działania stały się hasłem powszechnem, którego urzeczywistnienia domaga się lud z żywiołową niemal siłą. Nie ma się — fakt to niezaprzeczony — wiary i zaufania ani do kierownictwa obcego, ani choćby trochę dalej stojącego od biegu i toku spraw, któremi rządzić trzeba. Ot cała Galicya domaga się autonomii czyli niezależności od rządu centralistycznego w Wiedniu, bo wszyscy sądzą, że ten rząd centralistyczny nie zna ani nie rozumie potrzeb galicyjskich i nie jest zdolnym, albo może też nie jest skłonnym do zadowolenia najistotniejszych narodowych wymagań. A to niezaufanie nie

zmniejsza się, chociaż do tego rządu należy jeden lub nawet kilku polskich ministrów, i choć obok tego rządu w centralnym parlamencie monarchii, czuwa nad sprawami krajowemi silne Koło polskie.

To, co się tu objawia na wielką skalę, powtarza się ciągle w mniejszym stopniu na polu społecznej pracy; owszem tu prąd ten autonomiczny występuje z jeszcze większą siłą. Bo jeżeli żąda się autonomii w samym ustroju państwowym, który przecież jest wynikiem czynników poniekąd niezależnych od indywidyów w jego skład wchodzących, o ile z większą siłą musi się przejawić to żądanie, gdy chodzi o organizacye społeczne, polegające zupełnie na dobrej woli członków. Z prądem tym koniecznie liczyć się trzeba, a to tem bardziej, że nie jest on jakimś może tylko przelotnym lub nawet niezdrowym czy niebezpiecznym pociągiem dzisiejszych czasów w rodzaju np. przesadnych pożądań wolności, ale wynika z głębszego zrozumienia samej istoty społecznej organizacyi i praw zdrowego rozwoju. Zrozumiano, że centralizacya — wspomniana i opisana powyżej — wcale nie ułatwia działalności związków od niej zależnych, przeciwnie pozbawia je rzutkości, szybkości działania, robi je ociężałymi. Związki, jeżeli mają skutecznie i łatwo funkcyonować, muszą mieć organizacyę bardzo prostą, a nie sztuczną, skomplikowaną. Zarządy ich muszą się składać z ludzi ze sprawą związku gruntownie obeznanych, sprawie związku zupełnie oddanych, nie związanych z interesami celom związku może sprzecznymi, znających cały teren akcyi i zdolnych do jej kierowania na miejscu szybko i doraźnie wedle potrzeb chwili bez konieczności oglądania się na wskazówki lub uchwały różnych ciał i instancyi, od których wszystko zależy. Zresztą obszerniej już o tem mówiliśmy w pierwszej części.

To, cośmy powiedzieli wogóle o autonomicznej niezależności związków, odnosi się także do ich niezależności od hierarchii kościelnej. Owszem ta właśnie niezależność jest w wielu krajach sprawą najbardziej, a może nawet jedynie aktualną. Ma ona swoich bardzo licznych obrońców, ma też i przeciwników.

Dla uniknięcia nieporozumień zastrzegamy się od razu z góry, że nie chodzi tu wcale o niezależność od Kościoła pod względem

nauki katolickiej, o tem oczywiście i mowy być nie może. Nie chodzi też o usuwanie się związków z pod wpływu Kościoła, o ile jemu przysługuje misya i prawo głoszenia i przepisywania wiernym ogólnych i naczelnych zasad katolickiej akcyi społecznej. Nie chodzi wreszcie i o to, aby uszczuplić, czy kwestyonować prawo Kościoła i duchowieństwa do zakładania i całkowitego kierownictwa związków celom kościelnym i religijnym wyłącznie służących. To wszystko leży poza kwestyą. Kwestya, o którą jedynie nam chodzi i o którą spór się toczy, jest ta: czy w zasadzie jest rzeczą dobrą i wskazaną lub może nawet z prawa czy ducha Kościoła wynikającą, aby cały rząd i kierownictwo wszystkich zgoła organizacyi katolickich, choćby celom świeckim i doczesnym służących, spoczywał bezpośrednio czy mniej lub więcej pośrednio w rękach władzy kościelnej.

Naszem zdaniem kwestya w ten sposób sformułowana negatywnie rozstrzygniętą być może i powinna. Cel i zakres tej pracy nie pozwala nam zapuszczać się w teoretyczną stronę kwestyi i dowodzić z samej nauki i tradycyi kościelnej naszego twierdzenia. Jest to zresztą całkiem zbyteczne wobec notorycznego faktu, który praktycznie starczy za wszystkie spekulatywne dowody, że większość znaczna biskupów np. niemieckich uznaje i czynnie nawet popiera tezę o autonomicznym charakterze związków wobec hierarchii Kościoła, a Stolica św. nie tylko kierunku tego nie gani, ale, jak to niedawno miało miejsce, faworyzowania przeciwnego kierunku wprost się wypiera. Przypominamy tu polemikę katolickich gazet niemieckich, prowadzoną parę miesięcy temu z powodu ostatniej bytności biskupa Koruma w Rzymie i oficyalnych deklaracyi wówczas wydanych.

Wobec tego faktu bezwzględna zależność katolickich związków od kościelnej hierarchii jako zasada obowiązująca postawioną być nie może, a dążeń do samodzielności pomawiać nie należy o liberalizm.

Ale nie widzimy również żadnych praktycznych czy oportunistycznych względów, dla którychby tę zależność, jakkolwiek nie obowiązującą w zasadzie, dobrowolnie przyjąć i polecić należało, jako rzecz dla dobra samej organizacyi korzystną i wska-

zaną. Owszem, widzimy szereg względów i racyi świadczących wprost przeciwnie.

Jednym z takich względów, który nam się wydaje bardzo nawet silnym, jest owo tak dzisiaj powszechne i głęboko w społeczeństwie zakorzenione pragnienie i domaganie się samodzielności na wszystkich polach, o którem już ogólnie była mowa powyżej. O ile zaś w szczególności chodzi o usunięcie prac i zadań świeckich z pod kierownictwa kościelnej hierarchii, objawiać się dziś zwykło dość często i dość powszechnie z większą jeszcze siłą i naciskiem. Łatwo to sobie wytłumaczyć. W sprawach religijnych i kościelnych katolik zupełnie poddać się musi władzy duchownej: stąd naturalnym odruchem tem silniej pragnie autonomii i samodzielności w sprawach świeckich i mimowoli odnosi się z niechęcią i oporem do kierownictwa kościelnego w organizacyach niekościelnych. Z tego rodzaju nastrojem umysłów bez wątpienia liczyć się trzeba; ignorowanie go szkodzi akcyi katolickiej niepomiernie, odsuwając od niej z góry najdzielniejszych nieraz, właśnie może dlatego że niezależnych, współpracowników. Są jednak i inne względy przemawiające niemniej silnie za naszem zdaniem. Podporządkowanie bądź co bądź świeckich organizacyi pod kierownictwo hierarchiczne, tworzy już samo przez się niebezpieczeństwo niemałe tak dla sprawy religijnej jak dla rozwoju społecznej akcyi katolickiej. Jeżeli biskupi czy bezpośrednio czy pośrednio całą tą akcyą kierują, biorą za nią wobec opinii publicznej odpowiedzialność całą powagą swego urzędu. Akcya odnośna uchodzi za przedsięwzięcie czysto kościelne. Wszystkie więc jej błędy i braki, wszystkie niepowodzenia i niedomagania imputuje się władzy kościelnej. Gdy akcya żadnych nie czyni postępów, gdy mało albo nic nie osiąga lub całkiem nawet okaże się nieżywotną i spełznie na niczem, łatwo powstaje mniemanie, jakoby winę tego ponosił Kościół, jego nauka i władza, jakoby Kościół katolicki nie miał w sobie sił dość już żywotnych, aby odrodzić społeczeństwo. Jest to naturalnie zapatrywanie fałszywe; ale łatwo powstaje i przyjmuje się w najszerszych kołach a może najbardziej nawet wśród intelligencyi. Trudno przekonać o jego fałszywości. Bo niewielu jest takich, którzyby umieli przeprowa-

dzić w swym umyśle różnicę i jasną linię graniczną między tem, co w pracy społecznej biskupów i duchowieństwa jest istotnie katolickiem, a więc Bożem, nieomylnem i niezawodnem, a tem, co jest tylko ludzkiem a zatem i ludzkim słabościom i omyłkom podległem. Jak bardzo wskutek tego pomieszania pojęć cierpi wiara i miłość względem Kościoła, jak maleje zaufanie do władzy kościelnej, każdy sobie łatwo pomyśleć może.

Dla samego też rozwoju społecznej akcyi katolickiej, jak zaznaczyliśmy wyżej, bezwzględna zależność jej od kierownictwa biskupów wprost nieraz zgubną stać się może. Aby akcya społeczno-katolicka i wogóle wszelka organizacya, obejmująca cały kraj i zależna od hierarchii duchownej mogła skutecznie działać, konieczna jest jedność między wszystkimi biskupami całego kraju. Ponieważ zaś przy akcyi takiej chodzi nie o sprawy religijne, kościelne, ale o sprawy przeważnie doczesne, świeckie, łatwo stać się może, że nie będzie takiej jedności między biskupami. Kwestya jedności zawisła przecie od całego szeregu poglądów i zapatrywań pod względem czy to politycznym, czy społecznym, czy naukowym, czy wreszcie też pod względem samej taktyki czyli sposobu postępowania. Poglądy te niekoniecznie muszą być tymi samymi u wszystkich biskupów. Każdy widzi, jakie stąd musi wyniknąć niebezpieczeństwo rozłamu akcyi katolickiej, a nawet całkowitego jej rozbicia. Jaskrawy przykład mamy we Włoszech. Jest tam więcej niż 280 biskupów dyecezyalnych. Niepodobna, żeby w tej wielkiej liczbie panowały te same poglądy na życie i sprawy społeczne, na społeczną akcyę katolików, na kierunek jej i sposoby przeprowadzenia. I rzeczywiście często już zdarzało się, w ostatnich zwłaszcza latach, że jedna i ta sama akcya, którą polecał biskup w jednej dyecezyi, zakazywaną i potępianą bywała przez biskupa dyecezyi sąsiedniej. Tak, żeby wspomnieć o jednym tylko powodzie przykrych a głośnych sporów: jedni z biskupów popierali gorąco kierunek t. zw. demokratyczno-chrześcijański, drudzy go ostro zwalczali. Bywało i to, że gazeta katolicka, aprobowana przez biskupa jednej dyecezyi, spotykała się z zakazem drugiego.

Nawet akcya niemieckich katolików daje nam przykład bardzo przykry takiej zgubnej dla pracy społecznej niejedności

między biskupami. Jak wiadomo, większa część biskupów z kardynałem Fischerem, arcybiskupem kolońskim na czele, oświadczyła się za tem, że robotnicy katoliccy dla celów ściśle ekonomicznych mogą i powinni się organizować wspólnie z robotnikami innych wyznań chrześcijańskich w t. zw. chrześcijańskich związkach zawodowych, zupełnie niezależnych od władzy kościelnej. Inni znowu biskupi, szczególnie biskup trewirski, Korum, uważali i dotąd uważają taką organizacyę międzywyznaniową za niebezpieczną. Żądają więc, żeby robotnicy katoliccy dla celów ekonomicznych w łonie katolickich towarzystw robotniczych, stojących pod bezpośredniem kierownictwem duchowieństwa parafii t. zw. oddziały fachowe *(Fachabteilungen)*, a tem samem zawodowe organizacye zależałyby tak samo jak związki robotnicze bezpośrednio od władzy biskupiej. Z powodu tych przeciwnych zapatrywań powstał głęboki rozłam w obozie katolików niemieckich i przyszło do namiętnej, dzisiaj jeszcze trwającej walki między zwolennikami jednego i drugiego kierunku. W spór ten, który przybiera często wprost niechrześcijańskie formy, wciągano samą nawet Stolicę świętą. Że wskutek tej niejedności episkopatu sprawa organizacyi robotników w wysokim stopniu cierpi, że w szeregach robotników katolickich powstaje wielkie zamieszanie pojęć, z którego socyaliści korzystają, że szerzy się rozgoryczenie przeciwko jednym i drugim biskupom i traci się zaufanie do organizacyi chrześcijańskich i do władzy kościelnej, rozumie się samo przez się.

Tym i podobnym niebezpieczeństwom wynikającym z różności zapatrywań biskupów, pragnących każdy w swej dyecezyi kierować nieograniczenie całą społeczną akcyą katolików, zaradzić można przez niewcielenie tej akcyi w organizacyę hierarchiczną i pozostawienie jej całkowitej swobody pod względem kierownictwa. Aby taka akcya nie weszła na bezdroża pod względem religijnym, nie przejęła się duchem przeciwnym zasadom chrześcijańskim, dla zapobieżenia takiemu niebezpieczeństwu, wystarczą zupełnie zwyczajne środki, przysługujące władzy i nauczycielstwu kościelnemu. Przytem żądania niezależności społecznej akcyi katolickiej od kierownictwa duchowieństwa wcale nie jest identycznem z usuwaniem wpływu duchowieństwa na katolickie związki

i trzymaniem go z dala od takich organizacyi. Przeciwnie w wysokim stopniu jest pożądanem, owszem jest nawet koniecznem, żeby duchowieństwo najżywszy udział brało w każdej tego rodzaju akcyi. Z samej zresztą natury rzeczy przypaść mu musi najważniejsze pole w tych organizacyach, wszędzie prawie na kierunek ich działalności wywierać będzie największy wpływ i prawie regularnie wskutek wolnego wyboru i pełności zaufania członków samo nawet kierownictwo dostanie się w jego ręce. Nieraz będzie rzeczą roztropności i taktyki, nawet takiego dobrowolnie księdzu ofiarowanego kierownictwa nie przyjąć, zadawalniając się np. miejscem na równych z innymi prawach członka wydziału; zresztą czy kierownictwo naczelne piastować będzie ksiądz czy nie ksiądz, zawsze życzyć należy, żeby jak najwięcej świeckich elementów należało do zarządu. Wogóle trzeba mieć pełne zaufanie do katolików świeckich chcących szczerze pracować w organizacyach chrześcijańskich dla sprawy religii i dobra społecznego. Można być pewnym i przyjąć to za regułę, której nie obalą ale tylko potwierdzą nieliczne jakieś wyjątki, że zarządy świeckie związków bez poprzedniego porozumienia się z władzą kościelną nigdy nie odważą się uchwalić i przedsięwziąć jakiejkolwiek sprawy, mającej styczność z religią. Tem więcej boleć to ich musi i zniechęcać do pracy, jeżeli mają uczucie, jakoby władza kościelna zawsze się obawiała z ich strony kroków nieodpowiadających zasadom i przepisom religii.

Że akcya katolicka bez zależności hierarchicznej od władzy kościelnej świetnie się udać może, tego znowu nas uczą katolicy niemieccy. Z licznych organizacyi, z których składa się ich akcya, żadna — o ile nie ma zadań ściśle religijnych — nie stoi pod kierownictwem czy to bezpośredniem czy pośredniem episkopatu; w żadnej zarząd albo prezes nie bywa mianowanym przez biskupów, ale wychodzi z wolnego wyboru członków. Mimo tej niezależności śmiało można powiedzieć, że nigdzie akcya katolicka nie jest tak zdrową, duchem katolickim tak przejętą, jak właśnie w Niemczech, nigdzie też może silniej i głębiej, jak tam nie oddziaływują biskupi i wogóle duchowieństwo na całą działalność i życie publiczne katolików.

Nie chcemy tego wprost twierdzić, chociaż to nie byłoby tak dalekiem od rzeczywistości, że akcya katolików niemieckich tej właśnie autonomicznej organizacyi zawdzięcza wspaniały swój rozwój. Zato nie obawiamy się utrzymywać z całą stanowczością, że niepowodzenia akcyi włoskich katolików stoją w przyczynowym związku z nadmierną tejże akcyi centralizacyą i zależnością hierarchiczną od biskupów. Zarząd starej organizacyi włoskich katolików t. zw. *Opera dei Congressi,* był wytworem nadzwyczaj skomplikowanym i sztucznym. Każda z pięciu jej sekcyi miała osobny zarząd, na czele całej organizacyi stał znowu nowy zarząd, a nad zarządem jako główny kierownik prezydent mianowany przez papieża. Oprócz tego każda dyecezya miała swój własny zarząd, a w każdej dyecezyi — a jest ich więcej jak 280! — akcya zależała znowu zupełnie od biskupa, wreszcie nad wszystkimi tymi zarządami stał sam papież, od którego ostatecznie wszystko zależało. Mimo tej centralizacyi i zależności od władzy kościelnej — albo może raczej właśnie wskutek niej — w obozie katolików włoskich a nawet w samych tych różnych zarządach toczyły się zacięte walki; kongresy zwoływane przez *Opera dei Congressi*, mimo obecności na nich biskupów, równały się nieraz kongresom socyalistów niemieckich. Wygłaszano mowy, pisano artykuły, wydawano pisma, które biskupi potępiali. Doszło do tego, że sam prezydent mianowany przez papieża, hr. Grosoli, stanął w swej działalności w przeciwieństwie do Ojca św. i musiał ustąpić. Akcya się rozbiła.

I znowu, niestety, niebawem mająca powstać akcya nie rokuje świetniejszego powodzenia. W swej encyklice do włoskich katolików *Il fermo proposito,* Pius X proponował prostą organizacyę na wzór niemieckiego *Volksvereinu.* Mimo to organizatorowie całej akcyi — fakt to zdaje się pewny choć niezrozumiały — przeistoczyli dziwnie jakoś myśl papieża i chcą tworzyć znowu organizacyę sztuczną i zawiłą z całą masą paragrafów i tendencyą do wielkiej centralizacyi, któraby objąć miała cały katolicki ruch włoski w religijnej, społecznej i politycznej dziedzinie. Znowu tworzy się cały szereg ociężałych zarządów, znowu cała akcya ma być pozbawioną zupełnie autonomii i podlegać jak najściślej

biskupom dyecezyalnym. Stąd też już dziś, choć nowe dzieło nie zostało nawet jeszcze powołane do życia, podnoszą się silne głosy opozycyi w szerokich kołach. Za główny błąd uważa się właśnie tę nadzwyczaj szkodliwą centralizacyę i nadmierne podporządkowanie pod władzę hierarchiczną, a więc te same błędy, które w pierwszym może rzędzie przyczyniły się do rozbicia dawniejszej *Opera dei Congressi.*

Jeżeli więc chcemy, żeby powstała u nas zdrowa akcya społeczno-katolicka, chrońmy się od tych błędów i trzymajmy się wzoru tak świetnego akcyi katolików niemieckich.

Dajmy naszej akcyi organizacyę autonomiczną.

Łatwo zrozumieć z dotychczasowych wywodów naszych, dlaczego też nie uważamy za pożądane łączenie zadań ściśle religijnych z zadaniami społecznemi i wogóle niereligijnemi w jednym programie. Pomijając to, że taki program grzeszy przeciwko zasadzie podziału pracy, organizacya mająca go wykonać z tytułu zadań religijnych musiałaby podlegać władzy kościelnej, z tytułu zaś zadań świeckich powinnaby być niezależną. Wnosi się więc pierwiastek sprzeczny w taką organizacyę paraliżujący jej działalność. Może nawet tu i owdzie obudzić się podejrzenie, jakoby tylko dlatego organizacyi wyznaczono pewne zadania religijne, by tem łatwiej mieć powód do całkowitego jej poddania pod władzę kościelną.

III.

Program akcyi katolicko-społecznej powinien być pozytywny, nie negatywny wyłącznie i wzywać do praktycznej i realnej pracy, nie ograniczając się tylko na szerzeniu ogólnych i mało uchwytnych, choć idealnych haseł. To trzeci i ostatni warunek zdrowej akcyi katolicko-społecznej, na który wskazać chcemy.

Kiedy się czyta niektóre odezwy, nawołujące do założenia organizacyi katolickich, kiedy się słyszy pewne mowy uzasadniające ich konieczność, kiedy się śledzi działalność niejednej już istniejącej organizacyi, odnosi się raz po raz wrażenie, jakoby głównym, nieomal jedynym celem każdej organizacyi katolicko-

społecznej miała być walka przeciwko socyalnej demokracyi. Raz się to w owych mowach i odezwach całkiem wyraźnie zaznacza, innym znów razem, wynika to niedwuznacznie z całej ich treści i tonu. Cele pozytywne, praktyczne, dosyć się ignoruje, usuwa się je bardzo często na drugi plan, jako coś dodatkowego, jako rzecz, która sama przez się nie powinnaby właściwie wchodzić w zakres zadań organizacyi, ale bierze się ją w rachubę jedynie dlatego, że może być środkiem do skuteczniejszego osiągnięcia głównego zadania, mianowicie zwalczenia socyalnej demokracyi. Po przeczytaniu takich deklaracyi ma się pojęcie, że gdyby nie było socyalizmu, akcya też katolicko-społeczna byłaby zbyteczną. Nie wątpimy, że działacze społeczni głębiej wnikający w istotę rzeczy, poglądu tego oczywiście nie podzielają, ale uznając rażące i wielkie niedostatki dzisiejszych stosunków społecznych, p o z y t y w n i e chcą pracować dla ich usunięcia i dla podniesienia kulturalnego narodu a szczególnie najbardziej upośledzonych warstw społeczeństwa. Ale, niestety, zdaje się przeważać jeszcze liczba tych, którzy społeczną reformę o tyle tylko uważają za swe zadanie, o ile ona przyczynić się może do osłabienia dążeń socyalistycznych. W takiem pojęciu program akcyi katolicko-społecznej z natury rzeczy stać się musi zupełnie negatywnym: głównym jej celem — walka przeciwko socyalizmowi.

Takie negatywne określenie zadań katolickiej akcyi społecznej, jest naszem zdaniem, szkodliwem dla jej rozwoju i — choć to wyglądać może na paradoks — szkodzi samemu nawet zwalczaniu socyalizmu. Oto kilka dowodów.

Akcya, mająca za główny cel walkę przeciwko dążeniom socyalistycznym, częstokroć nie wywołuje zapału, owszem budzi niezaufanie i podejrzliwość w tych właśnie kołach, o których pozyskanie najwięcej chodzi, to jest warstw robotniczych. Akcya taka łatwo im się przedstawia z jednej strony jako przedsięwzięcie podjęte w obronie praw, majątku i uprzywilejowanego stanowiska tych warstw, które przedewszystkiem zwalcza socyalizm, a które może najbardziej akcyę odnośną popierają, z drugiej zaś strony jako przeszkoda do przeprowadzenia tych uprawnionych wymagań, których rzecznikami są bądź co bądź socyaliści.

Naturalnie socyaliści przyłożą wszelkich starań, aby właśnie w takiem świetle przedstawić całą akcyę i zniechęcić do niej szerokie koła. Wszelkie usiłowania przeciwko takiemu pojmowaniu akcyi są w znacznej mierze daremne, dopóki za pierwsze zadanie katolickiej akcyi uważać się będzie walkę przeciwko socyalnej demokracyi.

A choćby robotnicy takich podejrzeń względem akcyi katolickiej nie mieli, każdy prawie z nich pytać się będzie: Jakie korzyści realne przyniesie mi ten nowy związek? Co uzyskam w zamian za mój udział i wkładkę? Zapewnieniem, że przyczyni się do osłabienia socyalizmu, dzisiejszy robotnik w przeważnej większości nie zadowoli się. On się domaga od organizacyi, do której należy, namacalnych korzyści, jakie mu dają niezaprzeczenie np. związki zawodowe kierowane przez socyalistów.

Walka zresztą przeciwko socyalizmowi, choćby i starczyła pewnym sferom i kołom za dostateczną do podjęcia pracy społecznej pobudkę, nie będzie nawet wówczas pobudką, jakby należało, uniwersalną, ani dość silną, aby wszystkie sfery społeczne poruszyć. Można być pewnym, że tam, gdzie dotąd nie zapuściła korzeni partya socyalistyczna, albo gdzie tylko mały ma wpływ, akcyę taką uważać się będzie za niepotrzebną. Nie trzeba się pod tym względem łudzić. Nawet w Niemczech, gdzie tak olbrzymią urządza się agitacyę na korzyść katolickiej akcyi społecznej, spotyka się jeszcze bardzo wielu proboszczów i kapłanów — nie mówiąc wcale o obywatelstwie świeckiem i intelligencyi — którzy mimo największego nacisku wywieranego z różnych stron, ani sami żadnej organizacyi u siebie nie chcą zakładać, ani nie dopuszczają, aby inni mogli swobodnie u nich tworzyć np. związki robotnicze, związki zawodowe, filie *Volksvereinu*. A czynią to jedynie dlatego, że w parafii niema socyalistów i — jak silnie w swym optymiźmie wierzą — nigdy oni wstępu nie znajdą; bo lud, tak sądzą, oddany jest wierze i Kościołowi. I ze swego stanowiska mają poniekąd słuszność, bo jeżeli akcya katolicko-społeczna ma istotnie za cel główny zwalczanie socyalizmu, oczywiście nie jest potrzebną tam, gdzie socyalizmu niema. Tak samo

akcya taka nie ma już więcej racyi bytu, skoro partya socyalistyczna w pewnej miejscowości czy okolicy straci swój wpływ.

Tej nadziei w szerszych przynajmniej rozmiarach, wcale niestety żywić dziś nie można. Przeciwnie należy się obawiać, że siła socyalizmu stanie się jeszcze większą. I stąd właśnie nowe się rodzi niebezpieczeństwo dla rozwoju akcyi katolickiej, stawiającej sobie za cel główny zwalczanie socyalizmu. Jeżeli bowiem mimo największych wysiłków, mimo najgorliwszej agitacyi przeciwko temu prądowi przewrotowemu, żadnych się nie osiąga rezultatów, a może nawet traci się coraz więcej terenu, wówczas w łonie takiej przeciwsocyalistycznej organizacyi nastąpić musi upadek ducha, rozczarowanie i zniechęcenie, które paraliżują dalszą działalność, a ostatecznie wyrobić nawet mogą przekonanie, że każda wogóle walka z socyalizmem jest daremną. Nic tak nie osłabia zapału i energii jak brak oczekiwanego rezultatu, jak brak nawet samej jego nadziei. Skoro zaś zadanie akcyi jest pozytywnem, praktycznem, rezultatów w całości nigdy zabraknąć nie może. Każdy osiągnięty rezultat stanie się znów pobudką do dalszej pracy, stanie się najefektowniejszą reklamą organizacyi.

Niewiele to pomoże do usunięcia pomienionych powyżej niebezpieczeństw i braków akcyi katolickiej, jeżeli wyznacza się jej wprawdzie pewne praktyczne i pozytywne cele, ale jakby dodatkowo tylko i drugorzędnie t. j. o tyle o ile mogą służyć za środek do głównego negatywnego celu t. j. walki z socyalizmem. Działalność tak pomyślanej organizacyi, będzie wprawdzie miała pewne realne skutki, ale o ile się ich szukać będzie nie dla samych siebie, nie dla ich własnego dobra, lecz jedynie jako środek walki, cała akcya nie będzie ani dosyć szczerą, ani też płodną, tak jak być powinna. Nie będzie się szukać ani czynić tego, co samo przez się byłoby najbardziej pożądanem, ale to co wrogowi najwięcej szkodzić może. Stąd odnosi się może chwilowe skutki, chwilowe zwycięstwa, ale nie osiągnie się nic stałego, trwałego.

A choćby się i udało takiej akcyi — *dato non concesso* — wykorzenić zupełnie z danego społeczeństwa socyalną demokracyę, czy to jest cel, którym katolicka akcya społeczna może się

zadowolnić? Kto tak myśli ten nie rozumie, co to jest katolicka akcya społeczna, ten nie wie, że akcya katolicka w swej najgłębszej istocie, to akcya kulturalna w najlepszem tego słowa znaczeniu, że to praca nad podniesieniem ludu pod względem zarówno religijnym, jak politycznym, społecznym i gospodarczym, a więc akcya jak najbardziej pozytywna. Akcya katolicko-społeczna byłaby tak samo jak dziś konieczną, choćby ani jednego socyalisty nie było. O tem trzeba się przekonać, tą prawdą się przejąć. Trzeba uznać, że niezależnie od socyalizmu istnieją w dzisiejszem społeczeństwie wielkie braki, wielkie, nawet krzyczące potrzeby, że społeczeństwu jeszcze daleko do tego, aby mogło się nazwać prawdziwie odrodzonem w Chrystusie. Jeżeli katolicką akcyę społeczną tak się pojmuje, jeżeli wedle takiego pozytywnego programu, działalność katolików się rozwija, wtedy dopiero akcya stanie się tem, czem być powinna. Wtedy też i socyalizm zwyciężony ulegnie, straciwszy grunt pod nogami, z którego wyrósł i czerpie ciągle siły.

Równie prawie ujemnie jak cel negatywny opisany powyżej, oddziaływują na rozwój i działalność społecznych organizacyi, pewne ogólne hasła, bez których, zdaje się, tak u nas, jak i gdzieindziej, nie może się obejść żaden program. Zdanie nasze może się wydać w pewnych kołach czemś, w rodzaju narodowej herezyi, mimo tego uważając je za całkiem słuszne i samym nawet narodowym celom pomocne, nie obawiamy się go wypowiedzieć z całą prostotą i otwartością: Nie jest wcale koniecznem, owszem może być szkodliwem, jeżeli w programie każdej organizacyi się zaznacza, że ona ma do spełnienia zadanie narodowe. Takie powiedzenie może mieć dwa znaczenia, albo chce się zaznaczyć, że związek odnośny, wykonując swe właściwe, społeczne powiedzmy czy gospodarcze zadania, służy tem samem jako jedno koło w maszynie, ogólnej, wielkiej sprawie narodowej; albo — co częściej bywa — żąda się od związku, aby oprócz właściwych sobie, społecznych czy gospodarczych zadań, które jego istotę stanowią, spełniał nadto czy to regularnie, czy przygodnie w razie potrzeby pewne ścisłe narodowe funkcye. Drugi ten wypadek

miałby miejsce, gdyby, dajmy na to, polskiemu »Związkowi wzajemnej pomocy« dla chrześcijańskich robotników górnośląskich w Bytomiu, mającemu charakter ściśle zawodowy, ekonomiczny, polecono jako takiemu agitacyę w czasie wyborów za kandydatem narodowym — albo gdyby poznańskim Kółkom rolniczym kazano po całym kraju urządzać wiece, celem wywołania masowego protestu przeciwko rządowi znoszącemu resztki języka polskiego po szkołach elementarnych — albo gdyby galicyjskich Kółek rolniczych użyć chciano jako takich do walki przeciw projektowi reformy wyborczej.

Jeżeli jest mowa o służeniu celom narodowym w pierwszym tylko z dwóch wspomnianych sposobów, nic zgoła temu zarzucić nie można, owszem nie ulega kwestyi, że każda polska organizacya w tym kierunku działać powinna. Ale właśnie dlatego, podkreślanie tak pojętych narodowych obowiązków jest zbytecznem. Ono się przecież samo przez się rozumie. Jeżeli zaś pojmuje się rzecz w drugiem znaczeniu, stwarza się dla owych społecznych czy gospodarczych organizacyi niemałe naprawdę niebezpieczeństwo. Bo nasamprzód takie połączenie zadań społecznych czy gospodarczych z odrębnemi jeszcze narodowemi zadaniami, sprzeciwia się zasadzie koniecznego podziału pracy. A sprzeczność w tym wypadku jest o tyle jeszcze zgubniejszą, że zadania ściśle narodowe z natury swej bez porównania więcej zajmują wszystkich i podniecają, aniżeli zadania np. ekonomiczne; stąd stać się może, że dla pracy w kierunku ściśle narodowym organizacya zaniedbała właściwych sobie zadań, ku wielkiej szkodzie tak swojej własnej jak i całego społeczeństwa.

Ponadto wciąganie zadań narodowych w program organizacyi społecznych, czy gospodarczych, czy też religijnych wnosi w ich łono ferment i pierwiastek rozkładu. Wprawdzie biorąc rzecz teoretycznie, pojęcie narodowości i zadań narodowych jest mniej więcej takie same u wszystkich, ale praktycznie i w życiu realnem te pojęcia przybierają pewne konkretne kształty, bardzo nieraz różne i nawet sprzeczne, stosownie do zapatrywań i poglądów jednostek. U jednych narodowość i jej postulaty identy-

fikować się będą z tym lub owym typem konserwatyzmu, u innych z demokracyą obfitującą w większe jeszcze odmiany, u innych jeszcze z wszechpolskością czy jakimś liberalizmem i t. d. i t. d. Łatwo pojąć, do jakich sporów i starć da się okazyę, jeżeli organizacyi społecznej, ekonomicznej, skupiającej w sobie od klasycznego konserwatyzmu aż do najczerwieńszej może demokracyi wszystkie odcienia, każe się służyć czysto narodowym zadaniom. Jedni oczywiście żądać będą, żeby cała działalność organizacyi potoczyła się torem konserwatywnym, inni ten postulat zwalczać będą i żądać akcyi jakiejś wszechpolskiej i demokratycznej i t. d. Akcya związku będzie raz po raz zwichrzaną w wysokim nawet stopniu, a wreszcie najprawdopodobniej rozbitą. Tak, nie inaczej, bywało swego czasu we Włoszech, gdy w łonie *Opera dei Congressi* ścierać się zaczęły w bardzo nieraz namiętnej walce dwa sobie wrogie, a i gdzieindziej niestety dobrze znane wśród katolików kierunki, konserwatyzm i demokracya chrześcijańska.

Jeszcze jedna uwaga. Zbyteczne akcentowanie narodowych zadań organizacyi, łatwo daje powód słabszym przynajmniej charakterom do zastąpienia rzetelnej, gruntownej pracy, łatwą i tanią frazeologią patryotyczną. Jest niebezpieczeństwo, że działalność takich organizacyi ograniczy się do urządzania wieców patryotycznych, do wygłaszania gorących mów podniecających chwilowo ale żadnego nie przynoszących rezultatu realnego. Co więcej, zapał i uniesienie tego rodzaju hasłami i przemowami patryotycznemi wywołane, nieraz istotnie jak wielka łuna olśniewająca, wprowadza w błąd bardzo fatalny tak uczestników tego zapału, jak i społeczeństwo z daleka nań patrzące. Po jednej i po drugiej stronie wywołuje wrażenie, że dzieje się coś wielkiego, że masy ludowe wielkiemi i dodatniemi hasłami zupełnie są przesiąknięte i zupełnie dla katolickiego programu zdobyte. Pierwsze dopiero przesilenie większych rozmiarów, pierwsza walka czy burza, do której odparcia nie mów, nie pochodów i demonstracyi, ale czynów, wysiłków i ofiar realnych potrzeba, złudzenie to rozbija. Świeży tego a smutny przykład dała światu katolicka Francya przy ostatnich wyborach.

Nie możemy się tu wstrzymać od zacytowania kilku trafnych przestróg i wskazówek umieszczonych w »Podręczniku dla przyjaciół i zwolenników niemieckiego *Volksvereinu*«. »Samemi mowami — czytamy tam — o prawdach religii chrześcijańskiej, a bezbożności socyalnej demokracyi, o wielkiej doniosłości ogólnych chrześcijańsko-społecznych zasad sprawiedliwości i miłości bliźniego, ten mniej samemi wspomnieniami o »walce kulturnej«, które wprawdzie wywołują powszechny, ale pod względem socyalnym niepłodny zapał — nie wychowamy nigdy naszego ludu do praktycznej socyalnej pracy. My musimy temu ludowi dać zrozumienie i przeświadczenie, że związek ludowy może i chce mu być pożytecznym także na polu gospodarczem i społecznem i że tem więcej do tego zdolnym będzie, im liczniej i gorliwiej lud katolicki przyczynić się zechce do urzeczywistnienia Związkowego programu praktyczno-społecznego«.

Jest chyba zbytecznem, wyraźnie się tu zastrzegać, że żądając wykluczenia zadań ściśle narodowych i politycznych z programu organizacyi społecznych, bynajmniej przez to pracy narodowej czy narodowo-politycznej nie potępiamy, ani jej osłabiać nie chcemy. Przeciwnie właśnie dlatego, że tę pracę uważamy za niezmiernie ważną, wprost nawet konieczną w dzisiejszych zwłaszcza czasach i w naszem specyalnie położeniu, że tej pracy życzymy jak najlepszego rozwoju, jak najobfitszych skutków, żądamy, aby nie zajmowały się nią niewłaściwie i doraźnie organizacye mające już inne zadania; żądamy, żeby narodową pracą podzielały się i w całej rozciągłości ją objęły osobne polityczne i narodowe organizacye wyłącznie tym sprawom oddane. W ten sposób najlepiej osiągnąć można cele narodowe, nie paraliżując przytem katolickiej działalności gospodarczej i społecznej. Zresztą, jakeśmy już zaznaczyli i na nowo podkreślamy z całym naciskiem, wszelka pozytywna praca nad podniesieniem kulturalnem pod jakimkolwiek względem narodu jest sama przez się zasługą wobec narodu, jest pracą narodową w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Nie tylko my sami, ale i uczeni niemieccy z szacunkiem a nawet zdumieniem wyrażają się o tak dziś doniosłej dla narodowych celów sile ekonomicznej Księstwa Poznańskiego,

opartej o drobne, cicho i prawie w ukryciu działające banki i spółki, z których jak wiadomo absolutnie wykluczoną była wszelka inna akcya oprócz ściśle ekonomicznej.

Dr. Teodor Rzymski.

Za śmiałość, z jaką młody słuchacz teologii wchodzę w sferę tak ważnych pytań, zagadnień omawianych przez takie powagi — usilnie przepraszam. Myśl jednak, która płynie z głębi młodego serca, nie dawała mi od dłuższego czasu spokoju, tak że wkońcu zdecydowałem się — podzielić się nią z ludźmi dobrej woli.

Krótko sprawę poruszę.

Nikt nie zaprzeczy, że wśród innych ważnych pytań, głośna dziś kwestya polsko-ruska należy do najbardziej piekących kwestyi, oczekujących chyba li tylko ze strony Kościoła katolickiego rozumnego rozwiązania.

Kwestyę zowię piekącą, bo już tyle przysporzyła nieszczęść, że naprawdę trzeba być chyba kamieniem, aby obojętnem okiem na to spoglądać. Jest dalej ważną, gdyż od jej załatwienia zawisła dola obydwóch narodów. Lecz kwestya ta jest jeszcze i bardzo drażliwa. Dlatego, zdaje mi się, tak trudno do niej przystąpić, tak przykro o niej nawet wspominać.

Ale dla uczniów Chrystusa nie jest, względnie nie powinno to być żadną przeszkodą do działania na tej niwie. Gdyż inaczej Samarytanka nie poznałaby prawdziwego Mesyasza, inaczej wdowy greckie zamarłyby z głodu. To też już na pierwszym soborze apost. sprawa niesnasek, niezgód narodowościowych była z takim cudownym skutkiem rozstrzygniętą. A mądre to i boskie rozstrzygnięcie niech i nam przyświeca. W Królestwie Chrystusa P. są wszelkie narody — i Grek i Żyd i Scyt — i wolny i niewolnik i inni wszyscy — a jednak tak, jak gdyby ich nie było — bo nad nimi wszystkimi i w nich wszystkich jest jeden Chrystus, jest Jego miłość — ten węzeł, co wszystkich łączy, ta lawina, co zaciera, niweczy wszelkie różnice między nimi.

Tak rozstrzygnięto spór za czasów apostolskich.

Ta sama moc, siła, która kierowała dziełami Apostołów, mieszka w nas, jest ciągle z nami. Użyjmy jej.

A na początek radzę:

W miastach, gdzie są duchowne seminarya obu obrządków, niechaj przełożeni pomyślą nad tem, aby klerycy obydwóch narodowości, jak najczęściej ze sobą się stykali, łączyli w pracy, w planach. Wogóle łączność między nimi winna być taka, aby świat poznał, że są uczniami jednego Mistrza.

Przełożeni mogliby miewać wspólne konferencye w tym duchu miłości dla swoich wychowanków. Mowa na nich mogłaby być naprzemian raz polska, drugi raz ruska. Myślę, że możnaby się porozumieć. Tylko dobrej woli.

To jedno.

Drugi sposób. Wspólne narady duchowieństwa obu obrz., chociaż to musiałoby nastąpić dopiero później. Naprzód trzeba przygotować po temu drogę w seminaryach. Trudności się nie obawiać. Nie my sami tu będziemy działać, lecz łaska — moc Boża z nami!

Tyle —!

Może i to wyda się idealną zachcianką teologa. W każdym razie myślę, że i ta kwestya, i te sposoby lub jeszcze inne, godne są rozważnego zastanowienia, a więc powinny być poruszone w Ankiecie.

Michał Dorockyj,
teolog ruskiego duchownego seminaryum
w Przemyślu.

W obecnem położeniu naszem widnieje myśl jedna, której prawdziwość do głębi odczuwamy: Żyjemy znowu w chwili przełomowej, nader ważnej w dziejach naszych; od rozwoju i ukształtowania się stosunków, od kierunku, w jakim, w znacznej mierze za sprawą naszą potoczą się wypadki, zależy przyszłość narodu polskiego i związanego z nim w tych dzielnicach Kościoła katolickiego. Nie ulega też wątpliwości, że skutkiem upadku zamo-

żności w kraju, istnienia całego szeregu urządzeń niewłaściwych, a nawet wprost niesłusznych i niesprawiedliwych, tudzież częściowego już przynajmniej uświadomienia ludu i stanu robotniczego, skorzystano z obojętności lub niewłaściwego postępowania sfer intelligentnych i rozkołysano namiętności w kierunku nie zawsze pożądanym i do danych rzeczywistych warunków odpowiednio przystosowanym. Tu jednak nie pomogą żadne środki paliatywne ani wołania o pomoc rządu; praca musi wyjść od samego społeczeństwa, budowę wzmocnić należy z wewnątrz, zwłaszcza, że stanowczo nie mogę zgodzić się z tymi, którzy upadek nasz widzą w zbyt czarnych barwach. Tam, gdzie lud nie brał jeszcze udziału w pracy poza swoim zagonem, gdzie lud budzi się dopiero do życia, tam nie może być mowy o zupełnym upadku, bo jest jeszcze dużo sił, po największej części zdrowych moralnie, jest jeszcze dużo niezużytkowanego kapitału, którym, wprowadzając go stopniowo w ruch, można zastępować siły zużyte. Istnieją też objawy, nakazujące dobrze wróżyć o przyszłości. Ciągłe nawoływania o poprawę stosunków ekonomicznych i hygienicznych, o reformę wychowania młodzieży, budzący się ruch antyalkoholiczny, powolny wzrost oświaty i nauk, wzmożenie się uczucia narodowego, a w literaturze szukanie nowych ideałów w miejsce zdyskredytowanego realizmu, — to fakta zbyt widoczne, abyśmy je ignorować mogli. Chodzi raczej o to, aby budzące się siły sprowadzić na właściwe tory, aby sprawy nie oddawać w zupełności w ręce czynników niepowołanych.

A zatem wytężona praca społeczno-narodowa, powinna być naszem najbliższem zadaniem, praca przytem szczerze demokratyczna, nie znająca żadnych różnic i klas uprzywilejowanych. A pod tym właśnie względem katolicy muszą zwrócić się do Kościoła katolickiego, zaufać jego niespożytej mocy i z nim rozpocząć wydatniejszą działalność. Muszą powrócić do dawnych pięknych tradycyi i tak szczytnych, boskich idei, jakiemi są miłość bliźniego i równość wobec Boga. Jak najmniej w tej sferze urzędniczego aparatu, a jak najwięcej działalności prawdziwie chrześcijańskiej, pełnej wyrozumiałości dla drugich, podbijającej wszystko i wszystkich miłością i potęgą słowa Bożego.

W wychowaniu młodzieży, tych bez zaprzeczenia przyszłych podwalin społeczeństwa, musimy prosić, by nie kładziono nacisku na mechaniczną naukę religii, ale na wpajanie prawdziwie etycznych zasad, na to serdeczne ciepło, wobec którego zmięknie i najtwardsza natura. W stosunkach zaś z ludźmi dojrzałymi chodzić będzie również o to samo, a także o uświadomienie sobie chwili bieżącej, o znajomości potrzeb i uczuć powierzonych sobie owieczek, — czego jednak osiągnąć nie można bez ustawicznej pracy nad swojem własnem wykształceniem. Tu też otwiera się pole najszczytniejszej działalności dla apostolskiej misyi Kościoła katolickiego. Objawi się ona we współdziałaniu ze sferami chętnemi, intelligentnemi, a w przodownictwie kapłanów ludowi, przy tworzeniu i podtrzymywaniu instytucyi, zdrowie jego moralne i fizyczne, tudzież dobrobyt mających na celu. Wtedy, wierzę, spełni się w całej pełni posłannictwo Słowa Bożego, wtedy o przyszłość będziemy mogli być spokojni, bo nawała nienawiści i osobistych namiętności skruszy się o opokę Chrystusowej miłości bliźniego, a zarazem co z tego płynie, o opokę zadowolenia, jakie daje dobrobyt i przeświadczenie o wartości i potędze własnych sił fizycznych i moralnych.

Dr. Korneli Heck.

Wiele pisze się i mówi o małoletnich przestępcach w wielkich miastach, a mało kto zwróci uwagę na ową dosyć liczną, biedną, opuszczoną i zaniedbaną młodzież wiosek naszych; na ową służbę małoletnią, sieroty bez ojca i matki, istoty upośledzone od natury. I one również dopuszczają się nieraz wielkich wykroczeń. Ogół o tem nie wie, bo bywają zaraz na miejscu sądem doraźnym surowo karane.

Pomimo, że prawie w każdej wiosce jest szkoła i przymus szkolny bywa przeprowadzany, dzieci o których mowa, zwykle do szkoły nie uczęszczają.

Należy więc wyszukać takie istoty zaniedbane i sprowadzić do szkoły, przynajmniej na naukę religii.

Ksiądz, który chce to przeprowadzić, napotyka wiele trudności ze strony samej dziatwy, ze strony szkoły i chlebodawców.

Dzieci tego rodzaju są dzikie, nieoswojone, lękają się nieraz księdza i boją się go, potrzeba wielkiego taktu, miłości i wyrozumiałości, aby je sobie nie zrazić, aby je pozyskać, wydostać z ukrycia i zachęcić do pilnego uczęszczania na naukę religii do szkoły.

Wyszukać je może katecheta podczas wizytacyi parafii, zwanej kolendą i ponotować sobie; dzieci szkolne również chętnie podadzą księdzu nazwiska tych, którzy do szkoły nie uczęszczają, a do spowiedzi jeszcze nie były.

Druga trudność ze strony szkoły. Ustawy szkolne zabraniają sprowadzać na naukę osoby nie należące do szkoły i nie zapisane na naukę. Zwykle katecheta ma na tyle powagi, że mu się nauczyciel nie sprzeciwi, gdy sprowadza na naukę do szkoły dzieci nie zapisane. Znam jednak i przeciwne wypadki.

Wreszcie gospodarze, chlebodawcy bardzo niechętnie uwalniają od pracy służbę małoletnią w dniu powszednim, w którym odbywa się nauka religii w szkole. Musi nieraz ksiądz nawet surowo wystąpić i zniewalać opornych a niesumiennych do posyłania służby swej na katechizm, chociażby to wypadło i na dzień powszedni.

Rola księdza w tym wypadku to tylko jedna część sprawy a ile jeszcze innych szczegółów wchodzi tu w grę.

Na tę jedną sprawę chciałem zwrócić uwagę ogółu. Zaczyna się w sprawie małoletnich akcya po miastach, chciałbym więc, żeby nie przeoczono i wsi.

Ks. Józef Olszowiecki.

broszury podolskie, napisane niedołężnym i niezrozumiałym językiem, nie sprawią nikomu wielkiej szkody. Tegoż zdania jest i większość duchowieństwa prawosławnego, które na zjeździe dyecezyalnym w Kamieńcu zgodziło się wprawdzie uchwalić *subsidium* na antykatolickie wydawnictwa, ale pod warunkiem, że zostanie zmienionym ich ton i polemika będzie prowadzoną bez obrażania prawdy. Na dowolne przeinaczanie i rozszerzanie formuł dogmatycznych w owych broszurach zwrócił uwagę i korespondent zacytowanego *Cerkiewnego Wiestnika.*

Szczególnem zacietrzewieniem przeciwko katolikom celuje *Poczajewskij Listok*, rozchodzący się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy i importowany nawet do wschodnich powiatów Galicyi. Wyższość prawosławia nad katolicyzmem udowadnia np. z tego, że głową Kościoła u prawosławnych Chrystus, a u katolików papież. Odpusty i Komunia pod jedną postacią, organy, sposób żegnania się i t. p. »dogmaty« katolickie figurują obok kwestyi o pochodzeniu Ducha św., o czyścu i t. p. Wydawnictwo to zrobiło odkrycie, że już apostołowie w kanonie 65-tym pod klątwą zakazali prawosławnym chodzić do katolickiego kościoła [1].

Katolicy nawet po ukazie tolerancyjnym nie mają prawa polemicznie występować przeciwko misyonarzom prawosławnym. W interesie jednak zarówno katolicyzmu, jak i szczerej woli prawosławnych, życzyć należy, aby duchowieństwo katolickie przynajmniej pozytywnie wyjaśniało ludowi prawdziwe znaczenie i podstawy napadanych nauk i praktyk naszego Kościoła. Cerkiew zaś urzędowa, zamiast niesmacznej polemiki w stylu odezw »czarnej sotni«, oby się wreszcie zdobyła na gruntowne, rzeczowe, bezstronne rozpatrzenie spornych punktów nauki chrześcijańskiej.

Ks. J. Urban.

---

[1] *Pocz. Listok*, 1905, Nr. 34, str. 4.

Druk ukończono 16 czerwca 1906 r.

SPIS RZECZY.

ANKIETA »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO«:

KWIECIEŃ.

	Str.		Str.
Książę A. Woroniecki	1*	Władysław Żeleński	86*
Prof. dr. J. Brzeziński	19*	Th. J. Wybicki	87*
Prof. dr. A. Miodoński	28*	Jan Mańkowski	90*
Prof. dr. A. Kalina	36*	A. Szyszkiewicz	91*
Prof. dr. J. Kallenbach	74*	W. Woysym-Antoniewicz . .	94*
Ks. Józef Londzin	77*	Dr. F. Koneczny	95*
Jacek Malczewski	80*	Ks. Leon Pastor	104*
Henryk Sienkiewicz	81*	Komitet wykonawczy »Polskiego centrum ludowego« . . .	105*
Julian Klaczko	84*		

MAJ.

Dr. W. Rubczyński	1*	Krakowskie Tow. Oświaty Ludowej	84*
Dr. Roman Zawiliński	3*	Związek c. k. urzędników pocztowych w Krakowie	85*
Ludwik Stasiak	5*	Związek katolickiej młodzieży robotniczej w Krakowie . .	89*
Ks. dr. A. Kopyciński	8*	Redakcya czasopisma »Prąd« w Warszawie	90*
Delegacya Stowarzyszeń Tercyarskich w Król. Polskiem . .	18*		
Polski związek niewiast katolickich w Krakowie	74*		
Tow. Przyjaciół młodzieży . .	78*		

CZERWIEC.

Cecylia Plater-Zyberkówna . .	1*	Michał Dorockyj, teolog rusk. duchownego seminar. w Przemyślu	52*
Prof dr. Leon Mańkowski . . .	18*	Dr. Korneli Heck	53*
Dr. Franciszek Bujak, Prefekt Sodalicyi męskiej w Krakowie	20*	Ks. Józef Olszowiecki	55*
Dr. Teodor Rzymski	24*		

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Z LISTOPADOWYCH ROZMYŚLAŃ I DOŚWIADCZEŃ. Przez *Ignotusa* 1 92

MIĘDZY SŁOWIANAMI: Z PODRÓŻY PO BUŁGARYI. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* 27

WARSZAWSKA FILOZOFIA NOWOKRYTYCZNA. Przez *ks. Stanisława Kobyłeckiego T. J.* 42

PROBLEM SOCYOLOGICZNY COMTE'A. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 81

W ARABII SKALISTEJ. Wrażenia z podróży roku 1905. Przez *ks. Władysława Szczepańskiego T. J.* 113

OKRES RZYMSKI W TWÓRCZOŚCI MICKIEWICZA. Przez *ks. Romualda Koppensa T. J.* 161

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ: LIBERALNY KATOLICYZM. (Dok.) Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 176

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z CZASOPISM POLSKICH W R. 1905: Wiadomości matematyczne. — Przyroda. — Kosmos. — Naokoło świata. — Lud. — Kwartalnik historyczny. — Przegląd historyczny. - Herold. — Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne. — Poradnik językowy. — Sztuka. — Poradnik graficzny. — Ekonomista. — Przegląd prawa i administracyi. — Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. — Muzeum. *(Dr. St. Zdziarski)* 53

Z NIWY POETYCKIEJ. II. 1. J. Żuławski: »Eros i Psyche«. 2. »Ijola«. Dramat z czasów średniowiecznych. *(Dr. Antoni Mazanowski)* . 129

Z CZASOPISM POLSKICH W R. 1905: Przegląd pedagogiczny. — Rodzina i szkoła. — Szkoła. — Miesięcznik pedagogiczny. — Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej. — Zdrowie. — Czasopismo lekarskie. — Przegląd hygieniczny. — Krytyka lekarska. — Biblioteka lekarska. — Świat płciowy. — Książka. — Przewodnik bibliograficzny. *(Dr. St. Zdziarski)* 157

Z NIWY POETYCKIEJ. III, 1. L. Staff: »Godiwa«. Dramat w trzech aktach. — 2. L. Staff: »Skarb«. Tragedya w trzech aktach. — 3. J. A. Herbaczewski: »Potępienie«. Tragedya duszy (cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). — 4. F. Płażek: »Elektra«. Tragedya. — 5. L. H. Morstin: »Na racławickiem błoniu«. Udramatyzowana pieśń. *(Dr. Antoni Mazanowski)*. 193

WRAŻENIA Z PODRÓŻY DO EGIPTU. Ks. dr. Stanisław Trzeciak. *(Ks. Wł. Szczepański T. J.)* 203

Z DZIEJÓW STOLICY ŚW. ZA PONTYFIKATU PIUSA VII. Ks. Franciszek Starowiejski. *(W. Gostomski)* 208

Str.

Z piśmiennictw obcych.

THEOLOGIA PASTORALIS. Auct. Iosepho Alberti. Pars prima complectens casus morales, qui in articulo mortis evenire solent. — Pars secunda complectens casus morales implicatiores, qui extra articulum mortis evenire solent. — Pars tertia complectens practicam tractationem de poenitentiae Sacramento. — Pars quarta complectens practicam tractationem de Sacramento matrimonii. *(Ks R. Kudasiewicz T. J.)* 210

NOMENCLATOR LITERARIUS THEOLOGIAE CATHOLICAE theologos exhibens aetate, natione, disciplinis distinctos. H. Hurter S. I. T. II. *(Ks. J. Roth T. J.)*. 212

NEUMENKUNDE (Palaeographie des gregorianischen Gesanges). Peter Wagner. *(Dr. Adolf Chybiński)* 215

Z POWIEŚCI ANGIELSKICH: THAT ARTFUL VICAR by E. Grenville-Murray. II vol. — MRS. ARTHUR by Mrs. Oliphant. II vol. — WHITE HEATHER by William Black. II vol. *(Teresa Wodzicka)* 222

Zapiski bibliograficzne.

MATERIALIEN ZU EINEM BIBLIOGRAPHISCHEN VERZEICHNISS kleinerer und grösserer von Gustav Baron Manteuffel in Druck erschienener Arbeiten. Von H. Diederichs. *(Ks. St. Załęski T. J.)* . . 66

SŁOWO O PUŁKU IGORA. Przełożył Bohdan Łepki. *(B. U.)* 67

SZKICE JĘZYKOZNAWCZE. J. Baudouin de Courtenay. Tom I. *(M. P.)* . 68

JAK ODPOWIADAĆ NA PYTANIA DZIECIĘCE? Rudolf Penzig, dr. fil. Tłum. z niem. Z. Rotszajnowa i L. Lipska. *(L. O.)* 68

HUCULSZCZYZNA. Napisał Wł. Szuchiewicz. Tom III. *(Dr. S. Z.)* . . . 69

CZASOPIŚMIENNICTWO TECHNICZNE POLSKIE przed r. 1875. Feliks Kucharzewski. *(K. J.)* 70

KŁODAWA I JEJ OKOLICE POD WZGLĘDEM HISTORYCZNO-LUDOZNAWCZYM. M. Rawita Witanowski. *(Dr. St. Z.)* 143

KOBIETA WSPÓŁCZESNA. Książka zbiorowa. *(R. B.)* 145

ALEXANDER MIKOŁAJEVIČ PYPIN (1833—1904). Nastin jeho života a prace, napsal Jiři Polivka. *(S.)* 146

FRYDERYK SCHILLER i t. zw. romantyka polska przed Mickiewiczem (r. 1822). Dr. Witold Barewicz. *(K. M.)* 146

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI, biskup włocławski i krakowski (1496—1560). Monogr. hist. Dr. Tadeusz Troskolański. Tom II, cz. I. *(Dr. A. B.)* 226

KORESPONDENCYA JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO. Wydał Dyonizy Zaleski. Tom V. *(B.)* 227

IDEA DEMOKRATYCZNA I JEJ KRYTYCY W RZECZYPOSPOLITEJ. Uwagi i notatki. Zebrał Michał Tyszkiewicz. *(L.)* 228

SLOVANSKÉ STAROŽITNOSTI sepsal dr. Lubor Niederle. *(wi)* 228

KS. AUGUSTYN KORDECKI. Zarys biograficzny w 300-tną rocznicę urodzin obrońcy Jasnej Góry. Skreślił Michał Rawita Witanowski. *(C. L.)* 230

LEKARSKIE POGLĄDY REJA (1505—1905). Dr. Gedroić. *(A. S.)* 230

ŻYWOT STAREGO ŻOŁNIERZA. Pogadanka zimowa. Przez Teofila Lenartowicza. *(A. B.)* 231

CZEŚĆ MARYI NIEPOKALANIE POCZĘTEJ. Napisał ks. J. A. Ł. *(N.)* . . 231

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Str.

Sprawy Kościoła: Sprawa Maryawitów. — Akcya katolicka w kraju. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 71

Z życia masonii. Przez *ks. Jana Urbana T. J.* 77

MAJ.

Sprawy Kościoła: Angielski projekt nowej ustawy szkolnej. — Brewe *Quoniam in re biblica.* — Ze spraw włoskich. — Jeszcze Maryawici. Przez *ks Wiktora Wieckiego T. J.* 147

Stowarzyszenia wydawnicze u nas. Przez *d-ra St. Z.* 154

Od Redakcyi 160

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Wobec ostatnich wypadków we Francyi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 232

Z nowszego ruchu w Cerkwi rosyjskiej. Przez *ks. J. Urbana T. J.* 241

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.